

MOJE ŻYCIE W SEKCIE SCJENTOLOGÓW



OFIAROWANA

Jenna Miscavige Hill

znak litera  
nova

Lisa Pulitzer

*MKS*

JENNA MISCAVIGE HILL  
WSPÓŁPRACA LISA PULITZER

# OFIAROWANA

Moje życie w sekcie scjentologów

**znak** *litera  
nova*  
Kraków 2013

*Chciałabym dedykować tę książkę wielu moim dobrym przyjaciołom, którzy nadal są w Kościele. Kocham was i tęsknię za wami. Żywię szczerą nadzieję, że któregoś dnia zdobędziecie się na odwagę, by stanąć w swojej obronie, skorzystacie ze sposobności, by odejść z Kościoła i zacząć żyć naprawdę własnym życiem. Wszyscy na to zasługujecie.*

## Nota od autorki

Mówienie o scjentologii jest trudne - nie tylko dlatego, że budzą się wspomnienia i że sama scjentologia jest religią złożoną i wielowarstwową, ale również dlatego, że praktyki jej wyznawców sprawiły, że trudno komukolwiek krytykować życie w łonie Kościoła czy choćby o nim mówić.

Historia opisana na kartach tej książki jest prawdziwa; przedstawiłam wszystko tak, jak to zapamiętałam. Dialogi również zrekonstruowałam najwierniej, jak potrafiłam. Imiona i nazwiska niektórych występujących w książce osób zmieniłam, by chronić ich prywatność. Moim celem było zachowanie anonimowości poszczególnych osób przy jednoczesnym zachowaniu rzetelności całej mojej relacji. W książce zmieniono imiona i nazwiska osób noszących pseudonimy:

Joe Conte

Karen Fassler

Maria Parker

Cathy Mauro

Melissa Bell

Eva

Naomi

Caitlin

Teddy Blackman

Sondra Phillips

Sophia Townsend

Olivia

Julia

Mayra

Laura Rodriguez

Kara Hansen

Melinda Bleeker

Steven

Linda

Charlie

Molly

Sylvia Pearl

Tessa pan Wilson

## Prolog

Poranne słońce przebierało zza chmur. Stałam na szarym końcu kolejki dzieci czekających na spotkanie z dwojgiem dorosłych pełniących ważne funkcje w Kościele scjentologicznym. Nie wiedziałam, jak długo czekam, ale zdawało mi się, że trwa to całą wieczność. Kiedy ma się siedem lat i czeka się na coś, minuty zdają się godzinami. Przede mną było przynajmniej dziesięcioro dzieci, więc wraz z dwoma przyjaciółkami śpiewaliśmy piosenki i bawiliśmy się, klaszcząc, by jakoś wypełnić czas. Choć zapewne chichotałam tak jak i one, byłam niespokojna i zdenerwowana. Owych dwoje dorosłych byli to rekruterzy z międzynarodowej siedziby Kościoła w Hemet w Kalifornii. Stali przy rozkładanych stolikach, które rozstawiono wzdłuż drogi do School House.

Byłam zbyt daleko w tyle, żeby usłyszeć dokładne wyjaśnienie, po co ci ludzie przyjechali na Ranczo, do scjentologicznej szkoły z internatem, gdzie mieszkałam wraz z około osiemdziesięciorgiem innych dzieci, których rodzice byli pracownikami kierowniczego szczebla Kościoła. Niezależnie od tego, jaki był powód ich zjawienia się, domyśliłam się, że to coś ważnego - w przeciwnym razie nie przemierzaliby trzydziestu kilometrów dzielących nas od bazy, by spotkać się z nami osobiście. Ubrani w stroje przypominające kompletne mundury marynarki, łącznie ze sznurami galowymi i orderami wojskowymi, sprawiali wrażenie ludzi mających władzę. Wiedziałam, że są członkami Sea Organization, elitarniej jednostki Kościoła scjentologicznego, składającej się z najbardziej oddanych członków Kościoła. Moi rodzice dołączyli do niej przed laty, tuż przed moimi drugimi urodzinami.

Odśpiewaliśmy jeszcze kilka piosenek, po czym nadeszła moja kolej. Zbliżyłam się do stolika. Na twarzach obojga rekruterów malowała się srogość. Onieśmielali mnie. Złakniona uwagi dorosłych usiłowałam się wkraść w ich łaski, starając się być uroczą i uśmiechniętą. Kiedy zorientowałam się, że chyba to na nich nie działa, zmieniłam taktykę, próbując sprawiać wrażenie bystrej i dociekliwej.

Wręczyli mi kartkę, na której widniał herb Sea Org oraz słowo „REVENIMUS”, wydrukowane na samej górze. U dołu kartki było miejsce na datę i podpis.

- Co oznacza „revenimus”? - spytałam zaintrygowana.

- To po łacinie. Znaczy „wracamy” - odpowiedziała kobieta.

Następnie wyjaśniła, że jest to oficjalne motto Sea Organization, najwyraźniej ucieszona sposobnością oświecenia potencjalnej kandydatki.

- Wracamy? Ale dokąd? - zapytałam.

- Wracamy w tym sensie, że po jednym życiu następuje kolejne - wyjaśniła kobieta. - Podpisujesz kontrakt na miliard lat.

- Ach tak - odpowiedziałam, uświadomiwszy sobie, jak głupie musiało jej się wydać moje pytanie.

Jako scjentolodzy wierzymy, że kiedy nasze ciało umiera, znajdujący się w nim duch zaczyna nowe życie w nowym ciele. Założyciel scjentologii, L. Ron Hubbard, powiedział, że jako duchy żyliśmy już miliony lat i że będziemy dalej żyli, z ciałami albo bez nich. Wierzyłam w to, odkąd sięgam pamięcią.

Tego dnia byłam gotowa i niezmiernie chętna, by dołączyć do sprawy, która była tak droga moim rodzicom. Przynależność do Sea Org znaczyła dla nich tak wiele, że kiedy miałam sześć lat, umieścili mnie na Ranczu, by móc poświęcić cały swój czas misji Kościoła. Widywali mnie tylko przez kilka godzin podczas weekendów. Rodzice żadnego spośród nas nie przebywali na Ranczu, gdy składaliśmy przysięgę posłuszeństwa wobec Sea Org. Tymczasem podpisanie tego dokumentu znaczyło, że jestem o krok bliżej, by tak jak oni stać się członkiem Sea Org, dzięki czemu miałam nadzieję widywać ich częściej.

- Gdzie mam się podpisać? - spytałam skwapliwie.

Kobieta wskazała miejsce palcem, nakazując jednocześnie, bym najpierw zapoznała się z treścią dokumentu. Ostatnia linijka brzmiała niczym wyrok:

**NINIEJSZYM ZOBOWIĄZUJĘ SIĘ DO SŁUŻBY SEA ORGANIZATION PRZEZ MILIARD LAT (Zgodnie z Flag Order 323).**

Zanim złożyłam podpis, przez głowę przemknęły mi obrazki z *Małej Syrenki*, zwłaszcza scena, w której Ariel podpisuje magiczny kontrakt z Podwodną Wiedźmą. Wiedziałam, że kontrakt oznacza, że muszę dochować przysięgi, więc zapamiętałam, na co się godzę: postępować zgodnie z zasadami i obyczajami, kierować się sprawą Kościoła i służyć mu miliard lat.

„Mogę to zrobić” - pomyślałam. Usiłowałam zapisać swoje imię i nazwisko najładniej, jak potrafiłam, idealnie połączyć litery, dokładnie tak, jak zostałam nauczona w szkole. Chciałam, żeby mój podpis był idealny, ale rekruterzy popędzali mnie, ponieważ za mną było jeszcze wiele innych dzieci, które trzeba było wciągnąć na listę. W rezultacie mój podpis nie wyszedł tak ładnie, jak chciałam.

Mimo to kiedy odchodziłam od stolika, miałam gęsią skórkę. Jeśli szło o kontrakt na miliard lat, to nic mnie w nim nie zdziwiło. Wiedziałam, że bez względu na to, gdzie przebywają moi rodzice, myślami są teraz ze mną. Mój kontrakt był taki sam jak zobowiązanie, które podpisali, gdy byli jeszcze nastolatkami. Poza tym w moim młodym

wieku tak wielkie liczby nic mi nie mówiły. Dla mnie miliard lat niczym się nie różnił od stu lat - jedno i drugie wydawało się otchłanią czasu. Jeśli chciałam być z rodzicami i przyjaciółmi przez kolejny miliard lat, podpisanie dokumentu było czymś oczywistym.

Moi przyjaciele, jeden po drugim, podpisywali takie kontrakty - a każdy przysięgał, że odda życie służbie dla sprawy, której nikt z nas nie mógł w pełni rozumieć. Kiedy tak stałam na drodze między boiskiem a drzewami oleandru o białych i różowych kwiatach, nie uświadamiałam sobie prawdziwego sensu tego, co właśnie zrobiłam, nie zdawałam sobie też do końca sprawy z wymagań, jakie odtąd będą mi stawiane. I od piosenki *Down by the bank with the hanky pank* ot tak przeszłam do zobowiązania, że oto moja dusza przez miliard lat będzie służyć Kościołowi sejentologicznemu. Cokolwiek czekało mnie w przyszłości, jedno było pewne od teraz: moje życie już do mnie nie należało.



# Rozdział pierwszy

## W imię Kościoła

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień związanych ze scjentologią dotyczy rozmowy, która odbyła się, gdy miałam mniej więcej cztery lata. Moja rodzina mieszkała wtedy w Los Angeles, w mieszkaniu, które zapewniał nam Kościół. Pewnego niedzielnego poranka leżałam w łóżku z mamą i tatą, zastanawiając się, jak by to było wyjść z własnego ciała.

- Jak opuszcza się własne ciało? - zapytałam.

Rodzice wymienili uśmiechy, mniej więcej takie, jakie wymieniam ze swoim mężem, kiedy nasz syn zadaje jedno z tych trudnych pytań, na które nie da się odpowiedzieć, nie wychodząc poza ramy wiedzy, którą posiada.

- Czy możemy wszyscy razem opuścić nasze ciała i latać po niebie? - spytałam.

- Może i tak - odpowiedział wtedy ojciec. Zawsze lubił sprawiać mi przyjemność.

- Więc zróbmy to teraz - zażądałam niecierpliwie. - Powiedz mi tylko, co mam robić.

- Dobrze, zamknij oczy - poinstruował mnie. - Są zamknięte? Teraz pomyśl o kocie.

- Czy wszyscy mamy myśleć o nim jednocześnie? - zapytałam, chcąc się upewnić, że wszystko robię, jak należy.

- Tak - odparł tata. - W porządku. Jeden, dwa, trzy...

Czekałam z zamkniętymi oczami, ale nic się nie wydarzyło. Słyszałam, jak rodzice się śmieją, ale nie rozumiałam, na czym polega dowcip i dlaczego mi nie pomagają. Czy nie mogli mi pomóc wyzwolić się z ciała? Czyżby mogli mi pomóc tylko w niektórych sytuacjach? Czy będę mogła wyjść z własnego ciała, gdy będę starsza? A może coś jest ze mną nie tak?

Wiedziałam, że jestem thetanem. Zawsze wiedziałam, że jestem thetanem, i nigdy nie zakładałam innej możliwości. „Thetan” to termin używany przez scjentologów oznaczający ducha nieśmiertelnego, ożywiającego ludzkie ciało, które jest w gruncie rzeczy kawałkiem mięsa, naczyniem dla thetana. Thetan przeżywa jedno życie po drugim, a kiedy umiera ciało, które akurat stanowi dla niego naczynie, thetan wybiera kolejne i zaczyna od nowa.

Fascynowała mnie idea posiadania minionych wcieleń. Często prosiłam dorosłych, żeby mi o nich opowiadali. Nie pamiętałam żadnego ze swoich wcieleń, ale zawsze byłam przekonana, że kiedyś odzyskam wspomnienia. Sekretarka mojego ojca Rosemary mówiła mi,

co wydarzyło się w jej poprzednim wcieleniu, w którym była Indianką. Wszystkie te historie wydawały mi się niesamowite i romantyczne. Nie mogłam się już doczekać, kiedy sama będę mogła przypomnieć sobie swoje wcielenia. Miałam nadzieję, że nie byłam złym facetem ani jakimś samotnym starym człowiekiem. Z pewnością przynajmniej raz byłam księżniczką.

Wtedy z racji młodego wieku tyle tylko rozumiałam ze scjentologii: poprzednie wcielenia, pozostawianie za sobą poprzednich ciał, bycie thetanem. Nie wiedziałam wiele więcej ponad to, ale dziecku, które nie potrafi w pełni ogarnąć rozmaitych poziomów skomplikowanego wyznania, wszystko to wydaje się ekscytujące. Stanowiłam część czegoś większego, czegoś, co obejmowało zarówno przeszłość, jak i przyszłość; czegoś, co wydawało się nierealne, a jednak w nieokreślony sposób całkowicie wiarygodne.

I dlatego siedziałam tam, z zamkniętymi oczami, czekając, aż zacznę fruwać po niebie z rodzicami; czekając, aż opuszczę swoje ciało.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tylko scjentolodzy wierzą w thetany. Wszyscy, których znałam, byli członkami Kościoła, a ponieważ byłam scjentolożką w trzecim pokoleniu, scjentologia stanowiła całe moje życie. Moja babcia ze strony matki w połowie lat pięćdziesiątych zaczęła czytać książki L. Rona Hubbarda, autora science fiction i założyciela scjentologii. Mój dziadek ze strony ojca wstąpił do Kościoła w latach siedemdziesiątych - o scjentologii opowiedział mu znajomy. Zarówno babcia, jak i dziadek natychmiast złapali się na haczyk scjentologów.

W scjentologii nie ma żadnego boga, modlitwy, nieba ani piekła - nie ma żadnego z tych elementów, które ludzie zwykle utożsamiają z religią. Scjentologia to filozofia i program samopomocy, który obiecuje osiągnięcie większej samoświadomości i możliwość wykorzystania przez jednostkę całego jej potencjału. To właśnie owa niekonwencjonalna idea samopomocy przyciągnęła do Kościoła dziadków zarówno ze strony mamy, jak i taty. Każde z nich na swój sposób zagustowało w tym, że scjentologia koncentruje się na indywidualnym przeznaczeniu człowieka i ulepszeniu jego życia dzięki jasnym wskazówkom - każde z nich wprowadziło do Kościoła również dzieci: po stronie mojej matki było ich dziewięcioro, a czworo po stronie taty.

Moi rodzice dołączyli do Kościoła jako dzieci i już w nim zostali. Kiedy 1 lutego 1984 w Concord w stanie New Hampshire przyszedł na świat, rodzice od ponad piętnastu lat należeli do Kościoła.

Byłam scjentolożką od chwili narodzin, ale Kościół tak naprawdę zaczął kształtować bieg mojego życia na krótko przed moimi drugimi urodzinami. To wtedy moi rodzice zdecydowali się na rezygnację z życia, które zaczęli w New Hampshire, przeprowadzili się z

całą naszą rodziną do Kalifornii i poświęcili życie służbie Kościołowi. Wcześniej mieszkaliśmy w Concord, gdzie rodzice zbudowali swój wymarzony dom - położony na działce budynek ze szkła i drewna, składający się z czterech sypialni i dwóch łazienek. Zarówno mama, jak i tata mieli dobrze płatną pracę w miejscowej firmie zajmującej się oprogramowaniami komputerowymi, a mój brat Justin był w czwartej klasie miejscowej szkoły publicznej. Moja rodzina, w każdym razie, gdyby spojrzeć na nią z zewnątrz, wiodła normalną egzystencję w domku na przedmieściu.

Wszystko to zmieniło się jesienią 1985 roku, gdy mój ojciec Ron Miscavige junior pojechał do Flag Land Base, bazy scjentologów w Clearwater na Florydzie. Zajmująca więcej niż kilka kamienic Flag Land Base była potężnym kompleksem stanowiącym siedzibę przewodników duchowych, w którym gromadzili się scjentolodzy z całego świata, spędzając tam od kilku tygodni do kilku miesięcy.

Mój ojciec wybrał się do owego miejsca na kilka tygodni. W okresie, gdy tam przebywał, duchowieństwo Kościoła, znane jako Sea Organization lub Sea Org, było właśnie w trakcie potężnej akcji rekrutacyjnej. Do Sea Org rekrutowano jedynie najbardziej oddanych scjentologów, skłonnych poświęcić życie głoszeniu nauk scjentologii wszystkim ludziom na świecie. L. Ron Hubbard stworzył tę grupę w 1967 roku na pokładzie statku o nazwie Apollo, o którym mówił jako o statku flagowym. L. Ron Hubbard był człowiekiem związanym z marynarką wojenną i bardzo cenił sobie jej tradycje. Mówiło się, że wypłynął na morza, żeby móc odszukać duchowe składniki scjentologii i żeby nikt mu w tym nie przeszkadzał. Spekulowano jednak, że wpłynął na neutralne wody, aby uniknąć konsekwencji grożących mu ze strony amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków, po tym jak niektóre z jego twierdzeń na temat tego, jakoby głoszone przezeń nauki miały leczyć choroby psychosomatyczne oraz inne dolegliwości natury fizycznej i psychicznej, stały się przedmiotem ostrej krytyki ze strony środowisk lekarskich, twierdzących, że rzekome cudowne uzdrowienia to zwykły humbug.

Niezależnie od tego, jaka była przyczyna, dla której Hubbard działał na morzu, wcielił on w życie zasadę, iż członkowie jego grupy specjalnej mają nosić uniformy imitujące mundury marynarki wojennej, wprowadził też do Sea Org charakterystyczne dla marynarki wojennej rangi oraz system ocen, który oddzielał członków tej grupy od pozostałych scjentologów. Posunął się do tego, że członkowie załogi zwracali się do niego per „komandorze”, zaś wysokich rangą oficerów należało tytułować „sir”, niezależnie od tego, czy chodziło o kobietę, czy mężczyznę. W obrębie Sea Org Hubbard wyselekcjonował nawet własną grupę stewardów, którzy prowadzili programy, przekazywali jego rozkazy i

sprawdzali, czy zostały wykonane. Tę odgrywającą istotną rolę grupę nazwał Commodore's Messenger Organization (CMO).

W 1975 roku Sea Org przeniosła się na stały ląd, do Flag Land Base w centrum Clearwater. Tam też zamieszkali jej członkowie - wspólnie żyli i jedli w udostępnionych im obiektach. Choć organizacja nie miała już siedziby na statkach, wciąż posługiwała się wyrażeniami używanymi w czasach spędzonych na morzu - mieszkania nazywano kajutami, członkowie załogi nosili uniformy imitujące mundury marynarki wojennej, a L. Ron Hubbard nadal był komandorem.

Dziesięć lat później tam właśnie przebywał mój ojciec w okresie istnego szafu rekrutacyjnego. Opowiadał mi później, że rekruterzy Sea Org stacjonowali w różnych miejscach wokół bazy, szukając młodych, odnoszących sukcesy, kompetentnych scjentologów o wysokich kwalifikacjach moralnych. Każdy, kto zostawał członkiem Sea Org, musiał podpisać kontrakt na miliard lat zobowiązujący jego ducha - thetana - by w kolejnych wcieleniach służył Sea Org. Członkowie organizacji musieli również pracować w pocie czoła przez siedem dni w tygodniu - dawano im minimum czasu wolnego od pracy, który mogli spędzić z rodzinami - częstokroć zarabiając od piętnastu do czterdziestu pięciu dolarów tygodniowo. By zostać członkiem Sea Org, nie można było nigdy w przeszłości zażywać LSD ani anielskiego pyłu (fencyklidyny), nie można było mieć na koncie próby samobójczej ani też mieć w najbliższej rodzinie wrogów scjentologii.

Mój ojciec był już kiedyś członkiem tej organizacji; miał też poczucie, że nadal ma niezbędne do tego kwalifikacje. Był oddanym scjentologiem, skłonny do pełnego zaangażowania, był też starszym bratem Davida Miscavige'a, wschodzącej gwiazdy Kościoła, członka zespołu kierowniczego utworzonego przez L. Rona Hubbarda. W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat mój stryj Dave był już przewodniczącym Author Services Inc., instytucji zarządzającej wszystkimi sprawami finansowymi związanymi z prawami autorskimi, tekstami oraz kwestiami dotyczącymi własności intelektualnej L. Rona Hubbarda. Podobnie jak mój ojciec stryj Dave był scjentologiem, odkąd dziadek wprowadził rodzinę do Kościoła. Od samego początku był tak oddany sprawie, że za pozwoleniem dziadka w wieku szesnastu lat rzucił liceum i dołączył do Sea Org.

Po powrocie do domu w New Hampshire ojciec poinformował moją matkę, że postanowił wrócić do Sea Org. Choć rodzice dopiero co zdołali osiągnąć jakąś stabilizację, w ojcu odezwało się dawne powołanie. Zapragnął, by nasza rodzina przeniosła się do siedziby Kościoła w Los Angeles, gdzie mieliśmy rozpocząć nowe życie. Mama również musiałaby się ponownie zapisać do Sea Org, jako że członkowie tej organizacji nie mogą trwać w

małżeństwie z kimś, kto do niej nie należy. Mama zgodziła się bez wahania.

Choć sama decyzja została podjęta pod wpływem impulsu, rodzice wiedzieli, na co się decydują. Nie tylko już wcześniej należeli do Sea Org, ale nawet poznali się - oboje mieli wtedy po dziewiętnaście lat - właśnie we Flag Land Base. W owym czasie każde z nich było w związku małżeńskim z kimś innym, a owi współmałżonkowie także byli członkami Sea Org. Ojciec miał pasierba, Nathana, a mama - dwuletnie bliźniaki, Justina i Sterlinga. Rodzice zakochali się w sobie i wpakowali się przez to w wielkie tarapaty, gdyż było to naruszenie zasad Kościoła. Musieli ciężko pracować, by odpokutować swą winę. Ostatecznie dostali pozwolenie na ślub, a były mąż mamy również powtórnie się ożenił. Sterling zamieszkał ze swoim ojcem i jego nową żoną, zaś Justin trafił pod dach moich rodziców, jednak bliźniacy mogli spędzać czas zarówno w jednym domu, jak i w drugim - takie rozwiązanie zadowoliło wszystkich zainteresowanych.

Rodzice tworzyli piękną parę. Mój ojciec mierzył metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, miał smukłe i silne ciało. Nosił wąsy, miał jasne włosy, niebieskie oczy i serdeczny uśmiech - jednym słowem był pod każdym względem miłym facetem. Moja mama, Elizabeth Blythe, zwana przez wszystkich Bitty, była piękną kobietą, miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i dosyć szczupłą sylwetkę. Miała piwne oczy i brązowe włosy, które sięgały jej do pasa. Jej cera była koloru kości słoniowej; widniało na niej kilka piegów. W przeciwieństwie do ojca paliła papierosy i to od czasu, gdy była nastolatką. W towarzystwie nieznajomych była bardziej nieśmiała i wycofana niż tata, ale w towarzystwie przyjaciół okazywała pewność siebie, otwartość i dowcip - miała pełne ironii poczucie humoru. Była osobą nieco zarozumiałą i czasem przesadnie krytyczną, a jednocześnie niezwykle bystrą.

Choć rodzice poświęcali Sea Org mnóstwo czasu, czego wymagała przynależność do tej organizacji, byli zadowoleni z członkostwa aż do późnych lat siedemdziesiątych, kiedy to zaczęli odczuwać rosnącą frustrację z powodu sposobu zarządzania Flag Land Base. W 1979 roku, po pięciu latach członkostwa w Sea Org, oboje wystąpili z organizacji. Choć było to naruszenie kontraktów podpisanych na miliard lat, w owym czasie taki akt nie był żadną katastrofą. Pozwolono im nadal być wyznawcami scjentologii, lojalnymi wobec Kościoła, nie musieli jednak poświęcać całego swego czasu pracy Sea Org.

Przez następne lata ich życie toczyło się zwykłym torem. Przez krótki czas mieszkali w Filadelfii z rodzicami mojego taty, po czym przeprowadzili się do New Hampshire, gdzie wiedli typowe życie ludzi z klasy średniej - dwoje pracujących rodziców, z pewną pracą, z dwojgiem dzieci pod swoim dachem (po opuszczeniu Sea Org zachowali pełne prawo do opieki nad Justinem), zatrudniających nianię i zamierzających wybudować dom. Znaczna

część naszej dalszej rodziny, w tym siostry taty, Lori i Denise, oraz babcia ze strony ojca, również mieszkała w New Hampshire, więc byliśmy na dobrej drodze do tego, by osiąść tam na stałe w otoczeniu rodziny. Mogłoby się wydawać, że moi rodzice byli jak najdalsi od myśli o ponownym wstąpieniu w szeregi najbardziej zagorzałych wyznawców scjentologii.

Tymczasem to właśnie uczynili: pod wpływem nagłego impulsu wrócili do Sea Org, nadając drastycznie odmienny bieg naszemu dotychczasowemu życiu. Rodzice od samego początku wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam - członkostwo w Sea Org wiąże się ze spędzaniem mnóstwa czasu poza domem. Nie zaważyło to jednak na ich decyzji. Kościół stanowił dla nich priorytet, a decyzja zapadła.

Później mama i tata powiedzieli mi, że podjęli tę decyzję spontanicznie, niewiele się namyślając, i że z perspektywy czasu uważają to za swoją życiową pomyłkę. Choć nie potrafię stwierdzić, czy w ogóle rozważali jej wpływ na mnie, zapewne stanowiłam tylko kolejną ofiarę, którą byli gotowi złożyć Kościołowi. Raz już się wycofali, więc być może doszli do wniosku, że będą mogli zrezygnować ponownie, gdyby coś poszło nie po ich myśli. Choć z drugiej strony naprawdę mogli być przekonani, że wychowywanie dzieci w duchu scjentologii będzie czymś wspaniałym - chłonęłam przecież nauki scjentologów od wczesnego dzieciństwa.

Najprawdopodobniej rodzice odczuwali jakiś niepokój, mieli poczucie, że czegoś im brak. Woleli wypełniać w świecie ważną misję i służyć jakiemuś wyższemu celowi, aniżeli mieszkać w New Hampshire, pracując od dziewiętej do siedemnastej i wychowując dzieci. Misja Kościoła stanowiła dla nich silną motywację; chcieli uczestniczyć w czymś, co wykracza ponad nich samych. Jedno jest dla mnie jasne: wraz z tą decyzją nasze życie przestało być normalne. Wcześniej istniała szansa, by życie każdego z nas i całej naszej rodziny wyglądało zupełnie inaczej: moi rodzice przez jakiś czas brali pod uwagę taką ewentualność, ale potem ją odrzucili.

## Rozdział drugi

### LRH opuszcza ciało

Zamieszkanie w Kalifornii miało być swego rodzaju ponownym zacieśnieniem więzów w obrębie rodziny Miscavige'ów, jako że w Kalifornii mieszkał już ojciec mojego taty, dziadek Ron, oraz brat taty, stryj Dave. Rok wcześniej dziadek również dał się zwerbować członkom Sea Org: postanowił opuścić Filadelfię i dołączył do organizacji. Tymczasem stryj Dave, który od lat był wschodzącą gwiazdą Kościoła, szybko stał się jedną z najpotężniejszych postaci w całej scjentologii. Wtedy jeszcze żadne z nas nie wiedziało, że nie minie wiele czasu, a stryj stanie się przywódcą scjentologów.

11 grudnia 1985 roku, odbywszy długą podróż samochodem, przybyliśmy do naszego nowego domu, Pacific Area Command (PAC) Base w Los Angeles. Pierwszy kościół scjentologiczny założono w tym mieście w roku 1954 i to właśnie w Los Angeles nadal istniała największa na świecie społeczność scjentologów. PAC Base składała się z wielu budynków oddalonych od siebie o co najwyżej kilkadziesiąt metrów. Większość z nich wybudowano przy Fountain Avenue, Franklin Avenue i Hollywood Boulevard. Blue Building na Fountain Avenue 4833 stanowił centrum PAC Base. Pełniący kiedyś funkcję szpitala (Cedars of Lebanon Hospital) budynek był teraz najbardziej rozpoznawalnym gmachem Kościoła w całym mieście. Na jego dachu widniał ośmioramienny krzyż, religijny symbol Kościoła, oraz ogromny napis „Scjentologia”. Po zapadnięciu zmroku zarówno napis, jak i krzyż były podświetlane i doskonale widoczne z odległości kilku przecznic. W siedmiopiętrowym budynku znajdowały się biura administracji Kościoła, pomieszczenia mieszkalne części pracowników, kambuz oraz mesa. Stryj Dave i jego żona, a moja ciotka Shelly mieli mieszkanie w Blue Building, choć ich właściwa rezydencja była usytuowana w odległości dwóch i pół godziny jazdy samochodem z Los Angeles, w międzynarodowej siedzibie Kościoła w Hemet w Kalifornii.

Pierwsze mieszkanie mieliśmy w Fountain Building przy Fountain Avenue, przecznicę od Sunset Boulevard. Była to raczej nieciekawa dzielnica Hollywood, znana z przestępczości i działalności gangów. Mieszkanie składało się z dwóch obskurnych, ciemnych pokoi, z których każdy liczył niewiele ponad dwadzieścia metrów kwadratowych, oraz jednej łazienki. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Aby jakoś uprzyjemnić to miejsce, na pokrywającym podłogę tanim linoleum rodzice położyli dywany. Wybrali się też do

pobliskiego taniego sklepu, gdzie kupili piętrowe łóżko dla mnie i dla Justina oraz inne meble. Nasze łóżko umieścili w jednym pokoju, a swoje, małżeńskie, w drugim. Ja nadal wolałam spać z rodzicami w ich łóżku.

Owe godziny wspólnego snu to był niemal jedyny czas, jaki mogłam z nimi spędzić. Zasadniczo od członka Sea Org wymagano, by pełnił swoje obowiązki co najmniej czternaście godzin dziennie, mniej więcej od dziewiątej rano do dwudziestej trzeciej, przez siedem dni w tygodniu, z godziną wieczorną „przerwą dla rodziny” - kiedy to rodzice mogli zobaczyć się z dziećmi, nim ponownie udali się do pracy. Od czasu do czasu dostawali dzień wolny albo przepustki - jednak te ostatnie nie były niczym pewnym. Można było dostać najwyżej jeden dzień raz na dwa tygodnie. Była to nagroda za dobrą pracę.

Choć całe dnie rodziców wypełniała mozolna praca, oni sami bynajmniej nie narzekali. Biuro mojego ojca mieściło się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko naszego mieszkania, co było bardzo wygodne. Ojciec został zatrudniony na kierowniczym stanowisku w oddziale, w którym zajmowano się komputeryzowaniem scjentologii. Oddział ów nosił nazwę INCOMM. W scjentologii niemal każda jednostka administracyjna, budynek, biuro, wydział czy baza, miała swój akronim - również stanowiska pracy/funkcje oraz kursy, w których uczestniczyliśmy. Sam L. Ron Hubbard występował pod inicjałami LRH.

Moja mama kierowała Ship Project, ogromnym przedsięwzięciem obejmującym zakup nowego statku, mającego służyć jako pływająca baza. Miał się nazywać Freewinds i funkcjonować na wzór pierwotnego statku flagowego Apollo z początków Sea Org.

Moi rodzice pracowali cały dzień do późna w nocy, dlatego mną i Justinem opiekowali się inni ludzie. Kiedy przyjechaliliśmy do L.A., dni spędzałam w przedszkolu w Fountain Building, póki rodzice nie przyszli mnie zabrać na kolację, którą podawano w mesie. Potem mama, tata, Justin i ja wracaliśmy do mieszkania - to był czas dla rodziny. Kiedy mama i tata wracali do pracy, ponownie zostawiali mnie w przedszkolu. Było tam mnóstwo łóżeczek i kołysek, w których dzieci mogły spać do czasu, gdy ktoś je odbierze - zwykłe o dwudziestej trzeciej lub jeszcze później.

W ciągu dnia, kiedy przebywałam w przedszkolu, Justin chodził do Apollo Training Academy (ATA), kolejnego budynku przy Fountain Avenue. ATA przeznaczona była dla starszych dzieci członków Sea Org. Traktowano je jak kadetów, czyli członków Sea Org, którzy są w trakcie szkolenia. Nie wiem, co tam robili całymi dniami, ale Justin tak tego nie znosił, że błagał rodziców, by pozwolili mu wrócić do New Hampshire, gdzie miał przyjaciół.

Wkrótce ja i Justin oswoiliśmy się z nową rzeczywistością. Byłam za mała, by wiedzieć, że widywanie rodziców tylko raz dziennie jest czymś niezwykłym. Nie wiedziałam,



jak powinni zachowywać się rodzice, wiedziałam tylko, że moi rzadko są obecni w moim życiu.

Przebywaliśmy w Los Angeles zaledwie od sześciu tygodni, gdy 24 stycznia 1986 roku w wieku siedemdziesięciu dwóch lat zmarł L. Ron Hubbard. Ostatnie sześć lat życia spędził w izolacji na oddalonym od cywilizacji pustynnym terenie w Kalifornii pod opieką pewnego małżeństwa, Pata i Anne Broekerów, którzy byli jego najbardziej zaufanymi ludźmi. Od lat nie pojawił się w bazie ani nie pokazywał się publicznie, ale wszyscy mówili, że aktywnie pracuje nad nowymi, przełomowymi badaniami, więc jego odosobnienie było czymś zrozumiałym.

Scjentolodzy zawsze szanowali LRH jako badacza i filozofa, którego historie o odkryciach ważnych dla Kościoła były pełne barwnych opowieści zaczerpniętych z podróży i doświadczeń życiowych. W chwili śmierci był dla wszystkich niemal bogiem - charyzmatyczną jednostką, która odkryła drogę do zbawienia wszystkich scjentologów. Wszyscy postrzegali go jak osobistego przyjaciela, niezależnie od tego, czy zetknęli się z nim osobiście, czy nie. Według nas dostrzegał on dobro w całej ludzkości.

L. Ron Hubbard przez piętnaście lat był płodnym pisarzem science fiction, zanim w 1950 roku opublikował swoją pierwszą poważną pracę: *Dianetyka. Współczesna nauka o zdrowiu umysłowym*. *Dianetyka* to program samopomocowy; stojąca za nim filozofia głosi, że ludzie muszą eliminować chwile cierpienia, które stanowią przeszkody w ich indywidualnym rozwoju. To właśnie owe chwile sprawiają, że nie idziemy naprzód, wpływają też niekorzystnie na nasze zdrowie i obniżają jakość naszego życia. Jednakże dzięki temu, że je nazwiemy i pokonamy, jesteśmy w stanie przezwyciężyć właściwie wszystko, co sprawia nam ból.

*Dianetyka* została sprzedana w milionach egzemplarzy wkrótce po opublikowaniu. Hubbard zyskał czytelników, którzy natychmiast stali się zagorzałymi fanami programu; twierdzili oni, że w tym nowym poradniku dotyczącym zdrowia psychicznego znaleźli niezwykle sposoby na uleczenie i ulepszenie swojego życia. Oczywiście byli również ludzie odnoszący się do *Dianetyki* sceptycznie oraz kategoryczni krytycy, którzy kwestionowali naukę stworzoną przez LRH. Ten jednak odpierał oskarżenia przeciwników, mówiąc, że czują się zagrożeni przez nową perspektywę.

Pomimo głosów krytycznych dzieło stało się taką sensacją, że LRH otworzył w całych Stanach Zjednoczonych ośrodki zajmujące się dianetyką, aby jej adepci mogli odbywać indywidualne treningi z mającymi stosowne kwalifikacje osobami, które LRH nazywał audytorami. Na sesjach z audytorem uczeń, czyli preclear, był naprowadzany na chwile

cierpienia, jakich zaznał w życiu. Mogły to być jakiegokolwiek chwile bólu fizycznego lub emocjonalnego, od urodzenia dziecka aż po wypadek samochodowy; mogła to być każda bolesna chwila; mogły to być obrazy, zapachy, emocje czy zasłyszane słowa związane z chwilami cierpienia. L. Ron Hubbard wierzył, że wydarzenia przysparzające owego cierpienia tworzą łańcuchy, których ogniwa dzięki pomocy audytorów mogą kolejno zniknąć. Celem dianetyki jest wskazywać każde przykre wydarzenie, aż w końcu umysł zostanie oczyszczony z całego łańcucha. Dianetyka to ciągły proces szukania takich łańcuchów - a może ich być tysiące - i śledzenia ich wszystkich do najwcześniejszego incydentu. Tylko w ten sposób mogą one zniknąć, sprawiając, że preclear staje się bliższy stanowi oczyszczenia (clear). Jeśli osiągniesz stan oczyszczenia, będący celem dianetyki, nie zapadasz już na choroby psychosomatyczne, neurozy ani psychozy. Doświadczasz także znacznego wzrostu IQ i doskonale pamiętasz przeszłość. Jesteś uwolniony od tego, co LRH nazywał umysłem reaktywnym.

Do 1952 roku L. Ron Hubbard odszedł od myślenia o dianetyce wyłącznie jako o zestawie reguł umożliwiających udzielenie sobie pomocy. W swoich badaniach odkrył, że adepci jego metody ujawniają łańcuchy bolesnych wydarzeń poprzedzające ich obecne życie. W rzeczywistości człowiek może wracać pamięcią w przeszłość, przeskakując wiele wcieleń, co wskazywałoby na ich istnienie i co rzecz jasna otwierało bramy sfery ducha. To z kolei doprowadziło LRH do kolejnego odkrycia: człowiek istnieje w trzech sferach: cielesnej, umysłowej i duchowej. Duchową nazwał thetanem. Thetan jest nieśmiertelny i stanowi najważniejszą część spośród wszystkich trzech sfer. Bez niego nie byłoby ani ciała, ani umysłu. Thetan nie jest istotą - jest raczej twórcą istot i ożywicielem ciała. Umysł stanowi komputer, ciało to naczynie dla thetana, zaś sam thetan jest siłą życiową. W ten sposób zrodziła się scjentologia.

Thetan szybko stał się istotną składową scjentologii. Proponując swym wyznawcom czynnik duchowy, LRH wykonał pierwszy krok, by uczynić ze scjentologii religię - owa przynależność scjentologii do sfery religii wiąże się z wieloma korzyściami. Oto bowiem opinie, wedle których dianetyka to pseudonauka, co zarzucano dziełu Hubbarda, straciły na znaczeniu. Jeśli dianetyka jest częścią praktyki religijnej, nie musi być naukowo udowodniona. Istniały również motywy finansowe oraz związane z tym ulgi podatkowe, czyniące pomysł formuły religijnej jeszcze bardziej atrakcyjnym. Być może jednak najważniejszym motywem było to, że w przeciwieństwie do dianetyki, w obliczu której ludzie po prostu mogli osiągnąć stan oczyszczenia, ulepszyć samych siebie i nigdy już nie wrócić na kolejną sesję audytowania - scjentologia zawierająca nieśmiertelny pierwiastek duchowy oraz

motyw wędrówki do poprzednich wcieleń została obmyślona w taki sposób, by ludzie nieustannie do niej wracali.

LRH wymyślił program określający porządek, wedle którego należy nauczać scjentologii. Ten szczegółowy program został nazwany mostem ku całkowitej wolności i podzielony na dwie części: audytowanie, czyli swego rodzaju terapię sam na sam z audytorem, oraz trening - program, za pomocą którego można się nauczyć, jak audytować innych. Kierując się tą mapą dla scjentologów w ich podróży do duchowej wolności, wszyscy muszą zacząć od poziomu podstawowego, a następnie pokonywać kolejne szczeble. Możesz przejść przez most w jedną stronę lub w obie. Scjentologom proponowano również mnóstwo kursów, których celem nie było pokonywanie kolejnych etapów na moście ku całkowitej wolności. Ale jeśli chodzi o samo wznoszenie się, człowiek musiał osiągnąć konkretny poziom samoświadomości, zanim mógł przejść do kolejnego etapu, a w końcu przekroczyć most ku całkowitej wolności.

Poziomy na moście prowadzące do stanu oczyszczenia opierały się na badaniach LRH związanych z dianetyką. Jednakże odkrywając istnienie thetana, Hubbard musiał wznieść poziomy duchowe powyżej poziomu oczyszczenia. W ten sposób powstały najwyższe poziomy na moście, zwane poziomami thetana operacyjnego lub poziomami OT. Istnieje osiem takich poziomów, a ostatni to OT VIII, o kuszącej nazwie „Ukryta prawda”.

LRH ostrzegał, że nikt nie może pominąć żadnego z poziomów, aby osiągnąć owej ostatniej tajemnicy, i twierdził, że odpowiednie przygotowanie jest rzeczą najważniejszą. Osiąganie poziomów w porządku innym niż chronologiczny - mówił - może skutkować poważnymi obrażeniami, a nawet śmiercią. Z tego powodu ludziom, którzy już osiągnęli tę wiedzę, zabrania się dzielenia się nią z tymi, którzy mieszczą się niżej w hierarchii mostu. Ponadto cykl kursów OT mogli prowadzić jedynie specjalnie przeszkoleni członkowie Sea Org. W licznych bazach tej organizacji rozsianych po całym świecie prowadzi się kursy OT do V poziomu zaawansowania. We Flag Base w Clearwater na Florydzie prowadzone są kursy z poziomów VI i VII. Natomiast Freewinds, statek, który do służby na morzu przygotowywała moja matka, miał być jedynym miejscem, gdzie przeprowadza się kurs OT VIII - na najwyższym poziomie wtajemniczenia.

Choć LRH spędził ostatnie lata na dobrowolnym wygnaniu, ze swej siedziby Broekerów ogłosił, że ciężko pracuje nad nigdy dotąd nieodkrytymi poziomami wykraczającymi poza OT VIII.

Nazajutrz po śmierci LRH wujek Dave i Pat Broeker wygłosili przemówienia do pokaźnego tłumu scjentologów, którzy zgromadzili się w Hollywood Palladium - liczącej

ponad trzy tysiące siedemset metrów kwadratowych sali koncertowej w stylu art déco, mieszczącej się przy Sunset Boulevard. Stryj Dave oznajmił wszem i wobec, że LRH „przeszedł na kolejny poziom badań”. Rozległo się kilka okrzyków niedowierzania, od czasu do czasu wyciszanego aplauzu, ale większość słuchaczy zachowała ciszę. Dave następnie wyjaśniał, że L. Ron Hubbard postanowił „porzucić” swą cielesną powłokę, gdyż „przestała być użyteczna i stała się przeszkodą w pracy, która go teraz czeka, a w której nie może podlegać żadnym ograniczeniom”.

„Istota, którą znaliśmy jako L. Ron Hubbard, nadal istnieje” - oznajmił stryj wyznawcom Kościoła, pomagając im otrząsnąć się z szoku.

Fakt, iż LRH sam zaaranżował swą podróż oraz że nie widywano go od lat, sprawił, że jego odejście stało się dla ludzi do zniesienia.

Ponieważ owego dnia byli na scenie zarówno mój stryj, jak i Pat Broeker, nie od razu stało się jasne, kto będzie następcą LRH. Ponoć rozegrała się między nimi walka o przywództwo nad Kościołem. Krążyły na ten temat sprzeczne pogłoski, pojawiły się też oskarżenia, że mój stryj posłużył się wątpliwymi metodami, by wyeliminować konkurenta. Tak czy owak, ostatecznie mój stryj zwyciężył, stając się przywódcą Kościoła, a jego oficjalny tytuł brzmiał: przewodniczący Religious Technology Center (RTC). Od tej chwili wszyscy członkowie Kościoła mówili o nim COB, choć dla mnie wciąż był to po prostu stryj Dave.

Mój ojciec Ronnie Miscavige junior był o trzy lata starszy od stryja Dave'a. Był najstarszym dzieckiem w rodzinie, po nim urodził się Dave wraz ze swoją siostrą bliźniaczką Denise, na końcu przyszła na świat Lori, najmłodsza w rodzinie. Gdy byli dziećmi, mój tata i Dave mieli wspólny pokój i dobrze się ze sobą dogadywali, i nawet wspólnie dokuczali siostrze. Tata był bardzo wysportowany i choć grał w szkole w futbol, jego prawdziwą pasję stanowiła gimnastyka. Zdobył nawet lokatę w Junior Olympics w rozgrywkach lokalnych. Dave również lubił uprawiać sport, ale z powodu astmy był czasem odsuwany od rywalizacji sportowej i zajmował się inną aktywnością fizyczną. Denise była miłą osobą, niezależnym duchem, uwielbiała tańczyć, ale często popadała w konflikt z moimi dziadkami, bo nie akceptowali niektórych chłopców, z którymi się spotykała. Mała Lori uwielbiała tańczyć ze starszą siostrą.

Ich ojcem a moim dziadkiem był Ron Miscavige senior. Urodził się i wychował w Mount Carmel, małym miasteczku usytuowanym w pobliżu kopalni węgla w południowozachodniej Pensylwanii, odbierając polskie katolickie wychowanie. Pracował jako handlowiec - sprzedawał różne rzeczy, od przyborów kuchennych począwszy, na

ubezpieczeniach skończywszy. Nie był zbyt wysoki, ale mówił głośno, był szorstki w obyciu, towarzyski i budził pewien respekt. Kiedy miał zaledwie osiemnaście lat, zaciągnął się do marynarki, a w 1957, rok po zwolnieniu ze służby, ożenił się z moją babcią, Loretą Gidaro, piękną młodą kobietą o gęstych brązowych włosach, oliwkowej cerze i błękitnych oczach. Babcia Loretta była wnuczką górnika zatrudnionego w kopalni węgla, który miał niemieckowłoskie korzenie. Była osobą z dużym poczuciem humoru, miłą i zawsze kierującą się dobrem swojej rodziny. Małżonkowie osiedli w Cherry Hill w stanie New Jersey, niedaleko Filadelfii, gdzie babcia pracowała jako pielęgniarka, po czym brała urlop, kiedy rodziły się dzieci: tata w 1957 roku, David i Denise w 1960 roku, a Lori w 1962 roku.

Jako handlowiec dziadek był osobą bardzo towarzyską. Często zapraszał do domu różnych ludzi na kolacje w gronie rodziny i w trakcie posiłku zabawiał wszystkich anegdotami. Pierwszy raz usłyszał o Kościele scjentologicznym od swojego kolegi po fachu. Scjentologia przyciągnęła go nie dlatego, że chciał osiągnąć przez nią osobisty cel, ale dlatego, że zawsze szukał odpowiedzi na pytania związane z duchowością i ludzkim umysłem. W owym czasie miał trzydzieści cztery lata i od zawsze interesował się filozofią. Gdy był jeszcze dzieckiem, przeczytał *Proroka* Kahlila Gibrana i zafascynowało go zagadnienie dotyczące życia i duchowości człowieka, które poruszano w tej książce. Wcześniej zaczął się interesować antropologią społeczną. Zastanawiał się, jak to się stało, że ludzie osiągnęli swoje stadium rozwoju i dlaczego postępują w taki, a nie inny sposób.

To zainteresowanie korzeniami człowieka sprawiło, że ów handlowiec wybrał się do miejscowej misji scjentologów w Cherry Hill i kupił jedną z książek L. Rona Hubbarda. Jak mawiał później dziadek, po owej wycieczce do misji nikt do niczego nie musiał go przekonywać - od razu został pozyskany. Nabył jeszcze kilka książek, po czym wrócił do misji i zapisał się na sesje audytowania. Powiedział, że korzyści, jakie w ciągu kilku miesięcy odniósł dzięki scjentologii, sprawiły, że stał się czołowym sprzedawcą w firmie. Utrzymywał też, że został nawet wymieniony w „Newsweeku” z racji osiągniętego sukcesu. Jego szef był pod takim wrażeniem, że wysłał całą firmę, składającą się z około dwudziestu pracowników, do owej misji w Cherry Hill, bo jeśli tym właśnie zajmował się Ron, również i oni mogli na tym skorzystać.

Ze swej strony babcia Loretta nie miała nic przeciwko temu, że dziadek zainteresował się scjentologią, a nawet jej się to spodobało i również zaczęła uczęszczać na spotkania w misji. Kiedy mój ojciec miał dwanaście lat, dziadek zaczął zabierać całą czwórkę dzieci na sesje audytowania. W dodatku dziadek usłyszał, że scjentologia uzyskała imponujące wyniki w leczeniu takich chorób jak astma, uznał więc, że również cierpiącemu na nią stryjowi

Dave'owi bardzo może się przydać sesja. Według słów dziadka stan zdrowia Dave'a znacząco się potem poprawił, co jeszcze bardziej przekonało go, że scjentologia daje odpowiedzi, których poszukuje. Dziadkowi pomogła odnieść sukces w pracy, sprawiła, że był bardziej pewien słuszności podejmowanych decyzji, teraz zaś okazywało się, że dzięki scjentologii poprawia się również stan zdrowia jego syna.

Dziadkowi podobało się też to, że scjentologia stanowiła raczej program samopomocy aniżeli religię. Podobało mu się, że zamiast omawiać kwestie związane z niebem, piekłem i grzechem, doktryna niosła obietnicę przełomu w relacjach z ludźmi, małżeństwie, karierze, międzyludzkiej komunikacji, a także lepsze fizyczne i emocjonalne samopoczucie. Cenił również to, że ze scjentologią wiązał się także pewien aspekt utopijny. Scjentolodzy uważali, że człowiek jest ze swej istoty dobry i że to od niego zależy jego duchowe zbawienie, choć to jest ono uzależnione od współpracy z resztą świata. L. Ron Hubbard wierzył, że możliwe jest oczyszczenie świata z cierpienia, zakończenie wojen i pogłębianie światowej harmonii. Założenie było idealistyczne, ale też w jakiś sposób racjonalne - owo połączenie wydało się dziadkowi bardzo atrakcyjne. Fakt, że scjentologia nie przypominała żadnej innej religii ani żadnego przekonania, które by dotąd znał, zupełnie mu nie przeszkadzało.

Dwa lata po odkryciu Kościoła dziadek postawił wszystko na jedną kartę. Zdecydował się sprzedać swoje trzy samochody i wykorzystać uzyskane pieniądze do przeprowadzki wraz z całą rodziną do Saint Hill Manor w Sussex w Anglii, gdzie od ponad dekady znajdowała się główna siedziba Kościoła.

W 1959 roku L. Ron Hubbard i jego rodzina przeprowadzili się do Sussex, gdzie od maharadzy Dżajpuru zakupili liczącą dwadzieścia hektarów posiadłość z niewielkim pałacem. Siedziba ta została główną kwaterą Kościoła scjentologicznego. Saint Hill wkrótce stało się miejscem zgromadzeń scjentologów z całego świata. LRH często tam bywał, kontynuując i omawiając badania, co dawało ludziom poczucie, że są świadkami odkrywania czegoś nowego i ważnego.

Mimo że dziadkowi Ronowi bardzo zależało, by znaleźć się blisko centralnego ośrodka świata scjentologów w Saint Hill, mój wówczas czternastoletni ojciec był sceptyczny wobec tego pomysłu. Było rzeczą zrozumiałą, że jako uczeń liceum nie podchodził zbyt entuzjastycznie do pomysłu porzucenia Pensylwanii dla Anglii, z czym wiązała się konieczność rozstania z przyjaciółmi. A co jeszcze istotniejsze, musiałby także zrezygnować z zajęć gimnastycznych i pogodzić się z porzuceniem marzenia o udziale w olimpiadzie. Jednak mój dziadek czynił to, co uważał za najlepsze dla rodziny, i ojciec, choć z oporami, podporządkował się mu.

Tych kilka lat spędzonych w Anglii sprawiło, że mój ojciec dał się całkowicie pochłonąć scjentologii. Kiedy zaczęli otaczać go niemal wyłącznie jej wyznawcy, coraz bardziej angażował się w sprawę, aż w końcu przejął się nią do tego stopnia, że w wieku siedemnastu lat przystąpił do Sea Org i przeprowadził się do Flag Land Base w Clearwater.

Stryj Dave dołączył do niego w 1976 roku, po tym jak w swoje szesnaste urodziny rzucił liceum, by w pełni oddać się tej religii. W Clearwater stryj Dave stał się bliskim współpracownikiem L. Rona Hubbarda, który wynagradzał jego wysiłek, powierzając mu wysokie stanowiska. W końcu Dave osiedlił się w międzynarodowej siedzibie Kościoła w Hemet w Kalifornii, gdzie szybko wspinał się po kolejnych szczeblach kariery, a gdy L. Ron Hubbard udał się na dobrowolne wygnanie, wpływy stryja Dave'a w Kościele bardzo wzrosły. Teraz zaś, w obliczu śmierci L. Rona Hubbarda, stryj był kimś więcej niż tylko wizytówką Kościoła - stał się przywódcą wszystkich scjentologów.

## Rozdział trzeci

### Jeszcze większe bogactwo

Jakieś półtora roku po tym jak mój stryj objął przywództwo nad Kościołem, budynek Fountain Building, w którym mieszkaliśmy, został poważnie uszkodzony w czasie trzęsienia ziemi i przeznaczono go do rozbiórki. Moja rodzina wprowadziła się do pobliskiego Edgemont Building przy Edgemont Street, gdzie mieszkania miały o wiele wyższy standard. W każdym z nich były dwie sypialnie, mała jadalnia, kuchnia i mały salon. Choć mieszkania były większe, każde zajmowały dwie rodziny lub dwa małżeństwa, więc było tłoczno.

Zamieszkaliśmy razem z Mikiem i Cathy Rinderami, starymi przyjaciółmi moich rodziców, którzy też byli oddanymi członkami Sea Org. Mama i tata zajmowali jedną sypialnię, a Cathy i Mike - drugą. Justin i ja spaliśmy na piętrowych łóżkach i kanapach w salonie wraz z córką Mike'a i Cathy, Taryn, oraz ich synem, Benjaminem Jamesem, w skrócie B.J.em. Taryn miała około dziesięciu lat i była trochę młodsza od Justina. B.J. był o kilka miesięcy starszy ode mnie - oboje mieliśmy już skończone dwa lata.

Moja mama poznała Cathy, gdy były jeszcze nastolatkami i przebywały razem na Apollo, gdzie się zaprzyjaźniły. Choć było rzeczą dość dziwną tak nagle zamieszkać pod jednym dachem z inną rodziną, bardzo polubiłam poczucie humoru Cathy i zabawne rysunki jej autorstwa, na których wszyscy przypominali świnie. Mike był trochę inny. Był Australijczykiem, człowiekiem bardzo spokojnym i podobnie jak moi rodzice rzadko zjawiał się w mieszkaniu.

Nie narzekaliśmy, że mieszkanie jest zatłoczone. Fajnie było mieć tylu ludzi w pobliżu, zwłaszcza tak wiele dzieci. Ponieważ trzęsienie ziemi zniszczyło Fountain Building, B.J. i ja musieliśmy chodzić do dużego przedszkola dla dzieci członków Sea Org usytuowanego na Bronson Avenue, przy budynku, który obecnie nazywa się Celebrity Centre. Było to tak daleko od nas, że wraz z osiemdziesięciorgiem, może setką dzieci, od niemowląt po sześciolatki, musieliśmy dojeżdżać na miejsce autobusem wysyłanym przez Kościół. Byliśmy podzieleni na różne grupy, nie tyle ze względu na wiek, ile ze względu na status naszych rodziców w Kościele.

Zazwyczaj po południu wracałam do domu autobusem razem z Justinem albo Taryn, która również chodziła do ATA. Autobus zatrzymywał się przed akademią, żeby zabrać



uczniów, którzy kończyli zajęcia. W niektóre dni brat odbierał mnie z autobusu, który zatrzymywał się przed ATA, i razem szliśmy do mieszkania, po drodze kupując słodycze w George's General Store po drugiej stronie ulicy. Choć Justin był jeszcze trochę za młody jak na mojego opiekuna, Edgemont Building był to budynek scjentologów i może moich rodziców uspokajała świadomość, że inni scjentolodzy przebywają w pobliżu i że ich własne biura znajdują się nieopodal. Ponadto w owym budynku była niania, która krążyła po mieszkaniach, sprawdzając, jak się mają dzieci, i która była pod ręką w sytuacjach awaryjnych.

W ciągu tych kilku miesięcy B.J. i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy, mimo że on miał bzika na punkcie urządzeń podsłuchowych i robotów, podczas gdy ja pasjonowałam się lalkami Barbie i małymi zwierzątkami. B.J. nie był szczególnie rozmowny, ale byłam nim zafascynowana. Wciąż uczył mnie nowych rzeczy związanych z podsłuchami albo pokazywał mi magiczne sztuczki. Właściwie wszystko robiliśmy razem i już wkrótce również B.J. i Taryn stali się dla mnie jak rodzina.

Wkrótce po tym, jak wszyscy wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, mama zaczęła zjawiać się w nim coraz rzadziej. Ponieważ zajmowała się Freewinds, często bywała w Curaçao, w brytyjskiej części Indii Zachodnich, gdzie wodował statek. Dzieliła swój czas między Curaçao a międzynarodową siedzibę Kościoła w Hemet. Odwiedzała nas, kiedy tylko mogła, przywoząc mi prezenty z podróży. Choć niezmiernie mi się podobały, zwłaszcza szkatułka na biżuterię z pozytywką i maleńką obracającą się wokół własnej osi baletnicą, nie sprawiły, że jej nieobecność stała się łatwiejsza do zniesienia. Tęsknota za nią doskwierała mi najbardziej w czasie przerw dla rodziny. Zwykle tylko tata i Cathy przychodzili do mieszkania, by spędzić z nami godzinę. Tata kąpał mnie, czytał mi bajki i bawił się ze mną.

Tak wyglądała nasza codzienność przez około roku. Nasza czwórka - Justin, Taryn, B.J. i ja - stworzyła prowizoryczną rodzinę. Choć Justin i Taryn nie byli jeszcze nawet nastolatkami, opiekowali się mną i B.J.em. Razem wychodziliśmy, jedliśmy przekąski i się bawiliśmy. Zazwyczaj oboje opiekowali się nami, póki nasi rodzice nie wrócili do domu na kolację, chyba że któreś z nich miało wolne. Jednak pewnego dnia na początku roku 1988 wszystko to się zmieniło, gdy Cathy wróciła do domu na przerwę dla rodziny.

Tego wieczoru widziałam, że rozmawia na osobności z B.J.em, który wyglądał na zasmuconego. Siedziałam na kanapie i mogłam stamtąd usłyszeć, jak Cathy informuje B.J.a, że jest to ostatni dzień, gdy przyznano im przerwę dla rodziny. Od tej pory ona i Mike mieli widywać dzieci tylko raz w tygodniu, w niedzielne poranki, zaś pozostałe dni mieli spędzać w jakimś tajemniczym miejscu, robiąc ważne rzeczy dla Kościoła.

Choć zarówno ja, jak i B.J. mieliśmy zaledwie po cztery lata, oboje przywykliśmy do typowego dla scjentologów wyjaśnienia, jakiego udzielali nam nasi rodzice, tłumacząc, dlaczego muszą tyle pracować. Mówili, że muszą pomagać innym i poświęcać swój czas sprawie scjentologii. Kiwaliśmy głowami na znak, że rozumiemy, udając, że dzięki temu wyjaśnieniu będzie nam ich mniej brakowało.

Jednak patrząc w tamtej chwili na twarz B.J.a, wiedziałam, że nie potrafi już dłużej udawać, że nie jest zdruzgotany. Nie mówił zbyt wiele i kiedy matka ostrożnie wszystko mu tłumaczyła, słuchał tylko i patrzył w podłogę. Próbowałam go później pocieszać, kładąc mu rękę na ramieniu, mówiąc, jak bardzo mu współczuję, i myśląc tylko o jednym: że B.J. ma straszne pecha, że traci swoją jakże wyczekiwaną godzinę z rodzicami. A wtedy Cathy powiedziała mi, że również moi rodzice nie będą mieli więcej przerw dla rodziny.

„Nie wierzę ci” - oświadczyłam buntowniczym tonem, ale kiedy pomyślałam o tym przez chwilę, zdałam sobie sprawę, że od kilku miesięcy coraz rzadziej widywałam rodziców w ciągu tygodnia. Mama często przebywała w podróży, a tata zjawiał się coraz rzadziej wieczorami i w weekendy. Z tego, co powiedziała mi Cathy, wywnioskowałam, że nasze rozstanie stało się oficjalne.

Jak się okazało, moi rodzice już zostali przeniesieni, a ja nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Kościół wprowadził całą serię nowych zasad, poważnie ograniczając czas, jaki członkowie Sea Org mogli poświęcać rodzinie. Pary pracujące w organizacji nie mogły na przykład zostać rodzicami. Jeśli kobieta będąca członkinią Sea Org zaszła w ciążę, para musiała opuścić organizację, udając się do jakiejś misji poza Sea Org, co stanowiło formę degradacji. W nowej placówce nadal mieli pracować na rzecz Kościoła scjentologicznego, ale nie mogli wrócić do Sea Org, póki dziecko nie skończyło sześciu lat, a nawet wtedy musieli ponownie starać się o przyjęcie do organizacji. Również dla tych spośród członków Sea Org, którzy mieli dzieci, wprowadzono zmiany. Plusem ich sytuacji było to, że dzieci owych ludzi miały być umieszczone w ośrodkach z ulepszonym systemem opieki i szkolnictwa, zaś minusem fakt, że wieczorną przerwę dla rodziny w gruncie rzeczy zlikwidowano, a dzieci powyżej szóstego roku życia miały odtąd podlegać wspólnemu wychowaniu w ośrodkach znajdujących się w pobliżu baz Sea Org.

Choć pomysłodawcą owych zmian nie był stryj Dave, nie mógł o nich nie wiedzieć. Nie były to zmiany z rodzaju tych, do których mogło by dojść bez jego zezwolenia. Trudno stwierdzić, dlaczego w ogóle je wprowadzono. Stryj Dave nie miał dzieci, co przypuszczalnie nie było bez znaczenia; zawsze sądziłam, że nieposiadanie przezeń dzieci to jego świadoma decyzja, ponieważ ożenił się z ciotką Shelly, zanim owa reguła zaczęła obowiązywać. Być

może, obserwując innych członków Sea Org, stryj widział, ile czasu trzeba poświęcić dzieciom, jak licznych wymagają udogodnień i personelu do opieki nad nimi. Najpewniej jednak stryj nie zdecydował się na dzieci, gdyż odciągają one uwagę rodziców od sprawy Kościoła, powodując, że są oni mniej produktywni i emocjonalnie zaangażowani w coś innego niż Kościół.

Nigdy nie wątpiłam w to, że rodzice mnie kochają. Pogodziłam się z tym, że czas, jaki mogą mi poświęcić, jest bardzo ograniczony. Nawet teraz, patrząc z perspektywy czasu na ich poświęcenie dla Kościoła, nie mam wątpliwości, że to właśnie głoszone w nim nauki w decydującym stopniu sprawiły, że moi rodzice zawsze przedkładali swoje obowiązki w Sea Org nad obowiązki rodzinne. Generalnie rzecz ujmując, poświęcili rodzinę na ołtarzu czegoś, co uznawano w Kościele za „większe dobro”. W scjentologii używamy wyrażenia „największe dobro w służbie najliczniejszych dynamik”, co oznacza, że podejmując decyzje, scjentolodzy muszą kierować się podstawową zasadą scjentologii, zwaną dynamiczną zasadą egzystencji, by móc określić, komu lub czemu dana decyzja przyniesie korzyści. Istnieje osiem dynamik o przypuszczalnie podobnej doniosłości:

Podmiotowość, jaźń

Rodzina, dzieci i seks

Grupa

Ludzkość

Rośliny i zwierzęta

Wszechświat MEST; MEST to materia (matter), energia (energy), przestrzeń (space) i czas (time), wszechświat fizyczny

Duch

Bóg, czyli najwyższy byt

Gdy moi rodzice powtórnie zapisali się do Sea Org, wiedzieli, że ich służba będzie oznaczała skoncentrowanie się na dynamikach: trzeciej, czwartej, szóstej, siódmej i ósmej. Wierzyli, że ich praca będzie służyła każdej z wymienionych sfer. Gdyby wybrali swoją rodzinę, służyliby jedynie pierwszej i drugiej dynamice. A ponieważ Sea Org służyła pięciu dynamikom, zaś ich rodzina tylko dwóm, przyłączenie się do Sea Org było decyzją słuszną. Oznaczała ona największe dobro w służbie największej liczby dynamik.

W rzeczywistości system dynamik sprawiał, że rodziny i dzieci często nie były w stanie konkurować ze znacznie szerszą rozumianą misją Kościoła. W większości religii rodziny i dzieci stanowią centralny aspekt związanych z nią dążeń; w scjentologii były one przez doktrynę rugowane. Na podobnej zasadzie nienormowany czas pracy i niskie pensje

pracowników Sea Org służyły większemu dobru scjentologii i jeśli tylko służyło się największej możliwej liczbie dynamik, wszystko było jak należy, nawet jeśli odbywało się to kosztem dzieci i rodziny.

Mając cztery lata, nie wiedziałam, jak radzić sobie z myślą, że mama i tata już z nami nie mieszkają. Wyprowadzili się do International Management Headquarters, określanego w skrócie jako Int, Int Base lub Gold Base. Wiedziałam o owym miejscu tylko tyle, że mieszkają tam i pracują stryj Dave i ciotka Shelly. Ośrodek mieścił się w Hemet w Kalifornii, dwie i pół godziny jazdy na wschód od Los Angeles. Int Base była do tego stopnia okryta tajemnicą, że jej dokładna lokalizacja stanowiła wiedzę tajemną; nie znali jej nawet członkowie rodzin jej pracowników. Dopiero po otrzymaniu specjalnego pozwolenia można się było tam dostać.

W Kościele mówiło się, że tak wysoki stopień tajności miał chronić Int Base przed wrogami z zewnątrz, mogącymi chcieć zaszkodzić scjentologii. Mówiono, że osoby niepożądane nie mogą znieść tego, że pomagamy innym, więc musimy takie ośrodki otaczać tajemnicą. W rezultacie jednak znajomość ich lokalizacji przydawała znaczenia tym, którzy byli wysoko w hierarchii Kościoła. Poza tym dzięki owej tajemniczości dodatkowej wagi nabierała także sama problematyka scjentologii.

Mama i tata powiedzieli mi, że w ciągu tygodnia korzystają z mieszkania w kompleksie apartamentów w pobliżu bazy. W sobotnie wieczory rodzice jechali do L.A., gdzie zostawali tylko do niedzielnego poranka, ponieważ około jedenastej musieli wracać do Hemet. Co tydzień byłam jednakowo przygnębiona, widząc, jak odjeżdżają, choć bardzo się starałam tego nie okazywać. Justin nigdy nie płakał, więc próbowałam go naśladować.

Moja matka wykorzystała swoje kierownicze stanowisko, by zorganizować dla mnie stałą opiekunkę. Miała na imię Pat i była członkinią Sea Org. Mnóstwo dzieci, których rodzice znaleźli się w Int, zostawało w przedszkolu również na noc, ale ja dzięki temu, że była ze mną Pat, mogłam spać w mieszkaniu. W dzień Pat pracowała w Manor Hotel przy Franklin Avenue - była to część kompleksu Celebrity Centre.

Ponieważ ani mama, ani tata, ani też Cathy i Mike Rinderowie nie bywali już w mieszkaniu na co dzień, nasze życie trochę się zmieniło. B.J. i ja nadal codziennie jeździliśmy autobusem do przedszkola i z powrotem, ale po południu nie wracaliśmy wprost do mieszkania. Nauczyciele zabierali nas do innego mieszkania, znajdującego się nieopodal naszego i pełniącego funkcję przedszkola po godzinach. Następnie, po powrocie z ATA, mój brat lub Taryn zabierali nas do domu. Krążąca niania nadal pełniła swe obowiązki, więc w pobliżu zawsze była jakaś dorosła osoba, by nam pomóc w razie potrzeby. Pat przyjeżdżała

około dziewiętnastej i spędzała z naszą czwórką całą noc. Tym sposobem stała się nianią nie tylko moją, lecz również B.J.a.

Bardzo tęskniłam za mamą i tatą, ale czas spędzony z dala od nich nie zawsze upływał mi w nieprzyjemny sposób. W niektóre dni Taryn zapraszała do nas swoją przyjaciółkę Heather, której rodzice również byli w Int. Uwielbiałam udawać, że jestem księżniczką, więc dziewczynki ubierały mnie w kostiumy czy strojne sukienki, fryzowały mi włosy, dawały mi różdżkę i kładły na głowę koronę - sprawiając, że stawałam się piękna.

Justin również lubił zapraszać przyjaciół. Najchętniej Mike'a, syna sekretarki naszego ojca, Rosemary, i Teddy'ego, kolegę, którego matka pracowała z naszą mamą nad Ship Project. Obaj ćwiczyli karate na mnie i na B.J.u. My atakowaliśmy ich poduszkami. Teddy i Justin lubili jeździć na deskorolce i zabierali mnie i B.J.a, żebyśmy mogli popatrzeć.

Mojemu ojcu najczęściej udawało się spędzać w Los Angeles sobotnie wieczory. Zwykle robił wszystko, by te weekendowe wizyty były wyjątkowe - przywoził mi drobne upominki albo też spędzaliśmy niedzielne poranki na czymś miłym. Czasem po prostu siedzieliśmy w domu, a kiedy indziej wychodziliśmy gdzieś na śniadanie, spacerowaliśmy po Griffith Park przy Santa Monica Mountains albo szwendaliśmy się po centrum handlowym. Moja mama z powodu specyfiki swojej pracy mogła bywać w L.A. rzadziej niż ojciec.

Jednak pewnego sobotniego wieczoru mama zadzwoniła wcześniej i oznajmiła, że ona i tata mają dla mnie niespodziankę. Usiłowałam doczekać, aż przyjadą, ale zasnęłam. Następnego ranka wbiegłam do ich pokoju. „Co to za niespodzianka?” - zawołałam podekscytowana. Mama sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła srebrną pręgowaną kotkę - niezwykle uroczą, ale śmiertelnie wystraszoną. Nazwałam ją Sarah Kitty. Na początku B.J. i ja baliśmy się jej, ponieważ była trochę dzika, ale w końcu ją oswoiliśmy.

Pewnego popołudnia, gdy B.J. i ja byliśmy w mieszkaniu, Sarah Kitty wypadła nagle z domku dla lalek, by zapoznać się z naszym nowym gościem: chłopcem w wieku Justina, którego widywałam wcześniej w bazie. Ledwo wszedł do salonu, Sarah Kitty skoczyła na niego i zaczęła wspinać się po nim jak po drzewie. Chłopiec krzyczał, po części ze strachu, po części z bólu spowodowanego zadrapaniami, więc B.J. i ja zabraliśmy naszą kotkę. Gdy już stłumiliśmy śmiech, staliśmy, patrząc na chłopca i zastanawiając się, kto to taki.

Justin był akurat w domu i przedstawił nas sobie.

„To jest Sterling - powiedział do mnie. - Twój brat”. Wiedziałam, że Justin ma przyjaciela o imieniu Sterling, ale nie wiedziałam, że to jego brat bliźniak. On i jego rodzina mieszkali od kilku lat w L.A. i również należeli do Sea Org.

Jakiś czas zajęło mi przyzwyczajenie się do myśli, że mam drugiego brata. Choć

Sterling i Justin nie byli do siebie podobni, obaj uwielbiali uprawiać sport i dobrze się ze sobą dogadywali. Sterling zaczął mnie nawet czasem odbierać z przedszkola, po czym zostawał w mieszkaniu, póki nie przyszła Pat.

Któreś z rodziców albo oboje każdego niedzielnego poranka o jedenastej opuszczali L.A. Lubiliśmy z Justinem stać wtedy przed domem, by pomachać im na pożegnanie. Nigdy nie zapomnę pewnej niedzieli, kiedy rodzice wyjeżdżali z garażu, podczas gdy ja i Justin ścigaliśmy się pod bramą. Nagle noga uwięzła mi między metalowymi prętami, gdy skrzydło bramy zaczęło się odsuwać, by samochód mógł wyjechać na zewnątrz. Justin chciał wyciągnąć moją nogę, ale ja nie zrozumiałam jego intencji, sądząc, że jak zwykle drażni się ze mną. Brama nie miała żadnej czujki, która mogłaby ją unieruchomić w podobnej sytuacji, i moja noga utknęła między skrzydłem bramy a ścianą garażu. Znalazłam się w pułapce. Poczulałam niewiarygodny ból i zaczęłam wrzeszczeć wniebogłosy.

Tata wyskoczył z samochodu i gołymi rękami odgiął metalowe pręty, żeby uwolnić moją nogę. Zanosilałam się płaczem, gdy zaniósł mnie do windy, a potem do mieszkania. Rodzice zadzwonili do miejscowej lekarki, również scjentolożki, która powiedziała im, żeby kazali mi się przejść. Ponieważ nie byłam w stanie wykonać polecenia z powodu bólu, lekarka oznajmiła rodzicom, że noga jest najprawdopodobniej złamana i że rano trzeba ją będzie prześwietlić.

Mama i tata zostali ze mną, dopóki mogli, ale mieli tyle pilnych telefonów z Int, że po kolacji ruszyli w drogę. Ktoś z zarządu nalegał, żeby wrócili do bazy, choć wiedział, że byłam poważnie ranna. Polecenia trzeba było wykonać, więc moi rodzice ulegli, choć bez entuzjazmu. Konsekwencje niesubordynacji byłyby poważne i uzależnione jedynie od siły gniewu i pozycji rozkazodawcy. Rodzice nie chcieli rozczarowywać przełożonych i ponosić konsekwencji nieposłuszeństwa. Ostatecznie chodziło o większe dobro.

Po ich wyjeździe została ze mną Pat, która nazajutrz zabrała mnie do lekarza na prześwietlenie. Okazało się, że noga rzeczywiście jest złamana w kolanie. Wszystkim, co mógł dla mnie zrobić lekarz, było owinięcie jej bandażem elastycznym.

Dwa dni później byłam z powrotem w przedszkolu. Noga bolała mnie tak bardzo, że podczas spacerów wzdłuż Franklin Avenue, kulejąc, wlokłam się za pozostałymi dziećmi. Zamiast nakazać grupie iść wolniej, nauczycielka zaczęła się na mnie złościć i popędzać mnie. Najwyraźniej sądziła, że udaję. B.J. bronił mnie, mówiąc, że mam złamaną nogę.

„Jeśli nadal będziesz się tak wlokła, to cię tu zostawimy” - zbeształa mnie. Powiedziała mi, że muszę sprawić, by noga „zaczęła działać, jak należy!”. Było to popularne powiedzenie scjentologów, odnoszące się do panującego w obrębie religii przekonania o

wyższości umysłu nad materią. Miałam nie dopuścić, by ból zdominował moje myśli. Jednak noga przestała mnie boleć dopiero po kilku miesiącach.

Tuż przed moimi piątymi urodzinami Justin oświadczył, że wyjeżdża z L.A. i że będzie mieszkał w miejscu zwanym Ranczo. Nie wiedziałam, czym jest to Ranczo ani gdzie się znajduje, nie chciałam jednak rozstawać się z bratem. Rodziców widywałam już bardzo rzadko. Justin powiedział, że Ranczo jest blisko miejsca, w którym przebywają rodzice, i że co jakiś czas będzie mnie odwiedzał - tak samo jak oni. Co gorsza, Taryn również wyjeżdżała. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, ale zupełnie mi się to nie podobało.

Teraz nie miał już nas kto odbierać z przedszkola, więc B.J. i ja musieliśmy tam zostawać po godzinach. Czekaliśmy na Pat, która zwykle przychodziła po nas około dwudziestej - z wyjątkiem czwartków, kiedy musiała pracować do późna w nocy. Nierzadko pojawiała się wtedy po północy. Wszystkie dzieci zostawiane w przedszkolu po godzinach jadły kolację, siedząc na podłodze w kuchni, brały wieczorny prysznic, trochę się bawiły, a następnie szły spać na jednym z łóżek ustawionych pod ścianą w salonie. Tutaj po raz pierwszy dowiedziałam się, na czym polega touch assist (uzdrawianie przez dotyk). Nauczono nas, jak co wieczór przed zaśnięciem stosować tę metodę na drugiej osobie. Łączono nas w pary i kazano jednym palcem dotykać ramienia drugiego dziecka. Metodę tę obmyślił LRH - dzięki niej thetany miały zyskać lepszą komunikację z innymi ciałami, by udoskonalić proces uzdrawiania.

„Czujesz mój palec?” - pytałam podczas owej terapii swojego towarzysza, który miał odpowiadać: „Tak”.

Odpowiadałam: „To dobrze”, i powtarzałam ćwiczenie na drugim ramieniu. Wszyscy je wykonywaliśmy, dotykając palców dłoni i stóp, ramion, nóg i twarzy swych towarzyszy. W ogóle nie rozumiałam, na czym polega idea tej terapii. Wiedziałam tylko, że takie dotykanie pomaga mi zasnąć.

Choć wiele dzieci zostawało w przedszkolu na noc, mnie i B.J.a Pat zabierała do domu, po czym kładła nas do naszych własnych łóżek lub do łóżka moich rodziców, w którym spałyśmy razem. Była niezwykle miła i bardzo ją kochałam. W niedziele, gdy moi rodzice wyjechali już do Int, Pat zabierała nas z mieszkania i odwoziła do przedszkola.

Co kilka miesięcy Pat albo Rosemary zabierały mnie na międzynarodowe zgromadzenia scjentologów odbywające się zazwyczaj w Shrine Auditorium, ogromnej hali widowiskowej i centrum wystawowym znajdującym się przy West 32nd Street. Gromadziły się tam setki scjentologów i członków Sea Org; niektórzy przybywali z Int Base, inni z Los Angeles. Zawsze na takie okazje Pat stroiła mnie i układała mi włosy. Siedziałyśmy razem na

widowni, słuchając przemów. Nie wiedziałam, o czym mówią ludzie na scenie, ale również mój ojciec często na niej występował. Widząc go na podium, byłam tak bardzo podekscytowana, że krzyczałam: „Tatusiu! Jestem tutaj!”, machając do niego jak szalona.

Jeśli przemawiał stryj Dave, byłam równie podniecona. Wołałam wtedy: „Stryjku Dave! To ja! Jenna!”.

Gdy potem spotykałam się z nimi w kularach, mówili mi, że stojąc na scenie, mrugnęli do mnie albo pokiwali do mnie małym palcem tak, żeby nikt nie widział. Nie miałam pojęcia, jak ważne były te uroczystości, zawsze jednak trwały kilka godzin, pośród owacji na stojąco i głośnych, nieustających wiwatów. Potem był wysmienity poczęstunek.

B.J. i ja mieszkaliśmy sami w Los Angeles już od ponad roku, gdy Pat niespodziewanie oznajmiła, że mamy przenieść się na Ranczo, by dołączyć do Justina i Taryn. Oboje byliśmy zachwyceni, choć nie mieliśmy pojęcia, dlaczego mamy się wyprowadzić z L.A. Okazało się, że ktoś został zastrzelony tuż przed budynkiem Edgemont Building, więc moi rodzice nalegali, bym od zaraz zamieszkała na Ranczu, a B.J. miał mi towarzyszyć.

Nazajutrz rano spakowaliśmy nasze rzeczy, czekając na Rosemary, sekretarkę ojca, która miała nas odwiedzić. Kiedy przyjechała, B.J. i ja wpakowaliśmy się na tylne siedzenie jej samochodu, spodziewając się, że również Pat będzie nam towarzyszyć. Ale ona wcale nie miała jechać z nami.

„Czemu tak stoisz?” - zapytałam. Kiedy oznajmiła, że się z nami nie wybiera, byłam zaszokowana. Oboje z B.J.em zaczęliśmy płakać. Pat towarzyszyła nam przez dwa lata. Rozstanie z nią było dla mnie druzgocące. Choć wiedziałam, że przebywając na Ranczu, przypuszczalnie będę mogła częściej widywać rodziców, nadal byłam niezwykle przygnębiona. Spędziłam z Pat znacznie więcej czasu niż z własnymi rodzicami. Powiedziałam jej, jak bardzo ją kocham, i obiecałam, że będę ją często odwiedzać. Po ostatnim długim uścisku wsiadłam do samochodu i ruszyliśmy w drogę.



## Rozdział czwarty

### Ranczo

Droga na Ranczo dłużyła się nam. Na początku B.J. i ja byliśmy podekscytowani i paplaliśmy jedno przez drugie, ale po jakimś czasie zaczęliśmy się nudzić. Na krótko zasnęłam, a obudziłam się, gdy moja głowa zaczęła walić o szybę auta, czego przyczyną było to, że samochód jechał teraz krętą, wyboistą drogą, w którą najwyraźniej skręciliśmy. Był marzec 1991 roku, a więc wczesna wiosna. Wszędzie wokół bujnie krzewiła się roślinność. W pewnej chwili przejechaliśmy przez most nad rwącym strumieniem i dotarliśmy do oazy wysokich dębów. Zdawało się, że każdy kolejny zakręt skrywa nowy widok.

Choć wiedziałam, że będzie mi ciężko bez Pat, pod wpływem ekscytacji wywołanej faktem, że od rodziców dzielić mnie będzie zaledwie trzydzieści kilometrów, na razie zapomniałam o swojej niani. W Los Angeles od czasu do czasu zastanawiałam się, jakie może być to Ranczo, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Ilekroć usiłowałam wyciągnąć od brata jakieś informacje, droczył się ze mną i w końcu nic mi nie powiedział. Choć nie miałam pewności, czy bliskość rodziców będzie oznaczać częstsze ich widywanie, bez wątpienia na to właśnie liczyłam. Mimo mnożących się znaków zapytania na samą myśl o tym, że znajdę się bliżej nich, uznałam, że warto zamieszkać na Ranczu.

Pocieszające było to, że choć Pat nie było razem z nami, Rosemary miała zostać na Ranczu jeszcze kilka dni, by pomóc nam się zadomowić. Kiedy podjechaliśmy pod starą drewnianą bramę, Rosemary triumfującym głosem obwieściła nam, że jesteśmy na miejscu, na co zarówno ja, jak i B.J. zareagowaliśmy entuzjastycznie. Rosemary nacisnęła przycisk domofonu zainstalowanego przy bramie.

- Dzień dobry, przywiozłam Jennę Miscavige i Benjaminą Rindera - oznajmiła, gdy ktoś odezwał się po drugiej stronie.

Otwarto bramę, my zaś ruszyliśmy gruntową drogą wokół pagórka, po drodze mijając kilka zabudowań gospodarczych. Wkrótce Rosemary zaparkowała samochód przed zniszczonym budynkiem. Kręciły się tam inne dzieci ubrane w mundurki - błękitne koszulki i granatowe szorty. Kiedy wysiadłam z auta, pierwszą ujrzaną przeze mnie osobą był Justin, który uśmiechał się szeroko. Uściskał mnie. Był to typowy niezręczny uścisk starszego brata, szczęśliwego, że znów spotyka swoją młodszą siostrę, lecz starającego się nie zrobić sobie obciachu przy kolegach.

Taryn również tam na nas czekała. Ledwo B.J. wysiadł z samochodu, objęła go tak serdecznie, że nieomal go udusiła. B.J., zawsze milczący, poddał się temu bez oporu.

- Chodź tu, siostrzyczko! - zwróciła się do mnie po chwili, by i mnie wyściskać.

Kilkoro starszych dzieci, w tym mój brat, wydobyło nasze rzeczy z auta, po czym poprowadzono nas do budynków zwanych Motels. Weszliśmy na otwarte podwórze, gdzie na środku rosły olbrzymie brzozy. Wokół podwórza znajdowało się trzynaścioro drzwi; do każdych prowadziła ścieżka.

B.J.a i mnie ulokowano w pokoju numer 12. Najwyraźniej wybrano go specjalnie dla nas, gdyż inaczej niż w wypadku pozostałych pokoi jego remont był już na ukończeniu. Pomieszczenie było spore, miało około trzydziestu pięciu metrów kwadratowych, na jego tylnej ścianie znajdowały się dwa niewielkie okna. Poza tym, że podłogę pokryto wykładziną, pokój był zupełnie pusty.

Kiedy tak stałam, rozglądając się wokół i zastanawiając, w jaki sposób pomieszczenie to ma nam służyć za sypialnię, nagle ktoś za mną krzyknął: „Proszę o przejście!”. Dwoch starszych chłopców wniosło do środka ramę pojedynczego łóżka, a za nimi weszły jakieś dwie starsze dziewczyny z materacem. Sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa razy, aż w końcu stanęły w pokoju trzy identyczne pojedyncze łóżka.

Pomieszczenie najwyraźniej było połączone z pokojem numer 11 wspólną umywalnią i toaletą. W tym drugim pokoju nie było dywanu, tylko goła podłoga i pojedynczy materac. Śpiący na nim człowiek nagle usiadł i wtedy zorientowałam się, że jest to przyjaciel mojego brata Teddy, w którym jako mała dziewczynka zawsze trochę się podkochiwałam. Teddy wyjaśnił, że jest chory i ma gorączkę i że pokój numer 11 to izolotka. To tutaj, z dala od zdrowych, mieszkali chore dzieci, póki nie wyzdrowiały, więc Teddy pouczył nas, że powinniśmy trzymać się z daleka. Pokój nie sprawiał wrażenia zbyt wygodnego, zwłaszcza gdy było się chorym, pomyślałam jednak, że starsi z pewnością wiedzą, co robią - przecież było to Ranczo Int.

B.J. i ja wróciliśmy do przydzielonego nam pokoju, gdzie zaścieliliśmy łóżka. Wypuściliśmy z transportera Sarah Kitty, która nie była jednak zbyt zadowolona. Zaczęła szaleć po pokoju i gniewnie prychać. W końcu nastroszyła sierść, po czym schowała się pod łóżkiem i atakowała wszystkich, którzy się do niej zbliżyli.

Gdy skończyliśmy ścielić łóżka, Justin i Mike oprowadzili nas po posiadłości. Ranczo zajmowało dużą przestrzeń, łącznie około dwustu hektarów ziemi. Usytuowane było na tyłach rezerwatu indiańskiego Soboba w San Jacinto Hills w hrabstwie Riverside. -Justin i Mike powiedzieli nam, że podobno w dawnych czasach był tutaj klasztor, ale nie mieli co do tego

pewności. Główny kompleks mieszkalny obejmował Motels i sześć lub siedem innych gmachów. Niektóre z nich były niewielkie, jeden zaś był obszerny - miał dwa hektary. Był też zrujnowany basen z kilkoma martwymi gryzoniami unoszącymi się na wodzie. Chłopcy powiedzieli, że nie można z niego korzystać, póki go nie naprawią. To samo powiedzieli o wielu innych budynkach. Na pozostałych terenach posiadłości były zielone drzewa, piaszczysta pustynia oraz góry.

Chłopcy pokazali nam Big House, bardzo stary dwupiętrowy dom na wzgórzu, który wkrótce zamierzano opróżnić. Na wysokości pierwszego piętra widniały dziury w ścianach i podłogach. Mimo to pierwsze piętro funkcjonowało jako sypialnia dla dziewczynek. Po zakończeniu remontu Motels mieli się tam przeprowadzić wszyscy, którzy mieszkali w Big House.

Na parterze Big House mieściła się mesa. Przed każdym posiłkiem przywożono jedzenie z kambuza w Int Base, oddalonej od Rancza o mniej więcej trzydzieści kilometrów. Posiłki były podawane w formie bufetu, ale każde dziecko było przydzielone do któregoś ze stolików. Co tydzień funkcję kelnera pełniło inne dziecko, które było też odpowiedzialne za przygotowanie sztućców, talerzy, za nalewanie napojów i podawanie posiłku. Okazało się, że jedzenie jest całkiem smaczne. Posiłki były obfite i zróżnicowane, codziennie mieliśmy też świeżo upieczony chleb. A wieczorami zazwyczaj dostawaliśmy nawet deser.

Następnie Justin i Mike pokazali nam budynek szkoły, który miał wkrótce być wyremontowany, a obecnie pełnił funkcję magazynu, więc nie odbywały się w nim zajęcia. Chłopcy pokazali nam również Cottage - projekt będący w trakcie realizacji. Był to niewielki budynek, teraz całkowicie opróżniony, który w przyszłości miał być sypialnią dorosłych opiekunów na Ranczu.

Ranczo może nie było piękne, z pewnością było trochę podniszczone, ale jakoś wcale mnie to nie zniechęcało. To miejsce wymagało dużych nakładów pracy, ale wydawało mi się, że udział w niej będzie dla mnie przygodą. Krajobraz był mi obcy, ale przebywające tu dzieci wydawały się niezmiernie dumne z Rancza. Patrząc z perspektywy czasu, sądzę, że pewnie po prostu chciały się pochwalić przed młodszymi, ale ich postawa udzieliła mi się - odniosłam wrażenie, że ja także jestem kimś uprzywilejowanym.

Również fakt, że nie trzeba było się ograniczać do małego mieszkania, stanowił dla mnie ulgę. W L.A. nigdy nie pozwalano nam wychodzić na zewnątrz bez opieki, toteż na ogromnej przestrzeni Rancza wydawało mi się, że łatwiej mi się tu oddycha; podobało mi się również, że nie muszę być za każdym razem prowadzona za rękę. Po raz pierwszy w życiu miałam poczucie, że nic nie krępuje mojej swobody i że będę mogła popuścić wodze fantazji.

I, jakby tego było mało, wszystkim tym mieliśmy się cieszyć wspólnie: przecież znów ja i B.J. byliśmy razem z Justinem i Taryn.

Kiedy spacerowaliśmy z B.J.em po posiadłości, odkryliśmy, że na Ranczu mieszka pięć psów, które towarzyszyły nam przez większość czasu. Nie były to psy stróżujące, lecz przyjazne psy podwórzowe, które wszędzie chodziły za dziećmi i ich pilnowały. Każdy z nich miał inną, silną osobowość. Brewster, owczarek niemiecki, był przywódcą stada. Tasha, suka tej samej rasy, była z kolei niezwykle wierna. Ruby był bardzo starym, leniwym, markotnym labradorem, którego szczekanie brzmiało jak skrzeczenie ropuchy. Była także Jeda, labradorka w średnim wieku. Bo, piąty pies, wyglądał jak wilk, a sierść wychodziła mu całymi garściami.

Nasze pierwsze dni na Ranczu spędziliśmy na zwiedzaniu terenu w towarzystwie psów. B.J. i ja niemal nie zwracaliśmy uwagi na duszny skwar, przemierzając pustynne tereny w poszukiwaniu różnych gatunków kaktusów. Rankiem z pól otaczających Ranczo dobiegało ryczenie krów, które z jakichś powodów mieliśmy odganiać, co robiliśmy w towarzystwie psów. Im dalej się zapuszczaliśmy, tym wyraźniej naszym oczom ukazywał się ogrom Rancza - posiadłość wydała nam się tak niezmiernie duża, że myśleliśmy, że nigdy nie zdołamy jej zbadać. Zawsze nosiłam falbaniaste sukienki, które moja babcia, ciocia Denise, moi rodzice chrzestni i stryj Dave przysyłali mi na urodziny lub święta. I oto nagle okazało się, że te moje sukienki zupełnie tutaj nie pasują - wydało mi się, że od chwili gdy pojawiłam się na Ranczu, dosłownie pochłaniają cały brud i pył.

Nawet po jakimś czasie, gdy już zaczęłam się ze wszystkim oswajać, nadal nie byłam pewna, co o tym myśleć. Uwielbiałam to miejsce. Czy to dzięki psom, czy też dlatego, że odpowiadał mi inny styl życia - było tutaj zupełnie inaczej niż w Los Angeles. Przez kilka pierwszych miesięcy na Ranczu przebywało tylko kilkoro dorosłych, którzy mieli zajmować się mniej więcej piętnaściorciem dzieci na terenie ośrodka. Przez większość czasu mną i B.J'em opiekowały się starsze dzieci, które mówiły nam, co mamy robić. Wtedy wydawało mi się to o wiele lepszym rozwiązaniem, gdyż dzieliła nas stosunkowo niewielka różnica wieku, a owe dzieci wydawały się w porządku i były dla nas miłe, choć często śmiały się z moich sukienek.

Niedługo po przyjeździe na Ranczo poznaliśmy Joego Conte - w skrócie pana C. Został nam przedstawiony jako głównodowodzący dorosły na Ranczu. Byli również zmieniający się strażnicy posiadłości oraz kobieta, która nazywała się Karen Fassler, a nazywaliśmy ją panem F. W sejentologii zwracamy się do kobiet i mężczyzn per „pan”. Pan F. była ładna, dosyć miła i odpowiadała za logistykę: zajmowała się mundurkami, dostawami

żywności i tego typu sprawami. Pan C. był przyjazny i miły, wysoki, szczupły, wąsaty i łysy. Miał surowy, reprezentacyjny wygląd - wszystkim dzieciom wydawał się bardzo spokojny i mądry. W owym czasie moją ulubioną książką były *Opowieści z Narnii*, wersja dla najmłodszych czytelników, i w moim umyśle uformował się obraz pana C. jako profesora Digory'ego Kirke'a.

W zasadzie to dzieci były odpowiedzialne za wszystkie prace remontowe odbywające się na Ranczu. Przedsięwzięcia związane z elektrycznością czy hydrauliką zwykle były wykonywane przez fachowca, czyli któregoś z dorosłych z Int Base lub zatrudnionego na kontrakt pracownika, z udziałem dzieci. Wszystko, co znajdowało się na terenie posiadłości, podlegało okręgowym i stanowym inspekcjom, więc każde zadanie musiało być wykonane zgodnie z planem i bardzo starannie. B.J. i ja byliśmy znacznie młodsi od pozostałych dzieci, więc naszym pierwszym zadaniem było zbieranie śmieci, podawanie śrubek mojemu bratu, kiedy budował ścianę z regipsu, czy też lakierowanie naszych nowych komód.

Jednym z moich ulubionych zajęć po dniu wypełnionym ciężką pracą była „dzika jazda”. Pan C. ładował dziesięcioro dzieci na pakę swego niebieskiego pikapa marki Nissan, po czym wyjeżdżał na drogę jak szalenciec, pędząc z ogromną prędkością po wybojach i dziurach. Kiedy trafiłam na Ranczo, powiedziano mi, że jestem na to za mała, ale w końcu przekonałam pana C., żeby pozwolił mi się przejechać. Gdy objeżdżaliśmy posiadłość, starsze dzieci przywierały do mnie z przerażeniem.

Każdego sobotniego poranka przyjeżdżała na Ranczo grupa dorosłych z Int Base i zostawała na cały dzień, by nam pomagać i doglądać naszych prac - czasem przyjeżdżał też mój tata i wtedy mogłam pracować razem z nim. Wszystkie dzieci w jakiś sposób zaangażowano w prace remontowe, ale ponieważ byłam jeszcze bardzo mała, niewiele ode mnie wymagano. Zwykle roznosiłam napoje, zapamiętywałam pomiary albo podawałam śrubki dorosłym. Ci zawsze byli bardzo przyjaźni. Z wyjątkiem tych nielicznych, którzy przyjeżdżali na remontowe soboty, i od czasu do czasu zjawiającego się pracownika kontraktowego to właśnie starsze dzieci stanowiły siłę roboczą remontującą Ranczo - nie inaczej było w dni robocze. Ich zaangażowanie nie wydawało mi się niczym dziwnym, ponieważ choć mój brat i jego przyjaciele nadal byli dziećmi, uważałam ich za prawie dorosłych.

Dzięki pracy, jaką dzieci wykonywały w ciągu tygodnia i w remontowe soboty, naprawiono Motels i szkołę. W Motels trzeba było pomalować każdy pokój, zaopatrzyć go w wykładzinę, ręcznie szyte firanki oraz grzejniki. W każdym pokoju rozmieszczono trzy lub cztery łóżka piętrowe, tak by mogło się tam zmieścić siedmioro lub ośmioro dzieci. Na każde dwa pokoje przypadała wspólna łazienka z jedną toaletą, prysznicem i dwoma umywalkami.

Każde z nas miało nową komodę, którąś z tych, które lakierowaliśmy i bejcowaliśmy w ramach jednego z naszych najwcześniejszych zadań. Wszystkie łóżka zostały zaopatrzone w dopasowane koce i pościel. Mesa została przeniesiona z Big House do obszernego pomieszczenia w Motels. Powstała także pralnia, wyposażona w kilka pralek i suszarek. Z czasem oczyszczono i odnowiono basen, który znów zaczął nadawać się do użytku.

Następnie wyremontowano budynek szkoły. Na jego ścianach powstały malowidła ściennie przedstawiające statki: Apollo i Free-winds. Ja również uczestniczyłam w tworzeniu tego malowidła, choć chyba tylko go trochę popsułam kilkoma przypadkowymi maźnięciami w dolnej części. Jednak ujrzenie gotowego dzieła przedstawiającego Freewinds było dla mnie nie lada przeżyciem, bo wiedziałam, że moja mama od dawna zajmuje się projektem związanym z tym statkiem. Poza tym na ścianach szkoły wisiały portrety L. Rona Hubbarda oraz kilka cytatów z jego dzieł. Podłogi pokryto linoleum, a klasy wyposażono w długie rozkładane stoły i plastikowe krzesła - nie było tu typowych szkolnych ławek.

Wkrótce po zakończeniu prac remontowych na Ranczo przyjechała kobieta o imieniu Maria. Mieliśmy się do niej zwracać: „panie Parker”. Pan Parker była to dorosła osoba odpowiedzialna za edukację i inne zajęcia. Po jej przybyciu pojawiło się na Ranczu jeszcze więcej dzieci. Szkoła miała tylko dwie duże sale. Jedna z nich była zwykle zarezerwowana dla nastolatków, podczas gdy drugą przeznaczono dla młodszych dzieci, mniej więcej pomiędzy czwartym a dwunastym rokiem życia.

Spędzaliśmy czas, pomagając w remontach i uczęszczając na lekcje. B.J. i ja byliśmy znacznie bardziej zaawansowani, jeśli chodzi o program, niż pozostałe dzieci, znacznie od nas młodsze. Zajęcia ze wszystkich przedmiotów odbywały się w jednym pomieszczeniu przeznaczonym dla dzieci w naszej grupie wiekowej. Koncentrowaliśmy się głównie na czytaniu i pisaniu. Nie było żadnych stopni ani skali ocen za postępy w nauce, a nauczyciel mało co wyjaśniał.

Wieczorem, tuż przed dziewiątą, wszyscy musieliśmy wracać do swoich pokoi. Około dwudziestej pierwszej gaszono światła. Zdarzało się, że wieczorami odwiedzała nas w pokoju nowo przybyła na Ranczo kobieta, którą nazywaliśmy panem Jane Thompson. Przychodziła do nas z gitarą i śpiewała *Take Me Home, Country Roads* Johna Denvera, żebyśmy łatwiej mogli zasnąć. W jej głosie było coś uspokajającego, co zawsze przypominało mi wczesne dzieciństwo, kiedy mama - w te wieczory, które spędzała w domu - też mi śpiewała i głaskała mnie po włosach, by pomóc mi zasnąć.

Moją ulubioną porą na Ranczu były sobotnie wieczory. Podobnie jak w Los Angeles miał to być czas odwiedzin rodziców. Tyle tylko, że teraz rodzice nie przyjeżdżali, a zamiast

tego Rosemary zabierała z Rancza Taryn, B.J.a, Justina i mnie, by nas zawieźć do mieszkania rodziców przy Int Base. Mieściło się ono w apartamentowcu nieopodal bazy. Znajdowało się na pierwszym piętrze. Składało się z dwóch sypialni i balkonu. Podobnie jak w Los Angeles mama i tata mieli jedną sypialnię, a Rinderowie drugą. W sobotnie noce Justin zajmował kanapę w salonie, więc ja spałam na podłodze w sypialni.

Szybko przyzwyczailiśmy się do nowej rutyny związanej z sobotnimi wieczorami. Najpierw zatrzymywaliśmy się w wypożyczalni filmów, żeby wypożyczyć jeden czy dwa filmy, których oglądanie miało nam skrócić oczekiwanie na rodziców. Choć mieli telewizję kablową, w Int nie była ona dozwolona. Kiedyś nawet mama i tata usłyszeli pogłoski o szykującej się akcji skonfiskowania scjentologom wszystkich odbiorników telewizyjnych i musieli swój ukryć. Jednak raz w tygodniu mogliśmy oglądać wypożyczone filmy. Przyłączało się do nas wtedy mnóstwo dzieci. Z grupy wiekowej Justina przychodził do nas Sterling, Taryn, a często również Mike, syn Rosemary. Dołączała również Kiri, dziewczynka, z którą B.J. i ja bawiliśmy się, gdy mieszkaliśmy w Los Angeles, a która przyjechała na Ranczo kilka miesięcy po nas. Kiri była moją najlepszą przyjaciółką.

Siedzieliśmy razem do tak późnej pory, jak tylko zdołaliśmy dotrzeć. Mama i tata zwykle przyjeżdżali do domu koło północy, a czasem nawet później. Zazwyczaj w niedzielne poranki robili śniadanie mnie i Justinowi, a gdy mieli więcej pieniędzy, zabierali nas do Marie Callender's na śniadanie albo do Walmartu, żeby nam kupić szampon, skarpetki, a czasem buty. Te odwiedziny sprawiały nam wielką przyjemność, ale też ból, bo zawsze były zbyt krótkie. O trzynastej w niedzielę rodzice musieli być z powrotem w pracy, więc godzinę wcześniej odwozili nas na Ranczo.

Mimo że wożono nas do rodziców, i tak nie widywaliśmy ich zbyt często, a nieraz spotykał się z nami tylko tata, bo mama zwykle była w rozjazdach, intensywnie pracując nad coraz to nowym specjalnym projektem. Kiedy już Freewinds został zwodowany, mama bywała w Los Angeles, gdzie prowadziła remonty w Celebrity Centre International, w którym wprowadzano liczne udoskonalenia. Ten siedmiopiętrowy budynek, usytuowany w starym Manor Hotel przy Franklin Avenue w centrum Hollywood, wzniesiono na wzór normandzkiego zamku; w latach dwudziestych XX wieku był to jeden z najbardziej ekskluzywnych hoteli. L. Ron Hubbard kupił go w roku 1969, a w 1972 udostępnił społeczności scjentologów. Przez te wszystkie lata w budynku wykonywano najrozmaitsze naprawy. Mimo swej nazwy Celebrity Centre było otwarte dla wszystkich scjentologów, choć bywali tam również celebryci, bo L. Ron Hubbard uważał, że znane postaci ze środowiska artystycznego stanowią w szeregach scjentologów wielki kapitał Kościoła. Ponieważ sam stał

się pisarzem o międzynarodowej sławie, cenił różne dziedziny sztuki, postrzegając znane osoby jako znakomite narzędzia służące krzewieniu scjentologii ze wszystkimi jej dobrodziejstwami.

Kiedy mama skończyła pracę w Celebrity Centre, przeniosła się do Clearwater na Florydzie, gdzie nadzorowała prace remontowe we Flag Land Base. W końcu dostała mieszkanie w tamtejszym kompleksie mieszkalnym. Podobnie jak stryj Dave, który miał mieszkania we Flag, PAC i Int, wysocy rangą scjentolodzy dysponowali więcej niż jednym mieszkaniem. Często się zdarzało, że pary małżeńskie rozdzielały się, trafiając do dwóch różnych baz - w ten sposób służyło większemu dobru. Ponieważ mama niemal nie opuszczała Flag, w pewnym okresie zaczęłam rozmawiać z nią przez telefon, ilekroć byłam w mieszkaniu rodziców.

Ją widywałam rzadko, ale tata robił, co mógł, by uczestniczyć w moim życiu. Zaczął odwiedzać mojego brata i mnie w piątki podczas przerw na lunch. Nie mógł zostać na dłużej, zwykle był z nami najwyżej przez dwadzieścia minut, ale i tak byłam mu za to niezmiernie wdzięczna. Najczęściej jego wizyty ograniczały się do tego, że gawędziliśmy chwilę przy samochodzie lub w moim pokoju. Czasem tata przywoził mi jakiś drobny upominek (cieszyłam się zwłaszcza, gdy dostawałam piwo bezalkoholowe). Od czasu do czasu tata przywoził mi też stertę książek. Zapisał mnie do Klubu Książki Miesiąca, dzięki czemu mogłam dostawać kilka książek w miesiącu, co było dla mnie wielkim szczęściem. Zawsze uwielbiałam czytać.

W tym okresie bardzo niewielu rodziców przyjeżdżało w odwiedziny do swoich dzieci, nie chciałam jednak dociekać, gdzie spędzali resztę czasu. Tak rzadko widywałam tatę - każda minuta w jego towarzystwie była dla mnie na wagę złota.



## Rozdział piąty

### Życie kadeta

W ciągu sześciu miesięcy, od kiedy przyjechałam na Ranczo, nasze życie codzienne stało się bardziej zorganizowane, bo regularnie przybywało nowych dzieci. Większość była w moim wieku, choć niektóre były młodsze. Z czasem mieszkało ich na Ranczu ponad osiemdziesięcioro. Ponieważ lwia część prac na Ranczu została wykonana, dorośli z Int przestali do nas przyjeżdżać na remontowe soboty. Wszyscy dostaliśmy nowe mundurki - spodnie lub spodenki w kolorze khaki i czerwone podkoszulki z białym napisem „Ranczo” na piersi. Dostaliśmy również swetry i kamizelki na zimę i dresy na zajęcia z wychowania fizycznego. Ponieważ chłopcy i dziewczynki nie mogli dłużej mieszkać w jednym pokoju, opuściłam B.J.a i pokój numer 12 i przenieśliśmy się do pokoju numer 4, w którym mieszkało sześć innych dziewczynek. Wcześniej w sobotnie popołudnia między szesnastą a siedemnastą odwożono nas do rodziców. Teraz to oni lub Rosemary - mogli nas odebrać w sobotę najwcześniej o dwudziestej pierwszej lub dwudziestej drugiej.

Ten napływ dzieci nie był korzystny - niemal z dnia na dzień atmosfera na Ranczu uległa zmianie. Wcześniej, kiedy było nas tylko kilkoro młodszych i sporo starszych dzieci, mieliśmy jakąś sferę wolności, a teraz zaczęto skrupulatnie wypełniać nam czas zajęciami. W ciągu kilku tygodni życie na Ranczu zaczęło mi się nie podobać - i to bardzo.

Przybyło do nas również kilkoro dorosłych, w tym dwie nowe nauczycielki: Melissa Bell, dla nas pan Bell, budząca onieśmienie nałogowa palaczka, oraz pan Cathy Mauro, dość miła kobieta w okularach i z krótko przystrzyżonymi brązowymi włosami.

Tradycyjnej edukacji nie uważano za warunek sukcesu w scjentologii. Ani moja mama, ani ojciec nie skończyli liceum, a oboje sprawowali cieszące się szacunkiem kierownicze stanowiska w Kościele. Nawet stryj Dave, przywódca wszystkich scjentologów, porzucił szkołę w wieku szesnastu lat. Biorąc to wszystko pod uwagę, miałam wrażenie, że porzucenie szkoły w jakimś sensie jest cool. Z opowieści mamy wynikało, że zawsze była dumna z decyzji porzucenia szkoły, gdy tylko stwierdziła, że Sea Org jest ważniejsze niż ukończenie liceum.

Dzieci na Ranczu podzielono na trzy grupy: dzieci, kandydatów na kadetów oraz kadetów. Z grubsza rzecz ujmując, dzieci były najmłodsze - miały sześć lat lub jeszcze mniej. Kandydaci na kadetów stanowili grupę wiekową obejmującą zwykle dzieci od siedmiu do

dziewięciu lat, kadeci zaś - od dziewiątego do szesnastego roku życia. Podział na grupy nie został dokonany wyłącznie ze względu na wiek, ale również z uwagi na stopień zaawansowania w programie nauczania i w studiach scjentologicznych. Byli kadeci, którzy mieli po osiem lat, a także dwunastoletni kandydaci na kadetów. Kiedy trafiłam na Ranczo, znalazłam się w grupie kandydatów na kadetów, lecz niedługo przed siódmymi urodzinami przeniesiono mnie do kadetów.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłam, zostawszy kadetem, było podpisanie kontraktu, w którym na miliard lat przysięgałam wierność Sea Org. Taki kontrakt podpisywali dorośli członkowie Sea Org, a kadeci byli postrzegani jako członkowie Sea Org w trakcie szkolenia, dlatego też oczekiwano od nich złożenia przysięgi równie ślepej lojalności.

Z początku niewiele wiedziałam o kontrakcie. Słyszałam o nim coś niecoś, gdy byłam młodsza, ale aż do tego dnia nie wyjaśniono mi, o co w tym dokumencie tak naprawdę chodzi. Podpisanie go stanowiło część naszej edukacji, część naszej drogi prowadzącej do członkostwa w Sea Org poprzez odbycie treningu dla przyszłych członków organizacji. Choć kontrakt miał obowiązywać przez miliard lat, nie wahałam się - kazali mi go podpisać, a moim obowiązkiem było ich słuchać. Poza tym w wieku siedmiu lat żadne duże liczby nie przemawiają do wyobraźni: czy będzie to tysiąc, czy miliard; poza tym abstrakcyjna rozpiętość tych ram czasowych po prostu nic dla mnie nie znaczyła. To prawda - podejmowaliśmy długotrwałe zobowiązanie, ale przecież na takie samo zobowiązanie decydowali się nasi rodzice.

W dzień podpisania dokumentu wszystkie dzieci stały w kolejce do stołów, na których spoczywały formularze kontraktów. Każde z nas kolejno składało na nich swój podpis. Naprawdę nie myślałam jeszcze wtedy, że może będę chciała robić w życiu coś innego - byłam za to przekonana, że chcę zostać członkiem Sea Org. Byłoby więc niemądre z mojej strony, gdybym zaczęła się wahać i rozważać inne opcje: nic innego nie przychodziło mi do głowy. Chciałam tylko być z rodzicami i wraz z nimi codziennie pracować. Wiedziałam, że jeśli skończę szkołę dla kadetów i stanę się pełnoprawnym członkiem Sea Org, że jeśli będę postępowała etycznie i słuchała poleceń, dostanę stanowisko w Int Base i będę widywała rodziców częściej niż raz w tygodniu. Już samo to sprawiało, że skwapliwie podpisałam dokument.

Wraz z nowym naborem na Ranczu organizacja Cadet Org stała się niczym obóz wojskowy - ze swymi wyczerpującymi ćwiczeniami, niekończącymi się musztrami, drobiazgowymi inspekcjami i żmudną pracą fizyczną, której nie powinno wykonywać żadne dziecko. Od chwili gdy rano wstawaliśmy z posłań, do chwili gdy kładliśmy się spać,

mieliśmy bardzo niewiele chwil wytchnienia - jedyną prawdziwą przerwę stanowiły dla nas spotkania z rodzicami w sobotnie wieczory i niedzielne poranki. Cały nasz czas był wypełniony co do minuty ćwiczeniami, wykonywaniem obowiązków, pełnieniem przydzielonych nam funkcji oraz nauką. To, że mój stryj był przywódcą scjentologów, w żaden sposób mnie nie chroniło ani też nie sprawiało, że traktowano mnie lepiej niż innych.

Mniej więcej w tym czasie zaczęto mnie na serio indoktrynować. Dotychczas to moi rodzice byli dla mnie ludźmi Sea Org, zaś moje życie podporządkowane było ich harmonogramowi i służbie Kościołowi. Teraz jednak zaczynałam mieć własny harmonogram i własne obowiązki. Zmiany, jakie dokonały się w moim życiu, nie miały charakteru wyłącznie organizacyjnego - wprowadzono je po to, by nauczyć nas, jak działa Sea Org. W sukurs indoktrynacji przyszło radykalne odcięcie nas od świata zewnętrznego. Pomijając nieliczne wyjątkowe sytuacje, byliśmy całkowicie odizolowani od ludzi niebędących scjentologami i nie mieliśmy żadnych kontaktów z nikim, kto nie podzielałby naszego wyznania. Najczęstszym celem naszych wycieczek była tak samo jak Ranczo odcięta od świata Int Base, w której roiło się od najzarliwszych obrońców scjentologii. Do takich właśnie scjentologów zaliczali się rodzice nas wszystkich, dzieci z Rancza.

Ale nawet gdyby pozwolono nam na kontakt ze światem zewnętrznym, i tak niewiele by to zmieniło. Tylko nieliczni spośród nas byli ciekawi życia, jakie toczyło się poza Ranczem, ponieważ wpojono nam przekonanie, że świat zewnętrzny jest wypełniony ignorantami, których nazywaliśmy WOGS - skrót od „uporządkowanych ludzi o dobrym samopoczuciu” („Well and Orderly Gentlemen”). Wedle naszego rozeznania WOGS byli całkowicie nieoświeceni - naszym zadaniem było ich „oczyścić”, gdy już odbędziemy stosowny trening w zakresie audytowania i nauk scjentologii. WOGS należało unikać, bo, jak nas uczono, nie rozumieją oni mechanizmów rzeczywistości, a ich brak świadomości odzwierciedla płyciznę ich zasad i wartości. WOGS lubią zadawać mnóstwo pytań. Wpojono nam przekonanie, że nasz styl życia wzbudza w nich strach, więc musimy być ostrożni i w rozmowach z nimi posługiwać się kategoriami, które są w stanie zrozumieć.

Sceptyczne nastawienie i nieprzepisowe zachowania rugowano przy użyciu gróźb, kar i za pomocą upokorzeń na oczach grupy. Ilekroć ktoś się spóźnił, nie zaliczył inspekcji lub zachował się w sposób, który uznano za nieetyczny, dostawał karteczkę z uwagą, czasem kilka karteczek dziennie, w zależności od tego, ilu ludzi zdecydowało się je napisać. Karteczka z uwagą była dowodem przewinienia - otrzymywałeś ją do rąk własnych, a kopia trafiała do twojego etycznego dossier. Każde dziecko miało takie dossier, ulokowane w Cottage pod kluczem - aby zapobiec ewentualnemu fałszowaniu dokumentacji.

Odpowiedzialny za utrzymywanie w niej porządku był starszy mat, który również przeprowadzał inspekcje i pilnował, byśmy stosowali się do zasad. Aby ukończyć edukację na Ranczu, musieliśmy mieć świetne wyniki w naszych etycznych dossier: z etyki i produkcji. Tylko w ten sposób mogliśmy dostać pozwolenie na wstąpienie do Int Base.

Praktycznie rzecz ujmując, żadna z owych uwag nie brała się stąd, że jakiś dorosły zaobserwował czyjeś naganne zachowanie. Pisały je inne dzieci z twojej grupy. Zasada była taka, że należało zgłaszać niezgodne z regulaminem czy też nieetyczne postępowanie innych, w przeciwnym razie sam mogłeś zostać uznany za współnika przestępstwa i otrzymać taką samą karę jak ów winowajca. Wzajemny dozór w obrębie grupy sprawiał, że trudno było komukolwiek zaufać. LRH uważał, że sukces grupy zależy od tego, czy wszyscy jej członkowie wprowadzają w życie ten sam system zasad - i każdy ponosi za to odpowiedzialność.

Pisemne uwagi i upokorzenia były niezbędne, by utrzymać wśród kadetów karność i chęć współpracy. Zdumiewające było to, że tak szybko również najmłodsze dzieci uzależniały się od systemu, który sprawiał, że nawet najbardziej niesforny ośmiolatek chciał wkraść się w łaski kierownictwa. Nastolatki wykazywały w tym zakresie większą odporność, jeśli jednak odpowiednio często się je zawstydzano i karało na oczach grupy, również one szybko zaczynały stosować się do zasad.

Gdy pisano na mnie uwagę, zawsze bardzo się niepokoiłam. Była zwykle niesprawiedliwa lub przerysowywała fakty; często motywem jej napisania była czyjaś złość. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo jej autor się mylił, otrzymanie takiej uwagi zawsze wystarczało, bym następnym razem dwa razy się zastanowiła, zanim powiem lub zrobię coś, co mogłoby być w jakikolwiek sposób sprzeczne z zasadami.

Porządek, jaki powstał dzięki tym karom, był niezwykle ważny dla funkcjonowania Rancza, bo bez względu na to, czy miało się lat siedem, czy siedemnaście, niemal wszystko, co robiliśmy, miało związek z grupą.

Każdego ranka o szóstej trzydzieści budził nas alarm budzika. Gdy tylko jedno z nas wstało, szło na podwórze, wrzeszcząc: „Pobudka!”. Do siódmej mieliśmy czas na przygotowanie się i wykonanie w naszych sypialniach czynności porządkowych, takich jak pranie, zamiatanie czy wyrzucenie śmieci. Moja funkcja polegała na czyszczeniu łazienki. Musieliśmy również przygotować mundurki na inspekcję, która odbywała się raz dziennie. Owe przygotowania obejmowały pucowanie butów, wsuwanie koszul do spodni oraz próby ukrycia dziur, które się w nich zrobiły, przez zakrycie ich swetrem.

O siódmej była musztra, podczas której wszystkie nasze jednostki ustawiały się w

szeregu. Grupa kadetów miała odrobinę inną strukturę niż grupa dziecięca czy grupa kandydatów na kadetów. Jedno z nas pełniło funkcję dowódcy (Commanding Officer, CO) kadetów. Pozostali byli podzieleni na siedem odrębnych oddziałów; na czele każdego z nich stał dowódca. Na oddział składały się trzy pododdziały. Miały one różne obowiązki. Ja byłam przydzielona do oddziału piątego.

Podczas porannej musztry każdy dowódca sprawdzał listę obecności w swoim oddziale. Dowódca kadetów kazał nam stać na baczność, następnie starszy mat, również jedno z nas, składał formalny wojskowy raport. Dowódca każdego oddziału musiał wykrzyknąć stan swojego oddziału i zaszalutować.

„Oddział pierwszy, wszyscy obecni!” - tak zaczynał się apel, po czym kolejni dowódcy oddziałów odczytywali listę obecności swoich formacji. Również w ciągu dnia spóźnianie się nie było tolerowane, jednak zasada ta była ze szczególną surowością przestrzegana podczas porannej musztry. Każdy przejaw niesubordynacji w tej kwestii był odnotowywany. Spóźnialski okrywał się wstydem, ponadto bezwzględnie stosowano wobec niego kary - począwszy od wiadra zimnej wody wylewanego na głowę delikwenta podczas musztry, a skończywszy na wypisaniu stosownej uwagi.

Odczytywanie raportów o stanie liczebnym naszych oddziałów trwało około dwóch minut, następnie padał rozkaz: „W lewo zwrot!”. Wszyscy odwracaliśmy się w lewo, aby dowódca danego oddziału mógł przejść wzdłuż utworzonego szeregu, dokonując inspekcji mundurków. Również higiena była doniosłą sprawą: badano nam oddech, wączano nas pod pachami, regularnie sprawdzano, czy nie mamy wszy we włosach.

Następnie padał rozkaz: „W prawo zwrot!”. Ponownie stawaliśmy twarzą do przelozonych. Tym, którzy z jakiegoś powodu nie zdołali pomyślnie przejść inspekcji, kazano podnosić rękę. Podobnie jak w wypadku spóźnienia również i tym razem wpisywano uwagę do etycznego dossier winowajcy.

Po osobistych inspekcjach powiadamiano nas o wynikach inspekcji przeprowadzonych w naszych pokojach. Jeśli w twoim pokoju wypadła niezadowolająco, dostawałeś uwagę. Kary, które stawały się coraz surowsze wraz z kolejnymi naruszeniami regulaminu przez danego delikwenta, były bardzo zróżnicowane - począwszy od testu białej rękawiczki (trzeba było wysprzątać pomieszczenie tak dokładnie, by osoba przeprowadzająca inspekcję w białych rękawiczkach mogła przesunąć palcem po wszystkich powierzchniach, nie brudząc przy tym rękawiczki) przed spaniem, a skończywszy na tym, że wysyłano cię do Pigs Berthing, co oznaczało spędzenie nocy na starym materacu w zrujnowanym budynku Big House, w którym roiło się od nietoperzy. Osobiście nigdy nie trafiłam do Pigs Berthing, ale

koleżanka opowiadała mi o tym miejscu, nie szczędząc makabrycznych szczegółów. Mówiła, że mnóstwo nietoperzy przelatywało jej nad głową, wydając skrzeczący dźwięk, który nie pozwolił jej zmrużyć oka przez całą noc. W moim pokoju - teraz był to pokój numer 9 - wstawano kwadrans przed pobudką, żeby mieć więcej czasu na sprzątanie i dopilnowanie, by jego lokatorzy nigdy nie trafili do Pigs Berthing.

Kiedy już wszystkie inspekcje dobiegły końca, zaczynała się chińska szkoła. Chińska szkoła polegała na powtarzaniu - musieliśmy powtarzać wszystko, co usłyszeliśmy, wiernie odtwarzając usłyszane słowa. L. Ron Hubbard nazwał to chińską szkołą, ponieważ obserwował odbywające się w Chinach lekcje i był pod wielkim wrażeniem współpracy uczniów z nauczycielem.

W wersji chińskiej szkoły wprowadzonej przez LRH cytaty z jego dzieł wypisane były na kawałkach kartonu drukowanymi lite-rami, byśmy wszyscy mogli je widzieć, gdy je nam pokazywano. Ktoś wykrzykiwał część cytatu, następnie zadawał pytanie: „Co to jest?”, a my mieliśmy głośno i wyraźnie powtarzać ową część cytatu, by w końcu odtworzyć go z pamięci, nie patrząc na karton. Osobliwa była zwłaszcza lekcja dotycząca backflashingu. Backflashing to scjentologiczne określenie odpyskowania. „Backflash to z definicji zbyteczne komentowanie rozkazu...” Skandowaliśmy wspólnie te reguły dyscypliny, aż wszyscy bezbłędnie je opanowali.

Monotonia była obezwładniająca, ale odnosiła pożądany efekt. Częstokroć, chcąc owe slogany poprawnie zapamiętać i wyrecytować, nie byliśmy w stanie zastanawiać się nad ich znaczeniem - a co dopiero mówić o ich kwestionowaniu. Cytaty z LRH często zmieniano, dzięki czemu mogliśmy zapamiętać ich mnóstwo. Cała ta metoda została wymyślona po to, byśmy mogli wbić sobie do głów wszystkie reguły. Jednak z perspektywy czasu stwierdzam, że w jeszcze większym stopniu chodziło o to, by wpoić nam zasadę, że nie należy niczego kwestionować ani samodzielnie myśleć, że trzeba akceptować wszystko bez cienia wątpliwości. Byliśmy na tyle młodzi, by chłonąć wszystko, czego się dowiadywaliśmy, i na tyle naiwni, by nie rozumieć problematyczności wiary we wszystko, czego nas uczył.

Czasem wśród starszych dzieci znajdowały się takie, które podejmowały ryzyko i stawiały opór przełożonym, robiąc coś po swojemu. Podobnie jak wielu innych kadetów również ja usiłowałam zrozumieć, dlaczego te dzieci nie mogą po prostu trzymać się zasad. Wyraźnie prosiły się o kłopoty i ostatecznie zmuszano je do zmiany postępowania, jakoś sobie z nimi radząc. Ilekroć coś takiego się działo, udzielano im reprimendy.

Wraz z zakończeniem chińskiej szkoły dobiegała końca poranna musztra i zaczynała się kolejna część porannego programu, trwająca aż do śniadania - pełnienie naszych funkcji.

Niezależnie od wieku miało się przydzielone stanowisko, które czasem ulegało zmianie, ale zawsze wiązało się z odpowiednim stopniem odpowiedzialności. Kiedy pierwszy raz jako sześciolatka trafiłam do kadetów, przydzielono mi funkcję konserwatora zieleni - byłam odpowiedzialna za hodowlę roślin i dogłębne wyznaczonej części posiadłości. Funkcja ta wymagała wykonywania pracy fizycznej. Nie każda funkcja się z nią wiązała - niektóre polegały na wspieraniu grupy w jakiś inny sposób. Po kilku miesiącach przydzielono mi funkcję oficera łącznikowego służby medycznej (Medical Liaison Officer, MLO), choć miałam tylko siedem lat. Funkcja ta wymagała ode mnie odwiedzania wszystkich dzieci na Ranczu i sporządzania tak zwanej listy chorych. Oznaczało to, że każdemu dziecku musiałam zadać pytanie: „Czy coś ci dolega?”. Za chorobę mogło uchodzić absolutnie wszystko - od zwykłego przeziębienia po poparzenie się sumakiem jadowitym, od wysuszonej skóry po grzybicę stóp.

Wszelkie dane skrzętnie notowałam. Następnie usiłowałam leczyć owych chorych. Jeden z dorosłych na Ranczu udzielił mi podstawowych informacji w tym zakresie, na przykład dotyczących tego, że na grzybicę stosuje się specjalną maść, a wysuszoną skórę trzeba smarować lanoliną.

Poza codzienną „opieką lekarską” moje obowiązki w znacznym stopniu polegały na rozdawaniu dziennych porcji witamin. Przygotowywałam pakiety witamin dla każdego dziecka. W tym czasie już płynnie czytałam, nauczyłam się więc wykazu witamin oraz ich zastosowania. Może się to wydawać skomplikowane, w rzeczywistości jednak zadanie to było o wiele łatwiejsze niż na przykład niektóre materiały studiowane w ramach edukacji sejentologicznej. Znałam wszystkie witaminy i wiedziałam, że część z nich, na przykład witaminę A, można przedawkować. Wiedziałam również, że jest coś takiego jak odpowiednia ilość wszystkich witamin, ale nie byłam pewna, jak ją osiągnąć, więc starałam się wypośrodkowywać i po prostu dawałam każdemu dziecku po jednej witaminie każdego rodzaju. Pakiety, które przygotowywałam, stanowiły zazwyczaj mieszankę witaminy A, D, B, C, E oraz czosnku. Jeśli chodzi o minerały, stosowałam się do instrukcji widniejących na zawierających je buteleczkach. Dzieci, które się przeziębiły, dostawały cynk, lucernę, gorzknik kanadyjski, dodatkową porcję czosnku i jeżówkę. Przed śniadaniem wrzucałam proszek z dodatkową witaminą C do soków pomarańczowych, a do wszystkich kubków wstrzykiwałam płynne minerały.

Do moich obowiązków należało również sporządzanie specjalnej mieszanki o nazwie calmag, którą wszystkie dzieci wypijały przed udaniem się na spoczynek. Na wymyślony przez LRH calmag składały się: wapno, magnez, ocet winny i wrzątek, który następnie

schładzano. Napój miał być przezroczysty, jednak nie wiedziałam, że ma znaczenie to, że zamiast małej łyżeczki wsypywałam łyżkę stołową magnezu - przez co i tak już ohydny w smaku napój nabierał ciemnej barwy i śmierdział niczym brudne stopy. Podczas posiłków do moich obowiązków należało roznoszenie jedzenia dzieciom przebywającym w izolatkach.

Jeśli ktoś się skaleczył, przemywałam mu ranę wodą utlenioną i obwiązywałam ją bandażem. W upalne dni pilnowałam, by dzieci miały pod dostatkiem soli i potasu. Jeśli ktoś skarżył się na ból głowy, inne bóle albo miał gorączkę, zwykle przydzielałam mu asystę. Asysta to specjalna metoda stworzona przez LRH, z którą zapoznałam się już w przedszkolu w L.A. Asystenci mieli pomagać innym w uzyskaniu lepszej komunikacji z własnym ciałem. Poza metodą touch assist, którą stosowaliśmy w przedszkolu, istnieje też metoda nerve assist (oddziaływania na zakończenia nerwowe), przypominająca bardzo delikatny masaż. Stosowałam ponadto mnóstwo metod zbliżonych do wyżej wymienionych, stworzonych przez LRH i mających pomagać ludziom, którzy zapadają na rozmaite choroby: od przeziębienia, gorączki i bólu zębów po problemy psychiczne takie jak nocne koszmary. Tak więc pełniąc funkcję oficera łącznikowego służby medycznej, dawałam z siebie wszystko.

Metody asysty opierały się na scjentologicznej teorii mówiącej, że to thetan kontroluje ciało i umysł. Z każdą z metod wiązały się pewne procedury, jak na przykład domaganie się bez końca, by dziecko objaśniło swój zły sen, co rzekomo miało mu pomóc w uwolnieniu się od owego kosmaru. Istniało również przekonanie, że ludzie przeziębiamy się z powodu jakiejś poniesionej straty, dlatego też pytałam: „Powiedz mi o czymś, czego ostatnio nie straciłeś”, w ramach asysty przewidzianej na wypadek przeziębienia, polegającej na przypominaniu chorej osobie o rzeczach, które nadal posiada. Miałam do dyspozycji sążnisty podręcznik, w którym wszystko było omówione - od asysty związanej z bólem zęba po asystę związaną z gorączką.

Jeśli odniosłam wrażenie, że ktoś zachorował poważniej, zgłaszałam to jakiemuś dorosłemu, ten zaś zazwyczaj udawał się do izolatki, by sprawdzić stan pacjenta. Przez cały okres swego pobytu na Ranczu ja sama nigdy nie poszłam do lekarza. Świadkiem wizyty lekarskiej byłam tylko raz, kiedy towarzyszyłam koleżance, której zakładano szwy. Efekt był taki, że na widok krwi zemdlałam. Co najmniej raz zjawiała się na Ranczu pielęgniarka i wszystkim podano szczepionkę - przeciwko odrze, śwince i różyczce.

Istniała jedna żelazna zasada - niezależnie od tego, jak chore było dziecko, nigdy nie stosowaliśmy leków przeciwbólowych ani obniżających gorączkę. Lekarstwa uznawano za zło i nie były dostępne. Antybiotyki akceptowano, lecz by je dostać, trzeba było się udać do prawdziwego lekarza, co stanowiło rzadkość. Czasem byłam obłożnie chora, miałam wysoką gorączkę (39 stopni Celsjusza), niemal traciłam przytomność i wymiotowałam, a wtedy



zalecano mi jedynie, bym dużo piła i odpoczywała. Jako dziecko nie byłam na tyle świadoma, by zadbać o siebie i podporządkować się tym rozkazom - raz nawet próbowałam ćwiczyć, chcąc wyzdrowieć, ponieważ brat powiedział mi, że to najlepszy sposób. Nie mam pojęcia, czy moich rodziców informowano o moich chorobach, tak czy owak nigdy nie dostawałam od nich żadnych wiadomości, dopiero w czasie niedzielnych wizyt sama im o wszystkim opowiadałam. Jednak przez większość czasu zdrowie mi dopisywało. Kiedy zyskałam większe doświadczenie, wszystko stało się kwestią rutyny. Patrząc wstecz na ten okres, nawet ja nie mogę zrozumieć, jak można powierzać taką pracę siedmioletniemu dziecku. Wzdrygam się na myśl o tym, co by było, gdyby jakieś dziecko było poważnie chore, a ja nie zdawałabym sobie z tego sprawy i nie powiadomiła kogoś z dorosłych. Wtedy jednak nie miałam wrażenia, że nie jestem dostatecznie przygotowana lub że brak mi kwalifikacji, gdyż uważałam, że tak właśnie należy postępować. Przecież poinstruowali mnie, jak mam się opiekować dziećmi, ja zaś starałam się wykonywać polecenia najlepiej, jak potrafiłam.

Czas wypełniania obowiązków, które wiązały się z funkcją oficera służby medycznej, był najprzyjemniejszą częścią dnia, gdyż lubiłam zajmować się innymi dziećmi i pomagać im w odzyskaniu lepszego samopoczucia. Dorośli wpoili we mnie przekonanie, że zawsze istnieje jakieś praktyczne, proste rozwiązanie wszelkiego rodzaju problemów zdrowotnych. Traktowali chorobę tak samo jak głód albo brak papieru toaletowego - stanowiła ona po prostu przeszkodę na naszej drodze do członkostwa w Sea Org. Remedium na wszystkie bolączki było poleganie na ludziach, którzy przygotowywali jedzenie, dostarczali papier toaletowy czy też, tak jak w moim przypadku, pomagali swoim współtowarzyszom na Ranczu wrócić do zdrowia.

Śniadanie było o ósmej trzydzięci. Zasiadaliśmy przy wyznaczonych stolikach, każdy z nich miał przewodniczącego i skarbnika, który zbierał po dolarze tu i ówdzie, żebyśmy mogli mieć smakołyki nieujęte w menu, jak miód czy galaretka. Były one na sprzedaż w mesie i mogliśmy je kupować indywidualnie albo zbierać pieniądze i kupować je grupowo. Ponieważ nie było żadnej zasady zabraniającej słodczy, smakołyki te, jako że były czymś wyjątkowym, rozchodziły się w mgnieniu oka. Posiłek kończył się o dziewiątej, a wtedy zaczynała się praca w jadalni lub zmywanie. Wszyscy uczestniczyliśmy w sprzątaniu. Niektóre dzieci zmywały naczynia, inne zmywały i myły podłogę, jeszcze inne sprzątały ze stołu - wszyscy mieli przydzielone obowiązki.

Druga musztra na placu apelowym, która rozpoczynała się o dziewiątej piętnaście, oznaczała rozpoczęcie prac pokładowych, czyli zadań naprawdę pracochłonnych. Praca trwała prawie cztery godziny, aż do dwunastej czterdzięci pięć - od poniedziałku do piątku i

przez całą sobotę. Oznaczało to łącznie dwadzieścia pięć godzin prac pokładowych tygodniowo, jeśli zaś doliczyć czas związany z wypełnianiem naszych porannych funkcji oraz wszystkie owe sobotnie godziny, w ciągu których musieliśmy wypucować całe Ranczo - dawało to łącznie ponad trzydzieści pięć godzin pracy tygodniowo, czyli w zasadzie cały etat, a przecież byliśmy tylko nastolatkami lub jeszcze młodszymi dziećmi.

W przeciwieństwie do naszych funkcji związanych z konkretnymi pracami, które rzadko ulegały zmianie, prace pokładowe wymagały od nas pracy w małych grupach, a same zadania nieustannie się zmieniały. W zależności od tego, jak wiele spośród owych zadań należało wykonać w danym dniu, dzielono nas na zespoły, w obrębie których pracowaliśmy. Wiek dziecka nie miał znaczenia: wszyscy pracowali nad wykonaniem owych zadań.

W każdym zespole jedno z nas pełniło funkcję dowodzącego. Otrzymywał on instrukcje na piśmie, charakteryzujące w szczególności, na czym polega zadanie, jak długo powinno trwać jego wykonanie oraz jakich narzędzi potrzebuje zespół do pracy nad nim. Same zadania były zróżnicowane: od tych sprawiających przyjemność, jak zrobienie prania czy wyczyszczenie basenu - często były to prace dla jednej osoby - po wrywanie chwastów w ramach ochrony na wypadek pożaru, dzwiganie kamieni, sadzenie drzew lub innych roślin czy wreszcie kopanie rowów irygacyjnych.

Często pracowaliśmy nad urządzeniem terenu. Spędzaliśmy długie godziny nad projektami obejmującymi przesadzanie i sadzenie roślin, wykopując łopatami półtorametrowe dziury dla każdego z setek drzew pochodzących ze szkółki. Czasem zadania takie wykonywaliśmy w strugach deszczu. Pracowaliśmy w drużynach, ciągnąc po posiadłości setki drzew, które sadziliśmy i nawoziliśmy. Setki dni spędzaliśmy, obsadzając pagórki rośliną o nazwie kryształka lśniąca. Wyrywaliśmy chwasty, nawadnialiśmy jakiś pagórek, okrywaliśmy go płóciennym materiałem, a następnie jedno z dzieci wykopywało kilofem dziury, a inne umieszczało w nich roślinki.

Przenoszenie kamieni w celu wznoszenia kamiennych murków stanowiło kolejne wycieńczające zadanie pokładowe. Wydobywaliśmy kamienie z pobliskiej rzeki, wznosząc z nich stos, podczas gdy inna grupa dzieci ładowała je na taczki i przewoziła tam, gdzie właśnie powstawał mur. Gdy kamienie znalazły się już na miejscu, jeszcze inna grupa dzieci dzwigała worki z cementem, zaś starsze, mające większe doświadczenie dzieci wyrabiały zaprawę, którą cementowały mur układany z przyniesionych kamieni.

Ponieważ budynki znajdujące się na Ranczu były stare, część prac remontowych przy odnawianiu Big House obejmowała przetransportowanie poszycia dachu - w rękach lub na własnoręcznie załadowanych taczkach - do wielkiego dołu, oddalonego o jakieś pięćset

metrów od placu budowy, gdzie gruz należało zakopać. Izolacja dachu była krucha i łamliwa, miała kilka centymetrów grubości i pękała jak cement, gdy rzucono nią na kamienie. Była czerwona z domieszką barwy różowej i brązu. Przynajmniej raz powiedziano nam, że jacyś inspektorzy mają przyjechać na Ranczo, i w wielkim pośpiechu próbowano ukryć ogromną część poszycia dachu, co wydawało się nieco dziwne, ale i tak wykonaliśmy to zadanie.

Kiedy nie sadziliśmy roślin, nie budowaliśmy murów ani nie przenosiliśmy gruzu, często odchwaszczaliśmy teren, aby Ranczo było bezpieczne, w razie gdyby zarośla otaczające posiadłość zajęły się ogniem. Wysuszony pustynny teren wokół Rancza był zarośnięty krzakami, które z łatwością mogły zająć się ogniem podczas letnich miesięcy suszy, dlatego też w ramach ochrony przed pożarem kazano nam wrywać chwasty z korzeniami na odcinku kilku kilometrów wzdłuż drogi. Bez względu na to, jak bardzo było gorąco - temperatura sięgała często znacznie powyżej 37 stopni Celsjusza - starszym dziewczynom nie wolno było mieć na sobie wyłącznie topów czy staników sportowych, gdyż wyglądały w nich zbyt wyzywająco. Nie było to sprawiedliwe, bo chłopcom pozwalano zdejmować podkoszulki. Zawsze mówiono nam, że mamy nosić rękawiczki, ale nigdy żadnych nam nie dostarczono, ja w każdym razie żadnych nie dostałam, więc podobnie jak mnóstwo innych dzieci od ściskania grabi między palcem wskazującym a kciukiem miałam stwardniałą warstwę brązowej i spękanej skóry.

Aby łatwiej było znosić upał, zwykle udostępniano nam zimną wodę oraz tabletki z potasem i solą, dzięki czemu miało nie dojść do odwodnienia organizmu. Dzieci połykały cztery lub pięć tabletek, ponieważ żadne z nas nie wiedziało, ile powinno się ich zażywać. A przynajmniej ja tego nie wiedziałam. Więc po prostu łykaliśmy je, jak popadło, ponieważ słyszeliśmy, że pomagają zapobiegać odwodnieniu. Mogliśmy również korzystać z pięciominutowych przerw, choć było ich tylko kilka w ciągu dnia i dzieliły je duże odstępy czasowe.

Powiedziano nam, że praca stanowi po prostu wymianę handlową - dzięki niej mogliśmy mieszkać na Ranczu. To była nasza szansa, żebyśmy na siebie zapracowali, zamiast wszystko dostawać za darmo. Było to ważne, bo w ramach edukacji scjentologicznej uczono nas, że dzięki pomocy naszych superwizorów nigdy nie zostaniemy kryminalistami, a tylko oni wszystko dostają za darmo. Co więcej, owa ciężka fizyczna praca miała nas nauczyć czerpania satysfakcji z tego, co osiągnęliśmy, co wytworzyliśmy, miała nas uczyć radzenia sobie w trudnych sytuacjach i w konfrontacjach z MEST. MEST to termin odnoszący się do fizycznych obiektów skonstrastowanych z tym wszystkim w sferze ducha, co ma związek z obiektami pozamaterialnymi, takimi jak thetan, myśli czy intencje. Dzięki temu, że

wykonywaliśmy pracę fizyczną, zmagaliśmy się z MEST, co kiedyś, jak nas zapewniano, zaowocuje tym, że staniemy się lepszymi scjentologami.

Często podczas naszych prac pokładowych pojawiali się dorośli, by obserwować ich przebieg. Nieraz w czymś pomogli, lecz prace były prowadzone i nadzorowane głównie przez dzieci.

Dorośli wywierali na nas naciski, żebyśmy pracowali jeszcze ciężiej, szybciej i solidniej. Kontrolowaliśmy i radziliśmy sobie z MEST najlepiej, jak umieliśmy. Zmaganie się z MEST poprzez pracę fizyczną było postrzegane jako terapia i miało rozjaśniać nam w głowach, mimo że same projekty i wyznaczane zadania często wiązały się z niewiarygodnie ciężką pracą.

Podczas mojego pobytu na Ranczu bardzo rzadko ktoś się ośmielił stwierdzić, że uważa tę pracę za zbyt ciężką albo wyczerpującą, zapewne dlatego, że dorośli tak nie uważali. Ostatecznie to oni wydawali rozporządzenia związane z projektami i oni decydowali o tym, czy satysfakcjonująco wykonaliśmy naszą pracę pokładową. Jeśli stwierdzili, że owe projekty nie zostały wykonane tak, jak należy, wówczas kazano nam je dokończyć podczas lunchu. Żaden projekt nie mógł być uznany za ukończony, póki nie stwierdził tego po inspekcji ktoś z dorosłych lub specjalnie wyznaczone do tego zadania dziecko.

Tak więc wypełnialiśmy nasze obowiązki pokładowe. W innym razie odsyłano nas do któregoś z dorosłych. Jeśli ktoś sprzeciwiał się czemuś wielokrotnie, mógł skończyć w HMU, Jednostce Prac Ciężkich MEST (Heavy MEST Work Unit), gdzie wykonywano ciężkie prace fizyczne. Jednostkę utworzono dla tych, którzy kilkakrotnie złamali zasady lub pyskowali. To właśnie dla tej grupy zarezerwowana była najcięższa praca, taka jak kopanie głębokich rowów. Dzieci, które tam trafiły, musiały osobno jadać i osobno się uczyć, no i pozostałym nie wolno było z nimi rozmawiać.

Choć nasi scjentologiczni superwizorzy nie widzieli niczego dziwnego w tym, że dzieci wykonują taką pracę, co jakiś czas na Ranczu zjawiali się pracownicy kontraktowi z zewnątrz, których to jednak dziwiło. Zwykle powierzano im realizację bardziej zaawansowanych technicznie prac, takich jak zrobienie cementowej wylewki przy kładzeniu chodnika. Ludzie ci nieczęsto się pojawiali, a wtedy zawsze w głębi serca liczyłam na to, że wstawią się za nami lub że na czas ich pobytu nasza praca zmianowa ulegnie skróceniu o kilka godzin albo nawet dni. Przez większość czasu nasi superwizorzy próbowali trzymać nas z dala od owych WOGS, na ile było to możliwe. Kiedyś jednak owi robotnicy najemni złożyli skargę, że widzieli kilkoro spośród młodszych dzieci niosących drewnianą belkę. Uznali, że dzieci są zbyt małe, by wykonywać tego rodzaju prace. Nie wiedzieli, że ponieważ drewniane

belki były często używanym materiałem budowlanym na naszej posiadłości - wytyczały granice ścieżek albo stanowiły obramowania kwietników - wciąż je dokądś nosiliśmy. Zazwyczaj jedną belkę dźwigało dwoje dzieci. Po owej skardze robotników nie mogliśmy pracować w ich pobliżu.

Nic dziwnego, że im stawaliśmy się starsi i silniejsi, tym lżejsza wydawała nam się praca fizyczna. Niektóre dzieci, na przykład mój brat, najwyraźniej nie miały większych problemów z wykonywaniem prac pokładowych. Justin zwykle naśmiewał się ze mnie lub nazywał mnie obibokiem, kiedy szłam, zamiast biec, lub narzekałam, że jestem zmęczona. Byłam jednak tylko siedmioletnią dziewczynką, a on piętnastoletnim chłopcem, więc jego sytuacja była zupełnie inna.

Nie lubiłam takich prac. Zawsze bolały mnie od nich nogi, miałam bardzo spękane dłonie i zwykle było mi albo bardzo gorąco, albo strasznie marzłam, ponieważ pracowaliśmy niezależnie od panującej na dworze temperatury. Często nosiliśmy w zimie za krótkie spodnie, ponieważ nie było funduszy na nowe mundurki, a szybko wyrastaliśmy z ubrań. Jedna z obowiązujących zasad głosiła, że podczas prac pokładowych należy biegać, zamiast chodzić, więc jeśli ktoś mnie przyłapał na chodzeniu, zawsze słyszałam: „Jenna, biegiem!” albo „Jenna, weź się do pracy!”. Krzyczeli na nas zarówno dorośli, jak i dzieci. Nie bawiono się w uprzejmości. Jeśli pyskowaliśmy, wolno się poruszaliśmy lub odmawialiśmy pracy - co zresztą prawie się nie zdarzało - mówiono nam, żebyśmy przestali „paplać” (tak LRH określał uskarżanie się na cokolwiek czy krytykowanie czegoś), po czym pisano uwagę na nasz temat.

Praca nigdy się nie kończyła. Gdy tylko zamykaliśmy projekt, nazajutrz przydzielano nam nowy. Praca była bezustanna i monotonna, a kiedy kazano nam wtaczać głąz na pagórek, wiedzieliśmy już, że następnego dnia będziemy musieli tam wtoczyć kolejny. Przekształcaliśmy Ranczo w piękne miejsce, ale właściwie dla kogo? Nie ulega żadnej wątpliwości, że straciłam cały swój podziw dla jego uroku, tęskniąc za okresem, kiedy Ranczo może i było w gorszym stanie, za to ja miałam trochę czasu, żeby czerpać przyjemność z przebywania na nim.

Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy prawdziwą motywacją ludzi zmuszających nas do pracy było to, że owe prace wykonywaliśmy za darmo, czy że dzięki nim nie sprawialiśmy kłopotów, czy też raczej chodziło o to, by uczynić z nas lepszych scjentologów. Najprawdopodobniej w grę wchodziły wszystkie trzy czynniki. Tak czy owak byliśmy grupą dzieci spędzającą wiele godzin dziennie na pracach fizycznych, których nie powinno się podejmować żadne dziecko.

Mieliśmy odciski i pęcherze. Mieliśmy zacięcia i siniaki. Traciliśmy czucie w

dłoniach, kiedy zanurzaliśmy je w strumieniu, by wydobywać stamtąd kamienie. Gdy wrywaliśmy chwasty ze spēkanej od upału ziemi, dłonie piekły nas od tarcia nimi o glebę i od poparzeń pokrzywami. Warunki naszej pracy byłyby trudne do zniesienia dla dorosłego człowieka, mimo to każda nasza skarga, każdy sprzeciw, każda próba protestu natychmiast spotykały się z działaniami dyscyplinarnymi.

Niezależnie od tego, jak nieczuli byli dorośli, którzy wymagali od nas takiej pracy, problem tkwił w tym, że taki stan rzeczy sankcjonowała sama scjentologia. W oczach scjentologów nie byliśmy dziećmi - byliśmy thetanami tak samo jak dorośli i mogliśmy pełnić te same obowiązki. Jedyne różnica polegała na tym, że nasze ciała były młodsze. My sami niekoniecznie byliśmy młodszy, młodsze były tylko nasze ciała. Tak więc fakt, że byliśmy dziećmi, nie miał znaczenia. Wiedziałam, że tak głosi doktryna, więc kiedy czułam, że jest mi zbyt ciężko albo że praca mnie przerasta, dochodziłam do wniosku, że to ze mną jest coś nie w porządku i że muszę wziąć się w garść - wniosek ten był, rzecz jasna, błędny.

Moja niepewność była podsycana przez dorosłych i otaczające mnie starsze dzieci, które nazywały mnie leniem i kazały mi wziąć się do roboty.

Kiedy patrzę wstecz i zastanawiam się, dlaczego się nie buntowałam, mam pewność, że gdyby tak się stało, moje życie stałoby się jeszcze cięższe. Gdybym nie stosowała się do zasad, oddzielono by mnie od reszty grupy, nie pozwalając rozmawiać z przyjaciółmi i kazać mi ponieść wszelkie konsekwencje swojego zachowania, pozbawiono by mnie też czasu wolnego i możliwości uczestnictwa w uroczystościach i różnych wydarzeniach na Ranczu. Łamanie zasad prowadziło tylko do jednego - do powtórnego nagięcia się do nich. Niesubordynacja mogłaby sprawić jedynie to, że jeszcze trudniej byłoby mi ukończyć szkołę i opuścić Ranczo.

## **Rozdział szósty**

### **Życie kadeta, część II**

Poranki kadetów wypełniała praca fizyczna, zaś popołudnia upływały na nauce.

Kiedy kończyły się prace pokładowe, w planie był lunch oraz sprzątanie, po którym następowały godziny szkolnej edukacji. Zaczynała się około trzynastej czterdzieści pięć. Składały się na nią normalne przedmioty: matematyka, geografia, nauka czytania i pisanie oraz historia, jednak wymagano od nas, byśmy uczyli się tych przedmiotów samodzielnie, korzystając z wyznaczonych podręczników i ćwiczeń - nie zaś podczas lekcji prowadzonych przez nauczyciela. Właściwie nie używaliśmy nawet słowa „nauczyciel”, w którego roli występował prowadzący kurs (course supervisor). Podobnie słowo „klasa” zostało zastąpione przez wyrażenie „sala dla kursantów” w oparciu o wytyczne autorstwa L. Rona Hubbarda noszące tytuł „Co to jest kurs?”.

W okresie odbywania kursu nasz superwizor codziennie robił nam test Emetrem. Posługiwał się w tym celu przyrządem wymyślonym przez LRH o technicznej nazwie elektropsychometr, który wszyscy nazywali Emetr. Testowana osoba trzymała w obu dłoniach po puszcze. Następnie za pośrednictwem Emetru poddawano testowanego działaniu prądu elektrycznego o niewielkim natężeniu, jednocześnie zadając mu pytania. Emetr ma wskaźnik wychylający się na podziałce. Po kilku pytaniach wskaźnik zaczynał drgać; owe wychylenia interpretowane były przez osobę obsługującą przyrząd. Dzięki uważnej obserwacji wskaźnika obsługujący Emetr mógł rzekomo stwierdzić, czy testowany mówi prawdę. Chodziło o to, by dzięki Emetrowi dotrzeć do ukrytych w podświadomości danych, z których istnienia badany mógł nie zdawać sobie sprawy, lecz które wymagały omówienia. Owe dane miały być następnie zidentyfikowane podczas stosowanego przez scjentologów audytowania. Innymi słowy, Emetr był postrzegany jako narzędzie pomocne w procesie audytowania.

Codziennie korzystanie z Emetru miało również służyć sprawdzaniu, czy w trakcie nauki zetknęliśmy się z jakimiś słowami, które nie do końca rozumieliśmy. Scjentologia głosi, że jeśli natrafiwszy w czytanej treści na jakieś słowo, którego się nie rozumiało, pominiemy je, nie przerywając nauki, fakt ten doprowadzi do porażki zarówno w dalszej nauce, jak i w życiu. LRH mawiał, że uczenie się z jednoczesnym pomijaniem słów, których się nie rozumie, stanowi główny wyznacznik głupoty oraz źródło wszelkiego zła i występnych

zachowań, mogących prowadzić do działalności przestępczej. LRH pisał: „Kontynuowanie lektury, mimo że nie zrozumiało się jakiegoś słowa, wywołuje w czytelniku poczucie pustki w głowie, poczucie jakby wyprania, bycia gdzie indziej, czego następstwem może być coś w rodzaju napadu hysterii”. To z kolei - twierdzi Hubbard - może stanowić „cios” skłaniający do porzucenia nauki lub opuszczenia sali lekcyjnej.

Objaśnienie (clearing) danego słowa polega na odnalezieniu właściwej definicji słowa w słowniku i używaniu go w zdaniach, póki nie poczujemy, że możemy nim swobodnie operować. Zabieg ten należało powtórzyć w odniesieniu do każdej alternatywnej definicji danego słowa, łącznie z synonimami i idiomami. Problem pojawiał się wówczas, gdy ktoś podczas prób opanowania tych rozmaitych definicji słowa i jego źródłosłów natrafił w którejś z definicji na kolejne słowo, którego nie rozumiał. Generowało to łańcuchy słów, co oznaczało, że jest jeszcze więcej słów do wyjaśnienia i że warto spędzić kilka godzin nad słownikami, żeby nie oblać testu przeprowadzanego z użyciem Emetru. Należało również znać etymologię słowa.

Oblawszy test, należało zacząć kurs od początku, zapisując i wyjaśniając każde słowo, którego znaczenia się nie znało. Następnie należało powtórzyć tę procedurę w przypadku każdego słowa, którego się nie rozumiało.

Bardzo nie lubiłam testów Emetrem i bardzo się nimi denerwowałam. Przeprowadzano je w sali wypełnionej kursantami i jeśli oblałeś, wszyscy o tym wiedzieli. Prowadząca kurs pytała:

- Czy ostatnio podczas nauki natrafiłeś na słowo lub symbol, które nie do końca rozumiałeś?

Następnie prowadząca wyczekująco patrzyła na Emetr, żeby zobaczyć, czy zdałeś. Jeśli oblałeś test, wiedziała o tym cała grupa.

Poza testami przy użyciu Emetru prowadząca kurs nie oferowała nam prawie żadnej pomocy. Ilekroć nie rozumiało się czegoś w tekście, pytała, które słowo jest niezrozumiałe, zamiast pomóc w zrozumieniu samego tekstu. Sposób myślenia był taki: jeśli ludzie nie potrafią zrozumieć, co czytają, i proszą o wyjaśnienia, oznacza to, że źle zrozumieli jakieś słowo. Wyjaśniając treść, prowadząca bardzo źle by im się przysłużyła, ponieważ pomijanie niezrozumiałego słowa musi prowadzić do porażki. Nic dziwnego, że zaczęłam nienawidzić szkoły. Zanim stałam się kadetką, byłam dosyć bystrym dzieckiem, uwielbiałam czytać, ale nie minęło wiele czasu, a owe mechaniczne i nużące metody kompletnie mnie zniechęciły do nauki. Niezależnie od tego, jaką edukacyjną wartość mogło mieć uczenie się definicji różnych słów, wszystko przekreślała głupawa i niepraktyczna metoda nauki. Choć potrafiłam pisać i



czytać we wczesnym wieku, skoncentrowanie całej uwagi na poszczególnych słowach w tekście sprawiło, że straciłam zainteresowanie zarówno pisanem, jak i czytaniem.

Testy przy użyciu Emetru dosłownie zszargały mi nerwy i robiłam, co w mojej mocy, aby ich uniknąć. Nie można było poddawać się owym testom, jeśli było się w trakcie wyjaśniania jakiegoś słowa, więc wynalazłam system, aby obchodzić testy, zawsze mając słownik otwarty i udając, że sprawdzam jakieś słowo i buduję zawierające je zdania. Choć ten system pozwolił mi uchronić się przed wstydem z powodu oblewania testów, nie pomógł mi w nauce. Bardzo mnie to rozpraszało: byłam tak pochłonięta wmyślaniami się w poszczególne słowa, że właściwie nie potrafiłam zrozumieć większych partii tekstu, które miałam czytać. Czasem prosiłam przyjaciół, by wyjaśnili mi poszczególne rzeczy, nie mogliśmy jednak rozmawiać z innymi uczniami. Jeśli to robiliśmy, krzyczano na nas w obecności wszystkich zgromadzonych w sali kursantów, a czasem nawet odsyłano nas do oficera do spraw etyki.

Nauka szkolna trwała od trzynastej czterdzieści pięć do osiemnastej, z jedną piętnastominutową przerwą. Mogliśmy wówczas sobie pozwolić na przekąskę - kupić sobie coś w mesie albo wziąć pomarańczę czy jabłko, za które nie trzeba było płacić. Wolno też było pobawić na placu zabaw, który własnoręcznie zbudowaliśmy. Po przerwie, zanim rozpoczął się właściwy kurs, kolejny raz sprawdzano obecność. W niektóre dni mieliśmy czterdziestopięciminutowe zajęcia wychowania fizycznego. Były one chyba najmniej rygorystyczne spośród wszystkich naszych zajęć. Raz w tygodniu na Ranczo przyjeżdżał trener fitnessu i robił nam test ze sprawności fizycznej. Wszyscy byliśmy w dobrej formie fizycznej dzięki pracom pokładowym, dlatego zdanie go nie było trudne. Pod nieobecność trenera na zajęciach robiliśmy, co tylko przychodziło nam do głowy. Niektórzy grali w piłkę nożną, inni w siatkówkę, ale nie formowano drużyn, nie było też kapitanów drużyn. Zwykle wyglądało to tak, że szesnastoletni chłopcy grali w różne gry. Mała dziewczynka nie była w stanie grać razem z nimi, jeśli nie chciała być stratowana - co wiedziałam z doświadczenia. Tak więc podobnie jak mnóstwo innych dzieci w moim wieku odpuszczałam i szłam do sali, w której uprawialiśmy tak zwaną gimnastykę albo aerobik.

Kolacja i sprzątanie odbywały się między osiemnastą a osiemnastą czterdzieści pięć, a potem zaczynały się zajęcia ze scjentologii. Podczas gdy zajęcia szkolne dotyczyły przedmiotów, które miały stanowić uzupełnienie studiów scjentologicznych, na wieczornych sesjach wprowadzano nas w arкана scjentologii. Rzecz jasna, o tej porze dnia często byliśmy już wyczerpani. Rozpoczynając nasze studia scjentologiczne, byliśmy na nogach już od ponad dwunastu godzin.

Podobnie jak podczas zajęć szkolnych w trakcie owych kursów wprowadzających sale

pękały w szwach, mieszcząc mniej więcej czterdzieścioro dzieci. Uczniowie byli na różnych etapach zaawansowania - niektórzy pracowali nad ćwiczeniami, podczas gdy inni słuchali taśm z nagranyimi wykładami LRH, robili modele z gliny lub studiowali książki LRH oraz jego zalecenia. Każde z nas pracowało we własnym tempie, korzystając z testów sprawdzających to, co udało nam się osiągnąć do tej pory.

Braliśmy udział w kursach, w trakcie których omawiano mnós-two różnych aspektów scjentologii, począwszy od nauk traktujących o wzajemnych związkach między thetanem, umysłem i ciałem, skończywszy na różnych formach uzmysławiania nam doniosłości konsekwencji niezrozumienia słów. Braliśmy również udział w zajęciach zwanych „Kursem komunikacji dziecięcej”. Powstał na bazie kursu dla dorosłych, w trakcie którego bardziej doświadczeni scjentolodzy uczyli się audytowania, z tym że wersja dla dzieci została mocno okrojona. Każdy z owych kursów komunikacji miał odmienną rutynę treningową - czyli TR - mającą na celu doskonalenie komunikacji. Owe typy rutyny treningowej stosowano w odpowiedniej kolejności, od TR-0 do TR-4. Celem TR było wyodrębnianie i praktykowanie różnych umiejętności komunikacyjnych. Niektóre TR obejmowały długotrwałe ćwiczenia praktyczne, które miały nam pomóc w konfrontacji z przeciwnościami losu i w maksymalnej koncentracji.

Na czas wszystkich TR byliśmy dobierani w pary. Każdy ćwiczył z partnerem zwanym bliźniakiem. W TR-0 mieliśmy siedzieć na krzesłach naprzeciwko siebie, niemal stykając się kolanami. Jedno z nas było trenerem, a drugie uczniem. Mieliśmy patrzeć na siebie nawzajem, aż poczujemy się swobodnie, nie ruszać się, nie mrugać nadmiernie oczami, nie uśmiechać się, nie odwracać wzroku - tylko wpatrywać się w siebie bez słowa. Celem ćwiczenia miało być nauczenie się tego, jak patrzeć drugiej osobie w twarz bez uczucia niepokoju, jednak, szczerze mówiąc, przypominało to bardziej jakiś bezmyślny konkurs wzajemnego wgapienia się w siebie. Z czasem przechodziło ono w hipnotyczny trans, zaś osoba siedząca naprzeciwko zawsze zaczynała się rozmazywać w zbiorowisko barwnych rozmytych plam.

Potem była rutyna treningowa TR-0 Bullbait, jak dotąd najtrudniejsza do przejścia. Ponownie siadaliśmy naprzeciw siebie, tym razem jednak zamiast patrzeć na siebie w milczeniu, musieliśmy wytrzymać drwiny naszego trenera, który stroił sobie z nas żarty lub nas obrażał. Bez względu na wszystko musieliśmy zachować kamienną twarz. Pozostałe dzieci obecne na sali były świadkami tych szyderstw, więc oczywiście również się śmiały, sprawiając, że pełna koncentracja stawała się niemal niemożliwa. Celem TR Bullbait było nauczenie się całkowitej obojętności na zewnętrzne bodźce, choć nigdy nie zrozumiałam,

dlaczego tak ważne było zachowanie powagi w obliczu czegoś zabawnego. Czasem trudno było nawet zachować spokój, zwłaszcza gdy miało się ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem.

Choć może się to wydać dziwne, integralnym elementem TR-1 i TR-2 była *Alicja w krainie czarów*. Podczas TR-1 zwanego „Drogą Alicją” czytaliśmy na głos ustępy z *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla, starając się czytać nie za głośno i nie za cicho. Zadaniem naszego bliźniaka było sprawienie, byśmy się pomylili, a ilekroć dopiął swego, wypowiadał na głos słowo: „błąd”. TR-2 stanowiła przedłużenie „Drogi Alicji”. W ramach tej rutyny treningowej jedna osoba czytała przypadkowy fragment *Alicji w krainie czarów*, a druga miała potwierdzać, że usłyszała, wciąż powtarzając „dziękuję” albo „dobrze”. Owo potwierdzanie było istotne, ponieważ w ten sposób audytorzy mieli komunikować, że preclearzy są słyszani podczas sesji audytowania.

Wtedy ćwiczenia te nie budziły mojego niepokoju. Jednak z perspektywy czasu sądzę, że owe TR były czymś przedziwnym. Podczas TR-3 koncentrowaliśmy się na metodzie odpowiadania na typowe pytania. Uczeń pytał: „Czy ptaki latają?” albo „Czy ryby pływają?”, a trener miał zdekoncentrować ucznia, mówiąc coś od rzeczy, na przykład: „Cóż, psy latają” albo „Zimno mi”, tym samym zmuszając ucznia do powtórzenia pytania. Całe ćwiczenie polegało na powtarzaniu w kółko tego samego, póki nauczyciel nie zdecydował się udzielić poprawnej odpowiedzi.

TR-4, czyli trzymanie się tematu, polegało na ćwiczeniu umiejętności dyscyplinowania partnerabliźniaka, tak by nie odbiegał od tematu. Na przykład wciąż pytaliśmy: „Czy ptaki latają?”. Jednak nasz bliźniak zamiast udzielić na nie odpowiedzi, miał powiedzieć coś, co nie miało związku z tematem, na przykład: „Potrzebuję chusteczki”. Wtedy mówiliśmy: „W porządku, proszę”, podając mu chusteczkę i natychmiast wracając do naszego pytania: „Powtórzę pytanie. Czy ptaki latają?”, i tak dalej.

Wszystkie metody TR opierały się na powtarzalności i miały uczyć nas opanowania metod komunikacji. Naprawdę wierzyłam w to, że ich celem jest ulepszenie naszych umiejętności komunikacyjnych, jednak monotonia i powtarzalność tych ćwiczeń pod wieloma względami dały efekt przeciwny do zamierzonego. Zaczęłam odczuwać potrzebę patrzenia w oczy osobie, do której się zwracałam, albo potrzebę zasygnalizowania rozmówcy, że rozumiem, co do mnie mówi. Tymczasem metody TR wywoływały we mnie poczucie, że czymś niewłaściwym są reakcje na słowa rozmówcy czy też okazywanie w takich sytuacjach emocji. Jeśli w naszym codziennym życiu zaczynaliśmy się martwić z powodu czyichś czynów lub słów, powtarzano nam: „Czego nauczyły cię TR?”. Zawsze musiałam kontrolować emocje, a kursy mi w tym pomagały, nawet jeśli miało to oznaczać zupełne zagłuszenie owych emocji.

Choć zdawało się, że TR sprzyjają wyłącznie ujednoczeniu naszych interakcji, obecni na Ranczu dorośli najwyraźniej byli przekonani, że dzięki uczęszczaniu na te kursy w tak młodym wieku będziemy w przyszłości lepszymi członkami Sea Org. Wychowywaliśmy się w duchu metod scjentologicznych, więc nasi rodzice i inni dorośli byli podekscytowani, a nawet trochę nam zazdrościli, że mamy okazję zapoznać się z tym wszystkim w tak młodym wieku. Był to nieomal przywilej, którego oni nigdy nie dostąpili.

O dwudziestej pierwszej kończyły się nauki scjentologiczne. Teraz musieliśmy wypełnić formularze z punktacją za naukę. Były to zawierające punktację raporty z naszych codziennych postępów. Na przykład przeczytanie jednego paragrafu wytycznych LRH oznaczało zdobycie dziesięciu punktów, a za każdą nową definicję wyjaśnioną z pomocą słownika zdobywało się trzy punkty. Codziennie sumowaliśmy punkty i zapisywaliśmy je w tabelach, żeby sprawdzić, czy zdobyliśmy więcej, czy też mniej punktów niż w dniu poprzednim. Jeśli było mniej, mieliśmy nazajutrz jako pierwsi ustawić się kolejce do codziennego badania Emetrem.

Kiedy już wypełniliśmy kwestionariusze, superwizor pytał, czy ktoś z nas chciałby się pochwalić jakimś zwycięstwem. Miało być to coś, czego się adept scjentologii nauczył, a teraz mógł to zaprezentować. W trakcie prezentacji wszyscy obecni klaskali w dłonie. Każdego wieczoru odbywały się zwykle trzy, cztery prezentacje. Zdaje się, że ich celem było pokazanie innym kursantom, że dzięki technikom scjentologicznym można wiele zyskać i że takie zwycięstwo możesz odnieść również ty, wsłuchując się w nauki Kościoła. I na odwrót: jeśli nie miałeś na swoim koncie żadnych zwycięstw, mogło to oznaczać, że robisz coś źle lub że coś jest z tobą nie w porządku.

Zawsze kończyliśmy kurs w ten sam sposób: wydając trzy okrzyki na cześć L. Rona Hubbarda. Okrzyki te zaczynało wznosić, kiedy wszyscy stawaliśmy przed jego portretem wiszącym na ścianie. Choć LRH opuścił swoje ciało, wszyscy nadal postrzegali go jako bohatera, człowieka, któremu tak bardzo zależało na ludziach, że pomógł im, używając swej mądrości i wynalezionych przez siebie technik. Nie miało znaczenia, w której byliśmy sali - portret LRH wisiał w każdej, łącznie z sypialniami. Było to dziwaczne i miałam wrażenie, jakby LRH zawsze mnie obserwował.

Superwizor wydawał okrzyk: „Hip! Hip!”, a my odpowiadaliśmy: „Hura!”, a następnie przez kilka minut klaskaliśmy w dłonie.

Po tych okrzykach wracaliśmy do pokoi, gdzie przygotowywaliśmy się do spania. Dzieliłam pokój z siedmioma dziewczynkami. Wszystkie brałyśmy prysznic wieczorami, gdyż rano nigdy nie było na to czasu. Czekając na swoją kolejkę do kabiny prysznicowej -

jedna przypadała na szesnaście dziewczynek - przechadzałyśmy się po korytarzu, gawędziłyśmy i myłyśmy zęby. To była jedna z niewielu okazji w ciągu dnia, kiedy mogłam po prostu porozmawiać z koleżankami, choć i to trwało tylko pół godziny.

Światła wyłączano o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Starszy mat był w pobliżu, żeby upewnić się, że wszyscy są już w łóżkach. Nazajutrz wstawaliśmy z posłań i wszystko zaczynało się tak jak zwykle.

Nasza tygodniowa rutyna codziennie była taka sama z wyjątkiem czwartkowego popołudnia. W scjentologii tydzień zaczyna się i kończy w czwartek o czternastej po południu. Z tego też powodu czwartkowe popołudnia spędzaliśmy na żmudnym podliczaniu wszystkich danych liczbowych, aby nasi superwizorzy - zwykle zresztą były to dzieci, tak samo jak i my - mogli ocenić poczynione przez nas postępy. Dokładnie o czternastej zbieraliśmy się wszyscy w szkole na dwie godziny, które nazywaliśmy „czwartkowymi podstawami”. Podliczaliśmy nasze dzienne dane liczbowe spisywane z formularzy z punktacją, nanosiliśmy je na tabele, a następnie sprawdzaliśmy, czy robimy postępy, czy się cofamy.

W ramach „czwartkowych podstaw” uzupełnialiśmy również cotygodniowe statystyki o dane dotyczące naszych funkcji. Każdego dnia sprawdzano, czy wykonywane przez nas czynności związane z przydzielonymi funkcjami nanosimy codziennie na tabele, co miało odzwierciedlać nasze postępy. W moim wypadku - byłam oficerem łącznikowym służby medycznej - oznaczało to, że jestem oceniana na podstawie tego, ilu kadetów dzięki mnie wyzdrowiało.

W czwartki spisywałam swoje wyniki z codziennych tabel, nanosząc je na grafik. Gdy już uporałam się z tą górą gromadzonych przez tydzień danych i liczb, sporządzona przeze mnie krzywa miała wskazać, czy zmierzam w kierunku właściwym (krzywa odchyłała się w górę), czy też w niewłaściwym (krzywa odchyłała się w dół). Kierunek i odchylenie krzywej na grafiku określały formułę dotyczącą mojej kondycji, mającą mi pomóc w ustaleniu, jak mogę poprawić statystyki związane z pełnionymi przez siebie funkcjami. W zależności od treści owej formuły miałam w kolejnym tygodniu podejmować stosowne kroki, by poprawić lub utrzymać swoje statystyczne wyniki.

Owe formuły związane z kondycją były niezbędne, by oszacować, czy robimy postępy. Według LRH istniało dwanaście zhierarchizowanych kondycji czy też stanów człowieka, zaś scjentolodzy mieli nie ustawać w próbach doskonalenia własnej kondycji, ponieważ miało to prowadzić do szczęścia, sukcesów i zwiększać szansę przetrwania. Każdy zaczyna od kondycji, którą jest nieistnienie, i dopiero dzięki krokom wyszczególnionym w

formułach związanych z kondycją może tę kondycję ulepszyć, tym samym poprawiając swe ogólne samopoczucie.

Oto owe kondycje uszeregowane od najwyższej do najniższej:

Siła

Siła do dokonywania zmian

Dostatek

Normalne działanie

Sytuacja awaryjna

Niebezpieczeństwo

Nieistnienie

Zobowiązanie

Wątpienie

Wrogość

Zdrada

Dezorientacja

Każda kondycja umieszczona poniżej nieistnienia była uważana za kondycję niższą, zaś remedium na nią stanowiły podlegające stopniowaniu kary. Bycie w którejś z niższych kondycji oznaczało, że jesteś w konflikcie z grupą, że dopuściłeś się naruszenia zasad przez nią uznawanych i że trzeba to naprawić. Z zakwalifikowaniem się do niższych kondycji często wiązało się jakieś upokorzenie. Na przykład wolno ci było jeść tylko fasolę i ryż albo mogłeś być wyłączony z systemu nagród Sea Org, mogli też cofnąć lub ograniczyć wszystkie twoje przywileje. Zakwalifikowanie do niższych kondycji mogło również stanowić formę kary: w ramach zadośćuczynienia za wyrządzone zło zostawałeś zdegradowany w hierarchii kondycji, po czym znów musiałeś wspinać się w górę. Absolutnie wszystko - począwszy od pyskowania, aż po nieposłuszeństwo czy nawet taki drobiazg jak zgubienie kluczy - mogło cię kwalifikować do niższej kondycji.

Do moich obowiązków oficera łącznikowego służby medycznej należało nanoszenie na grafik postępów, które poczyniłam w ciągu tygodnia. Jeśli z grafiku wynikało, że zrobiłam postępy, pełniąc swoje funkcje, zwykowała też moja kondycja. Jeśli zachorowało bardzo wiele dzieci, grafik pokazywał tendencję zniżkową, więc musiałam to naprawić przez zastosowanie formuły kondycji zagrożenia. Mogło też być i tak, że w zależności od danej sfery życia przynależało się do różnych kondycji. Ktoś mógł przynależeć do kondycji wątpienie, gdy chodziło o finanse, zaś do kondycji dostatek w kwestii zdrowia.

Miałam zaledwie siedem lat. Podliczanie i ujmowanie w tabelach wszystkich tych

liczb wydawało mi się głupie i bez znaczenia. Nie byłam perfekcjonistką i przywiązywanie wagi do szczegółów zawsze wydawało mi się wyjąłwiające. Kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, trudno mi uwierzyć, że wymagano od nas czegoś podobnego - analizowanie tych wszystkich liczb było nie tylko nużące, ale również niewiarygodnie czasochłonne. Zmuszało nas do koncentrowania się wyłącznie na liczbach oraz formułach, nie pozostawiając czasu na zastanawianie się nad sensem tego wszystkiego. Musieliśmy przyglądać się rezultatom, wyciągać wnioski i wykonywać zalecane kroki. Cała ta praca nad liczbami, statystykami i tendencjami stanowiła dla przyszłych scjentologów najważniejszą rozgrzewkę przed wejściem w dorosłość. Im bardziej przyzwyczajaliśmy się do tego, że nasze życie daje się z tygodnia na tydzień ująć w kategoriach ilościowych, tym mniej stawało się prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek mieli z tym problem w przyszłości.

W czwartki odbywały się również nasze cotygodniowe testy Emetrem, różniące się od tych przeprowadzanych w ramach zajęć szkolnych. Podczas cotygodniowych testów wszyscy czekaliśmy w kolejce, a następnie każde z nas siadało i brało w dłoń puszkę aparatu. W przeciwieństwie do naszych codziennych testów z użyciem Emetru nie zadawano nam żadnych pytań. Przeprowadzający badanie dorosły po prostu obserwował wskaźnik przyrządu, a następnie w zależności od rezultatów stwierdzano, że odczyt jest czysty lub zamazany; pozytywny lub negatywny. Zdanie testu wiązało się z „czystym wskaźnikiem” lub „zmiennym wskaźnikiem” (rytmicznie poruszał się on wówczas tam i z powrotem). Żeby zdać test, starałam się zazwyczaj myśleć o czymś przyjemnym. Wyniki poznawaliśmy dopiero wieczorem - ogłaszano je w obecności całej grupy.

Jeśli oblaliśmy, musieliśmy wykonać podsumowanie O/W. O/W to skrót od Overts and Witholds, co generalnie oznaczało grzechy i sekrety. Overts były to grzechy lub naruszenie zasad, podczas gdy witholds były to sekrety: wszystko to, co próbowaliśmy ukryć. W gruncie rzeczy robiliśmy pisemne wyznania. Wymogi były jasno określone: najpierw mieliśmy przedstawić naturę przewinienia, następnie mieliśmy zapisać czas, miejsce, formę i zdarzenie. Mieliśmy pisać, póki nie wyznaliśmy wszystkiego i nie poczuliśmy ulgi, a wtedy następował kolejny test dokonywany Emetrem. Tym razem zadawano nam pytanie: „Czy czegoś nie pominąłeś w swym ostatnim podsumowaniu O/W?”. Jeśli ponownie oblaliśmy, musieliśmy wracać do pisania, pisząc jak najwięcej, aż w końcu wskaźnik zaczynał się rytmicznie poruszać na podziałce.

W ramach „czwartkowych podstaw” musieliśmy również sporządzać tygodniowe raporty dla naszych rodziców. Były to gotowe formularze z pustymi rubrykami na nazwisko, datę, informację o ukończonych kursach; uwagi na temat tego, czy nasze statystyki wskazują

na postęp czy regres; na opis ewentualnych zwycięstw; była też rubryka na uwagi dodatkowe. Nie przewidywano możliwości zamieszczenia uwag negatywnych. Zanim tygodniowe raporty wysłano do Int, czytali je dorośli, więc skargi dotarłyby do nich i zostałyby potraktowane jako paplanie. Było tak nie tylko w wypadku raportów tygodniowych, ale również naszych listów, niezależnie od tego, czy ich adresatami byli przyjaciele, krewni, czy rodzice. Każdy list, który otrzymałam od rodziców lub kogokolwiek innego, był najpierw otwarty, a następnie na powrót zamknięty. Inne dzieci na Ranczu doświadczały tego samego. Nie wiedziałam, w jakim celu monitoruje się naszą korespondencję. Być może dorośli pilnowali, żebyśmy nie „zakłócili” życia naszym rodzicom, którzy byli bardzo zajęci pracą. „Zakłócanie” to używane przez scjentologów słowo oznaczające niepokojenie czy przeszkadzanie. Tak więc przebywając na Ranczu, nie tylko nie mogliśmy narzekać na głos, ale też nie wolno nam było uskarżać się na nic w listach.

Piątkowy wieczór był inny. Po kolacji odbywała się uroczystość wręczenia świadectw, podczas której dzieci otrzymywały certyfikaty ukończonych kursów. Ceremonia zaczynała się od tego, że wszyscy gromadziliśmy się w mesie lub w obszernym holu podczas scjentologicznej prezentacji medialnej. Czasem było to wideo ze scjentologiczną muzyką, najczęściej jednak był to pokaz slajdów z rekrutacji do Sea Org. Nieodłącznym jego elementem były zdjęcia ludzi w uniformach, nierzadko również naszych rodziców, w tle zaś pobrzmiwała muzyka i chwytliwe slogany, takie jak: „Wezwanych jest wielu, wybrańcy - nieliczni”.

Niemal co tydzień pokazywano „Misję w czasie” LRH. Występował w niej L. Ron Hubbard przywołujący swe poprzednie wcielenia, które sięgały setek lat wstecz, i rejestrujący dzieje swej podróży, której celem było nawiązanie łączności z owymi inkarnacjami. Jedynie na podstawie własnych wspomnień z poprzednich wcieleń Hubbard wymieniał rozsiane po całym świecie miejsca, w których - w minionych wcieleniach - zakopał różne nieznanne przedmioty. Następnie prezentowano w trakcie pokazu historię pierwszych członków Sea Org, którzy udali się w owe miejsca w poszukiwaniu zakopanych przedmiotów. Wyruszyli na jachcie dookoła świata i rzecz jasna wszystkie je znaleźli. Za każdym razem gdy oglądałam wszystkie te slajdy, miałam gęsią skórę.

Po zakończeniu pokazu dzieci, które zaliczyły kursy, otrzymywały certyfikaty i burzę braw. Potem było rozdanie nagród w takich kategoriach, jak uczeń tygodnia, kadet tygodnia oraz oddział tygodnia. Uroczystość kończyła się oklaskami dla LRH oraz trzema wiwatami na jego cześć.

Najlepsza część następowała po rozdaniu dyplomów, kiedy otrzymywaliśmy



kieszonkowe w wysokości pięciu dolarów. Musieliśmy pokwitować odbiór, a część tej sumy odprowadzano na ubezpieczenie społeczne i medyczne, więc tak naprawdę dostawaliśmy około czterech i pół dolara. Były również potrącenia z tytułu zbiorów na prezenty dla obchodzących urodziny dorosłych oraz członków kadry kierowniczej, obejmujące każdego, kto uczestniczył danego tygodnia w obchodach. Jeśli dokonywano podsumowania statystyk Cadet Org, czasem przyznawano specjalne nagrody organizacji, co wiązało się z tym, że wszyscy mogliśmy obejrzeć jakiś film i zjeść popcorn przed udaniem się na spoczynek, czasem zaś urządzano nam nawet wycieczkę terenową. A gdy wszystko dobiegło końca, wracaliśmy do pokoi, żeby przygotować się do snu.

W soboty nie chodziliśmy do szkoły, musieliśmy jednak wykonać prace pokładowe polegające na generalnym sprzątnięciu naszych kajut oraz wszystkich budynków, tak by mogły przejść test białej rękawiczki. Mój przydział stanowiło wysprzątanie budynku szkolnego. Mimo tych intensywnych prac porządkowych lubiłam soboty, bo wkrótce potem widywaliśmy się z rodzicami, a w dodatku tylko w ramach sobotnich kolacji dostawaliśmy deser - zazwyczaj były to kruche ciasteczka z czekoladą. Gdy kończono inspekcję i przeprowadzano test białej rękawiczki, dochodziła mniej więcej dziesiąta wieczór. Wszystko to było męczące, jednak perspektywa odwiedzin w relatywnie luksusowym apartamencie moich rodziców była warta tych trudów.

## Rozdział siódmy

### Ucieczka

Dzięki naszej pracy Ranczo powoli piękniało. Drogi zostały wybrukowane, a budynki pomalowane na ceglasterowy kolor z białymi wykończeniami. Były tam również ogrody, trzy szkółki z drzewami granatu i jabłoniemi, wzgórze gęsto obsadzone krysztalką lśniącą, boiska sportowe ze świeżo skoszoną trawą, a całą posiadłość otaczały piękne kamienne mury. Doprawdy ciężko było uwierzyć, że są to te same jałowe, pokryte warstwą pyłu grunty, jakie zastałam tu na początku. Łatwo można było zrozumieć, że na pierwszy rzut oka ludzie z zewnątrz uznają to za świetne miejsce do wychowywania dzieci: coś w rodzaju niekończącego się letniego obozu. Jednak mnie ciężko było cieszyć się tymi udoskonaleniami, zważywszy na wysiłki, jakie się z nimi wiązały.

Ani pobyt na Ranczu, ani przynależność do kadetów nie sprawiały mi już przyjemności. Codzienne prace pokładowe nieznośnie mi ciążyły, zaś trudy uczestnictwa w kursach mnie przytłaczały. Praca fizyczna miała na mnie negatywny wpływ, jednak najbardziej stresowało mnie to, że oczekiwano od nas umysłowości osób dorosłych. W obliczu wszystkich tych procedur, informacji i obowiązków, które codziennie wypełniały nam głowy, nie mogliśmy sobie pozwolić na odrobinę marzeń czy fantazji. Trudno pojąć, że będąc dziećmi, posiadaliśmy zdolność ogarniania codziennych i cotygodniowych statystyk, identyfikowania odzwierciedlanych przez nie tendencji, by następnie stosować kompleksowe strategie i codziennie układać nowe plany bojowe pomocne w osiągnięciu naszych celów. Niezależnie od tego, czy chodziło o złożenie podpisu pod wydawanymi do pracy narzędziami, czy też o to, że każdy stolik miał własną hierarchię: przewodniczącego, skarbnika i stewarda - wszystko krępował sztywny gorset biurokracji. Sprzątanie musiało się odbywać w ściśle określony sposób, wyłożony przez LRH w „Kursie sprzątania”. Opisuje się tam szczegółowo, jak należy czyścić okna i klamki, przedstawia się też wytyczne w kwestii kolejności poszczególnych czynności wykonywanych w trakcie sprzątania pokoi. Codziennie sprawdzano, czy nasze łóżka zostały zaścielone tak schludnie jak w szpitalach, czego wszyscy nauczyliśmy się podczas kursu „Jak ścielić łóżko”. Nawet jeździć na rowerze pozwalano nam dopiero po ukończeniu stosownego kursu.

Do tej drobiazgowości i nudy dochodziło to, że każde z nas na co dzień było odpowiedzialne za porządek w co najmniej trzech miejscach. Na wypadek pożaru, włamania

czy trzęsienia ziemi każde z nas bez wyjątku miało przydzielone jakieś obowiązki - jedni mieli ocenić rozmiary zniszczeń, a jeszcze inni kierować akcją ewakuacyjną. Co tydzień mieliśmy próby alarmu, podczas których sprawdzano, ile czasu każdemu z nas zajmuje wykonywanie owych obowiązków.

Uzyskanie pozwolenia na czas wolny wymagało niewiarygodnego zachodu i starań. Ilekroć chciałam mieć jakiś czas dla siebie - jeśli na przykład mama przebywała z wizytą w Int - musiałam wystosować formalne podanie, przy czym konieczne było znalezienie zastępcy, który wykona za mnie moje obowiązki. Mogliśmy składać podania nie częściej niż raz na dwa tygodnie, a wychodne otrzymywaliśmy tylko wtedy, gdy wykresy wskazywały na poczynione postępy, my zaś nie kwalifikowaliśmy się do którejś z niższych kondycji. Jeśli te warunki były spełnione, podanie musiały zaakceptować co najmniej cztery osoby.

Lista obowiązków i procedur ciągnęła się w nieskończoność, a skutkiem całej tej papierkowej roboty i wszystkich regulacji było to, że na Ranczu nie było dzieci - byli tam tylko mali dorośli. Podczas szczególnych uroczystości ubierano nas w urocze stroje i paradowaliśmy przed rodzicami oraz członkami załogi Int, by mieli wrażenie, że scjentologia stwarza warunki do normalnego i radosnego dzieciństwa, podczas gdy w rzeczywistości wszystkim nam je skradziono. Złudzenie normalności istniało jeszcze tylko dlatego, że pełniliśmy też funkcje rodziców wobec innych dzieci - opiekowaliśmy się sobą nawzajem, gdy któreś z nas było chore, pocieszaliśmy się podczas bezsennych nocy, wzajemnie się dyscyplinowaliśmy, gdy puszczały nam emocje, wzajemnie się dokarmialiśmy, kiedy byliśmy głodni, i pomagaliśmy sobie w odrabianiu zadań szkolnych, gdy któreś z nas nie radziło sobie z nimi. Owszem, byliśmy odpowiedzialni za powierzone nam stanowiska, za przebieg prac pokładowych, za postępy w szkole, na kursach scjentologii i za prace wykonane podczas sprzątanía - przede wszystkim jednak byliśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem.

Przez większość dni usiłowałam po prostu utrzymać się na powierzchni, ale najgorsze były noce. Śmiertelnie się ich bałam. Często po wygaszeniu świateł słyszeliśmy wycie kojotów i choć drzwi były zamknięte, wiedziałam, że dzika przyroda nie jest zbytnio od nas oddalona. Bujna wyobraźnia mi nie pomagała, zwłaszcza w ciemności. Czasem budziłam się w środku nocy, czując strach tak wielki, że przechodziłam do łóżka którejś z moich najlepszych przyjaciółek, by się nieco uspokoić. Najlepsze noce były wtedy, kiedy śniłam, że spędzam wolne dni w towarzystwie rodziców, jednak nawet wówczas czekało mnie rozczarowanie, gdy przebudziwszy się, uświadamiałam sobie, że to tylko sen.

Choć bliskość rodziców była pokrzepiająca, bardzo za nimi tęskniłam. Mieszkanie w tym samym miejscu co Justin stanowiło dla mnie pewne wsparcie, on jednak zachowywał się

jak typowy starszy brat w najgorszym tego słowa znaczeniu. Podczas pierwszych spędzonych na Ranczu miesięcy fakt, że Justin był w pobliżu, miał dla mnie wielkie znaczenie, bo pomagał mi się oswoić z tamtejszym życiem. Jednak kiedy wstępowałam do kadetów, Justin był już skupiony głównie na swoich przyjaciółach i własnych zmaganiach z rzeczywistością Rancza i nie zawsze był w stanie poprawić mi samopoczucie, nie zawsze też miał na to ochotę. W końcu nie był przecież moim rodzicem. Czasem, gdy ogarniało mnie przygnębienie, próbował mi pomóc, a znowu kiedy indziej tylko jeszcze bardziej mnie wkurzał.

Ani Kościoła, ani rodziców nie obwiniałam o to, co się działo na Ranczu. Winiłam za to tych dorosłych, którzy w moim odczuciu źle mnie traktowali. Byłam pewna, że gdybym mogła po prostu opowiedzieć o tym, co się dzieje, komuś z zewnątrz, wszystko by się zmieniło. Nie potrafiłam stwierdzić, ile moi rodzice wiedzieli na temat tego, jak czułam się na Ranczu. Z ich sporadycznych uwag wnioskowałam, że widzieli moje zdjęcia przy pracy fizycznej, więc musieli być świadomi, że je wykonuję. Mój ojciec wraz z innymi dorosłymi uczestniczył od czasu do czasu w remontowych sobotach, widział zatem na własne oczy, co robią jego dzieci. Podejrzywałam jednak, że żadne z moich rodziców nie miało pojęcia, jak źle znośłam życie na Ranczu, byłam też pewna, że gdy się o tym dowiedzą, natychmiast zrobią coś, by to zmienić. Dowiedziawszy się, jak bardzo jest mi źle, jak mogliby mnie stąd nie zabrać?

A jednak coś powstrzymywało mnie przed zrelacjonowaniem wszystkiego. Choć naprawdę miałam taki zamiar, wahałam się, i to nie ze strachu przed ewentualnymi kłopotami, lecz z obawy, że może się okazać, iż problem tkwi nie w tutejszych warunkach życia, lecz we mnie. Dzieci wokół mnie radziły sobie z pracą pokładową, objaśniały zadane słowa - i chyba tylko kilkoro z nas, w tym ja, przeżywało istne męki. Miałam wrażenie, że to ze mną jest coś nie w porządku. Nie było w pobliżu nikogo, kto pomógłby mi zrozumieć moje odczucia i kto powiedziałby, że dzieci nie są od tego, by wykonywać podobne prace. Toteż obawiałam się, że jeśli pójdę prosto do rodziców i o wszystkim im opowiem, tylko ich rozczaruję. Nie chciałam sprawiać im zawodu, więc zrobiłam jedyną rzecz, która wydawała mi się sensowna: siedziałam cicho i planowałam ucieczkę.

Spędziwszy na Ranczu już cały rok, miałam serdecznie dosyć takiego życia. Nie byłam osamotniona w swoim nieszczęściu. Moja przyjaciółka Rebecca również nie znosiła tego miejsca. Przyjechała na Ranczo na krótko po mnie. Jej matka pracowała w Religious Technology Center na stanowisku urzędniczym, a mieszkała w Int. Rebecca była mniej więcej o rok starsza ode mnie, miała proste ciemne włosy, błyszczące oczy i wprost

uwielbiała zwierzęta, dzięki czemu idealnie nadawała się do funkcji, którą pełniła na Ranczu - opiekuna wszelkiego rodzaju zwierząt zamieszkujących posiadłość. Zajmowała się więc kozami, kaczkami, kurami oraz końmi, które żyły w zagrodzie. Choć miała pracę, którą lubiła, wszystkie pozostałe elementy naszej codziennej rutyny - prace pokładowe, kursy - również jej wydawały się nieznośne.

Któregoś dnia na początku maja Rebecca i ja ukułyśmy plan ucieczki. Przez co najmniej tydzień obmyślałyśmy, czego będziemy potrzebować i dokąd się udamy. Wiedziałyśmy tylko tyle, że nie możemy pojechać do bazy. Nawet gdyby udało mi się pokonać trzydzieści kilometrów dzielących nas od Int Base, moi rodzice najprawdopodobniej oddaliby mnie z powrotem w ręce scjentologów, musiałam więc znaleźć jakieś nowe lokum. Mój plan był mniej więcej taki: zamieszkam w podziemnej jaskinikryjówce, którą sama sobie wykopię, a jeść będę croissanty - zamierzałam je podkraść w wy-imaginowanych piekarniach, których - o czym nie wątpiłam - musi być pod dostatkiem w świecie WOGS.

I tak oto w maju 1992 pewnego czwartkowego wieczoru nadszedł czas, byśmy z Rebeccą urzeczywistniły nasz plan. Spakowałam swoje ubrania i bluzę z kapturem należącą niegdyś do mojej matki. Nieco wcześniej tego samego dnia ukradłam trochę warzyw z jednego z ogrodów, którym się zajmowaliśmy, a z zagrody dla kur - trochę jajek. Były przeznaczone dla stryja Dave'a. Kury przywożono na Ranczo i trzymano w specjalnych klatkach na ogrodzonym terenie. Kiedy zniosły jajka, gromadziliśmy je, a potem wysyłaliśmy do Int Base - specjalnie dla stryja Dave'a.

Właściwie nie po raz pierwszy kradłam jajka przeznaczone dla stryja. Kilka miesięcy wcześniej również podebrałam kilka jajek z zamiarem wyhodowania z nich kurcząt w swojej komodzie. Wpakowałam się przez to w kłopoty, bo ktoś przyłapał mnie na gorącym uczynku. Pan Parker i pan Bell wpadły we wściekłość, dowiedziawszy się o tym. Nie pozostawiły cienia wątpliwości, że gdy stryj dowie się o wszystkim, znajdę się w tarapatkach. Kazano mi napisać do niego list, w którym miałam wyznać, że ukradłam jajka, lecz ku mojemu zdziwieniu i ku zaskoczeniu pana Parker oraz pana Bell stryj okazał się wspaniałomyślny. Odpisał mi, tłumacząc w liście, że w mojej komodzie z pewnością nie jest wystarczająco ciepło, by plan mój mógł wypalić, i że jeśli chcę wyhodować kurczaki, musiałabym mieć inkubator. Teraz ponownie dopuściłam się kradzieży. Wiedziałam, że wiele ryzykuję, nie miałam jednak wyboru. W końcu ja i Rebecca potrzebowałyśmy żywności.

Rebecca nie znosiła zwłaszcza pana Parker. Kobieta potrafiła nas zastraszyć, choć do mnie nie odnosiła się tak źle jak do innych dzieci. Rebecca nalegała, byśmy przed naszą ucieczką napisały do niej list, w którym jej wszystko wygarniemy. Napisałyśmy, że mamy

dosyć; że wyruszamy do świata WOGS i że nie zamierzamy wracać. Od siebie Rebecca dopisała, że jej nie znosimy i że jest naprawdę podła. Napisałyśmy również, żeby pożegnała od nas rodziców, bo od tej chwili będziemy żyć na własny rachunek.

Serce waliło mi jak młotem, gdy kładłyśmy list na biurku pana Parker w jej mieszkaniu w Cottage. Również w oczach Rebekki widziałam strach. Mimo zuchwałego tonu naszego listu obie tak bardzo się bałyśmy, by nas nie złapano, że niewiele zastanawiałyśmy się nad tym, co ze sobą pocniemy, kiedy już wydostaniemy się z Rancza. Nagle opuściła mnie moja wcześniejsza pewność, było już jednak za późno, by się wycofać. Pobiegłyśmy na parking, gdzie stały rowery, i każda wsiadła na swój. Do mnie należał różowy huffy z koszykiem z przodu - kupił mi go tata. Do koszyka włożyłam plecak z jedzeniem. Jadąc drogą wiodącą do głównej bramy, pokonałyśmy jakieś czterysta metrów. Wiedziałyśmy, że musimy zachowywać się jak najciszej, przechodząc pod bramą, bo ktoś mógł nas usłyszeć przez interkom.

Nie wiedziałam, że przeciągnięcie pod bramą roweru z koszykiem pełnym żywności okaże się tak trudne. Rzecz jasna, cała zawartość plecaka wypadła na ziemię. Rebecca rzuciła mi się na pomoc, gdy zaczęłam zbierać rzeczy, i wkrótce znowu siedziałyśmy na rowerach, pedałując po stromym wzgórzu ile sił w nogach i jadąc nieco za szybko - ja w każdym razie nie czułam się komfortowo. Kiedy jechałyśmy mostem nad rzeczką, obie chwiałyśmy się na naszych rowerach tak bardzo, że popatrzyłyśmy na siebie ze strachem. Rebecca dodawała mi otuchy, powtarzając, że się nam uda. Kiedy w końcu znalazłyśmy się na drugim brzegu, odczułyśmy wielką ulgę.

Słońce, które właśnie zachodziło, gdy przemykałyśmy pod bramą wjazdową na Ranczo, całkiem zniknęło, gdy przenosiłyśmy rowery nad ogrodzeniem dla bydła. Często słyszałam, że można sobie w ten sposób złamać nogę, więc byłyśmy bardzo ostrożne. Ogrodzenie stanowiło granicę między Ranczo a rezerwatem Indian.

Po przejechaniu mniej więcej półtora kilometra ujrzałyśmy w oddali światła nadjeżdżającego samochodu. Czym prędzej zjechałyśmy z drogi, rzucając rowery w przydrożne krzaki, a same pobiegłyśmy ukryć się za niewielkim pagórkiem. Myślałyśmy, że samochód pojedzie dalej, ale ku naszemu przerażeniu usłyszałyśmy odgłos zatrząskiwanych drzwi, a potem kroki.

Po chwili kroki zaszeleściły w trawie tuż przy nas. Spojrzałyśmy na siebie zmartwiałe ze strachu. Byłam pewna, że przyszli po nas Indianie. Po Ranczu zawsze krążyły opowieści, jak to Indianie, gdy nie rozpoznają przejeżdżających drogą ludzi, czasami do nich strzelają. Słyszałyśmy też o ludziach zabitych niedaleko miejscowego kasyna dla Indian, w miejscu

gdzie zaczynały się ich posiadłości. Jeszcze tam nie dotarliśmy, ale mógł to być jeden z hazardzistów wracający właśnie do domu.

Jednakże w samochodzie nie było obcych. Spojrzałam za siebie i ujrzałam Joego Conte z Taryn i jej przyjaciółkami, Jessicą i Heather, tkwiącymi na tylnym siedzeniu. Nasza ucieczka nie wypaliła.

- Ależ z was idiotki - zaatakowała nas Taryn. Chwyliła nasze rzeczy i wepchnęła nas do samochodu. Heather i Jessica wzięły nasze rowery. - Przez was, smarkule, nie zdążymy na początek uroczystości - powiedziała z przyganą w głosie.

Zapomniałam już, że owego wieczoru, kiedy postanowiłyśmy uciec, przypadał Dzień Dianetyki obchodzony 9 maja. Aby uczcić ten dzień, scjentolodzy organizowali doroczną uroczystość transmitowaną drogą satelitarną do wszystkich baz scjentologów, nie wyłączając Rancza. Taryn, Jessica i Heather śpieszyły się, żeby nagrać uroczystość dla mieszkańców Rancza. A ponieważ musiały ruszyć za nami w pościg, straciły początek ceremonii, czyli jej najlepszą część - zwykle były to popisy tancerzy i piosenkarzy. Teraz więc ja i Rebecca nie tylko miałyśmy mieć kłopoty w związku z próbą ucieczki, lecz również naraziłyśmy się każdemu, kto stracił przez nas szansę obejrzenia początku uroczystości.

Łzy płynęły po twarzy Rebekki, a mnie aż ogarnęły mdłości, gdy wracałyśmy na Ranczo wiezione na pace pikapa. Czuliśmy dotkliwie zimno, otaczały nas starsze od nas dziewczyny, zaś ostre zakręty na drodze sprawiały, że rzucało nami po całej pace samochodu. Ktoś otworzył nasz plecak i wyciągnął marchewki, które wzięłam z ogrodu, oraz skradzione z zagrody jajka. Wszystkie dziewczyny jak na komendę wybuchnęły śmiechem i lekceważącym tonem zaczęły zadawać pytania, nie czekając jednak na odpowiedź.

- Zamierzałyście przeżyć o surowych jajkach i marchewce? - zapytała jedna z nich.

- Dokąd się wybierałyście? - spytała inna.

- Do świata WOGS, jak najdalej od całej tej waszej podłości! - krzyknęłam w odpowiedzi.

Nie rozumiałam, dlaczego nikt nie traktuje nas poważnie - naprawdę chciałam już wtedy znaleźć się w świecie WOGS. Dziewczyny tylko patrzyły po sobie i wprost pękały ze śmiechu.

Kiedy w końcu auto zatrzymało się przed budynkiem szkoły, byli tam już Justin i Sterling. Śmiali się i dokuczali nam, szydząc z niedorzeczności naszego zachowania. Wszystko to zapewne by mnie rozwścieczyło, gdybym nie była przerażona na myśl o przyjęciu, jakie zapewne zgotowała nam pan Parker.

Pan Parker była właśnie w szkole, ja zaś niebawem dowiedziałam się, że członkowie

personelu wiedzieli o naszej ucieczce, nim jeszcze dotarliśmy do bramy Rancza. Pan Parker była wściekła i rozczarowana. Przez chwilę krzyczała na nas, oświadczając, że obie zostałyśmy zakwalifikowane do niższych kondycji i że pierwszą rzeczą, jaką zrobimy nazajutrz, będzie rozpoczęcie procesu naprawy tego stanu rzeczy. Kara była zresztą łagodna w porównaniu z tym, czego się spodziewałam, ale i tak nie znosiłam niższych kondycji. Zakwalifikowano nas do zobowiązania, co oznaczało, że musimy odpokutować swoje zachowanie. Zakwalifikowanie delikwenta do kondycji „zobowiązanie” oznaczało, że każdy członek grupy musiał podpisać dokument, w którym oświadczał, że akceptuje czarną owcę na powrót w owej grupie. Jeśli większość się na to nie godziła, winowajca musiał poczynić jeszcze więcej starań, by odpokutować swoje zachowanie, póki znów go nie zaakceptowano.

- Jeśli znów spróbujecie uciec, dostaniecie podwójną karę - zagroziła pan Parker.

Kara Rebekki była surowsza niż moja. Nie tylko spadła do niższej kondycji, lecz również na kilka tygodni przeniesiono ją z kadetów do grupy dzieci. To, że Rebecę spotkała gorsza kara, nie było sprawiedliwe, ale nie zamierzałam tego kwestionować. Taryn mnie nie oszczędzała, nazywając mnie zepsutym bachorem, któremu się upiekło.

Owego wieczoru obie z Rebecą od razu położyłyśmy się do łóżek, zbyt upokorzone, by rozmawiać ze sobą czy z kimkolwiek innym. Następnego ranka zaraz po przebudzeniu ogarnął mnie taki niepokój, że nie mogłam przestać wymiotować. Po śniadaniu było jeszcze gorzej.

Moja przyjaciółka Eva wyglądała na zmartwioną, ale Taryn zupełnie się tym nie przejęła.

- Sama to na siebie ściągnęłaś - stwierdziła oschle.

„Ściągnąć coś na siebie” było scjentologicznym określeniem wyrażającym przekonanie, że zrobiwszy coś złego, „ściągało się na siebie” coś złego. „Ściąganie na siebie” przypominało nieco karmę - różnica polega na tym, że „ściągnięcie na siebie” czegoś złego było gwarantowane, gdy popełniło się jakieś wykroczenie. Każdy człowiek, thetan, wyrządza sobie krzywdę, aby ukarać siebie za popełnione wcześniej zło.

Pan Parker podzielała w tej kwestii poglądy Taryn.

- Niech ci się nie wydaje, że ponieważ się rozchorowałaś, będziesz mogła uniknąć odpokutowania za to wszystko - mówiła.

Ja zaś pragnęłam jedynie przestać wymiotować. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu.

Rebecę i mnie przydzielono do pracy z panem Cathy Mauro, oddzielnie od reszty grupy. Na pewno przydział mógł być gorszy - miałyśmy wyplewić skalniaki w Cottage. Ale i



tak wolałyśmy znaleźć się pod nadzorem pana Mauro niż pod nadzorem pana Parker.

Żadna z nas nie dostała pozwolenia na oglądanie transmisji z międzynarodowej uroczystości scjentologicznej. Wszystkie dzieci na Ranczu poinformowano, że to przez nas początek pokazu nie został nagrany. Dzieci oglądające nagranie z transmisji relacjonowały nam potem, że po tych słowach zostałyśmy wygwizdane.

Przez większą część kolejnego tygodnia pan Parker zachowywała dystans wobec mnie. W piątek, gdy przyjechał mój ojciec, podeszła do mnie i oznajmiła, że muszę opowiedzieć ojcu o swoim czynie. Obiecałam, że to zrobię, choć oczywiście bardzo tego nie chciałam - za bardzo się bałam, że tata będzie się za mnie wstydził. Po jego przyjeździe wybraliśmy się na plac zabaw, z którego zwykle korzystano tylko w trakcie przerwy - by spotkać się tam z panem Parker.

- Dzień dobry, sir - przywitała się z ojcem pan Parker.

Ojciec był wysokim rangą zwierzchnikiem w Kościele, dlatego tak się do niego zwracano. Zawsze dziwnie się czułam, słysząc, jak inni dorośli mówią do moich rodziców „sir”, ponieważ odnosiłam wtedy wrażenie, że oni są szefami wszystkich innych.

- Czy Jenna opowiedziała panu, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu? - zapytała pan Parker.

Ojciec sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- O co chodzi, skarbie? - zwrócił się do mnie.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam płaczem.

- Miałam ci powiedzieć, że wszyscy na Ranczu są dla mnie bardzo niedobrzy - zaszlochałam.

Wcale nie to obiecałam powiedzieć, ale nie mogłam się zdobyć na wyznanie, że zrobiłam coś złego.

Twarz pana Parker stężała - najwyraźniej pod wpływem irytacji z powodu mojego zachowania. Następnie pan Parker czym prędzej zrelacjonowała wszystko ze szczegółami, podczas gdy ja nie przestawałam płakać. Tata podziękował za informacje i oświadczył, że teraz on się wszystkim zajmie, a następnie oddalił pana Parker. Choć byłam zdruzgotana, nie mogłam wyjść ze zdumienia, widząc, że ktoś postępuje w ten sposób z panem Parker. Tak bardzo przywykłam do tego, że to ona ma władzę, że nagła zamiana ról wydała mi się intrygująca.

Tata mnie objął i zapytał, dlaczego próbowałam uciec. Spojrzałam na niego, myśląc o wszystkim, przez co przeszłam na Ranczu. Chciałam mu powiedzieć, jakie to dla mnie trudne - ale po prostu nie byłam w stanie. Tak bardzo się bałam, że go zawiodę. Było coś jeszcze, co

sprawiło, że nie powiedziałam mu prawdy: być może - myślałam - on o wszystkim wie, ale uważa, że to, do czego nas zmuszają, jest zgodne ze scjentologiczną misją ocalenia ludzkości.

Takiego odkrycia bym nie zniosła, więc zamiast zdać mu relację ze wszystkiego, zdobyłam się tylko na stwierdzenie, że uciekłam, bo byłam przygnębiona i chciałam się przekonać, jak wygląda świat WOGS. Na co tata tylko się uśmiechał, jakby sądził, że mój spisek to naprawdę świetny pomysł, co było dla mnie raczej frustrujące. Traktowałam próbę ucieczki z całą powagą. Tata nie wnikał głębiej w przyczyny mojego zachowania, a ja mu ich nie wyjawiałam. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tej sprawy.

Po jego wyjeździe pan Parker posłała mi złe spojrzenie, ale na tym się skończyło. Nikt już nie robił mi problemów. Nie byłam pewna, czy jest tak dlatego, że dostatecznie odpokutowałam swój występki, czy też dlatego, że tata szepnął słówko komuś wysoko postawionemu. Tak czy inaczej, postąpiłam jak każdy porządny scjentolog - nie kwestionowałam tego.

## Rozdział ósmy

### "Droga Jenno..."

Czas mijał bardzo wolno, ale wraz z jego upływem, dzięki pracy, którą wykonywaliśmy w ramach projektów pokładowych, Ranczo wyglądało coraz lepiej. W Big House mieściły się teraz mesa, bufet, biura dorosłych, niewielkie biura dowódców oddziału kadetów oraz centrum komunikacji, gdzie otrzymywaliśmy listy, kopie uwag na nasz temat oraz pochwał.

Na Ranczu nie tylko rozwijałam się fizycznie, ale czyniłam również postępy w nauce, zaliczając jeden kurs po drugim. Po nieudanej ucieczce stałam się bardziej potulna, co jednak wcale nie sprawiło, że praca przychodziła mi z większą łatwością. Ponieważ jednak uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie mam innego wyboru, skupiłam się na kursach oraz na tym, by moje etyczne dossier prezentowało się jak najlepiej - żebym pewnego dnia mogła ukończyć szkołę i na zawsze opuścić Ranczo.

Coraz rzadziej widywałam mamę. Nasze kontakty ograniczały się do jednej w tygodniu rozmowy telefonicznej albo też - co zdarzało się częściej - do wymiany listów. Listy od mamy były sentymentalne i obfitowały w nowiny. Każdy z nich pieczołowicie przechowywałam w pudełku na dnie komody. Gdy czułam się samotna, wyjmowałam je i po raz kolejny czytałam. Ich widok, niezależnie od tego, jak były krótkie, zawsze wywoływał we mnie poczucie, że może poza Ranczem jest jakieś miejsce, do którego przynależę i gdzie jestem kochana.

Najdroższa JennoFasolko, jest sobotni ranek, a ja siedzę na werandzie z tyłu budynku, w którym mieszkam. Myślałam o tobie ze sto razy, więc postanowiłam do ciebie napisać. Trudno się do ciebie dodzwonić [sic]. Bardzo za tobą tęsknię. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem typową matką, która zawsze jest przy dziecku - w rzeczy samej nie ma mnie przy tobie już prawie od dwóch lat. Ani przez chwilę jednak nie myśl, że moja miłość do ciebie jest choćby odrobinę mniejsza. Wciąż jesteś dla mnie wszystkim! Jesteś najjaśniejszą iskierką w moim życiu. Nawet nie marzyłam o tym, że będziesz tak dobra i mądra. Jesteś tak bystra i masz tak chłonny umysł, że aż mnie to zadziwia. Tata i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Tutaj wszystko dobrze się układa. Zaczyna robić się bardzo parno, ale na Florydzie to normalne.

Przesłałam tacie kilka swoich zdjęć - są fatalne. Ale możesz sobie na nie popatrzeć,

żeby przynajmniej wiedzieć, jak wyglądam.

Zadzwoń do ciebie jutro.

Kocham cię!

Buziaki, mamusia

Takie słowa zawsze przynosiły ukojenie. To prawda, że mama nie była „typową matką”, jednak ona sama również nie miała typowej matki. Miała zaledwie dwanaście lat, gdy moja babcia, Janna Blythe, zaprowadziła ją do scjentologów. Janna, nałogowa palaczka, była bardziej intelektualistką aniżeli matką i miała niezwykle cięty dowcip. Pracowała jako nauczycielka angielskiego, a dorabiała, wystawiając polisy ubezpieczeniowe. Ponieważ dużo pracowała, moją mamą i jej licznym rodzeństwem zajmowała się niania, póki dzieci nie były na tyle wyrosnięte, by mogły opiekować się sobą nawzajem.

Janna skończyła anglistykę na uniwersytecie w Illinois i uwielbiała czytać. Miała buntowniczą naturę - czytała więc książki science fiction, które w owym czasie uważano za bezwartościowe. Książki L. Rona Hubbarda z gatunku fantastyki zafascynowały ją do tego stopnia, że sięgnęła po inne jego prace i w ten sposób w roku 1957 - w tym samym roku urodziła się moja mama - natrafiła na *Dianetykę*. Po jej przeczytaniu babcia Janna zaczęła testować na wszystkich swoich dzieciach - Griffie, Jennifer, Johnie, Mickeyu, mojej matce Teresie, Mary, Jamesie i Sarah - opisane w książce newage'owe techniki uzdrawiania. Rodzina była bardzo uboga i dzięki wykorzystywaniu *Dianetyki* babcia najwyraźniej sporo zaoszczędziła, nie chodząc do lekarzy. Jannie bardzo podobał się zaproponowany w książce racjonalny sposób myślenia i obietnica, że dzięki dianetyce czytelnik zapanuje nad własnym życiem i upora się z przeszłością, bez względu na to, jak bardzo byłby stary lub jak bardzo młody.

Przez wiele lat babcia od czasu do czasu korzystała z porad dianetyki w taki właśnie sposób. Jednak pewnego dnia w 1969 roku zauważyła egzemplarz *Dianetyki* na witrynie misji scjentologicznej. Weszła do sklepu. Od tej chwili jej los był przesądzony. Zaczęła uczestniczyć w organizowanych przez misję kursach, a dwa lata później oboje z moim dziadkiem Billem postanowili się przeprowadzić z całą rodziną do Los Angeles. Tam wszyscy dołączyli do Sea Org i zamieszkali na statku organizacji o nazwie Excalibur.

Dziadkowie szybko się przekonali, że Sea Org wymaga wielkich poświęceń. Po zaledwie kilku miesiącach doszli do wniosku, że to nie dla nich. Zwłaszcza dziadkowi nie podobało się to, w jakich warunkach miały mieszkać jego dzieci, a zwłaszcza to, że musiały spać na materacach na podłodze. Kiedy Bill i Janna przygotowywali się do opuszczenia organizacji, ku swemu zaskoczeniu stwierdzili, że moja mama ani myśli odejść razem z nimi.

Szalenie podobało jej się to, że w scjentologii dzieci traktowane są jak mali dorośli: mają wprawdzie dużo obowiązków, ale są traktowane z szacunkiem. Co więcej, miała poczucie, że bierze udział w ogólnoswiatowym ruchu, który właśnie nabiera rozpędu; dianetyka i scjentologia były czymś tak nowym, że były zaledwie odrobinę starsze niż ona sama; moja mama i scjentologia, by tak rzec, rozwijały się równocześnie.

Na próżno dziadek Bill starał się skłonić mamę, by wraz z nimi porzuciła organizację. Odmówił zrzeczenia się prawa do opieki nad córką. Wiele lat później mama opowiedziała mi, że była ukrywana przez organizację, kiedy przedstawiciele prokuratury przyszli do biura, prowadząc śledztwo w sprawie zarzutów o znęcanie się scjentologów nad dziećmi. Prokuratura prowadziła również dochodzenie w sprawie zupełnie małych dzieci, których organizacja nie posyłała do szkoły, więc mamę wysłano do Portugalii, aby dołączyła do brata przebywającego na statku Apollo stojącym w porcie w Lizbonie, gdzie nie musiała chodzić do szkoły.

Przebywanie z dala od rodziców nie stanowiło dla mamy większego problemu. Być może dlatego rozłąka ze mną była dla niej łatwiejsza do zniesienia. Jako nastolatka pragnęła zdystansowania się wobec reszty swej rodziny i może później miała wrażenie, że ja również mam taką potrzebę, choć byłam znacznie młodsza niż ona w chwili rozstania z rodzicami.

Listy mamy były dla mnie źródłem wielkiej radości, nie mogły jednak zrekompensować mi jej nieobecności. Dodawały mi wprawdzie otuchy, ale mama przypominała mi w nich również, że nie będzie jej przez kolejne miesiące:

Droga Jenno, bardzo ci dziękuję za list. Dostałam go właśnie dzisiaj i bardzo mnie ucieszył.

Papier, na którym piszesz, przypomina ten, którego się używa podczas nauki pisania. I widzę po twoim stylu pisma, że nabierasz coraz większej wprawy; to bardzo dobrze. Na pewno zadzwonię do ciebie któregoś dnia w tym tygodniu...

Cieszę się, że Sarah Kitty ma się dobrze. Czasem się martwię, że nie ma nikogo, kto by się z nią bawił, kiedy mnie z nią nie ma, ale jestem pewna, że ty i JPtaszek bawicie się z nią w weekendy, więc nie jest źle. Czy ona nadal lubi trawę, którą dla niej hodujecie? Nie potrzebuje jej więcej?

Byłam naprawdę zdziwiona tym, co piszesz w liście - że Sterling jest tylko o dwa i pół centymetra niższy od Justina. To znaczy, że musiał sporo urosnąć - to bardzo dobra wiadomość.

Jakie fryzury mają chłopcy? Czy Justinowi obcięto włosy tak samo jak ostatnio, kiedy włosy na czubku głowy miał dosyć długie, a po bokach bardzo krótkie?

Wczoraj przeglądałam czasopismo i zobaczyłam jedną taką fryzurę... fryzurę, która świetnie pasowałaby do ciebie. Musisz zapuścić włosy, żeby sięgały ci do ramion, nie wyłączając grzywki, a wtedy możemy się wybrać do salonu piękności, żeby ci je podcięto. Będiesz wyglądała naprawdę pięknie...

Pytałaś mnie, czy mieszkam w apartamencie. Owszem, mieszkam. Kompleks budynków nazywa się Hacienda Gardens, a samo mieszkanie jest bardzo ładne i zostało odnowione...

Gabinet, w którym pracuję, również jest bardzo miły... Zaletą Florydy jest to, że mam miłe miejsce do spania i bardzo przyjemne miejsce pracy. Ale zrezygnowałabym z tego wszystkiego, byleby tylko móc być z tobą. Może kiedy pojedziesz do New Hampshire, będziesz mogła zatrzymać się po drodze i spędzić ze mną kilka dni? Byłoby naprawdę cudownie. Chyba nie byłaś nigdy na Florydzie, a właśnie tutaj urodził się Justin - on również mógłby przyjechać i zobaczyć wszystkie te miejsca, w których bywał, kiedy był mały.

Przykro mi, że muszę ci o tym napisać, ale przypuszczalnie będę tu trochę dłużej, może nawet przez następne kilka miesięcy. Ale spróbuję tak pokombinować, żeby móc kilka razy w tygodniu do ciebie zadzwonić - jednym słowem, będę dzwoniła do ciebie na Ranczo. Mogę też w ciągu tych kilku nadchodzących miesięcy, które spędzę tutaj, spróbować raz na jakiś czas się z tobą zobaczyć (przylecę samolotem). Dzięki temu będziemy mogły się zobaczyć i nie będzie aż tak źle.

Bardzo za sobą tęsknię, a kocham cię jeszcze bardziej.

Oglądam zdjęcia i czytam twoje listy - są dla mnie ważniejsze niż cokolwiek innego. Ale sama rozumiesz, że mam tutaj coś ważnego do zrobienia i dlatego muszę tu zostać i wykonać zadanie...

Ucałowania, mamusia

Ponieważ komunikowałyśmy się głównie na odległość, wspólnie spędzone chwile były czymś naprawdę wyjątkowym. Czasem mama zjawiała się w Int Base przy jakichś szczególnych okazjach, a ja składałam wszystkie wymagane dokumenty, by dostać pozwolenie na opuszczenie Rancza - by móc się z nią spotkać. Choć cała procedura była frustrująca, zawsze jakimś sposobem udawało mi się uzyskać wymaganą zgodę.

Zwykle mogłam się zobaczyć z mamą podczas dni wolnych z okazji szczególnych wydarzeń - scjentologicznych lub związanych z Sea Org, jak na przykład Dzień Sea Org obchodzony w sierpniu. Wtedy opuszczałam Ranczo i spędzałyśmy wspólnie cały dzień.

Dzień Sea Org był wielkim wydarzeniem. Przygotowywano się do niego całymi tygodniami. Czasem nasze prace pokładowe polegały na zadaniach wykonywanych w

kambuzie Int Base, kiedy to przygotowaliśmy specjalne posiłki. Wraz z pracownikami kambuza kroiliśmy wędliny i piekliśmy chleb. Rozstawialiśmy też stoły i sprzątaaliśmy jadalnię. Pomagałam kierownicze stewardów Tammy ustawiać stoły, a ona nauczyła mnie fantazyjnie układać serwetki. Pozwalała mi również malować i zdobić kartki do głosowania - zawsze po posiłku odbywało się głosowanie. Goście mieli oceniać obsługę i jedzenie - ocena obsługi dotyczyła Tammy, a ocena żywności - pracowników kambuza. Stryj Dave i ciocia Shelly wiedzieli, że to ja zdobię kartki do głosowania, więc oceniali również moje rysunki. Najwyższą notą było siedem, ale oni zawsze przydzielali mi mnóstwo punktów, na przykład dwa miliony.

Ciotka Shelly naprawdę mnie polubiła, a ja tę sympatię odwzajemniałam. Kiedy w czasie uroczystości rozmawialiśmy ze sobą - podczas posiłków lub na zewnątrz, przy basenie - zawsze mnie pytała, jak sobie radzę. Przekazała mi wiele informacji o odżywkach, ponieważ bardzo się tym interesowała, co znacznie ułatwiło mi pracę na moim stanowisku MLO. Była osobą rzeczową i zasadniczą, ale okazywała mi troskę i miłość, poza tym miała poczucie humoru.

Pracując w kambuzie z Tammy, mogłam podglądać próby Straży Honorowej Sea Org. Jej członkowie nosili pełne umundurowanie w kolorze białym, przypominające mundury marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Na umundurowanie składały się czapka, rękawiczki, sznury i oznaczenia stopnia. Członkowie straży maszerowali w takt dobiegającej z głośników muzyki, poruszali pałeczkami marszowymi i wykonywali wszystkie przepisowe ruchy. Niektórzy nieśli flagi z symbolami Sea Org lub scjentologii. Inni stali w dwóch szeregach i krzyżując szpady, formowali szpaler, którym mieli przejść pracownicy szczebla kierowniczego. Wyglądało to imponująco. Pokaz był w pełni profesjonalny i robił wrażenie. Oglądając go, zawsze z ekscytacją myślałam o tym, że w przyszłości też będę członkiem Sea Org.

Nazajutrz po uroczystościach związanych z Dniem Sea Org przypadał dzień wolny, wypełniony zabawą. W podziemiach bazy zbudowano model żaglowca handlowego wielkości prawdziwego statku. Na owym statku o nazwie Star of California mieściły się basen, kryte liśćmi palmowymi chaty, przebieralnie i bar. Na co dzień ze statku korzystał stryj Dave, ale w Dzień Sea Org udostępniano go wszystkim i organizowano na nim zawody pływackie i inne uroczystości.

To była doskonała zabawa. Prócz zawodów pływackich urządzano mecze piłki nożnej i koszykówki, można też było popływać w jeziorze, a na pikniku pałaszować hamburgery i hot dogi. W bazie było mnóstwo boisk do wszelkiego rodzaju sportów, jednak korzystano z

nich jedynie w Dzień Sea Org.

Wieczorem wszyscy wracali do kajut, żeby się przebrać. Następnie udawaliśmy się do bazy na wyśmienitą kolację. Zawsze zasiadałam z tatą przy jego stoliku; a jeśli mama była obecna, dołączała do nas. Ze względu na nalegania rodziców przez mniej więcej dwadzieścia minut gawędziłam ze stryjem Dave'em i ciotką Shelly przy ich stoliku - zwykle pytali mnie o postępy w nauce i opowiadali dowcipy. Cieszyłam się, że ciocia Shelly tak się mną interesuje. Ponieważ mojej mamy nie było przy mnie już od dawna, autentyczna uwaga poświęcana mi przez inną kobietę z rodziny była dla mnie czymś pokrzepiającym.

Wyczekiwałam również Bożego Narodzenia, bo mieliśmy wtedy dwa albo trzy dni wolne, a mama mogła przyjechać z Clearwater, żeby spędzić z nami trochę czasu. Moja rodzina nie obchodziła Bożego Narodzenia jako święta religijnego. Święta zaczynały się od tego, że dzieci wyruszały do bazy na tradycyjne przyjęcie urządzone przez Sea Org. Było to Beer & Cheese Party. Rzecz jasna, dzieciom nie pozwalano pić piwa. W gruncie rzeczy dorośli z Sea Org nigdy nie pili alkoholu, nie licząc tej właśnie okazji. Piwo to alkohol, który negatywnie oddziałuje na umysł, z czym później trzeba się zmagać przy użyciu metod scjentologii. Ponadto po spożyciu alkoholu przez przynajmniej dwadzieścia cztery godziny nie można było uczestniczyć w edukacji scjentologicznej, nic więc dziwnego, że jego picie nie było dobrze widziane.

Nawet podczas Beer & Cheese Party większość dorosłych piła piwo bezalkoholowe. Stryj Dave lubił wywoływać ludzi, którzy pili prawdziwy alkohol i upijali się. Pewnego razu skinął na mężczyznę, lekko zaczerwienionego na twarzy, przywołując go do swego stolika, przy którym zasiadali tata, mama i kilku ludzi z kierownictwa.

- Russ! - odezwał się stryj, nie podnosząc głosu, który i tak brzmiał donośnie.

- Tak, sir?

Widziałam, jak kolor odpływa z twarzy Russa.

- Co pijesz?

- Irish cream, sir - odpowiedział Russ, sprawiając wrażenie przestraszonego.

- Aha - odrzekł stryj, zanim pozwolił Russowi odejść, jakby nie miał pojęcia, dlaczego tamten w ogóle zatrzymał się przy naszym stoliku. - A już liczyłem, że coś zatai! - wykrzyknął, a inni skwapliwie przytaknęli.

Domyśliłam się, że była to demonstracja władzy.

- Jak sądzicie, ile osób jest w tej chwili zalanych w cztery dupy? - zapytał stryj. Lecz zaraz przypomniał sobie o mnie. - Och, przepraszam, Jenny - powiedział, zwracając się do mnie z szerokim uśmiechem.



Zwykle mówił do mnie „Jenny” zamiast „Jenna” - tak było bardziej poufale. Tak samo zwracał się do mnie mój brat.

- Nie powinienem był wyrazić się w ten sposób - powiedział przepraszająco. - Jestem ci winien ćwierć dolara za przeklinanie? - zapytał.

Odparłam, że nie. Na Ranczu klęliśmy jak marynarze. Przeklinała większość członków Sea Org. Zastanawiałam się jednak nad znaczeniem tego wulgarnego wyrażenia.

- Co to znaczy „zalany w cztery dupy”? - spytałam, a wszyscy wybuchnęli śmiechem z wyjątkiem ciotki Shelly, która wzięwszy mnie na stronę, wyjaśniła, że alkohol jest czymś złym i że pijąc go, człowiek czasem się upija.

Nazajutrz po Beer & Cheese Party załoga Int Base miała dzień wolny od pracy. Niemal wszyscy zabierali wtedy swoje rodziny do ośrodka narciarskiego Big Bear w Kalifornii oddalonego o jakieś półtorej godziny jazdy od bazy. Większość osób jeździła tam specjalnie w tym celu wynajętymi autobusami, my jednak korzystaliśmy z własnego środka transportu, ponieważ tata miał samochód. Niewielu członków załogi posiadało auto. Tata był właścicielem BMW, a stryj Dave miał mazdę RX7. Nie miałam pojęcia, dlaczego ludziom tak bardzo to imponowało, ale faktem jest, że tak było. Tata uwielbiał swoje czerwone BMW do tego stopnia, że czasem odnosiłam wrażenie, że kocha je bardziej niż mnie. Raz nawet go o to zapytałam, na co on nieco urażony odparł, że to nieprawda.

W Big Bear nasza rodzina często nocowała w znacznie przyjemniejszym miejscu niż pozostali. Pewnego razu - miałam wtedy dziewięć lat - zatrzymaliśmy się w wielkim domu w Arrowhead, w którym było mnóstwo pokoi, loft i jacuzzi. Dzieci poszły spać do loftu. Było tam wielu naszych scjentologicznych krewnych ze strony mojego ojca: stryj Dave, ciotka Shelly, ojciec mojego taty dziadek Ron oraz jego żona Becky, moi rodzice i mężczyzna, którego nazywałam wujkiem Billem. Tak naprawdę nie był wujkiem, ale on i tata byli dobrymi przyjaciółmi jeszcze z czasów mojego wczesnego dzieciństwa, więc zwracałam się do niego „wujku Bill”. Dom należał do pewnego scjentaologa. Nazywał się Paul Haggis i był hollywoodzkim scenarzystą i reżyserem. Wujek Bill się z nim przyjaźnił, więc Paul Haggis pozwolił nam zatrzymać się w swoim domu.

Obchodzone w Kościele scjentologów święta Bożego Narodzenia w niczym nie przypominały jakiegokolwiek innego okresu w roku. Siedzieliśmy wszyscy przy kominku, rozpakowując prezenty. Tym razem od mamy i taty dostałam pantofle, piżamę i album fotograficzny. Babcia z New Hampshire wysłała mi koraliki i zestaw do szydełkowania. Bardzo się ucieszyłam, ponieważ na Ranczu właściwie nie miałam zabawek, nie licząc maskotek ustawionych na łóżku. Stryj Dave i ciotka Shelly podarowali mi porcelanowe

pudełko od Tiffany'ego, niebieskie z białym szlaczkiem. Nie bardzo wiedziałam, do czego mogłoby mi się przydać, ale było piękne.

Na koniec drugiego dnia w Big Bear wracaliśmy do bazy na uroczystą świąteczną kolację i na pokaz. Śpiewaliśmy kolędy, wystawialiśmy jakąś sztukę lub organizowaliśmy inną rozrywkę (próby do tych występów odbywały się kilka tygodni przed nadejściem świąt). Choć wszystkie starsze dzieci miały ogromną treść, uwielbiałam występować, dzięki czemu jeszcze bardziej lubiłam święta. Po przedstawieniu odbywało się uroczyste przyjęcie. Czasem stryj Dave i ciotka Shelly siadywali z boku, żeby obserwować innych.

Ciotka Shelly często się do mnie zwracała - wychwalając zalety soku marchewkowego czy też mówiąc mi, że popcorn i orzeszki to najgorsze świństwo. Pytała o szkołę i stwierdzała, że muszę objaśniać niezrozumiałe dla mnie słowa, ponieważ dzięki temu szybciej skończę kursy. Interesowała się moimi postępami w nauce bardziej niż ktokolwiek inny. Czasem podczas tańców świątecznych szliśmy do sali bilardowej stryja Dave'a, w której znajdował się stół bilardowy i wiele innych gier. Były tam też skórzana kanapa, wygodne fotele i przypominający z wyglądu kaczkę krzyżówkę telefon; zawsze mnie korciło, żeby się nim pobawić. W sali był też bar, za którym zwykle stał steward spełniający wszystkie życzenia kadry kierowniczej. Jej członkowie zawsze o czymś rozmawiali - nie mam pojęcia o czym. Ja byłam po prostu szczęśliwa, że mogę przebywać z rodzicami, w towarzystwie wszystkich tych ludzi.

Wszyscy w bazie traktowali mnie dobrze. Kiedy szłam przez parkiet dla tańczących, znajomi chwytały mnie za ramię, żeby się ze mną przywitać i uściskać mnie. Gdziekolwiek spojrzałam, otaczały mnie przyjazne twarze - zupełnie inne niż na Ranczu. Nie mogłam się doczekać, aż skończę naukę na Ranczu i będę pracowała w Int, gdzie wszyscy mnie lubili. Mój przyjaciel Jamie ostrzegwał mnie, że ludzie podlizują mi się tylko dlatego, że jestem bratanicą Davida Miscavige'a, ale byłam pewna, że jest inaczej. Znałam ich wszystkich i wierzyłam, że są moimi przyjaciółmi.

Kiedy tańce się kończyły, udawaliśmy się do mieszkania moich rodziców. Mama i tata podkreślali, że to bardzo ważne, bym pisała kartki z podziękowaniami do ludzi, którzy podarowali mi prezenty, wiedziałam jednak, że chodzi im głównie o stryja Dave'a. Ze sposobu, w jaki odnoszono się do ciotki Shelly i stryja Dave'a, mogłam wywnioskować, że są niezmiernie ważni. W ich pobliżu zawsze krzątał się któryś ze stewardów, podając im posiłki i spełniając każde ich życzenie. Stewardzi obsługiwali również moich rodziców. Ale zdawało się, że nawet oni nadskakują stryjowi, starając mu się przypodobać.

Następnego dnia my, dzieci, wracaliśmy na Ranczo do naszej codziennej rutyny.

Powrót po świętach był dla mnie trudny z wielu względów, przede wszystkim dlatego, że miałam świadomość, iż nieprędko znów ujrzę oboje rodziców.

Jedyną rzeczą, dzięki której mogłam przetrwać ten trudny okres, była perspektywa moich urodzin przypadających 1 lutego. Rodzice nie zjawiali się na nich - chyba że urodziny wypadały w niedzielę - więc obchodziłam ten dzień na Ranczu wraz z przyjaciółmi. Jedyną atrakcją urodzinową był tort, który zjadaliśmy na kolację, kiedy wszyscy śpiewali „Sto lat”. Tata i mama - jeśli akurat była w mieście - zwykle wręczali mi drugi tort urodzinowy w niedzielę rano. Dawali mi również prezenty.

Najbardziej tęskniłam za mamą w dni takie jak ten. Tuż przed dziesiątymi urodzinami zrobiono mi wspaniałą niespodziankę. Na Ranczo zadzwoniła mama z wiadomością, że urodziny spędzę u niej, w Clearwater na Florydzie. Odbieranie telefonów na Ranczu zawsze stanowiło problem, bo mieliśmy do dyspozycji tylko jeden aparat telefoniczny, a i odszukanie człowieka, do którego właśnie zadzwoniono, było często niełatwe. Gdy już samemu dorwało się telefon, nie zawsze można było z niego skorzystać, ponieważ nierzadko ktoś inny - zwykle któryś z dorosłych - właśnie chciał zatelefonować. Niezależnie więc od tego, czy to do mnie dzwoniono, czy sama dzwoniłam - co zdarzało się najwyżej raz w tygodniu - ilekroć rozmawiałam z mamą, zawsze musiałam się streszczać. Dłużej mogłam porozmawiać tylko wtedy, gdy telefonowałam z mieszkania taty w niedzielny poranek.

Na szczęście tym razem wiadomość od mamy była krótka i bardzo pomyślna. Już nie mogłam się doczekać. W Clearwater urodził się mój brat, a ja miałam poznać przyjaciół mamy i zobaczyć to wszystko, o czym zawsze mi pisała w listach.

Było to niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Odwiedziny u mamy były najlepszym prezentem, jaki mogłam sobie wymarzyć. Miałam widzieć się z nią nie tylko przez jeden czy dwa dni, ale dłużej. Na samą myśl o tym czułam wielką radość.

## Rozdział dziewiąty

### Clearwater

Lot na Florydę miał być moim pierwszym samodzielnym wypadem do świata WOGS. W wieczór poprzedzający wyjazd spakowałam rzeczy, by wszystko było gotowe, kiedy przyjedzie po mnie Ana, sekretarka mamy. Uściskałam na pożegnanie Justina, B.J.a i Kiri i wsiadłam do samochodu Any, która zawiozła mnie na lotnisko. Tam Ana przekazała mnie pod opiekę stewardesom, które przypięły specjalne skrzydełka do mojej koszulki i wskazały mi miejsce w samolocie.

Odbywanie lotu bez opieki kogoś z dorosłych było dla mnie dziwnym i nieco przytłaczającym doświadczeniem, zwłaszcza że otaczali mnie sami WOGS. Pewna pani zapytała mnie, dokąd się wybieram. Odparłam, że do Flag.

- Masz na myśli Fort Lauderdale? - zapytała.

- Nie, Clearwater - wyjaśniłam.

- Ach, więc z pewnością lecisz do Tampa! - stwierdziła moja rozmówczyni.

Spytałam ją, czy tam właśnie jest Clearwater, na co ona odpowiedziała, że to bardzo blisko. Przez kolejne pięć godzin lotu pytałam ludzi siedzących w pobliżu, czy jesteśmy już blisko celu. O dziwo, mimo mojej niecierpliwości wszyscy byli przyjaźnie nastawieni.

Kiedy wysiadłam z samolotu, a potem opuściłam międzynarodowe lotnisko Tampa, zobaczyłam mnóstwo nieznajomych ludzi - jedni trzymali w widocznym miejscu wypisane dużymi literami nazwiska, inni najwyraźniej czekali na rodzinę albo przyjaciół. Nie zauważyłam, by ktoś czekał na mnie, a perspektywa poszukiwania twarzy mamy w tłumie nieznajomych była przerażająca. Na szczęście zauważyłam ją, zanim zdążyłam wpaść w panikę - wyglądała jeszcze ładniej, niż zapamiętałam. Gdy do niej podeszłam, nadal miała wzrok utkwiony w jakimś punkcie nad moją głową.

- Mamo, to ja! - zawołałam, przytulając się do niej.

- O rany - powiedziała ze zdumieniem. - Nie poznałam cię!

Promieniała ze szczęścia i śmiała się, odwzajemniając mój uścisk. Rozkoszując się kwiatowym zapachem jej szamponu do włosów, którego zawsze używała, poczułam ogromną ulgę - dzieliło mnie od Rancza pięć tysięcy kilometrów, ale byłam w domu, ponieważ wreszcie byłam z mamą.

Wraz z nią przyjechał na lotnisko mężczyzna o imieniu Tom. Mama zawsze czuła się

dość niepewnie w roli kierowcy, a ponieważ pokonywanie drogi na lotnisko nie należało do jej codziennej rutyny, Tom prowadził samochód. Wychowawszy się w Sea Org, mama przyzwyczała się do tego, że zawsze korzystała z autobusów lub innych środków transportu publicznego. Członków Sea Org na ogół nie było stać na własne samochody, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę koszt ubezpieczenia i paliwa. Samochody mieli w organizacji tylko ci, którzy kupili je przed wstąpieniem do Sea Org albo dysponowali jakimś dodatkowym źródłem dochodów, oraz ci nieliczni, którym przydzielono samochody będące własnością Org - jako przywilej związany z pełnionym stanowiskiem i obowiązkami. Moja mama miała samochód należący do Sea Org. Była to złota honda sedan.

W trakcie naszych cotygodniowych telefonicznych rozmów mama wspominała o Tomie i jego żonie Jenny. Znała ich od dawna, gdyż oboje dla niej pracowali. Opisywała Toma jako niezmiernie miłego faceta, który w głębi duszy pozostał dzieckiem. Szybko się przekonałam, co miała na myśli. Podczas jazdy kolejką do głównego terminalu Tom chciał, żebyśmy spróbowali stać, nie trzymając się niczego, kiedy kolejka przyspieszała między przystankami. Samo to wystarczyło, bym się do niego przekonała.

Dopiero kiedy wyszliśmy z terminalu, poczułam, jak wilgotne jest powietrze Florydy. Wydawało się tak gęste, że zaczęłam się dziwić, że wystarcza dla wszystkich tlenu. Gdy tylko wsiedliśmy do samochodu, Tom włączył klimatyzację i nas uratował.

Mama mieszkała w Hacienda Gardens, kompleksie różowych budynków w hiszpańskim stylu przy North Saturn Avenue. Miała swoje własne mieszkanie i kota o imieniu Poncho. Osiedle było otoczone palmami. Było tam osiem budynków, basen i kantyna. Podjechaliśmy pod budynek w kształcie litery L, gdzie mieściło się mieszkanie mamy. W środku zauważyłam mężczyznę siedzącego naprzeciwko drzwi do mieszkania, jakby był osobistym ochroniarzem mojej mamy. Na jej widok pomachał ręką.

- Dzień dobry, sir - rzekł z entuzjazmem.

- Cześć, Bruce - odpowiedziała mama, po czym weszła do środka.

W środku przywitała się z nami kilkunastoletnia dziewczyna. Miała na sobie niebieski uniform, dokładnie taki, jaki mama i tata nosili w Int Base: granatowe spodnie, jasnoniebieską koszulę z długim rękawem, sztywny kołnierzyk, krawat oraz identyfikator z imieniem i nazwiskiem.

- Dzień dobry, sir! - powiedziała do mamy i Toma. Pochyliła się nieco, zwracając się do mnie: - A ty pewnie jesteś Jenna! Tyle o tobie słyszałam!

Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało. Teraz dziewczyna zwróciła się do mamy.

- Właśnie wyniosłam pranie, jedzenie jest na stole, a ja będę tuż obok, w L2, na

wypadek gdyby pani czegoś potrzebowała.

Mama nie zwróciła najmniejszej uwagi na wszystkie te oznaki szacunku, ja jednak byłam pod sporym wrażeniem. Nie mogłam uwierzyć, że mamie służy tyle osób. Była kierownikiem wyższego szczebla w CMO International.

Formacja Commodore's Messenger Organization (CMO) stanowiła istotną część kierownictwa Kościoła. Niegdyś skupiała najbardziej zaufanych ludzi L. Rona Hubbarda. Po dziś dzień jest to bardzo prestiżowa jednostka w łonie Sea Org, a wchodzącym w jej skład osobom nie wolno nadmiernie się spoufalać z pozostałymi członkami Sea Org. Mama była jednym z najwyższych rangą członków kadry kierowniczej CMO. Była również członkiem Watchdog Committee, najbardziej elitarnej jednostki zarządzającej w Kościele, mającej siedzibę w CMO International. Najwyraźniej była kimś niezwykle ważnym i zajmowała wysokie stanowisko, co napawało mnie bezgraniczną dumą.

- Świetnie. Dziękuję ci, Sharni - rzuciła do dziewczyny.

Sharni była członkiem CMO w Clearwater, a do jej obowiązków należało usługiwanie mamie oraz innym wysokim rangą członkom kierownictwa.

Kiedy odłożyłam walizkę, mama oprowadziła mnie po apartamencie. Był dużo większy i bardziej luksusowy niż mieszkanie, które rodzice dzielili z Rinderami w Int, a poza tym mama mieszkała tu sama. W owym wspólnym mieszkaniu w Int mieściły się dwie sypialnie, podczas gdy tutaj były trzy - a wszystkie do dyspozycji mamy i gości, których czasem przyjmowała. W łazience stała wanna z jacuzzi.

Mieszkanie było bardzo piękne i całe wyłożone hiszpańskimi płytkami. Wszystkie meble, nawet ozdobne lustro wiszące w korytarzu, pod którym stała misa z przepyszными cukierkami, były eleganckie. W oknach wisiały haftowane zasłony. W salonie znajdował się nawet telewizor, ukryty w dużej drewnianej szafce. Weszliśmy do połączonej z kuchnią jadalni, gdzie na dużym półmisku czekała na nas przekąska: francuski ser i owoce. Na stole stały również wąskie wysokie szklanki świeżo wyciśniętego soku z arbuza ze słomkami. Zajrzawszy do lodówki, znalazłam w niej wszystko, czego dusza zapagnie - począwszy od pasztetu, który budził moje obrzydzenie, przez sok brzoskwiniowy, aż po angielskie muffinki. Byłam oszołomiona, że tyle wspaniałego jedzenia mam na wyciągnięcie ręki.

Byłam bardzo podekscytowana. W sypialni, którą wybrała dla mnie mama, stało przestronne podwójne łóżko okryte wielką puszystą narzutą w kwiaty. Wskoczyłam na nie, rozkoszując się jego zapachem, miękkością i tym, jakie to wspaniałe uczucie zapaść się w nie. Jak niewiele wspólnego to moje nowe posłanie miało z moim łóżkiem na Ranczu! W pokoju stały również dwie szafy i duża komoda, choć nie miałam prawie żadnych ubrań. Nawet

gdybym przywiozła ze sobą całą zawartość swojej szafy, i tak nie dałabym rady wypełnić więcej niż jednej czy dwóch szuflad, bo zwykle nosiłam tylko uniform. Był tutaj nawet telefon, mogłam więc dzwonić do taty, gdy miałam ochotę.

Na komodzie ostrożnie ułożyłam płyty CD, które ze sobą przywiozłam. Wszędzie zabierałam ze sobą muzykę. Mama powiedziała, że musi załatwić w biurze pewne sprawy, chciała jednak, żebym wybrała się tam razem z nią i wszystkich poznała, co bardzo mnie ucieszyło. Dwadzieścia minut później zaparkowałyśmy samochód w pobliżu wysokiego betonowego budynku przy N. Fort Harrison. Nazywano go West Coast Building, ponieważ mieścił się w nim zarząd, który, technicznie rzecz biorąc, stanowił rozszerzenie Int Management, znajdującego się na Zachodnim Wybrzeżu.

Kiedy szliśmy korytarzem budynku, wielokrotnie witano mamę formułą „Dzień dobry, sir”. Potem wsiadłyśmy do starej mechanicznej windy, która ruszyła na drugie piętro, gdzie wciąż kręcili się ludzie z CMO i gdzie znajdowało się biuro mamy.

Mama dzieliła je ze swoją sekretarką Alison, Tomem i jego żoną Jenny. Tom pełnił funkcję dowódcy CMO Clearwater, a Jenny należała do zarządu CMO. Biura robiły wrażenie: były wyposażone w drewniane meble, podłogi pokrywały brązowe dywany, a w oknach były bambusowe rolety. Na końcu korytarza mieścił się obszerny gabinet stryja Dave’a, a tuż obok - nieco mniejszy gabinet ciotki Shelly. W kompleksie biurowym były również pokoje pracowników stryja Dave’a. W owym czasie stryj i ciotka z nich nie korzystali, ale gabinety były do ich dyspozycji, ilekroć zjawiali się w mieście. Na tyłach biura urządzono aneks kuchenny: na kontuarze stał talerz z przekąskami. Kuchenne szafki oraz lodówka pełne były różnego rodzaju przysmaków. Na Ranczu nie mieliśmy dostępu do jakichkolwiek przekąsek poza porami posiłków - nie wolno nam było niczego podkraść z kuchni. Za podobne przewinienie jednego z moich przyjaciół zakwalifikowano do niższych kondycji.

Matka powiedziała, że razem ze wszystkimi zjemy lunch w sali konferencyjnej. Czekałam tam, aż nadejdzie pora posiłku, co jakiś czas zerkając ukradkiem, jak kilkunastoletnia dziewczyna z CMO przygotowuje jedzenie. Przedstawiła mi się. Miała na imię Valeska.

- Zamówiłam ci hamburgera, bo nie byłam pewna, na co miałabyś ochotę - powiedziała z uśmiechem.

Kilka minut później do sali konferencyjnej wkroczył starszy mężczyzna w smokingu i zaczął coś mówić z wyraźnym francuskim akcentem. Zrozumiałam tylko tyle, że ma na imię Steve - a może zresztą już wcześniej powiedziała mi o tym Valeska. Mówiący po francusku kelnerzy w smokingach z pewnością nie należeli do mojego świata. Przypatrywałam się w

oszołomieniu Steve'owi, który pieczołowicie rozkładał talerze z zamówionymi potrawami, między innymi z moim hamburgerem. Valeska powiedziała mi, że potrawy pochodzą z Hibiscusa, najdroższej i najbardziej ekskluzywnej spośród trzech restauracji w hotelu Fort Harrison, który należał do scjentologów. W Fort Harrison wyznawcy scjentologii zatrzymywali się, gdy przyjeżdżali do miasta, by skorzystać z bazy. Hotel był doskonale przygotowany: mieściły się tu trzy restauracje i ponad sto pokoi gościnnych, oferowano też bardzo dobre kursy, dlatego w miejscu tym przebywało mnóstwo scjentologów. Steve, członek Sea Org, pracował w Hibiscusie, gdzie przygotowano nasze potrawy. Bardzo mi się podobało, że każdy może zamówić to, co sobie życzy, i wybrać sposób przygotowania potrawy.

Gdy tylko Valeska podała do stołu, zjawili się dorośli. Prowadzili ożywioną rozmowę, ja jednak byłam tak zajęta swoim hamburgerem, że niemal nie zwracałam na nich uwagi. Był to najsmaczniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłam. Widziałam, że również Tomowi smakuje to, co mu przyniesiono. Mama jadła rybę zapiekaną w cieście francuskim, a jej talerz zdobiła natka pietruszki.

Po południu mama poprosiła Toma, by odwiózł mnie do mieszkania. Byłam rozczarowana, że mama nie może pojechać z nami, ale również w towarzystwie Toma czułam się swobodnie. Był zabawny i czarujący i łatwo nawiązałam z nim kontakt. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, z zadowoleniem odkryłam, że ktoś rozpakował moją walizkę. Jeszcze bardziej ucieszyło mnie, że mama zostawiła mi w łazience swój specjalny szampon o kwiatowym zapachu.

Kiedy oswajałam się ze wszystkim, przyszła Sharni i krok po kroku zaczęła mnie zapoznawać z tym, co czeka mnie w ciągu tygodnia.

- Jenno, wiesz, że twoja mama jest bardzo zajęta - stwierdziła na wstępie. - Pracuje do późna w nocy, więc to ja będę się tobą opiekować.

Z początku przygnębiła mnie perspektywa, że nie będę widywała mamy tak często, jak bym chciała. Choć i tak miałam widywać ją częściej niż dotychczas. Wszystko tutaj było dla mnie nowe i zaprzętało moją uwagę. Sharni zabrała mnie na basen, gdzie przez jakiś czas pływałyśmy. Nie przywykłam do tak leniwego spędzania czasu i bardzo mi się ten relaks podobał. Potem Sharni zabrała mnie do kantyny, gdzie kupiła nam lody. Gdy je pałaszowałyśmy, w pewnej chwili wskazała mi Spencera, chłopca, który jej się podobał. Wyglądał trochę głupkowato, a sama myśl o tym, że jakiś chłopak miałby wpaść mi w oko, była mi zupełnie obca. Dziewczynom na Ranczu nie wolno było mieć chłopców. Na randki mogły się umawiać tylko te spośród nich, które osiągnęły wiek kwalifikujący je do



małżeństwa, my zaś byłyśmy zbyt młode, po co więc miałybyśmy się spotykać z chłopakami? - tak mniej więcej brzmiała argumentacja dorosłych. Nawet flirtując, mogłyśmy narobić sobie kłopotów i trafić do niższych kondycji.

Wróciłyśmy do mieszkania późnym popołudniem. Zadzwoiłam do mamy i powiedziałam jej, że wkrótce pójde spać - licząc na to, że jest już w drodze do domu. Nie chodziło wyłącznie o to, że chciałam z nią być. Prawda była taka, że bałam się spać sama w pokoju. Może i nie było tutaj kojotów, ale ja i tak się bałam. Byłam przyzwyczajona do tego, że wieczorem wokół mnie jest mnóstwo ludzi - jak w naszym pokoju na Ranczu, który dzieliłam z siedmioma dziewczynkami. Mama musiała spędzić jeszcze jakiś czas w biurze, ale pod jej nieobecność Sharni zgodziła się ze mną zostać. Nie wiem, kiedy mama wróciła - zobaczyłam się z nią dopiero nazajutrz.

Tego ranka obudziła mnie Sharni. Podobał mi się sposób, w jaki to zrobiła. Delikatnie potrząsnęła mnie za ramię i szepnęła: „Pobudka, słoneczko!”. Było to coś skrajnie odmiennego od wrzasku: „Pobudka!”, którym zrywano nas ze snu na Ranczu. Poza tym pozwolono mi pospać - była już ósma.

Poszłam do kuchni, gdzie zastałam mamę, która siedziała w szlafroku przed telewizorem. Byłam trochę zdziwiona, że z pełnym spokojem ogląda jakiś program, choć jest to sprzeczne z zasadami Sea Org, a przynajmniej było tak w Int. Oglądała program rozrywkowy emitowany przez cały tydzień na VH1. Powiedziała, że go uwielbia i ogląda codziennie rano przy śniadaniu. Telewizja stanowiła dla mnie największą frajdę. Choć w weekendy oglądałam czasem jakieś filmy, nie widziałam telewizora, odkąd wyjechałam z Los Angeles.

Sharni postawiła na stole w jadalni miskę z gorącym mlekiem i płatkami oraz talerz z dwoma gotowanymi jajkami i tostem. Na Ranczu tylko dorośli mogli jeść tosty, bo mieliśmy tylko jeden toster, więc niespodzianka Sharni mile mnie zaskoczyła. Gdy skończyłam śniadanie, mama zaczęła się w swoim pokoju przygotowywać do wyjścia do pracy. Patrzyłam, jak suszy i modeluje włosy przed toaletką. Była niezwykle elegancka i piękna, a ja podziwiałam w niej wszystko, jakby była co najmniej jakąś gwiazdą filmową i prowadziła na Florydzie fascynujące życie, o którym nic wcześniej nie wiedziałam. Żyła pracą i przyjaciółmi; wszędzie jej wyczekiwano, wszędzie ją obsługiwano, ona zaś nie przestawała sobie dogadzać - a wszystko w imię pracy na rzecz większego dobra.

Kiedy skończyła się czesać, włożyła uniform. Miała specjalne koszule z egipskiej bawełny, przysługujące kadrze kierowniczej, podczas gdy pozostali członkowie załogi musieli nosić zwykłe koszule z bawełny i poliestru. Ponadto na klapie marynarki było

wyszyte jej nazwisko, miała też epolety na znak, że jest oficerem. Ujrzenie jej w pełnym rynsztunku było czymś naprawdę niezwykłym. Służyła w randze kapitana marynarki, co stanowiło trzecią co do ważności szarżę w Sea Org.

Ja również przygotowałam się do wyjścia, ponieważ mama powiedziała mi, że jadę z nią do WB. Na parkingu pracownicy organizacji w świeżo wyprasowanych koszulach i w ciemnych spodniach wsiadali do autobusów Sea Org, które wiozły ich do bazy w centrum Clearwater. Kompleks Hacienda Gardens znajdował się w odległości prawie pięciu kilometrów na wschód od centrum, a ponieważ członkowie Sea Org nie mieli samochodów, korzystali z niebieskobiałych autobusów z napisem „Flag”, kursujących między budynkami należącymi do Kościoła. Wszyscy przebywający na parkingu mieli na sobie uniformy: białe lub jasnoniebieskie koszule oraz ciemnogrnatowe spodnie lub też beżowe koszule i brązowe spodnie.

Scjentologia była mocno zadomowiona w Clearwater. Wiele budynków należało do Kościoła, a wciąż nabywano nowe. Hotel Fort Harrison był jedną z najlepiej rozpoznawalnych wizytówek Clearwater - biały, zbudowany we wspaniałym stylu Mediterranean Revival. W dziesięciopiętrowym hotelu znajdowały się piękne marmurowe lobby, trzy restauracje: Hibiscus, Garden oraz Lemon Tree, basen, sala balowa, mnóstwo biur oraz pokoi, w których przeprowadzano sesje audytowania.

Idąc dalej ulicą od strony Fort Harrison, docierało się do Coach-man Building, gdzie prowadzone były wszystkie kursy. Budynek miał wysokie na pięć pięter szklane atrium o drewnianym łukowatym sklepieniu, ciągnące się przez całą jego długość i dzielące go na pół. Cały ten kompleks stanowił wielki kontrast z tym wszystkim, co znałam z Rancza - pod względem zarówno rozmachu, jak i bogactwa.

Jazda samochodem do pracy mamy trwała zaledwie dziesięć minut, ale szalenie mi się podobała, tak jak obserwowanie zza samochodowej szyby świata zwykłych ludzi - był to dla mnie rzadki widok. Floryda, z jej palmami, centrami handlowymi i tłumami ludzi zaprzątniętych własnymi sprawami, wydała mi się miejscem znacznie bardziej ekscytującym niż Hemet.

Wspólna jazda z mamą miała być jedną z nielicznych spędzonych z nią chwil podczas tej wizyty. Przez resztę czasu widywałam ją tylko na lunchu, kilkakrotnie podczas kolacji oraz późno w nocy - w zależności od tego, kiedy w danym dniu wracała z pracy. I na tym koniec. Nie byłam zaskoczona, że ma tyle pracy - ostatecznie było tak zawsze, odkąd pamiętałam. Ona i tata pracowali w różnych miejscach i mieli różne obowiązki, ale oboje byli w równym stopniu oddani sprawie. Może i przebyłam długą drogę, ale w niczym nie mogło to

zmienić charakteru pracy mamy ani jej zaangażowania.

Patrząc wstecz, usiłuję jakoś zrozumieć, czemu życie, które mama wiodła we Flag, tak bardzo różniło się od mojego życia na Ranczu. Nasze doświadczenia były tak odmienne, że trudno wprost uwierzyć, że w obu przypadkach wypływały z poświęcenia się tej samej sprawie i że - jako rodzic - matka nie miała nic przeciwko temu, by jej warunki życiowe tak bardzo przewyższały te, w których żyłam ja. Jeszcze bardziej uderzające było to, że matka mogła w Clearwater do woli cieszyć się wolnością, której ja na Ranczu byłam zupełnie pozbawiona. Nie musiała wykonywać pracy fizycznej ani poddawać się codziennym testom Emetrem, nikt też na nią codziennie nie krzyczał. Nie musiała prosić o pozwolenie, ilekroć chciała wyjść do łazienki - choć ja sama robię to z nawyku po dziś dzień.

Jestem pewna, że z jej perspektywy wszystko przedstawiało się inaczej. Nie zaniedbywała własnych dzieci ani nie uważała się za lepszą od nich. Poświęciła się sprawie ważniejszej niż ona sama czy jej rodzina i zamierzała wykonać rozpoczęte zadanie. Naprawdę sądziła, że mam na Ranczu dobrą opiekę, choć prawdą jest, że nigdy ani na krok nie zeszła ze swojej drogi, by się przekonać, jak wygląda moje życie na Ranczu, a jeśli to wiedziała, najwyraźniej nie robiło to na niej wrażenia.

Kiedy zobaczyłam, jak ona sama żyje we Flag, nie czułam się urażona ani zazdrosna. Przede wszystkim nigdy jeszcze nie byłam tak zmotywowana, żeby wymyślić jakiś sposób wydostania się z Rancza - by żyć tak jak moja matka. Cała ta wycieczka stanowiła dla mnie potwierdzenie, że w ramach Sea Org istniało zupełnie inne życie. Kiedy wróciłam na Ranczo, ze swojej eskapady zapamiętałam głównie luksusy. W Int Base ojciec mógł mieć własną kołdrę, mógł zjadać ciasteczka, kiedy tylko chciał - były to drobne przyjemności zabronione na Ranczu. A mama miała naprawdę wszystkiego pod dostatkiem.

Do tej pory mylnie sądziłam, że przynależność do Sea Org wiąże się jedynie z pracami pokładowymi i trwającym w nieskończoność objaśnianiem słów. Tymczasem najwyraźniej czekała mnie lepsza przyszłość - musiałam tylko zapłacić frycowe i ukończyć naukę na Ranczu. Życie mamy w Clearwater dało mi obraz tego, jak może wyglądać moje własne życie - i nie było w nim miejsca na sadzenie drzew czy noszenie kamieni. Wierzyłam, że dzięki poświęceniu również i ja mogę mieć takie właśnie życie.

Ostatecznie świetnie się bawiłam podczas owego tygodnia na Florydzie. Spędziłam większość czasu z Sharni, w której towarzystwie czułam się bardzo dobrze, spotkałam się również z babcią Loretą, która dała mi w prezencie maszynę do karaoke. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo nie znosiłam swojej codzienności na Ranczu, niemal każda ucieczka od niej była dla mnie czymś bardzo pożądanym, a wszystkie przyjemności - począwszy od

wyśmienitego jedzenia, poprzez chwile spędzone na basenie, na pięknej sypialni w Hacienda skończywszy - sprawiły, że pobyt na Florydzie wspominałam jako coś cudownego. Najlepsze zaś było to, że nie musiałam wykonywać żadnych prac pokładowych. Po prostu cieszyłam się życiem, marząc, by ten tydzień nigdy się nie skończył.

Powrót na Ranczo był dla mnie trudny. Bo też i nikt mi go nie ułatwił - pierwszego wieczoru zderzyłam się z realiami mojego dawnego życia, w których jedna łazienka przypadała na szesnaście dziewczyn. Nazajutrz było jeszcze gorzej - natychmiast po pobudce powróciły uniformy, inspekcje w pokojach, prace pokładowe i inne elementy mojej codziennej rutyny. Na szczęście już po kilku tygodniach nadeszła wiadomość, że czeka mnie kolejna wycieczka: cała moja rodzina miała się wybrać do Pensylwanii na obchody sześćdziesiątej rocznicy ślubu moich pradziadków. Oboje z tatą polecieliśmy tam z Los Angeles, Justin przebywał u matki na Florydzie, więc razem pojawili się na uroczystości. Byli na niej wszyscy: dziadek Ron i jego żona Becky, stryj Dave i ciotka Shelly, a także dwie siostry taty: Lori i Denise, wraz z rodzinami.

Po przyjęciu mama, tata, Justin i ja wybraliśmy się na nasze pierwsze rodzinne wakacje. Najpierw mieliśmy zwiedzić Pensylwanię, a pierwszym przystankiem w naszej podróży był park rozrywki Knoebels Amusement Resort w środkowej części tego stanu. To tam po raz pierwszy w życiu jadłam pierogi. Ilekroć przebywałam wśród tak wielu WOGS, stawałam się trochę nieufna. Na Ranczu bardzo rzadko pozwalano nam na wycieczki poza wyznaczony teren, przez co świat zewnętrzny był mi obcy. Czy chodziło o wypad do Disneylandu, czy oglądanie baletu, te nieliczne wyjazdy reglamentowano niezwykle oszczędnie, skrzętnie pilnując, by maksymalnie ograniczać nasze interakcje ze światem WOGS. Ponieważ byłam w -Knoebels z rodziną, mogłam swobodniej korzystać z przyjemności, jakie oferował park rozrywki.

Następnie ruszyliśmy dalej na wschód, delektując się po drodze kanapkami z mielonym mięsem, kupionymi w restauracji nazwanej na cześć Lenny'ego Dykstry, gracza zapola drużyny bejsbolowej Philadelphia Phillies. Z Pensylwanii ruszyliśmy przez Nowy Jork na północny wschód, kierując się przez Vermont do New Hampshire, gdzie zatrzymaliśmy się u ciotki Lori i jej rodziny oraz u matki mojego ojca babci Loretty - w starym domu, który rodzice opuścili, po tym jak zdecydowali się po raz drugi dołączyć do Sea Org.

Rozglądając się po owym domu, zaczęłam sobie wyobrażać, jak mogłoby wyglądać moje życie tutaj, gdyby rodzice nigdzie nie wyjechali. Wszyscy krewni byli scjentologami, więc wychowywałabym się tak jak oni. To byłby mój dom. Na widok pokoju kuzynki Chrissie pomyślałam, że zapewne byłby to mój pokój, w którym stałoby moje łóżko, a szafa

kuzynki, wypełniona sukienkami dla księżniczek w każdym kolorze, też należały do mnie. Jej życie mogłoby być moim.

Poza wszystkimi wielkimi różnicami dzielącymi ich rzeczywistość od mojej natrafiłam też na drobiazgi - w pewnym sensie były one czymś najbardziej uderzającym. Odwiedzając New Hampshire, zatrzymaliśmy się u cioci Denise. Jej dom był niesamowity. Taylor i Whitney, najstarsze córki Denise, miały nieziemską sypialnię z ogromnymi oknami i świetlikiem w suficie, mnóstwo pięknych lalek, a nawet telewizor w pokoju. Odniosłam wrażenie, że jestem w raju, ale na widok tego wszystkiego nie poczułam zazdrości - zawsze pamiętałam o swoim miejscu w Kościele. Zostałam wychowana tak, by móc stać się członkiem Sea Org, miałam do wypełnienia misję, która była czymś o wiele ważniejszym niż wszystkie zabawki. Choć posiadanie kilku ucieszyłoby mnie, moim obowiązkiem była służba ludzkości, więc myśl o posiadaniu tych wszystkich zabawek wydała mi się niemal samolubna (a przynajmniej tak próbowałam myśleć).

Podczas naszej wizyty poszłam z Chrissie do jej ogrodu na jagody - ot tak, dla zabawy. Było to dziwne uczucie, bo na Ranczu wszystko robiliśmy z obowiązku. Któregoś dnia między kuzynkami wybuchła wielka kłótnia o to, która z nich ma siedzieć obok mnie w samochodzie, i choć schlebiali mi to, byłam zdziwiona, ponieważ na Ranczu nigdy nie zachowywaliśmy się tak dziecinnie. Zachowanie moich kuzynek wydało mi się trochę głupie. Na Ranczu nie tolerowano takich wyskoków, więc nigdy nie byłam ich świadkiem. Nie wiedziałam, że tak wyglądają sprzeczki większości dzieci. Nie wiedziałam, co to jest normalność.

## Rozdział dziesiąty

### „Klucz do życia”

Powrót na Ranczo po tak długiej podróży byłby dla mnie niewiarygodnie trudny, gdyby nie to, że okazało się, że nie zostanę tam na długo. Mama musiała się za mną stęsknić, ponieważ szybko zorganizowała mi powrót do Flag. Tym razem miałam uczestniczyć w kursie LRH o nazwie „Klucz do życia”.

Na kursie koncentrowano się na głębszym zrozumieniu powszechnie używanych w języku angielskim słów oraz na gramatyce tego języka. Na Ranczu ukończyło go tylko czworo czy pięcioro starszych dzieci, ja zaś miałam być pierwszym mieszkańcem Rancza, który ten kurs odbędzie w Clearwater. Nie wiedziałam nic na jego temat, ponieważ nieliczne dzieci, które go ukończyły, miały przykazane zachowanie treści głoszonych na nim nauk w całkowitej tajemnicy. Pan Parker zdawała się mieć wątpliwości, czy będę w stanie podolać temu zadaniu. Uważała, że jestem za młoda i że poprzeczka okaże się dla mnie zbyt wysoka. Jej niewiara we mnie wcale mnie nie martwiła - byłam niezwykle podekscytowana powrotem do Clearwater.

Kiedy tam przyjechałam, znów znalazłam się w mieszkaniu mamy i w swoim pokoju. Wszystko wyglądało tu tak jak w dzień mojego wyjazdu - wielkie łóżko było idealnie zasłane i okrywała je ta sama narzuta w kwiaty, łazienka była zaopatrzona w mój ulubiony kwiatowy szampon, a koszyki na przekąski były pełne łakoci. Wszystko to zawdzięczałam troskliwości Sharni.

Z myślą o kursie „Klucz do życia” mama znalazła dla mnie bliźniaka, pewną dziewczynkę, i od tygodni opowiadała mi o niej w trakcie naszych rozmów telefonicznych. Miała na imię Diane. Matka spotkała się z nią kilka razy i była przekonana, że jest fantastyczna. Dziewczynka nalegała, by zwracać się do niej „Diana”, choć miała na imię Diane. Słyszając, jak mama rozplywa się z zachwytem nad jakąś inną dziewczynką w moim wieku, poczułam, jak wzbiera we mnie zazdrość.

Moja niepewność wynikała też z onieśmienia. Diane sprawowała we Flag prestiżową funkcję dowódcy. Skoro była tak wysoko w hierarchii, martwiłam się, że jest uważana za bardziej etyczną ode mnie, starałam się jednak nie zapomnieć, skąd przybywam. Ranczo Int miało szczególny status. Tamtejszych kadetów wychwalano zawsze jako najlepszych na ziemi. Mój brat wykonywał nawet specjalne misje dla PAC Cadet Org w Los

Angeles. Misje owe miały na celu poprawę morale tamtejszych kadetów. Zapewne kadeci PAC oglądali telewizję i nie wykonywali prac pokładowych, więc Justin wraz z kilkorgiem starszych dzieci z Rancza udał się tam na tydzień, by wprowadzić niezbędne zmiany w ich rutynie.

Mój kurs miał się odbyć w Coachman Building, dwie przecznice od biura mamy, która poprosiła swoją sekretarkę Alison, by zawiozła mnie tam pierwszego dnia zajęć. Pomieszczenie, w którym odbywały się zajęcia, znajdowało się na drugim piętrze, a jego wnętrze było znacznie bardziej wyszukane niż wnętrza podobnych pomieszczeń na Ranczu. Były tam tapicerowane krzesła, fornirowane stoły i dywany o ciekawych wzorach. Podobnie jak na Ranczu również i tutaj wisiały na ścianach wizerunki LRH, niektóre z jego najsłynniejszych cytatów i jakieś miłe dla oka dzieła sztuki tematycznie związane ze scjentologią.

Większość z około dwudziestu uczniów zapisanych na kurs stanowili cywile, osoby nienoszące uniformów. Wielu z nich było zwykłymi wyznawcami scjentologii, którzy płacili za uczestnictwo w kursach, a resztę stanowili scjentolodzy nienależący do Sea Org. Przybywali z kościołów scjentologicznych rozproszonych po całym świecie - we Włoszech, w Australii czy Zimbabwie, by wymienić tylko kilka miejsc. Kurs „Klucz do życia” kosztował około 4000 dolarów - członkowie Sea Org nie musieli za niego płacić, gdybyśmy jednak kiedykolwiek zamierzali opuścić organizację, nadal chcąc pozostać scjentologami, zostalibyśmy finansowo obciążeni kosztami wszystkich usług, z których skorzystaliśmy.

Funkcję superwizora prowadzącego kurs pełniła mniej więcej dwudziestoletnia jasnowłosa dziewczyna o imieniu Nikki.

- Ty musisz być Jenna! - powiedziała, kiedy do niej podeszłam. - Witaj!

Wtedy Alison zostawiła nas same, mówiąc, że przyjedzie po mnie w porze lunchu.

Właśnie rozglądałam się za wolnym krzesłem, gdy podeszła do mnie dziewczynka o rok czy dwa starsza ode mnie. Miała długie brązowe włosy i jasnoniebieskie oczy. Przedstawiła się jako Diane. Na podstawie jej wyraźnej wymowy i wyrazu oczu mogłam stwierdzić, że mój bliźniak ma taki sposób patrzenia i taką intonację głosu, jakich wymaga się od scjentologa. Dziewczynka zrobiła na mnie wrażenie niegłupiej, a zarazem gorliwej; gdy wypełniałyśmy kwestionariusze, zauważyłam, że ma idealny charakter pisma.

Nikki podała nam książkę, w której wykorzystano obrazki zamiast słów, by zilustrować określone idee. Było tam dwóch głównych bohaterów: Joe i Bill. Gdy jeden z nich popadał w przygnębienie, ten drugi mu pomagał - i na odwrót. Celem było zilustrowanie idei bliźniactwa. W książce były same ilustracje, bez żadnych słów.

- Dlaczego tu nie ma żadnych słów? - spytałam szeptem Diane.

- Jeśli nie ma słów, nie ma też obawy, że któreś z nich źle zrozumiemy - odrzekła.

Najwyraźniej LRH stworzył ten kurs po to, aby pomóc ludziom zrozumieć sensy i nie utknąć na definicjach.

Gdy skończyłyśmy pracę nad książką, Nikki wręczyła nam kolejną, ilustrującą, jak za pomocą gliny można zobrazować idee scjentologii. Książka zawierała tylko kilka słów oraz ich definicje. Przystępując do tego ćwiczenia, zasiadłyśmy z Diane naprzeciwko siebie przy jednym stole, na którym umieszczono wiaderko z gliną oraz przybory do rzeźbienia. Po tej stronie stolika, po której siedziała Diane, leżały też czyste kartki oraz długopis. To ona miała być audytorem. Nikki poinstruowała ją, by zadawała mi pytania i zapisywała odpowiedzi. Nikki obserwowała, jak Diane zaczyna od zapisania naszych nazwisk w górnej części kartki.

- Jesteś głodna? - zapytała Diane.

- Nie - odparłam.

- Dobrze - odrzekła Diane i zapisała na kartce odpowiedź. - Jesteś zmęczona? - padło kolejne pytanie.

- Nie - odrzekłam.

- Dobrze - odpowiedziała, po czym zapisała również tę odpowiedź.

Od tych pytań zaczynała się każda sesja audytowania.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinnyśmy zaczynać tej sesji? - zapytała Diane.

- A mamy robić sesję? - nieco zdziwiona odpowiedziałam pytaniem.

- Owszem: tę, o której właśnie czytałyśmy w książce.

- Ach tak. W porządku.

Diane powtórzyła pytanie:

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinnyśmy zaczynać tej sesji?

- Nie sędzę - odpowiedziałam.

- To jest sesja! - powiedziała nienaturalnie głośno, intensywnie się we mnie wpatrując.

Właśnie tak powinna się rozpoczynać scjentologiczna sesja - podniesionym głosem obwieszcza się jej początek. Następnie Diane odnotowała na kartce dokładny czas.

Nikki powiedziała nam, że mamy wykorzystywać glinę znajdującą się na stoliku, przy którym siedziałyśmy.

- Wykonaj glinianą reprezentację siły oraz siły jej przeciwdziałającej - zwróciła się do mnie.

Zastosowując się do instrukcji zawartych w drugiej książce, którą Nikki nam



wręczyła, dołożyłam wszelkich starań, by wykonać figurkę obrazującą tę ideę - zrobiłam figurki małych ludzików i przykleiłam im etykiety. Kiedy skończyłam, Diane podniosła rękę, aby Nikki sprawdziła, czy poprawnie wykonałam zadanie. Kiedy dziewczyna powiedziała, że jest w porządku, przeszliśmy do kolejnego: intencja - intencja przeciwna.

Po każdej kolejnej reprezentacji Diane pytała, czy mam na koncie jakieś zwycięstwa. Oto moje najczęstsze zwycięstwa: „Czuję się lepiej”, „Moje problemy już nie wydają mi się tak poważne”, „Mam mniej problemów, niż mi się wcześniej wydawało”. Wkrótce zorientowałam się, że zwycięstwa miały swoją dobrą stronę - stanowiły najprostszy sposób zakończenia sesji. Kiedy wspomniano o jakimś znaczącym zwycięstwie, sesja dobiegała końca. Zawsze musiałyśmy puentować audytowanie przy użyciu gliny jakimś zwycięstwem.

Zgodnie z obietnicą Alison pojawiła się, by zabrać mnie na lunch. Pojechałyśmy do biura mamy. Entuzjazm jej współpracowników na wieść o tym, że zaczęłam audytowanie z użyciem gliny, bardzo mnie ucieszył - nie byłam przyzwyczajona, że ktoś może się przejmować tym, co robię. Po lunchu wróciłam do sali, w której odbywał się kurs. Przebywałam tam aż do wieczora, a potem wróciłam do WB i zjadłam kolację w towarzystwie mamy i Toma. Następnie mama poprosiła Toma, by zabrał mnie do domu. Jak zwykle nie wróciła do domu przed pierwszą czy drugą w nocy.

Kiedy Tom mnie odwiózł, w mieszkaniu już czekała na mnie Sharni. Zaczęłam spędzać z nią tyle czasu, że szybko stała się dla mnie niczym starsza siostra, a nie opiekunka. Nocą szłyśmy popływać w basenie, a czasem oglądałyśmy programy muzyczne na VH1 lub MTV. Ponieważ pracownikom Kościoła, przynajmniej oficjalnie, nie wolno było mieć telewizorów, była to nasza jedyna szansa, by móc pooglądać telewizję, nic nie ryzykując. Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, Sharni mogłaby łatwo uniknąć odpowiedzialności, mówiąc, że spełniała moje życzenie.

Opiekowanie się mną nie stanowiło jedyne obowiązku Sharni w Sea Org. Podobnie jak kilka innych dziewcząt musiała pracować rzeczy mojej matki, Alison oraz innych kobiet z kierownictwa. Do obowiązków tych dziewczyn należało również sprzątanie mieszkań i biur swoich szefów, dopilnowywanie, by dowożono im posiłki, a także dostarczanie im przekąsek w ciągu dnia pracy. Zwykle Sharni kończyła pracę przed moim powrotem do domu, czasem jednak pomagałam jej w tym czy owym.

Obserwując Sharni przy pracy, odnosiłam wrażenie, że mam jakiś wgląd w to, co znaczy należeć do Sea Org. Wyobrażałam sobie dzień, w którym to ja będę miała podobne zadania. Nawet pomagając Sharni, miałam takie uczucie, jakbym naprawdę była pracownikiem organizacji. Troszczenie się o osoby ze ścisłego kierownictwa z pewnością

dodawało prestiżu Sharni, która swoje zadania traktowała niezwykle poważnie. W soboty nie miałam zajęć, więc przebywałam w jej towarzystwie. Często odwiedzałyśmy moją babcię Loretę, która nie tak dawno przeprowadziła się z New Hampshire do Clearwater. Wcześniej nie spędzałam wiele czasu z babcią, ale szybko zaczęło mi się to podobać. W któryś weekend do miasta przyjechali rodzice Loretty, moi pradziadkowie: Dorothy i -Ralph. Prababcie polubiłam, ale pradziadek Ralph był zrzędlwym, naburmuszonym starcem, który miał zwyczaj wykrzykiwania różnych komentarzy, czym budził mój strach. Nie był niemiły, ale małą dziewczynkę mógł onieśmielać - wydawał się obcesowy i szorstki. Teraz myślę, że przypuszczalnie starał się być miły i zagajać rozmowę, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak głośno mówi.

O swoich pradziadkach wiedziałam tylko tyle, że są katolikami. Kiedy zasiadaliśmy do jedzenia, modlili się przed posiłkiem, co trochę mnie peszyło. Nie byłam pewna, jak to się robi, więc tylko siedziałam w milczeniu, skrępowana, wyczekując końca modlitwy. Tata powiedział mi tylko tyle, że nie powinnam używać wyrażen „Jezu Chryste!” albo „Niech Cię Pan Bóg skarże!”. Nigdy jednak nie pokazał mi, jak odmawiać modlitwę.

W towarzystwie pradziadków bardzo się pilnowałam. Byli to WOGS, więc nigdy nie wiedziałam do końca, co powinnam przy nich mówić, a czego nie. Na Ranczu powtarzaliśmy sobie lądowe historie, które mieliśmy opowiadać WOGS, gdyby zaczęli nas pytać o to, czym się zajmujemy. Nazwa „lądowa historia” wzięła się stąd, że członkowie Sea Org przebywali na statkach i nie chcieli, by znano ich miejsce pobytu - opowiadali więc jakąś „lądową historię”. Zamiast ujawniać, że jesteśmy kadetami, którzy przygotowują się do wstąpienia do Sea Org, mieliśmy opowiadać „lądową historię” o tym, że chodzimy do prywatnej szkoły zwanej Castile -Canyon Ranch School. Jednak moi pradziadkowie i tak o nic mnie nie wypytywali. Przywykli do tego, że ich rodzina angażuje się w sprawy Kościoła - w końcu David Miscavige był ich wnukiem.

Podczas swej wizyty pradziadkowie oświadczyli, że chcą mnie zabrać do Disney World, ale nie chciałam zostać z nimi sama. Nie znałam ich aż tak dobrze. Kiedy w rozmowie telefonicznej z tatą zwierzyłam się ze swych obaw, ojciec się zdenerwował i powiedział, że mam tam z nimi pójść - bo jeśli nie pójde, zostanie to źle odebrane. Po raz pierwszy w życiu kazano mi przebywać z osobami spoza kręgu scjentologów. Moim wychowawcom udało się wywołać we mnie obawy w związku z WOGS, nawet tak hojnych i poczciwych jak moi pradziadkowie. Gdy jednak mama zobaczyła, że płaczę, powiedziała, że Sharni może jechać ze mną, i w ten sposób rozwiązała problem.

Audytowanie przy użyciu gliny trwało kilka tygodni. Im głębiej wnikaliśmy w tę

metodę, tym bardziej, jak nam mówiono, zbliżaliśmy się do stanu świadomości zwanego fenomenem krańcowym, przejawiającym się na ogół w formie jakiegoś zwycięstwa; swobodnie poruszającej się wskazówki na podziałce Emetru czy jakiejś szlachetnej intencji, choć ja sama nie byłam w stanie tego doświadczyć. Każdy poziom audytowania w scjentologii cechował się specyficznym fenomenem krańcowym czy też nabyciem przez adepta jakiejś zdolności, co było warunkiem przejścia na kolejny etap. Jednak upłynął tydzień, a mnie nie udało się doświadczyć owego fenomenu krańcowego i zaczynałam mieć tego wszystkiego serdecznie dosyć. Zaczęłam już snuć domysły, czym ten fenomen mógłby być, i próbowałam nawet przedstawiać go jako jakieś swoje zwycięstwo, ale żadna z moich sugestii nie była tą właściwą.

W końcu dowiedziałam się, że mogłam to po prostu przegapić. Nie bardzo wiedziałam, jak mogło do tego dojść, a poczułam się jeszcze bardziej zagubiona, gdy mi powiedziano, że faktycznie przeoczyłam ów stan świadomości, podobnie jak przeoczyli go moi superwizorzy. Nie było jasne, kiedy wystąpił ten fenomen, jednak po odkryciu, że go przeoczyłam, zakończyły się moje sesje audytowania z wykorzystaniem gliny.

Choć wcale nie byłam przekonana, że doświadczyłam fenomenu krańcowego, nie zamierzałam protestować, kiedy pozwolono mi przejść na kolejny etap - chciałam wreszcie zakosztować czegoś więcej. Odkąd przyjechałam do Flag, spotykałam coraz więcej osób znacznie bardziej wtajemniczonych w scjentologię; niektóre z nich wkrótce stały się dla mnie wzorami. Pragnęłam tego, co mieli oni - większej wiedzy, większego udziału w nieskrępowanej wolności. Skoro więc prowadzący kurs „Klucz do życia” orzekli, że doświadczyłam fenomenu krańcowego, to zapewne tak właśnie było. Pozostało jedynie proceduralne poświadczenie tego stanu rzeczy, co oznaczało wizytę u egzaminatora i zaliczenie audytowania z wykorzystaniem gliny. Dzięki Bogu, wskazówka swobodnie wychylała się na skali, więc mogłam zakończyć ten etap szkolenia.

Kazano mi wówczas audytować pewną dziewczynę, również z wykorzystaniem gliny. Była mniej więcej o cztery lata starsza ode mnie i tak wolno wykonywała swoje gliniane reprezentacje, że musiałam maksymalnie natężyć wolę, żeby nie usnąć. Siedziałam przy stoliku z gliną po pięć godzin z rzędu, czekając, aż dziewczyna skończy swoje dzieło. Nie mogłam zrobić kolejnego kroku, póki formalnie nie zamknęła tego etapu szkolenia.

A ów kolejny krok polegał na pogłębianiu naszego rozumienia różnych słów z języka potocznego. Korzystałyśmy z mającego kilkanaście centymetrów grubości słownika autorstwa LRH, zawierającego wszystkie powszechnie używane słowa, jakie tylko mogą przyjść do głowy, na przykład: „to”, „na”, „tak”, „nie”, „w”, „z” czy „do”. Musiałam zacząć

od pierwszego wyrazu, przeczytać na głos jego pierwszą definicję, a następnie własnymi słowami objaśnić Diane, co on oznacza. Potem miałam zastosować dane słowo w zdaniach - zgodnie z tą pierwszą definicją - póki w pełni nie zrozumiałam jego znaczenia. Następnie Diane zajmowała się kolejnymi dwoma definicjami i tak dalej - często przerabialiśmy ponad dwadzieścia definicji każdego słówka. Kiedy już przebrnęliśmy przez wszystkie definicje, przechodziliśmy do etymologii oraz do wyrażzeń, w których słowa te występują. Istnieją całe tuziny takich wyrażzeń, a wszystkie one miały być objaśnione tą samą metodą co definicje. Ćwiczenie było chwilami dość otepiające i starałam się przebrnąć przez nie jak najszybciej, choć oczywiście na tym etapie nie obyło się bez testów Emetrem i wyrwykowych kontroli.

Robiliśmy postępy, choć praca z Diane szła mi powoli, bo nie zawsze dobrze się dogadywałyśmy. Była starsza ode mnie, bystrzejsza i sprawniejsza. Szybko się nudziłam i miałam trudności z koncentracją. Ile godzin można spędzić nad słówkiem i zarazem nie zwariować? Kiedy ogarniała nas frustracja lub przygnębienie, miałyśmy wychodzić na spacer, co też ochoczo czyniłyśmy. W końcu jednak zdołaliśmy przebrnąć przez wszystkie słowa.

Kolejny etap kursu polegał na pracy z zestawem ćwiczeń równie pokaznym jak wcześniejszy słownik. *New Grammar* - tak zwał się nasz kolejny koszmar. Ponieważ LRH wierzył, że źle zrozumiane słowo stanowi przyczynę wszelkiej głupoty i źródło błędów, chciał mieć pewność, że potrafimy wyjaśnić znaczenia nawet najdrobniejszych i najczęściej występujących wyrazów. Kładł też nacisk na gramatykę, ponieważ jej znajomość stanowi kolejny poziom zaawansowania w zakresie rozumienia języka angielskiego; robimy z niej codzienny użytek, a tym samym jest ona niezbędna każdemu naprawdę kompetentnemu użytkownikowi języka.

Bardzo trudno przychodziło mi opanowanie prezentowanych treści, zwłaszcza kiedy próbowaliśmy bezbłędnie odczytywać je na głos. Być może starszym adeptom kursu zadanie to nie nastęczało większych problemów, dla mnie jednak było po prostu zbyt skomplikowane. Nie licząc Diane, od pozostałych kursantów byłam młodsza o co najmniej pięć lat, przez co kurs stanowił dla mnie znacznie większe wyzwanie. Częstokroć ponownie czytałam po cichu przerabiany materiał, bo po kilku kolejnych stronach był test, sprawdzający, czy wszystko zrozumieliśmy. Ostatecznie przerobienie *New Grammar* zajęło nam kilka miesięcy. Nie wiem, jak zdołałam zaliczyć wszystkie te testy, ale jakoś mi się to udało.

Ostatni etap kursu nosił nazwę „Czynniki”. Krążyły słuchy, jakoby na tym poziomie wtajemniczenia wyjawiano jakieś niezwykle rewelacje dotyczące pojawienia się ludzkiej rasy na ziemi. Byłam niezwykle ciekawa, gdyż słyszałam o tym wszystkim już od jakiegoś czasu.

Kiedy otwarliśmy księgę The Factors, ujrzeliśmy piękne obrazki przedstawiające chmury i zachody słońca, liście i góry, błyskawice i inne zjawiska natury. Na ostatniej stronie widniał cytat: „Z pokorą ofiarowuję ten dar ludzkości, L. Ron Hubbard”.

Mimo całej swej zagadkowości książka mocno mnie rozczarowała. Miałam nadzieję, że krok po kroku zostaną wprowadzona w tajemnicę naszego pochodzenia, tymczasem natrafiłam na rewelacje w rodzaju: „Przed początkiem była przyczyna, cały zaś cel przyczyny stanowiło wywołanie skutku”. Ten mętny język poznałam już wcześniej. Również i tym razem odniosłam wrażenie, że coś mi umknęło, i jak zwykle nie zadawałam pytań, bo gdybym to zrobiła, poradzono by mi, żebym odnalazła słowa, których nie zrozumiałam.

Pomimo całej monotonii pracy wykonywanej w ramach kursu byłam coraz bardziej oczarowana życiem w Sea Org - i to nie tyle samymi zajęciami, ile stylem życia, jakie zdawali się wieść wszyscy wokół mnie.

Przyzwyczałam się do korzyści płynących z tego, że moja matka należy do kręgów kierowniczych w Kościele. Jadłam z nią lunch w WB, podczas gdy Diane stołowała się w Elks Building wraz z tymi wszystkimi, którzy do owych kręgów nie należeli - miejsce to było, jak się zdaje, odrażające. W każdy sobotni poranek mama dostawała wolne. Zwykle było to pół dnia, a raz czy dwa - nawet cały dzień. Robiliśmy wtedy rzeczy, których nie robiłam nigdy wcześniej: razem z Tomem, Jenny i Alison jeździliśmy na skuterach wodnych albo odwiedzaliśmy park krajobrazowy, gdzie pływaliliśmy w towarzystwie manatów.

Moja mama miała własnego fryzjera, który robił jej pasemka i podcinał włosy; czasem szłam razem z nią, ale tylko by popatrzeć. Raz nawet mama zapłaciła, by zrobiono mi manicure w miejscowym spa, podczas gdy sama zafundowała sobie depilację woskiem. Nie wiedziałam nawet, że pasemka, depilacja czy manicure to standardowe zabiegi w przypadku kobiety dbającej o urodę. Nigdy wcześniej nie rozmawiałyśmy o takich sprawach. Wszystko to było dla mnie czymś zupełnie nowym - sam pomysł troszczenia się o siebie w taki sposób odebrano by na Ranczu jako przejaw niewiarygodnego wprost egoizmu, jednak tutaj, we Flag, nie kwestionowałam tych wszystkich starań. Uznałam, że matka na nie zasługuje, i podziwiałam ją jako idealnego członka Sea Org. Stanowiła dla mnie wzorcowy przykład tego, jak daleko można zajść w życiu.

Im dłużej byłam we Flag, tym atrakcyjniejsze mi się to wszystko wydawało i tym bardziej rósł mój entuzjazm dla Sea Org i scjentologii. Podobała mi się zwłaszcza ceremonia wręczania świadectw dla kończących kursy, odbywająca się w piątkowe wieczory w audytorium hotelu Fort Harrison. Wszyscy z bazy Flag co tydzień brali udział w tej uroczystości, toteż sala zawsze pękała w szwach. Chwalono się zwycięstwami odnoszonymi

w trakcie kursów czy też sesji audytowania odbywającymi się we Flag. Zwycięstwem było tak naprawdę każde osobiste osiągnięcie - począwszy od takiego drobiazgu jak lepsze samopoczucie, na cudzie skończywszy. Po wręczeniu nagród kelnerzy roznosili przekąski; co tydzień przylatywali na uroczystość rozmaici ludzie z kierownictwa, aby gościnnie wygłosić przemówienie. Czasem był to mój ojciec - mogliśmy wtedy cały następny ranek spędzić razem. Kiedy indziej mowę wygłaszała jakaś inna osoba piastująca wysoki urząd w Kościele scjentologicznym; sporadycznie zjawiał się na ceremonii nawet stryj Dave.

Słuchanie przemawiających pod wieloma względami umacniało te wszystkie pozytywne emocje, jakie od czasu mojej pierwszej wycieczki do Clearwater wzbudzała we mnie formacja Sea Org. Życie w organizacji, jakie wiodła mama, było moim wielkim marzeniem: koniecznie chciałam się stać kimś takim jak ona. Widziałam ludzi przemawiających, jak mój ojciec, przed tłumem osób uniesionych falą religijnego entuzjazmu, a wtedy jeszcze mocniej wierzyłam w to, że moja przyszłość wiąże się z Kościołem.

Szczególnie przeżywałam coroczne uroczystości scjentologiczne, takie jak Dzień Audytorów, uroczystość Międzynarodowego Związku Scjentologów i rocznice dziewiczego rejsu statku Freewinds. Uczestniczyły w nich tysiące scjentologów, a osoby ze ścisłego kierownictwa zjawiały się na podium, by zaprezentować filmy pokazujące pracę scjentologów w wielu zakątkach świata, tak odległych jak Rosja i Azja. Na owych filmach ludzie z różnych krajów opowiadali o cudach, jakie działała w ich życiu scjentologia. Dzielili się zwycięstwami dotyczącymi najróżniejszych rzeczy: od pokonania raka po ustąpienie paraliżu, podczas gdy ich słuchacze, oddaleni o tysiące kilometrów, zafascynowani chłonili każde słowo. Po projekcji publiczność zrywała się z miejsc w istnym szale radości. Również i mnie udzielał się ten entuzjazm. Nie każde spośród słów używanych przez ludzi dzielących się swymi zwycięstwami było dla mnie zrozumiałe, niezaprzeczone było jednak wrażenie, jakie wywierały na mnie podobne sceny. Czułam ciarki na całym ciele, wsłuchując się w okrzyki „hip, hip, hura” na cześć LRH, które rozlegały się wokół mnie - był to najwyższy przejaw życia zbiorowości, ukazujący całą pełnię przynależności do scjentologów.

Podczas tych uroczystości stryj Dave lub ktoś inny z samych szczytów władzy prezentował wykresy pokazujące, że wszystkie statystyki dowodzą coraz większych sukcesów scjentologii. Statystyki te uwzględniały takie składowe jak „godziny skutecznego audytowania” lub „liczbę książek sprzedanych poszczególnym osobom”. Stryj Dave albo jeden z jego ludzi zawsze wygłaszał przemówienie motywacyjne dotyczące tego, że scjentologia podbija świat i że rządy niektórych państw powitały ją z otwartymi ramionami.

Kiedy razem z Diane ukończyłyśmy „Klucz do życia”, nadeszła w końcu chwila, bym i ja podzieliła się jakimś zwycięstwem z pozostałymi uczestnikami kursu. Zwykle byłam nieśmiała i milcząca, a dodatkowo fakt, że moje zwycięstwo było ledwie warte wzmianki, sprawił, że nie byłam zbyt pewna siebie. Prezentując swoje zwycięstwo, Diane miała długie, efektowne wystąpienie. Ja z kolei byłam wystraszona niczym złapane w potrzask zwierzę, mimo że już lepiej rozumiałam słowa będące w potocznym użyciu, dzięki czemu mogłam głębiej wniknąć w to, co mówili do mnie ludzie, a także w to, co czytałam. „Dobrze się bawiłam” - wybąkałam z takim zakłopotaniem, że zaraz potem wybiegłam z sali, co tylko jeszcze bardziej mnie zawstydziło. Tamtego piątkowego wieczoru podczas uroczystości rozdania dyplomów byłam zbyt zmieszana, by wyjść na scenę i odebrać dyplom, co uczynili wszyscy inni.

Ukończenie kursu „Klucz do życia” oznaczało niestety, że mój czas w Clearwater niemal dobiegał końca. Nowi przyjaciele z całego świata zapraszali mnie, bym ich odwiedziła - perspektywa ta wydała mi się niezwykle kusząca. Ponieważ mama jeździła po całym świecie, pracując nad różnymi projektami, pomyślałam, że być może kiedyś ich odwiedzę. Wiedziałam, że będę tęsknić za przyjaciółmi - zbliżyłam się nawet z Diane, mimo że ze sobą rywalizowałyśmy.

Zdałam sobie sprawę, że bardziej niż kiedykolwiek wierzę w potęgę Kościoła. Po miesiącach słuchania opowieści o zwycięstwach oraz namiastce doświadczenia, czym jest życie w Sea Org, stopniowo dałam się wchłonąć Kościołowi - bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Po raz pierwszy nie myślałam o frustracji związanej z „czwartkowymi podstawami”, z formułami oznaczającymi kondycję czy z wykonywaniem prac pokładowych. Teraz myślałam już tylko o tym, co mogę osiągnąć, jeśli otworzę się na scjentologię. Zawsze w nią wierzyłam, ale nigdy nie rozumiałam jej potęgi ani nie widziałam dla niej miejsca w swoim życiu. Nagle poczułam, jakby objawił mi się jego cel, sens mojej przyszłej pracy dla Sea Org, uzasadnienie mojego poświęcenia. Przebywając co piątek w tłumie scjentologów, czułam, że jestem częścią czegoś wyjątkowego, czegoś, co zmieni ludzkość.

## Rozdział jedenasty

### Powrót do ciężkiej pracy

Po rozdaniu dyplomów zostałam w Clearwater jeszcze przez kilka tygodni, a potem razem z mamą wróciłyśmy samolotem do Kalifornii. Mama miała w Int jakieś sprawy do załatwienia, a ja wróciłam na Ranczo. Nie było mnie tam przez kilka miesięcy i dziwnie się teraz czułam. Po zakosztowaniu we Flag odrobiny wolności naprawdę trudno było mi wrócić do prac pokładowych i całej tej harówki. Jednak pobyt we Flag wrył mi się głęboko w pamięć, więc zamiast pograżać się w depresji, z optymizmem spoglądałam w przyszłość.

Bez wątpienia duży udział w podtrzymywaniu mnie na duchu mieli moi przyjaciele na Ranczu. Przebywając z nimi, rzadko myślałam o rodzinie. Naomi, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, miała dosyć buntowniczy charakter. Słuchała stacji radiowej z muzyką punkową, choć Kościół uznawał wiele zespołów punkowych, zwłaszcza Sex Pistols, za zbyt wulgarne. W jednej ze swoich pogadanek LRH wspominał, że ten właśnie zespół ma zły wpływ na dzieci.

Przyjaźniłam się również z dwiema siostrami, Evą i Caitlin. Eva lubiła się malować, lubiła też inne typowo dziewczęce rzeczy, a ja również byłam w głębi serca dość dziewczęca, choć starałam się pozować na chłopczycę, bo było to dobrze widziane przez innych. Lubiłam chodzić z Evą do jej pokoju w czasie posiłków lub przerw na skorzystanie z łazienki podczas prac pokładowych. Lubiłam grzebać w jej komodzie i znajdować tam fajne rzeczy. Eva, Caitlin i Naomi wydawały mi się bardziej ludzkie niż wszystkie inne dzieci na Ranczu i w mniejszym stopniu przypominały roboty. Pewnie właśnie to mnie do nich przyciągnęło.

Ponieważ nasze mundurki były co wieczór prane, na wieczornych zajęciach ze scjentologii mogłyśmy nosić normalne ubrania. Caitlin, Eva i ja lubiłyśmy je sobie nawzajem pożyczać. Dzieliłyśmy się także płytami z muzyką i co roku w czasie świąt wręczałyśmy sobie prezenty.

Gdy przebywałam z Evą i Caitlin, trudno mi było nie zauważyć, że dorastam - podobnie zresztą jak wszystkie inne dzieci na Ranczu. Choć spotykało się to z dezaprobatą zwierzchników, nagle dzieci zaczęły rozmawiać między sobą o takich sprawach jak flirtowanie albo o tym, który chłopiec podoba się której dziewczynie. Wszystko to wydawało się dość niewinne, ale nie minęło wiele czasu, a zaczęłam widzieć konsekwencje sytuacji, gdy granica niewinności została przekroczona.



Wkrótce po powrocie z Flag zaczęłam chodzić na kurs „Obranie kierunku w życiu” („Life Orientation Course”, LOC). Następował on po kursie „Klucz do życia”. Tym razem moim bliźniakiem miał być Justin. Ponieważ superwizorzy na Ranczu nie mieli uprawnień do prowadzenia kursu, miał się on odbywać w Int Base wieczorami zamiast zajęć scjentologicznych prowadzonych na Ranczu.

Na zajęciach LOC dowiadywaliśmy się więcej o dwunastu kondycjach człowieka i o tym, jakie kroki należy podejmować, aby poprawić własną kondycję - dowiadywaliśmy się również o innych elementach technologii scjentologicznej. Justin w roli bliźniaka mnie frustrował. Dzieliło nas osiem lat i trudno nam było się dogadać. Podobnie jak w wypadku kursu „Klucz do życia” i tym razem wymagano od nas, byśmy przeczytali na głos jakiś tekst - bez zająknięcia i zawahania. Jeśli zrobiłam błąd, musiałam się zatrzymać i poszukać w słowniku słowa, którego rzekomo nie rozumiałam. Przy najdrobniejszym potknięciu Justin mi przerywał - co było jego obowiązkiem - a ja nie chciałam się przyznać do błędu. Nie miał dla mnie cienia wyrozumiałości, a to, że wypierałam się błędów, jeszcze bardziej go rozjuszało. W gruncie rzeczy miałam niewielkie pojęcie, o czym jest ten cholerny tekst, ale nie mogłam dopuścić, by zauważył to Justin. Nieustannie podnosiliśmy ręce, żeby przywołać superwizora, którego zadaniem było mediowanie. Mój brat naśmiewał się ze mnie, a ja zalewałam się łzami.

W końcu Justin powiedział personelowi Rancza, że wszystko to mnie przerasta i że LOC jest dla mnie za trudny. Powiedział im także, że już nic nie pamiętam z kursu „Klucz do życia”. Zaczął mnie odpytywać na wrywki w obecności pana Parker oraz pana Bell. Zadawał mi pytania w rodzaju: „Co to jest tryb łączący?”. Choć ćwiczyłam te odpowiedzi przez ostatnie trzy miesiące, Justin miał rację - nie mogłam ich zapamiętać.

W scjentologii zapominanie traktowano jako „pustkę w głowie”, oznakę tego, że nie rozumiało się jakiegoś słowa. Zapominając o czymś, w gruncie rzeczy przyznawałam, że pominęłam jakieś słowa, które nie do końca rozumiałam. Uważano to za nieuczciwe odbycie kursu, a to było wykroczenie. Więc z powodu gadaniny mojego brata zakwalifikowano mnie do jednej z niższych kondycji, do kondycji wątpienie, przez co musiałam kilka tygodni odpokutowywać swoje zachowanie, zanim mogłam znów dołączyć do grupy.

Koniec końców musiałam od nowa przerobić większą część kursu „Klucz do życia”. Każdego ranka z ludźmi, którzy dowozili żywność na Ranczo, jeździłam do Int Base, gdzie czekała na mnie pewna kobieta pełniąca funkcję mojego bliźniaka. Na Ranczo wracałam w porze lunchu. Na szczęście kurs „Klucz do życia” nie był tym razem zbyt trudny.

Ponieważ z powodu kursu nie wykonywałam prac pokładowych, musiałam

odpracowywać je popołudniami, co nie było aż takie złe. Pracowałam razem z przyjacielem mojego brata Teddym, który stał się członkiem personelu na Ranczu, a teraz zwracano się do niego per „pan Blackman”. Nasze projekty obejmowały prace techniczne, takie jak naprawa studni na całej posiadłości. Na miejsce pracy jeździliśmy motorem, a do moich zadań należało podawanie Teddy’emu narzędzi. Podczas tych prac byłam o wiele bardziej zrelaksowana niż podczas regularnych zajęć pokładowych, w czasie których wszystkich poganiano. Czas spędzony w towarzystwie Teddy’ego trudno byłoby uznać za pracę.

Lubiłam te nasze wspólne chwile. Teddy często pytał mnie o Florydę, ponieważ tam właśnie się urodził. Mówił, że chce skończyć Cadet Org tylko po to, żeby móc mieć dziewczynę. Czasem wchodziliśmy na któreś wzgórze w pobliżu rzeki, żeby pooglądać zachód słońca. Nie wiedziałam, że teren wokół Rancza jest tak malowniczy, ponieważ nigdy nie miałam czasu, żeby się mu przyjrzeć. Zaprzyjaźniłam się z Teddym, choć on traktował mnie jak małą siostrę swojego przyjaciela.

Moja przyjaciółka Eva zaczęła robić komentarze na temat tego, że Teddy jest dla mnie taki miły. Sprawiała wrażenie zazdrosnej. Wydało mi się to dziwne, bo o ile się orientowałam, jej i Teddy’ego nie łączyła nawet przyjaźń. Większość dziewczyn na Ranczu w mniejszym lub większym stopniu była zadurzona w Teddym. Kiedy byłam mała, również trochę się w nim podkochiwałam, jednak dzieliła nas zbyt duża różnica wieku i za bardzo przypominał mi brata. Podobał mi się za to inny chłopiec w moim wieku - Corwin. On też mnie lubił. Czasem przychodził wieczorami do mojego pokoju, by pogawędzić. Siadywaliśmy naprzeciw siebie podczas kursu, a od czasu do czasu chodziliśmy razem na posiłki. Przyglądałam się, jak Corwin jeździ na deskorolce na pochylni znajdującej się przed Big House - było to coś w rodzaju niewinnego flirtu. Moi przyjaciele wiedzieli, że darzymy się sympatią, bo każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem.

Przez kilka miesięcy Teddy i ja pracowaliśmy wspólnie w ramach prac pokładowych, aż któregoś dnia podczas musztry ujrzałam, że Teddy jest prowadzony pod eskortą - najwyraźniej miał kłopoty. Wcześniej zauważyłam Evę w zwykłym cywilnym ubraniu - jeden z dorosłych popędzał ją w stronę Cottage. Noszenie cywilnego ubrania w dzień roboczy nigdy nie oznaczało niczego dobrego. Zobaczyłam, że Teddy’ego, również bez uniformu, odprowadza do innego budynku syn Rosemary, Mike, który teraz był członkiem personelu zarządzającego Ranczem. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że Eva i Teddy wspólnie popełnili jakieś przewinienie. Nie dowiedziałam się niczego na ten temat aż do musztry, która tego samego dnia odbyła się przed pracami pokładowymi. Zjawiała się na niej kierowniczką wydziału inspekcji i raportów z CMO International.

Sprawowała kontrolę nad dyscypliną i miała dużą władzę. Wszyscy obecni na musztrze byli tak cicho, że słyszałam własny oddech. Kobieta stanęła naprzeciwko nas i obwieściła grobowym tonem, że Eva i Teddy dopuścili się wykroczenia przeciw 2D. 2D był to skrót od drugiej dynamiki. Wykroczenie przeciw 2D oznaczało wszelkie relacje nieograniczające się do całowania. Był to bardzo poważny zarzut.

Takie wykroczenie mogło mieć związek z każdą z ośmiu dynamik, które mieliśmy uwzględniać, podejmując różne decyzje. Ponieważ druga dynamika była związana z rodziną, relacjami osobistymi, seksem i dziećmi, Eva i Teddy zostali oskarżeni o wykroczenie przeciw 2D, co oznaczało zarzut popełnienia jakiegoś nieetycznego czynu natury seksualnej, godzącego w morale grupy.

Bałam się o nich, ponieważ wiedziałam, że najprawdopodobniej zostaną surowo ukarani. Kiedy tak się zastanawiałam, co się z nimi stanie, kierowniczka wydziału inspekcji ogłosiła coś jeszcze bardziej szokującego - a mianowicie, że Justin wiedział o tym związku i nie sporządził żadnego raportu na ten temat. Oznaczało to, że czeka go taka sama kara jak dwoje winowajców. Justin uparcie twierdził, że o niczym nie wiedział, ale najwyraźniej kierowniczka mu nie uwierzyła i kazała go wyprowadzić z placu apelowego.

Przez kilka kolejnych dni odbywało się polowanie na czarownice - wszystkie dzieci były niespokojne i martwiły się, że podzielą los ukaranych. Kobieta z Int pozostała na Ranczu, badając Emetrem i przepytując dzieci w sprawie raportów na temat różnych nieetycznych zachowań. Kazała też im pisać raporty na temat wszelkich zachowań podpadających pod wykroczenie przeciw 2D, nie wyłączając flirtowania, których one same były uczestnikami lub świadkami. Jako że byliśmy dziećmi, definicja flirtowania była często myląca i jeśli się w kimś durzyłeś lub spędziłeś z nim trochę czasu, już samo to wystarczyło, by pojawiły się wątpliwości, gdyż takich zachowań nie akceptowano.

W rezultacie musiałam odnieść się do szeregu raportów, w których zarzucano mi flirt z Corwinem. Choć wiedziałam, że każdy kontakt chłopaka z dziewczyną traktowano teraz niezmiernie poważnie, nadal bym się z nim spotykała, gdyby nie wyszło na jaw, że coś go łączyło również z moją dawną przyjaciółką Rebeccą, z którą kiedyś próbowałam uciec z Rancza. Któregoś wieczoru Corwin przyszedł do mnie, by się dowiedzieć, czemu go ignoruję, a ja byłam dla niego nieprzyjemna. Powiedziałam mu, że nie zamierzam z nim więcej flirtować. Widziałam, że zrobiło mu się przykro, ale sama też czułam się zraniona.

Eva i Teddy mieli duże kłopoty, choć pozwolono im zostać na Ranczu i nie wysłano ich na obóz dyscyplinarny Rehabilitation Project Force (RPF), co stanowiło standardową karę za podobne wykroczenie. RPF był dla ludzi, którzy naprawdę coś przeszkrobali. Musieli się

ubierać na czarno; podczas prac pokładowych musieli biegać, gdziekolwiek się udawali; nie wolno im było wymienić ani słowa z innymi członkami załogi, chyba że ci ostatni sami się do nich zwrócili. Otrzymywali tylko połowę pensji i mieli piętnastominutowe przerwy na posiłki. Jeśli nie podporządkowywali się zwierzchnikom lub pyskowali, musieli biegać w kółko. Ich dni były wypełnione ciężką fizyczną pracą i intensywnymi sesjami audytowania, podczas których mieli ujawniać swoje złe intencje i pozbywać się ich dzięki procedurom scjentologicznym. Wizja obozu RPF nawiedzała każdego członka Sea Org w najgorszych koszmarach. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam na Ranczo, właśnie zorganizowano tam obóz RPF.

Zamiast zsyłki na RPF Teddy musiał przetrwać ostracyzm, jakiemu został poddany. Wcześniej był uznawany za najfajniejszego chłopaka na Ranczu, a teraz był pariasem, z którym nikt nie rozmawiał.

- Sądziłam, że jest fajny - powiedziała mi któregoś dnia jedna z moich przyjaciółek - ale teraz widzę, że to nieudacznik.

Nie ona jedna myślała w ten sposób. W opinii większości Teddy znalazł się na samym dnie. Później dowiedziałam się od jego matki, że po tym jego wykroczeniu przeciw 2D chciano wysłać Teddy'ego na RPF, ale uratował go stryj Dave. Nigdy nie poznałam przyczyny, ale przypuszczam, że był nią młody wiek Teddy'ego oraz fakt, że formalnie rzecz biorąc, był on wciąż jeszcze kadetem, a nie członkiem Sea Org.

Ja sama nie potrafiłam się zmusić, by go potępiać tak jak wszyscy inni. Przede wszystkim mu współczułam. Nie potrafiłam widzieć w nim jedynie kogoś, kto zaszkodził grupie lub zgrzeszył przeciw scjentologii - nadal był dla mnie zawsze okazującym mi sympatię przyjacielem mojego brata.

Do zaordynowanego mu programu etycznego należało czytanie wytycznych LRH, przechowywanych w tym samym budynku, w którym mieścił się magazyn z witaminami. Jestem pewna, że Teddy spodziewał się, że podobnie jak inni będę go ignorowała, ale kiedy nikt nie patrzył, przynajmniej próbowałam się z nim przywitać. Widywałam go w owym budynku, kiedy pracowałam, a wtedy pytałam, jak się miewa. Teddy był wdzięczny za wszelkie oznaki życzliwości; parę razy widziałam nawet, że płacze.

Zdawało się, że Evie nie jest tak ciężko jak Teddy'emu, choć jej również wszyscy unikali. Potajemnie nadal z nią rozmawiałam, choć gdy mnie na tym przyłapano, miałam kłopoty. Raz ostrzeżono mnie, bym przestała się z nią spoufalać, bo jeśli tego nie zrobię, czekają mnie te same kary, które spotkały ją. Ja jednak i tak z nią rozmawiałam, bo była moją przyjaciółką.

Tymczasem zaczęto mnie wypytywać o Justina i jego relację z dziewczyną z Rancza, niejaką Tiffany. Wiedziałam na ten temat tylko to, z czego zwierzyła mi się Tiffany: że będzie kochać mojego brata aż po grób, ale nikomu o tym nie powiedziałam. Podczas przesłuchań głupio wypaliłam: „Nic wam nie powiem o moim bracie!”, przez co stałam się jeszcze bardziej podejrzana. Sądziłam, że Justin doceni moją lojalność, ale on wściekł się na mnie i powiedział, że jestem idiotką.

W końcu wszystko się na Ranczu uspokoiło i kierowniczka wydziału inspekcji i raportów wróciła do Int Base - jej wizyta niewątpliwie odniosła zamierzony skutek. Ponieważ zaczęto nas szpiegować i karać, nie tylko starannie dobieraliśmy towarzystwo, ale również staliśmy się nieufni.

Jednak pod wieloma względami wszystko to, co przytrafiło się Evie i Teddy'emu, wywarło na mnie skutek odwrotny niż ten, który chcieli osiągnąć nasi zwierzchnicy na Ranczu. Przed pojawieniem się kierowniczki wydziału inspekcji zastanawiałam się nieraz, jak bym postąpiła, gdyby mój przyjaciel popełnił jakieś wykroczenie przeciw grupie, pakując się przez to w kłopoty. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu znałam już odpowiedź; mnie samą zdziwiła szybkość i naturalność własnej reakcji. Niezależnie od tego, co scjentologia uznawała za etyczne czy słuszne, przyjaciele byli dla mnie najważniejsi. Nie byłam w stanie zmusić się do ich potępienia.

## Rozdział dwunasty

### Znowu we Flag

Wiosną 1995 roku miałam jedenaście lat. Mama powiedziała mi, że mogę wrócić na Florydę, by znów uczestniczyć w kursie „Klucz do życia”. Powiedziała, że ponieważ za pierwszym razem we Flag nikt nie pomógł mi odbyć kursu, jak należy, trzeba to naprawić. Czułam się bardzo niezręcznie. Martwiłam się, że Nikki rozgniewa się na mnie z powodu niewłaściwego zaliczenia kursu - ale wszystko to czekało mnie dopiero w Clearwater.

Po przybyciu na miejsce zauważyłam, że to i owo się zmieniło. Sharni już nie pracowała dla mamy - była teraz kucharką w Hibiscusie. Wyglądało na to, że naprawdę podoba jej się ta praca, choć mówiła, że będzie jej mnie brakowało. Teraz miała się mną opiekować Valeska. Miała być również moim bliźniakiem podczas kursu „Klucz do życia”.

W dodatku mama miała nowego współpracownika i najwyraźniej spędzała z nim mnóstwo czasu. Nazywał się Don Jason i był prawą ręką kapitana Flag Service Organization, co było niezwykle ważną rangą. Wydawał się sympatyczny, miał krótko przycięte włosy i błękitne oczy. Jego żona Pilar była kierowniczką w biurze mamy. Don towarzyszył nam nieraz podczas posiłków i mama często o nim mówiła.

Pierwszego dnia, kiedy przybyłam na kurs, trochę się denerwowałam, co mi powie Nikki, więc poczułam ulgę, kiedy nie potraktowała mnie zbyt surowo. W pomieszczeniu, w którym miał się odbyć kurs, byli wszyscy nowi uczestnicy. Zaprzyjaźniłam się z wielkim chłopakiem o imieniu Buster i z jego bliźniakiem Jasonem, który wydał mi się uroczy. Czekaając, aż nas wyczytają na liście obecności, Valeska, Buster, Jason i ja graliśmy w dwadzieścia pytań.

Po zajęciach Valeska i ja wracałyśmy autobusem do domu. Szłyśmy popływać, kręciłyśmy głupie filmy wideo lub jedna drugiej robiła makijaż. Czasem pomagałam Valesce w jej pracy - na przykład podczas prania czy przygotowywania posiłku. Wtedy też opowiadała mi o swoim dzieciństwie. Urodziła się w Szwajcarii i gdy była mała, jej ojciec zapragnął wstąpić do Sea Org w Anglii, co nie spodobało się jej matce. Mimo to rodzina postanowiła wyruszyć do Anglii, ale podczas jednego z postojów matka Valeski wysiadła z samochodu, mówiąc, że idzie po kawę. Nigdy nie wróciła. Po przyjeździe do Anglii ojciec Valeski wysłał ją wraz z dwojgiem jej rodzeństwa do Cadet Org, choć żadne z nich nie mówiło po angielsku.

Była to przerażająca historia. Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym, i to ze szczegółami. Będąc na Ranczu, słyszałam o rodzicach, którzy stwarzali problemy, więc nie widywali się z własnymi dziećmi, nigdy jednak nie poświęcałam tym opowieściom wiele uwagi. A jednak historia Valeski brzmiała wiarygodnie. Skoro jej matka nie chciała dołączyć do Sea Org, a ojciec tego właśnie pragnął, musieli się rozstać. Jednak myśl, że przydarzyło się to osobie, z którą byłam tak blisko, była przygnębiająca - do tego stopnia, że gdy moja matka wróciła tego wieczoru do domu, powiedziałam jej o tym. Ona jednak zbagatelizowała całą sprawę, stwierdzając, że to nie może być prawda. Nie byłam pewna, czy w ogóle mnie słucha, ale się myliłam. Następnego wieczoru, nim położyłam się spać, powiedziała:

- Dziś wieczór żadnych smutnych historii.

Rzadko rozmawialiśmy na trudne tematy. Pewnego dnia, gdy byliśmy właśnie w kuchni jej biura, mama niespodziewanie przekazała mi smutną wiadomość:

- Musisz wiedzieć, że babcia Janna opuściła swoje ciało.

Nie wiedziałam nawet, że babcia była chora, ale też nie widziałam jej, odkąd skończyłam pięć lat. Kilka miesięcy wcześniej wysłałam jej kartkę na święta, ale musiałam wypisać zły adres, bo przesyłka wróciła.

- A niech to - powiedziałam, nie wiedząc, jak zareagować.

W scjentologii nie ma określonego rytuału praktykowanego w wypadku czyjejś śmierci. Mnóstwo ludzi decyduje się na kremację, ponieważ tak postąpił LRH. Zwykle drukuje się wtedy mocno sentymentalną klepsydrę mówiącą o wszystkich dobrych rzeczach, jakie zrobiła dana osoba. Jeśli była członkiem Sea Org, w ogłoszeniu pojawia się wzmianka, że przyznaje się jej dwudziestoletni okres zwolnienia z obowiązującego miliard lat kontraktu, by miała czas na znalezienie nowego ciała i powrót na ziemię. Zwykle odbywa się też pogrzeb. Ja sama nigdy w żadnym nie uczestniczyłam. Śmierć babci do pewnego stopnia mnie zmartwiła, ale starałam się nie zapominać, że babcię czeka kolejne wcielenie.

Mama nie wyglądała na załamana.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Smutno mi - odpowiedziała. - Ale przez te wszystkie lata twoja babcia i ja nie spędziłyśmy ze sobą wiele czasu, więc w pewnym sensie przywykłam do tego, że nie ma jej przy mnie. Odbędę w tej sprawie sesję audytowania.

Może to zabrzmie dziwnie, ale śmierć babci Janny nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Mimo że to ona wprowadziła matkę do Kościoła, nie spędziłam z nią zbyt wiele czasu - a i mama najwyraźniej lekko zniosła jej odejście.

Mieszkając u mamy, szybko przyzwyczałam się do nowej codzienności - służyła mi.

Opieka Valeski też była dla mnie wielkim wsparciem. Valeska nie tylko była dla mnie wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o funkcję, jaką pełniła w Kościele, ale była też moją koleżanką z kursu, a nasza przyjaźń stała się dla mnie czymś niezmiernie ważnym.

Głównym moim celem było ukończenie kursu „Klucz do życia” - poza scjentologiczną edukacją nie miałam żadnych innych typowych zajęć szkolnych. Błyskawicznie zaliczyłam ten kurs i zapisałam się na LOC, kurs, który pierwotnie odbywałam z Justinem w roli bliźniaka i którego nie skończyłam. Tym razem nie zamartwiałam się z powodu LOC, ponieważ dzięki niemu mogłam zostać we Flag jeszcze dłużej.

Mieszkałam z mamą, zaczęłam więc częściej widywać stryja Dave’a. Miał we Flag wiele spraw do załatwienia i często przyjeżdżał do Clearwater. Czasem zostawał nieco dłużej. Mama zabraniała mi przebywać w biurze, kiedy stryj był w mieście. Miałam wtedy jadać w Lemon Tree. Mama powiedziała, żebym w takich sytuacjach nie szukała jej w WB, tylko od razu po zajęciach wracała z Valeską do domu.

Mimo jej pouczeń któregoś dnia znalazłam się w biurze. Pisałam właśnie list do Justina na Ranczo, gdy nagle usłyszałam, że korytarzem nadchodzi stryj. Pobiegnęłam do pokoju, żeby się ukryć, ale nie zdążyłam. Gdy otworzyły się drzwi gabinetu, stanęli w nich stryj Dave, ciotka Shelly i mama. Natychmiast też zobaczyli, jak kulę się za regałem na książki. Stryj wyglądał na zakłopotanego.

- Dlaczego się przed nami ukrywasz, Jenny? - zapytał.

Głupio wyjaśniłam, że mama zakazała mi bywać u siebie w biurze, kiedy stryj jest w mieście. Stryj spojrzął na mamę, która zrobiła stropioną minę.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam - stwierdziła.

Powiedziała mi to kilka dni wcześniej, miałam więc mętlik w głowie - nie rozumiałam, czemu teraz wszystkiemu zaprzecza.

- Czy robiłaś coś, czego nie powinnaś? - zapytała ciotka Shelly.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się stryj Dave.

- Nie musisz przede mną uciekać - rzekł uspokajająco.

Objął mnie niezręcznie, po czym powiedział, że muszą już iść, ale zobaczymy się wieczorem. Po czym on i jego świta ruszyli korytarzem do windy. Nie byłam pewna, co miał na myśli, mówiąc, że „zobaczymy się wieczorem”. Wróciłam na zajęcia.

Okazało się, że tego dnia jeszcze kilkakrotnie natknęłam się na niego w windzie.

- Widzę cię! - żartował, uśmiechając się szeroko.

Tego wieczoru mama, która najwyraźniej zapomniała o całym incydencie, kazała mi włożyć piżamę, gdyż miałyśmy odwiedzić stryja Dave’a.



- Jenny! - zawołał, gdy weszliśmy do jego apartamentu. - Podejdz i usiądź na kanapie!

Mama sprawiała wrażenie dumnej z powodu uwagi okazywanej mi przez stryja, który spytał:

- Masz ochotę na popcorn?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zwrócił się do swojego stewarda Georgiany.

- George, przynieś popcorn - rozkazał.

Usiadłam na jednej ze skórzanych kanap. W pokoju było mnóstwo postaci pełniących najwyższe funkcje w Kościele, między innymi również Norman Starkey, zarządca posiadłości LRH. Mieliśmy oglądać razem *Gwiezdne wojny*, ale najpierw kilka osób musiało naprawić jakąś usterkę kasety.

Stryj Dave gawędził z kimś o planie, byśmy za kilka dni wybrali się wszyscy do lokalnego kina na film *Apollo 13*.

- Chcesz go obejrzeć, Jenny? - spytał.

Powiedziałam, że owszem, ale jeszcze bardziej chciałabym zobaczyć *Batman Forever*.

- Ach tak! Oczywiście! Czy gra tam ktoś, kogo lubisz? - zapytał stryj.

- Jim Carrey i Nicole Kidman.

To usłyszawszy, odwrócił się ode mnie i zaczął plotkować z innymi o gwiazdach grających w tym filmie.

Wszyscy wydawali się bardzo zainteresowani, a stryj znów zwrócił się do mnie:

- Jenny, czy kiedy my, dorośli, tak sobie tutaj gawędzimy, jesteś w stanie nadażyć za rozmową?

- Hmm, czasem tak, ale nie zawsze - odpowiedziałam.

Stryj uśmiechnął się rozpromieniony, a ponieważ naprawiono kasetę, wszyscy zaczęliśmy oglądać film.

W trakcie kolejnych tygodni obejrzelśmy wszystkie części *Gwiezdných wojen* - jedną z nich włączyliśmy w mieszkaniu mamy. Stryj i ciotka uznali, że mam piękny pokój. Stryj pożyczył nawet kilka moich płyt CD. Bardzo mnie ucieszyło, że moja muzyka tak mu się podoba, że zechciał pożyczyć płyty. Zwrócił je kilka dni później.

Mój ojciec przylatywał czasem do Flag na jakieś wielkie uroczystości. Pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy razem w zielonym pokoju, usłyszałam, jak stryj mówi o awarii systemu dźwiękowego, do jakiej doszło podczas jednej z takich uroczystości. Kilka minut później szorstko wezwał trzech techników dźwiękowych, którzy przylecieli aż z Int, by zająć się udźwiękowieniem uroczystości. Kiedy weszli do pokoju, wyglądali na bardzo

wystraszonych, jakby obawiali się tego, co zaraz nastąpi. Wiedziałam, że najprawdopodobniej czeka ich „bolesna konfrontacja z rzeczywistością”, co oznaczało, że dostaną straszną burę.

Tata wyprowadził mnie na korytarz, by mi tego oszczędzić. Powiedziałam mu, że i tak wiem, co się stanie. Ojciec nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Najwyraźniej nie był świadomy tego, jakie awantury robiono nam na Ranczu. Nigdy nie widziałam, jak stryj Dave miesza kogoś z błotem, ale mogłam sobie wyobrazić, że nie jest to przyjemne. Kilka minut później wyszedł po nas ktoś z pokoju, mówiąc, że już po wszystkim. Trzech mężczyzn nie było już w gabinecie stryja, który przywitał się ze mną jakby nigdy nic.

Trudno mi było pogodzić wrażenie, jakie stryj Dave oraz ciotka Shelly wywierali na innych ludziach, ze sposobem, w jaki traktowali mnie. Zawsze okazywali mi serdeczność, a nawet czułość. Lubiłam, kiedy byli w pobliżu, ponieważ zawsze chciałam spędzać czas z rodziną. Widziałam jednak, że ludzie boją się zarówno stryja, jak i ciotki. Obydwoje mieli taką władzę, że onieśmiało to większość osób z ich otoczenia. Wyczuwając to wszystko, starałam się uważać, co mówię i jak się zachowuję, gdy stryjostwo byli w pobliżu, ale ponieważ okazywali mi sympatię, nie do końca rozumiałam, dlaczego w ich towarzystwie ludzie tak się pilnują.

Kiedy stryj i ciotka bawili w mieście, zwykle spędzali czas wolny w towarzystwie mamy i moim. Graliśmy wtedy w minigolfa albo szliśmy na mecz hokeja. Przygotowywałam się do wyjścia razem z ciotką Shelly; ona się malowała. Zapytałam ją kiedyś, do czego służy jej kredka do ust, na co odpowiedziała, że u kobiet w jej wieku linia ust staje się mniej ostra, na co trochę pomaga właśnie kredka. Ciotka powiedziała też, że jestem młoda i śliczna i że nie potrzebuję żadnego makijażu.

Innym razem, kiedy byłam w ich mieszkaniu, był tam też Tom, który miał naprawić jakąś usterkę w telefonie. Ciotka kazała mu dopilnować naprawy kabli telefonicznych w ich mieszkaniu. Powiedziała, że podczas telefonicznej rozmowy z Kelly Preston i Johnem Travoltą kilka razy słyszała w tle jakąś inną rozmowę. Słyszała ją również Kelly, która spytała ciotkę, czy doszło do złamania systemu zabezpieczeń.

Nie po raz pierwszy usłyszałam wtedy o czymś podobnym. W trakcie kursu LOC poznałam byłego członka Sea Org, a wówczas szeregowego scjentologa, który powiedział mi, że miał poważne kłopoty w związku ze sprawą wycieku informacji dotyczących kilku celebrytów. Oskarżono go o powiadomienie mediów, że Tom Cruise jest scjentologiem. Choć, jak wyznał, wiedział o powiązaniu Cruise'a z Kościołem, a jedyną osobą, którą o tym powiadomił, był członek jego najbliższej rodziny - owa pogłoska trafiła niebawem do gazet, o co właśnie jego obwiniono.

Choć mama i Tom nadal ściśle ze sobą współpracowali, wydawało się, że to Don wkradł się teraz w jej łaski. Oboje świetnie się rozumieli. Nie tylko łączyło ich sarkastyczne poczucie humoru, ale w ogóle zdawali się bratnimi duszami, bo podobnie ich wychowano i podobnie postrzegali rzeczywistość. Więzy ich przyjaźni wciąż się zacieśniały. Ponieważ mama miała o Donie jak najlepsze zdanie, również i ja starałam się go polubić. Był sympatycznym facetem i lubił żartować, choć czasem mnie onieśmiał. Być może dlatego, że matka wyrażała się o nim z takim podziwem, czułam potrzebę zaimponowania mu.

Kiedy Don i mama zaczęli się do siebie zbliżać, między mną a nią powstawał coraz większy dystans. Dawniej do późna w nocy czekałam w domu na jej powrót z pracy, teraz jednak powiedziała mi, bym tego więcej nie robiła, bo powinnam się wysypiać.

Zrobiła się szorstka, a czasem wręcz nieuprzejma. Pewnego dnia stałam w większej grupie ludzi, gdy nagle matka podała mi papierową torbę z dezodorantem. Nigdy wcześniej nie używałam dezodorantu i nie rozumiałam, dlaczego podaje mi go właśnie teraz.

- Czemu mi to dajesz? - spytałam, nieco zakłopotana.

- Bo śmieszisz - odrzekła i wybuchnęła śmiechem.

Kilka innych osób w biurze również zaczęło się śmiać, ale widziałam, że trochę mi współczują.

Im dłużej trwał mój pobyt we Flag, tym wyraźniej czułam, że matka oddała się ode mnie. Jesienią 1995 roku, kiedy LOC dobiegał końca, podzieliła się ze wszystkimi najnowszymi wieściami - stryj Dave zaproponował jej stanowisko w RTC w Int Base. RTC było najwyższym ciałem zarządzającym Kościoła, sprawującym nadzór nad osobami, które naruszyły zasady etyki, a także dbającym o dobre zarządzanie i wykorzystanie materiałów i technologii scjentologicznych. Propozycja stryja nie tylko była wielkim zaszczytem, lecz również oznaczała, że mama wraca do domu na Zachodnim Wybrzeżu - do taty, Justina, Sterlinga i do mnie. Mama zdawała się wahać, mówiąc, że w gruncie rzeczy nie chce być w RTC, bo lubi swoją obecną pracę. Uznała jednak, że skoro stryj Dave złożył jej taką propozycję, nie może odmówić.

Na przyjęciu pożegnalnym wydanym na jej cześć wszyscy ofiarowali jej podarunki. Załoga we Flag chyba naprawdę mamę uwielbiała, ponieważ podarowała jej całe wyposażenie salonu, w tym ozdobną białą kanapę, stary kufer, skrzynię i kilka innych rzeczy. Również i ja zaplanowałam na ów tydzień specjalne przyjęcie dla niej. W niektóre piątki po uroczystym wręczeniu dyplomów organizowałam swego rodzaju pokazy przeznaczone dla mamy i kilkorga innych członków zarządu, których przyjmowała u siebie w mieszkaniu. Pokazy te były nieco absurdalne. Któregoś razu urządziłam pokaz mody w stylu retro -

włożyłam ubrania mamy i paradowałam w nich jak na wybiegu. Innym razem wykonałam taniec ze stepowaniem, choć nie miałam pojęcia, jak się stepuje. Z kolei podczas przyjęcia z okazji powrotu mamy do Int zorganizowałam najbardziej spektakularny z dotychczasowych pokazów dla szerokiej publiczności, która zebrała się w jej mieszkaniu po piątkowej uroczystości rozdania dyplomów.

Wykonałam dekorację z kartonu, a z kuchennych ścierek uszyłam sobie kostium. Umalowałam siebie i Valeskę i właśnie miałam posprzątać, kiedy do mieszkania wkroczyła mama, która tego dnia wróciła wcześniej z pracy. Wpadła we wściekłość na widok bałaganu, a przecież zaraz mieli przyjść goście. Zaczęła na mnie krzyżeć. Powiedziała, że mam na sobie kuchenne szmaty, a nie żaden strój, że wszędzie jest pełno śmieci, że kazałam jednemu z członków CMO zdobywać dla mnie kartony w czasie, gdy powinien być na swoim posterunku, i że w ogóle jestem rozpuszczona. Potem zwróciła się do Valeski:

- A ty - warknęła - wreszcie dorośnij!

Valeska najwyraźniej poczuła się idiotycznie z umalowaną twarzą i w głupkowskim kapeluszu na głowie, więc niemal się rozplakała. Mama nakazała jej gestem, by się oddaliła, co Valeska natychmiast zrobiła.

Nigdy wcześniej nie podniosłam na matkę głosu, ale tym razem nie mogłam znieść, że tak traktuje Valeskę i mnie. Powiedziałam jej, że w przeciwieństwie do innych wcale się jej nie boję. Rzuciłam nawet kilka przekleństw, tłumacząc, że właśnie zamierzałyśmy urządzać spektakl specjalnie dla niej i że właśnie miałyśmy posprzątać, gdy tak nieoczekiwanie wpadła do mieszkania. W odpowiedzi matka krzyknęła na mnie, żebym nie przeklinała w jej obecności, na co wrzasnęłam, żeby na mnie nie krzychała.

Potem nastąpiła pyskówka, po której obie zaczęłyśmy płakać, a w końcu mama ciężko westchnęła.

- Wybacz, Jenno - powiedziała pojednawczo. - Przytul mnie. Naprawdę mi przykro.

Drżąc z emocji, spojrzałam na nią. Nigdy wcześniej nie doszło między nami do takiej kłótni, więc też nie było okazji do takich pojednań. Niechętnie ją objęłam.

Ostatecznie przyjaciele mamy przyszedli tego wieczoru zgodnie z planem, a ona sama zachowywała się tak, jakby nic między nami nie zaszło. Kilka dni później wsiadłyśmy na pokład samolotu odlatującego w kierunku Zachodniego Wybrzeża, Int oraz Rancza.

## **Rozdział trzynasty**

### **Złoty wiek technologii**

Wróciłam na Ranczo z nową pewnością siebie. Trudno mi było stwierdzić, czy stało się tak dlatego, że wreszcie zdołałam z powodzeniem ukończyć kursy „Klucz do życia” oraz LOC, czy też z powodu fascynacji Sea Org, której uległam we Flag - a może po prostu zaczęłam dorośleć. Tak czy owak, przepełniał mnie optymizm, którego nie zaznałam nigdy wcześniej.

Mój entuzjazm brał się po części z faktu, że pod koniec kursu LOC dano mi zadanie wyznaczenia sobie jakiegoś celu w życiu - lub też, jak mawiali scjentolodzy, jakiegoś „hat in life”. Zaczęłam rozmawiać o tym z mamą, zadając jej mnóstwo pytań na temat rozmaitych funkcji pełnionych przez nią w Sea Org. Na podstawie tych rozmów doszłam do wniosku, że chcę trafić do Commodore’s Messenger Office (CMO), oferującego nowe spojrzenie na wszystko i nowy sens. Choć przed przystąpieniem do CMO musiałam najpierw skończyć edukację na Ranczu, po raz pierwszy miałam plan dotyczący tego, co chcę zrobić z własnym życiem. Odtąd musiałam jedynie przestrzegać reguł.

Prawdę mówiąc, przestrzeganie reguł przychodziło mi teraz znacznie łatwiej - nawet prace pokładowe, których nie wykonywałam z powodu pobytu we Flag, nie wydawały mi się już tak uciążliwe. Byłam teraz niemal dwa razy starsza niż wówczas, gdy przybyłam na Ranczo, i znacznie lepiej radziłam sobie z pracą fizyczną. Zaczęłam nawet dostawać pochwały za pracowitość, co było dla mnie czymś nowym. Moją funkcję oficera łącznikowego służby medycznej przejął ktoś inny, więc przydzielono mi stanowisko nadzorcy zbiorów. Miałam czuwać nad przebiegiem żniw na wyznaczonych polach uprawnych. Wkrótce jednak awansowano mnie na zwierzchnika oddziału II, co oznaczało stanowisko w zarządzie. W ramach tej funkcji opiekowałam się najmłodszą grupą.

Jedną ze zmian wprowadzonych na Ranczu od czasu, gdy pojawiłam się tam po raz pierwszy, było to, że nie istniała już kategoria kandydatów na kadetów - byli jedynie kadeci oraz dzieci. Do moich obowiązków należało dopilnowanie, żeby znajdujące się pod moją opieką dzieci zdążyły na poranną musztrę, przestrzegały zasad higieny, postępowały w sposób etyczny i wykonywały prace pokładowe. Niektóre dzieci były dobrze wychowane, ale nie można było tego powiedzieć o wszystkich. Chciałam jednak mieć dobre stosunki z każdym z nich. Nie zapomniałam, co znaczy mieszkanie na Ranczu, gdy ma się tyle lat co

one. Dbałam o nie najlepiej, jak umiałam. Gdy przychodziły do mnie, mówiąc, że nie podoba im się funkcja, którą im przydzielono, próbowałam znaleźć im coś bardziej odpowiedniego. Ich zadania były proste i obejmowały na przykład zaopatrywanie sypialń w papier toaletowy, opróżnianie koszy na śmieci albo zbieranie warzyw. Chciałam tak wszystko zorganizować, żeby każdy był zadowolony. Traktowałam swoje stanowisko poważnie i raz nawet zostałam kadetem tygodnia.

Moja nauka nie przebiegała jednak równie pomyślnie. Miałam niemal dwa lata zaległości, bo przebywając we Flag, nie odbierałam żadnej regularnej edukacji. Jednym z rezultatów doświadczeń nabytych we Flag było to, że teraz chciałam studiować wyłącznie sejentologię, ponieważ wiedziałam, że tak naprawdę tylko ta nauka ma znaczenie dla członka Sea Org. Kiedy w czasie kursu posprzeczałam się z dziewczyną będącą moim supervizorem, bo powiedziałam, że inne przedmioty nie są ważne, ona zaprowadziła mnie do niewielkiego magazynu z książkami. Miała osiemnaście albo dziewiętnaście lat i była znacznie wyższa ode mnie. Usiłowałam się jej wyrwać i wydostać na zewnątrz, a wtedy ona wymierzyła mi siarczysty policzek. Zrobił mi się potem mały siniak, ale nikomu się na Ranczu nie poskarżyłam. Gdy opowiedziałam o tym mamie, zapytała tylko, co zrobiłam, że mnie tak potraktowano. Zastanawiałam się, czy powie o tym komuś, bałam się jednak ją o to spytać, bo najwyraźniej uważała, że to ja byłam winna.

Wieczorami zajmowałam się audytowaniem dziewczynki o imieniu Trisha. Miałam audytować z wykorzystaniem metody glinianej tabliczki. Obydwie szłyśmy do Int Base zaopatrzone w prowiant, a po kolacji zaczynałyśmy sesję. Nie było to zbyt trudne, bo Trisha była moją przyjaciółką, a w dodatku osobą bardzo spokojną. Przebywanie przez większość wieczorów w Int oznaczało, że miałam więcej okazji, by natknąć się na stryja Dave'a. Któregoś wieczoru po zakończonym kursie podwiózł mnie do domu swoim motocyklem. Podjechaliśmy pod jego biuro, gdzie pogawędziłam z ciotką Shelly i pobawiłam się z psami stryjostwa. Stryj zrobił mi zdjęcia, jak siedząc przy jego biurku, niby to rozmawiam przez telefon, udając, że to ja jestem tutaj szefem.

Mimo że stryj był głową Kościoła oraz człowiekiem władzy, który budził lęk, w chwilach takich jak ta odsłaniał swoją ludzką twarz. Czasem nawet on chciał być zwyczajnym, zabawnym stryjem, wygłupiającym się z bratanicą. Niemal udawało mi się u niego wtedy dostrzec pragnienie posiadania rodziny, głębsze ludzkie uczucia, zazwyczaj skrywane przed światem. Na podstawie tego, jak mnie traktował, uznałam za oczywiste, że stryj Dave nie chce, żebym się go bała, tak jak bała się go większość dorosłych. Niestety te chwile serdeczności stawały się coraz rzadsze. Z upływem lat coraz rzadziej dostrzegałam tę

stronę jego osobowości, która być może - zważywszy, że ostatecznie jego charakter zmienił się na gorsze - z czasem zniknęła bez śladu. Nigdy jednak nie zapomniałam serdecznej, ludzkiej twarzy stryja.

Ze wszystkimi moimi przyjaciółmi z Flag, zwłaszcza z Valeską, Tomem, Jenny, a nawet Donem i Pilar, pozostałam w kontakcie korespondencyjnym. Czasami tata pozwalał sobie na komentarze na temat listów, które otrzymywałam od Dona, mówiąc na przykład: „Czy już dostałaś list od Dona, twojego najlepszego przyjaciela?”. Przybierał wtedy dziwny ton, w którym pobrzmiwała zazdrość, ale ignorowałam to. Dziwiło mnie za to coś innego: miałam wrażenie, że moi rodzice często się kłócą i te kłótnie stają się coraz bardziej zażarte.

Boże Narodzenie spędziliśmy tego roku w apartamencie stryja Dave'a w Int Base. Moi rodzice podarowali Dave'owi drogie pióro, a mama dostała w prezencie od stryja i Shelly sztywny zielony kostium marki Ann Taylor. Ciotka Shelly powiedziała mi, że nie powinnam za bardzo przejmować się modą, bo to swego rodzaju pułapka. Zrobiła mi też mały wykład na temat skóry i trądziku. Miałam wtedy mnóstwo pryszczycy i krost i nie wiedziałam, jak pielęgnować twarz. Ciotka Shelly zasugerowała mi kilka naturalnych sposobów na jej oczyszczenie. Choć czułam się nieswojo, byłam jej wdzięczna za te porady.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu weszły w życie nowe zasady, głoszące, że dzieci nie mogą już spędzać sobotnich nocy w kajutach rodziców. Mój stosunek do tej zmiany był ambiwalentny. Zawsze lubiłam przebywać u rodziców; pobyt w ich mieszkaniu był czymś znacznie przyjemniejszym niż pobyt na Ranczu. Gdyby taka zmiana zasad miała miejsce kilka lat wcześniej, byłabym zdruzgotana. Moi rodzice mieszkali teraz w Int Base, co oznaczało, że i tak nie mogę widywać się z przyjaciółmi w sobotnie wieczory i poranki, więc tak naprawdę ta zmiana reguł nie bardzo mnie martwiła. Jednak tata był wściekły. Nowe zasady oznaczały, że czas dla rodziny zostanie ograniczony jeszcze bardziej i że jeśli rodzice chcą widywać własne dzieci, będą musieli przyjeżdżać na Ranczo, co dla większości z nich stanowiło problem, gdyż oznaczało jazdę autobusem. Rodzice tracili również te niedzielne poranki, które spędzali z dziećmi na zakupach - kupując im skarpety, bieliznę, przybory toaletowe i tym podobne rzeczy. Mnie nadal pozwalano jeździć w niedzielne poranki do Int, ale nie bywałam tam już tak często jak kiedyś.

Justin i ja rzadko się widywaliśmy. Mój brat oficjalnie dołączył do Sea Org, więc mieszkał i pracował w Int. Gdy się spotykaliśmy, nie miał mi zbyt wiele do powiedzenia. Dlatego też byłam zdziwiona, gdy pewnego popołudnia podeszła do mnie Taryn, chcąc jak najprędzej podzielić się ze mną dobrymi nowinami dotyczącymi mojego brata. Podobnie jak Justin również i ona pracowała w Int Base jako członek Sea Org.

- Czy to nie ekscytujące, że Justin zdecydował się zostać?! - wykrzyknęła, oczekując, że przytaknę.

Kiedy ujrzała zdziwienie na mojej twarzy, zrozumiała, że nie mam pojęcia, o czym mowa. Wzięła mnie na stronę.

- Justin od kilku lat chce opuścić Sea Org - powiedziała cicho - ale wasz tata w końcu go przekonał, żeby został.

Usłyszawszy to, sama już nie wiedziałam, co jest bardziej zdumiewające: to, że mój brat rozważał wystąpienie, czy też to, że Taryn mi o tym mówi. W Sea Org nie wolno było nikomu mówić, że chce się opuścić organizację, nie wolno było nawet słuchać innych komunikujących taki zamiar. Złamanie tego zakazu było uważane za akt wywrotowy, dlatego też mówiąc mi o tym wszystkim, Taryn wiele ryzykowała. Oprócz podzielenia się z kimś wiadomością, że ma się zamiar opuścić organizację, były również inne ciężkie przestępstwa mogące się kwalifikować jako akty wywrotowe: krytyczne komentarze na temat scjentologii, praktykowanie scjentologii poza organizacją macierzystą, domaganie się zwrotu wydanych na kursy pieniędzy, podejmowanie kroków prawnych wymierzonych w Kościół scjentologiczny czy też rozpowszechnianie w mediach negatywnych opinii na temat scjentologii. Akty wywrotowe mogły sprawić, że ten, kto się ich dopuszczał, zostawał uznany za osobę antyspołeczną (SP). Gdy tak się działo, dana osoba stawała się synonimem zła, zaś ci, którzy nadal chcieli być scjentologami, musieli się od niej całkowicie odciąć, w przeciwnym razie również ich uważano za SP.

Gdy zaczęłam się zastanawiać nad słowami Taryn, wszystko stało się dla mnie jasne. Wiedziałam, że Justin był wcześniej nieszczęśliwy. Zawsze miałam wrażenie, że wciąż jest w jakichś tarapatach - nawet gdy nic złego nie zrobił - dlatego też wiadomość, że rozważa wystąpienie z organizacji, nie zaszokowała mnie. Istniała jednak zasadnicza różnica między rozważaniem takiej możliwości a decyzją, która już niemal zapadła. Aż do tej pory nie uświadamiałam sobie, jak bliska byłam utraty członka rodziny. Po takim kroku nie mogłabym utrzymywać z nim żadnych stosunków. Przerażała mnie myśl o tym, że tak niewiele mnie dzieliło od utraty kogoś, kogo kocham.

Ostatecznie poczułam ulgę, że tak się nie stało, a jednocześnie za mało wiedziałam, by się martwić całą sprawą. Każdy zdawał się wiedzieć o rozczarowaniach Justina - prócz mnie. Tak oto po raz pierwszy usłyszałam, by ktoś tak mi bliski zwątpił w sens swej przynależności do Sea Org. Po raz pierwszy, lecz nie ostatni.

9 maja roku 1996, kiedy obchodziliśmy Dzień Dianetyki, stryj Dave postanowił objawić kolejne doniosłe etapy ewolucji scjentologii. Scjentologia - oznajmił - przeżywa



swoisty renesans, on zaś uważa, że dotychczasowe sposoby audytowania nie są doskonałe. Dlatego też postanowił wzbogacić program treningowy dla audytorów o nowe, nowocześniejsze Emetry oraz udoskonalone metody, tym samym umożliwiając scjentologom sprawniejsze i łatwiejsze wspięcie się na most ku całkowitej wolności. Udoskonalenia te miały nosić nazwę złotego wieku technologii i od tej pory miały pomagać w wyszkoleniu scjentologicznych kandydatów na audytorów doskonałych.

Jedną ze zmian spowodowanych przez złoty wiek technologii polegała na tym, że z myślą o treningu audytorów postanowiono rozpocząć produkcję nowych Emetrów. W przeszłości arkusze kontrolne nakazywały, aby trener mocno ścisnął puszkę Emetru, prezentując kursantom sposób jego działania. Teraz zaś zbudowano specjalny aparat, który po naciśnięciu guzika pokazywał żądany odczyt. Dzięki tym udoskonalonym Emetrom i ulepszonej procedurze treningowej proces szkolenia audytorów po raz pierwszy miał przebiegać bez zarzutu, a zatem bez zarzutu mieli odtąd pracować również sami audytorzy.

Byłam niezwykle podekscytowana faktem, że znalazłam się w małej grupie kadetów wyselekcjonowanych do pomocy przy podjętych - w ramach złotego wieku technologii - pracach nad nowym Emetrem o nazwie Mark Super VII Quantum, wytwarzanym na wydziale Golden Era Productions. Wydział ten, zwany również Gold, zajmował się propagowaniem scjentologii w świecie, łącznie z produkcją materiałów filmowych, nagrań wideo, materiałów telewizyjnych, internetowych oraz organizacją promocji na skalę międzynarodową. Produkowano tutaj również kasety z wykładami LRH oraz inne pomoce, takie jak Emetr, aparatura treningowa i wszystkie inne materiały dla użytkowników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych. Projektem zarządzano w Int Base, a pracowało nad nim kilkuset członków Sea Org. Wielu spośród nich byli to rodzice przebywających na Ranczu dzieci.

Pierwszego ranka autobus zawiózł nas do bazy po śniadaniu. Zespół miał składać nowe Emetry w budynku 36, Hubbard Emetr Manufacturing (HEM). Praca szła pełną parą, bo aparaty musiały być gotowe na 9 maja. Uwijała się tu cała masa ludzi, nawet pracowników pełniących na co dzień inne funkcje, którzy pojawili się tutaj, by pomóc w przedsięwzięciu. Przydzielono nas do sekcji pracujących na różnych etapach procesu produkcyjnego, tak więc w ciągu roku nigdy nie zatrudniano mnie w jednej sekcji dłużej niż przez kilka tygodni.

Zaczęłam od robienia numerów fabrycznych i liter termodrukiem na plastikowych obudowach Emetrów, a skończyłam jako pracownik działu kontroli jakości, którego zadaniem było znajdowanie wszelkich usterek gotowego produktu. W dziale tym były tylko trzy osoby, a nasza praca polegała na umieszczaniu Emetrów w najrozmaitszych maszynach i na poddawaniu ich testom w różnych warunkach. HEM musiał wyprodukować określoną liczbę

urządzeń i mając w pamięci datę 9 maja, z każdym dniem zbliżaliśmy się do uzyskania owej liczby. Ilekroć kolejny Emetr przeszedł przez test w dziale kontroli jakości, rozlegały się dźwięki dzwonka i okrzyki na wiwat.

Praca w dziale kontroli jakości była czasem ekscytująca, a czasem irytująca. Przez cały dzień przychodzili do nas ludzie z kierownictwa, by dokonać inspekcji naszej pracy. Zdarzało się, że odrzucałam wiele Emetrów, więc ludzie z kierownictwa sprowadzili technika, żeby skontrolował, czy problem tkwi w Emetrach, czy też w przeprowadzanych przeze mnie testach. Technik orzekł, że Emetrom nie można niczego zarzucić - że zatem ja popełniam jakiś błąd. Ja jednak obstawałam przy swoim, twierdząc, że Emetry okazują się wadliwe, gdy przetestować je za pomocą standardowych testów, które przeprowadzałam. Zademonstrowałam problem kilku członkom kierownictwa, a gdy się okazało, że mam rację, dostałam pochwałę za wytrwałość w dowodzeniu własnych racji.

Składanie Emetrów trwało przez kilka miesięcy. Częstokroć w roli inspektora występowała moja mama. Obejmowała mnie, sprawdzała, jak pracuję, i szła dalej. Byłam pod wrażeniem, widząc, że wszyscy pracownicy darzą ją miłością i szacunkiem, podszytymi czymś w rodzaju lęku. W Sea Org nazywało się to uobecnieniem etyki, stanowiącym właśnie kombinację lęku i szacunku, uważanych za niezbędny warunek tego, by mieć posłuch. Ponieważ i tak już byliśmy przyzwyczajeni do wielogodzinnej pracy, nie odczuwałam trudów wiążących się z moją funkcją; praca przy pulpicie wydawała mi się znacznie lżejsza niż prace pokładowe na Ranczu. Kiedy pracowałam w HEM, przebywaliśmy tam przez cały dzień, wracając do domu dopiero pod wieczór, a wtedy zaczynała się nauka. Nadal też miałam pod opieką grupę dzieci aż do chwili, gdy kładły się spać.

Gdy tylko zapotrzebowanie na nowe Emetry spadło do takiego poziomu, że dało się opanować sytuację, co nastąpiło już po obchodach Dnia Dianetyki, wróciliśmy do naszej codziennej rutyny na Ranczu, jednak fakt, że miałam swój udział w produkcji Emetrów, dał mi poczucie, że robię postępy. Ale to wrażenie osłabło, gdy wróciłam do rzeczywistości Rancza.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, ogłoszono, że od tej chwili kadeci muszą znajdować się wyżej w hierarchii mostu, by móc ukończyć etap prowadzonej na Ranczu edukacji i stać się członkami Sea Org. Był to kolejny element planu Kościoła, mającego na celu wyszkolenie audytorów doskonałych. Pomyślałam, że mój problem polega na tym, że mogą upłynąć lata, zanim stanę się audytorem V klasy, a to oznacza, że mogą minąć całe lata, nim zdołam skończyć naukę na Ranczu. To ogłoszenie było wielkim zaskoczeniem i rozczarowaniem dla wszystkich dzieci, mnie zaś sprawiło szczególną przykrość.

Odkąd wróciłam z Flag, robiłam systematyczne postępy. Spoczywała na mnie większa odpowiedzialność i czułam, że nabieram rozpędu. Miesiącami znajdowałam pociechę w powziętym przez siebie życiowym planie: zakończywszy edukację, dołączę do CMO. Plan ten dawał mi poczucie, że zmierzam w wytyczonym kierunku. W takich chwilach ogarniało mnie podekscytowanie na myśl o przyszłości.

Konieczność zostania audytorem V klasy zupełnie jednak zmieniała moją sytuację. Mogły teraz upłynąć całe lata, zanim zdołam zrealizować ten plan. Była to dla mnie gorzka pigułka, jednak tego rodzaju korekty planów są czymś bardzo typowym, o czym przekonuje się na pewnym etapie prawie każdy scjentolog. Akurat wtedy, gdy złapałam rytm i zrozumiałam zasady, zmieniono je.

Kilka tygodni później, na ślubie mojego brata Sterlinga, miałam okazję porozmawiać z ciotką Shelly. Powiedziałam jej, że jestem bardzo przygnębiona z powodu nowych wymogów, jeśli chodzi o naukę. Ciotka wyjaśniła, że według niej trening w zakresie audytowania jest najwspanialszą rzeczą na świecie, jeśli naprawdę chce się pomagać innym. Powiedziała, że najlepsi członkowie CMO byli przeszkolonymi audytorami i że sam stryj Dave w bardzo młodym wieku został audytorem. Sposób, w jaki przedstawiła tę kwestię, wydawał się sensowny, jej słowa mnie uspokoiły. Udało jej się sprawić, że całe przedsięwzięcie wydało mi się jeszcze bardziej ekscytujące. Ostatecznie to wysiłki scjentologicznych audytorów mog-ły doprowadzić do ulepszania naszej planety, zaś naszym celem, celem członków Sea Org, było doprowadzenie każdego mieszkańca Ziemi do stanu clear. Dopiero wtedy mogła dla nas nastać chwila wychnienia. Tymczasem jednak mieliśmy przed sobą lata pracy.

Mimo że wciąż czułam frustrację, skupiłam się na ślubie Sterlinga i Suzette. Suzette była przyrodnią siostrą ciotki Shelly. Nie wiedzieć czemu mama nie przepadała za nią. Ja tymczasem utrzymywałam z nią lepsze stosunki niż ze Sterlingiem, gdyż on i ja nie mieliśmy okazji, by się do siebie zbliżyć. Sterling opuścił Ranczo kilka lat wcześniej, rozpoczynając w Int pracę dla Sea Org, przedtem zaś, gdy jeszcze był na Ranczu, znacznie więcej łączyło go z młodszym bratem Nathanem. Na ślubie niosłam kwiaty młodej parze, a Justin był drużbą. Pomyślałam sobie, że jestem jednak trochę za stara do tej roli.

Jak większość ślubów zawieranych przez członków Sea Org uroczystość odbyła się w Celebrity Centre w Los Angeles. Owego niedzielnego poranka Justin przez całą drogę, którą odbyliśmy z Int samochodem, ćwiczył mowę drużby. Po dotarciu na miejsce poszłam do garderoby, w której zebrały się wszystkie drużby. Ciotka Shelly pomogła mi włożyć sukienkę, a na głowę założyła mi wianek z kwiatów. Jej siostry, Clarisse i Camille,

zajmowały się Suzette. Ślub jej i Sterlinga miał tradycyjny przebieg: panna młoda była ubrana na biało, a nowożeńcy wymienili słowa przysięgi. Na uroczystości było około stu osób. Scjentologiczna ceremonia zaślubin obejmowała również trójkąt ARC - jest to skrót utworzony od słów: pokrewieństwo (affinity), rzeczywistość (reality), komunikacja (communication). Trójkąt ARC stanowi w scjentologii fundamentalne pojęcie związane z tym, jak współżyć z ludźmi i tworzyć z nimi relacje oparte na porozumieniu. W trójkącie ARC akcentowana jest doniosłość komunikacji, co odnosi się do małżeństwa w ten sposób, że panna młoda i pan młody ślubują sobie podczas ceremonii, że nigdy nie położą się spać po małżeńskiej kłótni, wcześniej się nie pogodziwszy. Po zakończeniu uroczystości wszyscy oglądaliśmy, jak Sterling i Suzette rozpakowują prezenty.

Tego samego niedzielnego poranka, już po ślubie, powiedziałam mamie, że bardzo tęsknię za przyjaciółmi, którzy zostali we Flag, i że przygnębia mnie fakt, że nie mogę ukończyć nauki, póki nie odbędę treningu w zakresie audytowania. Ku mojemu zdziwieniu mama odparła, że pozwoli mi odwiedzić Flag, a nawet zostać wystarczająco długo, bym mogła odbyć jakiś kurs. Choć takie podejście mnie zaintrygowało, byłam w siódmym niebie, gdy mama zasugerowała, żebym odbyła we Flag cały trening audytora. Wyjaśniła, że we Flag można uczestniczyć w najlepszym na świecie kursie tego typu, co wiąże się ze spędzeniem roku na Florydzie. Nigdy nie miałam zamiaru przebywać tam aż tyle czasu, pomyślałam jednak, że nikt mnie nie będzie do tego zmuszał, więc od razu się zgodziłam. Tacie nie podobało się, że wyjeżdżam na tak długo. Stwierdził, że będzie za mną bardzo tęsknił, ale mnie nie powstrzymywał. Kolejne spędzone na Ranczu tygodnie upłynęły mi na odliczaniu minut dzielących mnie od chwili, gdy znajdę się na pokładzie samolotu do Flag.

Kiedy czekałam na wyjazd, ogarnęła mnie jeszcze większa ekscytacja. Pan C. powiedział, że trening w zakresie audytowania to fascynująca przygoda, bo po programie treningowym można się spodziewać istnych cudów. Opowiedział mi też, że po zakończeniu pewnego kursu okazało się, że potrafi grać na fortepianie, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Perspektywa odkrycia w sobie jakiegoś nowego talentu była niezwykle kusząca. Pomyślałam, że po ukończeniu takiego kursu otworzą się przede mną nieograniczone możliwości.

## Rozdział czternasty

### Trening CMO

Wszystko zaczęło się układać nie po mojej myśli od chwili, gdy wylądowałam w Clearwater pewnego czerwcowego popołudnia roku 1996. Nigdzie nie widziałam Toma, który miał wyjść po mnie na lotnisko. Nie miałam przy sobie pieniędzy ani numeru telefonu Toma czy kogokolwiek innego i już zaczęłam się poważnie martwić. Stałam na międzynarodowym lotnisku Tampa, nie mając żadnego planu awaryjnego. Gdy po upływie godziny pojawił się w końcu Tom, ucieszył się na mój widok, a zarazem był jakby czymś zmartwiony. Przeprosił za spóźnienie, tłumacząc, że podano mu złą godzinę lądowania samolotu. Myślał, że miałam wylądować godzinę później.

Podczas jazdy do bazy sprawiał wrażenie, jakby się spieszył i był czymś zaabsorbowany, choć cały czas był miły. Gdy dotarliśmy do Hacienda, minął mieszkanie mamy, gdzie, jak sądziłam, będę mieszkać, i zaparkował przed budynkiem w kształcie litery H, gdzie znajdowały się sypialnie członków CMO. Z początku nie bardzo wiedziałam, co się dzieje.

- Nie będę mieszkać w budynku L? - spytałam zbita z tropu.

Tom roześmiał się i odparł:

- Nie. Mieszkają tam ludzie z kierownictwa Int.

- Ach tak - powiedziałam, nagle uświadamiając sobie, na co się zdecydowałam. Przez cały czas wyobrażałam sobie, że zamieszkam we Flag; nie przyszło mi do głowy, że nie będę mieszkać w dawnym mieszkaniu mamy i że trafię do bursy.

Wysiedliśmy z samochodu, wyjęliśmy z bagażnika moje rzeczy i ruszyliśmy w stronę mieszkania H-2, mieszczącego się na parterze. Pamiętam, że mieszkała w nim Valeska, ale jej tam nie zastałam. Tom poinformował mnie, że Valeska nie należy już do CMO, więc trafiła do innej kajuty. Żadnych dodatkowych wyjaśnień Tom mi nie udzielił, a ja nie chciałam go wypytywać. Zdawał się dokądś spieszyć. Powiedział, że powinnam rozpakować rzeczy i trochę odpocząć, i zniknął.

Budynek, w którym się znalazłam, był bursą dla należących do CMO dziewcząt. Większość z nich miała piętnaście albo szesnaście lat, podczas gdy ja miałam dwanaście. W mieszkaniu H-2 były dwie sypialnie - w każdej z nich mieszkały dwie dziewczyny - łazienka i mała kuchnia. W tej, którą wyznaczono dla mnie, mieszkała Diane, mój dawny bliźniak z

pierwszego kursu „Klucz do życia”. Miała być jedną z moich współlokatorek. Dziewczęta najwyraźniej nie wiedziały, dlaczego mam mieszkać w H-2, gdy powiedziałam im, że jestem tylko kadetem, a przecież kadeci nie mieszkali w kajutach CMO, tylko w Cadet Org. Powiedziałam im, że też nie wiem, dlaczego tutaj trafiłam. Liczyłam, że zamieszkać w z mamą. A teraz byłam zdana na własne siły.

Wzięłam szybki prysznic. W międzyczasie dziewczyny pięć razy waliły do drzwi, krzycząc i każąc mi się spieszyć. Gdy wyszłam z łazienki, jedna z nich zwymyślała mnie za to, że się guzdrałam. Było to dość grubiańskie, zważywszy, że dopiero przyjechałam, więc po prostu sobie poszłam. Gdy się położyłam, stwierdziłam, że na moim łóżku nie ma pościeli. Nie miałam śmiałości, by o nią poprosić, i nieomal się rozplakałam z wdzięczności, gdy Diane zauważyła, że potrzebuję pościeli, i pokazała mi, gdzie ją znaleźć. W dalszym ciągu nie wiedziałam, dokąd mam się udać; Tom nic mi nie powiedział. Wszystko to nie przedstawiało się zbyt różowo i pomyślałam, że powrót do Flag może się okazać poważnym błędem.

Przez pół godziny wierciłam się na łóżku, a w końcu postanowiłam pójść do pokoju Dona, żeby go spytać, czy są jakieś plany w związku z moją osobą; był on jedynym człowiekiem, którego miejsce zakwaterowania znałam. Na mój widok Don wyraźnie się ucieszył i serdecznie mnie uściskał. Powiedział jednak, że nie ma pojęcia, co dla mnie zaplanowano, ale że zabierze mnie do budynku WB, a tam już z pewnością będą wiedzieli, co dalej. Don był właścicielem białego mustanga ze składanym dachem, który bardzo podobał się mamie. Osobiście nie miałam zdania na ten temat, bo zupełnie nie znałam się na samochodach.

Znalazłszy się w budynku WB, poszłam wprost do biura Toma na drugim piętrze. Tom ciepło mnie przywitał, po czym nakazał jednemu z członków CMO, by przyniósł mi uniform. Przyniesiono mi niebieski strój, dokładnie taki, jaki nosili wszyscy członkowie Sea Org. Byłam pod wrażeniem. Pomyślałam, że przyjechałam tutaj, by odbyć kurs dla przyszłych audytorów, i nie miałam pojęcia, dlaczego dają mi uniform Sea Org. Zanim zdążyłam o to spytać Toma, członek CMO wręczył mi ciemnoniebieskie spodnie, jasnoniebieską koszulę z kołnierzykiem i epoletami, krawatę na zatrask i płaskie czarne buty. Na moim identyfikatorze widniał napis „Jenna Miscavige - kursantka, CMO Clearwater”, tak więc stało się dla mnie oczywiste, że nie wręczono mi uniformu przez pomyłkę. Miałam odbywać kurs dla CMO, żeby zostać audytorem.

Zawsze marzyłam o tym, by dostać się do Sea Org, miałam również w planach przystąpienie w przyszłości do CMO, jednak wszystko to odbyło się zbyt szybko. Początkowo chciałam dołączyć do Sea Org głównie po to, by móc pracować w Int razem z

rodzicami, przyjaciółmi i innymi przebywającymi w bazie członkami rodziny. A teraz miało mnie od nich dzielić pięć tysięcy kilometrów. Odebrało mi mowę.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że wiedziałam, iż nie podjęłam kroków niezbędnych, by przystąpić do Sea Org. A mówiąc konkretnie, nie zaliczyłam podstawowego EPF, obowiązkowego szkolenia dla wszystkich członków Sea Org. EPF stanowił formę inicjacji dla wstępujących do Sea Org. Każdy, kto dołączał do organizacji, musiał przebyć ten etap. Podczas tego specyficznego, rygorystycznego obozu szkoleniowego wykonywano prace fizyczne i odbywano kilka intensywnych kursów. Co jeszcze bardziej dziwaczne, formacja CMO, w ramach której miałam teraz odbyć trening, przewidywała odrębne szkolenie EPF - którego również nie odbyłam. Jakkolwiek by na to popatrzeć, mój awans był przedwczesny.

Przebrałam się w uniform i wróciłam do biura Toma, który zaśmiał się na mój widok, mówiąc: „Mała Jenna jest już dorosła”. Powiedziałam mu, że czuję się niezręcznie, pominawszy dwa szkolenia EPF, odparł jednak, żebym się tym nie martwiła, bo jestem już członkiem Sea Org. Nie byłam pewna, czy mam się śmiać, czy płakać, ale Tom zdawał się nie zauważać mojego zmieszania. Nakazał mi iść do Coachman Building i zapisać się na kurs.

Jeden z moich pierwszych kursów nosił nazwę „Kapelusz studenta”. Wśród kursantów dostrzegłam kilka znanych mi osób, dzięki czemu poczułam się nieco bardziej swojsko. Moje pierwsze zadanie polegało na tym, że miałam siedzieć na krześle, wpatrując się w ścianę, do której przytwierdzono taśmą biuletyn z wytycznymi LRH. Siedząc tak, miałam wpatrywać się w słowa LRH przez całą godzinę. Gdybym poruszyła się pod wpływem zmęczenia, zakaszłała, odwróciła na chwilę głowę albo zasnęła, musiałabym powtarzać ćwiczenie przez kolejną godzinę. W ten sposób miałam się stać dobrą kursantką, a cały ten dryl miał mnie skonfrontować z wytycznymi, które musiałam przestudiować, by osiągnąć cel. Niektórzy kursanci byli poddawani tej musztrze od tygodni. Ponieważ z natury byłam niespokojna i wciąż gdzieś mnie nosiło, wiedziałam, że również i mnie wykonanie ćwiczenia zajmie całe wieki. Rzecz jasna robiłam co w mojej mocy, by siedzieć bez ruchu.

Jeśli chodzi o słownictwo, to tak bardzo nie nadążałam za materiałem przerabianym na kursie, że równie dobrze zajęcia mogłyby się odbywać w jakimś obcym języku. Musiałam opanować słowo w słowo „Dziesięć punktów, dzięki którym działa scjentologia”, w kółko powtarzając stosowne formuły, podczas gdy inny kursant sprawdzał, w jakim stopniu mi się to udawało. Musiałam również nauczyć się dziesięciu błędnych sposobów rozumienia jakiegoś słowa. Poza tym musiałam wysłuchać dwunastu taśm zawierających niezwykle gęste, przegadane, obfite w techniczny żargon wykłady LRH na temat fotografii i technik drukarskich, a także przeczytać setki jego biuletynów. Kiedy już przeczytałam mnóstwo

takich tekstów, testowano moją wiedzę z zakresu czegoś, co nazywano „ćwiczeniami teoretycznymi” oraz/lub ćwiczeniami typu „Czym się zajmujesz?”. Oznaczało to, że jakiś inny kursant zadawał mi wiele pytań z wytycznych zawartych w biuletynach LRH. Mógł spytać: „Czym się zajmujesz?”, albo powiedzieć: „Wymień dziesięć sposobów błędnego rozumienia jakiegoś słowa”.

Ja zaś musiałam bez wahania udzielić poprawnych odpowiedzi, aby zaliczyć ćwiczenie. Najkrótszy test, jakiemu mnie poddano, zawierał dwadzieścia pięć pytań, zazwyczaj jednak testy zawierały pięćdziesiąt do stu pytań. Jeśli odpowiedź na którekolwiek z nich była błędna, najpierw trzeba było zakończyć cały test, a potem powtórzyć wszystko od początku - aż do osiągnięcia zupełnej płynności w podawaniu trafnych odpowiedzi bez choćby jednej pomyłki. Standardem scjentologów w takich sytuacjach było też poddawanie nas codziennym testom i wrywkowym kontrolom. Zwykle odliczałam każdą sekundę dzielącą nas od lunchu, bo umierałam z głodu (chcąc zdążyć na autobus, nigdy nie miałam rano czasu na zjedzenie śniadania) - a także dlatego, że była to upragniona przerwa.

Lunch jadłam w jadalni kadry w odnowionym Clearwater Bank Building, po przeciwległej stronie Coachman Building. Bardzo ucieszył mnie widok Valeski, która tam pracowała. Uściskałyśmy się serdecznie. Valeska powiedziała mi, że nie może już należeć do CMO, ponieważ jej mama wypowiadała się krytycznie na temat scjentologii. Przydzielono jej stanowisko stewarda obsługującego kadrę CMO, więc do jej zadań należało podawanie jedzenia oraz sprzątanie po kadrze.

Czułam się bardzo niezręcznie w jadalni członków CMO. Każdy poza mną miał wyznaczone miejsce; zdawało mi się, że wszystkie miejsca na wydziale CMO są już rozdzielone. Ilekroć spytałam, czy mogę zająć to czy inne krzesło, dziewczyny z CMO mówiły mi, że jest już zajęte. Byłam tak nieśmiała, że zamiast po prostu usiąść na którymś z nich, zasiadłam do posiłku z Valeską i resztą załogi kambuza przy ich stole, już po zakończeniu posiłku.

Tak naprawdę nie pasowałam do pozostałych członków grupy CMO. Wydało im się dziwne, że zadaję się z załogą kambuza, więc mnie unikali. Gdy o dwudziestej pierwszej trzydziści kończył się kurs, wracałam do domu autobusem, po czym udawałam się do pokoju Valeski, by wrócić do siebie dopiero na noc. Jeśli w środku nocy budziłam się wystraszona, mogłam pobiec do znajdującego się po drugiej stronie budynku pokoju Valeski i wślizgnąć się jej do łóżka. Musiałam wyprać sobie rzeczy, nie miałam jednak pojęcia, jak się do tego zabrać, bo na Ranczu obowiązek ten zawsze należał do któregoś z dzieci. Valeska pomogła mi wyprać i wyprasować spodnie od uniformu. Pokazała mi też, jak to się robi. Nie wiem, co



bym bez niej zrobiła.

Po kilku tygodniach Valeska nagle zniknęła bez pożegnania. Jej odejście nastąpiło tak nagle, że naprawdę zaczęłam się niepokoić. Później dowiedziałam się, że wysłano ją na Freewinds, by utrudnić jej matce kontakt z nią.

Powrót do Flag był pod każdym względem rozczarowujący. Nic nie zgadzało się z obrazem, który miałam w głowie, ani nie pokrywało się z moimi dotychczasowymi doświadczeniami: zakwaterowanie, nowe obowiązki, kursy ani nowi przyjaciele. Podczas każdej z trzech wcześniejszych wypraw do Flag moja radość w dużej mierze wynikała z tego, że mogłam uczestniczyć w życiu mamy, która znajdowała dla mnie trochę czasu. Teraz, pozbawiona tego wszystkiego, byłam zagubiona i niepewna, czy dobrze wpasowuję się w nową sytuację i czy w ogóle chcę tutaj być. W przeszłości pobyt we Flag sprawiał, że jeszcze bardziej pragnęłam dołączyć do Sea Org. Teraz zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy przynależność do CMO jest tym, czego naprawdę chcę. Może się pomyliłam. Miałam dwanaście lat, podejmowałam decyzje, które miały wpłynąć na całą moją przyszłość, i nie mogłam pozwolić sobie na błąd.

Obawiałam się pracy na kursie, bo przerastała moje możliwości. Robiłam, co mogłam, by jej uniknąć. Wolałam ukryć się w łazience albo udawałam, że szukam czegoś w bibliotece.

Pewnego dnia w czasie lunchu ciotka Shelly, która właśnie wróciła z miasta razem ze stryjem Dave'em, spotkała mnie w jadalni i kazała mi przejść do stołówki dla kierownictwa. Gdy szłyśmy korytarzem, spytała, co porabiam. Odpowiedziałam, że głównie się uczę, a w czasie posiłku oraz wieczorami przed snem spędzam czas z załogą kambuza. Ciotka wydała się przerażona tą wiadomością, ale też najwyraźniej zrozumiała, że nie mam nic lepszego do roboty.

- Wiesz, Jenno - powiedziała, potrząsając głową - przede wszystkim nie powinnaś była przyjeżdżać do Flag. Od tej pory będziesz przebywać w kręgu ludzi z CMO i tylko z nimi, podlegając musztrum przewidzianym dla CMO jako członek tej grupy. Członkowie CMO nie zadają się z załogą kambuza.

Wzięłam sobie jej słowa do serca. Po tym spotkaniu poprosiła mnie na bok również Pilar, żona Dona, która dostała zadanie skierować mnie na właściwą drogę. Powiedziała mi wprost, że w tym uniformie wyglądam beznadziejnie i że potrzebuję takiego, który będzie na mnie dobrze leżał, i wręczyła mi kilka swoich bluzek z egipskiej bawełny przeznaczonych dla kierownictwa. Byłam zdezorientowana tym, że najpierw jest tak złośliwa, a za chwilę miła. Mimo że koszule były używane, i tak każdy chciałby je mieć, bo uchodziły za najlepsze, więc zdawałam sobie sprawę, jaka ze mnie szczęściara, że je dostaję. Po tych dwóch spotkaniach

po każdym posiłku zaczęłam chodzić na musztry CMO, tak jak nakazała ciotka Shelly. Przydzielono mi miejsce przy jednym ze stołów, oszczędzając mi wcześniejszego stresu związanego z poszukiwaniem wolnego miejsca.

Któregoś dnia, niedługo po moim przybyciu do Clearwater, w czasie porannej musztry rozniosła się plotka, że Don Jason „zwiął”. Zwianie było po prostu ucieczką z Kościoła, co stanowiło skandaliczny akt równoznaczny ze zdradą scjentologii. Nikt nie miał od Dona żadnych wieści i podobnie jak wszyscy również ja byłam tym wstrząśnięta. Don Jason był jednym z najwyższych rangą członków zarządu Flag. Kilka dni wcześniej rozmawiałam z nim w jego biurze i zachował się normalnie. Przekazał mi, że mama prosiła, by sprawdził, jak mi się wiedzie, co uznałam za bardzo miły gest.

Zamęt, jaki wywołała ta wiadomość, był ogromny. Chciałam zadzwonić do mamy, bo wiedziałam, że ona i Don są przyjaciółmi, jednak w bazie nie wolno mi było korzystać z telefonu. System telefoniczny we Flag wymagał podania specjalnego kodu, którego nie znałam, więc chcąc zadzwonić do domu, używałam własnego systemu: zakradałam się do mieszkania Toma i Jenny, by skorzystać z ich kodu, bo wieczorami zawsze byli w pracy. Prosiłam zarządzającego kajutami członka Sea Org o klucz, a następnie wchodziłam do mieszkania. Zarządzający kajutami ufał mi, ponieważ poznał mnie, gdy byłam poprzednio we Flag, i widywał mnie z mamą, Sharni i Valeską. Wiedział również, że należałam do CMO, toteż sądził, że potrzebuję hasła, żeby zrobić pranie czy coś w tym rodzaju. Tom wspomniał kiedyś mimochodem, że mogę korzystać z jego telefonu, gdy tylko zechcę, i choć wiedziałam, że nadużywam jego pozwolenia, nie przychodziło mi do głowy inne rozwiązanie.

Tej nocy, gdy usłyszałam o ucieczce Dona, wślizgnęłam się do mieszkania Toma i zatelefonowałam do Kalifornii, uzyskując połączenie z mamą za pośrednictwem recepcji RTC. Powiedziałam mamie, że bardzo chcę wracać do domu. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała o ucieczce Dona. Powiedziałam jej, że jest mi we Flag bardzo smutno i że nie jestem przygotowana, by wstąpić do CMO. Co zaskakujące, mama okazała zrozumienie i oznajmiła, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zarezerwuje dla mnie bilet do Kalifornii.

Dwa dni później, w środę, dostałam od niej wiadomość, że załatwiła bilet, więc spakowałam się i przygotowałam do podróży. Przekradłam się do kambuza i z pomocą przyjaciółki, kucharki tam pracującej, upiekłam dla mamy placek. Już wcześniej pożegnałam się z innymi przyjaciółmi stewardami i właśnie czekałam w kuchni, aż Tom albo ktoś inny podwiezie mnie na lotnisko, gdy nagle zadzwonił telefon mojej przyjaciółki.

Podając mi go, wydała się czymś zmartwiona. Natychmiast rozpoznałam głos pana Sondry Phillips, wysokiego rangą oficera CMO. Powiedziała mi, że natychmiast muszę

stawić się w WB. Gdy jej wyjaśniłam, że zaraz wyruszam na lotnisko, skąd odlatuję do Kalifornii, Phillips oznajmiła, że w takim razie nastąpiła zmiana planów i że muszę zaraz być w WB.

Wściekła i zmartwiona zabrałam bagaże i udałam się do budynku WB, weszłam na górę i odnalazłam pana Phillips, która zabrała mnie do małego biura i zamknęła drzwi. Spurpurowiała na twarzy i zaczęła na mnie krzyczeć, tak że czułam na twarzy krople jej śliny. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Phillips wrzeszczała, że zachowuję się nieetycznie, że jestem „wyrzutkiem”, jak nazywano beznadziejnego ucznia, negatywnie wyróżniającego się w grupie i niestosującego się do zasad. Na koniec stwierdziła, że nie ma mowy, żebym wróciła do domu, i że muszę zmęznieć, bo teraz jestem członkiem Sea Org.

Wszystko to kompletnie mnie zaskoczyło. Właśnie miałam jej powiedzieć, co o tym myślę, gdy do pokoju weszła Jenny, żona Toma, która kazała panu Phillips wyjść, mówiąc, że sama się zajmie tą sprawą. Jenny awansowała na dowódcę CMO Clearwater i byłam pewna, że wszystko mi wyjaśni. I z pewnością pomoże mi się dostać na lotnisko.

Jednak ku mojemu przerażeniu również ona oświadczyła, że zostaję. Widać było, że mówi serio.

- Ale dlaczego? - spytałam zdumiona.

- Zostajesz, i już - oświadczyła kategorycznie. - Przyjechałaś tu, żeby zostać audytorem, więc musimy cię poddać odpowiedniemu treningowi.

Próbowałam protestować, ale mnie uciszyła i zaczęła czytać fragmenty z biuletynu LRH zatytułowanego „Jak sprawić, by scjentologia działała”.

„Kiedy ktoś się zapisuje do Kościoła, należy uznać, że podpisał kontrakt obowiązujący do końca świata - nigdy nie należy dopuszczać »otwartości umysłu« w tej kwestii. Jeśli ktoś chce się wypisać, niech się wypisuje, byle szybko. Jeśli przystąpił do organizacji, już w niej jest, i to na takich samych zasadach jak wszyscy inni - zwycięstwo albo śmierć podczas próby odniesienia zwycięstwa. [...] Lepiej żebyś był martwy, niż żebyś był niezdolny do podejmowania wyzwań. [...] Cała udręczona przyszłość tej planety, każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka, a także twoje własne przeznaczenie, obejmujące niezliczone tryliony lat - uzależnione są od tego, co zrobisz tu i teraz ze scjentologią oraz w jej strukturach”.

Teraz brzmi to groteskowo, ale wtedy naprawdę wierzyłam, że przyszłość Ziemi spoczywa na moich barkach - barkach dwunastolatki. I choć chciałam protestować, z Jenny nie było dyskusji. Niechętnie uległam, a tym samym mój los został przypieczętowany. Nie miałam polecieć do domu, by zobaczyć się z mamą. Zostałam uwięziona.



## Rozdział piętnasty

### Mama

Nagła zmiana planów, w wyniku której zostałam uwięziona w -Clearwater, była frustrująca, ale jeszcze bardziej przygnębiające było to, że w ciągu najbliższych dni nie byłam w stanie skontaktować się z mamą. Wieczorami używałam klucza, by dostać się do mieszkania Toma i Jenny i dodzwonić się do mamy do RTC, jednak każdy, kto odbierał telefon, mówił, że jest nieosiągalna. Na moje pytanie, kiedy będę mogła z nią porozmawiać, zawsze padała jakaś mętna i wymijająca odpowiedź. W końcu zatelefonował do mnie tata. Powiedział, że mam przestać wydzwaniać do recepcji RTC. Kiedy spytałam czemu, odparł, że mama jest bardzo zajęta realizacją specjalnego projektu. Nawet on nie chciał podać mi żadnych konkretów.

Zaczęłam się martwić, że wszystkie te tajemnice oznaczają, że mamę zesłano na RPF. Najgorsza kara, jaką stosowano w Kościele - RPF - stanowiła formę resocjalizacji mającej na celu dyscyplinowanie tych, którzy dopuścili się wykroczenia. Często wysyłano ich do odizolowanego miejsca w bazie, zazwyczaj na co najmniej dwa lata, choć długość pobytu była uzależniona od postępów resocjalizacyjnych. Nie mogłam sobie wyobrazić, by mama miała trafić na RPF; przecież stryj Dave awansował ją ostatnio do stopnia komandora porucznika i publicznie ją pochwalił w Dniu Sea Org. A z drugiej strony mama nigdy nie była aż tak niedostępna. Próbowałam wymyślić jakiś inny powód jej nieosiągalności.

Nazajutrz po rozmowie z tatą Sophia Townsend, przedstawicielka RTC, wywołała mnie z sali, w której odbywałam kurs. Gdy przychodził po ciebie ktoś z RTC, niemal zawsze oznaczało to coś złego. Formacja RTC stanowiła najwyższą organizację w hierarchii Kościoła i odgrywała kluczową rolę w egzekwowaniu zasad oraz standardowym stosowaniu wytycznych LRH. Pan Townsend kazała mi iść ze sobą do pokoju na górze, gdzie miała ze mną odbyć, jak to nazwała, „szybką sesję”. Gdy zapytałam ją, co ma na myśli, nieprzyjaznym tonem odparła, że zaraz sama się przekonam.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zadała mi przewidziane procedurą pytania: czy nie jestem zmęczona, głodna i czy jest jakiś powód, by nie rozpocząć sesji. Na wszystkie pytania odpowiadałam przecząco.

- To jest sesja! - niemal krzyknęła, piorunując mnie wzrokiem.

Następnie zadała mi kilka innych rutynowych pytań, jakie zazwyczaj padały na

początku każdej sesji, a mianowicie: czy nie jestem zdenerwowana albo rozkojarzona. Po krótkim przedyskutowaniu tego, co mi najbardziej leżało na sercu, to znaczy wszystkiego, co się działo z mamą, przeszła do rzeczy, wyjaśniając powód, dla którego w ogóle odbywałyśmy sesję.

- Czy masz coś do ukrycia? - spytała.

Próbowała dociec, czy zrobiłam coś złego, co chciałam zataić przed innymi. Testując mnie Emetrem, obrzuciła mnie badawczym wzrokiem.

- Nie - odpowiedziałam.

Jednak to nie zadowoliło pana Townsend. Staralam się przypomnieć sobie jakieś drobne grzeszki, które popełniłam. Pomyślałam na przykład o korzystaniu z telefonu Toma bez jego wiedzy. Nie chciałam jednak dzielić się tym z panem Townsend, która powiedziała by o wszystkim Tomowi, a wówczas nie mogłabym już dzwonić w tajemnicy z jego mieszkania.

- Nie - powtórzyłam po chwili.

Najwyraźniej wskaźnik Emetru nadal wskazywał, że kłamię. Pan Townsend po raz trzeci spytała mnie o jakieś ukryte przewinienie, ja zaś i tym razem odpowiedziałam przecząco. Wyraźnie widziałam, że moją audytorcę ogarnia irytacja.

- W porządku - oświadczyła. - Czy obrabowałeś bank?

- Co takiego? - spytałam z niedowierzaniem. - Ależ skąd! Jak mogłabym to zrobić?!

- Dobrze. Czy kogoś zabiłeś?

Pytania były nedorzeczne.

- Poważnie pan pyta?

- Owszem - odparła z rozdrażnieniem i zadała następne pytanie: - Czy uprawiałaś seks ze swoim ojcem?

- O czym pan mówi?! - krzyknęłam.

- Coś jest na rzeczy. Przyjrzyjmy się temu.

- Nieprawda - obstawałam przy swoim, dodając, że nie mogę uwierzyć, że ktoś sądzi, że mogłam dopuścić się którejs z tych rzeczy.

Jednak pan Townsend jeszcze nie skończyła.

- Powtórzę swoje pytanie: czy masz coś do ukrycia? - zapytała niczym automat.

I tak przez wiele godzin ciągnęło się przesłuchanie mające wydobyć ze mnie zeznania. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Nie mogłam zrozumieć przyczyny ani celu tych pytań. Czy miało to coś wspólnego z mamą? Czym zawiniłam? W końcu, gdy było już jasne, że badanie do niczego nie doprowadzi, po prostu odmówiłam dalszych zeznań. Pan Townsend

oświadczyła, że kończymy sesję, więc może przekazać mnie „etyce” za „brak raportu”, ponieważ nie odpowiedziałam na pytanie, choć Emetr wykazał, że znam na nie odpowiedź.

- Świetnie - powiedziałam, czując ulgę na myśl, że opuszczam ten pokój, ale także będąc świadomą, że mam duży problem.

Potem poszłam do egzaminatora, który sporządzał protokół po każdej sesji odbywanej z użyciem Emetru.

- Dziękuję bardzo, wskaźnik na Emetrze się waha - oświadczył jak zawsze protokolant.

Wahający się wskaźnik oznaczał, że jest się zadowolonym i zrelaksowanym, choć tym razem było to bardzo dalekie od prawdy - jeszcze nigdy nie byłam tak przygnębiona. Pan Townsend kazała mi czekać w sali audytowania, dopóki nie przyjdzie po mnie ktoś z wydziału etyki.

Doprowadzono mnie stamtąd pod eskortą do budynku WB, jednocześnie udzielając mi reprimendy za to, że nie współpracowałam z panem Townsend. Wkrótce dotarliśmy do WB, gdzie w ciągu kilku minut pojawiła się kolejna przedstawicielka zarządu RTC, Anne Rathbun. Znałam ją, ponieważ przez kilka lat pracowała w biurze stryja Dave'a i była żoną Marty'ego Rathbuna, prawej ręki stryja. Powiedziała mi, że sesja prowadzona przez pana Townsend była zbyt brutalna i że czeka mnie nowa sesja z innym audytorem.

Kolejna audytorka, pan Angie Trent, również przedstawicielka RTC, była znacznie bardziej przyjazna. Pan Trent zadała mi szereg pytań z przygotowanej listy i jeśli na Emetrze wskaźnik się wychylił, czekała, aż udzielę na nie odpowiedzi. Sesja wypadła znacznie lepiej. Kiedy dobiegła końca, pan Trent obiecała, że pomoże mi zdobyć jakieś informacje na temat miejsca pobytu mamy.

Choć było to trudne, usiłowałam znów skupić się na kursach. Pewnym pocieszeniem był dla mnie fakt, że miałam kogoś znajomego do pomocy. Claire Headley była jedną z moich superwizerek w Int, gdy Justin i ja byliśmy bliźniakami, i nawet jeśli miałam problemy, ona zawsze była optymistką i zachęcała mnie do pracy. Mimo że była starsza ode mnie, wkrótce zostaliśmy dobrymi przyjaciółkami. W międzyczasie awansowano ją i przeniesiono do RTC. Przyjechała do Flag jako członek zespołu mającego przyspieszyć nastanie złotego wieku technologii, teraz zaś zwracano się do niej „panie Headley”. Pomimo naszej przyjaźni musiałam zwracać się do niej „sir”, bo była teraz przedstawicielem RTC, budzącym szacunek i strach.

Pomogła mi się uspokoić i wrócić do rozpoczętych kursów. Gdy mijały kolejne tygodnie, a od mamy nie było żadnych wieści, pan Headley zapewniła mnie, że naprawdę

stara się zdobyć dla mnie jakieś informacje. Któregoś sobotniego poranka podczas sprzątanego statku, czyli czasu, jaki mieliśmy przeznaczyć na wysprzątanie sypialni, pan Headley zjawiała się w moim pokoju i oświadczyła, że razem z nią jeszcze tego ranka polecę do Int, by dowiedzieć się, co się dzieje z matką. Byłam zszokowana, ale i szczęśliwa. Pan Headley zamierzała skorzystać z okazji zobaczenia się w Int z mężem, więc też była podekscytowana - rozdzielono ich, kiedy posłano ją do Flag jako jednego z przedstawicieli RTC.

Poleciałyśmy do L.A., skąd autem przewieziono nas do bazy. Pan Headley podrzuciła mnie do mieszkania moich rodziców, które opuściła, gdy tylko pojawił się tata - żebyśmy mieli odrobinę prywatności.

- Jak się masz? - zapytał, po czym mnie uściskał.

Próbowałam zachować spokój, ale kiedy otwarłam usta, by mu odpowiedzieć, poczułam, że po twarzy zaczynają mi spływać łzy. Powiedziałam, że bardzo się boję o mamę i że wciąż nie mogę się z nią skontaktować. Opowiedziałam mu też o strasznej sesji, którą odbyłam z panem Townsend.

- Przykro mi - odparł tata, patrząc mi prosto w oczy. - Ale to, co zrobiła pan Townsend, jest w takiej sytuacji standardową procedurą: nieprzyjemną, lecz konieczną.

Zamilkłam zirytowana, że ojciec staje po stronie pana Townsend, a jednocześnie zaskoczona: standardowa procedura? Ale w związku z czym? Zanim zdążyłam o to zapytać, już dostałam odpowiedź.

- Twoja mama została ukarana za wykroczenie przeciw 2D - oświadczył sucho ojciec.

Oznaczało to, że miała romans. Choć byłam zaskoczona, nagle sobie uświadomiłam, że właśnie tego przez cały czas się obawiałam. To dlatego tak się bałam, że trafiła na RPF, i dlatego byłam tak zdenerwowana, że nie mogę się z nią skontaktować. I również dlatego pan Townsend badała, czy czegoś nie zatajam - żeby się upewnić, że nic mi nie wiadomo na temat zachowania mamy.

- Z kim? - spytałam krótko.

- A jak myślisz?

- Pewnie z Donem.

- Zgadłś - odparł ojciec. - Wiedziałaś coś o tym?

Zadał to pytanie takim tonem, jakby mnie oskarżał o spiskowanie z mamą. A przynajmniej tak sobie pomyślałam. Wróciłam myślami do sesji z panem Townsend, przypominając sobie intensywność, z jaką mnie przesłuchiwała. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że pan Townsend sprawdzała, czy wiem o sprawie.

- Nie - odpowiedziałam. - Ale byli ze sobą dość blisko, więc mogłam się domyślić.



Nawet dla mnie było oczywiste, że byli dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Nie miałam jednak pojęcia, że sprawy zaszły tak daleko.

Ogarnęła mnie panika na myśl o konsekwencjach, jakie czekają mamę. Ci, którzy dopuścili się wykroczenia przeciwko 2D, byli traktowani jak ostatni z ostatnich. Matka była dla mnie kimś, kogo zawsze podziwiałam. Bez względu na to, co pewnie myśleli teraz o niej inni, wiedziałam, że zrobiła dla Kościoła wiele dobrego i nadal mogła wiele zrobić. Nie zamierzałam o tym zapominać. Jednak to, że dopuściła się czegoś tak rażącego jak wykroczenie przeciw 2D, było trudne do pojęcia.

Celowo tłumiałam w sobie uczucia. Usiłowałam odciąć się od emocji, postępować w sposób całkowicie logiczny i uporządkowany, robić to, co słuszne i konieczne, i nie reagować impulsywnie. To była jedna z tych sytuacji, w których trening Bullbait okazał się szczególnie przydatny. Nauczył mnie wypierać uczucia i reagować racjonalnie, bez poddawania się emocjom. Musiałam oddzielić umysł od uczuć. W normalnych sytuacjach, znacznie mniej poważnych niż odkrycie, że twoja matka ma romans, jeśli reagowało się emocjonalnie albo wpadało w złość, inni mówili ci, żebyś wrócił do TR. Jeśli zaczynałeś się kłócić albo irytować, mówiono ci, żebyś postarał się dzięki TR zachować panowanie nad sobą. Usłyszawszy od ojca najnowsze wieści, spróbowałam się wobec nich zdystansować. W owej chwili TR okazały się pomocne.

Podczas gdy ja podejmowałam desperackie próby zapanowania nad uczuciami, tacie się to nie udawało: rozplakał się. Powiedział, że ma poczucie, że ostatnie dwa lata jego małżeństwa były kłamstwem i że stryj Dave był tak miły, że osobiście mu powiedział o romansie mamy. Uściskałam ojca, bo taki gest wydał mi się czymś właściwym.

- Gdzie jest teraz mama? - zapytałam, dobrze wiedząc, że według przyjętych wytycznych wykroczenie przeciw 2D skutkuje „plażowaniem”.

Owe wytyczne, spisane jeszcze w czasach, gdy Sea Org miała siedzibę na morzu, stanowiły kiedyś, że winowajcę porzucano na plaży. Teraz zwykle wysyłano go, by odbył program RPF.

Tata potwierdził, że tak właśnie się stało.

- Mama podlega RPF: tam jest jej miejsce - powiedział oschle.

- Wszystko u niej w porządku?

Ojciec wydawał się zaskoczony tym pytaniem, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Tak sądzę, ale prawdę mówiąc, jej samopoczucie niewiele mnie obchodzi. Bardzo się na niej zawiodłem - powiedział. - Zresztą nie martw się. Podlegający RPF mają co jeść i gdzie spać, więc myślę, że wszystko będzie dobrze.

Zawsze byłam skłonna do empatii i współczułam ludziom, którzy popadali w tarapaty, nawet jeśli sami byli sobie winni. W dodatku miałam świadomość, że bez względu na to, gdzie mama przebywa, pewnie jest bardzo źle traktowana, pozbawiona wszystkich przywilejów i udogodnień, do jakich była przyzwyczajona. Jednak tata najwyraźniej - i pewnie nie bez powodu - sądził, że sobie na to zasłużyła. Wyparł ze świadomości fakt, że również ich znajomość zaczęła się od wykroczenia przeciw 2D, po którym się pobrali.

Tata powiedział mi, że jest w trakcie przeglądania rzeczy osobistych mamy i ich pakowania, bo zamierza wysłać je do magazynu - matce nie będą już potrzebne. Zapytał, czy nie chciałabym pomóc. Ludzie wysyłani na RPF zazwyczaj spędzają tam lata. Nawet pobyt dwuletni uważano za krótki. Gdy przeszukiwaliśmy jej szafę, tata co jakiś czas brał w ręce jakieś ubranie, pytając: „Chcesz coś takiego? Jej i tak już się nie przyda”, i dając mi do zrozumienia, że mama znika na długo.

Nie wiedziałam, jak powinnam na to wszystko zareagować. Gdybym miała stosować się do scjentologii, właściwą reakcją byłby wybuch nienawiści - nie z tego powodu, że mama naraziła rodzinę, ale dlatego, że złamała zasady Kościoła. Martwiło mnie jednak to, że zupełnie nie czuję do niej nienawiści. Rzecz jasna byłam na nią zła, ale nie nienawidziłam jej i wciąż ją kochałam. Wiedziałam, że nie jest to odpowiednie uczucie, więc nie zdradzałam się z nim.

Milczałam, a tata zapytał, dlaczego nie płaczę. Powiedział, że stryj Dave pytał go o to, jak zareaguję na wieści o mamie, na co tata odparł, że strasznie się zdenerwuję. Zezłościło mnie, że ojciec myślał, że zna mnie na tyle dobrze, by coś takiego zakładać, i że mógł coś takiego powiedzieć stryjowi, traktując mnie jak dziecko, podczas gdy byłam przecież członkiem Sea Org - tak jak on sam.

Po godzinie przeglądania rzeczy mamy tata musiał wrócić do pracy, a wtedy do pokoju weszła pan Headley, uściskała mnie i powiedziała, że jest jej bardzo przykro. Pod wpływem jej współczucia łzy napłynęły mi do oczu.

Kilka minut później w drzwiach ukazała się ciotka Shelly.

- Hej, słyszałam, że zniósłś najnowsze wieści jak prawdziwy twardziel! - powiedziała. - Dzielna mała!

Objęła mnie i wyszliśmy porozmawiać.

- Twoja mama ma się dobrze i da sobie radę - powiedziała mi ciotka. - Zawsze twierdziła, że jest najsilniejszą kobietą w bazie, więc podoła pracy MEST, którą będzie wykonywać w ramach RPF.

Kiedy powiedziałam, że martwię się z powodu mamy i że nie chcę, by była smutna,

ciotka stała się znacznie mniej sympatyczna.

- Czy wiesz - oznajmiła - że twoja mama wysłała cię do Flag na zajęcia z audytowania, dlatego że chciała dzięki temu utrzymać kontakt z Donem?

Te słowa bardzo mnie zabolaly. Nie wiedziałam, czy to prawda, czy też ciotka trochę przesadza. Gdy wciąż trawiłam wieści o mamie, zastanawiając się, czy są prawdziwe, usiłowała mi wytłumaczyć, dlaczego mama powinna trafić na RPF, twierdząc, że jej się to należało, i dając wyraz swej jednoznacznej dezaprobachie dla jej zachowania.

Porozmawialiśmy też o mojej przyszłości. Ciotka stwierdziła, że cieszy się, że zostanę członkiem CMO, bo chciała, żebym odbyła cały trening, tak bym mogła po powrocie do Int zacząć tam pracę. Ucieszyłam się, że widzi mnie w pracy, i to w miejscu, o którym zawsze marzyłam. Rozmawialiśmy przez godzinę albo dwie. Ciotka opowiadała mi historie ze swojej młodości i z okresu pracy dla LRH - wiele dla niej znaczyło należeć do CMO w wieku dziewięciu lat. Na koniec uściskałyśmy się i pożegnałyśmy.

Kolejnych kilka dni upłynęło mi w Int w towarzystwie pana Headley. Oprowadziła mnie po bazie i pokazała wszystkie fajne rzeczy, które powstały tu, odkąd opuściłam to miejsce. Int Base rozpościerała się na obszarze dwustu hektarów. Nim w roku 1978 miejsce to zostało kupione przez Kościół, mieścił się tu kurort. Wciąż jeszcze znajdowało się tutaj duże sztuczne jezioro i zamek warowny, a dzięki systemowi nawadniania wszystko tonęło w bujnej zieleni, mimo że wokół Int rozciągał się spalony słońcem pustynny krajobraz Kalifornii. Całą posiadłość otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego i setki kamer monitoringu; niektóre z nich były ukryte, inne nie. Pan Headley pokazała mi nową rezydencję zwaną Bonne View. Zbudowano ją dla LRH, by po jego powrocie na ziemię była gotowa do zamieszkania.

- Gdy powróci w innym ciele? - zapytałam, zastanawiając się nad tym, jak i kiedy wróci LRH.

- Tak sądzę - odparła pan Headley, najwyraźniej również nie mając pewności co do szczegółów owego powrotu.

Po rezydencji Bonne View oprowadziła nas Stacy Moxon, należąca do zespołu opiekującego się domem. Członkowie tej niewielkiej sekcji CMO byli w pogotowiu, by zadbać o osobiste potrzeby LRH, gdy tylko ten się pojawi. Wspaniały ceglany dom z kominkami w środku otaczały wypielegnowane tereny zielone. Był to bez wątpienia najładniejszy budynek w całej bazie.

Ogólnie rzecz ujmując, pobyt w Int był pouczający, wkrótce jednak mnie znużył, bo przypominał mi o lekkomyślności mamy i smutku ojca. Kilka dni wcześniej niczego bardziej nie pragnęłam, niż uciec z Flag, teraz jednak, po tym wszystkim, co się wydarzyło, poczułam

ulgę, gdy nadszedł czas, by w towarzystwie pana Headley wrócić do Clearwater. Nie miało dla mnie znaczenia, co się tam stanie ani jaka skarga w związku z moją osobą wpłynie do CMO. Chciałam jedynie zostawić za sobą Int i wszystkie te problemy.

Niemniej jednak tata nalegał, żebym na Boże Narodzenie wróciła do Kalifornii, co zrobiłam niechętnie, większą część tygodnia spędzając na Ranczu. Z początku złościło mnie tkwienie w Cadet Org, skoro byłam członkiem Sea Org. Ale wkrótce pobyt na Ranczu sprawił, że zaczęłam tęsknić do czasów, kiedy nie byłam jeszcze członkiem CMO. Byłam przywiązana do przyjaciół stąd. Oni naprawdę mnie znali. Razem dorastaliśmy, więc rozumieli, kim jestem.

Właśnie odbywało się coroczne Beer & Cheese Party. Stałam w grupce przyjaciół z Rancza, gdy nagle podszedł do mnie tata i poprosił mnie na bok.

- Stryj Dave chce się z tobą widzieć - oznajmił ponaglącym tonem. - Jest w sali bilardowej.

Zaczęłam się nerwowo przeciskać między gośćmi stłoczonymi w jadalni, kierując się do prywatnego pokoju stryja Dave'a. Gdy się tam zjawiłam, stryj zaczął mnie pytać, jak sobie radzę, lecz odniosłam wrażenie, że wcale nie słucha moich odpowiedzi. Kilka minut później zaczął mnie za to przeproszać.

- Wybacz, Jenny, że jestem tak rozkojarzony. Chciałem z tobą pomówić o czymś ważnym. - Zamilkł na chwilę, jakby chciał sprawdzić, jak zareaguję na jego słowa. - Twoja matka prosiła, bym pozwolił jej się z tobą zobaczyć - dodał po krótkiej przerwie.

Byłam zaskoczona, bo od miesięcy nie miałam od niej żadnych wieści. Jednak gdy tata powiedział, że stryj Dave chce ze mną rozmawiać, pomyślałam, że chodzi o mamę. Stryj wydawał się jedyną osobą mającą z nią kontakt. Choć nie byłam na nią zła, nie zniosłabym skrępowania, jakie musiałabym odczuwać, słuchając jej wyjaśnień na temat romansu z Donem. A to czekałoby mnie, gdybym się z nią zobaczyła.

Zastanawiając się nad słowami stryja, pomyślałam, że nie chcę się z nią widzieć. Nie dlatego, że to właśnie chciał usłyszeć stryj, lecz dlatego, że nie chciałam rozmawiać z nią o całej tej historii. Nie chciałam wałkować tego, co zrobiła, i konfrontować się z uczuciami, które taka rozmowa nieuchronnie musiałaby wzbudzić. Nie byłam wściekła na matkę, po prostu chciałam uniknąć emocji, które, jak sądziłam, będą towarzyszyć takiemu spotkaniu. Chciałam, żeby wszystko toczyło się jak dotychczas.

- Ja naprawdę nie chcę się z nią widzieć - powiedziałam stryjowi. - Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku. Chciałabym, żeby po prostu odbyła przewidziany program. Kiedy go skończy, będziemy mogli tę całą sprawę zostawić za sobą. I nikt z nas nigdy nie

będzie musiał do tego wracać.

- Masz rację, Jenny - odrzekł stryj Dave z ulgą. - Matka powinna przejść cały program. Tak będzie dla niej najlepiej. Może świadomość, że tak uważasz, będzie dla niej motywacją. Ale na razie nie chce z nami współpracować.

Nie zdziwiło mnie to. Matka należała do kadry kierowniczej wyższego szczebla, gładko awansowała i wiedziała, że wykonywanie rozkazów jest najpewniejszą drogą kariery. Była jednak osobą twardą, czasami nawet upartą. Pytanie, jak bardzo była gotowa się upierać - wiedziała przecież lepiej niż ktokolwiek, że nie ma wielkiego wyboru. Mogła albo odbyć cały program RPF, albo pożegnać się z Sea Org.

- Chciałbym, żebyś do niej napisała - poinstruował mnie stryj Dave. - Żeby wiedziała, że nie zabraniam ci widzenia się z nią, że sama tego nie chcesz.

Wręczył mi kartkę papieru. Zaczęłam od słów: „Droga Mamo”, ale na tym utknęłam. Stryj podsunął mi kilka sugestii, jednak nie chciał, żeby list brzmiał tak, jakby to on go napisał. W końcu, postanawiając się streszczać, dodałam tylko, że wciąż ją kocham, ale chcę, żeby poddała się programowi, bo to będzie najlepsze dla nas obu.

- Dziękuję ci, Jenny - powiedział z uśmiechem stryj Dave, gdy skończyłam. - Dopilnuję, żeby dostała list.

Na dzień przed Bożym Narodzeniem bardzo się pochorowałam i całe święta spędziłam w łóżku. Miałam wysoką gorączkę, powiększone migdałki i zawroty głowy. Tata przyszedł mnie odwiedzić, przyniósł mi pudełko EmergenC i jakieś krople na kaszel. Dał mi nawet gruszkę do lewatywy, powołując się na ciotkę Shelly, która stwierdziła, że to dobry pomysł. Mnie jednak wydał się odrażający i powiedziałam to ojcu.

Nazajutrz po świętach tata powiedział, że mam zarezerwowany lot do Clearwater. Chciał, bym pojawiła się w bazie, żeby pożegnać stryja Dave'a i ciotkę Shelly, mimo że wciąż byłam chora. Długo czekaliśmy w recepcji ich biura, aż w końcu do nas wyszli. Stryj nie wiedział, że jestem chora, więc trochę się zirytował - obawiając się, że go zarażę - i natychmiast wrócił do biura, więc pożegnała się ze mną tylko ciotka Shelly. Wymogła na mnie przesunięcie lotu o kilka dni, tak bym zdążyła wyzdrowieć.

## Rozdział szesnasty

### EPF

Rok 1997 rozpoczął się powrotem do Flag i zakłopotaniem z powodu moich trzynastych urodzin. Chciałam za wszelką cenę zapomnieć o przeżyciach z poprzednich miesięcy. Po raz pierwszy w życiu nie chciałam się widzieć z żadnym z rodziców; pragnęłam jedynie pełnić swoje funkcje w CMO i znaleźć dla siebie miejsce.

Rzecz jasna łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Trudno mi było po prostu zapomnieć o tym wszystkim, co się wydarzyło. Wiedziałam, że najlepiej będzie wyłączyć emocje, nie byłam jednak w stanie tego zrobić. Na poziomie racjonalnym nadal łąpałam się na tym, że wciąż martwię się o mamę i mam nadzieję, że nic jej nie będzie - po prostu nie potrafiłam zdystansować się wobec tej sprawy jak dobry scjentolog. Choć powinnam była od wszystkiego się odciąć, wspomnienia wciąż odżywały. I być może to by się nie zmieniło, gdyby nie jasne chwile mojej codzienności, które pomogły mi się z tym uporać i ponownie skoncentrować całą moją energię na Sea Org.

W stopniu większym niż kiedykolwiek czerpałam teraz otuchę z cotygodniowych ceremonii wręczenia dyplomów kolejnym absolwentom Flag. Te uroczystości były dla mnie źródłem inspiracji i podtrzymywały mnie na duchu. Kiedy byłam młodsza, cały ten spektakl działał tylko na moje zmysły, teraz jednak coraz pilniej wsłuchiwałam się w padające podczas ceremonii słowa oraz w opowiadane przy tej okazji historie na temat tego, co może zdziałać scjentologia.

Moje szczególne zainteresowanie budziły cotygodniowe opowieści absolwentów na temat ich zwycięstw. Owe zwycięstwa były prawdziwym objawieniem, stanowiły nagrodę, sprawiającą że ludzie wracali do Kościoła po więcej, były świadectwem potęgi scjentologii, umacniającym w każdym słuchaczu poczucie jego własnego potencjału, który właśnie scjentologia mogła wyzwolić. Było nieomal tak, jakbym w tym krytycznym okresie potrzebowała czegoś, w czym mogłabym się zatracić, zapominając o wszystkim i koncentrując się na czymś pozytywnym. Zwycięstwa, o jakich opowiadano, były najrozmaitsze. Ludzie opowiadali, jak z początku nie byli pewni, czy będzie ich stać na opłaty za kursy, a jednak pod koniec zajęć zaczynali osiągać takie sukcesy, że zmieniali firmy i zarabiali dziesięć razy więcej niż wcześniej. Jeszcze inni twierdzili, że mieli wrażenie, że znaleźli się na zewnątrz własnych ciał - dopiero gdy sesja audytowania dobiegła końca,

uświadamiali sobie, że ich ciało nadal tkwi na krześle. Pewnego razu widziałam aktorkę Juliette Lewis dzielącą się swymi zwycięstwami po osiągnięciu stanu clear i choć nie pamiętam szczegółów, to fakt, że takie gwiazdy popierają scjentologię, wywarł wrażenie na wszystkich, łącznie ze mną.

Niezależnie od tego, kto opowiadał o swych zwycięstwach, dla wszystkich były one motywacją. Im więcej było zwycięstw, którymi się dzieliłeś, tym bardziej przekonujące dawałeś świadectwo, że w twoim przypadku to działa, i tym więcej w to inwestowałeś, co sprawiało, że trudniej ci było się wycofać. Nie sposób było słuchać tych wszystkich poruszających, emocjonalnych opowieści o wewnętrznej przemianie bez poczucia, że scjentologia ma moc przeobrażania ludzkiego życia i całego świata.

Na fali ekscytacji zapisałam się na kursy audytowania, które sprowadziły mnie do Flag. Wraz ze mną należała do CMO oraz chodziła na kursy pewna dziewczyna, moja rówieśniczka Luisa. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Jej rodzina pochodziła z Danii, a choć jej ojciec również zajmował stanowisko w Int, Luisa wychowywała się w L.A., na początku na Ranczu PAC w L.A. jako członek Cadet Org. Była bardzo nieśmiała, ale miała duże poczucie humoru i budziła zaufanie.

Obie starałyśmy się zachować powagę w sali, w której odbywał się kurs, czasem jednak uciekałyśmy z zajęć: znajdowałyśmy sposób, by wymknąć się do łazienki, gdzie - zamknąwszy się każda w oddzielnej toalecie - toczyłyśmy bitwy na rolki papieru toaletowego albo goniłyśmy się po schodach. Zajmowałyśmy tę samą sypialnię, więc przed pójściem spać albo w czasie posiłków Luisa opowiadała mi o dorastaniu na Ranczu PAC. Można było odnieść wrażenie, że tamtejsi kadeci mieli mniej pracy niż my, ale słuchając jej opowieści, przekonałam się, że ich też traktowano źle, a może nawet gorzej niż nas.

Nowy kurs, na który się zapisałam, miał związek z profesjonalnymi rutynami treningowymi. Rutyny, z którymi miałam się zmagać, to pro TRs, a choć istniały pewne podobieństwa między nimi a TR, które przećwiczyłam przed laty na Ranczu, te były znacznie bardziej rygorystyczne. Musiałam je zaliczyć, żeby zostać audytorem. Po kilku dniach zapoznawania się z wytycznymi i teorią tych rutyn oraz oglądania filmów i słuchania nagranych na taśmy wykładów LRH przeszłam do praktycznej części kursu: do samych rutyn treningowych. Od samego początku okazały się wyczerpujące. Skupiłam się na tym, by je po prostu przejść - możliwie najsprawniej. To był jedyny sposób uwolnienia się od nich.

Musiałam przez bite dwie godziny siedzieć na krześle naprzeciw innego kursanta - bez słowa, bez ruchu, bez cienia grymasu; nie wolno mi było zakaszleć ani za bardzo mrugać oczami. Wiele osób, łącznie ze mną, całymi tygodniami odbywało ów trening. Któregoś dnia

siedziałam nieporuszona na krześle od dziewięćdziesięciu minut, gdy nagle usiadła mi na nosie mucha. Zdmuchnęłam ją, poruszając samymi ustami, przez co nie zaliczyłam ćwiczenia i musiałam zacząć wszystko od nowa. Była to istna udręka, kilkakrotnie byłam już bliska płaczu. Przekonałam się też, że niemal nie sposób prędzej czy później się nie poruszyć. Miałam takie uczucie, jakby moje nogi same chciały wstać i dokądś pójść; wiele mnie kosztowało siedzenie w bezruchu.

Rutyna TRBullbait była czymś znacznie gorszym niż jej wersja dziecięca. Musieliśmy znieść sytuację, w której przez dwie godziny na nas krzyczano, śmiano się z nas, a nawet szydzono z naszej seksualności. Jeden z superwizorów specjalizował się w wyprowadzaniu nas z równowagi, mówiąc obraźliwe rzeczy, na które nie wolno nam było reagować. Pewna moja dobra przyjaciółka, trzynastolatka tak jak i ja, była w ramach TRBullbait konfrontowana z innym kursantem, mężczyzną, który godzinami rozwodził się nad tym, że jej rozkwitające piersi są niczym drobne pączki róży. Udało jej się nie zareagować, ale wszystko to wzbudziło we mnie obrzydzenie.

Kiedy zakończyliśmy kurs „Pro TR”, przeszliśmy do „TR wyższej indoktrynacji”. Tu dowiedzieliśmy się o tonie 40, czyli stanie umysłu, w którym ma się w stu procentach pozytywne myśli i w którym nie ma miejsca na negację czy uprzedzanie przyszłości. LRH uważał, że wszystkich ludzi można by uszeregować na skali zgodnie z ich stanem emocjonalnym. Owa skala tonów zaczynała się od -40, najniższego punktu definiowanego jako zupełna porażka, a kończyła na +40, punkcie, w którym osiągało się błogość istnienia.

Skala tonów odnosiła się do tonu głosu, sposobu mówienia i stanu emocjonalnego. Sposób mówienia właściwy dla tonu 40 cechował się taką sugestywnością i precyzją, że osoba otrzymująca wypowiedziane tym tonem polecenie bezwzględnie je wykonywała, niezależnie od treści. Razem z przydzielonym mi bliźniakiem na zmianę testowaliśmy na sobie tę umiejętność za pomocą ćwiczeń przedstawionych przez LRH w jego wytycznych. Każde z nas siedziało pod ścianą, wydając polecenie bliźniakowi, który następnie musiał je wykonać. Po każdym z poleceń zawsze następowała formuła „dziękuję”.

„Spójrz na ścianę, dziękuję”.

„Podejdź do ściany, dziękuję”.

„Dotknij ściany, dziękuję”.

„Odwróć się, dziękuję”.

Ciągnęło się to godzinami.

Celem kolejnego ćwiczenia było doskonalenie umiejętności kontrolowania osób, które audytowaliśmy. Jako audytorzy mieliśmy użyć wszelkich możliwych środków, by zapobiec



opuszczaniu sesji przed jej zakończeniem przez osoby na poziomie preclear. Naszym zadaniem było uniemożliwienie im wyjścia, póki nie dostaną pozwolenia; ćwiczenie to uczyło nas, jak tego dokonać przy użyciu zarówno siły fizycznej, jak i perswazji. Zawsze mi mówiono, że to najlepsza zabawa. Polecenia były te same co wcześniej: „Podejź do ściany, dziękuję”. Tym razem jednak bliźniak robił wszystko, żeby nie wykonać polecenia: uciekał, wyrwał się, krzyczał, nie chciał się ruszyć z miejsca i tym podobne. Trzeba było zmusić go siłą do wykonania komendy.

Podczas niektórych ćwiczeń moim bliźniakiem był przysadzisty kolega Buster. Ponieważ był duży, stanowiło to dla mnie tym większe wyzwanie. Podobnie jak wszystkie inne osoby poddane tej rutynie, jeśli chciałam, by mój bliźniak popatrzył na ścianę, musiałam na siłę otworzyć mu oczy i na siłę odwrócić jego głowę w odpowiednią stronę. Zmuszenie bliźniaka, by znalazł się przy ścianie, było najtrudniejszym z zadań, ponieważ trzeba go było ciągnąć, pchać, a nawet nieść. W dodatku przez cały czas byłeś poddawany TRBullbait, więc nie mogłeś się śmiać ani denerwować. Zaliczałeś ćwiczenie, jeśli byłeś w stanie zmusić swego bliźniaka do wykonania rozkazów bez względu na wszelkie przeszkody natury fizycznej i werbalnej.

Poza tym musieliśmy wrzeszczeć ile sił w płucach na popielniczki. Chodziło o ćwiczenie maksymalnie jasnego wyrażania własnych intencji, mające nam umożliwić poprowadzenie naszych przyszłych preclearów ku zwycięskiej konfrontacji z rzeczywistością.

Nie koniec na tym. Kierując nasze intencje ku poszczególnym częściom popielniczki, zadawaliśmy jej bardzo konkretne pytania. Ilekroć zadawałeś pytanie, oczekiwałeś na nie odpowiedzi, jak wówczas, gdy kierowałeś je do jakiegoś precleara w czasie sesji. Popielniczka musiała być kwadratowa, my zaś mieliśmy zadawać pytania każdemu z czterech jej rogów.

„Czy jesteś popielniczką?”

„Czy jesteś rogiem?”

„Czy jesteś ze szkła?”

Zasady, które usiłowaliśmy sobie przyswoić i zapamiętać jako audytorzy, były jednocześnie zasadami uniemożliwiającymi nam kwestionowanie sensowności tych groteskowych pytań. Wcześniej szkolono nas w zakresie stosowania się do instrukcji, teraz zaś uczyliśmy się, jak zmuszać innych do wykonywania naszych poleceń.

Gdy dziś na to patrzę, widzę, że wszystkie te zadania były niedorzeczne, wtedy jednak tak o tym nie myślałam. Staliśmy godzinami naprzeciwko swoich bliźniaków w sali pełnej innych bliźniaków, a każda para ćwiczyła inny element kursu. Jedni wrzaskiem nakazywali

swym bliźniakom, by podeszli do ściany, podczas gdy inne pary siedziały w milczeniu, patrząc sobie głęboko w oczy. W innej części sali ktoś wykrzykiwał zniewagi przewidziane w ramach -TRBullbait, podczas gdy pół metra dalej ktoś wykrzykiwał instrukcje, zwracając się do popielniczki.

Wszystkie te kursy miały sprawić, by audytorzy zyskali biegłość w zakresie komunikacji i nie rozpraszały się podczas sesji z preclearami, ale rezultat był taki, że wszyscy zaczęli się zachowywać jak roboty. Nasze odpowiedzi stały się mechaniczne, wszystko, co mówiliśmy, było niczym gotowy skrypt. Co więcej, same ćwiczenia skłaniały nas do tego, byśmy audytowanych przez siebie osób nie postrzegali jako obdarzonych uczuciami ludzi, lecz byśmy traktowali je jako umysły reaktywne, które należy nagiąć do woli audytora - dla ich własnego dobra. To ćwiczenie miało nas odhumanizować, a trenowanie na popielnicze temu właśnie służyło. Zwłaszcza komendy wydawane tonem 40 miały za zadanie sprawić, by ludzie wykonywali rozkazy bez szemrania.

W wypadku tych kursów często trudno było stwierdzić, na czym miałyby polegać nasze postępy. Czasami ciężko pracowałam, stosując się do instrukcji, i w efekcie tylko się frustrowałam, a innym razem osiągałam sukces. Niewiele było w tym logiki. Nawet jeśli coś przychodziło ci samo, i tak kazano ci powtarzać dane ćwiczenie tylko po to, byś przy nim spędził określoną ilość czasu. Miałam wrażenie, że w zasadzie wszystko jest uzależnione od kaprysu superwizora kursu, choć nie zastanawialiśmy się nad tym, dopóki pokonywaliśmy kolejne poziomy rutyn treningowych.

Trening był ciężką pracą, ale ponieważ funkcja audytora była zaszczytem, chciałam udowodnić, że mogę nim zostać. Wciąż słyszałam w głowie słowa ciotki Shelly, jakie to ważne być dobrym audytorem. Ciotka zawsze mi powtarzała, że najlepsi członkowie CMO są audytorami, a kiedy byłam we Flag, bez przerwy zachęcała mnie do rozpoczęcia odpowiedniego treningu. Widywałam się z nią co kilka miesięcy, gdy przyjeżdżała do miasta. Rozmawiała wtedy ze mną co najmniej godzinę. Radziła mi skończyć kurs, mówiąc, że mnie na to stać, i przypominając, że tylko audytorzy są w stanie nieść ludziom ratunek.

Kiedy nie chodziłam na zajęcia z audytowania, pracowałam po kilka godzin dziennie w dziale CMO odpowiedzialnym za nadzorowanie, by ludzie postępowali w sposób etyczny. Jego pracownicy mieli dużą władzę. Mogli pełnić funkcję kontrolerów i pilnowali, by nikt nie wyłamywał się z szeregu. Ponieważ odbywałam trening mający mnie przysposobić do takiej właśnie pracy w CMOInt, była to dla mnie dobra praktyka. Na szczęście nie musiałam wymierzać kar.

Moimi współpracownicami zostały Olivia i Julia, które poznałam już wcześniej za

pośrednictwem Valeski. Dzięki niej łączyły nas przyjacielskie stosunki, mimo że obie dziewczyny były starsze ode mnie o co najmniej trzy lata. Ucieszyła mnie wiadomość, że Olivia i Julia są w moim dziale CMO, bo teraz mogłam się z nimi spotykać bez jakichkolwiek obaw. Obydwie były naprawdę miłe i bardzo ładne. Najwyraźniej wywarły też wrażenie na stryju, który je awansował.

Jednym z moich obowiązków było przekazywanie Olivii i Julii - obie pracowały jako swego rodzaju cenzorki - listów napływających od krewnych ludzi z CMO. W CMO wydawano nam formularz, który musieliśmy podpisać, wyrażając zgodę na otwieranie i sprawdzanie poczty. Każdy list musiał zostać przeczytany, zanim go oddano w ręce adresata. Jeśli pobrzmiewał w nim jakikolwiek ton niechęci wobec scjentologii, konfiskowano go.

Mimo że mój trening w zakresie audytowania przebiegał coraz sprawniej, gnębiło mnie, że nie dopełniałam wszystkich warunków niezbędnych, by móc stać się kursantem w Sea Org. Choć zaraz po zjawieniu się we Flag w rozmowie z Tomem wspomniałam o tym, że nie przeszłam przez obóz dla rekrutów Sea Org (zwany EPF), Tom powiedział, żebym się tym nie martwiła. Próbowałam przestać o tym myśleć, ale czułam się jak kadet podszywiający się pod członka Sea Org, tymczasem chciałam być prawdziwym członkiem tej formacji.

Przygnębiona wysłałam list do ciotki Shelly. Napisałam, że nie mam za sobą EPF, a myślę, że powinnam. Mniej więcej po upływie tygodnia wezwano mnie do biura pana Sue Gentry, szefowej przedstawicieli RTC we Flag. Gdy się tam zjawiłam, pan Gentry wręczyła mi list od ciotki Shelly. Ciotka robiła mi wymówki, że nie chcę przejść przez obóz treningowy EPF; pisała, że każdy powinien to zrobić, nawet ludzie z kierownictwa, i że nie powinnam być wyjątkiem. Najwyraźniej źle zrozumiała mój list i uznała, że próbuję się wykpić od obowiązku, nie zaś że właśnie usiłuję go wypełnić.

Widocznie ciotka Shelly poinstruowała pana Gentry, by nie pozostawiła mojej skargi bez echa, więc ta zakomunikowała mi, że czeka mnie małe sprzątanie. Już zaczęłam się denerwować, gdy do pokoju wszedł inny przedstawiciel RTC, niejaki pan Wilson, informując mnie, że zaraz odbędziemy sesję.

Rozpoczął od dwóch standardowych pytań: czy jestem zmęczona i czy nie jestem głodna. Byłam przygotowana na to, że dalej nastąpi to, co zawsze, czyli wypowiedziane tonem 40 hasło: „To jest sesja!”. Tymczasem usłyszałam, jak pan Wilson mówi: „Nie audytuję cię!”. Żołądek podszedł mi do gardła. Te słowa oznaczały, że nie chodzi o audyt, lecz o przesłuchanie. Innymi słowy, miałam coś wyznać. W przeciwieństwie do sesji audytowania wyznania takie nie miały charakteru poufnego i mogły zostać wykorzystane w ramach postępowania dyscyplinarnego.

Moja spowiedź ciągnęła się kilka tygodni. Wypytywano mnie o wszystko, poczynawszy od pytania, czy czegoś nie ukradłam, poprzez badanie, czy nie dopuściłam się jakiegoś nieetycznego czynu będącego wykroczeniem przeciw drugiej dynamice, skończywszy na kwestii, czy nie popełniłam czegoś, co chciałabym zataić przed rodzicami. Procedura śledcza opierała się na obserwacji zachowania wskaźnika na podziałce Emetru. Jeśli wskazówka Emetru nie poruszała się swobodnie, mój audytor zadawał to samo pytanie, ale w nieco innej formie, dopóki z zachowania wskaźnika nie odczytał jednoznacznej odpowiedzi - negatywnej lub pozytywnej. Taka odpowiedź zawsze była czymś rozstrzygającym. Gdy Emetr wskazywał odpowiedź twierdzącą, nic nie mogło jej zmienić, nawet jeśli ty sam mówiłeś coś wręcz odwrotnego. Jeśli wynik na Emetrze był niejednoznaczny, oznaczało to, że nie powiedziałeś wszystkiego. Co się tyczy każdego z ujawnionych wykroczeń, musiałeś powiedzieć, kiedy i gdzie do niego doszło, szczegółowo je opisać, usprawiedliwić i jeszcze powiedzieć, kto był bliski jego wykrycia. Podobnie jak sesje audytowania każde przesłuchanie kończyło się wizytą u egzaminatora. Jeśli wskaźnik Emetru nie poruszał się swobodnie, musiałeś znów odbyć sesję, by można było stwierdzić, co zostało pominięte.

Tym, co czyniło tę procedurę szczególnie uciążliwą, była nie intensywność samego przesłuchania, lecz nieustępliwość, jaką zawsze wykazywali przesłuchujący. Nigdy nie było tak, że po zadaniu jakiegoś pytania już do niego nie wracali, wręcz przeciwnie - zadawali je raz po raz, ciebie zaś przy każdym pytaniu dręczył strach, że wskazówka na podziałce Emetru zakwestionuje twoje słowa. Przesłuchujący byli niczym detektywi badający sprawę morderstwa i gdy tylko wskazówka pokazała wynik, na który czekali, oznaczało to, że jesteś winny.

Śledztwo samo w sobie było już stresujące, jego faktyczny wpływ na ciebie sięgał jednak głębszych pokładów psychiki i był czymś jeszcze bardziej niepokojącym. Pod wpływem wciąż ponawianych pytań zaczynałeś w sobie wątpić w trudny do wyjaśnienia sposób, zwłaszcza wtedy, gdy wskazówka Emetru pokazywała, że znasz odpowiedź na właśnie zadane pytanie. Z początku znałeś tę odpowiedź, gdy jednak dane pytanie zaczynało zadawać raz po raz, z rosnącą intensywnością, nagle ogarniały cię wątpliwości. Wyznania te dotyczyły rzeczy, co do których miałaś pewność, że nigdy się nie wydarzyły, a jednak słysząc wciąż ponawiane pytanie, zaczynałeś wątpić w prawdziwość własnej odpowiedzi. Może jednak dopuściłeś się tego czy owego w jakimś równoległym wszechświecie i jakoś ci to umknęło... Może rzeczywiście masz coś do ukrycia...

Każdemu pytaniu towarzyszył swoisty konflikt interesów: jeśli przyznawałeś się do jakiegoś przewinienia, czekała cię kara, jeśli jednak powiedziałeś prawdę, a Emetr ją

zakwestionował, to samo pytanie powtarzano w kółko, póki nie udzielisz pożądanej odpowiedzi. Wiele razy kończyłam sesję, przyznawszy się do przewinień, których nie popełniłam - tylko dlatego, że był to jedyny sposób na zakończenie sesji. Przeważnie jednak tylko się modliłam, by wskazówka Emetru swobodnie się poruszała.

Kiedy pan Wilson wreszcie skończył, przystąpił do spisywania specjalnego raportu zawierającego wszystko, co wyszło na jaw w trakcie sesji z moim udziałem. Następnie przekazał go do wydziału etyki, ja zaś musiałam ustosunkować się do każdej z moich przewin i dowieść, że biorę za nie odpowiedzialność, podejmując działania naprawcze lub odbywając stosowną pokutę. Na koniec pan Gentry poinformowała mnie, że nazajutrz zaczynam trening Sea Org EPF.

Każdy odbywał trening EPF we własnym tempie. Niektórym zajmowało to dwa lub trzy tygodnie, inni mogli realizować ten program miesiącami. Wszystko zależało od tego, ile czasu zajmowało danej osobie przebrnięcie przez historię swego życia, rozmaite przesłuchania i wymagane kursy. Wszystkie one miały związek z życiorysem, osobowością i postawą danego członka Sea Org. Były to kursy w rodzaju „Witamy w Sea Org”, „Wstęp do scjentologicznej etyki”, „Przysposobienie do scjentologii”, „Podstawowe cele członka Sea Org”. Słuchaliśmy rozmaitych taśm z nagraniami LRH, poznawaliśmy obowiązujący nas kodeks i zapoznaliśmy się z naszym celem: „Podstawowym celem Sea Org jest uetycznienie tej planety i całego wszechświata”.

W ramach EPF umieszczono mnie we wspólnej sypialni w Hacienda wraz z dwunastoma innymi dziewczynami, które również dołączały do Sea Org. Każdego ranka budziłyśmy się o świcie, wkładałyśmy niebieskie szorty, niebieskie Tshirty i buty i przystępowałyśmy do musztry. Nie miałam z tym wszystkim problemu, bo do podobnych rzeczy przywykłam na Ranczu.

Następnie jechałyśmy autobusem do bazy we Flag. Tam sprzątałyśmy restauracje i pokoje hotelowe w Fort Harrison, a także Hubbard Guidance Center, gdzie audytowano szeregowych scjentologów. Na zjedzenie śniadania miałyśmy kwadrans, po czym musiałyśmy dojechać autobusem do bazy i uprzątnąć całą jadalnię, w której zakończyły posiłek setki osób: kadra i zwykli scjentolodzy. Po wykonaniu zadania miałyśmy czas na naukę, potem zaś musiałyśmy wyczyścić wszystkie wymagające tego pomieszczenia użytkowe, od klatki schodowej po podłogi kambuza.

Razem ze mną trening EPF odbywało około dwudziestu innych osób, z których żadna nie miała więcej niż osiemnaście lat. Był tam jeden dziewięcioletni chłopiec. Przyjechał do Flag z matką, by wstąpić tutaj na służbę. Ostatecznie został rekrutem Sea Org, podobnie jak

wszyscy inni odbywający szkolenie EPF. Rekrutacja zawsze szła pełną parą - co tydzień pojawiała się co najmniej jedna osoba.

Nasz przełożony Dave Englehart pełnił funkcję instruktora musztry. Od dawna był członkiem Sea Org i współpracował jeszcze z samym LRH. Słynął z twardej ręki i bezwzględności graniczącej z szaleństwem, a komendy egzekwował bez taryfy ulgowej. Zabierał nas na łódź, by przybliżyć nam, czym jest przynależność do Sea Org, choć zamiast uczyć nas żeglowania, wykrzykiwał jakieś przypadkowe komendy, a potem wściekał się, że nie potrafimy sterować łodzią. Podczas inspekcji umundurowania głośno węszył i mówił: „Ktoś tu cuchnie!”. Wszyscy byliśmy przestraszeni, a wtedy on wściekle ryczał: „Co to za smród?”. Któregoś razu rzucił się na ziemię, chwycił za nogę pewnego Rosjanina i powalił go na ziemię. „To ty, ty cholerna świni! - wściekał się. - Idź umyć te swoje cholerne nogi i nigdy więcej nie wracaj na musztrę, śmierdząc jak gówno!”

Choć miałam tylko trzynaście lat, musiałam wypełnić formularz zatytułowany „Życiorys”, który zawierał mnóstwo osobistych pytań. Wiele z nich było skierowanych do dorosłej osoby. Pytano o imię, nazwisko, miejsce urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego, inne numery identyfikacyjne, karty kredytowe i konta bankowe, pytano też o ich numery i daty ważności. Musiałam również podać imiona i nazwiska wszystkich swoich krewnych, przedstawić ich zapatrywania na scjentologię i napisać, czy kiedykolwiek mieli powiązania z kimś, kto krytycznie wypowiadał się o Kościele. Musiałam wymienić ukończone kursy scjentologiczne oraz przebyte sesje audytowania, napisać, czy kiedykolwiek popełniłam jakieś przestępstwo i czy odbywałam karę więzienia oraz czy kiedykolwiek byłam członkiem rządu albo jakiejś rządowej instytucji wywiadowczej. Miałam również wymienić ze szczegółami wszystkie swoje doświadczenia seksualne, łącznie z masturbacją, a także wpisać, czy zdarzyło mi się angażować w cokolwiek, co miało podłoże homoseksualne, musiałam wymienić wszystkie leki, które kiedykolwiek zażywałam, oraz wszystkie pobyty w szpitalu. Pytania dotyczyły także zażywania substancji nielegalnych oraz nadużywania leków, a wszystko to trzeba było podać z dokładnymi datami.

Wiedziałam, że muszę wypełnić kwestionariusz, nie mogłam jednak zrozumieć, po co Kościołowi te wszystkie informacje. Wyznanie wszystkiego wydawało mi się sensowne, tym razem jednak nie była to standardowa procedura śledcza, a poza tym jaki związek miały nazwiska moich krewnych z tym, czy nadaję się na członka Sea Org? Byłam za młoda, by mieć kartę kredytową, ale i tak zastanowiło mnie, po co Kościołowi taka informacja. Choć nie miałam nic do ukrycia, czułam, że Kościół domaga się takich danych jedynie po to, by w razie potrzeby dysponować materiałem, którym mógłby mnie szantażować i którego

posiadanie nie służy żadnym celom o charakterze scjentologicznym. Czułam się, jakbym oddawała im część siebie. Ale i tak, rzecz jasna, zrobiłam, czego ode mnie żądano, mówiąc sobie, że skoro nie mam nic do ukrycia, nie powinnam się niczego obawiać.

Ukończywszy szkolenie EPF Sea Org, musiałam odbyć EPF poprzedzające wstąpienie do CMO. Dano mi uniform składający się z pary ciemnobłękitnych spodni i białej koszulki polo. Mój dzień zaczynał się wczesnym rankiem, kiedy jechałam autobusem do WB, żeby posprzątać w biurach zarządu. Musieliśmy stosować się do podstawowej rutyny porządkowej dotyczącej sprzątania pokoju, ustalonej przez LRH. Było to naprawdę bardzo gruntowne sprzątanie. Nasza poranna edukacja obejmowała mnóstwo podstawowych kursów, takich jak „Klucze do kompetencji”, „Podstawy sprzątania”, „Podstawy komputera” oraz „Podstawowe cele członka CMO”.

W ramach tego EPF czekało nas wiele sprzątania. Sprzątaliśmy w kajutach szefostwa CMO oraz przedstawicieli RTC, a musieliśmy robić to idealnie. Ścieliliśmy im łóżka, zmienialiśmy prześcieradła i przynosiliśmy przekąski, najczęściej owoce, ser i krakersy. Sprzątaliśmy nawet samochody, jeśli nas o to poprosili. Potem zaś, ściśle przestrzegając określonej procedury, praliśmy ich rzeczy. Musieliśmy wykrochmalić ubranie i je odprasować. Nie mogliśmy też zostawić jakichkolwiek zmarszczek wzdłuż szwów. Musieliśmy prasować na parze ich spodnie i czyścić ich buty, tak by można je było w każdej chwili włożyć. Wszystkie rzeczy przed umieszczeniem ich w szufladach były pieczołowicie składane. Aby zakończyć nasze CMO EPF, musieliśmy zdać egzamin zarówno ze sprzątania, jak i z prania. Członkowie kadry kierowniczej dostawali kartki do głosowania i oceniali umiejętności, jakie każdy z nas prezentował w zakresie porządków domowych oraz prania.

W pralni znajdowało się około dwudziestu pralek i suszarek na ubrania ponad tysiąca członków załogi bazy we Flag. Dwie pralki i suszarki były przeznaczone na ubrania kierownictwa i nikt inny nie miał do nich dostępu, nawet jeśli nie były używane. Personel mógł prać swoje rzeczy tylko w piątek wieczorem i w sobotę rano, co oznaczało, że zawsze ustawiały się do prania długie kolejki, a wiele osób wstawało po czwartej rano, żeby w ogóle móc skorzystać z jakiejś maszyny. Szefostwo miało tyle ubrań, ile chciało, jednak członek zwykłego personelu miał przydzieloną jedną czy dwie koszule, więc codziennie musiał je własnoręcznie prać i prasować.

Wraz z moją przyjaciółką Luisą wykonywałyśmy często zadania wspólnie z naszym małym znajomym Charliem, dziewięcioletnim chłopcem, który odbywał z nami CMO EPF. Charlie był wciąż wpadającym w tarapaty psotnikiem, który wymagał stałego nadzoru. Miał niesamowitą zdolność „sprzątania” kajuty w taki sposób, że choć wcześniej wydawała się

względnie czysta, potem wyglądała tak, jakby przeszło przez nią tornado. Pewnego razu wszyscy troje mieliśmy kłopoty, bo zamiast umyć naczynia, co było jego zadaniem, Charlie wpakował je wszystkie do piekarnika, gdzie przeleżały kilka dni, zanim znalazł je ktoś z kierownictwa. I mimo że schował je nasz nieobliczalny dziewięcioletni przyjaciel, oberwało się wszystkim.

Choć Charlie był niemożliwy, dopiero teraz, patrząc w przeszłość, widzę, że był to po prostu zaniedbany dzieciak. Często jego wybryki były wyrazem zagubienia. Włosy miał zawsze nieuczesane. Nigdy nie czyścił sobie ubrań i przypuszczalnie nie wiedziałby, jak to zrobić, więc jego uniform był cały poplamiony. Pewnego dnia Charlie dostał polecenie wyczyszczenia swojej koszuli. Pięć minut później zastałyśmy go w łazience. Usiłował wypłukać koszulę w toalecie.

Choć pewnie był zagubiony, łatwo można było wpaść w irytację przez jego dziwaczne zachowanie. Obie z Luisą byłyśmy karane z jego powodu. Jeśli jednak chodzi o mnie, to Charlie budził we mnie raczej zaciekawienie niż irytację. Wtedy sobie tego nie uświadamiałam, ale był pierwszym znanym mi dzieckiem, które zachowywało się jak dziecko. Na Ranczu nie było takich dzieci - te, które tam mieszkały, były zbyt zajęte upodobnianiem się do małych dorosłych. Dzięki Charliemu dowiedziałam się, jak zachowuje się dziecko w tym wieku. Wydawał mi się kimś zupełnie nietypowym, jak gdyby jego mózg pracował w nieznanym mi sposób, nie stosując się ani do wymogów logiki, ani do instrukcji naszej organizacji. Nigdy wcześniej nie spotkałam równie impulsywnego dziecka. Dopiero teraz widzę, że to nie on był dziwny. Dziwne było to, że oczekiwałam, że będzie wypełniał polecenia.



## Rozdział siedemnasty

### Problemy rodzinne

W ciągu kilku miesięcy skończyłam obydwie treningi EPF i wróciłam do wcześniejszego trybu życia. Przez pięć godzin się uczyłam, a resztę dnia wypełniała mi praca wykonywana razem z Julią i Olivią. Jednak w miarę normowania się mojej sytuacji w CMO po raz kolejny zaczęły mi komplikować życie problemy rodzinne.

Zacząło się od kłopotów z bratem. Któregoś dnia w czasie lunchu moja przyjaciółka Jessica, z którą zbliżyliśmy się nieco w ciągu pierwszych dni mojego pobytu na Ranczu, powiedziała, że niedawno widziała mojego brata w Hacienda. Odparłam, że to niemożliwe, bo Justin jest w Kalifornii w Int Base, i że musiała go z kimś pomylić. Jessica stwierdziła, że jest całkowicie pewna tego, co mówi, i że Justin przechodzi RPF. Najwyraźniej złamał jakieś zasady, podobnie jak nasza mama, za co otrzymał najcięższą karę przewidzianą w Kościele.

Odbywający RPF sypiali, jedli i pracowali w izolacji od pozostałych członków personelu, ale i tak od czasu do czasu widywaliśmy ich, gdy wykonywali prace na terenie bazy. Rzecz jasna zawsze poruszali się biegiem. Przebywali w Hacienda w osobnych kwaterach.

Nie mogłam uwierzyć, że Justin odbywa RPF. Nie widziałam go, odkąd w czerwcu 1996 wyjechałam z Kalifornii do Flag. Nie miałam pojęcia, że ma kłopoty. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Tego samego popołudnia przyszedł do mnie pan Wilson. Zamknął drzwi. Powiedziano mu, że dopytywałam się o Justina.

- A więc słyszałaś już o bracie? - zapytał. - No cóż, to prawda: jest na RPF. Niewiele więcej mogę ci powiedzieć.

Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Już dwoje członków mojej rodziny odbywało RPF. Zapewne w oczach ludzi Kościoła staliśmy się rodziną kryminalistów, ja jednak myślałam tylko o tym, że moja rodzina się rozpada.

- Dlaczego płaczesz? - spytał pan Wilson.

Próbowałam znaleźć jakieś rozsądne wyjaśnienie wykraczające poza same emocje, ale nie byłam w stanie wymyślić niczego logicznego i przekonującego.

- To jest Sea Org i taka jest naturalna kolej rzeczy - ciągnął beznamiętnie pan Wilson.  
- Ja nie widziałem swojej siostry od lat. Odbywała szkolenie w RTC. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. A żony nie widziałem od roku i nie mam pojęcia, co się z nią dzieje. Nie ma co

płakać.

- Tak, sir - powiedziałam, próbując zapanować nad emocjami.

Nazajutrz dostałam od ciotki Shelly list, w którym wyjaśniała mi, że wysyłają Justina do Flag na RPF, i z góry przepraszała, jeśli się o tym dowiem przed otrzymaniem jej listu. Wyglądało na to, że jest jej przykro, że to właśnie ona musi mnie powiadomić o tym, że Justin wraz z moją przyjaciółką Evą najwyraźniej dopuścili się wykroczenia przeciwko drugiej dynamice. Ponadto zdarzyło mu się raz „zwiąć” z Int Base. Ciotka prosiła, bym nie była dla niego zbyt surowa, bo już i tak wiele przeszedł.

Dzięki temu, że Justin przebywał we Flag na karnym RPF, zaczęłam go widywać. Przy okazji mogłam ukradkiem go uściskać i zamienić z nim parę słów. Czasami posyłał mi listę rzeczy, których potrzebował - a prosił na przykład o szampon - ja zaś starałam się je dla niego zdobyć. Płacono mu zaledwie piętnaście dolarów tygodniowo, więc nie bardzo mógł sobie pozwolić na swój ulubiony szampon Aveda, dlatego dokładałam mu coś niecoś z mojej dwudziestopięciodolarowej tygodniówki, by mógł go sobie kupić. Jednak ja również musiałam oszczędzać. Po siedemnastej nie wydawano już posiłków, a o dwudziestej drugiej trzydziści, po powrocie do domu, padałam z głodu, więc zawsze kupowałam sobie w kantynie płatki Frosted Flakes, co stanowiło dodatkowy wydatek.

Pocztą pantoflową dowiedziałam się, że w ramach RPF mój brat przechodzi terapię oczyszczającą, polegającą na tym, że intensywna kąpiel w saunie miała usunąć resztki toksyn i trucizn pochodzących z substancji chemicznych lub leków. Podstawowa rutyna to przyjęcie zestawu witamin i minerałów, trzydziestominutowy bieg i pięciogodzinny pobyt w saunie w temperaturze 70 stopni Celsjusza. Był to pierwszy krok na moście ku całkowitej wolności.

Podobno widywano Justina wczesnym rankiem w miejscu, gdzie odbywała się terapia, ja zaś, by móc widywać go częściej, również postanowiłam przejść terapię oczyszczającą, choć już wcześniej poddałam się jej podczas pobytu w Int Base, gdy miałam dziewięć lat. Musieliśmy wtedy zażyć ogromną (kilka tysięcy miligramów) dawkę niacyny, co miało pomóc w usunięciu toksyn z organizmu. Następnie musieliśmy połączyć garść witamin i minerałów mających zastąpić te, które zostały wypocone. W wieku dziewięciu lat nie lubiłam, rzecz jasna, połykać tabletek, więc udawałam, że to robię, a lekarstwa ukryłam w torebce. Potem kazano nam wypić ćwierć kubka oleju roślinnego, bo to pomagało nabrać dobrego tłuszczu i usuwało tłuszcz zły, będący zazwyczaj siedliskiem toksyn. Olej był czymś absolutnie odrażający - krztusiłam się, usiłując go przełknąć. W końcu piliśmy witaminy calmag, ale do tego byłam przyzwyczajona.

Zanim udaliśmy się do sauny, musieliśmy biegać przez trzydzieści minut, by niacyna

zaczęła krążyć razem z krwią. Trzydzieści minut to było dla mnie trochę za wiele, więc skończyło się na tym, że przez większość tego czasu chodziłam. Ale i tak dostałam rumieńców wywołanych przez niacynę - była to nieprzyjemna, piekąca wysypka. Potem spędzałam godzinę w saunie. Przebywałam tam ze starszymi mężczyznami, którzy ociekali potem, ale ja, ponieważ byłam mała, prawie wcale się nie pociałam. Ilekroć na dłużej niż kilka minut wychodziłam z sauny, żeby się ochłodzić, członkowie personelu kazali mi wracać, mówiąc, że mam za dużo przerw. Terapia oczyszczająca ciągnęła się w ten sposób przez kilka tygodni, w końcu zaś byłam gotowa, by ją zakończyć. Moje ciało nie było przyzwyczajone do tak wysokich temperatur.

Terapia oczyszczająca była udręką, ale w czasie pięciogodzinnego pobytu w saunie można było pogadać z innymi, poczytać ulubioną książkę, a nawet pograć w gry planszowe, co stanowiło znacznie lepszą rozrywkę niż uczestniczenie w kursie. No i dzięki temu zyskiwałam możliwość spotkania się z bratem.

Długo przekonywałam superwizora, że powinnam trafić na terapię oczyszczającą. Przyznałam się, że odbywając ją na Ranczu, nie zażyłam większości witamin. Wspomniałam też, że nie jestem pewna, czy rzeczywiście doświadczyłam fenomenu krańcowego, i powiedziałam, że potem puściła mi się krew z nosa, co raczej nie świadczyło o skuteczności wcześniejszego oczyszczania. Usłyszawszy to wszystko, mój superwizor zgodził się i niemal natychmiast zaczęłam terapię.

Niestety nic z mojego planu nie wyszło. Domagałam się terapii wyłącznie po to, żeby widywać się z Justinem, a po kilku dniach stwierdziłam, że osoby odbywające RPF przechodzą terapię oczyszczania nocą. Pomysł nie wypalił, a w saunie jak zwykle okazało się dla mnie za gorąco. Robiłam mnóstwo przerw albo leżałam na podłodze, gdzie było nieco chłodniej. Najgorszą częścią terapii był trzydziestominutowy bieg przed pójściem do sauny. Na szczęście w tym samym czasie terapię oczyszczającą odbywała Lisa Marie Presley, więc często czas moich ćwiczeń był skracany. Gdy Presley przebywała w sali gimnastycznej, nikt nie miał tam wstępu. Ćwiczyła na ruchomej bieżni, słuchając Madonny.

Choć nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety, podobnie jak większość scjentologów wiedziałam, że Presley jest scjentolożką. Uczestniczyła w wielu imprezach promocyjnych, zaś niektóre spośród jej scjentologicznych projektów reklamowano na zgromadzeniach Kościoła. W Celebrity Centre wydawano nawet czasopismo, w którym publikowano relacje na temat scjentologicznych sukcesów celebrytów, a także składane przez nich świadectwa własnej wiary. Każdy celebryta miał kryptonim, którego używano w jego kartotece precleara w celu ochrony prywatności. Lisa Marie nosiła kryptonim „Norma” albo

„Norma Darling”. Podejrzewałam, że gwiazdy wymyślały sobie imiona, żeby nikt nie mógł ich szpiegować - albo też na wypadek, gdyby ich teczki trafiły w niepowołane ręce.

W czasie terapii oczyszczającej Lisa Marie przebywała w saunie sama, choć w drugim pomieszczeniu było nas w tym czasie pięcioro czy sześcioro. Czasami widywałam ją w szatni albo przelotnie na korytarzu. Była nieśmiała, ale miła. Zauważyła gdzieś moje nazwisko i spytała, czy jestem krewną Davida Miscavige’a, więc powiedziałam, że jestem jego bratanicą. Od tej chwili zawsze mnie pozdrowiała, gdy się mijaliśmy.

Któregoś popołudnia, gdy wyszłam z sauny, podeszła do mnie Anne Rathbun, będąca w tym czasie głównym przedstawicielem RTC. Powiedziała, że mój brat chce opuścić Sea Org i że chciałaby, żebym pomogła odwieść go od tego zamiaru. Zgodziłam się na spotkanie z Justinem w biurze ochrony znajdującym się w garażu hotelu Fort Harrison. Te niewielkie pomieszczenia biura były wyposażone w kamery. Jedna z nich rejestrowała naszą rozmowę.

Od samego początku czułam się dziwnie. Próbowałam przekonać Justina, żeby nie odchodził, ale mając świadomość, że jesteśmy nagrywani, czułam się nieswojo. Nie rozmawiałam z bratem od prawie dwóch lat i chciałam z nim pobyć sam na sam. Jednak ani w pomieszczeniu biura ochrony, ani nawet wtedy, gdy już z niego wyszliśmy, Justin nie chciał nic mówić na temat Sea Org. Równie dobrze jak ja wiedział, że jesteśmy filmowani. Zorientowałam się, że jest naprawdę zmartwiony, bo zawsze ze wszystkiego kpił, a teraz tego nie robił.

Nie wiedziałam też, co mam myśleć o tym, że nagle zaczął używać nazwiska Justin Tompkins zamiast Justin Miscavige. Odkąd tata poślubił mamę - Justin miał wtedy dwa lata - mój brat używał nazwiska Miscavige. Spytałam pana Rathbun, czy wie coś na ten temat, i usłyszałam, że to przez wzgląd na PR: nie chciano, by rozeszła się wiadomość, że jakiś Miscavige opuszcza Sea Org albo odbywa RPF. Pan Rathbun powiedziała, że nie wolno mi z nikim rozmawiać o położeniu Justina.

Sytuacja się pogorszyła, gdy od przedstawiciela RTC, pana Rodriguez, która audytowała mojego brata, dowiedziałam się, że -Justin został sklasyfikowany jako rock slammer z listy pierwszej. Gdy Justin odbywał sesję i mówił o scjentologii, wskazówka na Emetrze wykonywała szaleńczy taniec, poruszając się gwałtownie tam i z powrotem, jakby uderzała o skały. Oznaczało to, że audytowany ma nieczyste zamiary związane z tym, o czym w danej chwili mówi. W wypadku mojego brata owe nieczyste intencje miały związek z samą scjentologią. LRH powiedział, że rock slammerzy z listy pierwszej nie uczynili niczego wartościowego w całej swej przeszłości, w ciągu swych dotychczasowych wcieleń, a tylko szkodzili innym. Pan Rodriguez pokazała mi wytyczne LRH dotyczące postępowania z takimi

ludźmi. Jednego z moich przyjaciół oddelegowano na RPF tylko dlatego, że znalazł się na tej liście. Gdy powiedziałam panu Rodriguez, że nie wierzę, by mój brat również był rock slammerem, usłyszałam, że potwierdziło to nagranie wideo pochodzące z jednej z sesji.

Gdy po raz kolejny zobaczyłam brata, wydawał się naprawdę zraniony zakwalifikowaniem go do rock slammerów z listy pierwszej. Usiłowałam go pocieszyć, zapewniając, że ja w to nie wierzę. Było jednak jasne, że niczego nie osiągnę, próbując mu wyperswadować zamiar odejścia. W końcu pan Rathbun powiedziała, że nie chce, bym dłużej rozmawiała z Justinem, bo to do niczego nie prowadzi, a w dodatku jest sprzeczne z procedurami opuszczania organizacji, zabraniającymi personelowi rozmów na temat porzucania przez kogokolwiek Sea Org czy scjentologii.

Choć byłam rozczarowana tym, że nie mogę pomóc ani Justinowi, ani Kościołowi, do pewnego stopnia zaczynałam rozumieć, że wszystko to może się dziać nie bez powodu. Nigdy się nikomu z tego nie zwierzyłam, ale stopniowo zaczynało do mnie docierać, że być może Justin, chcąc być szczęśliwym, powinien opuścić organizację, czego najwyraźniej pragnął już od dawna. Aż do tej chwili tak naprawdę się nie zastanawiałam, co dla niego byłoby najlepsze. Myślałam tylko o tym, co będzie najlepsze dla Kościoła. Słuchając jednak racji i argumentów brata, stopniowo zaczęłam rozumieć, dlaczego rozważa odejście.

Kilka tygodni później któregoś popołudnia wywołano mnie z sauny i kazano mi się natychmiast udać do budynku WB. Z początku protestowałam, bo nie wolno było przerywać pięciogodzinnego treningu. Powiedziano mi jednak, że nie mam wyboru, bo chce się ze mną widzieć jakaś ważna osoba. Włożyłam uniform i wsiadłam do jednej z jadących tam półciężarówek.

Nie byłam pewna, czy powinnam być zmartwiona, czy podekscytowana. Gdy dotarłam już do WB, skierowano mnie do pomieszczenia do audytowania znajdującego się na piętrze, w końcu korytarza. Ku mojemu zaskoczeniu do pokoju wszedł sam Marty Rathbun, inspektor generalny RTC. Była to druga w hierarchii ważności osoba w Kościele scjentologicznym. Rathbun był jednym z tych kilku pracujących z moim stryjem i należących do ścisłego kierownictwa ludzi, których nigdy tak naprawdę nie poznałam, więc nie wiedziałam, czego mam się spodziewać.

- Cześć, Jenno - powiedział. Błysnąwszy zębami w uśmiechu, przedstawił mi się. - Czy w ciągu minionego roku słyszałaś coś na temat swojej mamy?

- Nie, sir - odparłam zgodnie z prawdą.

Nie miałam pojęcia, czy matka robi postępy. Nie dostawałam w tej sprawie żadnych telefonów, listów ani jakichkolwiek informacji - nawet od ojca. Tata pisał do mnie kilka razy

w tygodniu, ale nigdy nie wspominał o matce. Bardzo nalegał, żebym do niego dzwoniła. Przesłał mi nawet kartę telefoniczną, ponieważ nie mogłam dzwonić z telefonów należących do organizacji. Kiedy pytałam o matkę, zawsze mówił, że nic mu o niej nie wiadomo, ale sądzi, że realizuje swój program. Pan Rathbun miał teraz dla mnie więcej wiadomości. I były to niestety same złe wieści.

- Twoja mama zostanie uznana za osobę antyspołeczną - oznajmił beznamiętnie. - Chce opuścić Sea Org. Kilka razy wyjechała bez pozwolenia, nadal nie słucha poleceń, a ostatnio zaczęła rzucać pod adresem Kościoła różne nedorzeczne oskarżenia. Zrobiłem wszystko, co w mej mocy, ale najprawdopodobniej pozwolimy jej odejść. - Po krótkiej przerwie ciągnął dalej: - Zanim jednak twoja matka odejdzie, chciałbym, żebyś ją odwiedziła, tak by nie mogła złożyć przeciw Kościołowi pozwu, jakobyśmy jej zabraniali zobaczyć się z córką.

No i stało się. Siedziałam z kamienną twarzą, ale czułam, że mój świat obraca się w gruzy. Już sama myśl o tym, że matka mnie zostawia, była przytłaczająca, a zważywszy na to, że niedawno dowiedziałam się o możliwym odejściu Justina, byłam załamana. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś z mojej rodziny zostanie uznany za osobę antyspołeczną, a przecież stałam w obliczu takiej właśnie ewentualności, osaczona niejako z dwóch stron. Wizja, że moja i tak już dotknięta kryzysem rodzina nagle się rozpadnie, zupełnie mnie załamała. Udało mi się jednak zapanować nad emocjami.

- Panie Rathbun, jestem całkiem pewna, że jeśli się z nią spotkam, zdołam ją skłonić, żeby została.

Nie było to coś, czego bym pragnęła, wiedziałam jednak, że to mój obowiązek i że muszę podjąć taką próbę. Usłyszawszy relację pana Rathbuna, pomyślałam, że być może moja wcześniejsza decyzja, by nie rozmawiać z mamą, w jakiś sposób przyczyniła się do tego, że zapragnęła porzucić organizację - zwłaszcza od momentu, gdy bezskutecznie prosiła mnie o moje zdjęcia. Nie chciałam odgrywać roli sędziego, nigdy też nie chciałam w tym wszystkim uczestniczyć, jednak szczerze mówiąc, wyobrażałam sobie, że jestem w stanie ją powstrzymać. A jeśli rzeczywiście miała zamiar opuścić Kościół, chciałam się z nią zobaczyć, nim będzie za późno.

- Naprawdę? - zapytał pan Rathbun, jakby też rozważał taką ewentualność. - A więc zobaczmy, jak się sprawy potoczą.

Potem powiedział, że jeszcze tej nocy polecimy razem do L.A. Mieliśmy podróżować pierwszą klasą, a towarzyszyć nam miał inny członek ścisłego zarządu, Ray Mithoff. Trudno mi było uwierzyć, że ledwie sięgając stopami do podłogi, siedzę w pierwszej klasie obok tych

dwóch przedstawicieli zarządu Kościoła. Zsunęłam się nieco w dół na szerokim, miękkim fotelu, stawiając stopy na wykładzinie i myśląc o tym, że jeszcze przed kilkoma godzinami odbywałam trening we Flag, a teraz jestem w samolocie lecącym na drugi koniec kraju, by spotkać się z mamą. Naprawdę miałam nadzieję, że zdołam wypełnić swoją obietnicę, i denerwowałam się na myśl o tym, co wkrótce się stanie. Niepokoiły mnie zobowiązania, które wzięłam na siebie w związku ze swoją rodziną, a także myśl o konsekwencjach, jeśli zawiodę. Miałam tylko czternaście lat, a musiałam prowadzić negocjacje z bratem, by nie odchodził, odpisywać tacie na listy, w których - zwłaszcza pod nieobecność mamy - pobrzmiwał nagły ton, a teraz leciałam do Kalifornii, by skłonić matkę do pozostania w Kościele.

Gdy samolot wylądował, pojechaliśmy we troje do Int Base, gdzie miałam spotkać się z mamą. Pan Rathbun kazał mi czekać w jednym z pokoi w budynku 36, podczas gdy sam poszedł coś załatwić. Wrócił po mniej więcej trzydziestu minutach.

- Czeka na ciebie w sąsiednim pokoju - powiedział.

Powoli wstałam z miejsca. Nie cieszyłam się na myśl o tym, co miało zaraz nastąpić.

- Wiesz, Jenno, przypuszczalnie powinienem tam być, kiedy będziesz z nią rozmawiała. Wolisz, żebym brał udział w rozmowie czy też żebym stał w drugim końcu pokoju, z dala od was?

Spojrzałam na niego, zastanawiając się. W gruncie rzeczy nie podobała mi się ta propozycja, tak jak nie cieszyła mnie perspektywa rozmowy z matką. Nie pragnęłam konfrontacji z nią, jednak czułam się w obowiązku ją odbyć.

- Szczerze mówiąc, panie Rathbun, wolałabym iść do niej sama.

Wydawał się zaskoczony odpowiedzią, ale skinieniem głowy wyraził zgodę.

- W porządku. Jeśli tego właśnie chcesz, Jenno, zgadzam się.

Gdy tylko drzwi pokoju się otwarły, zobaczyłam mamę - po raz pierwszy od roku. Wydawała się dziwnie szczupła i wymizerowana. Była opalona i miała spłowiałe od słońca włosy, jak ktoś, kto pracuje na powietrzu. Gdy weszłam do pokoju, podniosła się z miejsca i zaczęła płakać. Wtedy dotarło do mnie, jak bardzo się za nią stęskniłam. Od razu poczułam się fatalnie. Miałam poczucie winy, że mało interesowałam się jej losem - jakbym zupełnie nie dbała o to, że matka tak bardzo chce ze mną porozmawiać. Nie pomyślałam nawet o tym, co to mogło oznaczać w kontekście jej terapii. Objęłyśmy się i stałyśmy tak bez słowa. Ponieważ matka milczała, odezwałam się pierwsza.

- Posłuchaj, mamó - zaczęłam niepewnie. - Nie chciałabym ci sprawiać bólu. - O ile było to możliwe, starałam się unikać formuł w rodzaju: „wykroczenie przeciw 2D”, ponieważ

naprawdę nie chciałam zaczynać tej dyskusji. - Nie sędzę, by to mogło pomóc, i nie dlatego tutaj jestem. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, dlaczego do tego wszystkiego doszło, żebyś rozwiązała problem i mogła iść dalej.

- Zrobiłam tyle złego. Mam poczucie, że nigdy za to nie odpokutuję - odparła przez łzy.

Było to zaskakujące zwierzenie, bo kilka godzin wcześniej pan Rathbun powiedział, że matka nie wykazuje woli współpracy. Na widok tej silnej kobiety, którą zawsze podziwiałam i szanowałam, a która teraz była tak przygnębiona, byłam zdruzgotana, próbowałam jednak się opanować.

- Mamo, nie wolno ci zapominać, że niezależnie od tego, co ktoś powiedział, zrobił czy sugerował, jesteś dobrym człowiekiem. LRH nie wymyśliłby całej swojej technologii mającej pomagać ludziom, gdyby na tę pomoc nie zasługiwali. Każdy, kto sprawia, że czujesz się winna albo pozbawiona wartości, sam jest człowiekiem bezwartościowym i ma coś na sumieniu.

Na te słowa mama ciężko westchnęła, a ja ciągnęłam dalej:

- Jeśli zechcesz realizować swój program, znowu możemy być razem.

- Chciałabym - odparła, kiwając głową, jakby już była po właściwej stronie. - Chciałabym, żebyśmy miały ze sobą kontakt. To by mi bardzo pomogło w trudnych chwilach.

- Oczywiście, będę do ciebie pisać, mamo - powiedziałam, licząc, że te słowa ją zachęcą. - Będę ci wysyłać wszystko, co zechcesz. Wystarczy, że dasz mi znać, czego ci trzeba.

Mama się uśmiechała, gdy do niej mówiłam. Żadnej z nas nie umknęło to, że zamieniłyśmy się rolami. Czy naprawdę było czymś aż tak strasznym albo nienaturalnym, że po wieloletniej, spowodowanej obowiązkami wobec Kościoła rozłące z moim ojcem a jej mężem matka tak bardzo pragnęła relacji z ludźmi i w tych relacjach znajdowała pociechę? Była to prosta droga do wykroczenia przeciwko 2D. Pomimo błędu matka poświęciła całe swoje pracowite życie i poniosła tyle wyrzeczeń dla sprawy, że naprawdę nie mogłam pojąć, w jaki sposób jedno wykroczenie przeciwko 2D było w stanie przekreślić czynione przez nią wcześniej dobro. Miałam poczucie, że złożyła Kościołowi wielką ofiarę, a choć należało się spodziewać konsekwencji, kara, która spotkała mamę, wydawała mi się zbyt surowa.

- Co u Justina? - spytała, zmieniając temat.

Gdy jej opowiedziałam, co się stało: że Justin zapewne opuści organizację, nie wydawała się zaskoczona.

- Może dzięki temu będzie szczęśliwszy - stwierdziła tonem, w którym zabrzmiała



jakby nuta nadziei. - Zawsze chciał odejść.

- Też tak myślę - przyznałam.

Po tych słowach ponownie się uściskałyśmy, co trwało dość długo, po czym się pożegnałyśmy.

W pokoju obok już czekał na mnie pan Rathbun. Popatrzył na mnie pytającym wzrokiem i gestem wskazał, bym weszła. Gdy podzieliłam się z nim wiadomością, że mama chce realizować przewidziany dla niej program, wydawał się zaskoczony.

- Mówisz poważnie?

- Tak - odparłam.

Choć przyjął decyzję mamy ze zdumieniem, był bardzo zadowolony. Poszedł osobiście z nią porozmawiać, wrócił i oświadczył mi, że naprawdę nie może uwierzyć, że sama wszystko załatwiłam. Nie mógł się temu nadziwić.

Nazajutrz rano pan Rathbun ponownie mnie odwiedził. Poinformował mnie, że jego zdaniem jestem tak skutecznym oficerem etyki, że chciałby, żebym porozmawiała ze swoim ojcem, któremu od czasu wykroczenia mamy nie najlepiej wychodziło wypełnianie powierzonej mu funkcji. Nie byłam pewna, czy pan Rathbun nie mylił się co do mnie, ale skoro tego chciał, postanowiłam podjąć się tej misji.

Podczas rozmowy z tatą czułam się jednak naprawdę niezręcznie. Gdy zapytałam go, jak mu się wiedzie, odparł, że mogłoby być lepiej. Powiedziałam mu mniej więcej to samo co mamie: że w niego wierzę, że sobie poradzi i że na pewno zdoła wziąć się w garść. Ojciec ucieszył się, że mnie widzi, ale nie okazał najmniejszego zainteresowania moimi opiniami ani radami. Był zamknięty w sobie i nie chciał rozmawiać ze mną o swoim samopoczuciu, co do pewnego stopnia było zrozumiałe. Najwyraźniej moje umiejętności jako oficera etyki nie były aż tak duże, jak sądził pan Rathbun.

## Rozdział osiemnasty

### Pojawiają się pierwsze pytania

Wróciłam do Flag pełna sprzecznych uczuć - dumna z tego, że zdołałam przekonać mamę, żeby nie odchodziła z organizacji, a zarazem zaniepokojona, że nie udało mi się pomóc tacie. Ledwo urządziłam sobie jakoś życie, nastąpiło to, czego się obawiałam: jeden z członków mojej rodziny porzucił Kościół. I nie chodziło o mamę, lecz o Justina.

Po tym wszystkim, co przeszłam z moim bratem, nie dziwiło mnie, że odchodzi. Być może ten brak zdziwienia bardziej niż cokolwiek innego świadczył o tym, jak wiele przeżyłam w ciągu krótkiego czasu. Pamiętam, w jakim szoku byłam, gdy po raz pierwszy dowiedziałam się od Taryn, że Justin rozważa odejście z Sea Org, i jak byłam zdenerwowana, gdy ktoś choćby wspomniał o opuszczeniu Kościoła. Wtedy nie mieściło mi się w głowie, że ktoś z mojej rodziny porzuci Kościół. Teraz nie tylko to wiedziałam, ale i decyzję Justina uznałam za całkiem zrozumiałą.

Moja akceptacja nie ułatwiała mi jednak pożegnania z bratem. Całe moje dotychczasowe życie wypełniały rozstania z ludźmi - z przyjaciółmi, rodzicami. Ludzie odchodzili, często nim zdążyłam ich dobrze poznać. Jednak mimo tych rozstań zawsze miałam poczucie, że ludzie ci przynajmniej zostawali w Kościele i że kiedyś znowu ich spotkam. Tego optymizmu nie czułam, gdy obserwowałam Justina przygotowującego się do samotnego wejścia w świat WOGS. Nie wiedziałam, czy mój brat zostanie uznany za osobę niepożądaną - w każdym razie było bardzo prawdopodobne, że tak właśnie się stanie. Z reguły każdy, kto przebywał w Int Base i opuścił Sea Org, był uznawany za osobę niepożądaną, a tam właśnie przebywał mój brat, zanim przystąpił do RPF. Wiedziałam, że muszę się liczyć z możliwością, że nigdy już z nim nie porozmawiam.

Całą tę sytuację dodatkowo komplikował fakt, że mój drugi brat, Sterling, nie był zbyt mocno obecny w moim życiu. Nie wiedziałam nawet, czy powiedziano mu, że jego brat bliźniak porzuci organizację. Sterlinga umieszczono w Int i w gruncie rzeczy nie utrzymywaliśmy kontaktu. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy, a w ostatnich latach, jeszcze zanim wyjechałam do Flag, Sterling był bardzo przejęty sprawami hierarchii Kościoła oraz własnym statusem. To stworzyło dystans między nami. Wiedziałam, że nie mogę teraz liczyć na jego wsparcie.

W końcu nadszedł czas pożegnania z Justinem. Poszłam do jego kajuty w Hacienda i

już na progu uderzył mnie wyraz szczęścia na jego twarzy. Choć czułam smutek, ten widok przyniósł mi ulgę. Podarowałam bratu odtwarzacz CD i czasopismo, o którego pożyczenie mnie prosił. Nawet nie próbował mnie przekonać, żebym odeszła razem z nim. Nie uważał, że to, co robi, jest dobrym rozwiązaniem dla każdego, wiedział tylko, że jest to dobre dla niego.

Chwilę porozmawialiśmy, ostatni raz się uścisnęliśmy, po czym zostawiłam go samego. Jak tylko zamknęłam za sobą drzwi, wybuchnęłam płaczem. Byłam przygnębiona z powodu utraty brata, ale nie tylko to mnie martwiło. Moja rodzina zdawała się pomniejszać z każdą chwilą. Justin znacznie mocniej niż rodzice był obecny w moim życiu. Na Ranczu widywałam go codziennie, czego o rodzicach nie mogłam powiedzieć od ponad dziesięciu lat.

Patrząc, jak na zawsze opuszcza bazę Flag, i mając świadomość, w jakie kłopoty wpadli on i mama, nagle uzmysłowiłam sobie, że wszyscy ludzie, których kocham, mogą mnie tak zostawić i że pewnego dnia może się okazać, że jestem sama - ostatnia scjentolożka z naszej rodziny.

Na początku 1999 roku, wkrótce po tym, jak skończyłam piętnaście lat, świętowano w Kościele nowe wydanie *Volume Zero* należącego do ośmiotomowego dzieła *Organization Executive Course* autorstwa LRH. Traktowano to jako wielkie wydarzenie, co oznaczało między innymi, że cały nasz personel będzie musiał tę książkę kupić, przeczytać i wypełnić dołączony do niej kwestionariusz. Kosztowała osiemdziesiąt dolarów, czyli równowartość kilku moich tygodniówek - dostawałam połowę wypłaty, to znaczy dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, przy czym nieraz płacono mi dopiero po trzech tygodniach.

Kiedy już zebrałam trochę pieniędzy, chciałam kupić za nie coś do jedzenia, a nie kosztującą osiemdziesiąt dolarów książkę. Powiedziano nam, żebyśmy ani nie kupowali *Volume Zero* na spółkę, ani jej nie pożyczali, bo każdy z nas ma mieć ją na własność (zapewne po to, by zwiększyć liczbę sprzedanych egzemplarzy). Swój zdobyłam jako jedna z ostatnich osób w bazie, choć na szczęście nie musiałam go kupować. Ojciec wysłał mi pocztą egzemplarz promocyjny, który dostał z racji pełnionej funkcji. Była to dla mnie duża ulga.

Ukończywszy niedawno kurs obsługi Emetru, byłam w stanie skupić się na lekturze *Volume Zero. Basic Staff Hat*. Książka była męcząca i liczyła osiemset stron. Któregoś dnia studiowałam ją z moją przyjaciółką Marcellą w sali wykładowej Coachman -Building. W pewnym momencie zaczęłam czytać fragment zatytułowany „Struktura organizacji. Czym są wytyczne?”. Był to jedenastostronicowy list zawierający paragrafy liczące po siedemset słów, ale mając tylko piętnaście lat, nie byłam w stanie nic z tego zrozumieć. Tekst był napisany stylem typowym dla LRH, roilo się w nim od skomplikowanych wyrazów, dotyczył niezrozumiałych dla mnie kwestii i nieznanymi mi ludźmi i obejmował okres od lat

czterdziestych do sześćdziesiątych. LRH rozpisywał się bez końca o tym, jak to pewni ludzie, niejaki King, Nimitz i Short, okazali się kompletnymi idiotami, pozwalając, by zdarzył się atak na Pearl Harbor. Maksymalnie koncentrując się na tekście, być może mogłabym go zrozumieć, ale był on tak nudny i przegadany, że nie byłam w stanie się skupić.

Razem z Marcellą wybrałyśmy się do biblioteki, w której wypożyczano bardzo grube słowniki. Miałyśmy nadzieję, że znajdziemy definicję jednego ze słów występujących w tekście. Gdy wróciłam do sali w Coachman Building, w pobliżu naszych miejsc przy stoliku siedział jakiś chłopak mniej więcej w moim wieku. Na nosie miał moje okulary.

- Przepraszam, ale to są moje okulary! - powiedziałam.

- Och, rzeczywiście - odparł z uśmiechem. - Przepraszam.

Po czym zamiast je zdjąć, poprawił je sobie na nosie. Zaskoczył mnie tupetem. Ludzie zazwyczaj czuli strach przed członkami CMO, a nawet jeśli tak nie było, to przynajmniej się z nami nie spoufalali.

- Co słyhać? Jaki kurs przerabiacie? - spytał, patrząc mi prosto w oczy.

Obejrzałam się za siebie, myśląc, że mówi do kogoś innego, on jednak najwyraźniej zwracał się do mnie, mimo że w sali kursów nie zezwalano na rozmowy.

- Jesteśmy przy *Vol Zero*, Martino - odparła za mnie Marcella dość protekcjonalnym, lecz poufałym tonem.

Razem z Martino dorastali we Flag Cadet Org, w starej Quality Inn przy Highway US 19. W przeciwieństwie do tego, jak było na Ranczu, członkowie Sea Org z Flag, którzy mieli dzieci, mogli w Quality Inn spędzać z nimi noce, a z bazy oraz do bazy dowożono ich autobusami. Niektóre pokoje w motelu zostały przerobione na sale kursów, by kadeci mogli się w nich uczyć. Członkowie Sea Org, którzy nie ukończyli osiemnastego roku życia, jeździli tam autobusem tylko raz w tygodniu, zazwyczaj w niedzielę, na lekcje i wracali do Hacienda około dwudziestej drugiej trzydzieści.

Z powodu zachowania Martino byłam bliska zabrania swoich rzeczy i opuszczenia sali kursów, jednak siedział on razem z Tylerem, który mi się podobał, więc zostałam. Przez resztę poranka Marcella i ja znosiłyśmy niedorzeczne wygłupy ich obu. Kiedy objaśniali słowa, w każdym z konstruowanych przez siebie zdań używali naszych imion. Supervizora nazywali Sarge (Sierżant), choć miał na imię Sergio. Przez cały czas przekazywali jeden drugiemu moje okulary, używając ich, by nas przedrzeźniać. Choć obie z Marcellą bardzo się starałyśmy wszystko to ignorować, nie mogłyśmy opanować śmiechu.

W ciągu kolejnych kilku tygodni chodziłam na salę kursów z moją przyjaciółką Cece. Zaprzyjaźniłyśmy się, gdy Cece była razem ze mną w CMO, choć zdegradowano ją i

przeniesiono do Cadet Org, gdy wpadła w tarapaty z powodu jakiegoś głupstwa. Wprawdzie kadrze CMO surowo zabroniono spoufalania się z kadetami oraz innymi członkami Sea Org, ale formalnie rzecz biorąc, my tylko razem się uczyliśmy, więc uszło mi to na sucho. Podczas jakichś ćwiczeń utknęłam w martwym punkcie, więc poprosiłam superwizora, żeby wyznaczył kogoś, z kim mogłabym potrenować objaśnianie słów. Przydzielono mi Martino. Trochę się wahałam. Pamiętam, że pomyślałam sobie, że jest stuknięty, ale przynajmniej był kadetem, a nie szeregowym scjentologiem. Z tymi ostatnimi zawsze kiepsko się współpracowało.

Oboje przeszliśmy do sali, w której odbywały się zajęcia praktyczne, i usiedliśmy naprzeciwko siebie. Martino zadał mi standardowe pierwsze pytanie: „Jak się pisze twoje nazwisko?”. Gdy tylko odpowiedziałam, zadał mi drugie pytanie. Tym razem wykraczało ono poza rutynę: „Kiedy widzisz swoich rodziców?”.

Byłam zaskoczona, bo uświadomiłam sobie, że spytał o to, ponieważ usłyszał, że nazywam się Miscavige. Nikt nigdy mnie jeszcze o to nie pytał i mogłam to pytanie zignorować, ale uświadomiłam sobie, że chcę na nie odpowiedzieć.

- Widuję ich, kiedy przyjeżdżają do Clearwater - odparłam zgodnie z prawdą. - Mój tata był tu raz w zeszłym roku. Widziałam się z nim przez kilka minut.

Wesołość zniknęła z twarzy Martino, ustępując miejsca niedowierzaniu.

- Czekaj... A więc widzisz się z rodzicami nie częściej niż raz w roku, jeśli masz szczęście?

- Hm... no tak - odparłam, czując się, jakbym musiała wytłumaczyć, dlaczego nie jest to aż takie złe, jak by się mogło wydawać.

- Ale przecież jesteś jeszcze dzieckiem.

- Niezupełnie. Jestem członkiem Sea Org.

- Członkiem Sea Org... - stwierdził Martino z sarkazmem. - Co to znaczy? Jesteś dzieciakiem. Ile masz lat?

Odpowiedziałam, że piętnaście.

- No tak, masz piętnaście lat. Tyle samo co ja. Tylko dlatego, że jesteś w Sea Org i nosisz wymyślny mundur CMO... - Uderzył się w pierś, jakby chciał zademonstrować pozę przybraną przez kogoś okropnie ważnego.

Wybuchnęłam śmiechem, a on mówił dalej:

- Umarłbym, gdybym nie widywał swojej mamy. Poważnie.

- Sama nie wiem... Ja po prostu... jesteśmy thetanami - odparłam z wahaniem. - A thetani nie mogą tak naprawdę być rodzicami jakiegoś innego thetana, więc rodzina nie jest

tak naprawdę czymś rzeczywistym ani aż tak ważnym - powtórzyłam słowa ciotki Shelly, usłyszane w jej biurze kilka miesięcy wcześniej, po moim pobycie u mamy.

- No tak, ale czy nie tęsknisz za matką? - spytał, jakby mu bardzo zależało na poznaniu prawdy.

Jego autentyczna troska niemal doprowadziła mnie do łez. Nieco wcześniej tego samego dnia pan Anne Rathbun zaciągnęła mnie do swego biura i pokazała otwarty list od mamy, która wciąż odbywała program RPF. Pisała o tym, że świetnie jej idzie. Rozwodziła się nad tym, że bardzo polubiła ogrodnictwo i że wiele rzeczy przypomina jej o mnie. Do listu dołączyła kilka zdjęć, napisała też, że bardzo mnie kocha. Nie odważyłam się okazać emocji w obecności pana Rathbun. Chciałam zabrać list do domu, żeby go włożyć pod poduszkę i wciąż na nowo odczytywać, ale kiedy chciałam wyjść, pan Rathbun odebrała mi go. Powiedziała, że zatrzyma list od mamy, bo są w nim poufne zdjęcia Int. Rzecz jasna, powinnam się była tego spodziewać.

Dziwne wydało mi się, że Martino interesuje moja relacja z matką, ale ujęło mnie zarówno jego zainteresowanie, jak i szczerość. Nie wyglądało na to, że się wywyższa, a już na pewno nie próbował udawać, że jest ode mnie bardziej etyczny. Miał w sobie coś bardzo naturalnego - z niczym podobnym wcześniej się nie zetknęłam. Nie znałam go, ale miałam wrażenie, że myślimy podobnie. Przez lata wszyscy mi powtarzali, że tęsknota za rodzicami jest czymś nagannym i że powinnam przyzwycząć się do tego, że nie ma ich w pobliżu, a Martino był pierwszą osobą, która zdawała się rozumieć dziwaczność mojej sytuacji. Wszyscy inni po prostu twierdzili, że to z moim podejściem jest coś nie w porządku. Słuchając słów Martino, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że być może to nie ja się mylę, ale cała reszta.

W ciągu kolejnych kilku tygodni ja i Martino na dobre rozpoczęliśmy współpracę, choć tak naprawdę pracowaliśmy niewiele. Rozmawialiśmy dosłownie o wszystkim. Martino opowiedział mi o wczesnym dzieciństwie spędzonym we Włoszech i o tym, jak jego rodzice się rozstali, gdy był małym chłopcem. Przeniósł się potem na Florydę wraz z matką. Był z nią naprawdę związany i nie poradziłby sobie bez niej. Opowiadał mi też o dorastaniu we Flag-Cadet Org, a ja opisałam mu, jak wyglądało życie na Ranczu. -Jeśli chodzi o pracę i egzekwowanie zasad, to najwyraźniej w każdym z tych miejsc wyglądało to inaczej. Kadeci z Flag nie musieli pracować, a gdyby ich o to poproszono, wielu z nich po prostu by odmówiło. Mogli za to bywać w lokalnym kinie, ponieważ - w odróżnieniu od Rancza - siedziba Flag Cadet Org nie była oddalona od cywilizacji. W odróżnieniu od nas kadetów z Flag nie uważano za członków Sea Org, choć niemal wszyscy oni prędzej czy później trafiali do tej

formacji.

Opowiadaliśmy sobie o naszej przeszłości, byliśmy po prostu piętnastolatkami, którzy poczuli do siebie szczerą sympatię. Czasami udawaliśmy, że pracujemy w bibliotece, gdzie było więcej miejsc-ca. Uwielbialiśmy zdejmować z półki na chybił trafił któryś z egzemplarzy encyklopedii i czytać o różnych zagadnieniach. Nie było niczym zaskakującym, że Martino najbardziej ciekawiły zachowania seksualne. Zabawna wydała mi się otwartość, z jaką mówił o tych sprawach.

Kiedy rozmawialiśmy na temat scjentologii, nie była to rutynowa paplanina. Rozmawialiśmy o samej wierze, czego nigdy nie robiliśmy na żadnym z kursów, i o thetanach, a Martino zwierzył się mi, że wcale nie jest przekonany, iż jest jednym z nich. Nie mogłam uwierzyć, że mówi coś takiego. Powiedziałam mu, że ja sama mam niewzruszoną pewność, że jestem thetanem.

- Ale skąd to wiesz? - spytał.

- Po prostu wiem - odparłam kategorycznie.

W rzeczywistości jednak wcale nie byłam tego pewna. Powtarzano mi to od wczesnego dzieciństwa, aż w końcu uwierzyłam. Nie potrafiłabym jednak powiedzieć dlaczego. Nigdy nie myślałam o sobie wyłącznie jako o ciele. Nigdy nie postrzegałam siebie jako „jedynie kawałka mięsa”, które to określenie scjentolodzy zawsze stosowali w odniesieniu do ludzkiego ciała. Fakt, że Martino myślał inaczej, sprawił, że nagle zaczęłam krytycznie traktować pojęcie thetana.

Innym razem zaczęliśmy rozmawiać o największej ze scjentologicznych tajemnic - o poziomach OT. Flag było jedną z nielicznych baz, w których można było zostać wprowadzonym na owe poziomy, otoczone atmosferą głębokiej tajemnicy. Często wysoko postawieni ludzie Kościoła informowali niższą kadrę na temat nowych wytycznych dotyczących ochrony informacji związanych z poziomami OT. Czerpano dumę z faktu, że owe poziomy były chronione jak nigdy przedtem. W szeregu oświadczeń szefostwo informowało o środkach podjętych w celu objęcia procedur związanych z poziomami OT ścisłą tajemnicą - do niektórych części bazy można było się dostać jedynie dzięki zamkowi szyfrowemu i specjalnej karcie magnetycznej, podjęto też inne specjalne środki bezpieczeństwa.

Nic dziwnego, że cała ta atmosfera tajności jedynie wzmogła moją ciekawość, jeśli chodzi o owe poziomy i związane z nimi tajemnice. Nie potrafię powiedzieć, czy była to zamierzona strategia Kościoła, w każdym razie ostatecznym efektem tej polityki tajności było wywołanie w nas nieodpartego pragnienia poznania prawdy. Nie mogłam się doczekać, kiedy

pokonam kolejne poziomy mostu, żeby wreszcie się przekonać, czym są słynne poziomy OT. Wyobrażałam sobie, że mają one coś wspólnego z rozszyfrowaniem zagadki powstania ludzkości, która zawsze mnie nurtowała. Czasami usiłowałam wyciągnąć jakieś informacje czy choćby wzmianki na ten temat od bibliotekarki, jednak, co łatwo można było przewidzieć, kobieta milczała jak grób. Podobnie jak ja wiedziała, że może mi się stać jakaś fizyczna krzywda, jeśli zacznę poznawać poszczególne poziomy w niewłaściwej kolejności.

Mimo że czułam się niepewnie na myśl o owej fizycznej krzywdzie, aura tajemniczości wokół poziomów OT robiła na mnie wielkie wrażenie. Gdy rozmawialiśmy o tym z Martino, wciąż wracało do mnie proste pytanie: w jaki sposób zwykła informacja może komuś wyrządzić fizyczną krzywdę? Można było jeszcze zrozumieć, że jakaś informacja może cię zasmucić czy zdenerwować - jednak uraz fizyczny był czymś zupełnie innym. Spróbowałam sobie wyobrazić, na czym mogłoby to polegać. Coś mi tu nie pasowało, jednak groźba fizycznego bólu czy wręcz śmierci budziła we mnie strach.

Rozmowy z Martino cechowały się otwartością, której wcześniej nie doświadczyłam. Nie były poddane odgórnej dyscyplinie ani rejestrowane, były spontaniczne i zależały od tego, jak swobodnie się czuliśmy i czym mieliśmy ochotę się podzielić. Zwierzyłam mu się, że moja mama ma kłopoty i właśnie odbywa RPF. Gdy opowiedziałam mu, co jej się przydarzyło, Martino był wyraźnie poruszony. Od tej chwili zawsze mnie pytał o najnowsze wieści o mamie, ciesząc się tak samo jak ja, gdy przychodził list od niej. Ponieważ listy te zatrzymywała zawsze pan Rathbun, nie mogłam mu ich pokazać, ale i tak Martino okazywał wobec nich entuzjasm.

To właśnie ta jego szczerza troska i zainteresowanie sprawiły, że jakoś oswoiłam się z jego sceptycyzmem w sprawach Kościoła. Ponieważ Martino był tak życzliwy, zrozumiałam, że jego sceptycyzm nie wynika ze złowieszczego pragnienia, by mi dokuczyć czy wpędzić mnie w kłopoty. Nie był złym człowiekiem ani nie próbował kwestionować wszystkiego, co miało związek z Kościołem. Próbował jedynie zrozumieć świat, w którym dorastał, co prowadziło do pewnych niewygodnych pytań.

Mój umysł otworzył się na te wszystkie kwestie nie tylko dzięki temu, że Martino poważnie je traktował. Po tym wszystkim, co przeżyłam po odejściu Justina, a także po przeżyciach, jakich dostarczyła mi mama, również niemal odchodząc, ja także znalazłam się w punkcie, w którym zaczęło do mnie docierać, że wielu ludzi, nie wyłączając tych, na których najbardziej mi zależało, miało podobne myśli. Gdybym spotkała Martino zaledwie rok wcześniej, przypuszczalnie odrzuciłabym stawiane przez niego pytania jako zbyt radykalne i niebezpieczne. Teraz jednak, częściowo z powodu tego, co przydarzyło się



Justinowi, potraktowałam jego rozterki jako swoje własne.

Martino nie podniósł jednej zasadniczej kwestii, lecz raczej szereg pomniejszych. Dlaczego oddzielono mnie od rodziców? Co tak naprawdę znaczyły wszystkie te kursy? Dlaczego mieliśmy tak ciężko pracować? Co tak naprawdę znaczy być thetanem? Myślenie o tych sprawach w nowy sposób było czymś niezwykle inspirującym. Oczywiście haczyk polegał na tym, że gdy raz zaczęło się stawiać te wszystkie niepozorne pytania, nie można było przestać.

W ciągu kilku miesięcy Martino stał się moim najlepszym przyjacielem. Wiedział o mnie wszystko, tak samo jak ja o nim. Pojmował świat inaczej niż moi przyjaciele z CMO, którzy wydawali mi się teraz jacyś nieludzy, jak roboty albo automaty. Zaprzyjaźniłam się z przyjaciółmi Martino. Był wśród nich Tyler. Był fajny, lubił się wygłupiać i był dobrym przyjacielem, ale na razie byłam zakochana w Martino. A najlepsze było to, że on we mnie też.

Jedyny problem polegał na tym, że ponieważ Martino nie należał do Sea Org, nie wolno nam było nawet ze sobą rozmawiać poza salą kursów, więc musieliśmy się bardzo starać, by nie dać po sobie poznać, co nas łączy. Żadne z nas nie pozwoliło na to, by ten zakaz mógł stanąć na drodze naszej przyjaźni, choć z pewnością komplikował nam życie. Bliska przyjaźń z Martino znacznie utrudniała mi w CMO relacje z innymi osobami. Ludzie z CMO nie myśleli w taki sposób jak on i nie prowadzili podobnych rozmów. Poczuvszy z nim atmosferę swobody i uczciwości, trudno mi było z powrotem wszystko w sobie dusić. Dotyczyło to zwłaszcza Olivii i -Julii, z którymi pracowałam.

Zawsze bardzo przykładały się do pracy, ale kiedy zaczęłam spędzać czas z Martino, zorientowałam się, że nie są po prostu pilne, ale wykorzystują swoją pozycję, by zastraszyć pozostałych członków grupy. Wytyczne naszego działu obligowały nas do pomagania innym w wykonywaniu zadań: w identyfikowaniu przeszkód w pracy; w znajdowaniu przyczyn tendencji niżkowych w naszych statystykach. Zobowiązywały nas również do usuwania ze struktur każdego, kto te utrudnienia powodował. Tymczasem zwłaszcza -Julia zaczęła obsesyjnie egzekwować zasady i sprawdzać cudzą pocztę, w czym często towarzyszyła jej Olivia, choć widziałam, że w gruncie rzeczy nie robi tego z przekonaniem. Obydwie przechadzały się po Ranczu z laseczkami od munduru galowego, które członkowie Sea Org nosili dla dodania sobie autorytetu i którymi moje znajome waliły w biurko każdego, kto ociągał się z przedłożeniem swego grafiku z codziennymi danymi statystycznymi. Julia krzyczała na tych, którzy mieli niżkujące statystyki, wobec czego wiele osób, nie wyłączając mnie, swoje statystyki fałszowało. Jeśli cię na tym przyłapano, miałeś

oczywiście jeszcze większe kłopoty i degradowano cię do niższej kondycji. Tych, którzy oblewali testy przeprowadzane Emetrem, odsyłano na rozmowę z oficerem etyki, podczas której Julia kazała przyznawać się do wszystkich wykroczeń, krzycząc zza pleców osoby obsługującej urządzenie.

Mniej więcej w tym czasie członkowie kadry CMO w obecności całej organizacji dostali naganę za nocną eskapadę do mesy i spoufalanie się z kadrą Flag. Niektórych wywołano przed całą grupę za to, że ośmielili się włożyć bezrękawniki, które uznano za nie dość skromne odzienie. Cała grupa CMO została zakwalifikowana do kondycji niebezpieczeństwo i do czasu poprawy zakazano jej kina, wycieczek i spędzania czasu z rodziną.

Przed tym incydentem dzień, który spędzałam z rodziną, był moim ulubionym punktem harmonogramu. Miałam tylko jeden czy dwa takie dni w miesiącu i zwykle spędzałam je z matką mojego ojca babcią Loretą albo z jego siostrą ciotką Denise. Były one jedyną rodziną, jaką miałam w Clearwater. Zabierały mnie na zakupy, kupowały mi wszystko, czego potrzebowałam, i zapraszały do restauracji. Czasami szłyśmy na plażę, gdzie spędzałam czas z kuzynami, Taylorem i Whitney. Spotkałam się z nimi, gdy przyszli do bazy na prowadzone tam kursy. Ponieważ wszyscy oni byli zwykłymi scjentologami, a nie członkami Sea Org, ich życie wydawało mi się wspaniałe i pełne rozrywek.

Czułam się niezręcznie, nie mogąc im powiedzieć, że mama odbywa program RPF. Patrząc wstecz, żałuję, że tego nie zrobiłam. Należeli do tych nielicznych osób, na które naprawdę mogłam liczyć, i na pewno by mi pomogli, kiedy tego potrzebowałam. Jednak mama należała do ścisłego kierownictwa Flag, więc powiadomienie o jej sytuacji kogoś z zewnątrz zostałoby potraktowane jako szkoderstwo wizerunkowi publicznemu Flag, Int oraz dobremu imieniu mojej rodziny, mimo że owi ludzie z zewnątrz również nosili nazwisko Miscavige. Gdy w grę wchodziły sprawy etyki członków Sea Org, nie powinny o nich wiedzieć ani osoby niższej rangą, ani nikt spoza Sea Org. Przypadek mamy był jeszcze bardziej utajniony, bo była szwagierką Davida Miscavige'a.

Ryzyko, że wprawię wszystkich w zakłopotanie, również moją rodzinę, było zbyt duże, poza tym bałam się konsekwencji. Mimo to powinnam była zaufać babci. Była bardzo ciepłą osobą, umiejącą współczuć innym. Kilka razy w trakcie naszych spotkań zdarzyło się, że babcia rozplakała się, mówiąc, że bardzo chciałaby widywać częściej mojego tatę, który przebywał w Int i rzadko miał wolny czas. Skarzyła się też na ciotkę Shelly, która doprowadziła do łez moją kuzynkę Whitney, krytykując ją za to, że nie należy do Sea Org.

Jednak nie tylko ciotka Shelly była problemem babci Loretty. Babcia nie rozumiała

niektórych spośród zasad postępowania własnego syna. Ponieważ była z zawodu pielęgniarką, nie podobało się jej, że lokalni przedstawiciele RTC nadzorowali jej program ćwiczeniowy, nie mogła też zrozumieć, dlaczego nie pozwalano jej wykonywać wyuczonego zawodu. Według niej nie zezwalał na to stryj Dave, nie miałam jednak pojęcia, dlaczego tak się dzieje i czy to w ogóle prawda. Przypuszczałam, że stryj Dave nie chciał, by jego matka pracowała jako pielęgniarka, ponieważ zawody medyczne traktowano z pogardą, bo ich przedstawiciele zbyt często przepisywali leki. Praca pielęgniarki wiązała się w dodatku z dowartościowaniem cielesności. Mimo to nie zadawałam żadnych pytań, bo stawka była za wysoka. Wnikając w szczegóły sporów babci Loretty ze stryjem, mogłam narobić sobie kłopotów, musiałabym też liczyć się z koniecznością odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie bronię przywódcy scjentologów: przecież tak ciężko pracował i tyle dla nas zrobił. Mimo to moja sympatia była po stronie babci, bo sama musiałam zrezygnować z wielu rzeczy tylko dlatego, że nazywam się Miscavige.

Zamiast wykonywać zawód pielęgniarki, babcia Loretta pracowała jako asystentka i młodsza księgowa Greta Van Susteren, prezenterki kanału Fox TV, oraz jej męża prawnika Johna Coale'a (oboje są zwykłymi scjentologami). Nie mogąc oglądać telewizji, nie miałam pojęcia, kim są ci ludzie, jednak w niektóre dni, kiedy mogłam być z rodziną, spędzałam czas w ich domu na plaży. Był cudowny, położony tuż nad brzegiem oceanu, miał trzy piętra i windę. Małżeństwo posiadało również jacht, którym kilkakrotnie odbyliśmy przejażdżkę. Oboje byli dla mnie bardzo mili. John był sarkastyczny i autoironiczny, podobnie jak moja babcia. Greta była sztywna i trochę wyniosła - jak ciotka Shelly.

Pozbawienie mnie spotkań z rodziną było dla mnie trudne do zniesienia. Na szczęście moja babcia bywała w tej samej co ja sali kursów, więc mogłam ją widywać i przez cały dzień z nią rozmawiać. Również moi przyjaciele się z nią spotykali i żartowaliśmy wspólnie przed rozpoczęciem zajęć. Widziałam, że babci naprawdę sprawia to przyjemność. Cieszyła ją myśl, że mam przyjaciół, bo wносиło to w moje życie element normalności. Ponieważ była zwykłą scjentolożką, normalne życie miało dla niej znaczenie.

Patrząc wstecz, sądzę, że nasze wspólne dni znaczyły dla mnie tak wiele, bo babcia pokazała mi, że poza Sea Org istnieje jakieś inne życie. Pokazała mi, że choć ludzie tacy jak Olivia, Julia i pan Anne Rathbun mieli obsesję na punkcie egzekwowania zasad i wymierzania kar, istnieli też scjentolodzy, którzy nie byli aż tak przejęci swoją rolą. Mimo wszystkich wyznawanych przez siebie poglądów oraz faktu, że jej syn rządził całym Kościołem, Loretta potrafiła przez całe życie zachować kontakt z rzeczywistością.

W przeciwieństwie do innych ludzi Kościoła nie traktowała siebie zbyt poważnie, co

bardzo mi się w niej podobało, i co również dostrzegałam i ceniłam u Martino.

## Rozdział dziewiętnasty

### „Myśl samodzielnie”

Zauważono, że Martino i ja się widujemy. Niektórzy mówili, że jesteśmy w sobie zakochani. Cece, która kiedyś się w nim kochała, powiedziała mi, że Martino zupełnie się zmienił, odkąd zaczęliśmy spędzać ze sobą czas - z dzieciaka, który zawsze był żartownisiem i utrapieniem, w osobę obdarzoną uczuciami i współczującą innym. Jej słowa sprawiły mi radość.

Niestety zaczęli to zauważać najrozmaitsi ludzie, nie wyłączając dorosłych. Powiedziano Martino, że powinien mniej czasu poświęcać mnie, a więcej objaśnianiu słów. Zaczęliśmy więc spędzać na wspólnej pracy jedynie kilka dni w tygodniu. Nie musieliśmy wtedy wiele mówić, by było oczywiste, jak bardzo za sobą tęsknimy. Świadczył o tym choćby sposób, w jaki Martino pochylał się ku mnie czy też dotykał nogami moich nóg i ukradkiem ścisnął moją dłoń. Bardzo chciałam odwzajemnić ten gest, ale wiedziałam, że oznaczałoby to poważne kłopoty.

Byłam coraz bardziej sfrustrowana z powodu przynależności do CMO i braku jakiegokolwiek kontroli nad swoim przyjaźniami czy życiem uczuciowym. Przez całe dotychczasowe życie miałam do czynienia z zasadami, wytycznymi i wymogami, jednak stosowanie się do nich nigdy nie było aż tak trudne. Odkąd zaprzyjaźniłam się z Martino i jego znajomymi, wróciłam do muzyki, którą zawsze uwielbiałam. Wieczorami przed pójściem do łóżka zaczęłam rysować. Robiłam to kiedyś na Ranczu na pięć minut przed pogaszeniem światła lub podczas posiłków, ale przez te wszystkie lata zasady, które mnie ograniczały, stłumiły moją kreatywność. Zasady scjentologii wszystkich nas zmuszały do postępowania w taki sposób, jakbyśmy byli tacy sami: nie zachęcano do własnych przemyśleń, wbrew nowemu hasłu scjentologii: „Myśl samodzielnie”. Kiedy wróciłam do rysowania i muzyki, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi tego brakowało i jak bardzo nie znoszę ograniczeń. Wyzwolenie kreatywnej strony swojej osobowości wydało mi się czymś naturalnym.

W towarzystwie Martino nie miałam poczucia, że muszę być zawsze wzorem do naśladowania. Pragnęłam wolności, chciałam być sobą, wiedziałam jednak, że to niemożliwe. Gubiłam się w sprzecznych uczuciach: z jednej strony chciałam spędzać z Martino jak najwięcej czasu, z drugiej - obawiałam się, że nie uda nam się ocalić naszej przyjaźni. Nie

byłam jedyną osobą, która uświadamiała sobie ryzyko. Przyjaciele, którzy widywali nas razem, ostrzegali nas ukradkiem, żebyśmy byli ostrożni.

Postanowiłam napisać do ciotki Shelly z prośbą o przeniesienie z powrotem na Ranczo. Nie wspominałam o Martino, ale jasno dałam do zrozumienia, że chcę wrócić do Cadet Org na Ranczo i skończyć szkołę. Wiedziałam, że prośba o pozwolenie na odejście z CMO i Sea Org, by znowu zostać kadetem, to poważna sprawa. W oczach Kościoła byłby to duży krok do tyłu - choć istniały precedensy. Podobne rzeczy zdarzały się już wcześniej. Wszystko zależało od tego, jak ciotka Shelly potraktuje moją sytuację w świetle obowiązującego w Kościele prawa. Gdyby moja prośba została przyjęta, wprawdzie nie zobaczyłabym już nigdy więcej Martino, ale nie musiałabym się aż tak martwić, że wpakuję się w kłopoty, całując się z osobą, która, formalnie rzecz biorąc, nie jest członkiem Sea Org - co mogło podpadać pod wykroczenie przeciw 2D, wskutek czego mogłam trafić na RPF, tak jak mama. Gdyby mi nie pozwolono wrócić na Ranczo, może byłabym z Martino i resztą przyjaciół we Flag Cadet Org. Obydwa scenariusze oznaczały tymczasowe opuszczenie CMO i Sea Org. O ile miałam okazję się zorientować, nic nie traćłam, prosząc o to, ponieważ LRH wspominał w swych wytycznych, że samo wystosowanie takiej prośby nie musiało oznaczać kłopotów.

Wysłanie owej prośby było zuchwalstwem, ale doszłam do wniosku, że to jedyny sposób, by trzymać się z dala od kłopotów i postąpić właściwie. Już teraz byłam niebezpiecznie blisko przekroczenia granicy - zakochana w Martino, z trudem walczyłam z moimi pragnieniami nastolatki oraz z przeczuciem, że w tej walce poniosę porażkę. Bałam się, że jeśli wydarzenia będą biegły dotychczasowym torem, moja sytuacja tylko się pogorszy. Byłam naprawdę rozdarta - podobnie jak Martino, który nie mógł otrząsnąć się z szoku, że napisałam do ciotki.

Znalazłam się w trudnej sytuacji, a w dodatku w bazie zapanowało ogólne zamieszanie, które jeszcze bardziej komplikowało wszystkim życie. Każdego dnia przed bazą zjawiali się demonstranci, co pogłębiało atmosferę paranoi, która nas otaczała na co dzień.

Kościół został oskarżony o dwa przestępstwa w związku ze śmiercią Lisy McPherson, wynawczyni scjentologii, która zmarła 5 grudnia 1995 roku, przebywając pod opieką załogi Kościoła we Flag Land Base. Wszystko zaczęło się od niegroźnego wypadku samochodowego, do którego doszło 18 listopada 1995 roku w Tampa/Clearwater. Sanitariusze karetki pogotowia stwierdzili, że trzydziestosześcioletnia wówczas Lisa, jedna z uczestników wypadku, nie doznała wprawdzie żadnego fizycznego uszczerbku, lecz zachowuje się dziwnie - usiłowała zdjąć z siebie wszystkie ubrania. Chciano zatrzymać ją w

szpitalu psychiatrycznym na obserwację, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że chce trafić pod opiekę scjentologów. Przyjechali ludzie z Kościoła i pomogli jej w uzyskaniu wypisu, po czym przywieźli ją do Flag, by mogła tam odpocząć i się zrelaksować. Będąc scjentolożką od osiemnastego roku życia, Lisa miała do Kościoła pełne zaufanie. Jednak wzięto ją pod tak zwaną obserwację w odosobnieniu, która polegała na całodobowym monitoringu przez siedem dni w tygodniu, i to pomimo faktu, że kilka miesięcy wcześniej osiągnęła stan clear.

Mówiło się, że w ostatnich miesiącach życia Lisa McPherson doznawała silnych zaburzeń psychicznych. Koroner początkowo uznał odwodnienie za przyczynę jej zgonu. Po zakończeniu śledztwa wysunięto wobec Kościoła dwa zarzuty: „zarzut znęcania się i zaniedbań popełnionych wobec osoby chorej” oraz „praktykowanie medycyny bez uprawnień”. Kościół jednak uporczywie zaprzeczał, jakoby obciążała go jakakolwiek wina.

Fakt, iż Lisa w chwili śmierci znajdowała się pod opieką scjentologów, wywołał ogólne poruszenie. Krążyły nawet pogłoski, że to mój stryj był bezpośrednio zaangażowany w audytowanie Lisy, dzięki któremu dostała stanu clear, więc również i jego nazwisko zostało splamione. W 1997 roku rodzina Lisy McPherson wytoczyła Kościołowi z powództwa cywilnego sprawę o spowodowanie śmierci w wyniku zaniedbania.

Do eskalacji nastrojów wrogich Kościołowi doszło w roku 1999, kiedy multimilioner Bob Minton utworzył Lisa McPherson Trust, którego celem miało być „upublicznienie oszukańczych i mających na celu wykorzystywanie ludzi praktyk scjentologicznych”. Fundacja składała się z pięciu pracowników - byłych scjentologów - oraz samego Mintona.

Aby upamiętnić czwartą rocznicę śmierci Lisy, Minton zorganizował w Clearwater wielką pikietę, w czasie której żądano, by Kościół poniósł odpowiedzialność za śmierć Lisy. Z powodu zgromadzonych przed bazą protestujących pracownicy Office of Special Affairs (OSA) regularnie organizowali nam spotkania informacyjne na temat kroków podejmowanych w celu zapanowania nad tłumem, który występował w imieniu Lisa McPherson Trust.

Wiedziałam to i owo na temat bieżących wydarzeń. Stryj Dave zwięźle poinformował o całej sprawie załogę Flag. Zdawał się wściekły, gdy nam oznajmił, że doszło do tego wszystkiego, ponieważ to my, pracownicy bazy, oraz ci, którzy byli odpowiedzialni za usługi oferowane przez Kościół, pozwolili na to, by ktoś (Lisa), kto stanowił potencjalne źródło problemów (PTS), uzyskał dostęp do scjentologii, co było surowo zakazane. Zapewne zakwalifikowano Lisę do PTS trzeciego typu, co oznaczało - według definicji LRH - że była szalona i widywała Marsjan.

Po konferencjach usiłowałam porozmawiać o całej sprawie z ciotką Shelly, czym

tylko ją rozniewałam.

- Możemy rozmawiać o tylu rzeczach, a ty mnie musisz pytać właśnie o to? - wybuchnęła. - Nie byłeś na spotkaniach? Wiesz, że jeśli Kościół przegra proces, wpiszą nam w akta działalność przestępczą? Będziemy pierwszym Kościołem w historii, któremu udowodniono przestępstwo.

Później, kiedy oddalono wszystkie zarzuty, stryj wyjaśnił scjentologom, że wyrok skazujący w tym procesie oznaczałby koniec uprzywilejowanego statusu podatkowego, jakim dotychczas cieszył się Kościół, a tym samym oznaczałby zmiany w rozporządzaniu prawami autorskimi, co byłoby prawdziwą katastrofą.

W OSA, odpowiedzialnym za PR Kościoła, utrzymywano, że sytuacja została opanowana. W rzeczywistości ludzie OSA usiłowali pozbyć się protestujących - prowokowali ich, po czym zachowywali się tak, jakby ktoś ich popychał albo uderzył, choć tłum nie był agresywny. Następnie dzwonili na policję, próbując sprawić, by aresztowano protestujących lub odwołano sam protest. Członkowie OSA wywiesili w dzielnicach pikietujących ich zdjęcia policyjne, zarzucając im zbrodnie seksualne i przemoc wobec dzieci. Również w budynkach bazy wywieszono zdjęcia protestujących oraz listę zarzucanych im przestępstw, na wypadek gdyby ktoś zaczął mieć wątpliwości w tej sprawie.

Jakby tego było mało, członkowie OSA przestrzegli nas również przed czytaniem transparentów niesionych przez protestujących, bo mogły one rzekomo zawierać materiał z poziomu III OT. Przy-pomnieli nam o poważnych konsekwencjach grożących każdemu, kto z tym materiałem zapozna się przedwcześnie. Było przecież powiedziane, że zapoznanie się z tak potężną wiedzą w inny sposób niż poprzez stopniowe do niej dochodzenie może poważnie zaszkodzić, a nawet doprowadzić do śmierci.

Pracownicy OSA oznajmili nam, że najlepszym sposobem uchronienia nas przed zagrożeniem wynikającym z zapoznania się z poziomami OT, które są poza naszym zasięgiem, jest wprowadzenie surowych zasad ograniczających swobodę poruszania się po bazie. Zakazano nam przechadzania się między budynkami z powodu owego stanu wyjątkowego. Musieliśmy korzystać z vanów nawet po to, by dostać się na drugą stronę ulicy. Okna pojazdów okrywała zamazująca obraz folia samoprzylepna, tak byśmy nie mogli widzieć, co się dzieje na ulicach, ani czytać napisów na transparentach. Czasami, kiedy wysiadaliśmy z aut, protestujący usiłowali nas sfilmować. Opuszczając vana czy autobus, natykaliśmy się na kamery, które rejestrowały każdy nasz ruch. Często z powodu kamer autobusy kilka razy okrężyły budynki na terenie bazy, przez co spóźnialiśmy się na śniadanie. Cały ten lęk przed protestującymi sprawiał, że nasze życie stało się jeszcze bardziej



klaustrofobiczne - wolno nam było wychodzić na zewnątrz jedynie po to, by przejść z vanów pod drzwi budynku, pod który nas podwożono.

W rezultacie ten krótki czas, jaki mogłam dzielić z Martino, jeszcze bardziej się skurczył. Członkowie CMO zawsze byli wśród czekających na vany, więc gdy w pobliżu był Martino, musiałam się zachowywać tak, jakbym go wcale nie znała. Widziałam, że mu się to nie podoba, ale wkrótce zrozumiał, dlaczego tak musi być.

Mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak napisałam do ciotki Shelly, Tom, który był teraz aktywnym członkiem CMO, na musztrze w porze lunchu wygłosił oświadczenie, które ku mojemu zaskoczeniu dotyczyło mnie.

W obecności całej grupy Tom ujawnił szczegóły mojego listu do ciotki Shelly, informując zebranych, że poprosiłam ją o pozwolenie na powrót do Cadet Org. Po jego słowach w sali zapadło milczenie. Wszyscy na mnie patrzyli. Wcześniej o całej sprawie, nie licząc ciotki Shelly, poinformowałam wyłącznie swoją audytorcę - byłam zobowiązana mówić jej o wszystkim - oraz Martino. Wiedziałam jednak, że Martino nigdy by mnie nie wydał. Nagle moje życie prywatne zostało upublicznione - teraz o wszystkim wiedziała nawet Julia, ostatnia osoba na ziemi, co do której bym sobie życzyła, by dowiedziała się o sprawie.

Po musztrze podeszłam do Toma, do którego przez ostatnie trzy lata musiałam się zwracać per „pan Devocht”. W tej chwili nie myślałam jednak o jego pozycji - byłam po prostu wściekła. Nie mogłam uwierzyć, że mnie tak upokorzył, i w dodatku zrobił to z powodu mojej pisemnej prośby, która nie powinna była przysporzyć nikomu żadnych kłopotów. Kiedy zaczęłam się tłumaczyć, Tom przerwał mi w połowie zdania, zirytowany moim brakiem szacunku. Zaczął na mnie krzyczeć:

- Jenno, masz duży problem! Spoufalasz się z kadetami, a teraz odzywasz się do mnie, jakbyś to ty była szefem. Jesteś niegrzeczna, nie okazujesz mi szacunku i należy ci się RPF. A teraz wyjdź z mojego gabinetu.

Zabrano mnie do mojego mieszkania w Hacienda i osadzono w areszcie domowym. Nagana Toma była jak policzek. Trzęsłam się jeszcze wtedy, kiedy szłam do swojego pokoju.

Właściwie powinnam przewidzieć, że zbierają się nade mną czarne chmury nie tylko z powodu Martino, ale również dlatego, że ostatnio rozprawiano się z dziewczynami z CMO za flirtowanie i inne podobne ekscesy. Wszystko zaczęło się od Olivii i Julii - a więc, paradoksalnie, od osób odpowiedzialnych za egzekwowanie zasad. Chwilowo pracowały one dla mojego stryja i choć same były mężatkami, wpadły w kłopoty z powodu flirtu z jego pracownikami. Jestem przekonana, że - o ironio - zatrudniono je głównie z uwagi na fakt, że były najładniejsze spośród wszystkich dziewcząt w CMO. Stryj często pracował z

atrakcyjnymi kobietami.

Podobnie jak Olivia i Julia również moja współlokatorka Mayra miała kłopoty z powodu faceta. Była o kilka lat starsza ode mnie i miała romans z przedstawicielem RTC. Oboje należeli do Cadet Org. Przez całe lata zamierzali się pobrać, ale nie było to możliwe, bo ona należała do CMO, a on do RTC. Kiedy podczas jednego z przesłuchań ich związek wyszedł na jaw, również i ona dostała surowe upomnienie.

W reakcji na podobne naruszanie zasad Kościoła zaczął publicznie podczas musztr piętnować ludzi postępujących nieetycznie. Chodziło o to, by „zatknąć czyjąś głowę na pal” - jak pisał LRH w jednym ze swoich etycznych okólników - aby zniechęciło to innych do nieetycznego postępowania. A choć widziałam, że tak właśnie postąpiono z owymi trzema dziewczętami, jakoś nie sądziłam, że ja również zostanę publicznie napiętnowana.

Sądząc z tego, co powiedział mi Tom po musztrze, najwyraźniej wiedział, że dopuszczam się czegoś nieetycznego. Wcześniej zdarzało się, że ktoś wracał do Cadet Org, ale reakcja Toma nie pozostawiała wątpliwości, że kierownictwo nie zamierza przychylnie rozpatrzyć mojej prośby i że spotka mnie kara za chęć opuszczenia Sea Org.

Nadal jednak nie mogłam uwierzyć, że Tom groził mi RPF tylko z powodu mojej prośby do ciotki. Po wszystkim, czego byłam świadkiem w związku ze sprawą mamy i Justina, na samą myśl o RPF czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Niezależnie od tego, czym zawiniłam - spędzaniem czasu z Martino czy wyrażeniem chęci powrotu do kadetów - kara w postaci RPF była zbyt surowa. Przecież chciałam postąpić jak należy.

Rzuciłam się na łóżko. W pokoju była też Mayra, która podobnie jak ja odbywała karę aresztu domowego. Mayra nie tylko miała romans, ale również kilka dni wcześniej próbowała uciec, więc teraz była pod kluczem przez całą dobę, a tylne szklane drzwi naszego pokoju zostały zaryglowane. Mayra próbowała zwać z Sea Org i została złapana. Podobne próby należały do rzadkości i były poważnym przewinieniem. Natychmiast też spotykały się z surową karą. Ponieważ nie zauważyłam jej próby ucieczki, również mnie uznano za podejrzaną, miałam teraz jednak znacznie poważniejsze problemy.

Wkrótce po tych wydarzeniach nadeszła wiadomość, że mam wykonywać prace MEST razem z Mayrą i kilkorgiem innych ludzi, którzy wpadli w tarapaty. Odmówiłam. Wiedziałam, że to, co robiłam, jest złe, ale nie uważałam, by zmuszanie mnie do pracy fizycznej stanowiło właściwą karę. Może należało mnie zakwalifikować do niższych kondycji, ale nie miałam zamiaru pracować fizycznie. Napisałam prośbę do ciotki Shelly, ponieważ chciałam postąpić właściwie. Powiedziałam również audytorce o swoich relacjach z Martino, a ona zapewniła mnie, że to nic złego. Mimo to czekała mnie surowa kara.

Mayra usiłowała mnie przekonać, żebym zmieniła zdanie. Mówiła, że wie, co czuję, ja jednak się nie ugięłam. Nadszedł wieczór. Bałam się i martwiłam, ale nie zamierzałam się podporządkować. Chciałam zadzwonić do taty. Wiedziałam, że nie jest to usankcjonowany procedurą sposób radzenia sobie z przygnębieniem, ale gdy Martino opowiedział mi o roli, jaką w jego życiu odgrywa matka, pomyślałam, że może zwrócę się o pomoc do taty. Opiekowanie się mną nie należało do obowiązków żadnego z moich rodziców. Wszystko należało załatwiać przez Org. Zwrócenie się do taty mogło być zinterpretowane jako przeszkadzanie w pracy rodzicowi, który powinien skupić się na swoich obowiązkach, więc mogłam w ten sposób mieć jeszcze większe kłopoty. Skoro byłam przygnębiona, powinnam była napisać raport, który uznano by za paplanie lub uskarżanie się, a to oznaczałoby, że coś zatajam, co z kolei kwalifikowałoby mnie do odbycia przesłuchania, które i tak mnie czekało. Taki był ten cykl - błędne koło przyczyn i skutków powodowanych przez akt nieposłuszeństwa. Nie dało się tego zatrzymać.

Jednak na tym etapie nie dbałam o konsekwencje swoich czynów. Wiedziałam, że nie zasłużyłam na pracę MEST, choć najbardziej się bałam, że przez Toma trafię na RPF i że wkrótce w ogóle nie będę w stanie kontaktować się z rodzicami. Jediną osobą, która, jak sądziłam, mogła mi coś doradzić, był mój tata. Może nawet stanąłby po mojej stronie.

W naszym mieszkaniu był telefon, z którego mogła korzystać tylko jedna z moich współlokatorek. Był tam na wypadek, gdyby ktoś próbował uciec w środku nocy, a ona potrzebowała wezwać ochronę. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer recepcji CMO Int. Ku mojemu zdumieniu i radości udało mi się uzyskać połączenie. Ale niestety okazało się, że taty nie ma. Recepcjonistka powiedziała jednak, że mogę porozmawiać z mamą, co z kolei wprawiło mnie w zakłopotanie. Nie powiadomiono mnie, że nie odbywa już RPF. Recepcjonistka poprosiła, żebym zaczekała, a po chwili powiedziała, że mama nie może w tej chwili odebrać, ale że mogę spróbować do niej zadzwonić później. Gorączkowo wydzwaniam, byłam zupełnie ogłupiała. Jak to możliwe, że po wszystkim, co przeszliśmy, nikt mnie nie powiadomił, że mama zakończyła RPF?

Próbowałam się do niej dodzwonić, tym razem jednak -Mayra to zauważyła. Czym prędzej pobiegła po Olivię. Nie byłam zaskoczona, że na mnie doniosła. Choć obie miałyśmy zostać ukarane, mogłyśmy odpokutować swoje winy, powiadamiając władze o nagannym zachowaniu innych i udowodniając w ten sposób własną lojalność wobec organizacji. To jeden z forteli stosowanych przez Sea Org, by zachęcać do donosicielstwa, umacniając tym samym atmosferę paranoi w szeregach organizacji.

- Nie wolno ci dzwonić do rodziców - powiedziała Olivia, wchodząc do naszego

pokoju.

- Pieprz się - odpowiedziałam, nie dbając o konsekwencje.

Znów podniosłam słuchawkę, ale Olivia wcisnęła guzik kończący rozmowę telefoniczną. Bezskutecznie próbowałam wyrwać jej z rąk słuchawkę.

- Dobra, idę zadzwonić z automatu.

Ruszyłam w stronę drzwi, ale Olivia zatarasowała mi przejście. Usiłowałam ją odepchnąć, ale do akcji wkroczyła Mayra, również zagrażając mi drogę.

- Wybacz, Jenno, ale nie mogę ci na to pozwolić - oświadczyła.

Z łatwością jednak przedrałam się między nimi.

Z sąsiedniej kajuty wybiegła jakaś dziewczyna, która też próbowała mnie zatrzymać, krzycząc, że postępuję bardzo nieetycznie. Wszystkie rzuciły się na mnie. Wrywałam się, ale one nie puszczały. W końcu mi się udało, ale wtedy nadbiegła moja dawna przyjaciółka Melinda Bleecker i też się na mnie rzuciła. Naplułam jej w twarz, więc na chwilę mnie puściła. Być może zdołałabym dopaść drzwi, gdyby nie ochroniarz, który właśnie nadjechał na rowerze i skutecznie zagroził mi drogę.

Wiłam się i miotałam, machając rękami i nogami i usiłując się wyrwać. Chciałam tylko, żeby dziewczyny mnie puściły, ale one ciągnęły mnie we wszystkie strony. I nawet gdy na chwilę udawało mi się wyswobodzić, i tak nie byłam w stanie uciec ochroniarzowi. Wiedziałam, że tylne wyjście zostało zaryglowane kilka nocy wcześniej z powodu próby ucieczki Mayry, więc nie mogłabym tamtędy wydostać się na zewnątrz. Najwyraźniej schwywanie mnie było dla Mayry ostatnią szansą, by się zrehabilitować, bo była nieustępliwa.

Kilkakrotnie nieomal zdołałam się im wyrwać. Nagle w drzwiach zobaczyłam Toma. Zapewne wezwała go Olivia. Zamierzał mnie uspokoić, przemawiając mi do rozsądku. Byłam tak wściekła, że najpierw odmówiłam rozmowy z nim, szybko jednak zrozumiałam, że Tom to moja ostatnia szansa.

- Jeśli się uspokoisz, Jenno - powiedział - porozmawiamy w mojej kajucie na górze i może uda nam się znaleźć wyjście z sytuacji.

Byłam zmęczona walką i zrezygnowana, bo nie udało mi się uciec, więc niechętnie się zgodziłam.

Kiedy weszliśmy do jego kajuty, każde z nas usiadło.

- Nie spodziewałem się, że sprawy zajdą tak daleko. Nie rozumiem, co cię opętało. Jakbyś stała się inną osobą. Co się dzieje? - zapytał.

To głupie z mojej strony, ale usiłowałam być szczerą. Opowiedziałam mu całą historię z Martino, powiedziałam, jak się czuję w CMO, i wytłumaczyłam, dlaczego napisałam prośbę

do ciotki Shelly. Kiedy skończyłam, Tom milczał przez chwilę, jakby układał sobie wszystko w głowie.

- Rozumiem, Jenno. Postaram się sprawić, by wszystko wróciło jutro do normy.

Następnego dnia poszłam na kurs, gdzie zobaczyłam się z Martino, któremu zrelacjonowałam wszystko, co się wydarzyło. Był poruszony i martwił się o mnie - cała ta sytuacja wydała mu się absurdem. Jakąś godzinę później w sali kursów pojawił się Tom i kazał nam iść ze sobą. Błagałam go, żeby nie mieszał Martino do tej sprawy, i Tom się zgodził - przynajmniej na razie.

Jechaliśmy samochodem i po jakimś czasie się zorientowałam, że wracamy do Hacienda. Tom powiedział, że będę tam wykonywała prace MEST, realizując wyznaczony dla mnie program. Najwyraźniej moje słowa nie przyniosły żadnego skutku, ale przynajmniej próbowałam ratować Martino. A teraz miałam po prostu okazać skruchę i zgodzić się na karę? Odmówiłam podporządkowania się karze, która była zdecydowanie zbyt surowa jak na moje przewinienie.

Znów odżył we mnie gniew i po raz kolejny odmówiłam wykonywania prac MEST. Mayra na różne sposoby usiłowała mnie przekonać, bym zmieniła zdanie, uciekając się do gróźb i prośb, ja jednak nie ustąpiłam. Choć bardzo się bałam, nie chciałam należeć dłużej do CMO i nie kryłam się z tym. Powiedziałam jej nawet, że wcale nie mam pewności, czy w ogóle chcę jeszcze być w Sea Org, ona zaś, jak zresztą postąpiłby każdy porządny członek Sea Org, złożyła na mnie raport do przełożonych.

Wieczorem w moim pokoju zjawił się Tom.

- Twoi rodzice są na linii i chcą koniecznie z tobą porozmawiać.

W czasie rozmowy Tom siedział tuż obok. Rodzice powiedzieli, że wiedzą o moich kłopotach. Dlatego też chcieli mi przypomnieć o moich zasługach i o tym, że jestem silna i że na pewno uda mi się wszystko przetrwać. Żeby mnie pocieszyć i dodać mi otuchy, zakomunikowali, że mama zakończyła swój program, a Tom obiecał dopilnować, by moja sytuacja wróciła do normy. Tom był moim opiekunem przez cały czas mojego pobytu na Florydzie i - przez większość czasu, jaki tu spędziłam - był dla mnie bardzo miły. Jednak po ostatnim incydencie wszystko się zmieniło.

- Koniecznie dzwoń do nas i informuj nas na bieżąco - powiedzieli rodzice na koniec rozmowy.

- Zadzwoń do was jutro, jeśli tylko będę mogła.

Nadal jednak byłam zdecydowana odmawiać współpracy, a nawet jeszcze zacieklej stawiałam opór. Nie chodziło o to, że bałam się pracy fizycznej - chodziło o zasady.

Wykonywałam przydzielane mi kiedyś na Ranczu prace MEST i teraz również mogłabym z łatwością je wykonywać, gdybym musiała. Nie zamierzałam jednak godzić się na niesprawiedliwą karę.

W końcu wysłano kogoś do Hacienda, aby mnie przesłuchał. W przeszłości zawsze poddawałam się przesłuchaniom, ale teraz miałam tego już dość. Celowo sprowokowałam przesłuchującą, próbując wyjść z pokoju. Wiedziałam, że nie pozwolą mi na to, ale po prostu już mi nie zależało. Nie ulegało wątpliwości, że przesłuchująca była ode mnie większa i silniejsza. Przetrzyzymała mnie w pokoju całymi godzinami.

W końcu zgodziłam się na wyjawienie pewnych spraw i udawałam, że mi to pomogło - byleby tylko wskaźnik na podziałce Emetru zaczął się swobodnie poruszać, tak byśmy mogły zakończyć sesję. Audytorzy znajdowali się pod ogromną presją - musieli się upewnić, że nie przeoczyli żadnych sekretów, i nie mogli zakończyć sesji, nie osiągnąwszy wyznaczonego celu. Nieraz współpracowałam podczas sesji jedynie przez współczucie dla audytora.

Nazajutrz przyszła się ze mną spotkać pan Anne Rathbun. Pomyślałam, że jest cień szansy na to, że weźmie mnie w obronę, ale tak się nie stało. Oznajmiła mi, że zesłam na złą drogę, wykraczając przeciwko zasadom etyki, i że bardzo się na mnie zawiodła. Oświadczyła, że powinnam wziąć się w garść. Jej współczujący ton naprawdę mnie przestraszył. Podczas kolejnej sesji audytowania usiłowałam współpracować z audytorką, w nadziei że mi to pomoże, lecz nie poczułam się lepiej. Czułam jedynie, że zgodziłam się na coś wbrew swojej woli.

Obudziwszy się nazajutrz rano, usłyszałam, że mam natychmiast udać się do bazy, bo ktoś pilnie chce ze mną rozmawiać. Była to sprawa niecierpiąca zwłoki - miałam się ubrać i czym prędzej jechać do bazy. Byłam przerażona.

Wiozący mnie kierowca, facet, którego znałam z CMO, prowadził jak szalenię. Zajechaliśmy przed WB. Na piętrze czekała już na mnie pan Rathbun, która szorstkim tonem kazała mi wypisać wszystkie moje grzechy i zatajenia, gdy będę czekać w pomieszczeniu do audytowania. Byłam w trakcie pisania, gdy kilka minut później do pokoju wszedł stryj Dave. Sprawiał wrażenie bardzo zasmuconego.

- Co robisz? - zapytał.

- Spisuję swoje przewinienia, tak jak mi kazała pan Rathbun - odparłam.

- Ach tak, rozumiem - powiedział z rezerwą w głosie. - Masz problem z powodu etyki?

- Tak, sir - odrzekłam, niemal wybuchając płaczem.

- To znaczy?

- Próbowałam zadzwonić do rodziców, wdałam się w bójkę i...

- Niewiarygodne, po prostu niewiarygodne! - przerwał mi stryj niskim głosem, po czym dodał podniesionym tonem: - Koniec z wyjątkowym traktowaniem.

Po tych słowach wyszedł z pokoju. Nawet nie wysłuchał całej mojej historii, choć zapewne żaden jej fragment nie uśmierzyłby jego gniewu.

Zaraz potem do pokoju weszła ciotka Shelly w towarzystwie CO, Olivii i pana Anne Rathbun. Stały przy ścianie z założonymi rękami i mierzyły mnie wzrokiem. Wściekła była zwłaszcza ciotka Shelly.

- Jenno, byłam dla ciebie jak opiekun... co ja mówię! Jak anioł stróż - zaczęła. Po chwili ciągnęła dalej, rozwodząc się nad swoją wielkodusznością: - Poświęcałam ci czas, opiekowałam się tobą, a ty w taki sposób to wykorzystujesz! - Potem przeszła do swojej opinii na mój temat: - Zachowujesz się absolutnie skandalicznie. Co ty wyprawiasz? Znajdujesz sobie jakiegoś nieudacznika i zaczynasz zachowywać się tak samo jak on? - Najwyraźniej chodziło jej o Martino.

Ciągnęła tak dość długo, mówiąc mi, że jedyną na ziemi osobą uprawnioną do tego, by telefonować do Int Base, jest stryj Dave. Wypomniała mi długą historię moich prób ucieczki do rodziców, gdy tylko przychodziła mi na to ochota, przy czym moim wykroczeniem numer jeden było utrudnianie im życia i odrywanie ich od pracy, a wykroczeniem numer dwa - moje potrzeby i żądania.

Próbowałam wtrącić, że widziałam ich oboje tylko raz w ciągu ostatnich trzech lat, co stawia pod znakiem zapytania jej zarzuty, ale ciotka mi przerwała.

- Nie waż się pyskować! - rozkazała.

Nadal wylewała swoje żale, wypominając mi mój list z prośbą o przeniesienie i wszystko, co słyszała o moim zachowaniu: że sprzeniewierzyłam się zasadom etycznym, flirtując w trakcie kursu, i że tylko jeden krok dzielił mnie od tego, by uprawiać seks podczas sesji audytowania. Wciąż zachowywałam się nieetycznie i odmawiałam współpracy z audytorami, a teraz wdałam się w bójkę z ludźmi z CMO, bijąc Oliwię i opluwając Melinę. W trakcie całej tej tyrady ciotka wściekle mierzyła mnie wzrokiem, aż w końcu się rozplakałam.

- No właśnie. Zachowujesz się jak dziecko! - powiedziała gniewnie. - To jeszcze jedna z twoich sztuczek. Natychmiast przestań!

Z całej siły próbowałam zapanować nad łzami, ale ciotka jeszcze nie skończyła.

- Gdziekolwiek się pojawisz, wszystko niszczysz. Ranczo zostało stworzone z myślą o

tobie, a teraz również z twojego powodu powstał gigantyczny bałagan, nad którym muszę zapanować.

Jej oskarżenia były tak absurdalne, że równie dobrze mogłaby mi zarzucić właściwie wszystko.

- Jeśli nadal będziesz zachowywać się w ten sposób, zmienimy ci nazwisko - zagroziła - bo wszystko, co robisz, to bardzo zły PR. - Chodziło jej o to, że nazywam się Miscavige, więc powinnam świecić przykładem. - Zrealizujesz swój program i lepiej, żebyś z nami współpracowała. Dobrze ci radzę: bądź posłuszna.

Zabrzmiało to poważnie.

- Tak, sir - odpowiedziałam. A widząc, że ciotka zamierza wyjść, zaniepokoiłam się jeszcze bardziej. - Czy będziemy mogły jeszcze porozmawiać? - spytałam błagalnym tonem, usiłując ponownie się nie rozplakać.

- Nie wiem, Jenno - odrzekła niby to z bólem serca, choć było oczywiste, że jest on nieszczerzy. - Może, jeśli zrealizujesz swój program.

Po tych słowach wszystkie trzy kobiety wymaszerowały z pokoju.

Nie miałam pojęcia, jak doszło do tego, że zachowałam się tak nieetycznie. Zaryzykowałam utratę wszystkiego, na co pracowałam i o czym marzyłam przez całe życie, dla jakiegoś chłopaka, którego znałam tylko kilka miesięcy. Wiedziałam, że muszę za to zapłacić i że mam przed sobą długą drogę, ale poprzysięgłam sobie, że nic mnie nie powstrzyma. Właśnie kiedy to postanowiłam, Anne Rathbun wróciła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi, obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem i kazała mi wziąć do rąk puszkę.



## Rozdział dwudziesty

### Ukarana

Pan Anne Rathbun odbyła ze mną sesję etyczną z użyciem Emetru - w gruncie rzeczy było to trwające jedną sesję przesłuchanie - po czym natychmiast zdegradowała mnie do CMO EPF. Zważywszy na to, co się wydarzyło, oraz na fakt, że stryj i ciotka zaangażowali się w całą sprawę, cieszyłam się, że nie dostałam gorszej kary. Nie mogłam uwierzyć, że znalazłam się w takiej sytuacji. Zostałam zdegradowana i musiałam nosić inny uniform. Za flirtowanie ukarano też Mayrę, Julię i jeszcze jedną dziewczynę.

Choć ta kara nie była ani trochę tak dotkliwa jak izolacja podczas RPF, i tak mnie poniżała - i o to właśnie chodziło. Wszystkie dostawałyśmy do jedzenia wyłącznie ryż i fasolę. Poddawano mnie przesłuchaniom, a do moich zadań należały pranie i sprzątanie. Nadal mieszkaliśmy w naszej kajucie w Hacienda. Z początku co wieczór przed snem wyrzucałam sobie wszystkie swoje wady, głęboko wierząc, że jestem najgorszą osobą w całym Sea Org. Nie żałowałam tego, że poznałam Martino, ale byłam sobą rozczarowana z powodu swoich nieetycznych postępów. Sama nie rozumiałam, jak mogłam w ten sposób zdradzić swoją rodzinę ani dlaczego z takim uporem sprzeciwiałam się przełożonym. Wiedziałam, że mam do przebycia długą drogę, zanim stanę się miłą, okazującą szacunek innym, zgodną osobą, którą chciano we mnie widzieć.

Następnego ranka obudziłam się całkowicie zniechęcona. Nie widziałam końca tego wszystkiego i czułam, że gromadzą się nade mną czarne chmury. Powiedziano mi, że Cece, Martino, Tyler i inni przyjaźnili się ze mną tylko z powodu mojego nazwiska, a nie przez sympatię dla mnie. Nie pozwolono mi z nimi rozmawiać. Miałam bezsensowne życie, któremu nie przyświecał żaden cel. Każdego ranka musiałam mobilizować całą swoją energię, żeby wstać z łóżka i robić to, czego ode mnie oczekiwano - żeby wydobyć się z tarapatów. Właśnie taką reakcję chciano we mnie wywołać. Pod niejednym względem tak samo się czułam, gdy po raz pierwszy w wieku dwunastu lat trafiłam do Flag - tyle tylko, że teraz było znacznie gorzej.

Mayrze polecono mnie pilnować i nie spuszczać mnie z oka. Nawet gdy korzystałam z toalety, miała czekać pod drzwiami. Nie wolno mi było do kogokolwiek dzwonić, nawet do rodziców. Za to odebrano nam obowiązki związane z praniem ubrań zwierzchników, bo nie ufano nam już na tyle, by powierzać tak odpowiedzialne zadanie. Miałyśmy pracować rzeczy

należące wyłącznie do zwykłych członków CMO.

Centralnym punktem mojego codziennego harmonogramu były przesłuchania przeprowadzane przez pana Rathbun. Zaczynałam dostrzegać, że jeśli ta kobieta okazywała mi wcześniej jakkolwiek sympatię, to udawała, bo najwyraźniej mnie nienawidziła. Teraz, kiedy byłam w złych stosunkach ze stryjem Dave'em i ciotką Shelly, nie musiała już być dla mnie miła ze względu na moje rodzinne koligacje. Mogła do woli mi okazywać, że ma mnie za nic. Nieustannie powtarzała, że powinnam już dawno trafić na RPF i że mam wielkie szczęście, że tak się nie stało. Czasami zuchwale jej odpowiadałam, że sama powinna mnie tam wysłać, zamiast marnować tu swój drogocenny czas. „Może to kiedyś zrobię” - warczała w odpowiedzi, lecz nigdy tej groźby nie spełniła.

Nasze sesje były absurdalne. Wszystkie miały taki sam przebieg.

- Czy robiłaś niewłaściwy użytek ze swego nazwiska, żeby coś osiągnąć? - pytała Rathbun, spoglądając na mnie wyczekująco, jakby Emetr wskazał, że właśnie tak było.

- Nie - odpowiadałam.

Audytorka robiła się czerwona, zaciskała wargi i najwyraźniej walczyła z nieodpartą pokusą uderzenia mnie w twarz za to, że nie wyznaję jej wszystkiego.

Przez dwadzieścia minut zadawała to samo pytanie, aż w końcu musiałam coś wymyślić.

- W porządku - zaczynałam i ciągnęłam mniej więcej w tym stylu: - Wczoraj steward podszedł do stolika i zapytał, czy jeszcze czegoś sobie życzymy. Poprosiłam, by przyniósł masło. Przyniósł je naprawdę szybko - chyba dlatego, że wiedział, kim jest mój stryj. Miałam z tego powodu poczucie winy.

Moja odpowiedź nieodmiennie sprawiała, że pan Rathbun zaczynała się doszukiwać jeszcze ciemniejszych stron mojego uczynku.

- No dobrze. A czy z powodu twojej prośby steward nie obsłużył mniejszej liczby gości, niżby mógł? - dopytywała się, po czym padało pytanie: - Ilu osób nie obsłużył w tym czasie, ponieważ był zajęty zaspokajaniem twoich potrzeb?

Według Emetru prawidłowa odpowiedź brzmiała „piętnaście”, więc się z tym zgodziłam... Taki właśnie przebieg miały owe przesłuchania. Jeśli nie miało się nic do wyznania, należało sprytnie zmyślać, żeby w końcu mieć to za sobą.

Gdy nie byłam zajęta sprzątaniami lub robieniem prania albo nie odbywałam sesji z panem Rathbun, przebywałam w college'u dla kadry, słuchając „Wykładów panelowych o ludzkiej kondycji” autorstwa LRH. Wykłady te, wygłaszane w typowym dla Hubbarda stylu, dotyczyły spraw tak różnych, jak greccy filozofowie, historia starożytnego Rzymu czy

wyjaśnienie jego upadku wykroczeniami przeciw 2D. Wszystko to ubarwiały opowieści o poprzednich wcieleniach L. Rona Hubbarda. Myśl przewodnia zaś była taka, że najważniejsze są uczciwość i czyste ręce. Każdy, kto mówi źle o scjentologii, jakiejś innej osobie lub sprawie, niezależnie od tego, czy ma rację, czy nie, czyni tak, bo zrobił coś odrażającego, co próbuje ukryć.

Innymi słowy, ilekroć nie zgadzałaś się z czymś i głośno wyrażałaś swój sprzeciw, mówiono ci, że to ty coś ukrywasz. A jeśli nie miałaś nic do ukrycia, oznaczało to, że dopuściłaś się występku w poprzednim życiu. Nigdy nie wiedziałam, czy przyczyną, dla której czułam się tak, a nie inaczej, nie było to, że popełniłam kiedyś najgorsze z możliwych zbrodni - zbrodni tak straszliwych, że wspomnienie o nich zostało zagrzebane na dnie mojej psychiki. Ale jeśli tak właśnie było - a tak wszyscy twierdzili - to na czym te zbrodnie polegały?

Pewnego popołudnia jednego z tych monotonych dni byłam właśnie w college'u dla kadry, słuchając nagrań, gdy do sali weszła pewna dziewczyna, której twarz skądś znałam. Była to Kiri. Za nią weszło do pomieszczenia dwadzieścioro innych dzieciaków z Rancza, w tym B.J. Byłam w szoku. Nie wiedziałam, co tu robią. Na mój widok wszyscy zaczęli się uśmiechać i do mnie machać, ale gdy chcieli do mnie podejść, superwizorka oświadczyła im, że w sali kursów jest to surowo zabronione.

Ani przez chwilę nie zapominałam o tym, że Mayra mnie pilnuje, ale wiedziałam też, że kiedy obie przebywamy w sali kursów, Mayra nie musi odprowadzać mnie do łazienki. Miałam nadzieję, że Kiri wpadnie na ten sam pomysł. Nie zawiodłam się. Jakies dwadzieścia minut później Kiri i moja przyjaciółka Caitlin posłały mi znaczące spojrzenia i wyszły do łazienki.

Odczekałam co najmniej czterdzieści pięć sekund, po czym podniosłam się z krzesła.

- Dokąd idziesz? - zapytała superwizorka.

Powiedziałam, że muszę wyjść do łazienki, a ona pozwoliła na to pod warunkiem, że po powrocie zrobią mi test Emetrem. „Nawet dziesięć testów” - pomyślałam. Nie dbałam o to, chciałam tylko spotkać się z przyjaciółkami.

Czekały na mnie w łazience. Uściskałam je serdecznie, ucieszona ich widokiem. Zapytałam o powód wizyty.

- Byłyśmy na EPF - powiedziała Kiri. - Będziemy miały stanowiska we Flag.

Byłam zdumiona.

- A co z Ranczem? - zapytałam.

- Twoja mama i tata dostali specjalne zadanie znalezienia dla nas opiekunów i

wysłania nas wszystkich do Flag - albo do PAC, gdyby się okazało, że nie mamy dostatecznych kwalifikacji, by trafić do Flag. Na Ranczu nie ma już nikogo.

Zaniemówiłam ze zdumienia. Nie mogłam sobie wyobrazić, że na Ranczu nie ma już dzieci. Nikt nie wiedział, dlaczego zostało zamknięte. Kilka lat później moja mama wspominała, jak to stryj Dave powiedział jej, że Ranczo nie tylko było kiepską inwestycją, ale też dekoncentrowało mieszkających w Int Base rodziców dzieci z Rancza. Dzieci powinny były się uczyć scjentologii i jakiegoś konkretnego zawodu.

Byłam niezmiernie zdziwiona i z trudem potrafiłam ukryć ekscytację na wieść o tym, że moi znajomi znaleźli się w Clearwater. Widziałam jednak lęk na ich twarzach. Właśnie wysłano ich do placówki oddalonej o prawie pięć tysięcy kilometrów od Int, gdzie zostali ich rodzice. Dobrze, że chociaż przyjechali tu wszyscy razem. Gdy przybyłam tutaj trzy lata wcześniej, miałam zaledwie dwanaście lat i byłam zupełnie sama. Ponownie uściskałam dziewczyny i zapewniłam je, że wszystko będzie dobrze i że spodoba im się tutaj. Widząc, że noszę uniform CMO EPF, wywnioskowały, że mam kłopoty. Opowiedziałam im w skrócie, co się wydarzyło.

Właśnie wtedy weszła do łazienki Mayra, zapewne przejrząwszy nasz podstęp. Najwyraźniej jednak - dzięki Bogu - nie była w nastroju, by na nas donosić. Była skłonna zachować moje spotkanie z koleżankami w tajemnicy, choć posłała nam spojrzenie mówiące: „No dobra, pora kończyć”. Kiri, Caitlin i ja uściśniłyśmy sobie ręce, po czym wróciłyśmy do nauki.

Punktem kulminacyjnym każdego z kilku kolejnych dni był dla mnie moment, kiedy dzieci z Rancza wchodziły do sali kursów i z uśmiechem pozdrawiały mnie gestem. Zawsze starałam się usiąść naprzeciwko drzwi, choć nie zawsze było to możliwe. Jeszcze raz w ciągu owego tygodnia udało mi się wejść do ich sali kursów pod pretekstem sprzątanania. Kiri płakała. Powiedziała, że boi się rozstania z rodzicami. Próbowałam ją pocieszyć, mówiąc, że może na mnie liczyć.

Tego samego dnia zdecydowałam się wystąpić w obronie swoich przyjaciół, gdyż nie ulegało wątpliwości, że przeżywają trudne chwile. Ponieważ miałam podobne doświadczenia, idealnie się nadawałam do tego, by im pomóc. Napisałam list do CO, zwracając uwagę, że niektórzy kadeci mogą być przygnębieni i zestresowani tym, że już nie zobaczą rodziców. Napisałam jej, że Kiri jest przybita i że może da się coś zrobić dla tych dzieci, na przykład zorganizować im sesję, żeby poczuły się lepiej. Zaproponowałam nawet, że sama się z nimi spotkam i zafunduję im podnoszącą na duchu przemowę.

Mój plan spalił na panewce. Nazajutrz CO wzięła mnie na bok i zrobiła mi awanturę.

- Nie minął tydzień, odkąd zjawiły się tu dzieci z Rancza, a ty już zatruwasz ich swoim jadem! - krzyczała. - Rozmawiałam z Kiri. Wszystko u niej w najlepszym w porządku! - Dodatkowo zabroniła mi rozmawiać z tymi dziećmi i w ogóle się z nimi widywać.

Czułam, jak moja twarz czerwienieje z gniewu, wiedziałam jednak, że jeśli jeszcze raz odpyskuję, wyślą mnie na RPF. Byłam już na granicy wybuchu z powodu częstych osobistych ataków, na jakie pozwalała sobie wobec mnie Julia. Nie tylko była największą skarżypytą, ale też mnie nienawidziła, co stanowiło zabójczą mieszankę. Była miłutka i słodka aż do bólu przy zwierzchnikach, zaś pod ich nieobecność patrzyła na mnie ze wstrętem. Zaczęła coraz bardziej wkradać się w łaski przełożonych, głównie dzięki podlizywaniu się i gnębieniu innych. Tymczasem mnie kazano korzystać z osobnego wejścia do budynku WB, bym nie pokazywała się na oczy ciotce Shelly i stryjowi Dave'owi, bo doprowadzałam ich do pasji.

To były trudne tygodnie. Byłam wciąż krytykowana przez Julię, CO i pana Anne Rathbun, która atakowała mnie po każdej sesji, mówiąc, że „jestem wyrzutkiem”, „kryminalistką”, a wreszcie - że jestem SP. Wszystko to zdawało się trwać w nieskończoność. Ciągłe powtarzanie mi, że jestem bardzo złym człowiekiem, skłoniło mnie do przyjrzenia się samej sobie i zanalizowania własnych uczuć, intencji i tego, co uważałam za prawdę. W rezultacie przejrzałam na oczy. Doszłam do wniosku, że wszyscy ci ludzie wmawiający mi, że jestem zła, to banda hipokrytów. Utrzymywali, że zależy im na innych, podczas gdy w rzeczywistości byli egoistami. Wystarczyło mieć oczy otwarte i ufać samemu sobie. Owszem, zdarzało mi się postąpić niewłaściwie, ale wiedziałam też, że moje wykroczenia, wbrew temu, co mówili wszyscy wokół mnie, nie były przejawami zła.

Nagle przestałam się obawiać nazywania rzeczy po imieniu, nabierając zaufania do własnego osądu w kwestii oceny innych osób i samej siebie. Wcześniej analizowałam swoje uczucia pod kątem tego, co wedle scjentologii powinnam czuć. Wydawało mi się wtedy, że jeśli mam inne odczucia, to na pewno błędę. W rezultacie nieustannie w sobie wątpiłam. Wątpiłam w to, czy jestem dobrym człowiekiem, czy otaczający mnie ludzie są dobrzy, czy moje uczucia są odpowiednie - a wszystko dlatego, że scjentologia wywoływała we mnie poczucie, że to ze mną jest coś nie w porządku.

Teraz jednak po raz pierwszy w życiu byłam w stanie ujrzeć siebie taką, jaka byłam naprawdę - jako osobę, która popełniła błędy i chce za nie odpokutować. Być może nie podjęłam samych bezbłędnych decyzji, jednak nie czyniło mnie to złym człowiekiem, a tym bardziej - wcielonym złem. „Wcielone zło...” - tutaj popełnili błąd. Miałam wątpliwości co do wielu rzeczy, ale wiedziałam, że nie jestem zła. Jednej rzeczy byłam pewna: troszczyłam się o innych. Bardzo leżało mi na sercu dobro moich przyjaciół i zawsze przedkładałam je ponad

własne. Wiedziałam, że nie jestem SP, ponieważ SP nie miewają takich odczuć. Nie miałam wątpliwości, że jestem dobrym człowiekiem, i nie dbałam o to, co mówią lub myślą o mnie inni, niezależnie od ich rangi czy pozycji. Gdy sobie to uświadomiłam, chmury nad moją głową w jednej chwili się rozpierzchnęły.

Miałam wrażenie, że uświadomiwszy to sobie, zaczęłam być wierna swoim przekonaniom - zamiast lekceważyć własne uczucia czy intuicje, szłam odtąd za ich głosem, nawet jeśli prowadziły mnie ku czemuś, co scjentologia uznawała za zło.

To było niesamowite. Teraz, kiedy na mnie krzyczano, mówiłam: „Tak, sir”, lecz tak beznamyślnie, nieprzekonująco i z taką obojętnością, że zaczynałam wkurzać ludzi. Nie zamierzałam dać się skrzywdzić. Nawet lekko się uśmiechałam na myśl, że ich nie słucham, a oni się wściekają. Na spotkaniach kadry wywoływano mnie w obecności całej grupy i mówiono o moich wpadkach, czyli sprawach, które wyszły na jaw podczas sesji. Na przykład, że uśmiechnęłam się do przyjaciół, co oznaczało, że nie koncentrowałam się w pełni na nauce, albo że przez chwilę gawędziłam z Mayrą, zamiast pracować jak niewolnik. Cokolwiek zrobiłam nie tak jak należy, musiało to wyjść na jaw podczas sesji.

- Jenno, masz na swoim koncie jakąś wpadkę? - CO żądała, bym odpowiedziała na to pytanie przed całą grupą.

- Żadnej poza tymi, o których wszyscy już wiedzą i które ujawniłam w zeszłym tygodniu - odpowiadałam.

To nieuchronnie prowokowało atak.

- Och, jesteś bardzo sprytna, Jenno! Popisuj się na oczach wszystkich przed CO! Zmień swoje zachowanie albo trafisz prosto na zmywak w kambuzie!

W obecności całej grupy CO przedstawiała moje postęпки jako przykład na to, jak nie należy się zachowywać.

Żona Toma Jenny przebywała akurat we Flag, gdzie zajmowała dawne stanowisko mojej mamy w Watchdog Committee. Wciąż mile wspominałam czas spędzony w jej towarzystwie, kiedy to zaczynałam kurs „Klucz do życia”. Jenny poprosiła o prywatną rozmowę ze mną w nadziei, że dzięki temu zmienię nastawienie do wielu spraw. Powiedziała mi, że ona również kilka razy miała kłopoty i nie zawsze godziła się z tym, co kazano jej robić, ale jakoś przez to przeszła, powtarzając sobie dwie recepty LRH na szczęśliwe życie: „Bądź zdolny doświadczać wszystkiego” i „Stwarzaj tylko to, czego inni będą w stanie doświadczać bez wysiłku”.

Nie byłam pewna, czy dobrze ją zrozumiałam, ale odniosłam wrażenie, że Jenny jest po mojej stronie. Jednak następnego dnia na oczach wszystkich otwarcie oświadczyła, że

dostałam za wiele, że powinnam okazywać ludziom wdzięczność i współczucie.

Oniemiałam.

- Współczucie? - powtórzyłam. - Mówisz poważnie?

Wpadłam w kłopoty nie dlatego, że powinnam okazywać współczucie, a tego nie robiłam, ale dlatego, że miałam go zbyt wiele. Zaprzyjaźniłam się z ludźmi, których postrzegano jako znajdujących się zbyt nisko w hierarchii Kościoła, by warto było się z nimi przyjaźnić. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że uznany autorytet jest pompatyczny i wygaduje sprzeczności.

Moja wina polegała tylko na tym, że chciałam, by Kiri poczuła się bezpiecznie. Kiedyś bałam się tak samo jak ona. Chciałam zrobić coś dobrego, a potraktowano mnie jak egoistyczne, rozpuszczone dziecko wykorzystujące swoją pozycję. Nie wierzyłam już, by CMO miało się przysłużyć ludzkości. Wydawało mi się, że chodzi raczej o dokręcenie śruby.

Jedyną reakcją Jenny na moje oburzenie był śmiech.

- To dla ciebie typowe, Jenno.

Nie wiedziałam, co przez to rozumie, ale przynajmniej nie miałam kłopotów z powodu pyskowania.

Po kilku miesiącach pan Rathbun przekazała mnie Jelenie, audytorce CMO. Podczas przesłuchania miała założone słuchawki z mikrofonem. Wiele razy słyszałam dochodzące z nich głosy jakichś ludzi, którzy wykrzykiwali pytania, jakie ma mi zadawać. Sesje ciągnęły się po osiem godzin. Jedynym sposobem, by mieć je za sobą, było udzielanie jak najszybszych odpowiedzi i sprawienie - dzięki przywoływaniu radosnych myśli - by wskazówka na skali Emetru poruszała się swobodnie. Zadanie to z czasem stawało się coraz trudniejsze.

Pewnego dnia, po kilku miesiącach EPF, któregoś niedzieli pozwolono mi w końcu pójść do szkoły razem z innymi. Wtedy zobaczyłam Martino. W ciągu dnia pilnował mnie teraz Steven, mały chłopiec z CMO, bo Mayra z racji wieku nie chodziła już do szkoły. Widziałam, że mają oko również na Martino, który wykonywał prace MEST. Pewnego razu, kiedy Steven włókł się z tyłu, idąc korytarzem, zajrzałam do jednej z sal. Wiedziałam, że jest tam Martino.

Podeszłam do niego i zauważyłam, że zachowuje ostrożność. Skinęłam ręką, by się zbliżył, ale on zerknął na dwoje pilnujących go ludzi, którzy przyglądali mi się podejrzliwie. Dałam mu znak, żeby mimo to podszedł. Jego opiekunowie spojrzeli po sobie, po czym odwrócili wzrok na znak, że niby mnie nie widzą. W końcu byli to tylko kadeci, nie tacy służbiści jak trzymający przy mnie straż ludzie z CMO. Kiedy Martino znalazł się przy mnie,

łzy napłynęły mi do oczu.

- Tak mi przykro - szepnęłam do niego. - Naprawdę nie chciałam, żeby tak się to potoczyło. Błagałam ich, żeby cię do tego nie mieszała, i czuję się podle, że cię w to wciągnęłam.

- O rany, to nie tylko twoja wina - przerwał mi. - Nawet tak nie mów. Mam wrażenie, że to ja przekreśliłem twoją przyszłość. Teraz jesteś w CMO EPF - powiedział ze smutkiem, wskazując na mój uniform.

I właśnie wtedy nadszedł Steven.

- Co tu się dzieje? - zapytał głosem małego chłopca, lecz z powagą oficera śledczego.

Miał tylko dziesięć lat i był o jakieś trzydzieści centymetrów niższy ode mnie. Trudno było traktować go poważnie, ale wyznaczony na mojego opiekuna bardzo wczuwał się w tę rolę. Niepokojące było obserwowanie tego, jak despotyczny może stać się taki dzieciak, otrzymawszy odrobinę władzy. Martino na chwilę położył mi rękę na ramieniu, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Dwaj chłopcy, którzy go pilnowali, byli jego przyjaciółmi, więc z powodu naszej krótkiej rozmowy groziło mu mniejsze niebezpieczeństwo niż mnie.

Rzuciłam Stevenowi błagalne spojrzenie w nadziei, że nikomu nie powie, co widział. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Raz nawet uchroniłam go przed gniewem Julii i miałam nadzieję, że teraz mi się odwdzięczy, ale się zawiodłam. Kilka minut później rozmawiał przez telefon, donosząc o wszystkim. Po mniej więcej półgodzinie ktoś już jechał po mnie do Quality Inn samochodem należącym do Org. Szkoła skończyła się dla mnie, zanim się rozpoczęła - nie wolno mi już było tam chodzić.

Miałam wrażenie, że wydobyć się z tego zakłętą kręgu jest niemożliwe. Nawet zachowując się nienagannie, nie byłam w stanie się z niego wyrwać. Wykańczało mnie to.

W końcu, po tym, jak całymi miesiącami traktowano mnie jak zakałą ludzkości, CO zadała mi pytanie, co mnie powstrzymuje przed realizacją programu. Szczerze odpowiedziałam, że nie mogę się zgodzić z pewnymi zarzutami, jakie mi postawiono: że latam do rodziców przy byle okazji i że z mojego powodu zamknięto Ranczo. Nie mogłam się również pogodzić z tym, że tyle hałasu robiono z powodu moich telefonów. Powiedziałam też, że od moich przyjaciół z Rancza wiem, że oni też ciągle dzwonili do swoich rodziców w Int.

Zażądałam rozmowy z ciotką Shelly. Zgodziła się z wyraźną ulgą, a zarazem z niepokojem, jakby już od jakiegoś czasu chciała ze mną rozmawiać. Spotkanie odbyło się w WB, w jednym z pomieszczeń do audytowania. Ciotka Shelly zachowywała się szorstko i z rezerwą. Rzuciła mi tylko „dzień dobry” zamiast zwykłego uścisku na powitanie.



Opowiedziałam jej o swoich postępach, po czym przeszłam do podważania postawionych mi zarzutów. Kiedy zaczęłam przedstawiać szczegóły, ciotka bardzo się rozgniewała.

- Poświęcam ci swój cenny czas, a ty mówisz, że się pomyliłam? Nawet jeśli niektóre z oskarżeń pod twoim adresem nie są do końca zasadne, z pewnością zasadna jest spora część uwag w twoim etycznym dossier. - Zrobiła pauzę dla wzmocnienia efektu, po czym mówiła dalej: - Według mnie twoje kłopoty wynikają z niezrozumienia słów używanych w trakcie kursów, zwłaszcza przy *Vol Zero*. Musisz do niego wrócić i wyjaśnić sobie te słowa.

Był to jej sposób okazania, że przyznaje, iż nie cała wina leży po mojej stronie.

Myślałam, że na tym się skończy, ale ciotka postanowiła też przestrzec mnie przed mężczyznami:

- Wielu facetów, którzy pragną władzy i informacji, żeni się z dziewczynami z CMO, zaprzepaszczając im kariery. Musisz więc być ostrożna, bo takie rzeczy już się zdarzały.

Choć nie powiedziała mi tego wprost, domyśliłam się, że teraz nastąpi jakaś forma ułaskawienia. Ta wstawka o mężczyznach sugerowała, że ciotka uważa, że po części wina spoczywa na Martino - ja byłam tylko niczego niepodejrzewającą ofiarą. Powinam teraz trzymać się od niego z dala i zająć się wyjaśnianiem słów, których nie rozumiem. Na koniec rozmowy ciotka nawet mnie uściskała.

Następnego dnia stosunek innych do mnie zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Widocznie część moich argumentów trafiła ciotce Shelly do przekonania, najwyraźniej zmieniając jej nastawienie do mojej osoby, które niebawem udzieliło się również innym. Początkowo ciotka chciała mi dać do zrozumienia, że nikomu nie ujdzie na sucho wygłaszanie własnych opinii. Z drugiej strony, pomyślałam, być może jedynie udawała gniew, podczas gdy tak naprawdę to stryj Dave był wściekły z powodu mojej relacji z Martino, a ciotka musiała okazać gniew, żeby nie przysporzyć sobie kłopotów. Tak czy owak, musiała już mieć tego dosyć i jasne było, że już nie jest na mnie zła.

Przestano mnie też traktować jak czarną owcę. Mówiono, że robię wielkie postępy, że wkrótce się zrehabilituję i wrócę do łask otaczających mnie ludzi. Wtedy po prostu przyjąłem tę zmianę z wielką ulgą, dziś widzę, że była ona efektem wpływu, jaki mieli na ludzi stryj Dave i ciotka Shelly. Miesiącami dręczono mnie i obrażano, poniżano i szykanowano, pokazywano mi, gdzie jest moje miejsce, i mówiono, że jestem na samym dnie. A wystarczyła jedna rozmowa z ciotką, by mój los się odmienił. Tym razem wpływ stryjostwa na podwładnych podziałał na moją korzyść, bo ciotka najwyraźniej miała do mnie słabość i postanowiła mi wybaczyć, ale ze strachem myślałam o tym, co się działo, gdy stryj lub ona

nie chcieli komuś wybaczyć.

Mimo iż mi wybaczone, nie zostałam zwolniona z obowiązku powtórzenia CMO EPF. Pozwolono mi na krótkie rozmowy z przyjaciółmi z Rancza, wciąż jednak nie mogłam się z nikim spoufalać. Niebawem mnóstwo dzieci z Flag Cadet Org trafiło na EPF, w tym również Martino, Jasmine oraz Cece. Była to dobra wiadomość, bo moi przyjaciele z Flag zaprzyjaźnili się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi z Rancza, zwłaszcza z B.J.em, który od czasu opuszczenia Zachodniego Wybrzeża nie mógł się odnaleźć. Moi przyjaciele zaopiekowali się nim, wyświadczając mi przysługę. Ostatecznie pozwolono mi ukończyć CMO EPF w listopadzie 1999 - po pięciu miesiącach pracy.

Kiedy znowu stałam się pełnoprawnym członkiem CMO, przydzielono mi nową funkcję: zarządzający programami we Flag (Flag crew program operator). Załoga liczyła pięćset osób odpowiedzialnych za prowadzenie pięciu hoteli i czterech restauracji obsługujących scjentologów, którzy przyjeżdżali do Clearwater i korzystali z oferty Kościoła. W każdym hotelu była obsługa złożona z pokojówek i serwisantów, a w restauracjach byli zatrudnieni kierownicy sali, kelnerzy, kucharze, pomywacze oraz pomocnicy kelnerów. Pełniąc swoją funkcję, realizowałam programy, które miały na celu rozwiązywanie problemów organizacyjnych.

Uwielbiałam tę funkcję i ceniłam ją sobie znacznie bardziej niż naukę. Miałam pracę, a o tym zawsze marzyłam. Nie musiałam spędzać całych dni na sali kursów i mogłam do woli spacerować między budynkami. Poznałam nowych ludzi, nawiązałam nowe przyjaźnie i miałam poczucie, że się do czegoś przydaję. Mój szef, naczelny koordynator programów, był naprawdę fajnym facetem. Był inteligentny, pomocny i rozsądny. Doceniał też to, że ciężko pracuję. Od czasu do czasu zwracano mi uwagę, że noszę niestosowne ubrania. Z uwagi na PR pozwalano nam nosić w niedzielę zwykłe ubrania, ale CO często mnie upominała, żądając, bym nosiła stroje mniej obcisłe, a bardziej odpowiednie dla pełnionej przeze mnie funkcji: nie byłam już przecież małą dziewczynką. Jeśli chodzi o mnie, to nie uważałam, że moje ubrania są niewłaściwe.

Niemal nie widywałam Martino. Kiedy skończył EPF, przydzielono mu funkcję polegającą na przynoszeniu prowadzącym daną sprawę superwizorom teczek z materiałami dotyczącymi preclearów. Nie był to jednak mój obszar, więc rzadko bywałam w tych samych miejscach co Martino. Raz czy dwa przeszłam przez hotel w nadziei, że na niego wpadnę, ale tak się nie stało. Mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, nadal byłam w nim zakochana i nieustannie o nim myślałam. Dotarły do mnie plotki, że Martino podoba się także innym dziewczynom, więc doszłam do wniosku, że najprawdopodobniej i on się którąś

zainteresował. Wiedziałam też, że zagrożono mu obozem RPF, jeśli znów wpakuje się w kłopoty. Pozostałam w bliskich relacjach z naszymi wspólnymi przyjaciółmi.

Nadeszło i szybko minęło Boże Narodzenie 2000 roku. Były to moje kolejne święta spędzone z dala od rodziny. Czasy, kiedy latałam do Int na Beer & Cheese Party, a potem jechałam na wycieczkę do ośrodka narciarskiego z całym klanem Miscavige'ów, minęły bezpowrotnie. Nie rozmawiałam z rodzicami od lipca, kiedy to wysłano mnie na CMO EPF, choć od czasu do czasu dostawałam lis-ty - częściej od taty niż od mamy. Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale fakt, że znów są razem, dał mi poczucie bezpieczeństwa. Miałam wrażenie, że wszystko trochę bardziej przypomina czasy, nim pojawił się Don i nim mama trafiła na RPF. Zdaje się, że oboje rodzice postrzegali jej romans jako konsekwencję tego, że tak długo mieszkali oddzielnie. Ale i tak wszystko to nie miało dla mnie większego znaczenia, bo widywałam ich bardzo rzadko.

Z czasem coraz łatwiej mi było nie myśleć o Martino. Zamiast w niedzielę zaczęłam chodzić do szkoły w inny dzień tygodnia, żeby się na niego nie natykać. Podczas kursów zajęłam miejsce obok chłopca o imieniu Wil. Był wysoki i przystojny. Zauważyłam, że mnie lubi, bo zawsze zajmował dla mnie miejsce. Był naprawdę zabawny, grał też na gitarze, co oczywiście bardzo mi imponowało. Lubiałam z nim rozmawiać, bo zawsze uważnie mnie słuchał. Nie wychowywał się w Sea Org, więc zafascynowana słuchałam jego opowieści o świecie WOGS.

Nigdy nie poczułam tego samego do Wila co do Martino, mimo że nasza relacja się pogłębiała. Wszystko dobrze się układało. Do czasu. Pewnego dnia po szkole wraz z innymi czekałam na autobus, który miał zawieźć nas do Hacienda. Wil czekał razem ze mną i trzymał mnie za rękę, by odprowadzić mnie do autobusu. Nagle zobaczyłam Martino, który minął nas, najwyraźniej udając, że nas nie widzi. Nie chodziliśmy już do szkoły w ten sam dzień, więc sytuacja była naprawdę dziwna. Nie widziałam go od dawna. W kolejnym tygodniu przyszedłam na salę kursów i usiadłam przy Wilu. Obok niego, po drugiej stronie, siedział Martino i uśmiechał się promiennie. Celowo zmieniał swój dzień zajęć szkolnych, aby go unikać i trzymać się z dala od kłopotów, a teraz siedzieliśmy przy jednym stoliku. Byłam poirytowana, a nawet trochę zła na niego. Miałam wrażenie, że przestał się mną interesować, i poczułam się tym nieco dotknięta, choć przecież mogło być i tak, że również i on unikał mnie tylko w obawie przed nowymi kłopotami. Tak czy owak, naprawdę starałam się o nim zapomnieć i miałam wrażenie, że mi się to udawało.

Martino zdawał się czerpać przyjemność z faktu, że z powodu jego obecności na sali poczułam się nieswojo - co tylko jeszcze bardziej mnie zirytowało. Chwyciłam Wila za rękę i

przenieśliśmy się do sali obok, ale Martino poszedł za nami i usiadł przy naszym stoliku. Miałam ochotę go udusić, lecz nawet Wil najwyraźniej sądził, że wszystko to jest dość zabawne, choć nieco dziwne. Nie miałam pojęcia, po co Martino to robi. Kiedy w końcu wzięłam się w garść, on znowu wkraczał w moje życie. Postanowiłam zachowywać się tak, jakby go wcale nie było.

W następnym tygodniu sytuacja się pogorszyła. Dotarły do mnie wtedy pierwsze informacje o Justinie, od którego nie miałam żadnych wiadomości od ponad roku. Pewien mój przyjaciel z Rancza, odwiedzający Flag, rozmawiał z nim niedawno i miał jego numer telefonu. Postanowiłam zadzwonić do brata w porze lunchu.

Kierunkowy wskazywał na Los Angeles, więc doszłam do wniosku, że tam właśnie mieszka. Choć Justin znalazł się poza Sea Org, sądziłam, że być może pozostał w jakimś stopniu scjentologiem. Wykręciłam numer. Odebrała jakaś dziewczyna i przekazała mi słuchawkę. W głosie Justina wcale nie było entuzjazmu, choć mnie z emocji aż zakręciło się w głowie. Najpierw mój brat udawał, że nie ma pojęcia, z kim rozmawia. W końcu jednak po krótkim badaniu gruntu zdobył się na szczerłość.

- Słuchaj, mam gdzieś rodzinę. Nic dla mnie nie znaczący. Jesteś razem z Ronnie i Bitty, robisz, co ci każą, a ja nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Ale, Justin, ja wcale nie jestem z nimi. Nie rozmawiałam z nimi od wieków. Co ja mam wspólnego z tym, że masz do nich pretensje?

Jednak na nic się zdały moje wyjaśnienia - nie dało się go przekonać.

- Mam ich gdzieś, ciebie też. Nie mam siostry.

Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Byłam zdruzgotana. Nie miałam pojęcia, co i dlaczego właśnie się stało. Zadzwoniłam do niego zupełnie spontanicznie.

Kiedy wróciłam do sali, z trudem panowałam nad emocjami. Choć nie rozmawiałam z Justinem, odkąd opuścił Sea Org, nigdy bym się nie spodziewała, że nasza pierwsza rozmowa będzie tak wyglądała. Nie przypuszczałam, że wpadnie w taki gniew. Jego słowa były potwierdzeniem moich najgorszych obaw sprzed prawie dwóch lat, kiedy odszedł z Flag. Bałam się wtedy, że na zawsze go straciłam. Co gorsza, na własne życzenie.

Wil niczego nie zauważył, ale Martino, który znowu siedział przy naszym stoliku, dostrzegł, że jestem przygnębiona, i spytał mnie o przyczynę. Starłam się powstrzymać łzy, kiedy opowiadałam mu o rozmowie telefonicznej. Martino okazał mi współczucie i zażartował, że skopie Justinowi tyłek, czym mnie rozśmieszył, bo mój brat był znacznie większy od niego. Wil siedział w milczeniu, nie biorąc udziału w rozmowie. Gdy kilka minut

później wyszedł do łazienki, Martino położył dłoń na mojej dłoni - mogłam cofnąć rękę, ale tego nie zrobiłam.

Reszta dnia minęła szybko. Kiedy nadjechał autobus, Wil chciał mnie pocałować na pożegnanie, ale się odsunęłam, więc od razu zapytał, czy to z powodu Martino. Skłamałam, mówiąc, że nie chodzi o to, że po prostu chcę trochę zwolnić tempo naszej relacji.

Przez kolejny tydzień próbowałam unikać Wila, ale najzwyczajniej nie było to możliwe. Wciąż za mną chodził. W końcu miał dzień wolny i nie przyszedł do szkoły, a wtedy ja i Martino mog-liśmy swobodnie porozmawiać. Znow znalazliśmy wspólny język, rozmawiając o wszystkim i wzajemnie sobie współczując. Teraz, kiedy Martino był już członkiem Sea Org, nie oceniał tak krytycznie scjentologii, co mi odpowiadało, bo również i mój osąd Kościoła złagodniał. Nadal czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie. Gdy spacerowaliśmy, objął mnie ramieniem - dokładnie tak, jak robił to wcześniej. Wszystkie uczucia wróciły. Jeszcze w tym samym tygodniu musiałam powiedzieć Wilowi, że moje uczucie do Martino nie wygasło. Był smutny, ale spodziewał się tego. Sprawiałam mu przykrość, ale wolałam nie robić mu nadziei.

Między mną i Martino było niemal tak jak kiedyś. W szkole siedzieliśmy obok siebie w sali kursów, a nasze nogi krzyżowały się pod stołem, rozmawialiśmy też podczas przerw. Dzień, w którym odbywały się zajęcia, znow stał się moim ulubionym dniem tygodnia.

Pewnego popołudnia, czekając na autobus, rozmawialiśmy o tym, że zakaz randek jest dużym problemem. Oboje byliśmy w Sea Org, więc powinni nam na to zezwolić. Tymczasem ciotka Shelly i Anne Rathbun zabroniły nam tego. Nie zostało to powiedziane wprost, jednak ciotka uznała, że Martino to nic dobrego, więc obie kobiety bezustannie miały mnie na oku. Już raz zawiniliśmy, więc powrót do dawnej sytuacji oznaczałby, że nic a nic się nie zmieniłam.

- Słuchaj, Jenno - powiedział Martino. Zjrzał mi w oczy, po czym zaczął się przypatrywać własnym butom. - Tym razem już mnie chyba nie obchodzi, czy będziemy mieli problemy.

To mówiąc, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### Przesłuchania

Tego wieczoru po powrocie do domu opowiedziałam wszystkim dziewczynom z pokoju, że Martino mnie pocałował. Byłam taka szczęśliwa - po prostu nie mogłam się powstrzymać. Choć wiele ryzykowaliśmy, zaczęliśmy się spotykać jeszcze częściej. Martino nie był już kadetem, więc zasadniczo wolno nam było się widywać, jednak z upomnień ciotki Shelly i pana Rathbun wyciągałam wnioski, że są niechętnie naszej relacji. Rozmawialiśmy ze sobą, ale musieliśmy się z tym kryć. Prędzej czy później ktoś by nas przyłapał, więc ograniczaliśmy się do ukradkowych uścisków rąk, po czym znikaliśmy.

Przed końcem września moja sytuacja była lepsza niż kiedykolwiek wcześniej. Uwielbiałam swoją pracę. Wszyscy moi przyjaciele z dzieciństwa na Ranczu przebywali teraz we Flag i choć część znajomości musiałam utrzymywać w tajemnicy, miałam mnóstwo przyjaciół zarówno pośród członków CMO, jak i poza tą formacją. A najlepsze było to, że odtąd mogłam już być z Martino. Powinnam się była domyślić, że wszystko układa się zbyt pięknie. Powinnam też była słuchać rady jednego z moich przyjaciół, który przestrzegał mnie, żebyśmy z Martino zachowali ostrożność, bo w podobnych okolicznościach wpadliśmy w kłopoty za pierwszym razem.

Kilka dni później pan Rathbun wezwała mnie do swojego gabinetu. Powiedziała, że mam się poddać przesłuchaniu z użyciem Emetru. Zadawała mi rozmaite dziwaczne pytania, dotyczące na przykład moich rodziców i ich kolekcji starych monet lub jakichś zdjęć, pytając, czy już je kiedyś widziałam. Oznajmiła, że owe fotografie znajdowały się na rolce filmu, który wysłałam tacie. Na jednej z nich była moja współlokatorka Mayra w samej bieliźnie i podkoszulku. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zrobiłam wiele zdjęć i wysłałam tacie całą rolkę filmu. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób trafiła do rąk pana Rathbun, ale choć jej pytania były dziwne, nie przestawałam myśleć o tym, że zaraz spyta mnie o Martino. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie w pełni współpracować, byleby nie skierować na niego uwagi przesłuchującej.

Przesłuchanie przebiegło dziwnie gładko, a pan Rathbun powiedziała, że da mi znać, gdy będzie miała jeszcze jakieś pytania. Najbardziej cieszył mnie fakt, że ani razu nie zapytała o Martino.

Niestety następnego dnia znów mnie do siebie wezwała. Tym razem zaczęła zadawać

bardziej osobiste pytania, na przykład, czy coś ukrywam, po czym przeszła do pytań, których udało mi się uniknąć poprzedniego dnia. Wyglądało na to, że nie wie o mnie i Martino, zaczęła jednak wypytywać o moich rodziców. Próbowałam się wymigać od odpowiedzi, ale ona nie dawała się zwieść - podobnie zresztą jak Emetr.

- I tak się dowiem, co ukrywasz - oznajmiła złowieszczo.

Ostatecznie po kilku godzinach intensywnego wypytywania złamałam się. Opowiedziałam, że ja i Martino się całowaliśmy. Najpierw chciała wiedzieć, czemu czułam potrzebę zatajenia tego, co według mnie było naprawdę głupim pytaniem. Potem miałam opowiedzieć jej wszystko ze szczegółami: jak blisko siebie byliśmy podczas pocałunku, jak długo on trwał, jakie były moje intencje, jak do niego doszło, jakie były moje najskrytsze myśli w tamtej chwili. Ujawnianie wszystkich szczegółów dotyczących tak intymnej sytuacji było naprawdę nie do zniesienia. Podobne szczegóły nie powinny nikogo interesować. Pomijając już to, że gdyby nie wrogość ciotki Shelly i pana Rathbun wobec mnie i Martino, pozwolono by nam się całować. Wykroczenie przeciwko 2D dotyczyło jedynie pettingu i seksu, nie wiedziałam więc, dlaczego poddano mnie tak szczegółowemu przesłuchaniu.

Gdy było już po wszystkim, byłam pewna, że mam prawdziwy problem. Pan Rathbun powiedziała jednak, że mogę powrócić na przydzielone mi stanowisko. Nie wiedząc, czego jeszcze mam się spodziewać, opowiedziałam o sesji Martino, który martwił się o mnie, ale nie dbał o to, co pomyśli Rathbun. Według niego nie robiliśmy nic złego, więc nie było powodu do obaw. Minęły dwa dni i kiedy już miałam wrażenie, że dali mi spokój, po raz kolejny mnie wezwano. Tym razem pan Rathbun zakomunikowała, że czeka mnie kolejne kilkutygodniowe przesłuchanie.

Pierwszym zatajeniem, do jakiego się przyznałam, było to, że kilka tygodni wcześniej, podczas pierwszych wolnych dni, jakie miałam od miesięcy, przekłułam pępek. Zrobiłam to z okazji szesnastych urodzin w obecności kuzynów, kilkorga ich przyjaciół oraz ciotki Denise, która podpisała w zastępstwie matki formularz zgody na zabieg. Babcia ostrzegła mnie, że wpadnę przez to w kłopoty, ale i tak to zrobiłam.

Ku memu zaskoczeniu pan Rathbun przyjęła tę wiadomość spokojnie. Jeszcze ciekawsze było to, co miała do powiedzenia w sprawie Martino.

- Wstrzymaj się trochę, Jenno. Bez względu na to, co jest między wami. Tylko na czas przesłuchania. Potem będziecie mogli zacząć od miejsca, w którym skończyliście.

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziała. Pomyślałam, że choć niewidywanie się z Martino przez jakiś czas będzie bolesne, to jeśli dzięki temu za kilka tygodni nie będziemy już musieli się ukrywać, może warto spróbować. Gdy znów spotkałam się z Martino,

podzieliłam się z nim tą wiadomością. Był załamany i zły, że musimy poczekać, ale powiedziałam mu, że już wkrótce będę mieć za sobą przesłuchanie. Nie wyglądał na ucieszonego, ale postanowił mi zaufać.

Kilka dni później ujrzałam go wraz z matką, hałaśliwą Włoszką o barwnej osobowości, którą lubiłam niezależnie od tego, że była matką Martino. Pochyliła się ku mnie i szepnęła, że muszę być silna i że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, ponieważ źli ludzie wciąż tylko czepiają się dobrych. Uściskała mnie, a Martino chwycił mnie za rękę i ze smutnym uśmiechem powiedział, żebym szybko się z tym uporała, po czym oboje się oddalili. Widziałam go wtedy po raz ostatni.

Pewnego popołudnia pan Rathbun zupełnie mnie zaskoczyła. W jej gabinecie zastałam dwóch moich przełożonych: CO oraz mojego szefa, naczelnego koordynatora programów. Podobnie jak ciotka Shelly pan Rathbun ostro mnie skrytykowała, mówiąc, że dopuściłam się poważnego naruszenia zasad etyki i że powinnam trafić na RPF. Nie mogłam zrozumieć, co się zmieniło od czasu mojej ostatniej sesji. Pan Rathbun była wyjątkowo niemila. Powiedziała mi wprost, że osoby uważające się za moich przyjaciół lubią mnie tylko z powodu nazwiska i że w gruncie rzeczy jestem rock slammerem. Zachowywała się zupełnie inaczej niż podczas naszej ostatniej sesji. Poczulałam się zdradzona.

Pan Rathbun natychmiast zarządziła, by pilnowano mnie przez całą dobę. Miałam znów włożyć uniform CMO EPF - choć nie odbywałam EPF. Musiałam bez końca sprzątać łazienki i klatkę schodową. Nowej dyrektorze naszego wydziału polecono mieć mnie na oku. Godzinami była ze mną na klatce schodowej lub w łazience, które właśnie sprzątałam. Kiedy jednak wyszło na jaw, że jest wobec mnie serdeczna i że opowiada mi nawet historie o Harrym Potterze, by szybciej upływał mi czas, zwolniono ją z obowiązku pilnowania mnie i zastąpiono kimś innym.

Choć byłam z powodu tego wszystkiego bardzo przygnębiona, zdołałam znacznie lepiej zapanować nad emocjami niż wtedy, gdy napisałam do ciotki Shelly, aby zgodziła się na mój powrót do Cadet Org.

Może dlatego, że byłam tak zadowolona ze swojego wcześniejszego życia, koncentrowałam się teraz na wypełnianiu przydzielonych mi zadań i na tym, by wszystko wróciło do normy. Robiłam po prostu to, co robić musiałam, aby prędzej czy później pozwolono mi powrócić do Martino i do mojego wcześniejszego życia.

Choć nie zareagowałam tak jak po odrzuceniu mojej prośby o przeniesienie, nadal nie dawało mi spokoju, co takiego zrobiłam, że zasłużyłam sobie na taką karę. To prawda, że ukrywałam wszystko, co dotyczyło Martino, ale i tak kara była nieproporcjonalnie surowa w



stosunku do przewinienia. Nie złamałam żadnego prawa scjentologii - jedynie sprzeciwiłam się ciotce Shelly i panu Rathbun. Naprawdę nie miałam pojęcia, dlaczego zostałam tak ukarana. -Owszem, spotykałam się z Martino i przekłułam pępek, ale nie były to żadne przestępstwa. Kilka razy zdarzyło mi się lenić, podczas gdy powinnam była pracować, ale zdarzało się to wszystkim. Na innych winowajców nie czekali ludzie z RTC, by ich przesłuchiwać, ilekroć tamci robili fałszywy krok. Dlaczego więc postępowano tak ze mną?

Kiedy nie sprzątałam, odbywałam wyczerpujące sesje z panem Rathbun. Obfitowały one w pytania przygotowane specjalnie dla mnie. Czy nadużywałaś nazwiska, by coś dzięki temu uzyskać? Czy masz złe intencje wobec swojego stryja? Przesłuchania stanowiły najważniejsze narzędzie kontroli, którym posługiwano się w Kościele, a wszystkie sesje nagrywano na wideo. W większości wypadków wykorzystywano owe przesłuchania, by osoba im poddana mogła się oczyścić i wejść na kolejny poziom ku całkowitej wolności. Jednak w moim wypadku służyły one temu, by trzymać mnie w ryzach. Przesłuchiwano mnie, ponieważ pyskowałam, nie zgadzałam się z innymi, byłam trudna lub też dlatego, że często bywałam przygnębiona, co było postrzegane jako zakłócanie trójkąta ARC. Między dwunastym a piętnastym rokiem życia poddano mnie co najmniej ośmiu przesłuchaniom. Nie słyszałam, by jakikolwiek inny pracownik odbył ich aż tyle w tak krótkim czasie, chyba że był na RPF. Nie znosiłam przesłuchań i nie rozumiałam, dlaczego tyle razy musiałam być im poddawana.

Ilekroć ktoś był przygnębiony lub nie zgadzał się z czymś, co dotyczyło organizacji, mówiono w Kościele, że to dlatego, że coś zataja. Jeśli miałeś jakiegokolwiek uwagi krytyczne, z czymś się nie zgadzałeś, czemuś się sprzeciwiałeś, uważano, że to dlatego, iż zrobiłeś coś złego. W ten sposób zamykano ludziom usta. Miałam nie tylko analizować swoje życie pod kątem zatajonych przewin, ale też zachęcano mnie do tego, bym cofając się pamięcią do poprzednich wcieleń, tam właśnie szukała podobnych zatajeń będących przyczyną moich obecnych występów.

Nie wolno mi było jednak od razu przeskakiwać do poprzednich wcieleń. Musiałam dochodzić do nich stopniowo, odpowiadając na kolejne pytania audytorów. Jeśli Emetr wskazywał, że już kiedyś przebyłam podobną drogę, zachęcano mnie, bym kontynuowała wyznania. Ten nacisk na przeszłe wcielenia zawsze sprawiał, że miałam wrażenie, że wymyślam odpowiedzi, jednak dzięki temu wszystko odbywało się sprawniej. Kiedy nie potrafiłam wskazać żadnych prawdziwych zatajeń, co zdarzało się często, zagłębianie się w wyobrażony świat przeszłych wcieleń, nieskrępowany żadnymi ograniczeniami, bardzo mi pomogło. Czasem czułam się lepiej, ale było tak chyba wyłącznie dlatego, że zamiast mówić

o przewinieniach mojego obecnego życia, mogłam opowiadać o jakimś życiu wymyślanym, co było łatwiejsze i przynosiło ulgę. Póki audytor mówił, że Emetr wskazuje, że jestem na właściwym tropie, moje słowa nie wzbudzały w nim wątpliwości. Nikt w żaden sposób nie weryfikował żadnej z moich opowieści.

Mnóstwo ludzi wymyślało różne niestworzone historie. Przypisywali sobie zbrodnie polegające na wysadzaniu w powietrze całych planet i inne równie fantastyczne rzeczy. Wymyślali skomplikowane fabuły i szczegółowo opisywali bohaterów - często trudno było w to wszystko uwierzyć. Ja byłam bardziej powściągliwa. Nigdy nie tworzyłam realistycznych postaci ani skomplikowanych fabuł - nie byłam na tyle zuchwała, by zachowywać się tak, jakbym była tego wszystkiego całkowicie pewna. Kiedy przekonałam się, że dzięki wspomnieniom o minionych wcieleniach robię postępy na sesji, zaczęłam je wykorzystywać.

Często owe poprzednie wcielenia stanowiły jakąś alternatywną wersję mnie samej. Zazwyczaj byłam w nich po prostu dziewczyną z moich przeszłych wcieleń, których nie ogarniałam. Pamiętałam rzekomo, jak przed setkami lat byłam biedną dziewczyną, która musiała coś ukraść. Innym znowu razem niby to przypominałam sobie, że ściga mnie jakiś zły, przerażający człowiek, którego w końcu zabijam. Wyobrażałam sobie, że jest to wspomnienie pochodzące z jednego z moich wcieleń i że to z jego powodu mam nocne lęki, ogarniają mnie niepokój i paranoiczne uczucie, że ktoś mnie śledzi. Często takie obrazy brałam z obejrzanego filmu lub przeczytanej książki. Pod koniec sesji wskaźnik na skali Emetru zawsze płynnie się poruszał, więc nie zamierzałam tego podważać. Nigdy nie miałam pewności, czy zachowanie wskaźnika ma jakiś związek z prawdziwością mojej historii. Zawsze mi powtarzano, że w miarę wchodzenia na kolejne poziomy mostu moje wspomnienia z poprzednich wcieleń będą coraz wyrazistsze.

Chociaż tylko udawałam, że docieram do swoich przeszłych wcieleń, nie miałam przez to wątpliwości, czy w ogóle da się je przywołać. Przez całe swoje życie byłam przekonana o istnieniu takich wcieleń i choć czułam się trochę jak oszustka, nie mogąc w pełni ich doświadczyć, niejednokrotnie udawało mi się przekonać samą siebie, że są prawdziwymi wcieleniami - a udawało mi się to zwłaszcza wtedy, gdy wmówienie sobie tego oznaczało szybsze ukończenie sesji.

Same sesje były koszmarnie i trwały co najmniej po sześć godzin. Kilka razy poważnie się zastanawiałam, czy nie wyrzucić Emetru przez okno. Pan Rathbun manipulowała moimi słowami, zmuszając mnie do przyznawania się do rzeczy, których nie popełniłam, byle tylko uzyskać jakąkolwiek odpowiedź na swoje pytania. Jeśli wskaźnik Emetru nie reagował, pan Rathbun zmuszała mnie do jedzenia, niezależnie od tego, czy byłam głodna, czy nie -

przypuszczalnie dlatego, że Emetr miał działać sprawniej, gdy osoba badana była najedzona.

Dziwne było to, że nieraz podczas przerw między sesjami pan Rathbun po prostu przyjaźnie ze mną rozmawiała. Miałam wrażenie, że według niej moim największym problemem było uprzywilejowanie: sądziła, że przez to, że jestem z Int i nazywam się Miscavige, uważam, że należy mi się specjalne traktowanie. Nie mogła bardziej się mylić. W głębi serca bowiem czułam, że moją rodziną nie byli Miscavige'owie, lecz przyjaciele z Sea Org. Mój dom był tutaj, we Flag.

Po kilku tygodniach przesłuchań pan Rathbun miała już dosyć całej tej farsy. Oznajmiła mi z wrogością w głosie, że mam na sumieniu tyle zatajeń, że zaoszczędzimy sporo czasu, jeśli spiszę je na komputerze. Dzięki temu będzie mogła tę listę wydrukować i wysłać komu trzeba. Znacznie łatwiej mi było spisywać swoje wyznania przed ekranem komputera niż w jej obecności. Mogłam przynajmniej napisać o tym, co wydarzyło się naprawdę, i nikt się mnie nie czepiał. Jednocześnie wciąż miałam być poddawana testom z użyciem Emetru. Kiedy drukarka pracowała zbyt wolno, pan Rathbun wpadała w furję i krzyczała, że marnuję jej czas. Po jakimś czasie przesłuchania odbywały się już bez komputera.

Oprócz odbywania przesłuchań znów musiałam słuchać koszmarnych „Wykładów panelowych o ludzkiej kondycji” albo szorować toalety i płytki w toaletach szczoteczką do zębów. Jeśli w budynku, w którym sprzątałam, przebywali akurat stryj Dave lub ciotka Shelly, kazano mi jeść w łazience, żebym przypadkiem nie natknęła się na nich na korytarzu, bo mogłabym ich rozdrażnić, a tym samym wywołać zakłócenie w samej scjentologii.

Wszystko w moim życiu układało się w taki sposób, że czułam się uwięziona. Albo zamykano mnie w jednej z łazienek budynku WB, albo razem z panem Rathbun siedziałam w sali audytowania lub w innym pomieszczeniu, słuchając nagrań LRH. Nie wolno mi też było wracać do domu autobusem - odwożono mnie samochodem, by izolować mnie od przyjaciół. Pozwalano mi wziąć pięciominutowy prysznic, a następnie miałam kłaść się do łóżka. Przez większą część nocy nie mogłam spać, ale nie mogłam też nigdzie pójść - ktoś zawsze pełnił straż pod drzwiami pokoju. Zabierano mi nawet listy, które dostawałam od przyjaciół.

Pewnego wieczoru, po całych miesiącach sprzątania łazienek, usłyszałam ważne wieści od pana Rathbun, która przyszła do mnie w towarzystwie CO.

- Skończyłaś program etyczny - powiedziała. - Rozumiesz już błędność swoich wyborów i dzisiaj wieczorem wracasz do domu.

Stwierdzenie to było od rzeczy, bo przecież byłam w domu - mój dom był tutaj, w bazie Flag.

- To znaczy dokąd? - zapytałam, sądząc, że może pan Rathbun ma na myśli jakąś inną kajutę.

- Do Int - odpowiedziała.

Kiedy wymówiła te dwa słowa, poczułam, jak opuszcza mnie całe podniecenie. Mój dom był we Flag. Moja babcia, ciocia Denise i moi kuzyni - wszyscy mieszkali w Clearwater, nareszcie miałam więc krewnych w pobliżu. We Flag byli wszyscy moi przyjaciele, a także, co chyba najważniejsze, Martino. Choć lata spędzone tutaj były nieustanną walką, we Flag znalazłam szczęście, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam. A teraz kazano mi to wszystko porzucić.

- Mam wracać? - zapytałam z rozpaczą w głosie. - Czy wolno mi chociaż pożegnać się z babcią?

Nie odważyłam się nawet wspomnieć o pożegnaniu z przyjaciółmi, wiedziałam też, że nie powinnam pytać o Martino.

- Pożegnamy ją w twoim imieniu - wtrąciła CO zza pleców pana Rathbun.

- W porządku - odparłam, wciąż oszołomiona.

Sądziłam, że przypuszczalnie wrócę za kilka dni - tak się przynajmniej pocieszałam. Obie kobiety natychmiast weszły do mojego pokoju i pomogły mi spakować wszystkie moje rzeczy do toreb. Powiedziałam im, że nie muszę brać wszystkiego, na co one odrzekły, że chyba jednak powinnam - na wszelki wypadek. Nie wiedziałam, co to miało znaczyć, ale poczułam strach. Uściskały mnie, jakbyśmy były dobrymi przyjaciółkami, i pożegnały się ze mną. Tom zawiózł mnie na lotnisko. Poprosiłam, żeby pożegnał ode mnie Martino, a on obiecał, że to zrobi.

## Rozdział dwudziesty

### Drugi L.A.

Kiedy przyleciałam do Los Angeles, miałam oczy zapuchnięte od płaczu - przepłakałam pół lotu. Choć w ciągu ostatnich czterech lat niezbyt często widywałam rodziców, już wiele razy przemierzałam tę liczącą niemal pięć tysięcy kilometrów trasę. Nigdy jednak nie byłam z tego powodu tak przygnębiona jak teraz.

Z lotniska odebrała mnie jakaś kobieta, którą słabo kojarzyłam. Jadąc autem przez Los Angeles, szybko poczułam fascynację tą tętniącą życiem metropolią. Gdy stanęliśmy w porannym korku, rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam wszechobecne ogromne billboardy, wzgórza w oddali, tłumy ludzi rozmawiających ze sobą i spieszenie idących chodnikiem. Poczułam się jak w innym świecie.

Myślałam, że szybko przejedziemy przez L.A., po czym zjedziemy na Route 60 East i pojedziemy do Int, oddalonego od L.A. o jakieś dwie i pół godziny jazdy. Tymczasem samochód skręcił na parking, a za nami automatycznie zamknęła się brama. Przeszliśmy przez ulicę, docierając do gmachu wielkiego budynku, którego nie rozpoznałam, a który nosił nazwę Hollywood Guaranty Building. Ściany przestronnego hallu były wyłożone marmurem, a wysoki sufit pokrywały malowidła. Nadal nie wiedziałam, dlaczego tu jesteśmy, ale postanowiłam, że nie będę pytać, bo jak się domyślałam, towarzysząca mi kobieta była jedynie szoferem. Wokół kręcili się członkowie Sea Org, którzy wydali mi się jacyś inni niż zazwyczaj. Nosili stare niebieskie uniformy Sea Org, których my od pewnego czasu już nie używaliśmy - nowe w mniejszym stopniu nawiązywały do marynarki wojennej: koszule i apaszki miały inny kolor. Wszyscy noszący owe przestarzałe niebieskie uniformy członkowie Sea Org nie pasowali do reszty świata Sea Org - widząc ich, miałam wrażenie, jakbym się cofnęła w czasie.

Przeszliśmy obok ochrony, która przywitała się z eskortującą mnie kobietą, następnie wjechałyśmy windą na jedenaste piętro, gdzie zaprowadzono mnie do sali konferencyjnej. Na podłodze leżał zielony dywan, pośrodku stał wielki czerwony stół z drewna i kilka krzeseł. Kiedy wyjrzałam przez okno, mając wreszcie szansę na dokonanie oceny własnej sytuacji, poczułam się jak w jakimś koszmarze - patrzyłam w dół na nieznaną mi świat. Dwanaście godzin wcześniej może i musiałam się zmagać z panem Anne Rathbun, ale wiedziałam przynajmniej, na czym stoję i kim są otaczający mnie ludzie. W tej chwili nie miałam

zielonego pojęcia, co będzie dalej.

- Usiądź - poinstruowała mnie kobieta, która mnie tu przywiozła. - Ktoś zaraz do ciebie przyjdzie.

Czekałam zaniepokojona. Moje zimne dłonie były zupełnie mokre od potu. Nie spałam i byłam zmęczona, ale też i spięta na myśl o tym, co zaraz nastąpi.

Pół godziny później przyszedł mąż Anne Rathbun, Marty, w towarzystwie ojca B.J.a i naszego dawnego współlokatora, Mike'a Rindera, szefa Office of Special Affairs. Ich widok zupełnie mnie zaskoczył, choć podobny zwrot akcji nie należał w moim życiu do rzadkości. Mężczyźni uśmiechali się do mnie. Spyтали, czy czegoś nie potrzebuję. Odpowiedziałam, że nie.

Pan Rathbun odezwał się pierwszy.

- Posłuchaj, Jenno. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, więc powiem wprost. Ronnie i Bitty - oświadczył, wymieniając imiona moich rodziców - nie są już w Sea Org.

Jego głos był zupełnie beznamiętny. Czekał na moją reakcję. Upłynęło kilka sekund, zanim sens jego słów do mnie dotarł. Bardzo się starałam ukryć emocje.

- Co się stało? - zapytałam spokojnie.

- Nie mogę podać ci szczegółów - odparł.

Zaczął mówić o tym, jak to będzie dalej. W trakcie jego monologu dwie rzeczy stały się dla mnie oczywiste. Po pierwsze, uświadomiłam sobie, że wszystko, przez co przeszłam - całe miesiące przesłuchań, szorowania łazienek, włożenie munduru CMO EPF, rozłąka z Martino i przyjaciółmi - nie było konsekwencją żadnego mojego postępku, lecz rezultatem odejścia moich rodziców z organizacji. Zaskoczyło mnie to, a przede wszystkim rozwścieczyło. To, że tyle czasu spędziłam zamknięta w łazience, zastanawiając się, co takiego przeskrobałam, że zasłużyłam sobie na taką karę - wcale nie było konsekwencją moich własnych czynów. Po drugie, zdałam sobie sprawę, że jedyną przyczyną, dla której musiałam przez to wszystko przejść, było to, że zamierzano mnie gdzieś wysłać - zmuszając mnie do towarzyszenia rodzicom, gdziekolwiek teraz byli. Nie wiedziałam, że przed wyjazdem odbyłam przesłuchanie w ramach standardowej procedury, jakiej byli poddawani członkowie opuszczający organizację. Oficjalnym celem takich przesłuchań jest udzielenie pomocy odchodzącym członkom kadry, tak by -mogli uwolnić się od własnych przewinień i grzechów. Najprawdopodobniej jednak chodziło o zebranie osobistych informacji o danej osobie, które później można by wykorzystać przeciwko niej samej, gdyby chciała wystąpić przeciwko Kościołowi.

Czekałam, aż pan Rathbun skończy, po czym zapytałam wprost:

- A więc teraz mam odejść razem z rodzicami?

Pan Rathbun chyba czuł się winny. Szybko potwierdził moje podejrzenia nieznacznym skinięciem głową.

- Masz odejść razem z nimi. Możesz przerabiać kursy scjentologiczne, korzystając z internetu, a kiedy skończysz osiemnaście lat, będziesz mogła do nas wrócić, jeśli zechcesz.

Tak wiele ostatnio na mnie spadło, że jeszcze nie do końca to ogarniałam. Właśnie wydobyłam się z koszmaru, teraz zaś dowadywałam się, że mam porzucić cały swój świat, wszystkich przyjaciół, całe swoje życie, żeby wrócić do rodziców, których widywałam bardzo rzadko w ciągu ostatnich lat, z którymi sporadycznie rozmawiałam i którzy chyba nic o mnie nie wiedzieli. A wszystko dlatego, że postanowili wystąpić z Sea Org. Całe moje życie miało lec w gruzach akurat wtedy, kiedy zaczęło mi się układać.

Pan Rathbun i pan Rinder próbowali być dla mnie mili i obserwowali mnie uważnie, podczas gdy ja starałam się zebrać myśli. To, co właśnie usłyszałam, całkowicie wytrąciło mnie z równowagi. Czułam się zupełnie zagubiona, ale jedno było dla mnie jasne: ta sytuacja nie była normalna. Członkowie Sea Org nie byli raczej skłonni wybaczać krewnym tych, którzy opuszczali organizację. Nie miało znaczenia, kto tak naprawdę jest winny - opuszczanie organizacji nie było mile widziane. Wiedziałam, że moi rodzice najprawdopodobniej zostaną uznani za SP, postanowiłam więc grać w otwarte karty.

- Jeśli odejdę, zostanę potraktowana dokładnie tak samo jak oni, prawda? - zapytałam.

Moja bystrość wywołała uśmiech na twarzy pana Rathbuna. Zapewnił, że będę mogła wrócić, kiedy skończę osiemnaście lat, oboje wiedzieliśmy jednak, że to tylko kłamstwo, które ma mnie uspokoić. Rathbun spojrzał na Mike'a Rindera, który sprawiał wrażenie niepewnego, co ma odpowiedzieć.

- Szczerze mówiąc, tak.

Odwrociłam wzrok i zaczęłam o tym wszystkim myśleć. Myślałam o Martino i o tym, że Anne Rathbun powiedziała, że będziemy mogli znów być razem, zaczynając, jak się wyraziła, od momentu, w którym przerwaliśmy. Tak bardzo na to liczyłam. Pomyślałam o babci Lorecie. O tym, jak sprawy się miały jeszcze przed kilkoma miesiącami, kiedy Anne Rathbun wezwała mnie do swojego gabinetu, po czym zaczęły się przesłuchania. Akurat wtedy zaczęło mi się układać w życiu... Myślałam o tym, jak bardzo chciałam pomagać innym, o tym, że tak mocno wierzyłam w swoją życiową misję: niesienie innym pomocy dzięki scjentologii. Pomyślałam, że Anne Rathbun mogła o tym wszystkim wiedzieć, a mimo to nie pozwoliła mi się z nikim pożegnać, a teraz być może nigdy już nie będę miała okazji zobaczyć się z przyjaciółmi. Nienawidziłam tej kobiety i tylko ją, nie Kościół, obwinałam o

to, co się ze mną działo.

Potem zaczęłam zastanawiać się nad odejściem rodziców. Poczułam gniew na samą myśl o tym, jak egoistyczne jest ich zachowanie, skoro nie brali pod uwagę tego, że mam teraz swoje własne życie, życie, które musiałam sobie stworzyć z powodu wyborów dokonywanych przez nich w moim imieniu. A teraz miałam to wszystko zostawić. Miałam pójść do publicznej szkoły, gdzie uznają mnie za idiotkę i będą ze mnie szydzić, bo byłam bardzo opóźniona w nauce. Pomyślałam też, że mam już dość samotności.

Wiedziałam, że mam tylko chwilę, by powiedzieć to, co mam do powiedzenia, zanim wszyscy ci ludzie zaczną mówić za mnie. Musiałam reagować szybko, więc wyrzuciłam z siebie tylko to, czego nie mogłam przemilczeć.

- Nie chcę odchodzić - oświadczyłam stanowczo, patrząc im prosto w oczy.

Mężczyźni spojrzeli na siebie zdumieni. Po chwili odezwał się pan Rathbun.

- Co masz na myśli, Jenno?

- Nie chcę odchodzić - powtórzyłam z jeszcze większym naciskiem. - Wolę trafić na RPF, niż opuścić Kościół.

Szczerzę mówiąc, powiedziałam to pod wpływem emocji, bo bez wątpienia nie chciałam trafić na RPF. Zamierzałam im jednak dać do zrozumienia, że mówię serio. Chciałam, by moje słowa zabrzmiały stanowczo.

Znowu spojrzeli na siebie, zdumieni i rozbawieni zarazem.

- Którego dnia staniesz się bardzo cennym nabytkiem Kościoła - powiedział do mnie pan Rinder z promiennym uśmiechem.

Obaj musieli przemyśleć tę sprawę i zastanowić się, czy w ogóle jest możliwe, bym została. Powiedzieli mi, żebym zaczekała, i wyszli się naradzić. Po mniej więcej godzinie pan Rathbun wrócił do pokoju, już od progu posyłając mi ojcowskie spojrzenie. Oznajmił, że muszą się zająć jeszcze innymi sprawami Kościoła i że chcą, bym wykorzystwała ten czas na studiowanie *Volume Zero*, grubego podręcznika dotyczącego kwestii administracyjnych związanych z Kościołem, omawiającego strategię, zasady i rozporządzenia. Zawierał materiał omawiany na najmniej lubianym przeze mnie kursie.

Przez kolejnych kilka godzin udawałam, że go czytam, podczas gdy w rzeczywistości wpatrywałam się bezmyślnie w zieloną czcionkę, rozmyślając o swojej przyszłości, zastanawiając się, czy pozwolą mi zostać, i próbując sobie siebie wyobrazić w publicznej szkole - w razie gdybym jednak musiała odejść. Upłynęło przynajmniej osiem godzin, zanim pan Rathbun w końcu wrócił, najwyraźniej zdenerwowany, w towarzystwie jakiejś kobiety. Z żalem przyznał, że zatrzymały ich jakieś inne sprawy i stracili poczucie czasu, zapominając,



że na nich czekam.

- Jest już pierwsza w nocy, więc będziemy musieli zrobić przerwę - powiedział. - Wrócimy do sprawy jutro rano.

Zdobył się na wymuszony uśmiech, gdy powiedziałam: „W porządku”. Co innego miałam zrobić?

Przedstawił mnie Lindzie, kobiecie, która mu towarzyszyła. W swoim granatowym uniformie Sea Org i swetrze wydawała się dość sympatyczna. Pan Rathbun powiedział, że Linda zorganizuje dla mnie nocleg. Kobieta uśmiechnęła się i wyszliśmy.

- Do zobaczenia rano! - powiedział na do widzenia pan Rathbun i pomachał nam.

Pojechaliśmy do tego samego kompleksu budynków w PAC Base, w którym mieszkała moja rodzina czternaście lat wcześniej, kiedy dołączała do Sea Org. Niewiele się tam chyba zmieniło, choć dokładnie nie pamiętałam, gdzie co się znajduje. W środku wciąż byli członkowie Sea Org, którzy - choć było już tak późno - nadal kręcili się po budynku, przyglądając się nam, zwłaszcza mnie. Ja i moja towarzyszką wjechałyśmy windą na drugie piętro, natykając się na dwie kobiety, które właśnie wychodziły spod prysznic owinięte samymi tylko ręcznikami. Mijając nas, powiedziały do Lindy: „Dobry wieczór, sir”.

Pokój, w którym miałam przenocować, mieścił się na końcu korytarza. Linda wpuściła mnie do środka.

- O, świetnie, w tym pokoju jest prysznic - powiedziała. - Spotkamy się na zewnątrz jutro o dziewiątej rano.

Mówiąc to, wyszła, a ja zostałam sama, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze i zastanawiając, dlaczego właśnie mnie zdarzają się takie dziwne historie.

Nie wiedziałam, że prysznic w pokoju jest czymś niezwykłym, jednak w mojej prywatnej łazience nie było mydła ani ręcznika, więc najwyraźniej nie potraktowano mnie aż tak wyjątkowo. Umyłam się szamponem, który ze sobą zabrałam, i wytarłam się koszulą, którą wyjęłam z walizki. Zignorowałam ogromnego karalucha na podłodze łazienki, na którego się natknęłam, gdy ją opuszczałam. Zamknęłam drzwi, unikając konfrontacji z nim.

Usiadłam na łóżku. Podłoga lepiała się od brudu. Ktoś za ścianą słuchał hałaśliwej muzyki, a głośne rozmowy toczyły się za drzwiami. Gdy usiłowałam zamknąć je na zamek, stwierdziłam, że to niemożliwe - zamka nie było. A nawet gdyby był, ochrona i tysiące innych osób z pewnością miały klucz pasujący do wszystkich zamków, więc nie miało to żadnego znaczenia. Otworzyłam drzwi swojego pokoju. Jakaś para nastolatków spojrzała na mnie jak na kosmitę, więc równie szybko je zamknęłam.

Nieustannie stukało okno, przez które wpadało do pomieszczenia światło z

umieszczonego na dachu symbolu scjentologii. Nie było żadnej zasłony. Kiedy w końcu położyłam się na łóżku, zostawiłam włączone światło. Bałam się. Nastawiłam budzik i wpatrywałam się w sufit, nie mogąc zasnąć. Nie wątpiłam w słuszność swojej decyzji ani w Kościół, zaczęłam się tylko zastanawiać, jak mogłoby wyglądać moje życie poza organizacją. Myślałam, jakie to uczucie mieć własny pokój, nie mieć żadnych obowiązków związanych z pełnioną funkcją i nie musieć pracować.

Pomimo takich myśli nie mogłam sobie wyobrazić, że trafiam do publicznej szkoły, że muszę się tłumaczyć, dlaczego mam takie braki, a wszyscy drwią z mojej ignorancji. Pamiętałam filmy, na których zawsze nauczyciele wyrwali kogoś do odpowiedzi na oczach całej klasy, i wyobrażałam sobie czekające mnie upokorzenia. Potem wysłaliby mnie do szkolnego psychiatry - ciekawe, co bym wtedy zrobiła.

Rozpłakałam się. Płakałam, póki światło lampy w moim pokoju nie rozmyło mi się przed oczami. W końcu zasnęłam.

Rankiem po przebudzeniu kilka minut zajęło mi odszukanie hallu, w którym czekała na mnie Linda. Pojechaliśmy do Hollywood Guaranty Building i weszliśmy do tej samej sali konferencyjnej co wczoraj. Niebawem wpadł do niej nieprzytomny pan Rathbun, jakby przed chwilą się obudził.

- Cześć, Jenno! - powiedział przyjaznym tonem. - Odzyskałaś siły?

- Tak, sir - skłamałam.

- To dobrze, bo mogą ci się dziś przydać - mruknął z uśmiechem.

Uśmiechnęłam się nieznacznie w odpowiedzi, mając nadzieję, że nie oznacza to kolejnego przesłuchania.

Pan Rathbun poinformował mnie, że Ronnie i Bitty nie najlepiej przyjęli wiadomość, że chcę zostać w Kościele. Pan Rathbun i pan Rinder dołożyli wszelkich starań, by ich przekonać, ale sprawa nie wyglądała dobrze. Zwłaszcza mój tata zaczął grozić Kościołowi. Pan Rathbun powiedział mi, że zrobiono w mojej sprawie, co tylko się dało.

Odpowiedziałam, że rozumiem, ale jestem zaskoczona, że moi rodzice wysuwają wobec mnie jakiegokolwiek roszczenia, zważywszy na to, że niespecjalnie się interesowali moim dotychczasowym życiem. Rzecz jasna były chwile, gdy mogłam na nich polegać, zwłaszcza gdy byłam młodsza, a też i ostatnio, gdy zadzwoniłam do nich po tym, jak pierwszy raz ukarano mnie odesłaniem na EPF. Poza nimi nie miałam do kogo się zwrócić. Jednak nawet wtedy nie bardzo mi pomogli. Poza tym mogłabym policzyć na palcach jednej ręki podobne sytuacje w ciągu ostatnich czterech lat.

A teraz, po tych wszystkich latach, kiedy byłam zdana tylko na siebie i tylko na siebie

mogłam polegać, a ich w moim życiu w ogóle nie było - po tym wszystkim wyobrażają sobie, że mogą podejmować za mnie jakieś decyzje? Nagle zapragnęli stać się częścią mojego życia? Teraz, kiedy miałam już szesnaście lat i wreszcie zaczęłam czuć się dobrze w przydzielonej mi przez Kościół roli, nagle zjawili się rodzice, by odejść z organizacji, zabierając mnie ze sobą. Widziałam ich tylko cztery razy, odkąd skończyłam dwanaście lat. Nie byli dla mnie do końca obcymi ludźmi, choć do pewnego stopnia miałam takie poczucie.

- Mogłabym spróbować sama z nimi porozmawiać - zaproponowałam.

Może rodzice sądzili, że Kościół zmusza mnie do pozostania wbrew mojej woli. Mogłabym ich wyprowadzić z błędu.

Pan Rathbun na chwilę wyszedł z pokoju. Wrócił po kilku minutach.

- Będiesz mogła z nimi porozmawiać. Będę słuchał przez drugi aparat, więc się nie martw - powiedział.

Nie martwiłam się, ale kiedy usłyszałam mamę, uświadomiłam sobie, że chyba powinnam. Mama była wściekła, a w tle było słycać głos taty. Tata był uprzejmy, ale wściekły.

- Jenno - zaczęła mama - o co chodzi? Powiedziano nam, że odchodzisz z nami. Co się stało?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, mama mówiła dalej.

- Powiedzieli mi, że nawet jeśli nie zechcesz odejść, i tak będziesz musiała to zrobić. To najlepiej świadczy o tym, że nie obchodzisz ich ty ani twoje uczucia.

Kiedy to usłyszałam, znowu ogarnęły mnie wątpliwości. Mama mogłaby powiedzieć mnóstwo innych rzeczy, gdyby chciała po prostu nakłonić mnie do odejścia - jej słowa wydały mi się zbyt proste jak na kłamstwo. Dlaczego Marty i Mike mieliby powiedzieć moim rodzicom, że odchodzę, zanim w ogóle ze mną porozmawiali, po czym zapewniać mnie, że postarają się uzyskać pozwolenie na to, bym została?

Choć nie wypowiedziałam tego głośno, mama domyśliła się, o czym myślę.

- Mówiąc że wracasz do Int, Marty i Mike oszukali cię, by wzbudzić w tobie entuzjazm. W rzeczywistości chcą cię zniszczyć: zamierzają cię wyrzucić. Bawią się tobą jak kot myszą - stwierdziła.

Zdenerwowałam się. Wkurzyło mnie, że mama zachowywała się tak, jakby znała moje myśli. Już samo to, że według niej tak bardzo chciałam znaleźć się w Int, dowodziło, że nie miała pojęcia o moim życiu. To nie do Int chciałam trafić, ale do Flag. Nabrałam przekonania, że matka manipuluje i przekręca fakty, aby uczynić z pana Rathbuna i pana Rindera moich wrogów, podczas gdy w rzeczywistości to ona i tata chcieli sprawić, żebym odeszła z

Kościola. Kiedy w końcu udało mi się dojść do głosu, powiedziałam spokojnie:

- Nie wiem, mammo, może to wy macie paranoję i oskarżacie wszystkich, że są przeciwko wam.

Powołałam się również na scjentologię i stwierdziłam, że posługuje się ogólnikami, w dodatku nietrafnymi - jedną z cech charakterystycznych SP jest posługiwanie się pustymi ogólnikami.

Zaledwie to powiedziałam, zorientowałam się, że moje słowa ją zraniły, i zrobiło mi się przykro. Mama zaczęła się bronić, a w jej głosie usłyszałam rozpacz.

W pewnym sensie moja chęć pozostania w Sea Org nie powinna być dla niej niespodzianką - w trakcie naszej rozmowy telefonicznej po raz pierwszy usłyszałam od mamy, że była mniej więcej w moim wieku, kiedy jej rodzice usiłowali ją namówić, by odeszła z Org, czemu ona się sprzeciwiła. Kiedy się o tym dowiedziałam, uświadomiłam sobie, jak mało wiem o własnej matce. Teraz widziałam, że historia się powtarza - tyle tylko, że teraz to ona była dorosłą osobą, która chce, by jej córka opuściła organizację.

- Wiesz, Jenno, osoby takie jak ja, odchodzące z Sea Org... nie są... nie powinny być traktowane jak śmieci.

- Wiem o tym, mammo - odpowiedziałam pojednawczym tonem. Zawsze czułam się odpowiedzialna za szczęście swoich rodziców. Choć byłam na nich zła za to, że chcą, bym porzuciła wszystkich swoich przyjaciół i cały swój świat, wciąż czułam się winna, że sprawiam im przykrość. - Przykro mi, ale moje życie jest tutaj i tutaj chcę zostać.

Wszyscy troje zamilkliśmy na chwilę.

- Co to za dźwięki? - spytałam po chwili.

Przez cały czas trwania tej rozmowy w tle było słycać dziwną meksykańską muzykę.

- Mieszkamy w Cabo San Lucas w Meksyku - odparła mama.

Trudno mi było w to uwierzyć, choć szybko doszłam do wniosku, że maczały w tym palce władze Kościoła, które chciały, by moi rodzice zniknęli z pola widzenia - żeby informacja o odejściu z Kościoła brata jego przywódcy nie przyniosła ujmy nazwisku Miscavige.

Kiedy konfrontacyjny ton naszej rozmowy nieco złagodniał, przez chwilę porozmawiałam z ojcem. Podobnie jak mama podzielił się ze mną swymi obawami, ale też pozwolił mi wytłumaczyć, dlaczego chcę zostać. Był ostrożny w formułowaniu sądów na temat Mike'a i Marty'ego - zapewne dlatego, że nie chciał mnie do siebie zrażać, przypuszczalnie wiedział też, że nas słuchają. W końcu oboje rodzice zgodzili się nie wstępować na drogę prawną, aby zmusić mnie do odejścia. Przekonałam ich, że chcę zostać.

Choć było to bolesne, odetchnęłam z ulgą.

Kiedy się żegnaliśmy, zapewniliśmy się o wzajemnej miłości. Nie mówiliśmy tylko o tym, o czym wszyscy myśleliśmy - że żadne z nas nie wie, kiedy znów się zobaczymy. I ja, i oni wiedzieliśmy tylko, że nieprędka. W gruncie rzeczy skoro rodzice znaleźli się poza Kościołem, podobne spotkania stały się dla mnie zabronione.

Kiedy się rozłączyłam, poczułam ulgę, ale i poczucie winy. Ulżyło mi, że wygrałam, ale ciążyło mi, że zraniłam rodziców. Pan Rathbun sprawiał wrażenie zadowolonego, że problem jest rozwiązany, choć wyraźnie zirytowało go, że rodzice go obwiniali i zarzucali mu, że mnie oszukuje.

- A więc co teraz? - Była to raczej ocena naszej obecnej sytuacji niż pytanie.

- Nie wiem - odparłam, licząc na to, że już zapomniał o mojej wczorajszej deklaracji gotowości uczestnictwa w RPF.

Zostałam odesłana z powrotem do sali konferencyjnej, gdzie czekałam kilka godzin na pana Rathbuna. Gdy wreszcie się pojawił, powiedział, że czeka mnie badanie z użyciem Emetru.

Zaczął się zachowywać w sposób typowy dla przesłuchujących, mający na celu zastraszenie. Muszę przyznać, że podziałało to na mnie zupełnie odwrotnie. Niełatwo było mnie onieśmielić. Pan Rathbun zasypał mnie lawiną pytań typowych w takiej sytuacji: czy coś ukrywam, jaka motywacja kryje się za moją chęcią pozostania w organizacji, jakie żywię uczucia wobec swojej rodziny, swojego stryja. I tak się to ciągnęło przez co najmniej trzy godziny. W końcu przekonał się, że chcę zostać, bo chcę być członkiem Sea Org. Wykrył też, że okłamałam jego żonę, pana Anne Rathbun, zapewniając ją, że usunęłam kolczyk z pępka, czego w rzeczywistości nie zrobiłam.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### Mój wybór

Czekałam przez kilka godzin w sali konferencyjnej, zanim pan Marty Rathbun w końcu wrócił w towarzystwie dwóch kobiet, przedstawicielek RTC, które miały być moimi opiekunkami. Dobrą wiadomością było, że nie zamierzano mnie wysłać na RPF, złą - że najwyraźniej nie wracałam do Flag. Po ukończeniu programu zamierzano mnie umieścić w dziale usług CMO, w jednym z dwóch CMO na obszarze Los Angeles, to znaczy w CMO PAC lub w CMO IXU. Te dwie bazy dzieliło od siebie zaledwie kilka kilometrów. Pan Rathbun wyjaśnił, że oczekuje się ode mnie skromności i pokory i że moje dwie nowe opiekunki pomogą mi w ich osiągnięciu. Dał mi też bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie powinnam informować o swej sytuacji rodziców ani też nie wolno mi z nikim rozmawiać na temat ich odejścia (na to położył szczególny nacisk).

Kiedy tak omawiał te wszystkie szczegóły, ja nie mogłam przestać myśleć o jedynej rzeczy, która miała dla mnie znaczenie.

- A więc nie wracam do Flag? - zapytałam dla jasności, mając nadzieję, że źle go zrozumiałam.

- Nie, nie możemy narażać na takie ryzyko bazy we Flag, biorąc pod uwagę wszystko to, co się tam dzieje - odpowiedział lekceważąco, jeszcze zanim zdążył się zorientować, dlaczego o to pytam. - Nie zapominaj, Jenno, że to był twój wybór - dodał lekko zirytowany moją niewdzięcznością.

Zapadłam się w fotel, zupełnie zdruzgotana. Może i był to mój wybór, ale nigdy nie myślałam, że wszystko stracę. Utrata rodziców to była jedna sprawa. Nasza relacja nie była łatwa, więc byłam na to przygotowana. Jednak nie sądziłam, że stracę kontakt z przyjaciółmi i całą rodziną z Clearwater. Myślałam, że wrócę do Flag, do mojego dawnego życia. Tymczasem przyklepiono mi etykietę „zagrożenia dla bezpieczeństwa” i znów zamierzano mnie skazać na rozłąkę z ludźmi, na których mi zależało, i na zupełną samotność.

Ponieważ jednak chciałam służyć większemu dobru, powiedziałam to, co powiedzieć musiałam:

- Tak jest, sir.

Po tych słowach pan Rathbun uśmiechnął się do mnie, uściśnął mi rękę, życząc wszystkiego dobrego, po czym wyszedł z pomieszczenia w towarzystwie moich nowych

opiekunek, pana Laury Rodriguez i pana Kary Hansen. Pana Rodriguez znałam z Flag, zaś na pana Hansen natknęłam się w RTC, jednak żadnej z nich nie znałam bliżej. Zaledwie znaleźliśmy się na parkingu, a już pan Rodriguez szturchnęła mnie i zawołała:

- Piekielnica!

Spojrzałam na nią zdziwiona. We Flag Rodriguez audytowała Justina - to ona oznajmiła mi, że mój brat jest rock slammerem, więc już wtedy jej nie lubiłam. Patrząc na jej twarz, uświadomiłam sobie, że „piekielnica” musieli mnie nazywać członkowie RTC.

- Już my ci damy szkołę! - oznajmiła Rodriguez z szerokim uśmiechem, odprowadziwszy mnie do pokoju, w którym miałam spędzić noc.

Biorąc pod uwagę wszystkie wydarzenia tego dnia, nie podzielałam jej rozbawienia. Rodriguez wydawała się osobiście urażona moim brakiem wesołości.

Jeszcze spałam, gdy następnego ranka Rodriguez wpadła do mojego pokoju, krzycząc:

- Wstawaj! Natychmiast! - Zbliżyła się do mnie z parą szczypiec. - Zaczniemy od tego, że raz na zawsze wyciągniemy ten twój kolczyk z pępka!

Zażądała, bym stanęła bez ruchu, po czym zacisnęła szczypce na kamieniu w kolczyku, który pękł. Następnie wyciągnęła cały kolczyk.

- Au! - powiedziałam, raczej z powodu urażonej dumy niż z bólu.

Po chwili Rodriguez wyjęła zestaw do makijażu i powiedziała, że już nie będę używać niebieskiej kredki do oczu, bo to nie przystoi członkowi CMO. Chciała również, bym stosowała korektor, by poprawić stan mojej cery typowy dla nastolatków. Wszystko to było bardzo krępujące. Włożyłam uniform, który mi przyniosła - ciemnoniebieskie spodnie i jasnoniebieską koszulę - a wtedy Rodriguez stwierdziła, że wyglądam znacznie lepiej.

Pana H. spotkałyśmy na zewnątrz budynku, w minivanie będącym własnością RTC, którym miałyśmy pojechać na śniadanie do Hollywood Guaranty Building. Przywitała się z sarkastycznym uśmiechem na ustach, jakby nie była zachwycona moim wtargnięciem w jej poranną rutynę. Po drodze do HGB obydwie kobiety włączyły nagranie z jedną z książek o Harrym Potterze, a choć nie zrobiły tego przez wzgląd na mnie, uwolniło mnie to od konieczności rozmowy z nimi. Naprawdę nie wiem, ile jeszcze szturchnięć pana Rodriguez byłabym w stanie znieść.

W głębi marmurowego korytarza HGB zobaczyłam dwoje ludzi znanych mi z Flag. Ucieszyłam się i przystanęłam, żeby się przywitać. Jednak pan Rodriguez chwyciła mnie za ramię i mocno pociągnęła za sobą. Tamci stali zdumieni.

- Idziemy - powiedziała Rodriguez, mamrocząc pod adresem któregoś z ludzi z Flag coś o całowaniu się w tyłek.

Wsiadliśmy do windy i wjechaliśmy na piąte piętro, gdzie była jadalnia załogi: duży hall z rozkładanymi stołami, znacznie bardziej obskurny i śmierdzący niż stołówka we Flag.

Co najmniej pięć osób, które znałam, powiedziało mi „cześć”, ale tylko pozdrowiłam je gestem, domyślając się, że nie wolno mi z nikim rozmawiać. Czułam na sobie wzrok wszystkich obecnych w stołówce. Pan Rodriguez, pan H. i ja zasiedliśmy przy wielkim stole dla kierownictwa w głębi sali. Stoły kadry kierowniczej były okrągłe, podczas gdy te przeznaczone dla pozostałego personelu miały kształt prostokąta.

Rozejrzawszy się wokół i spostrzegłszy przy różnych stołach ludzi, których znałam, poczułam się nieco lepiej na myśl, że trafiłam do tej właśnie bazy, choć wciąż trudno mi było pogodzić się z faktami. Widząc, że przebywam w towarzystwie przedstawicieli RTC, większość ludzi wolała zachować wobec mnie pewien dystans, co było rozsądne.

- Panna Popularna - skomentowała ironicznie pan H.

Po chwili podeszła do nas jakaś Niemka i spytała, co chcemy na śniadanie. Moje opiekunki zażyczyły sobie płatki, a ja poszłam za ich przykładem. Byłam zbyt onieśmielona, by móc jeść, one jednak oświadczyły, że muszę, bo mam być „wyuczalna”, czyli dostatecznie wypoczęta i najedzona, by zacząć naukę. Wmusiłam w siebie trochę płatków, podczas gdy moje nadzorkynie przez większość posiłku były zajęte rozmową. Od czasu do czasu rzucały w moją stronę jakiś komentarz, ale byłam tak nieszczęśliwa i nieobecna, że prawie nie zwracałam na nie uwagi. Po śniadaniu zeszliśmy na czwarte piętro. Pan H. zaprowadziła mnie do biura, w którym mieściły się trzy pokoje do audytowania. Były to pokoje audytowe RTC, w których miałam się uczyć, pracować nad przejściem do wyższej kondycji, a także wykonywać wszelkie zadania, których ode mnie oczekiwano. Już myślałam, że wszystko to mam za sobą, lecz najwyraźniej się myliłam.

Moja pierwsza sesja, którą odbyłam z panem Hansen, nosiła nazwę „Obnażanie prawdy”. Zażądano, bym się jej poddała, ponieważ postawiłam się panu Rathbunowi tego ranka, kiedy rozmawiałam z rodzicami. Zapytałam go jedynie o to, dlaczego w ogóle powiedziano rodzicom, że odchodzę razem z nimi z organizacji wbrew własnej woli. Przez to musiałam odbyć sesję „Obnażanie prawdy”, mającą obnażyć „czarny PR” - wrogą propagandę - na który byłam narażona w czasie rozmowy z rodzicami. Polecono mi się cofnąć do chwili, w której uwierzyłam w to, co powiedzieli mi rodzice, a wychwyciwszy ją, miałam zidentyfikować przewinienie, którego się dopuściłam bezpośrednio wcześniej, tuż przed ową chwilą, i które sprawiło, że im uwierzyłam. Dziś wiem, że była to subtelna technika prania mózgu.

Kiedy usiłowałam przekonać pana Rodriguez, że to, co powiedziała mi matka,



zasadniczo było prawdą, gdyż pan Rathbun i pan Rinder rzeczywiście zamierzali pozbyć się mnie z organizacji, Rodriguez nie chciała o tym słyszeć. Ostatecznie wychwyciłam żadaną chwilę oraz poprzedzając ją zatajone przewinienie i na tym skończyliśmy sesję.

Następnie zostałam poinformowana, że będę uczestniczyć w kursie PTS/SP, głównym sejentologicznym kursie dotyczącym osób SP oraz PTS. Miałam poznać nauki LRH i stworzone przez niego techniki identyfikacji i postępowania z osobami niepożądanymi oraz dowiedzieć się, co się dzieje z osobą, która zetknęła się z takim złym człowiekiem. Celem kursu było powiązanie ze sobą sytuacji życiowych, w których źle się czułeś lub w których sobie nie radziłeś, identyfikowanie okoliczności temu towarzyszących oraz usunięcie głównej przyczyny tego stanu rzeczy: zerwanie z osobą niepożądaną. Ofiarą osoby niepożądanej (SP) była osoba PTS, potencjalne źródło problemów, ponieważ w obecności tej pierwszej osoba PTS wszystko psuła, zapadała na zdrowiu, miała różne problemy, gubiła rzeczy i, najogólniej rzecz ujmując, przechodziła trudny okres.

Prawdziwy powód, dla którego miałam chodzić na ów kurs, był taki, że moi rodzice byli SP. Musiałam więc zgłębiać mechanizmy postaw antyspołecznych rządzących SP, żebym mogła się z nimi konfrontować, nie ulegając ich wpływowi. A przecież nie uważałam ich za osoby niepożądane. Bardziej ufając własnej intuicji niż etykietkom Kościoła, nie chciałam postrzegać ich jako elementu toksycznego. Rzecz jasna, nie mogłam tego powiedzieć głośno.

Następnych kilka tygodni zajął mi kurs, w czasie którego musiałam nauczyć się na pamięć wszystkich cech charakterystycznych osobowości SP oraz wkuć na pamięć skałę tonów. Pan Rodriguez i pan H., skrajnie rygorystyczne nauczycielki, nie zdawały sobie sprawy, że nie kupuję wersji, wedle której moi rodzice byli SP w takim sensie, w jakim to przedstawiano na kursie. Moi rodzice nigdy nie sprawiali, że czułam się „zablokowana” (jest to sejentologiczne określenie wpływu polegającego na umniejszaniu czy zaniżaniu czyjejs samooceny). „Opresywny”, „niepożądany” - kolejne terminy, które omawialiśmy na kursie - określały cechy kogoś lub czegoś, co cię ogranicza. I w tym przypadku zachowanie moich rodziców w znikomym stopniu odpowiadało opisowi. Oczywiście raz czy dwa rodzice wściekli się na mnie, jednak byłoby śmieszne uznać, że byli wobec mnie opresywni. Bez wątplenia miałam przez nich mnós-two kłopotów, jednak terminy w rodzaju „blokowanie”, „opresywny” zupełnie do nich nie pasowały.

Kilkakrotnie w czasie kursu przemknęło mi nawet przez głowę, że Kościół jest wobec mnie bardziej opresywny niż rodzice. W obecności ciotki Shelly czułam się bardziej zablokowana niż w obecności rodziców. Mówiła mi, że jestem nieetyczna, albo wygadywała różne niedorzeczności - na przykład, że spowodowałam upadek moralny na Ranczu. Jednak,

rzecz jasna, lubiłam ją, a powiedzenie komukolwiek, że czuję się przy niej zablokowana, skończyłoby się katastrofą. Anne Rathbun była kolejną osobą, co do której miałam poważne podejrzenia, że obezwładnia mnie w znacznie większym stopniu niż rodzice.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy całe moje życie poddano niewiarygodnej wprost kontroli. W obawie przed zagrożeniem, jakie stanowiłam, usilnie starano się mnie przeprogramować w taki sposób, bym już nie omawiała sprawy swoich rodziców ani nie wykorzystywała ich odejścia jako pretekstu do siania dywersji. Nigdzie nie wolno mi było wychodzić, chyba że do łazienki - a i tam mogłam pójść jedynie za pozwoleniem od pana H. i pod eskortą. Każdy posiłek musiałam spożywać w obecności pana H. i pana Rodriguez, a znajomych spotykanych w stołówce mogłam pozdrawiać tylko ruchem dłoni. Wcześniej myślałam, że przestałam być więźniem z chwilą przybycia do L.A., tymczasem nagrodą za moją lojalność stały się nowe kary. Przez cały czas musiałam być pod nadzorem którejś z moich opiekunek. W czasie posiłków pan Rodriguez często krytykowała mojego brata, mówiąc mi, jaki to z niego wykolejeniec. Wygadywała również o mamie, Donie i Justinie nieprzyzwoite rzeczy, z seksualnym podtekstem. To było podłe.

Plotkowała też z panem H. na temat tego, jak to audytowała Lisę Marie Presley. Z zachowania obu moich nadzorczyń wnioskowałam, że niczego nie potrafią uszanować i przemilczeć, traktując wszystko jako materiał do plotek. Członkowie RTC mieli nie tylko przestrzegać reguł, ale również egzekwować ich przestrzeganie, poza tym mieli czuwać nad tym, by tak zwana technologia scjentologiczna była stosowana we właściwy sposób. Jednak na podstawie własnego doświadczenia uważam, że ludzie RTC byli najgorsi ze wszystkich. Wcześniej miałam wielu audytorów spoza RTC i żaden z nich nigdy się na mnie nie złościł w taki sposób jak przedstawiciele RTC ani też nie posuwał się tak daleko w okazywaniu mi lekceważenia, na przykład odbierając telefon w trakcie zadawania pytania podczas sesji, co zresztą stanowiło naruszenie kodeksu audytora. Wtedy sobie tego nie uświadamiałam, jednak byłam naprawdę przygnębiona, bo odcięto mnie od wszystkich osób, na których mi zależało. Prawie nic nie jadłam. Kiedyś pan H. tak głośno wrzasnęła na mnie, żebym zaczęła jeść, że wszyscy obecni w stołówce spojrzeli w naszą stronę.

Wbrew moim oczekiwaniom sytuacja nie zmieniła się ani trochę. Wolność, którą cieszyłam się we Flag przed odejściem rodziców z Sea Org, zniknęła bezpowrotnie i raczej trudno mi było sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek miała ją odzyskać. Myślałam, że wybieram pomiędzy rodzicami a powrotem do Clearwater, podczas gdy w rzeczywistości wybierałam między rozstaniem z przyjaciółmi i zamieszkaniem z rodzicami a rozstaniem z przyjaciółmi i zamieszkaniem w L.A. Żadna z tych opcji nie była tym, czego chciałam, a

mimo to nie żałowałam swojej decyzji. I choć życie w L.A. było dość podłe, i tak wydawało mi się czymś lepszym niż życie z rodzicami w Meksyku - istniała przynajmniej szansa, że jeszcze kiedyś ujrzę przyjaciół.

Być może najbardziej frustrowało mnie to, że niezależnie od lokalizacji zawsze wybierałam Kościół, nie rodziców, a mimo to i tak spotykały mnie kary. Zamiast docenić moje poświęcenie, odsyłając mnie z powrotem do Clearwater, pozbawiano mnie wolności, a moje życie poddano surowej dyscyplinie.

Ta nowa rzeczywistość rzuciła cień na każdy aspekt mojego życia. Miałam depresję, miewałam napady płaczu, co usiłowałam ukryć, zamykając się w łazience albo - gdy byłam w pokoju - płacząc w środku nocy. Często pan H. robiła mi problemy dlatego, że nie chciałam jeść i uporczywie milczałam. Jednak pan H. nie była aż tak okropna jak pan Rodriguez. Widziała, że zmagam się z różnymi przeciwnościami, i mi współczuła, a raz nawet zapytała, czy jestem przygnębiona z powodu Martino, którego imię najwyraźniej знаła z raportów dotyczących mojej osoby. Zaczęła ze mną odbywać nocne spacer, które LRH zalecał jako lekarstwo na bezsenność. Rozmawialiśmy. Pan H. z jakiegoś powodu rozwiodła się z mężem, a z tego, jak o nim mówiła, wnioskowałam, że naprawdę za nim tęskni. W takich chwilach okazywała ludzkie uczucia, co było dla mnie pewnym pocieszeniem. Nawet jeśli w niczym nie zmieniało to mojej sytuacji, przynajmniej miałam poczucie, że mnie trochę rozumie.

Po mniej więcej dwóch miesiącach kursu PTS/SP pan H. pozwoliła mi na podejmowanie się drobnych zajęć poza salą kursów, takich jak na przykład przynoszenie wybranym członkom kierownic-twa CMO kawy czy innych napojów. Z radością przekonałam się, że wielu z nich już znam z Flag lub z Int.

Dzięki przypadkowemu spotkaniu z pewnym chłopakiem z Flag, obecnie pełniącym funkcję w PAC, dowiedziałam się, co słyhać we Flag. Minęłam się z nim w hallu, gdy pan Rodriguez i pan H. właśnie wprowadzały mnie do mojego pokoju. W chwili gdy pan Rodriguez pociągnęła mnie za sobą, zdążyłam szepnąć chłopakowi, że zaraz wrócę. Zaczekałam, aż moje opiekunki znajdą się w swoich pokojach, po czym przemknęłam się ku drzwiom windy, gdzie czekał na mnie mój znajomy z Flag.

Ucieszył się na mój widok i powiedział, że inni moi przyjaciele dziwili się, że zniknęłam, że nie mają pojęcia, gdzie jestem, i że on sam jest przeszcześliwy, że będzie mógł im powiedzieć, że mnie widział. Zakończyliśmy rozmowę pospiesznym uściskiem i właśnie gdy mi obiecywał, że wszystkich ode mnie pozdrowi, z windy wyszła pan Rodriguez i złapała mnie za ramię. Najwyraźniej zaalarmowali ją ochroniarze, którzy widzieli mnie w kamerach.

- Co to ma być? - spytała mocno zirytowana.

Bezczelnie mnie zapytała, po co się tu kręcę.

- Zawsze kiedy widzę kogoś znajomego, nie pozwala mi pan do niego podejść - odparłam.

Na szczęście moja odpowiedź niemal ją rozśmieszyła, więc nie zarzuciła mi, że odpyskowuję.

Kilka miesięcy później nadeszło Boże Narodzenie. Byłam bardzo przygnębiona. Święta zawsze były dla mnie okresem radości, okazją do spędzenia czasu w gronie przyjaciół, jednak w tym roku nie tylko nie dostałam od nich żadnych listów, ale też i mnie zabroniono pisać do kogokolwiek. Zdarzyło się to po raz pierwszy, bo pisanie listów zawsze było dozwolone. Od nikogo z rodziny nie miałam żadnych wieści. Jeśli chodzi o same święta, to musiałam iść na obiad do restauracji w towarzystwie pana H. i pana Rodriguez, co w niczym się nie różniło od codziennego jedzenia z nimi posiłków w naszej stołówce. W charakterze świątecznego urozmaicenia pozwolono mi obejrzeć dwa odcinki serialu *Dharma i Greg*: Jenna Elfman, która grała Dharmę, była scjentolożką.

Najjaśniejszym akcentem tego Bożego Narodzenia było to, że pan Marty Rathbun przysłał mi świąteczny prezent: moją pierwszą książkę o Harrym Potterze. Przesiedziałam nad nią do późna w nocy, póki jej nie skończyłam. Strasznie mi się spodobała. Była dla mnie ucieczką od rzeczywistości.

W styczniu skończyłam kurs PTS/SP. Pan H. powiedziała, że teraz będę mogła dostać jakąś funkcję, ale muszę odczekać kilka tygodni, zanim poznam szczegóły. Oznajmiła mi, że bez względu na to, co się wydarzy, zostanę umieszczona w CMO IXU, a nie w CMO PAC. Ucieszyłam się, bo poznałam wiele osób stamtąd, choć informacja ta oznaczała definitywny koniec moich marzeń o powrocie do Flag.

Dwa tygodnie później przydzielono mi funkcję: miałam być osobą wyjaśniającą słowa, co bardzo mnie przygnębiło. Chciałam pracować w usługach, tymczasem skierowano mnie na boczny tor: miałam pomagać tym, którzy znaleźli się w martwym punkcie, mieli problemy z nauką albo nie radzili sobie z wyjaśnianiem błędnie rozumianych przez siebie słów. Plusem tego rozwiązania było to, że mogłam jadać razem z przyjaciółmi, a nie przy stole dla kadry RTC w towarzystwie pana Rodriguez i pana H. Minusem zaś to, że jedzenie przyrządzane dla załogi było obrzydliwe. Każdy z jej członków zwykle wydawał swą wypłatę w mesie.

Mieszkałam teraz w Hollywood Inn na Hollywood Boulevard i dzieliłam pokój z pięcioma innymi dziewczynami. Nasz liczący niecałe czterdzieści metrów kwadratowych pokój mieścił się na siódmym piętrze. Nie było tam prądu, bieżąca woda była albo lodowata,

albo nieznośnie gorąca, zaś winda nie działała. Nocami tłumy ludzi zawsze włączyły się na zewnątrz, hałasując, pijąc, wrzeszcząc lub bijąc się - a czasem robiąc wszystko to naraz. Powiedziano mi, że mogę się uważać za szczęściarę, bo Hollywood Inn - siedziba CMO i przełożonych Kościoła - jest miłym miejscem w porównaniu z Anthony Building przy Fountain Avenue, gdzie mieszkała załoga. Mimo paskudnego jedzenia i złych warunków mieszkaniowych byłam szczęśliwa, że mogę się cieszyć choćby odrobiną wolności: mieszkałam wśród przyjaciół, jadałam z nimi i nie musiałam chodzić do łazienki pod eskortą. Nie mogłam wrócić do dawnego życia i dawnych przyjaciół, ale przynajmniej pozwolono mi poszukać sobie nowych, co okazało się łatwiejsze niż wcześniej, ponieważ kadra w CMO IXU traktowała nas znacznie mniej rygorystycznie.

Przydzielono mi biuro, w którym mogłam w ciągu dnia wypełniać swoje obowiązki objaśniając słów. Było wyposażone w kamerę do monitoringu, a nagrania z niej oglądała w swoim biurze pan H., by się upewnić, że wszystko robię jak należy. Nadal nie wolno mi było korzystać z telefonu, musiałam też przynajmniej raz dziennie meldować się u pana H., ale i tak było to lepsze niż to, przez co musiałam przejść wcześniej, i zaczęłam mieć poczucie, że wszystko zmierza we właściwym kierunku. Miałam też wielu nowych przyjaciół.

Cała moja poczta również trafiała wprost do pana H. Któregoś dnia wspomniała mimochodem, że przyjaciele piszą do mnie listy, więc spytałam ją, czy jakieś dotarły. Ku mojemu zdumieniu odparła, że owszem. Od wielu miesięcy pisało do mnie wiele osób, łącznie z Martino. Pan H. powiedziała, że nie przekazała mi listów, ponieważ w niektórych były nieodpowiednie komentarze na temat kadry kierowniczej, i że owe listy przekazano do wydziału etyki. Byłam wstrząśnięta. W ciągu wszystkich tych miesięcy przyjaciele pisali do mnie, a ja nawet o tym nie wiedziałam. Zapewne uznali, że ich lekceważę albo, co gorsza, że sama donoszę na nich do wydziału etyki.

Gdy usłyszałam o listach od starych przyjaciół, odżyła we mnie nadzieja, że zdołam w jakiś sposób wrócić do Flag. Wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że to się nigdy nie zdarzy. Równie rozczarowujące było małe prawdopodobieństwo, że do placówki, w której mnie umieszczono, kiedykolwiek trafi któryś z moich przyjaciół z Flag. Zaczęłam do wszystkich pisać, chociaż nie wiedziałam dokładnie, od kogo pochodziły adresowane do mnie listy. Pan H. nadal czytała całą moją korespondencję, więc nie mogłam pisać tego, co myślę.

Martino napisał do mnie kilkakrotnie. Widać było, że bardziej się teraz pilnuje, skoro jego wcześniejsze listy, których nigdy nie pozwolono mi przeczytać, wpędziły go w kłopoty. Pisał, że we Flag wie dzie mu się naprawdę dobrze i że odzyskał kontakt z ojcem. Okazało się, że jego ojciec był bardzo podobny do Martino i że świetnie było móc go poznać bliżej.

Najwyraźniej Martino angażował się w Sea Org i scjentologię bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Pisał nawet, że odbył sesję audytowania. Przesłał też zdjęcia i wyznał, że bardzo za mną tęskni. Ja również za nim tęskniłam, ale ponieważ nie było sposobu na pokonanie dzielącej nas odległości, szczególnie teraz czymś zupełnie jałowym byłyby próby wskrzeszenia dawnych uczuć i moje listy były raczej zdawkowe. Miałam też całkowitą pewność, że nigdy ze sobą nie będziemy. Po prostu nie było to możliwe.

## Rozdział dwudziesty czwarty

### Dallas

Gdy po raz pierwszy w życiu ujrzałam Dallasa Hilla, wychodziłam właśnie z mesy w towarzystwie jednego z przyjaciół. Nie zaiskrzyło między nami - nic w tym rodzaju. Zapewne zwrócił moją uwagę, bo był przystojny. Nie był nieprzenikniony ani tajemniczy jak Martino, raczej miał w sobie jakąś chłopięcą atrakcyjność. Kiedy go mijałam, rzucił mi przelotne spojrzenie, a ja się do niego uśmiechnęłam. To wszystko.

Widywałam go potem na korytarzu, gdy dostarczał coś do biura pana H., ale nie wiedziałam nawet, jak się nazywa.

- Dzień dobry, sir - powiedział, zwracając się do mnie w sposób przewidziany regulaminem, jako że byłam w CMO.

- Dzień dobry - odparłam, uśmiechając się.

Tytułowanie mnie „sir” sprawiało, że czułam się trochę nieswojo. Jednak nie mogłam prosić ludzi, by zwracali się do mnie inaczej: w końcu byłam jedną z przełożonych. Postanowiłam więc okazywać uprzejmość każdemu, kto mnie pozdrowił, uśmiechając się i odwzajemniając pozdrowienie. Pomyślałam, że kiedyś mogę potrzebować tych ludzi, jeśli znajdę się w poważnych tarapatach, a wówczas oni się nade mną zlitują, skoro zawsze byłam dla nich miła.

Niepełna miesiąc po pierwszym spotkaniu z Dallasem w mesie sprawdzałam właśnie swój koszyk zadań, gdy natrafiłam w Goldenrod na informację o akcji dyscyplinarnej przeciw jakiemuś członkowi Kościoła, którego nazwisko nic mi nie mówiło. Goldenrod były to ogłoszenia, w których nikt nie chciał zobaczyć swojego nazwiska. Zazwyczaj pojawiało się, gdy dana osoba zaważyła jakieś zadanie albo dopuściła się czegoś, co Kościół uznawał za naganne i wykorzystywał okazję do przykładowego ukarania winowajcy. W ogłoszeniach Goldenrod wymieniano jedynie te sprawy, które uznano za nieetyczne, począwszy od kradzieży, na uleganiu zewnętrznym wpływom skończywszy (tu mogło chodzić na przykład o przyjmowanie prezentów albo pomocy od rodziny bez odwzajemnienia przysługi). Mogło to być na przykład pozwolenie na to, by ktoś zrobił ci zakupy albo zapłacił za twoje ubezpieczenie samochodu, za które potem nie oddałeś mu pieniędzy - taki zwrot rzadko zresztą był możliwy, bo członkowie Sea Org zarabiali grosze. Pomijając to, że winowajców publicznie piętnowano za ich błędy, często wypominano im również nieetyczne postęпки ze

sfery intymnej, jak na przykład nałóg masturbacji i temu podobne, których ujawnienie było upokarzające. Zazwyczaj ogłoszenia te stanowiły grube - aż do obrzydliwości - przerysowanie prawdy, a jeszcze gorsze było to, że zawsze rozsyłano je po całej bazie, w której przebywało pięćset osób, wszyscy więc znali twoją „sprawę”.

- „Sąd etyki, Dallas T. Hill” - wyczytałam tym razem w nagłówku ogłoszenia.

- Żartujesz? - zawołał ktoś w biurze. - Facet zmusił ich, żeby w ogłoszeniu o sądzie etyki umieścili literę „T”!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nie wyłączając mnie. Rzadko wstawiano do ogłoszeń inicjały czyjś drugiego imienia. Oznaczało to, że chłopak chciał, by w ogłoszeniu znalazło się jego pełne nazwisko. Kto to mógł być? Na podstawie formalnie brzmiącego nazwiska przyjąłam, że musi chodzić o kogoś naprawdę starego.

Kiedy dowiedziałam się, że jest to ten sam przystojniak, z którym wymieniłam uśmiechy - wtedy, na korytarzu czwartego piętra - byłam zaskoczona. Wydał mi się sensownym facetem. Nie miałam ochoty czytać ogłoszenia. Choć wiedziałam, że zazwyczaj nie ma ono wiele wspólnego z prawdą, bałam się, że taka lektura może mnie do tego chłopaka zniechęcić. Okazało się jednak, że w tym wypadku nie chodziło o życie prywatne ani seksualne. Dallas popadł w niełaskę z powodu niedopełnienia obowiązków: nie odpowiedział na jakieś teleksy dotyczące komunikacji między zarządem i niższymi w hierarchii kościołami sejentologicznymi. Przystępstwo nie było zbyt ciężkie, a czekająca go kara: sąd etyki, nieco niedorzeczna. Domyślałam się jednak, że dość poważnie zaniedbał obowiązki.

Nie miałam jednak wiele czasu, by ubolewać nad sytuacją Dallasa. W tym samym tygodniu ja sama zostałam wplątana w jakąś historię. Broniałam się przed zarzutem, że flirtowałam w CMO z żonatym Włochem. Byliśmy przyjaciółmi i lubiliśmy przebywać w swoim towarzystwie. Człowiek ten widział mnie, gdy weszłam do sali konferencyjnej pierwszego dnia po moim przyjeździe do bazy, kiedy to spotkałam się z panem Rathbunem i panem Rinderem w sprawie moich rodziców. Widział mnie też następnego dnia, kiedy szłam do pomieszczenia, w którym pan Rathbun miał mnie przesłuchać w zakresie etyki. Zbliżył nas fakt, że Włoch coś o mnie wiedział, choć nic konkretnego. W każdym razie na pewno z nim nie flirtowałam i szczerze mówiąc, było to obrzydliwe oskarżenie.

Oczywiście wszystkiemu zaprzeczyłam, gdy jednak oskarżenie znalazło się w raporcie, przyjęto, że jest zasadne, i od tej chwili było przesądzone, że czeka mnie spowiedź. Dobrze wiedziałam, jak to działa. Gdyby nie przemowa pana H., starającej się być miłą, a zarazem grożącej i przemawiającej z pozycji autorytetu, nie zdecydowałabym się na wyznania, ale postanowiłam się poświęcić. Pan H. oznajmiła, że dobrze wie, że jestem



otwarta i przyjacielska, więc jest możliwe, że moje czyny zostały błędnie odczytane. Mimo to poprosiła, żebym zechciała wszystko wyznać, byśmy miały to już za sobą, albo też wziąć na siebie odpowiedzialność za „skutki”, do jakich doprowadziło moje zachowanie. Nie lubiłam naciągać faktów, ale wiedziałam, że dzięki stosowanym przez siebie procedurom scjentolodzy zawsze mieli ostatnie słowo i nawet jeśli niczego nie wyznam, skończy się na tym, że moje słowa zostaną zmanipulowane tak, że wyjdzie na to, że jestem winna. Więc się przełamalam, wyznałam, czego ode mnie oczekiwano, i nigdy więcej nie zamieniłam ani słowa z włoskim przyjacielem. Byłam przygnębiona całą tą sprawą, ale ponieważ odbyłam już tyle przesłuchań, w czasie których audytor i ja wiedzieliśmy, że połowa moich zeznań jest nieprawdą, zakończenie kolejnej sesji przyznaniem się do niepopelnionej winy nie było niczym nowym.

Po przyjeździe mojej przyjaciółki Molly, z którą znałyśmy się, odkąd skończyłam pięć lat, i z którą bawiłam się na Ranczu, wszystko zaczęło układać się pomyślniej. Później, gdy dzieci z Rancza zostały wysłane do Flag, Molly trafiła razem ze mną do CMO. Twardo stąpająca po ziemi, bardzo mądra, prawdziwy mól książkowy, Molly zawsze była moją przyjaciółką, choć nigdy jeszcze nie byliśmy ze sobą tak blisko jak teraz. Nie tylko wszystko o mnie wiedziała, ale też była we Flag oraz na szkoleniu EPF razem z Martino, Cece i całą resztą moich przyjaciół, z którymi również się zaprzyjaźniła.

Poczułam się lepiej, opowiedziawszy jej o wszystkim, co spotkało moich rodziców. Było to ryzykowne z mojej strony. Wiedziałam, że nie wolno mi się nikomu zwierzać, jednak czułam, że Molly mnie zrozumie. Ona też miała problemy z ojcem. Nie widziała go od trzech lat, tak jak od lat nie widziała matki. Wiedziała, co znaczy zupełne osamotnienie i poczucie, że przyjaciele są dla ciebie całym światem, i umiała dotrzymywać tajemnic. Po raz pierwszy od przybycia do L.A. podzieliłam się z kimś opowieścią o odejściu moich rodziców. Wiedziałam, że nie wolno mi tego robić, ale poczułam ulgę, zwierając się komuś ze swoich uczuć.

Przyjazd Molly był miłą odmianą. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miałam poczucie, że znów ułożyłam sobie życie. Jednak pewnego dnia pan H. zabrała mnie do swojego biura i zaczęła na mnie krzyczeć. Odkryła, że powiedziałam Molly o odejściu rodziców z Sea Org. Jeszcze bardziej rozzłościło ją to, że Molly kłamała, by mnie chronić, i pan H. - by skłonić ją do powiedzenia prawdy - musiała użyć podstępu, mówiąc, że do wszystkiego już się przyznałam. Choć taktyka ta była niesamowicie podła, należało się jej spodziewać. Byłam wściekła, że dałam się tak podejść.

Mimo że obie z Molly miałyśmy kłopoty z powodu mojego sekretu, jej lojalność

zrobiła na mnie wrażenie. Prawdziwa przyjaźń nie zdarzała się często w Sea Org. Kiedy miałeś kłopoty, ludzie, których uważałeś za przyjaciół, odwracali się od ciebie, wypierając się znajomości z tobą, żeby ocalić własną skórę. Zawsze oczekiwano od ciebie lojalności wobec grupy, a nie jednostek, więc w każdym z nas umacniano podejrzliwość wobec pozostałych - tak byśmy nigdy sobie nie ufali, zawsze na pierwszym miejscu stawiając dobro grupy. Przepuszczalnie największym z możliwych przestępstw było okłamanie lub zlekceważenie przedstawiciela RTC. Okazanie niesubordynacji przełożonemu było sprzeczne z etyką, jednak zlekceważenie ludzi wchodzących w skład najwyższego organu rządzącego Kościołem było w zasadzie zdradą. Mogli cię wtedy zesłać na RPF bez pytania o cokolwiek.

Doceniłam heroiczne próby Molly, usiłującej dochować sekretu. Do czegoś takiego był zdolny tylko prawdziwy przyjaciel. W końcu obie zostałyśmy ukarane. Musiałyśmy przez wiele tygodni odpokutowywać swą winę, a potem prosić każdego z członków grupy, żeby znowu nas w niej zaakceptował. Niezależnie od tego, czy wyszło nam to na dobre, zostałyśmy zaakceptowane.

W konsekwencji naszego postępu Molly została przeniesiona do PAC Base, a choć dzielił ją tylko kwadrans jazdy samochodem od miejsca, w którym przebywałam, równie dobrze mogłoby to być dwa tysiące kilometrów. Fakt, że trafiła do PAC, oznaczał, że od tej chwili miałam ją widywać jedynie kilka razy w roku. W ten sposób pozbawiono mnie kolejnego przyjaciela.

Gdy już odbyłam karę, zaczęłam na nowo oswajać się z codzienną rutyną. Nadal tęskniłam za Flag, gdzie byłam szczęśliwsza niż tu. Pomijając pozostawionych we Flag przyjaciół, tamtejszy klimat był bardzo odmienny od tutejszego. Miałam tam również więcej wolności, więc trudno było nie myśleć o tym wszystkim bez odrobiny nostalgii.

W tym samym czasie częściej widywałam Dallasa i zaczęłam czuć do niego sympatię. Ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałam się od mojej znajomej Suzy, że jest w nim zadurzona. Wiedziałam o nim tylko tyle, że pochodzi z San Diego, że jest luzakiem i przyjaźni się z dość odpychającym Włochem, z którym pracuje. Poza tym nie dorastał w Sea Org, co było miłą odmianą. Im więcej Suzy o nim mówiła, tym bardziej go lubiłam.

I gdy tak o nim opowiadała, dowiedziałam się, że kilka miesięcy wcześniej Dallas umawiał się z inną dziewczyną, z niejaką Katie. Katie przyciągała facetów jak magnes. Była wysoką blondynką, modelką i aktorką, za którą uganiali się wszyscy chłopcy, mimo że słynęła z tego, że wszystkim dawała kosza. Po zakończeniu krótkiej kariery odtwórczyni drobnych ról w takich filmach jak *American Pie* i *Ten pierwszy raz* całkiem niedawno dołączyła do Sea Org. Jej rodzice, zdobywcy nagród za wysiłki w popularyzowaniu

scjentologii, przekazywali duże sumy na rzecz Kościoła. Nie trzeba dodawać, że Katie, opromieniona blaskiem doskonałości, była jaskrawym zaprzeczeniem wszystkiego, czym byłam ja: pozbawioną rodziców kiepską uczennicą, zbędnym członkiem Sea Org, nastolatką podkochującą się w chłopaku, dla którego zapewne nie byłam dość dobra. Ale jak się okazało, również i Dallasowi Katie dała kosza.

W ciągu kolejnych kilku miesięcy ilekroć go spotykałam, szukałam pretekstu do rozmowy. Teraz już mnie zauważał i nawet, jak mi się zdawało, okazywał mi coś w rodzaju zainteresowania, choć nie byłam tego pewna. We wrześniu 2001 późną nocą byłam właśnie z przyjaciółką w pralni, czekając, aż zwolni się któraś z siedmiu pralek przeznaczonych dla dwuosobowej kadry. Mogliśmy z nich korzystać tylko w wyznaczony dzień, co oznaczało, że musiałyśmy przez pół nocy czekać na swoją kolej. Byłyśmy tam dopiero od kilku minut, gdy na podłodze pralni pojawił się wielki karaluch. Z wrzaskiem uciekłyśmy na drugi koniec pomieszczenia i natknęłyśmy się na Dallasa wchodzącego właśnie do pralni z brudnymi ubraniami. Ze śmiechem złapał karalucha i nas uratował. Spodobało mi się, że jest trochę nieśmiały. Czułam się niezręcznie, bo wiedziałam, że jedna z naszych przyjaciółek z CMO, chodząca z facetem, który był współlokatorem Dallasa, powiedziała Dallasowi, że się w nim podkochuję.

Radość wywołaną tym nocnym spotkaniem w pralni przyćmiły wydarzenia następnego wieczoru, kiedy dostałam od superwizora dziwne polecenie natychmiastowego zameldowania się w biurze pana H. Ledwie zdążyłam zapukać, drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Za mną - powiedziała pan H., ruszając w kierunku schodów.

Poszłyśmy do sali konferencyjnej, do której po kilku minutach wkroczyli pan Rathbun z panem Rinderem.

Mówił tylko pan Rathbun.

- Mamy tylko pięć minut - zaczął. - Tutaj są listy od Ronniego i Bitty z ostatnich kilku miesięcy. Może podejdiesz i przeczytasz?

Rzucił na stół konferencyjny plik sześciu czy siedmiu listów i przesunął go w moją stronę. Upłynął prawie rok od czasu, gdy im powiedziałam, że nie jadę z nimi do Meksyku.

Łatwo było rozpoznać odręczne pismo rodziców. Zakładałam, że mama i tata domyślą się, że nie powinni wysyłać listów, wiedząc, że zostaną skonfiskowane. Na widok tych listów poczułam tęsknotę. Natychmiast jednak zaczęłam się martwić, że przez tę ich próbę kontaktu ze mną znów mogę wpaść w kłopoty.

- Teraz mam je przeczytać? - spytałam, dobrze wiedząc, że ci dwaj już znają treść listów.

- Tak - odparł pan Rathbun, dając mi znak gestem, że on i pan Rinder czekają.

Dziwnie było czytać w ich obecności listy od rodziców. Szybko je przerzuciłam, starając się trafić na coś, co mogłoby mnie pogrzyść. Tata pisał o tym, jaką pracę wykonywali on i mama, ale nie do końca zrozumiałam, co to było - chodziło o coś mającego związek ze współwłasnością; a o czym ja nigdy wcześniej nie słyszałam. W listach była też mowa o odwiedzinach u mojej babci w Clearwater. Mama pisała, że kupili samochód, który kiedyś dadzą mnie (nie miałam nawet prawa jazdy), że przeprowadzają się do Stanów i chcą się ze mną spotkać. Teraz już wiedziałam, że to ta ostatnia sprawa przysporzy mi kłopotów.

- Już - powiedziałam, skończywszy czytać.

- Masz jakieś pytania? - spytał pan Rinder, biorąc ode mnie listy.

- Chyba nie.

- Twoi rodzice przylatują jutro i chcemy, żebyś spędziła z nimi dzień. Może być?

Tego się nie spodziewałam. Zastanawiałam się, czy stryj Dave wie, że rodzice chcą się ze mną spotkać. Już ze mną nie rozmawiał. Na Boże Narodzenie przysłał mi kartkę i dał drobny prezent. Z ciotką Shelly też nie gadałam od dawna. Nie rozumiałam, dlaczego stryj sam nigdy ze mną nie rozmawiał o sprawach rodzinnych. Pomyślałam, że wszystko traktował jako sprawy Kościoła. W końcu rodzina nie była niczym rzeczywistym, rozpraszała tylko ludzi, którzy zbawiali świat. Poza tym jako przywódca Kościoła za wszelką cenę musiał być chroniony przed wszelkimi aktami wywrotowymi.

Jeszcze niedawno naprawdę nie byłam pewna, czy kiedykolwiek będę mogła rozmawiać z rodzicami, a teraz proszono mnie, bym spędziła z nimi cały dzień bez żadnych zobowiązań dotyczących sejentologii czy pracy. Od siódmego roku życia nie miałam takiego dnia, a co się tyczy rodziców, to pomijając Boże Narodzenie i Dzień Sea Org, oboje po raz ostatni mieli dzień wolny, którym mogliśmy się wspólnie nacieszyć, gdy miałam jedenaście lat.

Miałam problem. Z jednej strony, przebywając z nimi, nie musiałabym pracować, co zawsze było czymś wspaniałym. Poza tym przebywanie poza bazą mogło być ekscytującym przeżyciem. Z drugiej, wcale nie tęskniłam do niezręcznej sytuacji, jaką niewątpliwie byłoby spotkanie z nimi. Nie tylko nie spędzaliśmy razem czasu już od lat, ale też oboje zostali oficjalnie uznani za SP, o czym pan Rathbun dał mi wyraźnie do zrozumienia już pierwszego dnia po moim przybyciu do L.A. Zaczęłam podejrzewać, że jest to swego rodzaju test. Gdyby na spotkaniu z rodzicami nie powstał między nami spór co do ich antyspołecznej, czysto osobistej decyzji o odejściu, uznano by mnie za złego członka Sea Org. A gdybym się z nimi o to spierała, byłabym żalosna.

- Hmm... Niech będzie. Mogę się z nimi spotkać - wyjąkałam.

Jakby czytając w moich myślach, pan Rinder powiedział:

- Słuchaj, nie chcemy, żeby Kościół miał jakieś kłopoty, więc wolałbym, żebyś nie dała się ponieść emocjom. Rozumiesz: rozmowa o pogodzie. Nie wydaje mi się, żeby próbowali na ciebie naciskać. W porządku?

- Tak, sir - odparłam, czując wielką ulgę.

A więc miałam tylko spędzić z nimi trochę czasu. Nie miałam pojęcia, o co chodzi.

Niezwykłe było to, że moi rodzice, będąc poza Sea Org, poza granicami kraju i poza moim życiem, chcieli się ze mną widzieć - i że na to spotkanie mi zezwolono, a wręcz delikatnie mnie do niego zachęcano. O kłopotach, o jakich wspomniał pan Rathbun, nie miałam wtedy zielonego pojęcia. Szczegóły poznałam znacznie później. Mój tata dał znać stryjowi Dave'owi, że razem z mamą wybierają się na wakacje w okolice L.A. i chcą się ze mną spotkać. Chwilę pertraktowano, ale w końcu rodzice oświadczyli, że albo otrzymają zgodę na spotkanie ze mną, albo zabierają mnie z organizacji, nawet jeśli miałyby to oznaczać wkroczenie na drogę prawną.

Kiedy przylecieli do L.A., stryj Dave powiadomił ich, że on i ciotka Shelly chcą się z nimi spotkać w hotelu w pobliżu lotniska. Mama powiedziała mi po latach, że po dotarciu na miejsce ona i tata byli ogromnie sfrustrowani. Stryj Dave już od progu zaczął ich uspokajać.

- Wkrótce zobaczycie Jennę - zapewnił ich. - Nigdy nie miałem zamiaru was rozdzielać.

Jedynym celem tego spotkania był PR i ocieplenie wzajemnych stosunków. Stryj powiedział rodzicom, że Marty i Mike narobili tylko bałaganu i że odtąd on sam się wszystkim zajmie. Rodzice będą mogli nawet na kilka dni zająć jego pokój w hotelu. Stryj uspokajał moich rodziców na wszelkie możliwe sposoby, posuwając się nawet do tego, że wypłacił ojcu część jego zaległej pensji. Dodał, że już nic nie będzie ograniczać naszych kontaktów.

Jednak nie miałam o tym wszystkim pojęcia, gdy pan Rathbun i pan Rinder dawali mi ostatnie instrukcje przed spotkaniem z rodzicami. Powiedzieli mi, że Maddie, kobieta mająca mnie eskortować na miejsce, spotka się ze mną nazajutrz w recepcji HGB. Miałam włożyć cywilne ubranie. Obaj panowie mieli się ze mną spotkać po mojej wizycie, żeby sprawdzić, jak się udała.

Rathbun uśmiechnął się, wychodząc z pokoju w towarzystwie Rindera. W takich chwilach miałam poczucie, że mi współczuje. Zawsze odnosiłam wrażenie, że choć musi postępować w określony sposób z racji tego, kim jest i jaką pełni funkcję, to jednak w głębi

duszy ma jakieś ludzkie uczucia i odrobinę mu zależy na moim dobru. W przeciwieństwie do swojej żony, która zdawała się czerpać przyjemność z zadawania mi bólu, pan Rathbun miał dla mnie trochę współczucia. Być może była to tylko moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że ludzie ze ścisłego kierownictwa nie mieli wyboru i musieli robić wszystko, czego żądał od nich stryj.

Wracając tamtego wieczoru do kajuty, spoglądałam na innych członków Sea Org, tłoczących się wraz ze mną w autobusie. W ciągu tych kilku miesięcy, które upłynęły od mojego przyjazdu do L.A., wielu zupełnie nieznanymi mi ludźmi z Sea Org, na których natykałam się przypadkiem, opowiadało mi, jak to kiedyś pracowali z moimi rodzicami, niezmiernie ich podziwiając. Zastanawiałam się teraz, co ludzie ci powiedzieliby na wieść o tym, że Ronnie i Bitty Miscavige'owie opuścili Sea Org, że mieszkają w Meksyku, gdzie zajmują się sprzedażą nieruchomości. Na idealnie gładkiej powierzchni pojawiłaby się wówczas rysa. Wiele osób lubiło moich rodziców. Wieść o tym, że oboje odeszli z Sea Org, mogłaby sprawić, że ludzie zaczęliby szemrać, mogłaby nawet dać początek plotkom i spekulacjom, że rodzice zerwali ze stryjem. To właśnie dlatego miałam za wszelką cenę dochować sekretu. Po tym, co się stało z Molly, wiedziałam, że nie wolno mi mówić komukolwiek, że nazajutrz spotykam się z rodzicami.

Maddie spotkała się ze mną rano i zabrała mnie do hotelu w LAX. Gdy parkowała samochód przy krawężniku, zobaczyłam szeroko uśmiechniętą mamę, która szła w naszą stronę. Byłam kompletnie nieświadoma tego wszystkiego, co musieli przejść ona i tata, byśmy znów mogli pobyć razem. Maddie wręczyła mi komórkę.

- To dla ciebie na dziś. Naciskając ten guzik, zadzwonisz po mnie, kiedy będziesz gotowa, żebym po ciebie przyjechała.

Poczułam, że mi zaufano, skoro postanowiono mi powierzyć ten zakazany przedmiot.

Wysiadając z samochodu, zaczęłam się uśmiechać. Nie sposób było nie odwzajemniać radości osoby tak przepełnionej szczęściem na mój widok. Mama serdecznie mnie uściskała, ja ją również. Czułam się niezręcznie, wiedząc, że Maddie widzi, jak obejmuję osobę uznaną za SP, ale gdy odwróciłam się w jej stronę, również ona uśmiechała się i machała do mamy, która pozdrowiła ją gestem, po czym zaprowadziła mnie do hotelu.

Dzień spędzony z rodzicami był wspaniały. Wyglądali starzej, ale też wydawało się, że dobrze się im wiedzie i że sobie radzą. Najwyraźniej wiedzieli, jakich tematów powinni unikać, a jakie poruszać. Na przykład nie rozmawialiśmy o Kościele. Pierwszą część dnia spędziliśmy na zakupach w Universal CityWalk. Co jakiś czas czułam wyrzuty sumienia, że tak dobrze się bawię. Było to dziwne, skoro oboje byli SP, ale trudno mi było myśleć o nich w

ten sposób.

Mama i tata nie usiłowali mnie nakłonić do odejścia z Sea Org i zamieszkania z nimi. Nie pytali o nic, co miałoby związek z Kościołem. Gdyby mnie zaczęli wypytywać albo zmuszać do czegokolwiek, od razu bym się z nimi posprzeczła. Dostarczyliby mi w ten sposób niezbędnego pretekstu, bym raz na zawsze zerwała z nimi kontakt - i dobrze o tym wiedzieli. Byli świadomi tego, że pozostanie w Sea Org było moją własną decyzją, ale wiedzieli również, że robiono mi pranie mózgu. Ostatnią rzeczą, którą chcesz powiedzieć osobie poddawanej praniu mózgu, jest to, że wyprano jej mózg. Rodzice dobrze wiedzieli, że najlepsze, co mogą zrobić, to okazywanie mi ciepła i miłości, które sprawia, że zakwestionuję wyrok, na mocy którego uznano ich za SP. Postępując ze mną delikatnie i nie próbując mi niczego narzucać, przygotowywali grunt pod moją własną decyzję o porzuceniu organizacji.

Wieczorem zaczęliśmy się przygotowywać do kolejnego rozstania, gdy w pewnej chwili tata wyjął drewniane pudełko ze skórzanym wieczkiem.

- Weź to - powiedział, wręczając mi je. - Będzie ci o nas przypominać.

Kiedy otwierałam prezent, mój wzrok spoczął na fotografii obojga rodziców i ich nowego domu, a także na karcie kredytowej z moim imieniem i nazwiskiem.

- Co to? - spytałam zmieszana.

Myszę, że tata spodziewał się, że nie przyjmę prezentu, a w każdym razie - że zacznę się przed nim wzbraniać.

- Tak na wszelki wypadek - oświadczył najwyraźniej w nadziei, że zatrzymam prezent.

Propozycja ta wydała mi się rozsądna. Nie miałam żadnych innych pieniędzy ani nikogo, z kim mogłabym się skontaktować, gdyby coś się stało albo gdybym kiedykolwiek musiała opuścić Kościół. Wiedziałam, że pan Rathbun i pan Rinder przypuszczalnie nie pochwalaliby tego, jednak proste wyjaśnienie taty mnie przekonało. Poczułam, że komuś na mnie zależy, i poczułam się bezpiecznie. Postanowiłam zatrzymać kartę, nie mówiąc o niej panom Rathbunowi i Rinderowi, jeśli o to nie pytają.

Gdy przyjechała Maddie, rodzice po raz ostatni mnie uściskali. Zaskoczył mnie smutek, jaki czułam przy pożegnaniu. Wiedziałam jednak, że moje miejsce jest w bazie - spotkanie z rodzicami nie zachwiało tym przekonaniem. Pomachaliśmy sobie po raz ostatni, gdy razem z Maddie ruszyliśmy autem do bazy.

Nim się obejrzałam, znów byłam w sali konferencyjnej na jedenastym piętrze. Zdałam krótki raport ze wszystkiego, co zaszło w trakcie spotkania z rodzicami, i zostałam odesłana do domu. Wygadałam się, że mam kartę kredytową, ale ku mojemu zdumieniu pan Rathbun

jej nie skonfiskował.

Wróciłam do domu grubo po północy. Nie byłam specjalnie zmęczona, więc poszłam do piwnicy zrobić pranie. Pralnia była pusta, ale kiedy wkładałam brudne ubrania do maszyny, zobaczyłam, że Dallas też przyszedł uprać swoje rzeczy.

- Cześć - powiedział.

Zaczerwieniłam się zmieszana, on też wyglądał na trochę speszonego.

Po kilku chwilach wypełnionych krępującym milczeniem usiedliśmy przed drzwiami pralni i gadaliśmy przez jakieś dwadzieścia minut. Dopiero gdy usłyszeliśmy schodzących po schodach ludzi, uświadomiłam sobie, jak późno się zrobiło. Dallas uśmiechnął się i powiedział, że powinniśmy się bliżej poznać. Zgodziłam się. Zanim się pożegnaliśmy, pochylił się nade mną, położył rękę na mojej i się pocałowaliśmy.

Ależ to był dzień.



## Rozdział dwudziesty piąty

### Celebrity Centre

Wkrótce potem ja i Dallas zaczęliśmy się oficjalnie spotykać. Dallas był bystry i miły, zawsze potrafił mnie rozśmieszyć, przy nim mogłam być sobą. Był osobą niezwykle rodzinną - opowiadał mi o swoich rodzicach, o starszym bracie i o młodszej siostrze oraz o dzieciństwie spędzonym z kuzynami. Było oczywiste, że kocha rodzinę. Miał beztrioskie dzieciństwo i był z tego dumny.

Ja też mu opowiadałam o swojej rodzinie, jednak wiele rzeczy musiałam przemilczeć. Nie mogłam mu powiedzieć, gdzie są moi rodzice, nie wiedziałam, gdzie jest brat, starałam się więc nie wdawać w szczegóły.

Pana H. irytowało, że spotykam się z Dallasem. Mówiła, że nie może zrozumieć, dlaczego nie mogę po prostu być sama. Teoretycznie na związki uczuciowe nie trzeba było mieć zgody. Obowiązywało nas mnóstwo zasad: członkom Sea Org nie wolno było opuszczać bazy, to samo dotyczyło członków CMO. Indywidualne decyzje co do tego, z kim dana osoba się spotyka, nikogo nie interesowały, dopóki przestrzegano zasad. Pan H. miała władzę, która umożliwiała jej wpływanie na moje życie osobiste. Widywała się ze mną na co dzień i składała codzienne raporty przełożonym, zapewne ciotce Shelly lub panu Rathbun. Nosłam nazwisko Miscavige i moje decyzje w sprawach osobistych nie były bez znaczenia.

Nie przeszkadzało mi, że pan H. żartowała z Dallasa. Uważałam, że w ten specyficzny sposób okazuje swoją aprobatę. Po tym jak jej koleżanka pan Rodriguez została wysłana do Flag, ja i pan H. zbliżyłyśmy się do siebie. W głębi serca pan H. była dobrym człowiekiem, choć potrafiła być bezwzględna. Była mniej więcej w wieku Taryn, a więc zaledwie kilka lat starsza ode mnie - w pewnym sensie była dla mnie jak starsza siostra. Często opowiadała o swojej młodszej siostrze, która podobnie jak ja lubiła rysować. Siostra pana H. nigdy nie należała do Sea Org, a pan H. najwyraźniej ją kochała i bardzo za nią tęskniła. Pan H. zawsze dawała mi jakieś prezenty na gwiazdkę, a ponieważ musiałam jadać przy tym samym stole co ona, w trakcie posiłków opowiadała mi o różnych filmach i książkach. Kiedy pozwolono mi zdecydować, przy którym stole będę jadać, miałam wrażenie, że zrobiło jej się przykro, bo to oznaczało, że będzie odtąd siedzieć podczas posiłków sama. No i pewnie zabolęła ją moja radość z powodu tego, że mogłam uwolnić się od jej towarzystwa. Była przedstawicielką RTC i musiała trzymać fason. Jej pozycja w RTC dawała jej dużą władzę, ale przez to nie

miała żadnych przyjaciół. Ludzie ze szczytu hierarchii byli bardzo samotni.

Wszyscy moi przyjaciele szybko polubili Dallasa. Mieli okazję go poznać, gdyż siedział ze mną przy jednym stole. Był wszechstronnie utalentowanym, przemiłym facetem, z którym świetnie się rozmawiało. Zawsze otwierał przede mną drzwi i oferował pomoc każdemu, kto jej tylko potrzebował. Po pracy przesiadywaliś-my razem na schodach przeciwpożarowych tuż przy moim budynku, rozmawiając do późna w nocy. Dallas urodził się w 1980 roku, więc był o cztery lata starszy ode mnie. Jego rodzice byli szeregowymi scjentologami i nie należeli do Sea Org. Kiedy Dallas przyszedł na świat, pracowali w lokalnej misji w San Diego. Jako zwykli wyznawcy scjentologii nie byli rekruterami, ale ojcu Dallasa doskonale szło pozyskiwanie dla Kościoła nowych wyznawców. Rodzice Dallasa zostali scjentologami, kiedy mieli po osiemnaście lat. Chociaż nie dołączyli do Sea Org, wspierali Kościół finansowo i byli bardzo aktywni, werbując jego nowych członków.

Dzieciństwo Dallasa było zupełnie normalne w porównaniu z moim. Opowiadał mi historie z okresu dorastania: o rodzinnych wycieczkach w towarzystwie ciotek, wujków i kuzynów, spośród których tylko nieliczni byli scjentologami. Mieszkał z rodzicami, jeździł na rowerze, chodził do publicznej szkoły i spotykał się z przyjaciółmi, zarówno należącymi do Kościoła, jak i tymi spoza organizacji. Uwielbiał ocean i latał ze swoim kuzynem do Meksyku posurfować. Jeździł na desce snowboardowej i obiecał, że kiedyś mnie tego nauczy. Jako dziecko nigdy nie spędzałam aż tyle czasu z rodziną, nigdy też nie miałam luksusu posiadania wolnego czasu. Kiedy kładłam się wieczorem do łóżka, w myślach powtarzałam sobie opowiedziane mi przez Dallasa historie, żałując, że nie zaznałam niczego podobnego.

Dallas miał też zupełnie inny niż ja kontakt ze scjentologią. Wychowano go w taki sposób, że w jego życiu scjentologia znajdowała się gdzieś na dalszym planie. Zupełnie inaczej rzeczy miały się w mojej rodzinie, dla której scjentologia stanowiła sprawę najważniejszą. Aż do szóstej klasy Dallas chodził nawet do publicznej szkoły w San Diego, póki kiepskie stopnie i pyskowanie nauczycielom nie wpędziły go w kłopoty. Gdy był w siódmej klasie, rodzice posłali go do miejscowej szkoły prowadzonej przez scjentologów. Zajęcia odbywały się tam w jednym pomieszczeniu, a uczestniczyło w nich tylko dwunastu uczniów od szóstej klasy wzwyż. Była tam jeszcze grupa uczniów z młodszych klas, licząca od trzydziestu do pięćdziesięciu osób, dokąd wysłano jego siostrę.

Dallas rozbawił mnie, kiedy mi opowiadał, że ponad tydzień zajęło mu zrozumienie pojęcia „beingness”, pierwszego terminu scjentologicznego, jaki poznał. Nie wiedział, że scjentologia ma swój własny język i że większość scjentologicznych idei jest bardzo mętna. Poszedł do liceum z internatem, oddalonego o godzinę drogi od L.A. i prowadzonego przez

pewne małżeństwo, które wcześniej należało do Sea Org. Zaimponowało mi, że zrealizował czteroletni program w zaledwie dwa lata. Powiedział, że rekruterzy z Sea Org często odwiedzali ośrodek, usiłując namówić dzieciaki do członkostwa w organizacji, on jednak chciał zostać aktorem i nie był zainteresowany dołączeniem do tej formacji.

Dallas miał zaledwie szesnaście lat, kiedy skończył szkołę, i był zbyt młody, aby iść do college'u - zresztą, jak sam powiedział, i tak się tam nie wybierał. Wielu scjentologów uważało college za stratę czasu. Rodzice Dallasa byli właścicielami pięćdziesięciu procent ogromnego, dobrze prosperującego sklepu jubilerskiego w San Diego, zaczął więc tam pracować, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy. Chciał się przenieść do L.A. i zacząć karierę aktorską. Zaoszczędził sześć tysięcy dolarów, których potrzebował, żeby uczestniczyć w kursach w Celebrity Centre. Dzięki temu mógłby brać udział w zajęciach scjentologicznych i poznać znanych ludzi z branży rozrywkowej, a może nawet udałoby mu się podpisać jakiś korzystny kontrakt. Jego marzeniem było zostać aktorem, a nie członkiem Sea Org. Miał piękny śpiewny głos, był świetny w improwizacji, potrafił nawet stepować.

W San Diego na własnej skórze przekonał się, że scjentologia rzeczywiście działa. Brał sesje audytowania, ale ponieważ się przeziębził, chciał jedną opuścić. Zdenerwowany audytor zadzwonił do niego, mówiąc, że powinien natychmiast pojawić się na sesji, bo jego choroba jest oznaką, że coś jest nie tak. Następnego dnia, mimo iż nadal był chory, Dallas pojawił się w siedzibie organizacji - doszedł do wniosku, że scjentolodzy wiedzą, co robią. Powiedział mi, że to była najlepsza sesja w jego życiu. W jej trakcie choroba opuściła jego ciało i po prostu znikła. Przekonał się wtedy, że scjentologia dobrze na niego wpływa.

Kiedy miał osiemnaście lat, wybrał się do Celebrity Centre w L.A., gdzie zrealizował czek na sześć tysięcy dolarów, aby zapłacić za kursy „Klucz do życia” oraz „Obranie kierunku w życiu” (w obu uczestniczyłam we Flag wiele lat wcześniej). Partnerującym mu bliźniakiem był piętnastoletni Dylan Purcell, syn Lee Purcella. Dallas opowiadał, że był to prawdziwy błazen. Z powodu jego wybryków również i Dallasa ciągnano do wydziału etyki. W tym czasie Dallas poznał wielu obiecujących aktorów, niektórzy zrobili później karierę. Wieczorami uczestniczył w zajęciach prowadzonych przez scjentologa i aktora zarazem, szkolącego między innymi Juliette Lewis i Giovanniego Ribisi, którzy również byli scjentologami.

Dallas często pytał mnie o moją rodzinę. Pewnego dnia zapytał, czy mógłby poznać moich rodziców. Wymyśliłam jakąś wymówkę, ale mi nie uwierzył. Pan H. codziennie mi przypominała, że nie wolno mi wygadać się przed Dallasem, że moi rodzice nie są już członkami Sea Org. Pouczała mnie nawet, jak mam się zachować, gdyby Dallas był zbyt

dociekliwy. Odgrywała rolę Dallasa i zadawała mi różne pytania, a ja miałam się ćwiczyć w omijaniu tematu. Jednak żadne z tych ćwiczeń nie ułatwiło mi radzenia sobie w sytuacjach, kiedy Dallas rzeczywiście pytał o moją rodzinę.

W końcu któregoś dnia zignorowałam ostrzeżenia pana H. i powiedziałam Dallasowi prawdę. Bardzo mi współczuł. Nareszcie zrozumiał, dlaczego zachowuję się tak dziwnie, ilekroć porusza temat moich rodziców. Oczywiście odtąd byłam zmuszona okłamywać pana H., która nieustannie pytała mnie, czy zachowałam tajemnicę. Musiałam powiedzieć o wszystkim Dallasowi - inaczej miałabym wrażenie, że go oszukuję.

W przeciwieństwie do większości członków Sea Org Dallas miał samochód, co umożliwiało nam wyjeżdżanie w niedzielne poranki z bazy do miasta na śniadanie, gdy tylko wypełniliśmy nasze obowiązki. Musieliśmy posprzątać kajuty, tak by mogły przejść inspekcję, a potem mieliśmy czas dla siebie i mogliśmy się gdzieś wybrać.

Pewnego razu, mimo iż pan H. tego nie pochwałała, pojechaliśmy do Celebrity Centre, gdzie miałam poznać mamę Dallasa. Zjedliśmy wczesny lunch w restauracji Renaissance. Dallas odbywał w Celebrity Centre kurs jako zwykły scjentolog, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych pracował jako członek kadry kierowniczej w Hubbard Communication Office. Dzięki temu przekonał się na własne oczy, jak inaczej niż zwykli scjentolodzy są traktowani znani ludzie. Osobom, takim jak John Travolta, Kirstie Alley, Catherine Bell, Jason Lee, Priscilla i Lisa Marie Presley czy Marisol Nichols, zawsze nadskakiwano. W tamtym czasie Jason Beghe i Jack Armstrong byli najbardziej szanowanymi gwiazdami w Centre, ponieważ obaj realizowali pełny program scjentologii i byli bardzo podekscytowani scjentologią.

W porównaniu z innymi kościołami scjentologicznymi w Celebrity Centre wszystko było najwyższej jakości, jeśli chodzi o elegancję i dyskrecję, począwszy od tego, że celebryci mieli osobne wejście - podwójną bramę na rogu Franklin Avenue i Bronson Avenue - oraz specjalną strefę na podziemnym parkingu, monitorowaną przez ochronę. Wchodzili do budynku przez President's Office, w którym znajdowały się osobne lobby, miejsce gdzie przeprowadzano terapię oczyszczającą, oraz pomieszczenia biurowe. Na górze były dwa pomieszczenia do audytowania oraz osobna sala, w której odbywały się indywidualne kursy i z której korzystali jedynie znani ludzie oraz ważni członkowie Kościoła, na przykład najwięksi sponsorzy. Scjentologia definiuje celebrytów jako wszystkich tych, którzy mają znaczące wpływy, może więc zaliczać się do nich ktoś tak znany jak Tom Cruise czy John Travolta albo też Craig Jensen, prezes Conduvis Technologies i największy sponsor scjentologii, czy wreszcie Izzy Chait, wpływowa pośredniczka w handlu dziełami sztuki z

Beverly Hills. Celebrytów otaczano ścisłą, a zarazem niezwykle dyskretną ochroną, by mogli korzystać z usług Kościoła w sposób całkowicie anonimowy.

W Celebrity Centre mieściły się również pokoje gościnne. Nie były one na wyłączny użytek celebrytów. Każdy scjentolog mógł taki pokój zarezerwować, jeśli tylko było go na to stać. Niektóre pokoje były bardzo drogie - wszystko zależało od rozmiarów pomieszczenia i wystroju wnętrza, ale zasadniczo ceny kształtowały się na poziomie tych obowiązujących w najbardziej ekskluzywnych hotelach w mieście. Kiedy moja mama uczestniczyła w pracach remontowych w Celebrity Centre, kilka razy nocowałam w hotelowym apartamencie. Składał się on z dwóch pokoi i był świetny. Powiedziano mi, że zwykle nocuje w nim Kirstie Alley. Kiedy Dallas pracował w Celebrity Centre, Kirstie była jedyną gwiazdą, o której wiedział, że spędza tam noce. Pozostali celebryci korzystali z usług Kościoła w ciągu dnia, po czym wyjeżdżali.

Dallas opowiadał mi, że celebryci, którzy zjawiali się w centrum, zachowywali się bardzo zwyczajnie. Niektórzy byli sympatyczni i towarzyscy, inni trzymali dystans, byli bardziej zamknięci w sobie i nie chcieli, by im przeszkadzano. Niektórzy popisywali się przed innymi celebrytami i nieuprzejmie traktowali personel. Ludzkie postawy były różne - podobnie jak różni byli celebryci, którzy zjawiali się w ośrodku. Według Dallasa na przykład John Travolta okazywał szczerą wdzięczność lokalnym członkom Sea Org i doceniał ich ciężką pracę. Dallas kiedyś poznał Travoltę, który pochwalił go za jego usługi.

Gdy o tym słuchałam, trudno mi było nie zapytać o najślawniejszego celebrytę scjentologa: Toma Cruise'a. Dallas powiedział, że kiedy on pracował w Celebrity Centre, Tom się tam nie pojawiał. Był scjentologiem, ale nie angażował się aktywnie w prace Kościoła. Pracownicy CC powiedzieli Dallasowi, że z powodu małżeństwa Toma z Nicole Kidman, która nie była tak zagorzałą zwolenniczką Kościoła jak jej mąż, Tom zaczął być przez scjentologów postrzegany jako potencjalne źródło problemów, co miało wpływ na jego postępy w samej scjentologii.

A wszystko dlatego, że ojciec Nicole był psychologiem. Wpajano nam, że ci, którzy zajmują się zdrowiem psychicznym, są złymi ludźmi. Wierzyliśmy, że to, co pisał o nich LRH, jest prawdą, i że to psychologowie stoją za ludźmi takimi jak Adolf Hitler oraz za złem, jakie zdarzyło się w trakcie „całej drogi”, to znaczy wszystkiego, co było naszym udziałem w ciągu trylionów lat.

Kiedy Dallas opowiedział mi o tym wszystkim, przypomniało mi się, co mówiła ciotka Shelly, kiedy byłam we Flag. Wtedy właśnie Tom Cruise wracał do Kościoła, nawet pisano o tym w gazetach. Wspomniałam o tym ciotce Shelly, która zaczęła rozwodzić się nad

podobieństwem Toma Cruise'a i stryja Dave'a - obaj należeli do typu żarliwców. Słyszałam nawet, że ludzie nazywają ich tym samym przydomkiem mającym coś wspólnego ze słowem „laser”. Powiedziałam ciotce, że nie wydaje mi się, by Nicole była szczególnie oddana scjentologii, a ciotka wydała się zdziwiona, że się tego domyśliłam. Przyznała, że mam rację i że to problem, który usiłowali rozwiązać.

Niezależnie od tego, o jak wielkie gwiazdy chodziło, jedną z głównych atrakcji oferowanych celebrytom był „Kurs komunikacji”, który odbywał się w Celebrity Centre. Dzięki niemu ludzie mieli lepiej radzić sobie na castingach oraz w nawiązywaniu kontaktów z innymi. Kolejną atrakcją stanowiło to, że sesje audytowania obwarowane były taką tajemnicą jak ta, która łączy spowiednika z penitentem, co oznaczało, że obowiązywał zakaz ujawniania przebiegu sesji - ani audytor, ani spowiednik nie -mogli ujawnić żadnych sekretów wyznanych podczas „spowiedzi”. Owa klauzula tajności sprawiała, że celebryci czuli się swobodnie, opowiadając o problemach i innych niepokojących rzeczach, które chcieli zmienić.

W Celebrity Centre usługi świadczone celebrytom i okazywana im gościnność znacznie wykraczały poza to, z czym mieli do czynienia szeregowi wyznawcy scjentologii, a te różnice nie ograniczały się do spraw czysto zewnętrznych. Celebrytom przysługiwały również liczne zniżki cen kursów. Pieniądze oraz formy zachęcania do scjentologii - oto główne różnice w podejściu Kościoła do szeregowych scjentologów i do celebrytów. Po pierwsze, celebryci nie byli bezustannie nękanymi przez ludzi Kościoła upominających się o pieniądze na projekty lub opłaty za nowe usługi. Wprawdzie również ich proszono o datki i pieniądze na kolejne usługi, ale kontaktowała się z nimi tylko jedna odpowiedzialna za to osoba, a nie przypadkowi członkowie personelu, jak to było w wypadku wszystkich szeregowych wyznawców scjentologii. Poza tym każdemu z celebrytów pozwalano zgłębiać tajniki scjentologii we własnym tempie, podczas gdy wszyscy inni, zaledwie zostali adeptami scjentologii, od razu zaczęli być skłaniani do osiągania wyższych poziomów, co oznaczało wydawanie kolejnych pieniędzy.

W przypadku zwykłych scjentologów nagabywanie o pieniądze nie ograniczało się jedynie do kosztów związanych z kursami. Na przykład rodziców Dallasa zawsze usiłowano skłonić do datków i zapisywania się na nowe kursy, nawet jeśli zapłacili za trzy kolejne kursy z góry. Tego rodzaju postępowanie było zabronione w odniesieniu do celebrytów. Kiedy scjentolodzy jechali do San Diego, aby kwestować na projekty Kościoła, często odwiedzali rodziców Dallasa, usiłując ich namówić na nowe datki. Takie wizyty były oczywiście nie do pomyślenia w wypadku celebrytów.

Doświadczenia celebrytów w znacznym stopniu odbiegały więc od doświadczeń większości scjentologów. Nie było jasne, czy celebryci do końca zdawali sobie sprawę z tego wyjątkowego traktowania i czy mieli jakiegokolwiek pojęcie, jak wygląda życie nadskakujących im członków Sea Org.

Pod wieloma względami Celebrity Centre stanowiło idealną wprost scenerię dla szopki, jaką Kościół scjentologiczny urządzał z myślą o celebrytach. Rewelacyjne warunki i piękny teren czyniły pobyt w ośrodku czymś niezwykle przyjemnym. Wszystko było perfekcyjnie kontrolowane i zorganizowane i jeśli tylko celebryci nie przyglądali się wnikliwiej, brali wszystko za dobrą monetę, nieświadomi tego, co się dzieje za kulisami. Raczej nie istniało niebezpieczeństwo, by mogli zobaczyć pracujące dzieci lub coś, czego Kościół nie chciał ujawniać. Członkowie Sea Org w Celebrity Centre w ramach swoich obowiązków musieli sprawiać wrażenie zadowolonych, więc celebryci na podstawie rozmów z nimi czy powierzchownych obserwacji nie mogli wiedzieć, czy ludzie ci otrzymali w danym tygodniu należne im czterdzieści pięć dolarów lub czy tęsknili za rodzinami.

Przedstawienie aranżowane w Celebrity Centre odgrywało ważną rolę w werbowaniu celebrytów i służyło jako zachęta, by dołączyli do Kościoła. Krótko mówiąc, placówka działała niemal identycznie jak wszystkie inne kościoły, w których oferowano kursy i sesje audytowania, jednak koncentrowano się w niej na znanych ludziach. Nie trzeba było być sławnym, by się tam zatrzymać, jednak to miejsce miało przede wszystkim przyciągać gwiazdy: te u szczytu sławy, ale i te nieco zapomniane, które próbowały popularność odzyskać. Istniało mnóstwo wytycznych dotyczących celebrytów, w których wyjaśniano, że stanowią oni bardzo dobry PR dla Kościoła, bo ich scjentologiczne zwycięstwa zwrócą publiczną uwagę.

Wszystko to stanowiło jedno z najpotężniejszych narzędzi rekrutowania, jakimi dysponował Kościół. Celebryci mogli poznawać innych podobnie myślących scjentologów i mieli możliwość cieszenia się scjentologią z dala od wścibskich spojrzeń. Tym sposobem Kościół zapewniał wielu celebrytom poczucie, że korzystają ze szczególnych uprawnień, poczucie przynależności do elity. W związku z tym od czasu do czasu w Celebrity Centre pojawiały się nawet gwiazdy niebędące scjentologami. Kiedy moja mama tam pracowała, widywała Brada Pitta, który bywał tam dlatego, że spotykał się wtedy z Juliette Lewis. Słyszałam też, że ludzie tacy jak Bono czy Colin Farrell uczestniczyli w odbywających się w CC galach, choć sami scjentologami nie byli.

W ów niedzielny poranek, kiedy umówiliśmy się z mamą Dallasa na wczesny lunch, restauracja, urządzona w ekstrawaganckim renesansowym stylu, nie była szczególnie

zatłoczona. Usiedliśmy przy stoliku w ogrodzie. Mama Dallasa Gail była drobną, uroczą kobietą, która nieustannie się uśmiechała. Widać było, że bardzo się z Dallasem kochają. Była wobec mnie serdeczna, choć byłam bardzo spięta i mało się odzywałam.

W którymś momencie zapytała mnie o nazwisko, a wtedy wyszło na jaw, że jestem bratanicą Davida Miscavige'a.

- W takim razie muszę się pilnować, żeby nie powiedzieć przy tobie czegoś nieodpowiedniego - żartowała.

W ciągu kolejnych miesięcy sprawy między mną a Dallasem przyjęły poważny obrót. Poznałam resztę jego rodziny, która była równie miła jak on sam i jego mama. Wkrótce Dallas stał się moim najlepszym przyjacielem. Był również moim chłopakiem, co oznaczało, że któregoś dnia być może za niego wyjdę. Czasem w niedzielne poranki jego rodzice przyjeżdżali do nas w odwiedziny, traktując mnie jak członka rodziny. Ilekroć byłam przygnębiona, dzięki Dallasowi czułam się lepiej. Mogłam z nim porozmawiać na każdy temat, on ze mną również.

Pewnej nocy, kiedy siedzieliśmy na schodach porzeciwpożarowych, Dallas mi się oświadczył. Byliśmy ze sobą tylko kilka miesięcy, ale w Sea Org krótki okres znajomości poprzedzający zaręczyny nie jest niczym wyjątkowym. Tego wieczoru nie spodziewałam się niczego niezwykłego, choć miałam nadzieję, że Dallas wkrótce mi się oświadczy.

Wśród rozświetlonych blaskiem neonów ciemności, w jakich tonęło Los Angeles, na starych żelaznych schodach przyśrubowanych do mojego budynku, Dallas przyklęknął na jedno kolano i wyjął pierścionek. Jąkał się i był zdenerwowany, jak zwykle w stresujących sytuacjach. Zaczął od tego, że nie był w stanie zwrócić się w tej sprawie do mojego ojca, bo nie ma pojęcia, gdzie jest. A potem zapytał, czy za niego wyjdę.

Każda ważna kwestia, jaka padła w czasie tej rozmowy, była przerywana lub zagłuszana przez dźwięk klaksonu, syreny, czyjeś okrzyki lub stukanie wózka pchanego przez jakiegoś bezdomnego. W tle nieustannie brzmiała ogłuszająca muzyka dobiegająca z restauracji Pig'n' Whistle, znajdującej się w sąsiedztwie. Ja jednak niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Wykrzyknęłam tylko: „Tak!”, oszołomiona z radości. Nareszcie miałam mieć swoją własną rodzinę.



## Rozdział dwudziesty szósty

### Potajemne zaręczyny

Kiedy powiedziałam panu H. o swoich zaręczynach z Dallasem, kobieta nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy martwić. Nazajutrz zakomunikowała mi, że nie powinnam nikomu o tym mówić. Nie byłam pewna, kto jej kazał to powiedzieć, ale przypuszczałam, że był to stryj Dave, ciotka Shelly albo pan Rathbun. Pan H. nie powiedziała, że nie wolno mi wychodzić za mąż, tylko że nie powinnam nikomu o tym mówić. Nie miałam bladego pojęcia z jakiego powodu, a w dodatku było już za późno - o zaręczynach powiadomiliśmy już niemal wszystkich, nie wyłączając moich przyjaciół z Flag.

Nie uważałam, by Dallas był mi przeznaczony. Nie wierzyłam w tego rodzaju rzeczy. Czułam jednak, że jest dla mnie najlepszy spośród wszystkich ludzi na świecie. Był zabawny, odważny i bardzo miły. Ujęło mnie jego łagodne usposobienie. Zawsze znajdował czas, by wysłuchać argumentów wszystkich stron sporu, i jednakowo szanował każdy pogląd. Mimo tego wszystkiego, co w życiu przeszłam, teraz miałam być z mężczyzną, którego kochałam. Moja historia miała się szczęśliwie zakończyć. Dzięki temu, że ojciec Dallasa był właścicielem sklepu jubilerskiego, mój pierścionek był przepiękny - prosty i klasyczny: dwa diamenciki po obu stronach większego diamentu. Ten pierścionek był dla mnie symbolem spełnienia marzeń.

Miałam osiemnaście lat, a Dallas dwadzieścia dwa. Większość członków Sea Org brała ślub w młodym wieku z kilku powodów. Przede wszystkim nie wolno było uprawiać seksu przed ślubem. Ponadto małżeństwu pozwalano mieć osobny pokój - nie trzeba było już mieszkać z siedmioma współlokatorami. Znałam mnóstwo ludzi, którzy wzięli ślub, mając piętnaście lat. Chcąc się pobrać przed ukończeniem osiemnastego roku życia, trzeba było jechać do Las Vegas, ponieważ w Kalifornii konieczna byłaby w tej sytuacji rozmowa z psychologiem lub psychiatrą.

Z powodu obowiązujących we Flag przepisów nie wolno nam było mieć dzieci. Jednak Dallas wierzył, że ta reguła się zmieni i że zakaz posiadania dzieci zostanie zniesiony. Uważałam taki scenariusz za mało prawdopodobny, ale bycie z Dallasem i przynależność do jego rodziny w zupełności mi wystarczały.

Nadeszło Boże Narodzenie i wszyscy mieli dzień wolnego. Dallas pojechał do San Diego, by spotkać się z rodziną, ale mnie nie pozwolono mu towarzyszyć, więc wybrałam się

na kolację i do kina z resztą załogi. Rodzice przesłali mi pocztą kilka prezentów: maskotkę, zegarek i trochę książek, które uwielbiałam. Nie wiedziałam, że w przypływie życzliwości stryj pozwolił im bez ograniczeń się ze mną kontaktować. Pewnie zależało mu, żeby się nie denerwowali, byli zadowoleni i nie wytoczyli Kościołowi procesu. Kontaktowali się ze mną po raz pierwszy od czasu naszego ostatniego spotkania.

Tydzień lub dwa po tym jak pan H. zakazała mi mówić komukolwiek o moich zaręczynach, zostałam wezwana do mieszczącego się na jedenastym piętrze biura pana Rathbuna, który powiedział mi, że doszły go słuchy, że wychodzę za mąż, i że jest niezmiernie zadowolony, widząc mnie tak szczęśliwą. Chciał mi jednak dać pewną radę: żebym wstrzymała się ze ślubem i informowaniem innych o naszych zaręczynach, bo na jedną z osób z rodziny Dallasa, a konkretnie na jego wujka Larry'ego padło podejrzenie, że przeglądał antyscjentologiczne strony internetowe. Powiedziano mi, że ostatnią rzeczą, jakiej Kościół potrzebuje, jest spotkanie Larry'ego, który może się okazać PTS, z moimi rodzicami, w zasadzie uznanymi za SP. Obawiano się, że Larry, mama i tata mogą zacząć współpracować, by zniszczyć Kościół.

Nie uważałam, by były powody do obaw, ale zdawało się, że dla pana Rathbuna zagrożenie jest całkiem realne. Choć było to bardzo irytujące, uznałam, że w ciągu kilku tygodni sytuacja się wyjaśni. Poza tym pan Rathbun był wobec mnie bardzo miły, więc starałam się nie robić problemów.

Mimo komplikacji z powodu wujka Larry'ego wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądał mój wielki dzień, choć rzeczy, o których marzyłam, były zupełnie poza moim zasięgiem. Mimo że mój ojciec nie zapłaciłby za wesele, od czasu do czasu przeglądałam magazyny z modą ślubną, wybierałam suknie, które mi się podobały, i weselną muzykę, zastanawiałam się też, które przyjaciółki będą moimi druhami. Rozważałam nawet poproszenie babci, żeby pożyczyła mi pieniądze, choć miałam tak skromną pensję, że spłacenie pożyczki byłoby praktycznie niemożliwe. Nie miałam z babcią kontaktu, odkąd wyjechałam z Florydy. Przysłała mi tylko prezenty i kartkę świąteczną, na której napisała, że bardzo za mną tęskni. Dziś wiem, że babcia i tak nigdy by się nie domagała zwrotu tych pieniędzy.

Niedługo po mojej rozmowie z panem Rathbunem zaczęto odrywać Dallasa od pracy, by urządzać mu przesłuchania z użyciem Emetru. Sprawdzano, czy ja i Dallas nie popełniliśmy wykroczenia przeciwko 2D. Raz Dallasowi zafundowano tak zwany roll back, czyli sesję audytowania, która miała wyśledzić źródła „dywersji”. W scjentologii dywersja to wszelka krytyka pod adresem Kościoła lub jego jednostek. Dallasowi zadawano pytania, aby

odkryć i ujawnić przyczynę, dla której się ze mną żeni.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby ożenić się z Jenną? - pytał go audytor.

To było niewłaściwe wykorzystanie procedury roll back, która z pewnością nie została wymyślona po to, by można było dzięki niej stwierdzić, czy ślub ze mną ma jakiś związek z dywersją albo czy Dallas ma wobec mnie szczerą intencję. Ale Kościół był paranoiczny - za pomocą roll back usiłowano sprawdzić, czy ktoś powiedział Dallasowi, by wziął ze mną ślub i dzięki temu zdobył informacje o mojej rodzinie lub by zrobił to w jakimś podobnym celu. Nie ulega kwestii, że Dallasowi wszystko to zostałoby oszczędzone, gdybym nie nazywała się Miscavige.

Ja również zostałam poddana roll back. Zdawało się, że Kościół stara się znaleźć pretekst, by nam zaszkodzić. Kiedy ludzie spotykali się ze sobą, zawsze istniało podejrzenie, że dopuścili się wykroczenia przeciwko 2D, ale to, co nas spotkało, było znacznie gorsze. Nie byłam pewna, dlaczego tak się dzieje ani kto stoi za próbami zniszczenia naszych planów związanych ze ślubem, ale moje podejrzenie w naturalny sposób padło na stryja Dave'a i ciotkę Shelly. Najbardziej irytujące było to, że przesłuchiowano przede wszystkim Dallasa - najprawdopodobniej dlatego, że z nas dwojga on stanowił słabsze ogniwo i w przeciwieństwie do mnie nie miał dużego doświadczenia w roli przesłuchiwanego.

Mijały miesiące, ale choć nie przestawałam pytać, kiedy będziemy mogli wziąć ślub, nie dawano nam żadnych konkretnych odpowiedzi. Dallas był tak samo sfrustrowany jak ja, ale wydawało nam się, że niewiele możemy zrobić, by cokolwiek przyspieszyć. W końcu dostałam list od ciotki Shelly, w którym wyrażała radość na wieść, że biorę ślub, jednocześnie przestrzegając mnie przed wykroczeniem przeciw 2D. Pisała, że Linda z Office of Special Affairs powiadomi mnie, kiedy ja i Dallas będziemy mogli się pobrać. Sfrustrowana, osobiście porozmawiałam z Lindą, która oznajmiła mi, że sprawa wujka Dallasa toczy się niezwykle wolno, pochłania wiele czasu; że nie widać w niej większych postępów i pewnie nieprędko należy się ich spodziewać.

Nie miałam pojęcia, z czym się wiązało „załatwianie sprawy wujka Larry'ego”. Nie mogli w tej kwestii zbyt wiele zrobić. Nie wierzyłam też, by ślub odsuwano w czasie z powodu kogoś tak pozbawionego znaczenia jak wujek Dallasa. Rodzice Dallasa byli szanowanymi członkami Kościoła, hojnymi sponsorami i zasłużonymi propagatorami scjentologii. To powinno odwrócić uwagę od sprawy niepokornego wuja. Nie było możliwe, żeby prowadzić śledztwo w sprawie czyichkolwiek dalekich krewnych i nie natrafić na kogoś, kto ma sceptyczny stosunek do scjentologii lub kiedyś zaglądał na krytyczne wobec niej strony internetowe. Cała sprawa była dziwaczna. To moi rodzice byli niechętni scjentologii, a

jednak wszystkie zastrzeżenia wobec ślubu wiązały się rzekomo z zagrożeniem mogącym wyniknąć z ich spotkania z wujkiem Larrym.

Dallas zaczynał się już mocno irytować, bo nikt z zarządu nie rozmawiał z nim, tylko ze mną. Prosił, żebym zwróciła się o pomoc do stryja Dave'a, ale ja nie chciałam tego zrobić, domyślając się, że stryj wie o wszystkim i nie obchodzi go to. Obawiałam się, że pójście z tym do niego sprawi, że narażę się na zarzut protekcji i narobię sobie jeszcze większych kłopotów. Dallas tego nie rozumiał, bo przecież jedyną osobą, która naprawdę mogła nam pomóc, był właśnie stryj Dave. Jeśli jednak to on stał nam na drodze, żadna moja próba perswazji niczego by nie zmieniła.

Usiłowałam znaleźć jakieś uzasadnienie dla zastrzeżeń wobec naszego ślubu. Wielokrotnie zapewniałam Lindę, że ani moi rodzice, ani wujek Larry nie muszą być obecni na uroczystości - co rozwiązywałoby problem. Ale to się na nic nie zdało - to nie Linda rozdawała karty.

Wreszcie po miesiącach słuchania nonsensownych wykrętów dotyczących wujka Larry'ego Dallas i ja zdecydowaliśmy się złamać 2D i uprawialiśmy seks przedmałżeński. Jeśli ktokolwiek był świadom konsekwencji wykroczenia, to właśnie ja, ale wcale mnie to nie powstrzymało. Dallas i ja chcieliśmy być razem bez względu na wszystko i byliśmy gotowi przyjąć tego konsekwencje. Według mnie seks z Dallasem nie był niczym złym, niezależnie od tego, jakie obowiązywały zasady. Zresztą myślałam, że i tak nikt się o tym nie dowie. Tylko nas dwoje wiedziało o wykroczeniu przeciw 2D i miałam nadzieję, że nasza tajemnica nie wyjdzie na jaw. Byliśmy młodzi, zakochani i się zaręczyliśmy. To Kościół nie pozwalał, by nasza relacja się pogłębiła.

Wiedziałam, że wykroczenie przeciw 2D byłoby czymś nagannym, gdyby wiązało się z cudzołóstwem lub seksem z przypadkowym partnerem, jednak nasza sytuacja była inna. Byliśmy w stałym związku i spotykaliśmy się od miesięcy. Próbowaliśmy się stosować do zasad i chcieliśmy wziąć ślub, ale Kościół mnożył przeszkody na drodze do naszego wspólnego życia. Chcieliśmy postąpić właściwie, ale nam to uniemożliwiono. Zdawaliśmy sobie sprawę, że stosowanie się do wymogów Kościoła sprawi, że stracimy szansę na własne szczęście, więc zrobiliśmy to, czego pragnęliśmy i co - jak nam się zdawało - było dla nas dobre, niezależnie od wszelkich konsekwencji.

Nie miałam nawet cienia poczucia winy i udało mi się utrzymać sprawę w tajemnicy przez całe tygodnie. Jednak Dallas w końcu złamał się pod gradem pytań w trakcie przesłuchań, dając sobie wmówić, że faktycznie zrobiliśmy coś złego. Na początku czerwca, poddany silnej presji, wyznał wszystko panu H., którą to wyznanie zszokowało. Pan H.

potrafiła zadawać bardzo sprytnie pytania, ale nawet ona nie sądziła, że do czegokolwiek się tym razem dokopie. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, skonfrontowała to zeznanie ze mną. Powiedziałam, że czuję się źle nie z powodu tego, co zrobiłam, ale dlatego, że sprawa wyszła na jaw.

Oczywiście byłam wściekła na Dallasa, że się wygadał, ale rozmowa między nami miała się odbyć nieco później. Na razie powiedziałam panu H., że winę za wykroczenie przeciwko 2D ponoszą osoby, które nie pozwalają nam się pobrać. O dziwo, pan H. nie zaprotestowała. Była przygnębiona i martwiła się, co będzie dalej. Żadnemu członkowi Sea Org nie upiekło się wykroczenie przeciwko 2D. Dallas i ja z pewnością nie pierwsi je popełniliśmy, choć być może ja pierwsza nie miałam z tego powodu wyrzutów sumienia.

Natychmiast znalazłam się pod strażą - ktoś cały czas śledził każdy mój ruch. Pan H. powiedziała, że będę miała duże kłopoty. Zauważyłam, że naprawdę niepokoiło ją, co się ze mną stanie.

- Gdzie jest Dallas? - zapytałam.

Wiedziała, że w wypadku ujawnienia wykroczenia przeciwko 2D pierwsze, co się robi, to rozdziela winowajców, a potem zwyk-le wysyła się ich na różne kontynenty lub przynajmniej do dwóch różnych baz, aby poddali się RPF i nigdy więcej się nie zobaczyli.

Odpowiedź pana H. była bardzo niepokojąca, choć mnie nie zaskoczyła. Kobieta powiedziała, że nie muszę tego wiedzieć i że nie powinnam nawet myśleć o Dallasie, zważywszy na to, w jak poważne kłopoty wpadłam. Ja tymczasem mogłam się skupić jedynie na tym, że jeśli nie uda mi się odnaleźć Dallasa, najprawdopodobniej nigdy go już nie zobaczę.

Byłam przerażona i jednocześnie wściekła. Zasady i wytyczne Sea Org wymagały ode mnie, żebym siedziała cicho i robiła, co mi każą, ale po prostu nie mogłam.

- Gdzie on jest, do cholery? - zapytałam gniewnie pana H.

Zaskoczona odpowiedziała, że nie wie.

- Gówno prawda! - krzyknęłam.

Wybiegłam z biura na korytarz i zaczęłam otwierać kolejno wszystkie drzwi do pokoi, rozpaczliwie próbując znaleźć Dallasa. Zbiegłam na dół i sprawdziłam autobus, pytając napotkanych po drodze przyjaciół, czy przypadkiem nie widzieli mojego chłopaka. Bez rezultatu. Ktoś za mną szedł i wołał, żebym się zatrzymała, ale ja zaglądałam do każdego pomieszczenia w HGB w poszukiwaniu Dallasa.

Następnie poszłam do oddalonego o ponad trzy kilometry Holly-wood Inn, ale tam również nie natrafiłam na żaden ślad. Widziałam, jak moje życie po raz kolejny się rozpada,

ale tym razem nie zamierzałam do tego dopuścić. Właśnie wtedy ochroniarz w Hollywood Inn powiedział, że ktoś do mnie dzwoni. Natychmiast pobiegłam do jednego z mieszczących się w lobby biur w nadziei, że to Dallas. Czekał jednak na mnie pan Rathbun. Miał bardzo poważną minę. Przez krótką chwilę zawstydziłam się, że druga najważniejsza osoba w Kościele musiała osobiście się pofatygować z powodu mojego wykroczenia przeciw 2D, ale czasy kiedy usiłowałam być w porządku wobec RTC, należały do przeszłości. Spieprzyli wszystko w moim życiu. Chciałam tylko, by pozwolili mi na małżeństwo i przydzielili mi stanowisko w Sea Org przez wzgląd na to, co sobą reprezentuję, a nie na to, kim jest mój stryj. Miałam już dosyć tego, że zawsze muszę przechodzić przesłuchania z powodu swojego nazwiska, miałam dosyć paranoicznej dbałości o wizerunek Kościoła. Inni ludzie na moim miejscu już dawno byłiby albo w Kościele, albo poza nim, odcięliby się od swojej rodziny albo do niej wrócili. Ja nieustannie byłam rozdarta, co doprowadzało mnie do szału. Pan Rathbun usiłował mnie skłonić, bym usiadła.

- Jenno, wiem, co się dzieje - powiedział, próbując mnie zawstydzić i w ten sposób zmusić do uległości. - Musisz się teraz oczyścić.

Było oczywiste, że interpretuje moje zachowanie jako „reakcję dzikiego zwierzęcia”, najbardziej znany symptom zatajenia. Najwyraźniej sądził, że zdoła mnie uspokoić, każąc mi się teraz oczyścić. Nie byłam w nastroju do oczyszczania się, chciałam tylko wiedzieć, gdzie jest Dallas.

- Zajmują się nim - odpowiedział na moje pytanie pan Rathbun.

Wybiegłam z gabinetu, nie chcąc mieć do czynienia z jego psychologicznymi gierkami.

Było już ciemno, kiedy szłam ponad trzy kilometry do HGB, wciąż szukając Dallasa.

Biegając chodnikiem, usłyszałam odgłos zwalniającego samochodu i krzyk pana Rathbuna, który przez uchylone okno wołał, żebym wsiadała, że musimy porozmawiać. Przez chwilę mnie przekonywał i w końcu się zgodziłam. Wsiadłam do auta w nadziei, że może mi powie, gdzie jest Dallas.

Pan Rathbun zaczął mówić, że nie ma pojęcia, jak do tego doszło, że cała ta sprawa zupełnie wymknęła im się spod kontroli. Teraz jednak nie pozostawało mu nic innego, jak tylko złożyć ciotce Shelly i stryjowi Dave'owi raport o moich postępkach. Nie mogłam uwierzyć, że ma mnie za osobę tak naiwną, iż zakłada, że nie wiem, że oboje już o wszystkim wiedzą. Nie kwestionowałam jednak jego słów, powiedziałam tylko, że nie rozumiem, co oni mogliby mieć z tym wspólnego. Żaden inny członek Sea Org nie musiałby znosić aż takiej kontroli i takich środków ostrożności, do jakich się posuwano wobec mnie.

Pan Rathbun zgodził się ze mną, najwyraźniej jednak - podobnie jak wcześniej pan H. - był rozdarty między świadomością, że musi na mnie nakrzyczeć, a współczuciem. Dotarliśmy do najwyższego punktu Mulholland Drive. Rathbun zatrzymał samochód w miejscu, z którego roztaczała się malownicza panorama. Mogliśmy wreszcie wysiąść i odetchnąć świeżym powietrzem. Byłam tu pierwszy raz w życiu. U naszych stóp rozciągało się pograżone w morzu światła Los Angeles. Pan Rathbun sądził chyba, że ten widok pomoże mi się uspokoić, ponieważ jednak nie zrobiłam się nagle potulna, wpadł w złość, zaczął na mnie krzyczeć, zarzucając mi, że jestem SP. Zaczęłam krzyczeć na niego, a on tak się wściekł, że wsiadł do samochodu i odjechał.

Tak oto zostałam zdana na własne siły gdzieś na końcu świata. Nie przybliżyłam się ani o krok do celu, którym było odnalezienie Dallasa. Nie wiedziałam nawet, że jestem na Mulholland Drive. Na szczęście zobaczyłam niedaleko jakąś parę. Po minach tych młodych ludzi poznałam, że słyszeli moją kłótnię z Rathbunem. Starając się wyglądać tak normalnie, jak to tylko możliwe w uniformie Sea Org, z czerwonymi i zapuchniętymi od płaczu oczami, podeszłam do nich i zapytałam, czy mogłabym skorzystać z ich telefonu. Dziewczyna, której najwyraźniej zrobiło się mnie żal, podała mi komórkę. Podziękowałam jej, spojrzałam na telefon, a potem znowu na nią, bo nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam do kogo zadzwonić.

## Rozdział dwudziesty siódmy

### Na krawędzi

Gapiałam się na Dolinę San Fernando, zastanawiając się, co dalej. Ruszyłam drogą w kierunku Los Angeles. Szłam jakieś piętnaście minut, kiedy wrócił po mnie pan Rathbun. Tym razem wsiadłam do samochodu bez słowa sprzeciwu.

- Posłuchaj - zaczął pan Rathbun - jeśli będziesz realizować program, zobaczysz jeszcze Dallasa.

Nie miałam pojęcia, na czym miał polegać ów program, wiedziałam jednak, że w najlepszym razie będą to niekończące się przesłuchania.

- Zrobię to - odparłam - ale tylko dlatego, że bardzo Kocham Dallasa.

- Rozumiem. Naprawdę życzę ci jak najlepiej.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu w samochodzie, aż w końcu ruszyliśmy z powrotem do bazy.

Zanim dotarliśmy na miejsce, zatrzymaliśmy się przy CelebrityCentre, gdzie pan Rathbun musiał podrzucić ważne dokumenty z sesji audytowania, którą odbył z Tomem Cruise'em.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedział. - Zaraz wracam.

Choć najchętniej bym wysiadła, byłam zupełnie wykończona. Poza tym i tak nie było sensu uciekać. Bo niby dokąd?

Przez noc zdołałam na tyle się uspokoić, by móc racjonalnie myśleć. Postanowiłam, że będę współpracować, zgłoszę się na sesję i postaram się zrealizować program, który dla mnie przygotowują. Przez kilka kolejnych dni odbywałam sesje z Sylvią Pearl z Office of Special Affairs, które działało jak rodzaj tajnej policji przesłuchującej ludzi mogących stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa organizacji. Kamera w gabinecie była skierowana wprost na mnie.

Zacząło się od pytania, na które Sylvia Pearl znała już odpowiedź: czy uprawiałam seks z Dallasem? Potem zaczęła mnie wypytywać o każdy szczegół - gdzie, kiedy, jak, ile razy, jak długo. Co prawda spodziewałam się drobiazgowego przesłuchania, ale te tak ingerujące w moją prywatność pytania wprawiały mnie w zakłopotanie. Miały mnie nie tylko poniżyć, ale wręcz sponiewierać. Znakiem rozpoznawczym dobrego śledczego była gotowość ingerowania w prywatność, a Sylvia Pearl robiła to doskonale. Miałam poczucie, że nie



powinnam współpracować, bo najwyraźniej przesłuchanie miało być wykorzystane przeciwko mnie i służyło uzyskaniu przez nich kontroli nade mną.

Nie dość, że musiałam się zwierzać Sylvii z najbardziej intymnych spraw, to jeszcze czułam, że nie jesteśmy same. Najprawdopodobniej ktoś nagrywał nas na kamerę wideo, żeby można było później obejrzeć tę sesję. No i oczywiście ktoś inny miał jeszcze przeczytać zapis całej sesji. Na samą myśl o tym, ilu ludzi pozna szczegóły mojego życia intymnego, robiło mi się niedobrze. Sesja miała rzekomo służyć mojemu dobru, ale cały ten zinstytucjonalizowany voyeuryzm to już była przesada.

Skutek przesłuchania był taki, że zwątpiłam w sens całej tej męczarni. Gdybym po prostu miała wyznać, co zrobiłam, i odczuć skruchę, może nie byłoby to aż tak nieznośne. Wiedziałam jednak, że dodatkowe szczegóły nie służą sprawie. Według scjentologii jest tak, że im więcej wyznasz szczegółów, tym większą ulgę powinieneś czuć, ale po tym wszystkim, co wyznałam, nie miałam poczucia ulgi, tylko poczucie, że mnie wykorzystano.

Najwyraźniej zależało im na wywołaniu we mnie skruchy z powodu wykroczenia przeciw 2D oraz na tym, by wymusić przyznanie się do winy. Byłoby mi łatwiej, gdybym rzeczywiście uważała, że popełniłam błąd. Jednak z przyczyn, których nie potrafię opisać i które nie do końca były dla mnie jasne, tym razem nie potrafiłam się podporządkować - a właśnie o to im chodziło - jak to robiłam już nieraz w przeszłości.

Kiedy nie miałam sesji, pytałam, gdzie jest Dallas, podejrzewając, że przechodzi to samo co ja. Po pięciu dniach dostałam pozwolenie, by napisać do niego list, ale po przeczytaniu go pan H. zmusiła mnie, bym w kilku miejscach zmieniła jego treść. Po dwóch dniach dostałam odpowiedź. Składała się z zaledwie kilku zdań, które nie brzmiały jak słowa mojego narzeczonego, i wynikało z nich, że -Dallas odbywał swój program, że ja powinnam przejść przez swój i że Dallas wciąż mnie kocha. Lakoniczność listu martwiła mnie bardziej niż sama jego zawartość.

Po kilku kolejnych dniach przesłuchiwania przez Sylwię mój stosunek do całej sprawy się zmienił. Wcześniej nie podobało mi się, że śledcza zadaje takie, a nie inne pytania, ale na nie odpowiadałam. Teraz jednak poczułam, że jakakolwiek współpraca z przesłuchującą jest nie do przyjęcia. Siedząc w sali audytowania i czekając na nową serię pytań, nie byłam pewna, czy zniosę kolejne próby zmuszania mnie do publicznych wyznań.

- Czy mogłaby pani wyłączyć kamerę? - zapytałam Sylwię.

Chciałam jedynie odrobiny prywatności. Zamierzałam się poddać sesji, ale potrzebowałam wsparcia - a przynajmniej rozmowy sam na sam.

- Nie - odpowiedziała, ucinając dyskusję.

Kiedy zaczęła zadawać pytania, zamknęłam się w sobie, odmawiając odpowiedzi. Nie miałam nic do powiedzenia. Nie potrafiłam znaleźć żadnych słów, których gotowa byłaby wysłuchać. W miarę jak Sylvia coraz bardziej traciła cierpliwość, ja myślałam tylko o tym, że muszę się stąd wydostać i że jest to jedyna rzecz, o jakiej marzę. Ale to było niemożliwe.

Wstałam z krzesła i chciałam wyjść z pokoju, lecz Sylvia mi nie pozwoliła. Miała co najmniej pięćdziesiąt lat, była silna i najwyraźniej przygotowana na podobną reakcję. Przynajmniej przez kwadrans usiłowałam się uwolnić z jej uchwytu, aż w końcu musiałam jej obiecać, że nie ucieknę, jeśli tylko pozwoli mi wyjść na klatkę schodową na tyłach budynku. Był to chyba najmniej konfrontacyjny sposób wybrnięcia z sytuacji. Sylvia zwolniła uchwyt, a wtedy uciekłam.

Poradziłam sobie z pierwszym ochroniarzem, ale on dał znać innemu, żeby żeby ten czekał na mnie dwa piętra niżej. Nieomal przeskakując naraz wszystkie schody na półpiętrze, zdołałam jakoś pokonać kolejnego strażnika i wypadłam z budynku.

Z chwilą gdy znalazłam się na tłumnym Hollywood Boulevard, stałam się nietykalna. Nikt nie śmiałyby urządzić sceny na ulicy. Wmieszawszy się w tłum, zauważyłam, że Sylvia idzie za mną.

- Jenno, Jenno, zaczekaj! Zatrzymaj się! - próbowała przekrzyczeć hałas przejeżdżających samochodów.

- Daj mi spokój! - krzyknęłam w odpowiedzi. - Nie wracam. Chcę odszukać Dallasa.

W Hollywood Inn przeszukałam każde piętro, pytając wszystkich, czy przypadkiem go nie widzieli. Gdy znalazłam się z powrotem w HGB, popędziłam do biura pana H.

- Gdzie on jest? - zapytałam bez zbędnych wstępów.

Kobieta nawet nie otworzyła ust, by mi odpowiedzieć. Wpatrywała się we mnie w milczeniu. Mierzyłyśmy się wzrokiem. Każda z nas czekała na reakcję tej drugiej, aż w końcu powiedziałam jej, że łączące nas w ciągu kilku ostatnich miesięcy dobre stosunki to już przeszłość.

- Mam zamiar go odnaleźć i wiesz, co ci powiem? Nie zamierzam już nigdy poddawać się żadnej sesji, nikt nie będzie mnie wypytywał o moje życie intymne. Skończyłam z tym.

Pan H. zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, a ja zaczęłam w nie pukać. Nie odpowiadała, więc pukałam coraz głośniejszymi, krzycząc, aż w końcu, ponieważ nie miałam nic do stracenia, zaczęłam rzucać się na zamknięte drzwi gabinetu, które po drugiej takiej próbie ustąpiły, mimo iż H. zamknęła je na klucz. Na twarzy H. odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Stała w milczeniu i patrzyła, jak zaczynam przerzucać jej rozrzucone po pokoju dokumenty w poszukiwaniu jakiejś wskazówki dotyczącej miejsca pobytu Dallasa. Na

jednym ze stosów papierów znalazłam raport sporządzony przez osobę przesłuchującą Dallasa. Zawierał wszystkie szczegóły naszych intymnych kontaktów, co mnie wkurzyło, ale nie zdziwiło.

Rzuciłam okiem na jedną ze stron raportu i zobaczyłam, że audytorka Dallasa ma na imię Tessa i pracuje w Office of Special Affairs. Pan H. nadal stała jak słup soli, ja tymczasem zbiegłam po schodach do pomieszczeń do audytowania należących do OSA w poszukiwaniu Tessy. Nikt mi nie powiedział, gdzie ona jest, więc zaczekałam na nią przed budynkiem.

Kilka minut później Tessa i jeszcze jakaś kobieta wyszły z HGB frontowymi drzwiami i ruszyły w stronę samochodu. Poszłam za nimi, domagając się odpowiedzi na pytanie, gdzie jest Dallas, one jednak nie chciały ze mną rozmawiać. Poradziły mi, żebym przestała się o niego martwić, a zatroszczyła się o siebie, i odjechały.

Przez kolejne dwa tygodnie nadal szukałam Dallasa, całymi dniami niezmiernie przeczesując budynki Sea Org w L.A. w nadziei, że zdołam go w końcu odnaleźć. Wędrowałam po korytarzach w uniformie Sea Org, prowadząc swoje prywatne śledztwo. Nie wyważałam już drzwi ani nie biegałam po ulicach, ale z każdym mijającym dniem ogarniał mnie coraz większy niepokój, a moja determinacja rosła.

Choć śledztwo nie przyniosło rezultatów, stanowiło przynajmniej okazję do zastanowienia się nad kilkoma ostatnimi tygodniami i nad tym, jak mnie potraktowano. Doszłam do wniosku, że reakcje ludzi Kościoła na moje zachowanie pod wieloma względami były nietypowe. Dawniej na przykład taki wybuch jak ten, który zdarzył mi się w sali audytowania w obecności Sylvii, ściągnąłby na mnie surową karę, najprawdopodobniej też odesłano by mnie na RPF. Teraz jednak, choć nieustannie grożono, że tam trafię, było to tylko ciche gadanie. Gdyby zamierzano się ze mną rozprawić, uczyniono by to po owej sesji z Syla. Tymczasem włączyłam się bez przeszkód po korytarzach PAC Base, a choć mnie śledzono, nie próbowano mnie powstrzymać.

Nie rozumiałam, z czego wynikają niekonsekwencje w działaniach ludzi Kościoła, i zastanawiałam się, co się dzieje za kulisami. Najwyraźniej podzielił scjentologów jakiś konflikt - zdaje się, że chcieli mnie ukarać, ale coś ich przed tym powstrzymywało. Nietrudno było się domyślić ingerencji moich rodziców. Ostatecznie, gdyby wysłano mnie na RPF, Kościół musiałby się z tego przed nimi wytłumaczyć. Oni zaś najprawdopodobniej nie byliby tym zachwyceni, nie wspominając już o innych członkach Kościoła, którzy zaczęliby się zastanawiać, jakim to nieposłuszeństwem wykazała się Jenna Miscavige, że zastosowano wobec niej najsurowszą z kar.

Choć moja rodzina odegrała tu zapewne jakąś rolę, to nie wyjaśniało wszystkiego. Ostatecznie odmówiłam poddania się karze, jaką mi wyznaczono za wykroczenie przeciw 2D. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli, wiedzieli też, że popełniłam poważne wykroczenie przeciwko morale grupy i zamiast się kajać, zrobiłam im na złość. A jednak działanie ludzi Kościoła wskazywało na głębszą ambiwalencję. Wyglądało to niemal tak, jakby nie mogli się zdecydować, jak wybrnąć z sytuacji.

Być może ci na górze zdawali sobie sprawę z tego, czego i ja miałam świadomość: że nie zgodzę się, by mnie odesłano na RPF. Mieli już Dallasa, nie miałam więc nic do stracenia. Byłabym raczej skłonna wezwać policję i zgłosić zaginięcie Dallasa, niż poddać się kolejnej niezasłużonej karze. Choć wątpiłam w to, że ktokolwiek z ludzi Kościoła czuje się winny z powodu niedopuszczenia do naszego małżeństwa, miałam wrażenie, że sami nie bardzo wiedzą, co teraz zrobić. Zgoda na ślub oznaczałaby rozgrzeszenie nas z naszych postępów - nie mogli ukarać nas za wykroczenie przeciw 2D, jednocześnie pozwalając nam być razem. Najwyraźniej sądzili, że mogą nas rozdzielać, póki nie zdecyduję się ustąpić, tymczasem ja wyraźnie pokazywałam, że nie ustąpię.

W końcu wpadłam w taką desperację i byłam tak przygnębiona, że zwróciłam się o pomoc do pana H. Nasza rozmowa szybko jednak zmieniła się w kłótnię, aż w końcu pan H. znów zatrzęsła mi drzwi przed nosem. Nie dając za wygraną, po raz kolejny je wyważyłam, choć dopiero co zostały naprawione. Nie upłynęło kilka minut, a pojawili się trzej ochroniarze, złapali mnie za ręce i nogi, wepchnęli do niewielkiego pokoju i tam zamknęli. Ale nawet w tej sytuacji robiłam, co mogłam, by się uwolnić. Jednego z nich kopnęłam w krocze i niemal udało mi się uciec.

Przełożeni musieli dostać raport na temat mojego naganego zachowania, bo dwa dni później zadzwonił do mnie Greg Wilhere, szef RTC, i powiedział, że jest w drodze z Int, by się ze mną spotkać. Zawarł ze mną ugodę: jeśli przestanę rozrabiać, pozwoli mi na kontakt z Dallasem. Kilka minut później ja i Dallas mogliśmy porozmawiać przez telefon.

Rozpłakałam się - nie byłam w stanie kontrolować emocji, jakie ogarnęły mnie w owej chwili, poza tym byłam wyczerpana. Dallas również niemal płakał, jednak w jego głosie usłyszałam obcy ton. Dallas brzmiał jakoś dziwnie i ostrożnie dobierał słowa - mówiąc, robił długie, nienaturalne pauzy. Wiedziałam, że ktoś obok niego mówi mu, co ma powiedzieć do słuchawki. Postępowano tak wobec ludzi, którzy wpadli w kłopoty. Efekt był taki, że jeszcze bardziej się wkurzyłam. Chciałam się spotkać z Dallasem twarzą w twarz. Byłam wściekła, że ludzie Kościoła traktują nas jak swoją własność.

- Powiedz, gdzie jesteś - poprosiłam.

- Jenno, nie mogę - powiedział Dallas po kolejnej długiej przerwie. - Odbywam swój program. Krok po kroku. Dowiedziałem się, że jeśli go skończę, znów będziemy mogli być razem.

- Wierzysz w to? - zapytałam.

- Chyba jest jakaś szansa. Tego się w tej chwili trzymam - stwierdził raczej bez przekonania.

- Ale powiedz, gdzie jesteś - powiedziałam błagalnym tonem.

Zbyt wiele przeszłam, by zdawać się na coś tak mglistego jak szansa. Jednak Dallas był niewzruszony.

- Nie mogę.

Poczułam gniew. Tak wiele ryzykowałam, usiłując go odnaleźć, tymczasem on wydawał się bardziej lojalny wobec Kościoła niż wobec mnie. Wydawało się, że mimo wszystkich moich starań Kościół nas pokonał. Dallas był marionetką w rękach scjentologów i najwyraźniej z prawdziwą satysfakcją chcieli mi to rzucić prosto w twarz.

W przypiływie hysterii i desperacji wychyliłam się niebezpiecznie z okna.

- Ktokolwiek przysłuchuje się tej rozmowie, niech teraz się skupi. Ty też się skup, Dallas. Jeśli zaraz się nie dowiem, gdzie jesteś, wyskoczę z czwartego piętra. Mówię zupełnie serio - powiedziałam przez telefon.

- Nie mogę ci powiedzieć, Jenno - odparł Dallas.

Stałam na parapecie i spoglądałam w dół na pędzące samochody. Nie mogłam uwierzyć, że sprawy zaszły tak daleko. Zapadał zmierzch. Czułam na ciele zimne podmuchy wiatru, a światła ulicy pode mną zlały się w mglistą plamę. Nie miałam nad niczym kontroli, ale strasząc ich, że odbiorę sobie życie, mogłam to zmienić. Wiedziałam, że w Kościele panicznie się boją sytuacji, gdy jakiś jego członek ginie lub popełnia samobójstwo. Każda taka PRowa wpadka była im bardzo nie na rękę i najprawdopodobniej zrobiono by wszystko, by jej zapobiec, zwłaszcza po sprawie Lisy McPherson. Podejmowałam więc rozpaczliwą próbę odzyskania tego, co zostało mi odebrane, wykorzystując ostatni atut, jaki miałam: ich strach przed negatywnym PR.

Dallas jednak nadal nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest. Właśnie miałam się rozłączyć, kiedy zadzwonił pan Wilhere z pytaniem, jak się rozwija sytuacja. Na jego polecenie poinformowano mnie, że Dallas zaraz do mnie przyjedzie, więc wróciłam do pokoju. Wreszcie ktoś potraktował mnie poważnie.

Mniej więcej godzinę później Dallas wysiadł z windy. Wyglądał na nieszczęśliwego i zmartwionego. W pierwszym odruchu chciałam go uściskać, po chwili jednak znowu

poczułam wzbierający gniew.

- Gdzie byłeś?! - zapytałam przez łzy. - Dlaczego mnie nie szukałeś?!

- Przepraszam, Jenno. Po prostu nie mogę ci powiedzieć.

Gdy to usłyszałam, ulga, jaką poczułam na jego widok, nagle zniknęła, ustępując miejsca bolesnej świadomości dokonanych przez niego wyborów. Dallas twierdził, że chce być ze mną, ale kiedy musiał wybierać między mną a Kościołem, między moim bezpieczeństwem a wykonywaniem poleceń, wybrał Kościół. W końcu go odnalazłam, ale w jakimś sensie był już dla mnie stracony. Świadomość tego była nieznośna. Zaczęłam okładać go pięściami. Był większy i silniejszy, więc nic mu nie mogłam zrobić i tylko moja wściekłość rosła.

I tak po raz drugi tego wieczoru wspierałam się na parapet.

Dzisiaj wiem, że ci, którzy raz zostali opuszczeni, odczuwają potrzebę sprawdzania ludzi, którzy pojawili się w ich życiu. Chcą sprawdzić, jak bliska osoba postąpi w skrajnej sytuacji. Czy opuści cię tak jak wszyscy inni? Gdy wracam myślą do tamtego wieczoru, trudno mi stwierdzić, kogo sprawdzałam: Dallasa, ludzi Kościoła czy samą siebie. Nadal nie wiem, czy naprawdę chciałam wyskoczyć z okna. Wiem jednak, że wtedy przeżywałam na nowo każdą stratę, którą poniosłam z powodu Kościoła: utratę rodziców, brata, przyjaciół. Jeśli Kościół miał mi odebrać również Dallasa, to być może skończenie z tym wszystkim nie było aż tak złym pomysłem.

Niebo pociemniało, kiedy zastanawiałam się, co dalej. Zastanawiałam się, jak bardzo by to bolało i czy od razu bym umarła. Jednak odepchnęłam myśli o bólu i pomyślałam o sobie jako o thetanie, w którego istnienie w jakimś sensie nadal wierzyłam. Ale zamiast dać mi siłę, bym mogła dźwigać to życie, przywołana idea thetana nadała moim myślom inny bieg, bo nagle uświadomiłam sobie, że nawet jeśli umrę, i tak powrócę na świat w innym wcieleniu. Pocieszające było, że koniec oznaczał zarazem nowy początek, nową rodzinę. Ostatecznie miałam w tym tkwić przez miliard lat. Cóż jest złego w odrzuceniu jednego życia, skoro ma się ich tysiące?

Dallas w końcu zdał sobie sprawę, że mówiąc o śmierci, nie żartuję. Jego oczy napelniły się łzami. Wziął mnie za rękę i obiecał, że powie mi, gdzie był i co się z nim działo. Wtedy pozwoliłam, by sprowadził mnie z parapetu. Objęliśmy się. Pomyślałam, że może jednak mu na mnie zależy.

Opowiedział, że przetrzymywano go pod strażą w piwnicy budynku PAC, że wykonywał pracę fizyczną, między innymi prace rozbiórkowe i kładzenie kafelków, i że przez cały ten czas go przesłuchiowano. Poinstruowano go, co ma pisać w listach do mnie,

miał to jedynie wyrazić własnymi słowami. Powiedział też, że - tak jak przypuszczałam - nasza krótka rozmowa telefoniczna była podsłuchiwana przez Lindę, która udzieliła mi dokładnych instrukcji na temat tego, co ma mówić, a czego nie. Grożono mi, że jeśli nie będzie współpracował, zostanie oficjalnie uznany za SP i że już nigdy nie zobaczy ani swojej rodziny, ani mnie. Powiedział mi, że starał się wybierać mniejsze zło.

Chciałam móc odczuwać ulgę, wiedząc, że jestem dla Dallasa na tyle ważna, że dla mnie złamał przynajmniej jedną z reguł. Widziałam, że naprawdę cierpi i nie wie, co robić. A wszystko przeze mnie. Czułam się, jakbym była najgorszym człowiekiem na świecie - zawsze mi to zresztą powtarzano. Ale sama również cierpiałam. Zaryzykowałam wszystko z miłości i z obawy, że zostaniemy rozdzieleni, na ile jednak mogłam się zorientować, Dallas nie podzielał moich uczuć. Miał o wiele więcej do stracenia niż tylko mnie.

Nie zdążyliśmy się sobą nacieszyć, gdy zjawił się pan Wilhere, aby ze mną porozmawiać. Poprosił Dallasa, by zaczekał w drugim pokoju.

- Jenno, jeśli poddasz się programowi, wszystko będzie w porządku - zaczął. - Za podobne wybryki większość ludzi trafia na RPF, ale ty masz szczęście. Wygląda na to, że unikniesz tej kary.

- A co z Dallasem? - zapytałam.

- Nie bardzo mnie to obchodzi. Pewnie zostanie rzucony lwom na pożarcie.

Tak więc Dallas wybrał Kościół i taka była jego nagroda: był zbędny. Stanowił dla nich jedynie narzędzie, by skłonić mnie do zrobienia tego, czego ode mnie żądano, żebym tylko nie zaszkodziła wizerunkowi Kościoła, zdobywając się na otwarty sprzeciw. Nie bardzo wiedzieli, jak mają ze mną postąpić.

Wkrótce przyjechała Linda, żeby zabrać Dallasa. Byłam wykończona emocjonalnie i psychicznie, ale też było mi wstyd, że tak źle go oceniłam. Zgodziłam się wrócić do domu, by zastanowić się nad najlepszym rozwiązaniem całej sytuacji. Gdy tylko znalazłam się w pokoju, uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd, pozwalając im zabrać Dallasa, zwłaszcza w kontekście słów pana Wilhere, że zamierzają go poświęcić. Teraz, kiedy już wiedziałam, gdzie Dallas jest, musiałam do niego dotrzeć, póki go nie przeniosą w jakieś inne miejsce.

Nie chcąc popełniać na nowo tych samych błędów, pojechałam do PAC. Znalazłam Dallasa w jednym z pomieszczeń. Na zewnątrz stali ochroniarze.

Tamtej nocy po raz pierwszy spaliśmy w tej samej kajucie. Będąc tak blisko niego, wreszcie się uspokoiliam.

## Rozdział dwudziesty ósmy

### Nowe nazwisko

Następnego ranka pan Wilhere oznajmił, że Kościół zamierza mnie i Dallasa gdzieś wysłać, żebyśmy się uspokoili i mieli czas na „odstymulowanie się”. Była to wymyślona przez LRH metoda radzenia sobie z kimś, kto zwariował. Nie obchodziło mnie, co mówił Wilhere. Skupiłam się tylko na tym, że mieliśmy wyjechać. Wiedziałam, że nie jestem w stanie żyć tak jak do tej pory. Mój organizm by tego nie zniósł. Ważyłam zaledwie czterdzieści trzy kilogramy i czułam, że moja wytrzymałość powoli się kończy.

Tego dnia pan Wilhere zawiózł Dallasa, dwóch strażników i mnie do Big Bear, a tam zaprowadzono nas do domku o dwóch sypialniach. W jednej były piętrowe łóżka, a w drugiej łóżko podwójne. Mój strażnik i ja nocowaliśmy w pokoju z podwójnym łóżkiem, a Dallas ze swoim strażnikiem - z łózkami piętrowymi. Rozejrzawszy się po wygodnie urządzonej wnętrze, przyjrzałam się dwóm strażnikom. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Kościół wydaje na nas tyle pieniędzy. Spotkało mnie w życiu wiele różnych kar, ale żadna nie była podobna do tej. Dwa dni wcześniej członkowie Kościoła wydawali się zdeterminowani, by mnie dręczyć, a teraz dzięki nim znalazłam się w tym zaciszu. Wydało mi się to bardzo dziwne, ale nie zamierzałam się skarżyć.

Przez kolejne cztery tygodnie cała nasza czwórka spędzała razem czas, gotowała, chodziła po górach, pływała w jeziorze i czytała na głos książki. Raz w tygodniu ktoś do nas przyjeżdżał, przywoził nam listy, ubrania, jeśli ich potrzebowaliśmy, oraz żywność. Miałam poczucie winy z powodu wszystkich tych pieniędzy, które na mnie wydawano. Byliśmy tam od około tygodnia, gdy złożyła nam wizytę Sylvia Pearl, by kontynuować moje przesłuchanie. Zakwaterowano ją w domku nieopodal. Jej obecność nie oznaczała niczego dobrego. Nadal nie byłam w stanie znieść przesłuchań i znów po prostu wychodziłam w trakcie sesji. W tym samym czasie przesłuchiowano również Dallasa. Zadawano mu pytania dotyczące mojej osoby i usiłowano nakłonić do złożenia na mnie doniesienia, co tylko jeszcze bardziej mnie złościło. W międzyczasie Sylwię -Pearl zastąpiła audytorka z RTC. W końcu, nie bez pewnych trudności, moje przesłuchania dobiegły końca.

Raz w tygodniu pan Wilhere przyjeżdżał sprawdzać, co u mnie słychać. Czasem dzielił się ze mną najnowszymi wiadomościami. Podczas jednej z owych wizyt powiedział, że w sprawie Lisy McPherson nastąpił znaczący postęp. Bob Minton, finansista mający



kluczowe znaczenie dla sprawy cywilnej wytoczonej Kościołowi przez rodzinę Lisy, przeszedł na drugą stronę barykady. Nie popierał już sprawy Lisy McPherson, a zamiast tego wspierał Kościół. Pamiętałam, że Minton był przywódcą protestujących z Lisa McPherson Trust, którzy gromadzili się przed bazą. Ludzie z OSA często mówili o nim, kiedy wspominali o wrogach, którzy pikietowali i usiłowali zniszczyć Kościół. Minton i jego żona byli najbardziej aktywnymi protestującymi we Flag Land Base. Minton złożył zeznania w sądzie, twierdząc, że prawnik reprezentujący McPhersonów namówił go do kłamstwa, do fałszowania dokumentów sądowych i do wzniesienia nastrojów antysejntologicznych. Prawnik rodziny McPhersonów replikował, że Minton został zmuszony przez Kościół do zmiany zeznań. Zarzuty przeciwko Kościołowi zostały oddalone w 2000 roku, po tym jak lekarz sądowy zmienił kwalifikację przyczyny zgonu z „nieznanej” na „wypadek”.

Nie licząc wieści ze świata zewnętrznego, które od czasu do czasu do nas docierały, w miejscu naszego odosobnienia w Big Bear panował niczym niezmacony spokój. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego właściwie tam mnie wysłano. Może zrobiono to, by zadowolić moich rodziców, a może dlatego, że groziłam samobójstwem, co oznaczało, że jestem szalona i że stanowią potencjalne źródło problemów. Przyczyną mógł być również fakt, że nazywam się Miscavige, więc jedynym wyjściem było zmuszenie mnie do odejścia, co skutkowało by negatywnym PR dla Kościoła. Jestem pewna, że scjentolodzy doszli do wniosku, że dzięki izolacji w Big Bear wyciszę się, uspokoję, że z czasem cały incydent pójdzie w niepamięć i nikt się nie zorientuje, że kara, jaka mnie spotkała, nie była dość surowa.

Niezależnie od intencji Kościoła dzięki pobytowi w owym miejscu faktycznie się uspokoiliam. Wcześniej byłam tykającą bombą zegarową, ale po kilku tygodniach, w czasie których nie musiałam się bać, że mi odbiorą Dallasa, i w czasie których mogłam się najeść i wyspać, w końcu odzyskałam równowagę.

Wszystko to nie rozwiązało jednak moich wątpliwości co do Kościoła. W pewnym sensie opuszczałam Big Bear jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zdeterminowana, by nie ulegać żądaniom tych ludzi. Miałam świadomość, że w scjentologii są pewne rzeczy, z którymi się nie zgadzam: napastliwe wypytywanie, bezcelowe sesje audytowania, niekończące się przesłuchania, i wiedziałam, że choć niektórym te metody pomagały, w moim wypadku odnosiły odwrotny skutek. Co więcej, uważałam, że z gruntu niesłuszne i nieracjonalne jest ciągle karanie mnie za coś, czemu nie byłam winna. Kiedy przypominałam sobie to, co przeszłam, jedno było dla mnie jasne: ludzie Kościoła przestaną mnie wykorzystywać tylko wtedy, gdy się im przeciwstawię, nawet jeśli będzie to oznaczało doprowadzenie ich do ostateczności.

Czasem moja postawa sprawiała, że kłóciłam się z Dallasem. Choć również i on w wielu kwestiach nie zgadzał się z Kościołem i miał wiele wątpliwości co do tego, jak nas traktowano, nie mógł zrozumieć, dlaczego nie godzę się na współpracę i kary, jakie mi wyznaczano. Według Dallasa powinniśmy się byli ze wszystkim pogodzić, wszystko znosić i iść dalej. Według mnie zgoda na owe kary prowadziła jedynie do kolejnych prześladowań. Im bardziej ustępowaliśmy, tym bardziej było to wykorzystywane.

I póki nie byliśmy małżeństwem, nasza sytuacja tak naprawdę się nie zmieniała. Wszystko, co zdarzyło się wcześniej, również i teraz mogło nam się przydarzyć. Nieustannie ryzykowaliśmy. Wróciwszy do domu po sześciu tygodniach odosobnienia, czuliśmy to wyraźnie.

Zanim jednak wszyscy wróciliśmy do L.A., Wilhere przyjechał do Big Bear, żeby ze mną porozmawiać i poinformować mnie o tym, co mnie czeka. Dallas i ja mieliśmy zostać pozbawieni naszych stanowisk we Flag Liaison Office, mieliśmy też zostać zdegradowani i umieszczeni w PAC Base, gdzie czekała nas praca fizyczna w zakładzie, w którym zajmowano się stolarką. Ostatnie ostrzeżenie członków Kościoła było takie: tylko krok dzieli nas od RPF.

Myśl o pracach fizycznych w PAC Base nie przerażała nas. Może i ucieszyłabym się na wiadomość, że czekają mnie zajęcia mniej odpowiedzialne od dotychczasowych. Nie zgodziłam się jednak podjąć tej pracy. Nie chciałam wracać do punktu wyjścia sprzed sześciu tygodni i poddawać się karze za nasze rzekome przestępstwa: za wykroczenie przeciw 2D, za moją próbę samobójczą, niesubordynację - lista była długa. Pokryto koszty umieszczenia nas w Big Bear, po czym jakby nigdy nic mieliśmy wrócić do wcześniejszego życia i dostawać niesprawiedliwe kary, które kazano nam pokornie znosić. W oczach ludzi Kościoła byliśmy winni i musieliśmy za to zapłacić.

Dallas zgodził się pracować w zakładzie. Ja odmówiłam. Po kilku tygodniach gehenny wszystko w końcu zaczęło się układać. Miałam pozostać w CMO IXU i pracować w Landlord Office w FLO jako „wizualizator”, czyli ktoś, kto przygotowywał graficzne prezentacje projektów i pomagał zestawiać plansze projektowe. Dallasa umieszczono z powrotem w PAC, która uchodziła za organizację niższą w hierarchii. Choć te dwie bazy dzieliły tylko trzy kilometry, były to osobne ośrodki, więc nie mogliśmy jeść razem posiłków ani widywać się wieczorami.

Nawet małżeństwo nie gwarantowało, że mężowie i żony mogli być razem - tego rodzaju rozłąka była właśnie tym, czego się obawiałam. Co gorsza, kiedy zobaczyłam się z Dallasem, powiedział mi, że jest przesłuchiwany przez Jessicę Feshbach, która wkrótce miała

zasłynąć z tego, że została audytorką Katie Holmes. Powiedział mi też, że tak samo, jak miało to miejsce w Big Bear, w czasie owych sesji usiłują z niego wyciągnąć jak najwięcej przede wszystkim na mój temat. Znowu wpadłam w gniew. Dallas również był przygnębiony i wspólnie napisaliśmy list do pana Rathbuna i pana Wilhere z prośbą, by nam pozwolili być razem w FLO. Pan Rathbun nie odpowiedział, a pan Wilhere odpisał, że najwyraźniej zależy mi tylko na pierwszej i drugiej dynamice, czyli na mnie samej i na Dallasie, i że nie obchodzi mnie nic innego, na przykład grupa czy misja zbawiania ludzkości. Podarłam ten list na strzępy i mu go odesłałam, przez co wpakowałam się w nowe kłopoty.

Choć tak jawnie się buntowałam, nie odesłano mnie na RPF. Ja tymczasem ani myślałam się poddać. W Big Bear dotarło do mnie, że Kościół jest w stanie kontrolować mnie jedynie wówczas, gdy sama na to pozwolę. Nie wiem z jakiego powodu, ale chcieli, żebym została, co oznaczało, że stanowisko Kościoła jest wewnętrznie sprzeczne: usiłowano karać mnie za to, co zrobiłam, jednocześnie starając się mnie nie rozdrażnić. Wobec tego nie ustępowałam w tych wszystkich sprawach, które budziły mój sprzeciw, a trochę ich było.

Choć byłam nieszczęśliwa, nie mogłam się zdecydować na kolejny krok: opuszczenie Kościoła. Wszystko przemawiało za tym, ale póki Dallas był związany z organizacją, nie mogłam tak naprawdę brać pod uwagę takiej ewentualności. Musielibyśmy odejść razem. Niemal zdołali nas rozdzielić, kiedy oboje byliśmy w Kościele, więc mogłam sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym odeszła, a on by został. Moje zaangażowanie w scjentologię zaczęło w dużej mierze być uzależnione od Dallasa. Choć byłam sfrustrowana, znosiłam tę sytuację, bo dzięki temu mogliśmy być ze sobą. Warto było ocalić ten związek. Ograniczyłam się więc do krytyki i niesubordynacji, zamiast otwarcie się buntować.

Nadal żyliśmy nadzieją, że nasze małżeństwo dojdzie do skutku. Choć nie zawsze się zgadzaliśmy co do tego, jak wydobyć się z tego piekła, nadal pragnęliśmy tego samego: być razem. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i się kochaliśmy. Wszystko, przez co przeszliśmy, jedynie zbliżyło nas do siebie. I byliśmy zdeterminowani, by z całej tej historii wyjść obronną ręką: jako mąż i żona.

Kilka tygodni po naszym powrocie z Big Bear kazano mi wsiąść do vana, który codziennie kursował do Int. Było to dziwne, bo nie odwiedzałam Int od lat. W czasie dwugodzinnej drogi ciągle się zastanawiałam, z kim mam się spotkać i po co. Na miejscu wyjaśniło się, że chodzi o spotkanie z panem Wilhere, dotyczące mojego ślubu z Dallasem. Wilhere chciał, żebyśmy poczekali z tym jeszcze trochę. Powiedział, że sprawa wujka Dallasa nie została jeszcze rozwiązana. Wcale mnie to nie zdziwiło.

Powiedziałam, że jestem skłonna współpracować i poczekać jeszcze jakiś czas, jeśli

dadzą Dallasowi posadę w FLO, żebyśmy przynajmniej mogli być razem. Pan Wilhere łatwo się zgodził, czym bardzo mnie zaskoczył.

Skoro zniknął problem mojej rozłąki z Dallasem, a jedynym powodem, dla którego zaprzętał ich wujek Larry, było niebezpieczeństwo polegające na jego zetknięciu się z moimi rodzicami na ślubie, co rzekomo mogłoby doprowadzić do niebezpiecznego spisku - zapewniłam pana Wilhere'a, że moi rodzice się nie obrażą, jeśli poproszę ich, by nie przyjeżdżali na ślub, skoro to aż taki problem, i że mogę do nich w tej sprawie napisać. Ku mojemu zaskoczeniu po chwili namysłu pan Wilhere się zgodził. Przyglądał się, gdy pisałam - niezgodnie z prawdą - o swoim szczęściu i o tym, jak świetnie sobie radzę. Napisałam, że znalazłam kogoś, kogo pokochałam, i że jestem pewna, że oni również by go pokochali. Napisałam też, że mam własne życie i liczę, że to rozumieją. Nie poprosiłam ich wprost, żeby nie przyjeżdżali na ślub, ale zdałam się na ich domyślność.

Pan Wilhere dotrzymał słowa. Nazajutrz przydzielono Dallasowi stanowisko zecera w dziale promocji we FLO. Dział był odpowiedzialny za tworzenie dla Kościoła sejentologicznych materiałów promocyjnych dla czasopism i innych publikacji. Odtąd mogliśmy z Dallasem spędzać czas przeznaczony na posiłek, widywać się sporadycznie w ciągu dnia, a nawet jeździć tym samym autobusem do domu po pracy.

Kilka tygodni później pan Wilhere niespodziewanie pojawił się w biurze, mówiąc, że musi ze mną porozmawiać. Wręczył mi otwarty list od rodziców. Pisali w nim, że już nie mieszkają w Meksyku, ale w Wirginii. A także, że bardzo się cieszą z mojego szczęścia i że nie mają mi za złe tego, że nie chcę, by pojawili się na ślubie.

Ucieszyły mnie ich słowa, byłam jednak zaskoczona, że rodzice o wszystkim wiedzą. Nie wiedziałam, że stryj Dave pojechał na Wschodnie Wybrzeże w sprawach związanych z Kościołem i doręczył im mój list osobiście, dając im do zrozumienia, że wie na bieżąco, co się ze mną dzieje. Moi rodzice opowiadali mi potem, że stryj wraz z całą świtą spotkał się z nimi w Waszyngtonie w ekskluzywnym hotelu, w którym się zatrzymał. Nie tylko przekazał im list, ale również umówił mojego ojca na spotkanie z pewnym człowiekiem z Waszyngtonu, który poradził mu, jak znaleźć pracę w nieruchomościach. Matce stryj znalazł pracę w kancelarii prawnej. Zapewnił też oboje, że już się ich nie uważa za SP: spełnili prośbę Kościoła, wyjeżdżając do Meksyku, i zasadniczo wykonali wszystkie kroki, jakich wymagano od ludzi, których zamierzano uwolnić od piętna wrogów Kościoła, czyli etykiety SP. Na owym spotkaniu stryj Dave poinformował ojca, że wolno mu już rozmawiać z ich - jego i stryja - matką, na czym ojcu bardzo zależało. Jeśli chodzi o mój ślub, mama powiedziała mi, że spodziewała się wieści na ten temat. Stryj Dave poinformował rodziców,

że podobno Dallas jest miłym facetem, choć osobiście go nie poznał.

Oczywiście w czasie rozmowy z panem Wilhere'em nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Czułam po prostu ulgę, że rodzice nie zamierzają pojawić się na ślubie. Całą tę historię usłyszałam od matki dopiero po swoim wystąpieniu z Kościoła.

- I co, pewnie chcesz brać ślub już jutro? - zapytał z ironią pan Wilhere.

Widziałam, że jest poirytowany tym, że dostanę wszystko, czego chcę, i że nawet załatwiłam Dallasowi posadę w bazie.

- Mniej więcej - odrzekłam, nie okazując cienia skruchy.

- Cóż, powodzenia - powiedział, mamrocząc coś na temat małżeńskiego szczęścia.

Ledwie wysłuchiwałam tego, co mówił. Miałam wziąć ślub.

Nazajutrz wczesnym rankiem pojechaliśmy z Dallasem do sądu, aby zdobyć zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Byliśmy tak podenerwowani i podekscytowani, że nawet nie zauważyliśmy, że w baku samochodu niemal skończyło się paliwo, więc musieliśmy zjeżdżać z pagórka na jałowym biegu, żeby dotrzeć do stacji benzynowej. Korek wlewu paliwa w samochodzie Dallasa otwierał się za pomocą kluczyka - Dallasowi tak bardzo drżały dłonie, że kluczyk ułamał się podczas próby otwarcia. Dallas pożyczył szczypce od pracownika stacji i wydobyl nadłamaną część, co zajęło prawie godzinę. Modliliśmy się, żeby kluczyk działał po włożeniu go do stacyjki, byliśmy przeszczęśliwi, gdy okazało się, że działa. Zapłaciliśmy za paliwo pięcioma dolarami zaoszczędzonymi z naszych pensji. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co pomyślał sobie pracownik stacji, kiedy zapłaciliśmy samymi drobnymi: głównie pięcio - i dziesięciocentówkami. Potem i tak musieliśmy jeszcze kawał drogi przejechać na jałowym biegu, bo zatankowane paliwo się skończyło, nim dotarliśmy do sądu. Gdy w końcu byliśmy na miejscu, musieliśmy zostawić samochód otwarty, bo kluczyk zaklinował się w stacyjce. Ale zezwolenie na ślub udało nam się dostać.

Ojciec Dallasa był jubilerem, a jednocześnie pastorem w Kościele scjentologicznym. Zgodził się przyjechać do Los Angeles, aby poprowadzić szybką uroczystość. Mieliśmy się z nim spotkać o północy w Celebrity Centre, ponieważ wtedy kończyliśmy pracę.

Ku mojemu zdziwieniu zjawili się tam również matka Dallasa, jego siostra z chłopakiem oraz jego brat z żoną i córeczką. Jediną osobą nienależącą do Kościoła był chłopak jego siostry. Dwie moje przyjaciółki, Phil i Clare, wystąpiły jako moje drużyny. Nie było Bitty i Ronniego Miscavige'ów, stryja Dave'a, ciotki Shelly ani wujka Larry'ego. To, że zjawiała się rodzina Dallasa i uczyniła całe wydarzenie czymś wyjątkowym, wiele dla mnie znaczyło. Choć nie znałam ich zbyt dobrze, najwyraźniej zależało im na nas na tyle, by jechać dwie godziny z San Diego na tę uroczystość.

Nie do końca był to ślub moich marzeń. Oboje z Dallasem byliśmy w uniformach Sea Org. Nie poprawiłam nawet makijażu, a jadąc na ślub prosto z pracy, buty miałam jeszcze zabrudzone klejem. Uroczystość trwała pięć minut. Nie było kwiatów, wyszukanego jedzenia, szampana ani muzyki, ale to nie miało znaczenia. Zostaliś-my małżeństwem.

Nadal wspominam chwilę, kiedy Dallas wsunął mi obrączkę na palec. Obiecałam sobie, że niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało, będę go chronić, opiekować się nim i już nigdy nie pozwolę, by nas rozdzielono. Wiedziałam, że to źle, że mój mąż jest dla mnie ważniejszy niż Kościół, ale miałam to gdzieś. Nareszcie stało się. 20 września 2002 roku zostałam Jenną Hill.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

### Australia

Nie było nam dane długo cieszyć się tą wyjątkową chwilą. Musiałam od razu wracać do pracy. Przez całą noc ślęczałam nad ukończeniem plansz i projektów. Nad ranem zjedliśmy potajemnie śniadanie w Denny's wspólnie z rodzicami Dallasa. Wolno nam było jadać w restauracji jedynie w niedzielne poranki, ale nie przejmowaliśmy się tym. Tego dnia z dumą wszystkim obwieszczałam, że ja i Dallas jesteśmy małżeństwem i że nazywam się teraz Jenna Hill. Z radością uwalniałam się od swojego nazwiska. Choć nie nosiłam już nazwiska Miscavige, i tak prędzej czy później Dallas musiał się spotkać z moją rodziną.

W grudniu 2002 roku pierwszy raz pozwolono nam razem świętować Boże Narodzenie. Wybraliśmy się na wycieczkę do San Diego, by spędzić święta z rodziną Dallasa. Następnie mieliśmy pojechać do Clearwater, by spotkać się z babcią Loretą i ciotką Denise, a potem odwiedzić moich rodziców w Wirginii. Wszyscy członkowie rodziny Dallasa byli niezwykle mili. Byli to chyba najsympatyczniejsi ludzie, jakich w życiu spotkałam. Dom rodzinny Dallasa był to budynek z drewnianych bali, niezwykle przytulny w środku, z kamiennym kominkiem. Flanelowe narzuty na wszystkich łóżkach oraz łagodne światło dodatkowo wzmacniały tę ciepłą, rodzinną atmosferę. Wszystko nią tchnęło. Ta sceneria była niezwykle obca realiom koszarowego życia, które znałam.

Po wyprawie do San Diego Dallas i ja poleciliśmy do Clearwater, a następnie do Wirginii, do której dotarliśmy w cudowny śnieżny dzień. Doznałam naprawdę dziwnego uczucia na widok swoich rodziców. Siedząc w małym domku przed kominkiem, w którym trzaskał ogień, bardzo przypominali rodziców Dallasa. Matka ugotowała nam nawet posiłek, czym naprawdę mnie zaskoczyła. Wszystko to wydało mi się czymś obcym, a jednocześnie jakby znajomym. Miałam poczucie, że to jest miejsce, które mogłoby stać się moim domem, przynajmniej na czas wakacji.

W ciągu kolejnych kilku dni mama i tata oprowadzili nas po swoim domu i opowiedzieli o swoim życiu. Najwyraźniej wiodło im się naprawdę dobrze. Spodziewałam się, że nasze spotkanie będzie przebiegać w atmosferze pełnej skrępowania, ale się myliłam. Mama uwielbiała urządzać swój nowy dom - z jej opowieści wnioskowałam, że to dobra zabawa. Co ciekawe, ojciec podarował nam z okazji świąt telewizor i odtwarzacz VCR/DVD, co było fantastyczne, lecz sprzeczne z zasadami Kościoła. Musieliśmy potem zadbać, by nikt

się o tym telewizorze nie dowiedział. Odjeżdżałam z poczuciem, że również i ja mam rodzinę: rodziców, którzy naprawdę na mnie czekają, i że może jednak nie zostaliśmy z Dallasem sami. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa poczułam, że naprawdę mam matkę i ojca, do których mogę się zwrócić w trudnych chwilach.

Po powrocie do Kalifornii nasz mały pokój w bazie wydał nam się bardziej ponury niż kiedykolwiek, ale przynajmniej był to nasz dom. Jedną z korzyści płynących ze ślubu było to, że dostaliśmy pokój, wprawdzie niewielki, ale własny. Mając odrobinę przestrzeni dla siebie, czułam się teraz tak, jakbym miała własną rodzinę, mimo że było nas tylko dwoje. Mieliśmy jednak miejsce należące wyłącznie do nas. Mogliśmy też razem jadać, a kiedy mieliśmy - co prawie nigdy się nie zdarzało - odrobinę wolnego czasu, mogliśmy spędzać go razem. Dostaliśmy kilka świątecznych prezentów, które sprawiły, że nasz pokój stał się trochę przytulniejszy, dzięki czemu poculiśmy się lepiej. Ciotka Denise podarowała nam firanki, a moja babcia dała nam kołdrę. Pozwolono mi rozmawiać przez telefon z rodzicami, co było niezwykle, bo od ponad dwóch lat miałam zakaz kontaktowania się z nimi.

Małżeństwo było dla mnie prawdziwym źródłem wytchnienia, a choć nie zażegnało żadnego z moich konfliktów z Kościołem, sprawiło, że uległy one wyciszeniu na dłuższy czas, wystarczający, byśmy mogli przywyknąć do nowej codzienności. Nie mogłam zapomnieć o przeszłości, ale już nie musiałam codziennie się z nią konfrontować.

Byliśmy małżeństwem od nieco ponad roku, gdy mój przełożony z Landlord Office zakomunikował, że postanowiono wysłać mnie z pewną misją do Canberry w Australii. Liczący niewielu członków tamtejszy Kościół scjentologiczny podupadał, a mnie powierzono misję znalezienia nowego budynku dla wyznawców i zebrania funduszy niezbędnych do jego kupna.

Usłyszawszy, że misja ma potrwać co najmniej sześć miesięcy, trochę się przeraziłam. Nie chciałam rozstawać się z Dallasem na tak długo. Z doświadczenia wiedziałam, jak łatwo było w Kościele o rozpad małżeństwa z powodu różnych zadań rozdzielających małżonków. Przydarzyło się to moim rodzicom oraz wielu innym ludziom, których poznałam w ciągu tych wszystkich lat. W Landlord Office była pewna kobieta, której rozłąka z mężem trwała dziewięć lat. Miałam też dwoje przyjaciół, których rozdzielono z ich współmałżonkami. Oboje byli już po rozwodzie.

Dallas i ja zamierzaliśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by nie dopuścić, aby coś podobnego przydarzyło się nam. Dlatego zaproponowałam, żeby Dallas pojechał razem ze mną. Wysłałam do Int Landlord teleks z informacją o kwalifikacjach Dallasa i niebawem się dowiedziałam, że jego kandydaturę zaakceptowano. Zdziwiło mnie, że tak łatwo się na to



zgodzono, ale nie miałam zamiaru narzekać.

Ani Dallas, ani ja nigdy wcześniej nie byliśmy wysyłani z żadną misją, co czyniło całą tę historię jeszcze dziwniejszą. Poza tym dziwny był proces oczyszczania, któremu zostaliśmy poddani przed wyjazdem. Osoby, którym wyznaczono takie długofalowe zadania, musiały przejść specjalny test, w czasie którego wypytywano je o motywy skłaniające do wyruszenia z konkretną misją.

Ani Dallasa, ani mnie takiemu testowi nie poddano. Powinniśmy również otrzymać pełną wersję specjalnych dyrektyw misyjnych obejmującą dalekosiężne cele zaakceptowane przez RTC, powinniśmy je odczytać, następnie zostać przeegzaminowani z ich zrozumienia, a wreszcie powinno się od nas zażądać sporządzenia glinianych modeli każdego z owych celów. Nic takiego nie nastąpiło. Wydano nam dyrektywy misyjne, które najwyraźniej zostały spisane dwie minuty przed naszym wyruszeniem na lotnisko - robiły takie wrażenie, jakby ktoś je pospiesznie sformułował, skopiował, a następnie wkleił do tekstu z wcześniejszymi dyrektywami dla jakiejś innej osoby. Cele naszej misji brzmiały bowiem: „Znaleźć jakiś budynek w Kentucky”.

Cała ta sprawa była bardzo dziwna. Dlaczego taka misja i dlaczego my? Wszystko to wyglądało na próbę odsunięcia nas na boczny tor, pozbycia się nas. Nie mieliśmy pojęcia, co się za tym kryje, jednak nie zadawaliśmy pytań. Byliśmy wdzięczni, że wysyłają do Australii nas oboje.

W styczniu 2004 roku odbyliśmy osiemnastogodzinny lot do Sydney. Zaraz po tym jak opuściliśmy pokład samolotu, uświadomiliśmy sobie, że pobyt w Australii będzie dla nas nie lada przeżyciem. Od samego początku mieliśmy w Canberze znacznie więcej swobody. Mogliśmy chodzić wszędzie, gdzie tylko zapragniemy. Kupiliśmy sobie nawet rowery, bo wypożyczenie auta było zbyt kosztowne. Po raz pierwszy w życiu naprawdę musiałam w pełni samodzielnie poruszać się w świecie zewnętrznym. W Clearwater przebywało znacznie więcej sejentologów, w Canberze była ich ledwie garstka. Wszędzie otaczali nas WOGS. Z początku trochę mnie to martwiło, ale gdy zaczęłam ich spotykać częściej, lepiej się wśród nich poczułam.

Kościół pokrywał koszty naszego utrzymania, opłacając mieszkanie i jedzenie, choć nieraz trzeba było stoczyć walkę, by dostać te pieniądze na czas. Musiałam się nauczyć gotować, bo przez całe życie jadałam w kambuzie. Brak mesy był dla mnie dziwną odmianą. Czułam się tak, jakbym bezustannie, przez cały dzień, miała do czynienia z jedzeniem: czy były to zakupy, czy gotowanie. Z początku kuchenka budziła mój lęk, więc gotował głównie Dallas. Co jakiś czas jedliśmy też w mieście. W końcu wypróbowałam kilka przepisów i

dobrze się przy tym bawiłam, ale przygotowane potrawy niemal zawsze okazywały się porażką. Wszystko, co ugotowałam, było obrzydliwe.

Nauka gotowania była zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Prawdopodobnie największym wyzwaniem, przed jakim stanęliśmy, było czekające nas zadanie. Mieliśmy znaleźć nowy budynek dla Kościoła scjentologicznego w Canberze, zgromadzić fundusze na jego zakup, kupić go i wyremontować. Ponieważ scjentolodzy byli właśnie w trakcie ujednolicania planów wszystkich swoich nowych budynków kościelnych, jego powierzchnia musiała liczyć co najmniej 2300 metrów kwadratowych, by w ogóle mógł służyć za kościół. W dodatku musiał znajdować się przy ruchliwej ulicy, nie mógł mieć zbyt industrialnego charakteru, powinien być bardziej tradycyjny i dekoracyjny w stylu, tak by przypominać kościół. W trakcie naszych poszukiwań szybko stało się jasne, że budynek spełniający wszystkie te warunki musiałby kosztować kilka milionów dolarów australijskich.

I na tym polegał problem. W całej Canberze było zaledwie około piętnastu - może dwudziestu - zwykłych scjentologów. Nasza misja w Canberze okazała się czymś zupełnie innym, niż wynikałoby to z dyrektyw misyjnych. Organizacja w Canberze skupiała dziesięć osób prowadzących jedynie kursy wstępne. Nie było nawet audytowania, podstawowej usługi w ofercie każdej organizacji scjentologicznej. Mało tego: tutejsi scjentolodzy zostali wyrzuceni z wynajmowanego budynku, bo od pół roku nie płacili czynszu.

Lista potencjalnych darczyńców Kościoła obejmowała każdego, kto zgłosił w organizacji swoje nazwisko w związku z jakimkolwiek kursem, testem na stres czy w jakimkolwiek innym celu. Większość owych osób nigdy do Kościoła nie wróciła. Sprawę komplikował fakt, że ani Dallas, ani ja nigdy w życiu nie zebraliśmy w ramach kwesty nawet dziesięciu centów. Trzecia osoba w naszym zespole miała pewne doświadczenie w tym zakresie i brała udział w wielu misjach, ale szybko została wezwana do bazy, pozostawiając nas samych. Przydzielono nam po prostu niewykonalne zadanie. Idea, że mamy zebrać kilka milionów dolarów wśród około piętnastu wyznawców scjentologii, z których żaden nie zarabiał więcej niż osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, była nedorzeczna. W dodatku część z nich już wcześniej zapłaciła za usługi, których Kościół w Canberze nie miał w ofercie, więc proszenie ich o pieniądze wydawało mi się czymś niewłaściwym. Wspominaliśmy o tym w naszych codziennych raportach, ale i tak wywierano na nas naciski, byśmy nakłaniali ich do darowizn. Mało tego: nie wolno nam było zbierać funduszy w innych australijskich Sea Org, bo tam urządzano inne zbiórki. Ostatecznie udało się zgromadzić siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, co stanowiło rezultat intensywnej promocji i małych towarzyszących zbiórkom imprez, takich jak loterie, gry i pokazy.

Patrząc wstecz, sędzę, że doświadczenie to było pożyteczne dla ludzi, którzy nigdy wcześniej nie zebrali nawet dziesięciu centów. Wszystko to było możliwe głównie dzięki poznanym na miejscu przyjaciółom, którzy znali mnóstwo ludzi i pomogli nam nawiązać kontakty i zbierać fundusze. Powiedziano nam jednak, że zgromadzona suma nie wystarczy, i w końcu zaczęły nam się kończyć pomysły na to, jak by tu zebrać więcej. Zważywszy na dyrektywy naszej misji oraz na warunki, jakie musiał spełniać przeznaczony na kościół budynek, który mieliśmy kupić, nie byliśmy w stanie osiągnąć nic więcej. Kilkakrotnie prosiliśmy o pozwolenie na powrót do domu, ale nie wyrażono zgody.

Oboje nie ustawaliśmy w próbach pozyskania funduszy u wciąż tych samych osób. Widziałam, jak żyją ci ludzie, i zdawałam sobie sprawę, że naprawdę nie są w stanie dać nam pieniędzy. Było to coś, z czym nigdy wcześniej żadne z nas się nie zetknęło. Między nami a Kościołem powstała rozbieżność w kwestii postrzegania tego, do czego faktycznie nas zmuszano. W naszej opinii celem nadrzędnym nie była budowa kościoła mającego głosić scjentologię, która przy okazji przynosi dochody. Chodziło przede wszystkim o zarabianie pieniędzy i pozyskanie ładnego budynku. Nasi przełożeni chcieli, żeby w nowych budynkach było mnóstwo gadżetów, najnowocześniejszego sprzętu wideo do rozmaitych prezentacji, jednak wszystko to najwyraźniej spychało na dalszy plan głoszenie samej scjentologii. Jak gdyby celem były materialne aspekty sprawy, a nie sama scjentologia. Domaganie się od ludzi pieniędzy bez oferowania im czegokolwiek w zamian, zwłaszcza w sytuacji gdy już tak wiele dali, było zachłannością.

Im bardziej się staraliśmy zebrać pieniądze, tym częściej zwracaliśmy się do ludzi spoza scjentologii, nie zawsze z dobrym skutkiem. W ramach pewnej kwesty przygotowaliśmy ulotki promocyjne, które rozesłaliśmy do scjentologów z naszej listy. Niektóre z nich wróciły z wypisanymi na odwrocie inwektywami. Pamiętam, że ktoś napisał, że L. Ron Hubbard był oszustem, a my wszyscy jesteśmy idiotami. Byłam zaskoczona, zwłaszcza kiedy zwrotną pocztą przyszło dziesięć innych ulotek z podobnymi komentarzami. Na podstawie tego wszystkiego, co przez całe życie słyszałam od stryja Dave'a i członków zarządu Kościoła, zawsze miałam wrażenie, że wszyscy kochają L. Rona Hubbarda i że scjentologia kwitnie i krzewi się na świecie. Tymczasem wyglądało na to, że większość mieszkańców Australii nie wiedziała nawet, kto to taki, a ci, którzy wiedzieli, często byli do niego nastawieni sceptycznie.

Częściowo dzięki wolności, którą się tu cieszyliśmy, zaczęliśmy poznawać idee kwestionujące nauki scjentologów. Choć było to sprzeczne z regułami, codziennie spędzaliśmy przed telewizorem godzinę albo dwie. Lubiłam zwłaszcza *Queer Eye for the*

*Straight Guy*, show, w którym występowało pięciu gejów, ekspertów od wystroju wnętrz, kuchni, kultury, mody i tym podobnych. Podobał mi się program i jego bohaterowie, no i byłam trochę zdziwiona, że to, co zobaczyłam na ekranie, nijak miało się do tego, czego dowiadywałam się od scjentologów. Uczyli nas, że homoseksualiści są zboczeńcami żywiącymi do nas skrytą wrogość, co niemal kwalifikowało ich jako SP. Gdy jednak oglądałam tych facetów na ekranie, wcale mi się tacy nie wydawali. Nie miało to sensu i nie mogło być prawdą.

Mieliśmy również dostęp do internetu, choć nie bardzo wiedziałam, jak z niego korzystać. Pewnego razu Dallas pokazał mi stronę Operation Clambake, na której ostro krytykowano Kościół. Przyjrzawszy się jej nieco bliżej, wymieniliśmy niedowierzające spojrzenia, bo zdaliśmy sobie sprawę, że właśnie natknęliśmy się na coś, co nie było przeznaczone dla naszych oczu. Jednak żadne z nas nie mogło zaprzeczyć, że to było ciekawe. Musieliśmy zdobyć się na samokontrolę, ale i tak to, co zobaczyliśmy, mówiło samo za siebie. Według jednej z zamieszczonych na stronie historii stryj Dave uzurpował sobie władzę w Kościele. Był to pierwszy negatywny komentarz na temat jego przywództwa, z jakim się zetknęłam. Strona internetowa mnie zainteresowała, ale nie do końca rozumiałam, jak takie witryny funkcjonują. Wiedziałam też, że z powodu oglądania takich rzeczy ludzie mają kłopoty. Zobaczyłam, że na stronie Operation Clambake wspomina się o materiałach do OT III. Już wcześniej ostrzegano mnie, co się dzieje, gdy ktoś zdobywa wiadomości z poziomów, których jeszcze nie osiągnął. Pomyślałam więc, że lepiej się powstrzymam, bo nie chciałam zwariować.

Mimo to jakoś nie mogłam zapomnieć o znalezionych w internecie zarzutach przeciwko stryjowi. Widząc protestujących we Flag, wiedziałam już, że scjentologia ma przeciwników, nie wiedziałam jednak, że istnieją całe strony internetowe poświęcone zwalczaniu Kościoła, tak jak nie miałam pojęcia, w jakim stopniu internet był odzwierciedleniem realnego życia. Fakt, że Dallas z taką łatwością natrafił na tę stronę, był dla mnie zaskoczeniem, a zarazem źródłem jakiejś satysfakcji, choć sama nie wiedziałam, dlaczego tak jest. Poczułam się jak przed laty, kiedy widząc na Ranczu ludzi ze świata zewnętrznego, po cichu liczyłam, że się za nami ujmą. Dobrze było mieć poczucie, że być może ktoś jeszcze wie o naszych przejściach w Kościele, nawet jeśli ta wiedza niekoniecznie musiała coś zmienić w naszym życiu.

Kiedy tej samej nocy zadzwoniłam do rodziców, spytałam ich, czy historia o stryju może być prawdą. Odparli, że niewiele im wiadomo na ten temat, no i nie mają pewności, czy internet jest źródłem wiarygodnych informacji. Ponieważ rodzice zlekceważyli te doniesienia,

na pewien czas przestałam o tym myśleć.

Pogłębiłiśmy swoje myślenie na temat Kościoła nie tylko dzięki temu, co czytaliśmy i widzieliśmy, ale też dzięki spotykanym ludziom i naszemu stylowi życia, zupełnie różnemu od dotychczasowego. Zniknął dryl, któremu byliśmy poddani, zniknęły bezustanne przesłuchania, mogliśmy żyć tak, jak nam się podoba, a przynajmniej w większym stopniu niż dotychczas. W Canberze zaprzyjaźniliśmy się z większością tutejszych szeregowych scjentologów, zwłaszcza odkąd stali się oni jedynym źródłem pieniędzy, które zbieraliśmy w ramach składek. Spędzaliśmy wspólnie czas i mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy byli zwykłymi scjentologami, żyjącymi na własny rachunek. Nigdy wcześniej nie przebywałam w kręgach kadry scjentologicznej, która swe obowiązki w Kościele łączyła z normalną pracą.

Zaczęliśmy się zmieniać nie tylko przez nowy styl życia, ale też przez zmianę roli Kościoła w naszym życiu. Zaczęłam dostrzegać, że miejsca takie jak Flag oraz Int stanowiły wyjątek, a nie regułę. Zawsze słyszałam, że na świecie jest pięćset ośrodków Kościoła scjentologicznego, i wydawało mi się, że były to przedsięwzięcia na skalę Flag albo przynajmniej podobne. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej. Widok tej małej, borykającej się z przeciwnościami losu wspólnoty w Canberze i kontakty z garstką zwykłych scjentologów sprawiły, że uświadomiłam sobie, iż Kościół nie zawojuje świata - wbrew temu, co zawsze nam wmawiano.

Najcenniejsze ze wszystkich tych doświadczeń wcale nie miało posmaku zakazanego owocu. Była nim przyjaźń z pewną kobietą o imieniu Janette. Kiedy ją poznaliśmy, miała dwie małe córeczki, a spodziewała się kolejnego dziecka, chłopca. Spędziliśmy z nią mnóstwo czasu i bywaliśmy nawet na urodzinach jej dzieci. Jej dwuletnia córeczka Eden była naprawdę urocza. Uwielbiała psocić i płatać figle i spędzałam z nią mnóstwo czasu. Kiedy szłam do Org, niekiedy zabierałam ją ze sobą i bawiłam się z nią na miejscu, mimo że byłam członkiem Sea Org przebywającym tu z misją specjalną. Byłam świadoma tego, jak działa na mnie Eden, ale wydawało mi się to czymś naturalnym - po prostu nie mogłam się oprzeć. Mimo to ludzie Kościoła uznali, że takie zachowanie nie przystoi członkowi Sea Org, któremu powierzono jakąś misję.

Janette była w ciąży, z czym wcześniej również nie zetknęłam się bezpośrednio. Opowiadała mi, jak to jest być w takim stanie, mnie zaś wydało się czymś niesamowitym, że ciało, nazywane przez scjentologów mięsem, jest do tego zdolne. Miałam poczucie, że mogę pytać Janette, o co tylko zechcę. Widzieliśmy się z nią tuż po narodzinach jej syna, które wydały mi się czymś cudownym.

Chwile spędzone z Janette i Eden skłoniły mnie do rozmyślań nad tym, co to znaczy mieć rodzinę. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Również Dallas świetnie się czuł w towarzystwie małej. Uwielbiał ją podnosić i kręcić się razem z nią, aż Eden zaczynała się śmiać. Dallas uwielbiał dzieci i często mówił, że są słodkie i wyjątkowe. Ponieważ jednak wiedziałam, że członkom Sea Org nie wolno mieć dzieci, nigdy nie myślałam, że mogłabym zostać matką. A teraz po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać, czy coś przez to tracę.

Minął rok, lecz nadal nie było widać końca naszej misji. Dobrze się bawiliśmy, ale staraliśmy się przestrzegać zasad i nie oddalać zbyt daleko od Kościoła. Choć zakosztowaliśmy nowych rzeczy, wciąż byliśmy oddani scjentologii i naszym obowiązkom. Patrząc na to dziś, żałuję, że byliśmy tak wystraszeni i że nie wybraliśmy się na plażę i w jeszcze inne miejsca, nie moglibyśmy sobie jednak pozwolić na aż tak jawne naruszanie reguł Kościoła.

Ogólnie przez cały ten rok trochę odżyliśmy. Nie czułam już niepokoju z powodu rozczarowania Kościołem. Ponieważ monitorowano teraz nasze życie w stopniu znacznie mniejszym niż dawniej, o wiele łatwiej mi było zapomnieć o problemach, z którymi zmagalam się wcześniej. Mimo że działania Kościoła pod wieloma względami nadal budziły mój sprzeciw, od lat nie czułam się tak zrelaksowana, nie wspominając już o tym, że byłam dobrze odżywiona, wypoczęta i że w ogóle dobrze się bawiłam.

Minęło Boże Narodzenie 2003 roku i choć pozwolono nam spędzić je w domu, rodzice Dallasa musieli opłacić nasz lot w obie strony. Gdy dotarliśmy do kraju, razem z tatą poleciliśmy do Wirginii, gdzie miała się z nami spotkać babcia Loretta, która jednak w ostatniej chwili odwołała swój przyjazd, tłumacząc się złym samopoczuciem. Było mi przykro, że nie udało mi się z nią spotkać, bo właśnie na to cieszyłam się najbardziej.

W drodze powrotnej do Australii zatrzymaliśmy się w L.A., w Landlord Office, by dostać nową wersję dyrektyw misyjnych. Urzędnik z Landlord Office oznajmił nam, że zamierzają nas oddelegować do bazy Sea Org w Sydney. Byliśmy zszokowani. Gdy zapytaliśmy, kiedy mamy wracać do Kalifornii, odparł, że nigdy i że Sydney będzie odtąd naszą nową placówką.

Taki obrót spraw był zupełnie niezwykły. Co ważniejsze, wszystko to było sprzeczne ze strategią Kościoła. Nawet nie zakończyliśmy jak należy naszej misji w Canberze. Nikt nie przygotował nam miejsc pracy ani oficjalnie nie przeniósł nas na nowe stanowisko w Sydney. Byliśmy oburzeni, ale zgodziliśmy się na przeniesienie do Sydney, gdy obiecano nam, że nie będzie to nasza nowa placówka i że wyruszamy tam jedynie z misją, do której niebawem dostaniemy stosowne dyrektywy. Dyrektywy te nigdy nie nadeszły.

Byliśmy w Sydney dwa tygodnie, domagając się obiecanych dyrektyw. Gdy nie nadeszły, zażądaliśmy zezwolenia na powrót do domu. To właśnie wtedy dowiedziałam się, że zmarła babcia Loretta. Znalaziono ją w samochodzie na parkingu jednego z centrów handlowych. Nie oddychała. Zapadła w śpiączkę, z której już się nie wybudziła. Powiedziano mi, że przyczyną śmierci była rozedma płuc.

Tamtego dnia nie mogłam przestać płakać. Czymś strasznym była myśl, że nigdy więcej jej nie zobaczę, że już jej nie uściskam i nie usłyszę jej głosu. Żałowałam, że nie spędziłam z nią więcej czasu, gdy to było możliwe, i próbowałam sobie wmówić, że przynajmniej jest teraz w jakimś innym, młodszym ciele, nie cierpi i jest szczęśliwa.

Usiłowaliśmy zmusić Kościół, by zarezerwowano nam lot powrotny do Stanów, byśmy mogli uczestniczyć w pogrzebie, ale nie zapewniono nam transportu na czas. Za to moim rodzicom zezwolono na przylot na Florydę i wzięcie udziału w uroczystościach pogrzebowych. Byłam zupełnie zdruzgotana tym, że nie mogłam pożegnać babci. Czasami, gdy nikogo nie było w pobliżu, żegnałam się z nią w myślach. Nie sądzę jednak, by mnie słyszała.

## Rozdział trzydziesty

### Niższe kondycje

Tydzień po pogrzebie babci powiedziano nam, że możemy zakończyć misję w Australii. Wróciliśmy samolotem do domu, by na miejscu się przekonać, że nasz pokój w bazie FLO oddano komuś innemu. Na własny koszt wymalowaliśmy go, położyliśmy w nim dywany i kafelki, a teraz nam go odebrano. Nasz obecny pokój mieścił się na szóstym piętrze, zalatywał pleśnią, a podłoga była pokryta starym łuszczącym się linoleum. Wszędzie było pełno kurzu. Wyposażenie stanowiła niewielka szafka mająca służyć nam obojgu. Nikt nie naprawił wanny: była zatkana i wylewała się z niej woda. Łóżko musiało mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat, bo wystarczyło się do niego zbliżyć, a zaczynało skrzypieć. Mimo wszystko się cieszyliśmy, że jesteśmy w domu. Dobrze było wrócić do dawnego życia po dziwnym rocznym pobycie w Australii. Wiedzieliśmy, że trudno nam będzie wyrzec się niektórych aspektów wolności, której tam zakosztowaliśmy, ale założyliśmy, że szybko się przestawimy. Tak się nie stało. Przystosowanie się do tutejszych realiów było znacznie trudniejsze, niż się spodziewaliśmy, nie tylko z powodu tego wszystkiego, czego doświadczyliśmy za granicą, ale i dlatego, że zaostrzył się rygor obowiązujący w bazie.

Następnego dnia po powrocie mieliśmy się tam stawić o jedenastej i zaledwie przekroczyliśmy próg, stało się dla nas oczywiste, że panująca w niej dyscyplina jest ostrzejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Szybko się przekonaliśmy, że harmonogram zajęć się zmienił. Nie było już czasu na ćwiczenia fizyczne we własnym zakresie, przerwy na posiłki skrócono do kwadransa, sprzątanie statku - jedyną w ciągu tygodnia okazję do wyprania rzeczy i wysprzątania pokoi - skrócono o dwie godziny, a przywilej korzystania z mesy w ogóle zlikwidowano, co oznaczało, że nie wolno już nam było nic w niej kupować, nawet jedzenia. Cały personel bazy ukarano, kwalifikując go do niższych kondycji, i taki stan rzeczy trwał od trzech miesięcy.

Tym razem nie tylko ja tak boleśnie wszystko odczuwałam - sytuacja ta bardzo doskwierała również Dallasowi. Nasze opinie na temat Kościoła były teraz bardzo podobne. Gdy w końcu poddano nas standardowym przesłuchaniom dla osób wracających z misji, byłam trochę zdziwiona, gdy Dallas wyznał, że oglądaliśmy filmy i programy telewizyjne. Wcześniej postanowiłam, że podczas spowiedzi powiem jak najmniej, zwłaszcza o sprawach, o których w Kościele przypuszczalnie niczego nie wiadomo, jednak lojalność Dallasa



udaremniła mój zamiar. W czasie przesłuchania pytano mnie o to, ile według mnie pieniędzy należących do organizacji zmarnowaliśmy przez własną nieproduktywność i szastanie funduszami, więc zsumowałam koszty obejmujące trzymiesięczny czynsz, opłaty za przejazdy autobusami oraz koszty jedzenia. Tak właśnie działała „spowiedź”. Gdybym powiedziała, że to organizacja zmarnowała swoje własne pieniądze i że oboje zarobiliśmy dla nich siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, kazano by mi wyznać więcej zatajonych przewinień.

Choć sytuacja w bazie przedstawiała się kiepsko, obchodzone co roku 13 marca urodziny L. Rona Hubbarda dały nam sposobność naoczego przekonania się, że ogólnie jest naprawdę nieciekawie. W czasie podobnych wydarzeń mieliśmy sprzedawać szerszej publiczności nowe lub wznawiane książki LRH oraz jego wykłady panelowe, zawsze zadając to samo pytanie: „Gotówką czy kartą?”. Podczas takich akcji mieliśmy wyrobić przewidziane normy sprzedaży, co zawsze było niewykonalne, a tego roku cała załoga licząca pięćset osób spędziła noc w Shrine, obdzwaniając ludzi na całym świecie i namawiając ich do kupna wykładów LRH. Jeśli w danej chwili nie dzwoniłmy, natychmiast kazano nam to robić. Nie mieliśmy niczego do picia ani do jedzenia - jedno i drugie było surowo zabronione. W drzwiach stali ochroniarze, pilnując, by aż do wpół do ósmej rano nikt nie opuścił Shrine.

Niektórym udało się wyjść wcześniej, na przykład pewnej siedemdziesięcioletniej cierpiącej na rozedmę płuc kobiecie - wyszła o trzeciej nad ranem. Jednak z takimi osobami rozprawiono się następnego dnia w czasie musztry. Kazano im wystąpić przed szereg i udzielano nagany, mówiąc, że zasługują na pogardę i że ich zachowanie jest naganne. Za karę kazano im przez godzinę czyścić kibel. Ostrzeżono nas, że jeśli w następnym tygodniu ktoś z nas się wyłamie, cała grupa trafi do obozu dla rekrutów, gdzie będziemy robić to samo co ukarani.

Po tym jak ukazały się nowe wykłady panelowe LRH, co wieczór o jedenastej cała załoga bazy gromadziła się w stołówce i słuchaliśmy nagrań z wykładami. Odsłuchanie każdego wykładu trwało co najmniej godzinę, a poprzedzał je wykład o tym, że nasze zachowanie było bardzo nieetyczne i że powinniśmy wsłuchiwać się w nagrane wykłady, żeby się wreszcie dowiedzieć, o co w ogóle chodzi w scjentologii.

W czasie tych wykładów superwizorzy chodzili między nami, notując, kto zasnął. Nazajutrz nazwiska tych osób publikowano, by wszyscy mogli je poznać, i kazano winowajcom czyścić kible. Robiłam, co mogłam, żeby nie dopuścić do tego, by moi przyjaciele i Dallas usnęli, bo oznaczałoby to poważne kłopoty.

Widząc tych wszystkich ludzi wyczerpanych brakiem snu i pracą, zaczęłam myśleć o

naszych doświadczeniach związanych z australijską zbiórką pieniędzy oraz o tym, że podobnie jak tam również i tutaj znacznie większy nacisk kładziono na zarabianie pieniędzy niż na troskę o ludzi czy głoszenie scjentologii. Wyglądało na to, że pomyślność członków Sea Org była sprawą najmniej ważną. W jakimś stopniu zauważyłam to już wcześniej, jednak dzięki doświadczeniom z Australii mogłam dostrzec, że owa pogoń za pieniędzmi zaczęła odgrywać kluczową rolę w naszych obowiązkach członków Sea Org.

Gdy rozejrzałam się wokół, dotarło do mnie, że drobne obserwacje, jakie poczyniliśmy w Australii, bardzo zmieniły nasze myślenie. Nagle bowiem wszędzie dookoła zaczęliśmy widzieć nie reguły, których musieliśmy przestrzegać, ale swobodę, której kazano nam się wyrzec. Wkrótce po naszym powrocie zaczęło się wypytywanie - w formie pisemnego kwestionariusza - czy ktoś ma telefon komórkowy, czy rozmawiał z jakimiś byłymi członkami Sea Org, czy miał dostęp do internetu i mógł przeglądać witryny wrogie scjentologii. Tymczasem w bazie trzymano komputery w zamkniętym na klucz pokoju, zaś ci, którym owe klucze powierzono, podlegali specjalnemu oczyszczeniu przeprowadzanemu przez OSA. W komputerach instalowano oprogramowanie blokujące znane witryny antyscjentologiczne. Wyraźnie też nam powiedziano, że za każde przemilczenie grożą surowe kary.

Zgłosiłam komórkę, którą dali nam rodzice Dallasa i z której korzystaliśmy raz w tygodniu, by dzwonić do naszych rodziców. Zanim przyjął telefon, dostałam na niego zgodę, teraz jednak powiedziano mi, że owa zgoda była bezprawna i że muszę się pożegnać z telefonem. W międzyczasie wprowadzono też całą masę nowych reguł: w szufladach biurk nie wolno nam było przechowywać niczego do jedzenia ani do picia, mimo że byliśmy na nogach do późna w nocy i mieliśmy tylko kwadrans na posiłki, nie mogliśmy słuchać przy naszych biurkach żadnej muzyki, nie mogliśmy już raz w tygodniu wkładać cywilnych ubrań, nikomu też nie pozwalano na powrót do domu przed północą. Na spotkaniach załogi obrzucano obelgami i publicznie upokarzano każdego, kto wyłamał się z szeregu.

Odmówiłam oddania telefonu komórkowego. Pięć innych osób zwierzyło mi się, że również nie zamierzają oddawać swoich, więc pomyślałam, że moglibyśmy powalczyć o to razem. Skończyło się jednak na tym, że byłam ostatnią w bazie właścicielką telefonu. Powiedziano mi, że nowa polityka zakazująca posiadania komórek i laptopów wynika z obawy, że ludzie próbujący infiltrować Kościół mogliby wychwycić częstotliwości naszych urządzeń i podsłuchiwać rozmowy. Dlatego też, jak twierdzono, środki te przedsięwzięto w trosce o nasze bezpieczeństwo. Według mnie był to nonsens i paranoja. Następnym argumentem, jaki przywołano, było to, że ludzie oglądają w komórkach filmy pornograficzne.

Według mnie ten argument był równie głupi, poza tym to nie była sprawa naszych przełożonych. Kolejnym powodem było to, że Kościół nie chciał, by nasze rodziny dzwoniły do nas z przygnębiającymi wieściami. Jednak żadne z tych wytłumaczeń nie trafiło mi do przekonania.

Wszystkie te wymówki służyły karaniu nas i nakładaniu na nas restrykcji. Ludziom Kościoła nie chodziło o sam telefon i prawdę mówiąc, mnie też nie o to chodziło. Nie walczyłam o komórkę. Walczyłam o zasady. Próbowali mi zabrać coś, co należało do Dallasa i do mnie. Była to nasza własność, a mimo to czuli się uprawnieni nam ją odebrać. Już wcześniej odebrano nam pokój, skonfiskowano telewizor i zabrano jedzenie z szuflad naszych biur. Dodatkowego wymiaru hipokryzji dodawał temu wszystkiemu fakt, że jak głosiła definicja, jedną z cech osoby uznanej za SP było lekceważenie cudzej własności.

Wszystko to sprawiło, że Dallas i ja przemyśleliśmy sobie nasz australijski epizod. Dotarło do nas, jak wiele z życia tracimy przez przynależność do Sea Org. Skoro można nam było odebrać coś tak nieistotnego jak komórka i traktować naszą własność jak swoją, to co się może stać z rzeczami bardziej istotnymi? Co z naszym związkiem? Już wcześniej próbowano nas rozdzielić. Dallas wciąż miał nadzieję, że pewnego dnia będzie nam wolno mieć dzieci, ale co dalej? Wiedzieliśmy z własnego doświadczenia, że istnieje całe mnóstwo ludzi, którzy dostrzegali wady scjentologii, a i my sami zaczynaliśmy coraz lepiej je widzieć. Może odebranie nam telefonu tak naprawdę miało na celu odcięcie nas od świata zewnętrznego i kontrolowanie docierających do nas informacji.

Wkrótce po naszym powrocie z Australii powiedziano mi, że nie mogę zostać w Landlord Office. Całe Landlord Office przenoszono do Int, ale ponieważ moi rodzice odeszli z Sea Org, nie wolno mi było tam pracować. Gdy mnie zapytano, jakie chcę w zamian stanowisko, wybrałam funkcję audytora.

Patrząc wstecz, sądzę, że była to trochę dziwna decyzja, ale wtedy wydawała się sensowna. Przez ostatnich kilka lat wciąż byłam w konflikcie z Sea Org, nie zgadzając się na ich zasady i ich działania podejmowane przeciwko mnie. Miałam poczucie, że Kościół scjentologiczny oddala się od swojego celu: wypełniania misji niesienia pomocy ludziom, i coraz bardziej skupia na zarabianiu pieniędzy. Członkowie kadry byli traktowani w sposób uwłaczający ich godności, mimo że jako jedyni poświęcili swoje życie organizacji. Kilka miesięcy wcześniej stryj Dave nazwał Toma Cruise'a „najbardziej oddanym sprawie ze wszystkich scjentologów”, a przecież to członkowie Sea Org poświęcili wszystko Kościołowi. Ogólna frustracja pogłębiła się, gdy w czasie piętnastominutowych przerw na posiłki musiałam oglądać migawki wywiadów z Tomem Cruise'em, który nie mógł się

nachwalić scjentologii. Wszystko było postawione na głowie, wszystko było nie tak, jak powinno. Nic już nie działało przez wzgląd na jak największe dobro jak największej liczby dynamik. W bazie panowało takie przygnębienie, że podobno kilka osób poważnie się zastanawiało, czy nie popełnić samobójstwa, i z tego powodu zostało wydalonych z Sea Org.

Jednak mimo wszystkich tych zmartwień związanych ze sposobem zarządzania Kościołem w dalszym ciągu nie potrafiłam się wyrzec pozytywnego nastawienia wobec samej praktyki scjentologicznej. W chwilach załamania, kiedy kwestionowałam wszystko, podnosiły mnie na duchu myśli o zwycięstwach, o których słyszałam przez te wszystkie lata, i o pomocy, jaką niosła ludziom scjentologia. Wspomnienia te były jedyną pozytywną rzeczą, którą zawdzięczałam scjentologii. A wszystkie one były możliwe dzięki audytowaniu. Audytowanie stanowiło ucieleśnienie jedynej sprawy, w którą jeszcze wierzyłam.

W rezultacie postanowiłam, że jeśli zostanę audytorem, będę wreszcie mogła pomagać ludziom w sposób najbardziej uchwytyny i bezpośredni. W czasie sesji audytowania, inaczej niż podczas przesłuchań, audytor miał być miły i nie wolno mu było złościć się na precleara. Celem audytowania było słuchanie i prowadzenie, podczas gdy przesłuchania miały wydobywać zeznania i były nieprzyjemne. Dzięki audytowaniu nie tylko mogłam się przyczynić do oczyszczania planety, audytując poszczególne jednostki, ale mogłam również wskazać ludziom, jak mogliby sami sobie pomóc.

Gdy więc zaakceptowano mnie na stanowisko audytora, ucieszyłam się. Przed objęciem funkcji musiałam odbyć trening i w ciągu kilku miesięcy pokonać kilka poziomów na moście ku całkowitej wolności. Po raz pierwszy od długiego czasu czerpałam radość z nauki, bo służyła ona jakiemuś celowi. W trosce o mój rozwój poddano mnie sesji audytowania. Zaczęłam jednak zauważać, że sesje, w których uczestniczę, wywołują we mnie duży niepokój. Za bardzo były nastawione na introspekcję i w pewnej chwili poczułam się tak, jakbym zaczęła wariować. Jeśli sesja nie wypadła zadowalająco, audytorka sporządzała kolejne listy uchybień, a wtedy zaczynałam się rozklejać. Nie takie emocje miało u mnie wywołać to audytowanie.

Odtąd już było tylko gorzej. Sesja zaczynała się od tego, że audytorka pytała mnie, czy coś mnie przygnębia, ja zaś wybuchałam płaczem i zaczynałam jej opowiadać, że te wszystkie zasady i obostrzenia wprowadzone w bazie zaczynają być ponad moje siły. Wówczas audytorka pytała mnie, czy nie pominęłyśmy jakichś grzeszków kryjących się za tym moim paplaniem. Jej odpowiedzi zawsze mnie irytowały, więc zazwyczaj po prostu wymyślałam jakieś ukryte przewinienia, ale po kilku sesjach miałam tego dosyć. Byłam już zmęczona ciągłym wywieraniem na mnie presji. Godzinami siedziałam, zaprzeczając

wszystkiemu, podczas gdy audytorka domagała się coraz to nowych odpowiedzi.

- Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy - powiedziała ostrzegawczym tonem, ale ja nie byłam zainteresowana żadnym wyjaśnianiem.

Podniosłam się z miejsca, chcąc wyjść, ale mnie nie puściła. Próbowałam ją odepchnąć, a ona starała się mnie zmusić, żebym z powrotem usiadła na krześle. Po dwóch godzinach cisnęłam puszki na podłogę i zgmiotłam je nogą. Audytorka nadal nie chciała wypuścić mnie z pokoju. Próbowała mnie zmusić, żebym wzięła dwie nowe puszki, ale je również zmiażdżyłam. Rzuciłam na stół swoją teczkę precleara, z której wysypały się luźne kartki. Audytorka nadal nie pozwalała mi wyjść z pokoju. Popychałam ją, kopałam i usiłowałam na wszelkie sposoby się uwolnić. Próbowałam próśb i gróźb, ona jednak nie przestawała powtarzać: „Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy. Co takiego zrobiłaś, że nie możesz mi o tym powiedzieć?”. Nie chciała mi pozwolić skorzystać z toalety. Byłam pewna, że ludzie na korytarzu słyszą naszą szamotaninę, ale nikt nie zajrzał, by sprawdzić, co się dzieje. Po kilku godzinach audytorka oznajmiła, że idziemy się przejść. I tak przez resztę dnia przechadzałyśmy się, odreagowując wcześniejszy stres.

Nazajutrz obudziłam się posiniaczona, wyczerpana i na skraju załamania. Zakomunikowano mi, że z powodu mojego zachowania nie będzie mi wolno przeprowadzać sesji audytowania. Zakwalifikowano mnie do niższych kondycji. Powiedziano mi też, że usiłując wydostać się z pokoju podczas wczorajszej sesji, zakłóciłam sesje innych osób odbywające się w sąsiednich pokojach - był to akt niepożądany. Zwróciłam uwagę na to, że odmawianie mi możliwości przeprowadzania sesji audytowania jest sprzeczne z wytycznymi organizacji, ale nikt się tym nie przejął.

Tymczasem, ponieważ nie oddałam telefonu, różni ludzie kilka razy dziennie nękali Dallas, mówiąc mu, że musi im oddać komórkę. Dallas im na to odpowiadał, że to nie od niego zależy i że nie zamierza mnie do tego namawiać. Oni jednak i tak nadal go nękali.

W końcu jakiś facet przyszedł do mnie w tej sprawie. Gdy mu powiedziałam, że nie zamierzam oddać telefonu, oświadczył, że mnie do tego zmusi. Zagroziłam, że zadzwonię na policję. Groźba zwrócenia się do jakiegokolwiek reprezentanta władzy ze świata zewnętrznego była takim tabu, że pewne było, iż jeszcze o tej swojej groźbie usłyszę. Po kilkudniowym wałkowaniu sprawy również w wydziale etyki w końcu niechętnie zgodziłam się zapłacić za zniszczone puszki, za naprawę zniszczonych sprzętów w pokoju audytowania oraz przeprosić swoją audytorkę i innych audytorów. Ale i tak mi powiedziano, że nie mogę zostać audytorem.

Wtedy postanowiłam, że kończę z Sea Org. Miałam być audytorem, tymczasem

uświadomiłam sobie, że zasady z tym związane nie są wcale lepsze niż reszta zasad scjentologów. Wszystkie moje plany snute od paru lat w jednej chwili wzięły w łeb. Postanowiłam, że odchodzę.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było pójście do Dallasa do jego biura i podzielenie się z nim tymi myślami. Tak jak podejrzewałam, miał podobne zdanie i niemal z ulgą przyjął fakt, że to właśnie ja o tym mówię. O ile jednak ja byłam gotowa natychmiast odejść, Dallas chciał odpowiednio wszystko przeprowadzić i nadal współpracować z Kościołem. Tylko dzięki temu moglibyśmy zachować kontakt z naszymi rodzinami, które tkwiły w Kościele, podczas gdy my sami pozostalibyśmy szeregowymi scjentologami, płacącymi za usługi Kościoła, ilekroć chcielibyśmy z nich korzystać. Zgodziłam się na takie rozwiązanie przez wzgląd na Dallasa, który powiedział, że wobec tego odchodzi z Sea Org razem ze mną.

Przez kilka następnych tygodni rozmawiało ze mną parę osób. Kilkakrotnie zabierano mnie na sesję i próbowano tak pokierować rozwojem sytuacji, żebym ostatecznie została. Postanowiono nawet przenieść Dallasa i mnie do PAC Base, bo moglibyśmy mieć tam więcej wolnego czasu - tamtejsze relacje międzyludzkie były lepsze. Ale niczego w ten sposób nie osiągnięto. Po prostu wiedziałam, że muszę opuścić Sea Org.

Telefonując w tajemnicy do rodziców, dostałam od nich nieocenione wsparcie. Powiedzieli mi, że ich rozczarowanie Sea Org stopniowo się pogłębiało, podobnie jak było w moim wypadku. Nie chcieli wchodzić w szczegóły, przezornie ograniczając się do ogólników, bo wiedzieli, że jeśli otwarcie zaatakują Kościół, mogą mnie zniechęcić do siebie i do myśli o odejściu. Zapewnili mnie jednak, że mogę do nich dzwonić, kiedy tylko zechcę.

W ciągu następnego tygodnia czy dwóch moje rozmowy z nimi stały się bardziej regularne. Opowiadali mi o ludziach, których uznano za SP: między innymi o mojej dawnej przyjaciółce Claire Headley i jej mężu Marcu. Oboje nie należeli już do Sea Org, a teraz byli SP. Teddy Blackman, przyjaciel mojego brata, również nie był już członkiem organizacji. Wiedziałam, że Marc, Claire i Teddy nie byli SP, więc oficjalne uznanie ich za SP było śmieszne. Ponieważ niedawno uznano za SP również moją ciotkę Sarah, miałam wrażenie, że najwyraźniej etykietę SP dostają ci, których Kościół nie jest w stanie dłużej kontrolować, niezależnie od tego, czy faktycznie są SP.

Rodzice zaczęli również swobodniej dzielić się ze mną swoimi doświadczeniami związanymi z opuszczeniem Kościoła. Przez te wszystkie lata, które upłynęły od tamtego czasu, nie przestałam się zastanawiać, co ich do tego skłoniło. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo byli kiedyś zaangażowani w Kościół, uznałam, że sprawy musiały przybrać dla nich naprawdę zły obrót, jednak nie sądziłam, że maczał w tym palce stryj Dave. Gdy Marc

Headley opuścił organizację, powiedział rodzicom, że stryj ucieka się do rękoczynów wobec kadry. Mama stwierdziła, że według niej była to prawda, bo sama była świadkiem, jak stryj kogoś bił, i że był to jeden z głównych powodów skłaniających ją do odejścia z Sea Org.

To wtedy po raz pierwszy usłyszałam taką historię na temat stryja Dave'a z ust kogoś, komu naprawdę wierzyłam. Bardziej mnie to poruszyło, niż zszokowało. W kręgach, w których się obracałam, nigdy nie mówiono o nim źle, jednak ludzie się go bali. Wiedziałam, że stryj jest porywczy, jednak w scjentologii bywało nieraz tak, że taki charakter oznaczał zaangażowanie w sprawę. Choć wiedziałam, że ludzie boją się stryja i że jest on despotyczny, nie przypuszczałam, że byłby zdolny do stosowania przemocy fizycznej wobec kogokolwiek. Według moich rodziców stryj bez skrupułów używał pieniędzy do osiągnięcia własnych celów. Ojciec powiedział mi, że kiedy oboje z matką opuszczali Sea Org, stryj zaproponował, że zapłaci mamie sto tysięcy dolarów, jeśli odejdzie tylko ona, a ojciec zostanie w organizacji. I to nie matce złożył tę ofertę, lecz ojcu, bo najwyraźniej wyobrażał sobie, że jest mniej bezkompromisowy od swojej żony. Rzecz jasna, ojciec propozycję odrzucił; jemu i matce odstręczający wydał się tupet stryja, który najwyraźniej sądził, że ludzi można kupić.

W ciągu nadchodzących tygodni i miesięcy miałam dowiedzieć się jeszcze więcej na temat przyczyn, dla których rodzice odeszli z Sea Org. Matka opowiedziała mi o pewnej dziewczynie, Stacy Moxon, która zmarła kilka lat wcześniej. Śmierć tę uznano za nieszczęśliwy wypadek, ale okoliczności wskazywały na samobójstwo. Jej siostra nie mogła tego przeboleć - ciekawe, czy wiedziała, jak zrozpaczona i zdesperowana była Stacy? Ciężko było słuchać podobnych historii. Środowisko Sea Org ze wszystkimi swymi zasadami i obostrzeniami sprawiało, że nieuchronnie człowiek wpadał w depresję i miał poczucie beznadziei. Jednocześnie lekceważono tam i bagatelizowano wszelkiego rodzaju problemy psychiczne, więc mający je ludzie nie mogli liczyć na żadną pomoc.

Matka opowiedziała mi jeszcze inne historie dotyczące wieloletnich małżeństw, rodziców dzieci znanych mi z Rancza, które zmuszano do rozwodów, bo jedno z małżonków należało do niższej formacji scjentologicznej. Na zakończenie mama wspomniała o kilku osobach, którym powiedziano, że albo przeprowadzą aborcję, albo mają odejść z Sea Org. Ojciec powiedział mi, że to stryj Dave osobiście nadzorował proces audytowania Lisy McPherson i że to z jego polecenia wkrótce przed śmiercią zakwalifikowano ją do stanu clear. Wszystkie te wiadomości utwierdziły mnie w moich podejrzeniach. Wierzyłam rodzicom, ponieważ wiedziałam, że nie mają powodu kłamać, tak jak wiedziałam, że trudno byłoby takie historie wymyślić.

Im więcej mi mówili, tym bardziej utwierdzałam się w tym, co już wcześniej

wiedziałam lub podejrzewałam. Tego rodzaju zachowania były czymś rozpowszechnionym. Byłam na Ranczu Int, w Australii, w PAC oraz we Flag. Dobrze wiedziałam, jakie panowały tam warunki i jak traktowano tam ludzi. Cieszyłam się, że podjęłam decyzję o odejściu. Nawet Justin, z którym od dawna już nie rozmawiałam, zaczął teraz do mnie dzwonić, oferując mi pomoc, gdybym jej potrzebowała przy realizowaniu swojego postanowienia.

Co dzień wywierano na mnie presję, żebym została. Linda, wysokiego szczebla członkini OSA, próbowała mnie przekonać, że stanowiąc dużą wartość dla Sea Org i że wszystko to były tylko zwykłe nieporozumienia. Kiedy opowiedziałam jej kilka spośród zasłyszanych od rodziców historii, stwierdziła tylko: „Ludzie wymyślają kłamstwa służące ich własnym celom”.

Kościół przysyłał do mnie również moich przyjaciół z zadaniem przekonania mnie do współpracy, jednak ostrzegłam ich, by się do tego nie mieszały. Nie chciałam niszczyć tych przyjaciół, bo skonfliktowana byłam z Kościołem, a nie z nimi. Po kilku dniach, kiedy to odwiedzały mnie różne osoby, wiedziałam już, że nie możemy dłużej współpracować. Wszystko, czego chciałam, to wystąpić z Sea Org, a Dallas szedł w moje ślady. Zasyłałam się w naszym pokoju, póki nie postanowiono poddać mnie przesłuchaniu w ramach procedur opuszczenia organizacji.



## Rozdział trzydziesty pierwszy

### Odejście

Kilkanaście dni spędziłam w swoim pokoju, czekając, aż ktoś z Office of Special Affairs przekaże mi niezbędne materiały i odbędzie ze mną sesję, co było koniecznym elementem procedury odejścia. Według wytycznych przed wystąpieniem z Sea Org musiałam zostać poddana przesłuchaniu w ramach procedury opuszczania organizacji. W tym celu miałam najpierw skończyć sesję audytowania, którą przerwałam w momencie, gdy rozpoczęła się ta cała afera, jednak ani fizycznie, ani psychicznie nie byłam już w stanie znieść kolejnej sesji i powiedziałam o tym Dallasowi. Nie powiadomił jeszcze Lindy, że odchodzi razem ze mną, bo czekał, aż zacznę swoje przesłuchanie, poza tym miał nadzieję, że uniknie prac fizycznych będących zazwyczaj elementem procedury występowania z organizacji. Dzięki temu mógł do końca pozostać na dotychczasowym stanowisku.

Przez kilka dni spierałam się z Dallasem o swoją ostatnią sesję audytowania. Irytowało go, że jestem tak nieprzejednana. Nie mógł zrozumieć, że jestem wykończona, choć starałam się mu to wytłumaczyć. Najbardziej zależało mu na tym, żebym prawidłowo dopełniła wszystkich procedur - w przeciwnym razie musiałby wybierać między mną a Kościołem i swoją rodziną, która była dla niego wszystkim. Jedynym sposobem, by nie tracąc z nią kontaktu, mógł dalej być ze mną, było niedopuszczenie do tego, by uznano mnie za SP. Mogłam to osiągnąć jedynie dzięki zakończeniu sesji, poddaniu się przesłuchaniu i podpisaniu kilku dokumentów.

Czułam, że Dallas coraz bardziej zamyka się w sobie, więc się nie narzucałam. To był trudny czas. Mój mąż coraz później wracał z pracy i nie cieszył się na mój widok tak jak dawniej.

- Coś nie w porządku? - pytałam

- Nie, to tylko praca... - odpowiadał krótko.

Wiedziałam, że dzieje się coś niedobrego. Dallas zawsze ze mną rozmawiał, tym razem jednak unikał odpowiedzi na najprostsze pytania. Dzwoniłam w tej sprawie do rodziców, którzy powiedzieli mi, że są pewni, że rozmawiał z nim ktoś z Kościoła. Również i mnie ta myśl przyszła do głowy. Gdy spytałam o to Dallasa, zaprzeczył. Jednak sugestia rodziców, oparta na ich własnych doświadczeniach, wydała mi się przekonująca. Przy pierwszej nadarzającej się okazji spytałam więc Dallasa, z kim rozmawiał. Odparł, że z nikim,

i na tym się skończyło, a nasuwające się pytania pozostały bez odpowiedzi. Oboje zaczęliśmy popadać w paranoję i staliśmy się podejrzliwi, nie bardzo wiedząc, co dalej. Nigdy wcześniej w naszym trwającym trzy lata małżeństwie nie przechodziliśmy podobnego kryzysu.

Pewnego ranka, wychodząc do pracy, Dallas powiedział, że wróci na lunch, ale się nie pojawił. Zaniepokojona zadzwoniłam na recepcję z komórki, której nie miałam prawa mieć, ale tam nikt nie wiedział, gdzie jest Dallas. Wpadłam w panikę, myśląc, że gdzieś go ukryli i że wszystko zaczyna się od nowa. Niemal odchodziłam od zmysłów. Nie wiedząc, co jeszcze mogę zrobić, żeby go znaleźć, położyłam się i zasnęłam.

Kilka godzin później zbudziło mnie pukanie do drzwi. Gdy je otworzyłam, ujrzałam w progu Lindę. Spytałam, gdzie jest Dallas. Odparła, że nie wie, ale z nienaturalnego tonu jej głosu wywnioskowałam, że coś przede mną ukrywa. Otworzyła aktówkę i wyjęła z niej niewielki plik dokumentów wyglądających jak jakieś urzędowe pisma.

- To jest lista kontrolna dla odchodzącej kadry - powiedziała.

Aż się zdrygnęłam na dźwięk słów „dla odchodzącej kadry”. Już wcześniej wiedziałam, że „doszłam do ściany”, ale wsłuchiwanie się w te słowa, gdy je ktoś wypowiadał, to było coś zupełnie innego. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że będę wypełniała listę kontrolną „dla odchodzącej kadry”. Pocieszałam się, że próbowałam już wszystkiego, by temu zapobiec.

Linda pouczyła mnie, co mam zrobić, żeby dopełnić wymaganych procedur. Po pierwsze, o czym dobrze wiedziałam, musiałam przejść specjalne przesłuchanie. Na samą myśl o tym dostawałam dreszczy. Według LRH jedyną przyczyną rezygnacji jakiegoś członka kadry było dopuszczenie się nagannego postępkowi ukrywanego przed innymi. LRH uważał, że szczerą spowiedź i wyznanie własnych przewinień przed opuszczeniem szeregów kadry pomoże takiej osobie poradzić sobie z problemem, a może nawet odwiedzie ją od zamiaru odejścia. To właśnie dlatego spowiedź była niezbędnym elementem całej procedury. Jeśli nie wyraziłeś na to zgody, zostawałeś uznany za SP.

Następnie Linda wyjaśniła mi, że kolejny punkt na liście zobowiązuje mnie do podpisania pewnego formalnego zobowiązania. Wytłumaczyła mi, że muszę podpisać dokument zobowiązujący mnie, że nigdy nie będę otwarcie występować przeciwko Kościołowi. Za każde złamanie zobowiązania musiałabym zapłacić Kościołowi dziesięć tysięcy dolarów. Kobieta oznajmiła, że jeśli nie podpiszę dokumentu, zostanę uznana za SP. Wkurzyłam się. Powiedziałam, że LRH niczego takiego nigdy nie wymyślił. I taki też był jeden z moich głównych zarzutów pod adresem obecnego kierownictwa Sea Org: że wymyśla wytyczne, których nie ma w naukach LRH. Linda się zdenerwowała i oświadczyła, że mam

podpisać dokument.

Nie podobał mi się jej ton ani jej postawa. Powiedziałam, że poddam się przesłuchaniu, na które czekałam od kilku tygodni, ale niczego nie podpiszę. Wtedy zaczęła krzyczeć, że zachowuję się nieetycznie i że jestem SP, skoro odmawiam złożenia podpisu na zobowiązaniu. Rzuciła na moje łóżko listę kontrolną i dokument i kazała mi je przeczytać.

- Masz na myśli to? - zapytałam drwiąco.

Chwyciłam papiery, podarłam je na drobne kawałki i kazałam jej się wynosić. Linda nie była przyzwyczajona do podobnej niesubordynacji. Spiorunowała mnie wzrokiem, po czym wypadła z pokoju, krzycząc, że nie ujdzie mi to na sucho. Zatrzasnęłam za nią drzwi, czerwona ze złości i przerażona tym, co właśnie zrobiłam i jakie to będzie miało skutki. Wciąż nie miałam żadnych wieści od Dallasa, więc nie przestawałam się martwić.

W końcu jednak o pierwszej trzydzięci w nocy mój mąż wrócił. Wyglądał na zmęczonego i niezbyt ucieszonego moim widokiem. To ostatnie nie wróżyło nic dobrego i musiało być rezultatem zbyt częstych spotkań z ludźmi Kościoła. Nie byłam w nastroju do kłótni, ale spytałam, czy wciąż chce razem ze mną odejść z Kościoła.

- Nie wiem - odpowiedział.

Byłabym zszokowana, gdyby nie owe wcześniejsze chwile krępującego milczenia, które się między nas wkradły, i gdyby nie to, że ostatnio tak tajemniczo znikał nie wiadomo gdzie. Mimo to wciąż nie mogłam uwierzyć, że zamierza odwrócić się do mnie plecami, pozwalając, bym sama przez to wszystko przechodziła, nie racząc nawet szczerze powiedzieć, co naprawdę myśli, póki nie zacznę ciągnąć go za język.

- Po prostu nie wiem - powiedział. - W gruncie rzeczy nie współpracujesz i nie spowiadasz się ze wszystkiego, wbrew temu, co obiecałaś.

Po tych słowach miałam pewność, że ktoś naopowiadał mu kłamstw. Doskonale wiedział, że posłusznie czekam, aż sami się do mnie zgłoszą, żeby mnie przesłuchać.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że od dwóch tygodni czekam, aż raczą mnie przesłuchać, ale jeszcze się na to nie zdecydowali.

- Tylko dlatego, że nie chcesz się zgodzić, żeby najpierw skończyć audytowanie - powiedział.

- Nie chcę już żadnego audytowania. Chcę się wypowiadać i wreszcie stąd wydostać!

- I tak się stanie. Wystarczy, że zaczniesz współpracować - powtórzył z uporem.

- Czy to znaczy, że nie odejdiesz razem ze mną, jeśli się nie poddam sesji? - zapytałam.

Nie byłam przygotowana na słowa, które usłyszałam po chwili:

- No cóż. Nie chcę odchodzić.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie zamierzasz ze mną odejść? - zapytałam, nie wierząc własnym uszom i usiłując zrozumieć, o co tu chodzi.

Dallas wyglądał na zawstydzonego. Potwierdziły się moje najgorsze obawy.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z nikim. Po prostu nie chcę odchodzić - odpowiedział tak, jakby się spodziewał tego pytania.

- Kłamiesz. Z kim rozmawiałeś?!

- Z nikim. Przysięgam.

Patrząc teraz na niego, wiedziałam już, że z nami koniec. Myślał o mnie to samo co Linda: że nie chcę współpracować, że jestem buntowniczym SP.

Kolejne godziny upłynęły nam na kłótni, w której żadne z nas nie chciało ustąpić. Chciałam po prostu odejść i skończyć z tym raz na zawsze, jednak Dallas za żadne skarby nie mógł pogodzić się z tym, że odmówiłam współpracy. Ciągłe powtarzał, że niczego „nie rozumie”, niezależnie od tego, ile razy mu to wyjaśniałam. Był przekonany, że bardziej mi zależy na sobie niż na nim i jego relacjach z rodziną. Powiedział, że gdyby mi naprawdę na nim zależało, zrobiłabym to, czego ode mnie żądali. Ja tymczasem po prostu nie mogłabym znieść kolejnej sesji audytowania, a wytyczne Kościoła zabraniały audytowania kogoś, kto tego nie chce. Uznałam, że skoro Dallas nie zamierza odejść razem ze mną, mogę sobie oszczędzić piekła sesji i przesłuchań.

O czwartej nad ranem nasza dyskusja dobiegła końca. Klamka zapadła: ja odchodziłam, on zostawał. Innego rozwiązania nie było. Oboje byliśmy zdruzgotani i zrozpaczeni, wiedziałam jednak, że nie będę w stanie zachować zdrowia psychicznego, jeśli dłużej zostanę w Sea Org. A kłócić się już nie mogłam.

Przez resztę nocy pakowałam swoje rzeczy, a Dallas mi w tym pomagał. Równocześnie oboje usiłowaliśmy sobie wyobrazić, co będzie dalej. Postanowiliśmy, że odchodzę bez niego, ale w głębi serca żadne z nas w to nie wierzyło. Napisałam list do jego rodziców z zapewnieniem, że bardzo ich kocham i żeby się opiekowali Dallasem. Dallas dał mi kilka swoich swetrów, żeby mi o nim przypominały.

Nad ranem zadzwoniłam do ojca, powiedziałam mu o naszym postanowieniu i zapytałam, czy mogę zamieszkać w Wirginii z nim i z mamą. Powiedział, że mu przykro z powodu takiego obrotu spraw i że mogę zamieszkać z nimi.

Dallas musiał iść do pracy, ale obiecał, że wróci, żeby mnie zawieźć na lotnisko. Czułam się fatalnie, ale postanowiłam za wszelką cenę zrealizować swój plan. Po prostu nie

mogłam dłużej żyć gdzieś, gdzie byłam skazana na kontrolę każdej myśli i każdego czynu. Około dwudziestej Dallas wrócił z pracy. Wyglądał na zmęczonego i zakłopotanego. Kiedy się objęliśmy, zobaczyłam Lindę stojącą w drzwiach za jego plecami.

- Co ona tutaj robi, do cholery? - zawołałam.

Dallas kazał jej poczekać w drzwiach, kiedy ze mną rozmawiał. Usiadł na łóżku i wziął mnie za rękę.

- Posłuchaj, zamierzają pozwolić ci odejść bez spowiedzi - oznajmił.

Nie rozumiałam, dlaczego powiedział: „zamierzają pozwolić ci odejść”, skoro tak czy owak zamierzałam odejść, niezależnie od tego, czy chcą mi na to „pozwolić”.

Powiedział też, że zarezerwowano dla mnie bilet do Wirginii, gdzie mam lecieć jeszcze tej nocy.

- A ty lecisz? - spytałam z nadzieją, mimo że odpowiedź już znałam.

- Nie - odpowiedział Dallas, spuszcżając wzrok.

Nie pozostało nic więcej do dodania. Chwytałam się wszelkich sposobów, by go przekonać, ale po prostu nie byłam w stanie. Była to moja największa porażka. Wybuchnęłam płaczem.

Sięgnęłam po walizkę i spytałam Dallasa, czy przynajmniej zawiezie mnie na lotnisko. Obiecał to zrobić.

- Gotowa? - spytała stojąca w progu Linda.

Żadne słowa nie byłyby w stanie wyrazić nienawiści, jaką w tej chwili do niej czułam.

- Czy Dallas był dziś z tobą? - zapytałam.

Gdy Linda zaprzeczyła, a Dallas przewrócił oczami, byłam pewna, że właśnie tak było. Poczulałam wściekłość i zaczęłam krzyczeć na Lindę. Kiedy usiłowała przekonać Dallasa, żeby zamiast odwozić mnie na lotnisko, zamówił mi taksówkę, całkowicie straciłam panowanie nad sobą. Przecież byłam jego żoną! Mieliśmy się pożegnać być może na zawsze, a ona była tak podła, że nawet na to nam nie pozwoliła.

W końcu Dallas oświadczył, że bez względu na zdanie Lindy odwiezie mnie na lotnisko. W tej sytuacji musiała wykonać kilka telefonów, ale w końcu wydano stosowne zezwolenie, pod warunkiem że Linda będzie nam towarzyszyć. Wiedziałam, że Kościół nie chce dopuścić do tego, bym została sama z Dallasem, bojąc się, że zdołam wyperswadować mężowi jego decyzję. Jechaliśmy na lotnisko w napiętej atmosferze: ja i Dallas chcieliśmy nacieszyć się ostatnimi wspólnymi chwilami, jakie nam zostały, a Linda, która ulokowała się na środku tylnego siedzenia, pochylając się do przodu, starała się nie dopuścić do tego, byśmy byli za blisko siebie albo za dużo sobie powiedzieli. Dotarliśmy do LAX na dwie godziny

przed moim odlotem. Zgłosiłam do odprawy bagaże i miałam na tyle czasu, żeby pobyć z Dallasem i się z nim pożegnać. Jednak Linda kręciła się w pobliżu, nie zamierzając nas zostawić, więc jej powiedziałam, żeby dała nam spokój. Ostrzegłam ją, że jeśli nie posłucha, zrobię scenę. Wiedząc, że oznaczałoby to negatywny PR dla Kościoła, niechętnie nas zostawiła.

Oboje z Dallasem siedzieliśmy w poczekalni przez jakieś dwadzieścia minut, gdy Linda podeszła do nas i powiedziała mojemu mężowi, żeby się zbierał, bo ona musi wracać do pracy. Czułam, że Dallas się spiął. Był wyraźnie sfrustrowany tym, że obraźliwie nas traktowała, mimo że widziała nasze męczarnie, ale zachował spokój, który tak bardzo zawsze ceniłam.

- W porządku - powiedział. - Daj nam jeszcze parę minut.

Wtedy puściły mi nerwy i zaczęłam krzyczeć na Lindę. Pospiesznie się oddaliła - pewnie, żeby do kogoś zadzwonić, ale nie dbałam o to.

Stałam tylko i wpatrywałam się w Dallasa, nie mogąc uwierzyć, że nigdy więcej go nie zobaczę. Od bardzo dawna chciałam odejść, a mimo to, stojąc tak i przypatrując się temu, jak Linda znieważa nas oraz to, co nas łączy, nagle zrozumiałam, że nie mogę wsiąść do tego samolotu sama, bez męża. Wiedziałam, że podobnie jak ja, również on w głębi duszy nie chce tego rozstania. Nie mogłam go tak po prostu zostawić wśród tych ludzi. W Kościele było mnóstwo takich osób jak Linda i było jasne, że gdy cała sprawa ucichnie, nie będą mieć dla niego litości. Nie mogłam na to pozwolić. Zamierzałam odejść razem z mężem.

Jednak nie powiedziałam mu o tym - przynajmniej nie w owej chwili. Powiedziałam, że zaraz wracam, i poszłam zadzwonić do ojca, żeby mu powiedzieć, że jeszcze nie wracam do domu. Tata okazał zrozumienie i zapewnił, że mogę na niego liczyć.

Kiedy wróciłam do Dallasa, oznajmiłam mu, że zmieniłam zdanie.

- Nie mogę cię opuścić - powiedziałam. - Nie chcę żyć bez ciebie. Zostanę i spróbujemy wszystko naprawić.

Tak naprawdę nie chciałam ulegać Kościołowi, ale nie zamierzałam mówić o tym Dallasowi. Potrzebowałam czasu, żeby go przekonać, by razem ze mną porzucił organizację.

Słyszając moje słowa, cały się rozpromienił i zaczął mnie ścisnąć. Gdy mnie objął, poczułam, jak opuszcza go całe napięcie.

- Zrobię wszystko, co zechcesz, by pomóc ci przejść przez to wszystko - zapewnił z entuzjazmem.

Uśmiechnęłam się do niego, czując ulgę, że sytuacja tak nagle się zmieniła, choć nadal nie bardzo wiedziałam, co właściwie zamierzam zrobić.

Gdy ruszyliśmy w kierunku punktu odpraw, żeby odebrać moje bagaże, rozległ się dźwięk komórki Dallasa. To była Linda. Pytała, gdzie jesteśmy. Dallas zaczął jej z entuzjazmem opowiadać, że skłonił mnie, bym została, i że właśnie idziemy po moje bagaże.

Usłyszałam, jak Linda krzyczy po drugiej stronie słuchawki:

- Ona nie może zostać!

Dallas był kompletnie zdruzgotany.

- Myślałem, że chcemy, żeby została - powiedział.

- Ona nie może zostać - powtórzyła Linda.

Mój mąż nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Wszystkie sprzeczności w postępowaniu Kościoła widać było teraz jak na dłoni. Być może wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem Dallas mógł się przekonać, że słowa ludzi Kościoła mają się nijak do ich czynów. Moja decyzja o pozostaniu powinna być odebrana jako coś dobrego, bo oznaczała, że zrozumiałam własne błędy i zawróciłam ze złej drogi. Czyż nie to było celem Kościoła? Tymczasem Linda stanowczo stwierdziła, że nie mam po co wracać.

Po chwili Dallas dał mi znak ręką, byśmy wyszli na zewnątrz. Zaciągnął mnie za róg, gdzie Linda nie mogła nas słyszeć.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął. - Przez kilka ostatnich dni spotykałem się z Lindą i panem Rinderem. Naopowiadali mi wszelkich możliwych okropności o tobie i twojej rodzinie. Powiedzieli mi nawet, że jeśli odejdę razem z tobą, nigdy więcej nie zobaczę rodziny. Nie rozdzielili nas wcześniej tylko dzięki mojej obietnicy, że nie powiem ci o naszych spotkaniach.

Nogi się pode mną ugięły. Domyślałam się tego. Ojciec już wcześniej mnie przed tym przestrzegał, a i z własnego doświadczenia wiedziałam, do czego są zdolni ludzie Kościoła, ale jakoś nie mieściło mi się w głowie, że mogą być aż tak pewni swojej bezkarności. Zdaje się, że po prostu byłam naiwna. Z trudem opanowałam wściekłość, gdy Dallas powiedział, że zmusili go, by poddał się przesłuchaniu, że uniemożliwiali mu powrót do domu w czasie lunchu i że również przez nich wracał po pracy do domu dopiero nocą. Poza tym zamykali go w sali konferencyjnej, gdzie Mike Rinder mówił mu, że nie chce współpracować, że jestem do niczego, że moi rodzice są złymi ludźmi i że Dallas powinien mnie zostawić.

Wyrzuciwszy to z siebie, mąż wbił we mnie wzrok, czekając, co powiem. To była straszna chwila. Przeżyłam szok, czułam gniew i jednocześnie ulgę. Szok, że Kościół mógł się posunąć do czegoś podobnego, by zniszczyć nasze małżeństwo, gniew, bo Dallas mi o niczym nie powiedział, a ulgę dlatego, że jednak w końcu znów był po mojej stronie. Już samo to, że mi o wszystkim powiedział, wiązało się z dużym ryzykiem, co rozumiałam i

doceniałam. Miałam nadzieję, że moja decyzja o pozostaniu nie była pomyłką. Linda ciągle dzwoniła, pytając, gdzie jesteście. Miałam tak bardzo dość jej napastowania i byłam tak wściekła, że wyłamałam klapkę telefonu, zbyt gwałtownie ją otwierając. Tak więc w końcu Kościół dopiął swego, uniemożliwiając mi dzwonienie - do czego tak uporczywie dążył od początku.

Linda znalazła nas po kilku minutach, gdy odbieraliśmy bagaże. Po wszystkim, co usłyszałam, byłam na granicy załamania - tym bardziej że postanowiłam zostać. Podejrzywałam, że Dallas wiedział, iż zostaję tylko dlatego, że potrzebuję czasu, by przekonać go do odejścia. Pomyślałam, że problem może się pojawić, gdy trzeba będzie wmówić wszystkim innym, że zostaję i chcę służyć większemu dobru. Nie miałam pojęcia, jak zniosę powrót do Kościoła, ale postanowiłam, że coś wymyślę. Miałam nadzieję, że nie potrwa to długo.

Po wyjściu z lotniska w drodze powrotnej do samochodu Dallasa Linda nieustannie usiłowała nas rozdzielić. Chciała porozmawiać z nim na osobności. Powiedziałam jej, że albo zostawi nas samych, albo wezwiemy policję. To naprawdę ją przestraszyło. Odeszła, mówiąc, że znów robię scenę.

W końcu dotarliśmy na parking, skąd wyruszyliśmy autem Dallasa do bazy. Oboje byliśmy wyczerpani i chcieliśmy jedynie znaleźć się znów w naszym pokoju. Linda zakomunikowała nam jednak, że to niemożliwe.

- Członkostwo Sea Org nie jest prawem danym od Boga raz na zawsze - oświadczyła.

Oznajmiła, że musimy iść do Blue Building. Gdy byliśmy na miejscu, specjalista od spraw bezpieczeństwa zabrał nas do jakiegoś pokoju, przedstawiając nam listę warunków, których spełnienie pozwoliłoby mi zostać w Sea Org. Linda przysłuchiwała się całej rozmowie, wyraźnie zła, że postawiłam na swoim. Jak zwykle usłyszeliśmy, że każde z nas musi wykonać program polegający na pracy fizycznej i że zostaniemy rozdzieleni. Oboje w pełni zdawaliśmy sobie sprawę, że rozdzielając nas, Kościół będzie miał ułatwione zadanie kontrolowania nas.

- Już próbowaliście nas rozdzielić - powiedział temu człowiekowi Dallas. - Ale nic z tego! Będziemy pracować, ale nie zamierzamy się rozstawać. Jesteście szurnięci. Zrobimy wszystko, czego od nas zażądacie, oprócz tej jednej rzeczy.

Byłam naprawdę szczęśliwa, że Dallas znów jest po mojej stronie. Po raz pierwszy w życiu im się sprzeciwił, a jego głos był głosem człowieka doprowadzonego do ostateczności. W pokoju zapanowało napięcie. Ktoś powiedział, że Dallas ma iść do pokoju obok na rozmowę z kimś ważnym - i że ma iść sam. Dallas odmówił, lecz w końcu uświadomił sobie,



że najprościej będzie wysłuchać, co mają mu do powiedzenia. Zapewnił mnie, że zaraz wraca. Tym razem mu uwierzyłam. W ciągu niespełna godziny jego postawa zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni.

Kiedy wrócił po kilku minutach, powiedział, że usiłowano wepchnąć go do samochodu. Próbowali zawieźć go na spotkanie z Lindą i panem Rinderem, ale się nie dał. Z tonu głosu i wyrazu twarzy łatwo odgadłam, że jego wcześniejsza chęć pozostania w organizacji powoli znika.

Gdy stało się jasne, że nie zamierzamy się godzić na warunki Kościoła i że trzymamy wspólny front, postawiono nas przed ultimatum: albo zostaniemy rozdzieleni, albo opuścimy Sea Org. Dallas odparł, że jeśli odejdziemy, to właśnie dlatego. Po tych słowach oświadczyliśmy, że wracamy do naszego pokoju po rzeczy, na co specjalista od spraw bezpieczeństwa odpowiedział, że nie wolno nam dłużej przebywać w bazie.

- Jeśli teraz opuścicie bazę, będzie to oznaczało, że zwiewacie - powiedział. - Opuszczacie ją bez pozwolenia.

Wtedy Dallasowi puściły nerwy.

- Jak to: zwiewamy?! - spytał z niedowierzaniem. - Skoro pan mówi, że nie wolno nam tutaj zostać, to jak możecie uznać, że zwiewamy?

Musiałam go uspokajać, co było dość dziwne, bo to zawsze on uspokajał mnie. Powiedziałam, że szkoda jego energii na podobne wybuchy. Próbowaliśmy wejść na górę do naszego pokoju, ale ochroniarze zagroździ nam drogę.

Przygnębieni wróciliśmy do samochodu Dallasa. Żadne z nas nie miało pieniędzy, więc użyliśmy karty kredytowej, którą dał mi tata. Noc spędziliśmy niedaleko bazy, w Travelodge, zastanawiając się, co dalej. Nazajutrz wróciliśmy do bazy, ale nic nie wskóraliśmy. Oboje byliśmy przerażeni i nie mieliśmy żadnej pewności, że dobrze robimy. Kiedy decydowałam tylko za siebie, było to prostsze. Teraz, gdy ponosiłam odpowiedzialność również za decyzję Dallasa, ryzyko znacznie wzrosło. Widziałam, że Dallas się boi. Modliłam się, by jeszcze raz nie zmienił frontu.

Następnego ranka usłyszeliśmy pukanie do drzwi naszego pokoju. Nie miałam pojęcia, kto to mógł być, ponieważ nikt nie wiedział, że wróciliśmy. Był to specjalista od spraw bezpieczeństwa. Zamiast uniformu miał na sobie garnitur. Wręczył nam kopertę i wskazał na stojący na parkingu samochód firmy transportowej. Koperta zawierała zdjęcia wszystkich naszych rzeczy, odpowiednio ponumerowanych i spakowanych do pudeł, by łatwo było stwierdzić, co gdzie się znajduje. Wszystkie pudła skrupulatnie poukładano w samochodzie. Lista z naszymi rzeczami była drobiazgowa - znalazły się na niej nawet

drobniaki i patyczki higieniczne.

Specjalista od spraw bezpieczeństwa odprowadził nas na parking, podczas gdy jeden z ochroniarzy jeździł wokół nas na rowerze.

- Żeby nie było niedomówień: właśnie zwiewacie, a to jest akt niepożądany - zakomunikował. I celując palcem w twarz Dallasa, zapowiedział: - Zrobię wszystko, żebyś już nigdy nie zobaczył rodziny.

Nie miałam pojęcia, co knują ludzie Kościoła i w jaki sposób chcą spełnić tę groźbę, jednak bardzo mnie to zaniepokoiło, a Dallasa rozwścieczyło.

Tego ranka wyruszyliśmy do San Diego, do domu rodziców Dallasa, który zadzwonił do nich wcześniej, więc na nas czekali. Oddalając się od bazy, z każdym kilometrem czuliśmy się coraz bezpieczniejsi, jakby krępujące nas więzy jeden po drugim były zrywane. Nie będziemy już musieli nosić uniformów. Sami będziemy decydować, o której rano wstaniemy albo czy pójdziemy do kina. Będziemy mogli sami pokierować własnym życiem i ustanawiać nasze własne zasady. Naprawdę było to możliwie największe dobro największej liczby dynamik, z tym że teraz po raz pierwszy w życiu każdego z nas cały ten rachunek był dla nas korzystny.

## Rozdział trzydziesty drugi

### Realny świat

Rodzice Dallasa przywitani nas serdecznie. Ucieszyli się, że Dallas z nimi zamieszka, choć z mieszanymi uczuciami zareagowali na wieść o jego odejściu z Sea Org. Martwili się, co to może oznaczać dla przyszłości w Kościele zarówno ich samych, jak i rodzeństwa Dallasa oraz rodzin tych ostatnich. Byłam im wdzięczna, że nas przyjęli, jednak dyskutując z nimi, zaczęliśmy wkraczać na grząski teren. Każdy z członków rodziny radził nam co innego. Choć chciałam wszystkich ich uszczęśliwić, troszczyłam się przede wszystkim o swoje małżeństwo z Dallasem, w którym decyzje podejmowaliśmy tylko my dwoje.

Rodzice Dallasa powiedzieli, że możemy z nimi zostać i że dadzą nam pracę w sklepie jubilerskim, w którym panowała atmosfera przyjazna scjentologom. Wszyscy nowi pracownicy musieli przejść wstępny kurs scjentologii, bez względu na to, czy należeli do Kościoła. Pomimo zatrudniania wielu wyznawców scjentologii tata Dallasa oświadczył kiedyś, że nigdy więcej nie zatrudni byłych członków Sea Org, bo to zwykle oznaczało kłopoty. Jednak dla nas zrobił wyjątek.

Gdy pierwszego dnia pojawiliśmy się w pracy, byłam przerażona. Dostałam posadę w dziale zasobów ludzkich. I chociaż byłam nieśmiała, spotkałam się z niezmiernie ciepłym przyjęciem. Ludzie okazywali mi sympatię, byli uczciwi, opiekuńczy i służyli mi wsparciem - w stopniu większym niż wszyscy ci, z którymi zetknęłam się w Kościele. Jedyną rzeczą, która mi przeszkadzała, było stosowanie scjentologii w odniesieniu do problemów, które pojawiały się w pracy. Próbowałam zdystansować się od scjentologii. Nadal w nią wierzyłam, jednak potrzebna mi była przerwa i nie lubiłam stosować scjentologicznych technik wobec osób spoza Kościoła.

Rozpoczęcie nowego życia było dla mnie czymś znacznie trudniejszym niż dla Dallasa. Nie miałam prawa jazdy i nie przywykłam do rozmów z WOGS. Co noc miałam też koszmary, w których ludzie Kościoła albo ścigali mnie, chcąc zmusić do powrotu, albo usiłowali skłonić do powrotu Dallasa, którego musiałam ratować.

Gościliśmy w San Diego zaledwie od kilku dni, gdy do ojca Dallasa zaczęła wydzwaniać Linda, pytając go, czy zna nasze relacje z Kościołem oraz nasze plany. Wywołało to wiele napięć między nami i rodzicami Dallasa, którzy próbowali nas skłonić do ułożenia sobie stosunków z organizacją, a ponieważ mieszkaliśmy u nich i razem

pracowaliśmy, nie mieliśmy ani chwili spokoju czy choćby odrobiny prywatności. Raz nawet wybrali się do Los Angeles, żeby się spotkać z Lindą, która im pokazała negatywne raporty na nasz temat. Nie podobał mi się podstępny sposób, w jaki Kościół manipulował rodzicami Dallasa. Po pierwsze, ludzie Kościoła chcieli mieć pewność, że nie zamierzamy robić problemów - teraz, gdy już nie jesteśmy w Sea Org. Po drugie, Kościół wykorzystywał zaufanie rodziców Dallasa, podkreślając na każdym kroku zły wpływ, jaki rzekomo wywierałam na ich syna. Rodzice Dallasa zapoznali się na przykład z nagraniami ilustrującymi niekorzystną zmianę jego charakteru i niepozostawiającymi żadnych wątpliwości co do tego, że zbiegło się to w czasie z początkiem naszej przyjaźni.

Mimo to ja i mój mąż cieszyliśmy się wolnością poza strukturami Sea Org. Ponieważ zaczęliśmy co nieco zarabiać, mogliśmy sobie pozwolić na własne lokum, mieszkanie w centrum San Diego. Mieliśmy nawet dwa psy. Mogliśmy odwiedzać moich rodziców w Wirginii, gdzie spotkaliśmy się również z Austinem i Sterlingiem, którzy też porzucili Sea Org.

W pracy często rozmawiałam z ludźmi zainteresowanymi Kościołem. Pytali mnie o mój okres dorastania w strukturach organizacji i byli przerażeni moimi opowieściami. Powtarzali, że to zupełna patologia, a nawet oferowali pomoc. Dzięki ich reakcjom powoli zaczęło do mnie docierać, jak głupio mnie wychowano.

Nie minął rok, odkąd opuściliśmy Kościół, gdy oboje dostaliśmy wezwanie do stawienia się przed trybunałem Committee of Evidence w celu wyjaśnienia naszej sytuacji w Kościele. CommEv osądza postęпки oskarżonego. Osądu dokonują cztery osoby, rozstrzygające, czy jest on winny popełnienia zarzucanych mu przestępstw przeciw Kościołowi. Chciałam odesłać wezwanie, umieściwszy w kopercie kupę mojego psa. Jednak tata Dallasa przekonał go, by jakoś ułożył sobie stosunki z organizacją. Rodzice mojego męża chcieli mieć pewność, że jest on w dobrych stosunkach z Kościołem i że żadne z nas nie zostanie uznane za SP.

Nie było im łatwo mnie namówić, ale w końcu dla świętego spokoju zgodziłam się stawić przed CommEv. Wiedziałam, że będzie to dla mnie strasznie trudne i upokarzające.

Kościół oskarżał mnie o pięć przestępstw zwykłych i cztery ciężkie przestępstwa, przywołując różne incydenty, które miały miejsce w sierpniu 2005 roku, a nawet takie, do których doszło w październiku 2003. Popołnione przeze mnie ciężkie przestępstwa obejmowały między innymi nieumiejętność stosowania technik scjentologicznych, których mnie uczono, w odniesieniu do swoich problemów życiowych, grożenie wezwaniem policji w kilkutygodniowym okresie poprzedzającym moje odejście z Sea Org, odmowę

podporządkowania się standardowej procedurze opuszczania Sea Org, powiadomienie Dallasa, że zamierzam odejść, co uznano za akt niepożądany. Spowodowałam również zniszczenia w sali audytowania, zmiażdżyłam puszki podczas próby opuszczenia sesji, na lotnisku wdałam się w sprzeczkę z Lindą, sprzeciwiałam się zwierzchnikom i krzyczałam na nich w różnych sytuacjach podczas pełnienia swoich funkcji. Wszystko to Kościół uznał za przestępstwa.

Również Dallas został oskarżony o szereg przestępstw, zwykłych i ciężkich, jednak w większości wypadków polegały one na tym, że nie był w stanie nade mną „zapanować”, kiedy dopuszczałam się pogwałcenia standardowej procedury opuszczania organizacji, odmawiając poddania się audytowi, a także kiedy zagroziłam wezwaniem policji. Oskarżono go poza tym o to, że nie był w stanie kontrolować mnie, kiedy „naskoczyłam na innych” po naszym powrocie z lotniska do bazy, gdy zmieniałam zdanie w kwestii swojego odejścia z Sea Org.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam po swoim definitywnym odejściu, było słuchanie steku bzdur, „dowodów” przeciwko sobie czy też, co byłoby jeszcze gorsze, utwierdzanie ludzi Kościoła w poczuciu, że mogą mnie włóczyć po swoich sądach, kiedy tylko będą mieli taki kaprys. Była to dla mnie gorzka pigułka, ale uległam przez wzgląd na Dallasa. Jedynie w ten sposób mogłam unormować naszą sytuację w Kościele. Mój mąż wciąż miał nadzieję, że będzie mógł utrzymywać z członkami Kościoła poprawne stosunki, co w znacznym stopniu ułatwiłoby życie całej jego rodzinie.

Tak więc któregoś ranka pojechaliśmy autem do PAC Base w L.A. Wiedziałam, że cała procedura ma być nagrywana, więc powiedziałam przesłuchującym, że ja też zamierzam ją nagrać, i na stole przed sobą położyłam magnetofon.

Każde z nas miało osobno stawić się przed CommEv. Poszłam jako pierwsza. Usłyszałam szereg zarzutów - przy każdym pytano mnie, czy się przyznaję. Nie przyznałam się do żadnego. Powiedziałam, że nie potwierdzam żadnego z przytoczonych incydentów i że sami są wszystkiemu winni. Gdy sędziowie spytali, czy poczuwam się do odpowiedzialności za to, co się stało, zaprzeczyłam. Następnie zapytali mnie, czy będę skłonna wypisać się z Sea Org wedle ustalonej procedury, jeśli będzie to oznaczało możliwość utrzymywania stosunków z rodziną Dallasa. Odpowiedziałam, że muszę się zastanowić.

Teraz przed sędziami stanął Dallas. Również i on nie przyznał się do większości stawianych mu zarzutów, choć niektóre uznał za niepozbawione podstaw. Przyznał się do jednego, ale i tak powiedział, że zasadniczo to ich sprawka. Przez kilka następnych tygodni czekaliśmy na przesłanie „Orzeczeń i zaleceń”.

W końcu po czterech miesiącach dostaliśmy je. Orzeczone, że jestem winna awantury,

buntu oraz przestępstwa polegającego na powiadomieniu Dallasa, że chcę odejść. Trybunał uznał nas za SP, interweniował jednak przewodniczący International Justice, który orzekł, że jeśli chcemy, by między Kościołem i nami na powrót zapanowały dobre stosunki, każde z nas musi odpracować dwieście pięćdziesiąt godzin w ramach rekompensaty, poddać się przesłuchaniu, pokryć koszty dotychczasowego utrzymania oraz zostać zakwalifikowanym do niższej kondycji.

Nie podjęto żadnej próby naprawienia wyrządzonej nam niesprawiedliwości. Orzeczenia były surowe, surowsze, niż Dallas i jego rodzice się spodziewali, choć mnie one nie zaskoczyły. Nie zamierzałam się podporządkować żadnemu z zaleceń. Cały werdykt wydawał się jednostronny i korzystny wyłącznie dla Kościoła, ale przynajmniej teraz rodzice Dallasa nie byli zmuszeni do zerwania z nami.

Dzięki temu, że znaleźliśmy się poza organizacją, mogliśmy w większym stopniu spojrzeć na Kościół z perspektywy outsiderów. Nie nastąpiło to od razu ani dzięki wyczerpującym informacjom z jednego źródła. Było raczej tak, że z każdym dniem dowiadaliśmy się czegoś nowego, aż w końcu wszystko złożyło się w całość.

Mój ojciec podesłał Dallasowi i mnie kilka postów napisanych przez kogoś o nicku „Blown for Good”. Potwierdzały one, jak złe rzeczy działy się w Int Base, mówiły o przemocy, o przypadkach pozbawiania ludzi snu i rozdzielania małżeństw, a za wszystkim tym miał stać mój stryj. Pod wieloma względami opowieści te zgadzały się z innymi rzeczami, jakie słyszałam od członków mojej rodziny, którzy opuścili organizację.

„Blown for Good” zamieszczał posty również na stronie internetowej Operation Clambake, przeczytałam więc jego wpisy. Był tam link do odcinka *South Park*, będącego satyrą na scjentologię, o którym dużo się mówiło. Parodiowano w nim najwyższe poziomy wtajemniczenia w nauki Kościoła, poziomy OT istniejące poza stanem clear. Ośmieszono zwłaszcza poziom OT III, „Ścianę ognia” - element teorii ewolucji według LRH.

OT III znajdował się w hierarchii mostu o wiele poziomów wyżej, niż mnie i Dallasowi udało się kiedykolwiek dotrzeć, więc długo dyskutowaliśmy, czy powinniśmy tam zaglądać. Zawsze nam powtarzano, że przedwczesne zdobycie takich informacji mogłoby wyrządzić nam krzywdę - psychiczną i fizyczną. Wiedziałam, że to nonsens, ale szczerze mówiąc, byłam trochę wystraszona. Może i nie byłam już w Sea Org, ale ten strach wpajano mi przez całe dotychczasowe życie.

Mimo że byłam poza Kościołem, wciąż budziły się we mnie te obawy. Wiedziałam, że są irracjonalne. Było oczywiste, że wielu ludzi obejrzało ów odcinek *South Park* i że nadal żyli, dlatego oboje z Dallasem postanowiliśmy zaryzykować. Odcinek był zabawny i odrobinę

niedorzeczny. Był jak science fiction. Już wcześniej wierzyliśmy, że jesteśmy thetanami, więc nie byłam zaskoczona, że stworzona przez LRH koncepcja ewolucji obejmowała także inne planety. Ale szczegóły dotyczące władcy galaktyki oraz planety Xenu były dla nas czymś nowym.

Z filmu dowiedzieliśmy się, że na poziomie OT III scjentolog odkrywał, że przed siedemdziesięcioma pięcioma milionami lat Xenu, władca galaktyk, wypędził thetanów na Ziemię, by rozwiązać nękający jego planetę problem przeludnienia. Wypędzenie thetanów oraz szereg towarzyszących temu okoliczności uważano za źródło ludzkich nieszczęść. Koncepcja ta nie była znana wielu scjentologom, bo mogli ją poznać dopiero po dotarciu na odpowiedni poziom mostu. Z powodu tej wydumanej koncepcji poziom OT III jest często przywoływany przez sceptyków chcących wykazać absurdalność tej religii.

Wiedza o OT III otworzyła nam oczy na wiele spraw. Scjentolodzy naprawdę w to wszystko wierzyli, tymczasem ja byłam sceptyczna wobec tych teorii. Choć trudno było pojąć, że na najwyższych poziomach wtajemniczenia koncentrowano się na czymś, co wyglądało jak historyjka science fiction, najbardziej uderzająca była dla mnie nie ona sama, lecz to, że gdybym usłyszała ją w szczytowym momencie mojego zaangażowania, pewnie też bym w nią uwierzyła.

Teraz zaś jako outsider widziałam jak na dłoni, że cały ten system wierzeń jest bardzo wątpliwy. A przecież tylko dzięki temu, że odeszłam z Kościoła, mogłam wskroś to zobaczyć: cała wiedza była tylko garścią opowiastek, najwyraźniej mających marne podstawy w rzeczywistości. Poznawszy całą prawdę na temat poziomu OT III, oboje z Dallasem bardziej niż kiedykolwiek przedtem zaczęliśmy mieć poczucie, że wszystko to zostało zmyślane i że LRH wymyślał wciąż nowe historie, nie mogąc przestać konfabulować. Treści z poziomu OT III nie przypominały religijnego dogmatu, tylko jakąś fabułę.

Złapałam się na tym, że myślę o tych wszystkich szeregowych scjentologach, z którymi zetknęłam się podczas zbierania funduszy w Australii, a także o tym, ile czasu i pieniędzy ludzie ci muszą zainwestować, by znaleźć się na poziomie OT III. Zastanawiałam się, jak się będą czuli, gdy dowiedzą się prawdy. Czymś naturalnym będą wtedy ich wątpliwości, z którymi jednak trudno będzie im się pogodzić, gdy uświadomią sobie, że taki kawał życia poświęcili scjentologii. Zwykły scjentolog musi poświęcić tysiące godzin i ponieść koszty rzędu stu tysięcy dolarów, by osiągnąć poziom OT III. Do tego czasu jest już bardzo głęboko zaangażowany w scjentologię, zarówno finansowo, jak i społecznie. Wcześniej zaś nawrócił na scjentologię wszystkich przyjaciół i całą rodzinę, zaskarbiając sobie za ten wyczyn wiele szacunku w Kościele. Trudno byłoby komuś takiemu nie przyjąć

scjentologicznego objawienia.

Nie mówiąc już o tym, jak mogli zareagować na podobne rewelacje członkowie Sea Org, tacy jak moi rodzice i dziadkowie, którzy nie tylko zainwestowali pieniądze, lecz poświęcili dla sprawy całe lata, a nawet dziesięciolecia swojego życia.

Po części z powyższych powodów, a po części pod wpływem ciekawości oboje z Dallasem zaczęliśmy coraz bardziej interesować się tym, co sądzą na temat scjentologii ludzie nienależący do Kościoła. Dallas przeczytał książkę *BareFaced Messiah. The True Story of L. Ron Hubbard* brytyjskiego dziennikarza Russella Millera. Otworzyła mu ona oczy na wiele spraw. Ja też zaczęłam ją czytać i dotarło do mnie, jakim oszustem był LRH. Nawet jeśli prawdą była zaledwie połowa tego, co było w książce, i tak płynął stąd wniosek, że wszystkie rzekome osiągnięcia Hubbarda były oszustwem. Często się dziwiłam, jak to możliwe, że tyle dokonał, a teraz stało się dla mnie oczywiste, że to wszystko było kłamstwem. Dzięki tej demaskatorskiej książce założyciel scjentologii ukazał nam się w nowym świetle: jako żądny władzy egocentryk, szalony, choć charyzmatyczny kłamca. Lektura skłoniła mnie do zrewidowania własnych myśli i odczuć związanych z Kościołem. Czyżbym naprawdę godziła się na jego strategię, jego politykę i jego nauki? Czy kiedykolwiek doświadczyłam rzekomej mocy scjentologii?

Stopniowo zaczęłam kwestionować wszystko, czego kiedykolwiek mnie nauczono. Zawsze wierzyłam, że jestem thetanem i że któregoś dnia zdołam opuścić własne ciało. Nie miałam jednak żadnych realnych dowodów, że tak się stanie, bo nigdy tego nie doświadczyłam. Nie byłam również przekonana o istnieniu przez miliony lat moich przeszłych wcieleń ani o realności związanych z nimi wspomnień. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest to jedynie moja podświadomość, nie zaś prawdziwe wspomnienia z przeszłości. Zaczęłam również zadawać sobie pytanie, czy scjentologiczne metody organizacji pracy, takie jak posługiwanie się specjalnymi raportami, w ogóle działały. Korzystaliśmy z nich w pracy w sklepie jubilerskim, i zaczęłam wątpić w ich skuteczność. Moim zdaniem metody kontroli typu Wielki Brat obowiązujące wewnątrz organizacji wpędzały ludzi w paranoję, zamiast czynić ich bardziej produktywnymi, poza tym sprawiały, że ludzie się od siebie oddalali.

Moje największe wątpliwości wobec scjentologii wiązały się z wykroczeniami. Dorastając w Kościele, nigdy nie miałam tak naprawdę okazji do uświadomienia sobie, że mam osobowość i że jest ona czymś cennym. Ilekroć miałeś jakąś własną myśl czy pogląd, które byłyby sprzeczne z naukami scjentologii, mówiono ci, że popełniasz wykroczenie albo nie rozumiałeś jakiegoś słowa. Teraz dotarło do mnie, że miało to na celu nie dopuścić do



tego, byś na jakimkolwiek poziomie mógł stawić czoła Kościołowi. Nie było to nic innego jak tylko kompletne stłamszenie niezależnej myśli.

Teraz, gdy już nie należałam do Kościoła, jeżyłam się na myśl o tym, że scjentolodzy wciąż mają na mnie wpływ - nawet na moje decyzje w błahych sprawach. Wywierano na mnie naciski, żebym wykreśliła ze swoich kontaktów na Myspace osoby uznane za SP: Marca i Claire Headleyów oraz Teddy'ego Blackmana. Claire była moją przyjaciółką w Kościele i chciałam zachować z nią kontakt. Nie tylko odmówiłam ich blokowania, ale nawet zamieściłam post, w którym napisałam, że tego nie zrobię. Ci ludzie byli moimi przyjaciółmi i jeśli ktoś nie mógł się z tym pogodzić, to już jego sprawa. Stopniowo wszyscy znajomi z Kościoła odcinali się ode mnie, również wielu takich, którzy wcześniej zapewnili, że nie ma dla nich znaczenia fakt, że nie jestem już scjentologiem. Wielu z nich powiadomiło mnie, że ludzie z OSA kazali im o mnie zapomnieć, grożąc zablokowaniem kontaktów z rodzinami.

Oboje z Dallasem, używając fałszywych nazwisk, dołączyliśmy do internetowych wspólnot byłych scjentologów. Zyskaliśmy tym samym okazję, by czytać historie różnych ludzi i opowiedzieć nasze własne. Były one przerażająco podobne - wszyscy przeszliśmy przez piekło. Szczególnie zdziwiło mnie, że wiele osób miało powtarzające się koszmary - tak samo jak ja. Zaczęłam doświadczać coraz silniejszego poczucia wspólnoty z innymi byłymi scjentologami. W styczniu 2008 opublikowano książkę Andrew Mortona *Tom Cruise. An Unauthorized Biography*. Miała ogromną promocję i w ciągu trzech dni od wydania trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”. Ani Dallas, ani ja nie wiedzieliśmy zbyt wiele o życiu Toma Cruise'a, wiedzieliśmy jednak, że jest to najbardziej znany celebryta związany ze scjentologią. Oboje przeczytaliśmy książkę z wielkim zainteresowaniem i stwierdziliśmy, że zawiera ona wiele faktów związanych z RPF, rozbijaniem rodzin i z innymi praktykami scjentologów.

Wydanie biografii oraz towarzysząca jej akcja promocyjna wydobły na światło dzienne wiele nadużyć Kościoła. Oboje z Dallasem ucieszyliśmy się, że takie informacje dotrą do setek tysięcy ludzi. Oczywiście Kościół energicznie zajął się sprawą i przeszedł do błyskawicznych działań, zaprzeczając niemal wszystkiemu, co znalazło się w książce. W liczącej piętnaście stron polemice ludzie Kościoła nazwali książkę „dyktowanym przez bigoterię napastliwym stekiem kłamstw i oszczerstw”, wymieniając, a następnie zbijając każde z oskarżeń. Tak bezczelne wypieranie się wytycznych, które skutkowały rozbijaniem rodzin, wprawiło mnie we wściekłość. „Czy Kościół nie nakłania swych członków do tego, by nie utrzymywali kontaktów z rodziną, jeśli ta nie zna ich religii?” - pytano w książce. „To nie tylko fałsz, to wprost zaprzeczenie wierzeń i praktyk Kościoła”.

Nagle poczułam nieodpartą chęć zrobienia czegoś. Te bezczelne kłamstwa były niczym policzek wymierzony każdemu, kto przeszedł przez piekło scjentologów. Widać też było wyraźnie, że ludzie Kościoła nie zamierzają niczego zmieniać. Dopingowana przez Dallasa, który podobnie jak ja denerwował się z powodu ciągłej presji Kościoła, na jaką były narażone nasze relacje z jego rodzicami, napisałam list do Karin Pouw, rzeczniczki Kościoła i autorki owej polemiki. Przytoczyłam całe mnóstwo przykładów więzi rodzinnych zniszczonych przez scjentologów - w mojej własnej rodzinie i w jeszcze innych. Zakończyłam list prowokacyjnie: „Jeśli się mylę i jeśli chce mi to Pani udowodnić, proszę pozwolić mnie i mojej rodzinie na kontakty z tymi jej członkami, którzy wciąż są częścią Kościoła: z babcią, z Ronem Miscavige'em i jego żoną Becky. O to samo proszę również w imieniu moich przyjaciół”.

Napisałam jej, że istnieje aż nazbyt wiele takich rozbitych rodzin, by Kościołowi mogło ująć na sucho dalsze wypieranie się tego. Zasugerowałam też, żeby mniej czasu poświęcała pisaniu polemik, a więcej - naprawianiu szkód wyrządzonych tym rodzinom przez Kościół. „Radzę zacząć od rodziny samego Davida Miscavige'a”.

„Jeśli scjentologia nie jest w stanie zapewnić trwałości jego rodzinie - napisałam - to dlaczego, do licha, ktokolwiek miałby uwierzyć, że Kościół pomaga w tym innym rodzinom?”

Czytając dzisiaj ten list, żałuję, że pisząc go, nie byłam bardziej precyzyjna, a mniej rozzłoszczona. Niemniej jednak zajęłam stanowisko i dałam list do przeczytania kilkorgu przyjaciołom, którzy przesłali go do mediów, te zaś go upubliczniły. Niebawem zaczęłam dostawać dowody wielkiego wsparcia od najrozmaitszych ludzi: od byłych scjentologów, od osób, które miały kontakt z Kościołem; od byłych członków innych sekt i od zwykłych ludzi. Było to niesamowite i pouczające: usłyszeć tak wiele podobnych historii od tylu osób.

Nie chodziło więc o kilka odosobnionych incydentów, jak chciałby to przedstawiać Kościół. Było to działanie o charakterze systemowym i na wielką skalę. Świat musiał się o tym dowiedzieć.

## Rozdział trzydziesty trzeci

### Dzieląc się prawdą

Z chwilą opublikowania mojego listu do Karin Pouw zbudziło się we mnie pragnienie niesienia pomocy ofiarom Kościoła. Tak się złożyło, że w ciągu następnych miesięcy wystąpiłam w mediach i uczestniczyłam w pierwszej zorganizowanej przez siebie akcji protestacyjnej przeciw Kościołowi. Wszystko zaczęło się od nagrania wideo z Tomem Cruise'em, które wyciekło do internetu i w którym Cruise scjentologicznym żargonem omawiał słynny tekst autorstwa LRH zatytułowany „Jak sprawić, by scjentologia działała”. Wygadywał w nim bzdury; na przykład twierdził, że jadący autem scjentolodzy, którzy natknęli się na wypadek samochodowy, jako jedyni są w stanie udzielić pomocy jego ofiarom. Pozwalał sobie też na wszelkiego rodzaju egotyczne komentarze, przetykane maniackimi wybuchami śmiechu, a zakończył, niezgrabnie salutując mojemu stryjowi. Gdziekolwiek byłam, wszyscy mówili o tym nagraniu.

I tym razem Kościół zareagował błyskawicznie. Usiłował zablokować nagranie, wysyłając listy z groźbami do właściciela serwera, na którym się ono pojawiło, i żądając jego natychmiastowego usunięcia. Pozywanie ludzi z tytułu naruszenia prawa autorskiego było standardową taktyką Kościoła. Tym razem jednak się nie sprawdziła.

21 stycznia, wkrótce po upublicznieniu nagrania, grupa hakerów Anonymous umieściła na YouTube zaadresowane do Kościoła nagranie z informacją, że w odpowiedzi na stosowane przez Kościół praktyki cenzorskie zamierza „usunąć go z internetu” - i tak się stało. Grupa zdołała zablokować serwery scjentologów na trzy dni. Niemal natychmiast po oskarżeniu o cenzurowanie internetu grupa Anonymous wezwała do buntu przeciw Kościołowi i zwróciła uwagę ludzi na akty łamania przez Kościół praw człowieka.

Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczyło. Aż do tej chwili miałam poczucie, jakbym sama z kilkoma jeszcze osobami walczyła z Kościołem, który coraz bardziej stawiał nas pod ścianą. Mówiono mi, że zwariowałam, że się mylę, że jestem SP. Widok grupy ludzi stających w obronie tych, którzy zostali skrzywdzeni przez Kościół, był wspaniałym świadectwem ludzkiej wrażliwości. Większość członków owej grupy nie miała żadnych wcześniejszych kontaktów z Kościołem. W przeciwieństwie do mediów ludzie ci nie bali się jego reakcji ani możliwych procesów. Miałam teraz wrażenie, że po mojej stronie jest cała armia.

10 lutego 2008 grupa Anonymous zorganizowała zakrojony na światową skalę protest - był on jednym z wielu podobnych. Członkowie grupy mieli twarze zakryte maskami Guya Fawkesa, by zapewnić sobie anonimowość, bo wiedzieli, że Kościół prześladowuje swoich krytyków zabierających głos na forach internetowych całego świata. Anonymous zwrócili uwagę wszystkich na problem, a Kościół miał teraz kłopoty.

Wielu byłych scjentologów, wcześniej anonimowych, teraz zaczęło się ujawniać, między innymi Marc i Claire Headleyowie. Okazało się, że to właśnie Marc był blogerem o pseudonimie „Blown for Good”.

Zachęceni przez aktywność innych oboje z Dallasem zaczęliśmy gromadzić pomysły na założenie własnej strony internetowej z czymś w rodzaju centrum informacyjnego, a nawet grupy non profit dla ludzi, którzy opuścili Kościół i potrzebują pomocy. Mniej więcej w tym samym czasie skontaktowała się ze mną jedna z byłych scjentolożek, Kendra Wiseman. Jej ojciec był przewodniczącym Citizens Commission on Human Rights, scjentologicznej grupy związanej z antypsychiatrią. Kendra miała własne złe doświadczenia z Kościołem i chciała założyć stronę internetową [exscientologykids.com](http://exscientologykids.com). Powiedziała mi, że rozmawiała już o tym projekcie z Astrą Woodcraft, kolejnym znanym krytykiem Kościoła. Astra była w Kościele od dziecka, a opuściła Sea Org, bo odmówiła poddania się aborcji.

Obie spytały mnie, czy bym się do nich nie przyłączyła, a ja natychmiast się zgodziłam. Gdy Kendra pokazała mi swoją stronę i umieszczone na niej materiały, zdumiało mnie to i zachwycało. Strona zawierała wiele informacji na temat Kościoła zrozumiałych dla każdego. Zawierała też ofertę pomocy dla tych, którzy odeszli z organizacji, a także portal społecznościowy dla tych, którzy chcieliby dzielić się poglądami. Witryna została uruchomiona 1 marca 2008. Natychmiast też stała się tematem programów informacyjnych, artykułów prasowych i audycji radiowych. Wielu byłych scjentologów było aktywnych na forach internetowych, dzieląc się swymi przeżyciami, oferując pomoc i rozmawiając o własnych doświadczeniach.

Tymczasem w następstwie opublikowania mojego listu Astrę, Kendrę oraz mnie zaproszono do mediów, żeby każda z nas opowiedziała swoją historię. Zaczęłam od wywiadów dla „Glamour”, „Los Angeles Times” i programu *Nightline* nadawanym przez sieć ABC. Wkrótce po uruchomieniu naszej strony Lisa Fletcher z *Nightline* przeprowadziła ze mną wywiad. Pod koniec naszej rozmowy miała łzy w oczach. To wtedy po raz pierwszy publicznie opowiedziałam całą swoją historię. Tuż przed wyemitowaniem programu jego producenci poprosili Kościół o komentarz. Kilka dni później doczekali się odpowiedzi. Kościół posunął się do ciężkich gróźb, doprowadzając do tego, że sieć ABC wstrzymała się z

wyemitowaniem mojej opowieści. Tego samego wieczoru o dziewiętnastej do Dallasa zadzwonił jego ojciec i powiedział, że za dwadzieścia minut będzie u nas w domu wraz z dwoma wysokiej rangi członkami kierownictwa Kościoła z OSA, domagającymi się rozmowy z nami. Później dowiedziałam się, że ludzie ci wynajęli w L.A. helikopter - tak pilna była to sprawa. Za wszelką cenę chcieli nie dopuścić do emisji wywiadu.

Powiedziałam tacie Dallasa, że ludzie z OSA nie będą mile widziani, chyba że przyjechali nas przeprosić. Kilka minut później po raz drugi zadzwonił telefon. Był to jeden z podróżujących z ojcem Dallasa ludzi.

Oboje z Dallasem zgodziliśmy się spotkać z jego rodzicami i dwoma przedstawicielami OSA w pobliskiej restauracji Denny's, bo to był jedyny lokal otwarty o tak późnej porze. Spotkanie zaczęło się od obraźliwych komentarzy przedstawicieli OSA na temat naszego zachowania, naszych rodzin i naszych postaw. Jeden z nich nazwał moją matkę dziwką. Drugi powiedział, że wykorzystałam nazwisko stryja, by zyskać piętnaście minut sławy. Bez wątplenia żyli w swoim własnym świecie i ani Dallas, ani ja nie widzieliśmy sensu w spieraniu się z osobnikami tak oderwanymi od rzeczywistości. Jednak rodzice Dallasa upierali się, żebyśmy zostali i spróbowali dojść do czegoś w rodzaju kompromisu, więc ustąpiliśmy. Ostatecznie wyszedł na jaw rzeczywisty cel tej wizyty. Ludzie z OSA usiłowali mnie skłonić, bym zerwała kontrakt z programem *Nightline* i nie zgodziła się na kolejne wywiady. Próbowali się ze mną targować. Jeśli ich posłucham, zdejmą piętno SP z mojej ciotki Sarah oraz kilkorga moich przyjaciół i pozwolą im się kontaktować z rodzinami.

Również rodzice Dallasa usilnie nakłaniali nas do współpracy. Gdyby do niej nie doszło, musieliby wybierać między scjentologią a nami. Tak oto wszyscy próbowali nas zmusić do natychmiastowej decyzji, my jednak oświadczyliśmy, że musimy się zastanowić. Tuż przed zakończeniem spotkania poproszono nas jeszcze, byśmy z nikim o tym nie rozmawiali i nie zamieszczali na ten temat postów w internecie.

Ani myślałam zrywać umowy z *Nightline*, jednak jeśli chodzi o kolejne propozycje wywiadów, oboje z Dallasem byliśmy w rozterce. Jeszcze przed tym ultimatum Kościoła poważnie się nad tym zastanawialiśmy. W dalszym ciągu sporo czasu poświęciliśmy wyszukiwaniu w internecie nowych relacji pochodzących od ludzi Kościoła.

Jednak oboje wiedzieliśmy, co taka decyzja by oznaczała. Kolejny raz scjentolodzy przejęliby władzę nad naszym życiem. Dając Kościołowi podobną satysfakcję, mielibyśmy poczucie, że zgadzamy się na to, by w dalszym ciągu krzywdził nas i innych. Koniec końców zdecydowaliśmy się odrzucić propozycję.

Nazajutrz rano postanowiliśmy zjeść śniadanie w mieście i zrobić zakupy. Gdy

wyjeżdżaliśmy na autostradę, Dallas zauważył, że jedzie za nami biały ford sedan, ale mi o tym nie powiedział. Po piętnastu kilometrach okazało się, że ten sam samochód wciąż jedzie za nami. Wjechaliśmy do centrum San Diego, z licznymi sygnalizatorami świetlnymi i jednokierunkowymi ulicami. Biały sedan zatrzymał się za nami, choć kierowca manewrował w taki sposób, by nie znaleźć się w tylnym lusterku auta Dallasa. Wstąpiłam do biura, żeby zabrać kilka rzeczy. Wyszłam po piętnastu minutach. Biały sedan wciąż stał na jednej z bocznych uliczek. Wsiadłam do auta i zamknęłam drzwi. Dallas włączył silnik i ruszyliśmy.

- Jezu, zwolnij! - powiedziałam, siedząc jak zwykle na tylnym siedzeniu.

- Chyba nas śledzą. Widzisz tego białego forda po prawej, na trzecim pasie od nas? Skręć w następną przecznicę w lewo, on też gwałtownie skręci i pojedzie za nami.

Dokładnie tak jak przewidywał Dallas, kierowca samochodu zrobił to samo co my. Śledzono nas.

Dallas jeździł w kółko, chcąc się przekonać, ile czasu zajmie tamtemu facetowi zorientowanie się, że połapaliśmy się w sytuacji. Udało nam się sfotografować tablicę rejestracyjną wozu, gdy zawracał przed nami. Kiedy skręciliśmy na parking, znów ruszył w pogoń, ale odjechał, gdy wysiedliśmy z auta i zaczęliśmy iść w jego kierunku.

Jakby tego było mało, Kościół nadal usiłował nas dopaść za pośrednictwem rodziców Dallasa. W kwietniu 2008 Dallas i ja zdecydowaliśmy się wziąć udział w proteście zorganizowanym przez grupę Anonymous. Protest miał się odbyć przed wszystkimi siedzibami scjentologów w Los Angeles, a także w różnych scjentologicznych placówkach na całym świecie. I tym razem celem było oprotowanie rozbijania przez Kościół rodzin scjentologów. W noc poprzedzającą protest nowy PRowiec organizacji Tommy Davis zadzwonił do ojca Dallasa i powiedział, że zamierzamy wziąć udział w pikiecie razem z terrorystami. Zdenerwowani rodzice mojego męża poprosili go o spotkanie w cztery oczy. Dallas odmówił i pojechaliśmy razem na obiad. Jak zwykle byliśmy śledzeni - tym razem jakiś facet jechał za nami w samochodzie bez tablicy rejestracyjnej.

Uciekł, gdy się zorientował, że robimy zdjęcia jego auta. Usiłowałam się dodzwonić do Tommy'ego Davisa. Bezskutecznie. Choć zostawiłam mu kilka wiadomości, nie oddzwonił do mnie. Facet bez wątplenia był tchórzem, tak jak i wiele innych osób z OSA, które zadały sobie wiele trudu, by oczernić nas przed naszymi rodzinami, ale nigdy nie odważyłyby się na otwartą konfrontację.

Przestało mnie już dziwić takie zachowanie, a jednocześnie trudno było się nie zdumiewać, widząc, jak bardzo ci ludzie starają się zniszczyć nam życie. Jakby wciąż funkcjonowali w swoim małym światku, w którym mogli robić, co chcieli. A jednocześnie

mieli znikome pojęcie na temat tego wszystkiego, co się dzieje na zewnątrz. Strzelali zza rogu i zaraz znikali, przez co nigdy nie mieli okazji sobie uświadomić, jak bardzo oderwani są od rzeczywistości.

Choć wkurzałam się z powodu śledzących nas samochodów i prób kontrolowania nas za pośrednictwem rodziców Dallasa, jeszcze bardziej niepokoił mnie obraz Kościoła, jaki wyłaniał się z tych wszystkich działań. Doskonale widać było przepaść między światem scjentologów a światem realnym. Ludzie Kościoła chcieli za wszelką cenę kontrolować każdego wyznawcę scjentologii z osobna oraz wszystkich, którzy ich otaczali.

Tego ranka, gdy odbywały się protesty, oboje z Dallasem jechaliśmy do L.A., gdzie spotkaliśmy się z Astrą i kilkorgiem innych przyjaciół. Oboje byliśmy trochę zdenerwowani, bo nigdy dotąd nie braliśmy udziału w demonstracji. Gdy jednak znaleźliśmy się na miejscu i ujrzeliśmy mnóstwo ludzi, bardzo nas to podniosło na duchu. Panował upał, a protestujących były co najmniej dwie setki. Każdy nosił maskę. Pikietowaliśmy przed Blue Building przy Fountain Avenue. Przyszło mnóstwo byłych scjentologów - wielu z nich już wcześniej poważnie przyczyniło się do nagłośnienia sprawy.

Tego dnia na proteście pojawili się również Headleyowie. Zaczęliśmy przy PAC, gdzie Kościół polecił swym ochroniarzom zablokować drogę będącą jego własnością. Dlatego protest odbył się przy Sunset Boulevard. Ludzie trąbili na znak solidarności z nami. Niektórzy z pikietujących używali megafonów, wykrzykując przez nie antyscjentologiczne hasła. Na miejscu byli też przedstawiciele mediów, a każdy z nas z chęcią wypowiedział kilka zdań przed mikrofonem.

Ze zdumieniem zauważyłam też dwoje innych protestujących: Marka Bunkera i Tory Christman, których pamiętałam z czasu protestów przed bazą Flag w Clearwater. Należeli do Lisa McPherson Trust i często uczestniczyli w pikietach przed bazą. Pamiętałam, jak informowano nas o działaniach podjętych, by zapanować nad protestującymi. A teraz obydwaj byli tutaj, kontynuując swój protest przeciw Kościołowi.

Tego dnia wszyscy poczuliśmy przypływ mocy i odnieśliśmy spory sukces. Byłam niezmiernie wdzięczna grupie Anonymous za zorganizowanie wszystkiego. Wielu jej członków nie odczuło na własnej skórze czynionego przez Kościół zła, toteż było znaczące, że wstawiali się za ludźmi, których nawet nie znali. Przez tyle lat miałam poczucie, że tylko mnie jednej się wydaje, że ludzi w Sea Org traktuje się źle. Teraz widziałam, że stanowimy całą armię.

Gdy wracaliśmy wieczorem do domu, oboje zauważyliśmy, że znów ktoś za nami jedzie. Tym razem były to dwa samochody. Zatelefonowałam nazajutrz do OSA, chcąc

rozmawiać z Tommym Davisem, lecz oczywiście był niedostępny, a potem nie oddzwonił.

Tego samego dnia zadzwonili do nas rodzice Dallasa i powiedzieli, że chcą rozmawiać z synem na osobności. Dallas zgodził się z nimi spotkać w ich domu. Okazało się, że dopiero co wrócili ze spotkania z kilkoma osobami z zarządu Kościoła. Pokazali Dallasowi zdjęcia, na których oboje trzymamy transparenty pośród innych protestujących, i powiedzieli, że zadajemy się z ludźmi z grupy Anonymous, którą ludzie Kościoła uważają za organizację przestępczą. Usiłowano przekonać rodziców, że Dallas i ja jesteśmy złymi ludźmi. Ludzie Kościoła posunęli się do stwierdzenia, że jedynym powodem, dla którego Dallas się ze mną ożenił, była chęć przejęcia pozycji, jaką miał w Kościele mój stryj. Te potajemne spotkania rodziców Dallasa z członkami Kościoła często prowadziły do spięć i awantur między mną i Dallasem z jednej oraz jego rodzicami z drugiej strony, oboje jednak wiedzieliśmy, że postępujemy słusznie. Nie chodziło wyłącznie o rodzinę Dallasa, lecz o mnóstwo innych osób, którym chcieliśmy pomóc.

Mniej więcej po tygodniu matka Dallasa ponownie do niego zadzwoniła. Powiedziała, że ludzie Kościoła powiadomili ją, że sieć ABC zamierza wyemitować wywiad w programie *Nightline*. Poprosili ją o napisanie listu do producentów programu z żądaniem wstrzymania emisji. Ludzie Kościoła chcieli, by matka powiedziała producentom, że Dallas i ja jesteśmy kłamcami, o to samo poprosili też jej męża i drugiego syna. Matka - tak przynajmniej twierdziła - powiedziała im, że nie chce się w nic mieszać. Do dziś nie wiem, czy ktokolwiek z nich napisał taki list w imieniu Kościoła.

Ostatecznie pomimo wszystkich starań Kościoła wywiad w *Nightline* został wyemitowany, ja zaś mimo całego dramatyizmu towarzyszących temu okoliczności odczułam wielką ulgę. Burzliwe tygodnie wypełnione zmaganiem z Kościołem utwierdziły mnie w głębszym niż kiedykolwiek wcześniej przekonaniu, że jedynym sposobem zwrócenia uwagi na łamanie przez Kościół praw człowieka jest działanie z zewnątrz. Nad rzeczywistością ludzi Kościoła tak trudno było zapanować, że jedyną szansą na prawdziwe zmiany było to, że świat dostrzeże zagrożenia, jakie niesie ze sobą scjentologia. I to właśnie do nas - ludzi, którzy opuścili Kościół - należało ujawnienie całej prawdy o naszych doświadczeniach, bo tylko wówczas świat mógł się dowiedzieć, czym tak naprawdę jest cała ta organizacja.

Po emisji wywiadu liczba osób odwiedzających naszą stronę internetową gwałtownie wzrosła. Była tak duża, że w wyszukiwarce Google po wpisaniu hasła „scjentologia” nasza strona wyskakiwała na pierwszej pozycji. Otrzymaliśmy masę maili od ludzi, którzy zwracali się do nas o pomoc w odnalezieniu w Kościele ich dzieci czy innych członków rodziny. W wielu wypadkach udało nam się pomóc. To właśnie takie prośby bardziej niż cokolwiek



innego utwierdziły mnie w przekonaniu, że postępujemy słusznie. Liczba maili była zupełnie niewiarygodna.

Naszą stronę nadal odwiedza miesięcznie mniej więcej dwieście tysięcy osób. Jeszcze większą satysfakcję czerpiemy z podziękowań nadsyłanych ze wszystkich zakątków świata. Jestem dumna, że nasza strona stała się cennym narzędziem służącym ostrzeganiu ludzi przed zagrożeniami wiążącymi się ze scjentologią, że pomaga im w odnalezieniu bliskich, których pozbawił ich Kościół, że jest źródłem wsparcia dla tych, którzy tego potrzebują, i źródłem wiedzy - za pośrednictwem programów szkolnych i mediów.

## Rozdział trzydziesty czwarty

### Jedno życie

Im dłużej przebywałam w świecie, tym lepiej zaczynałam rozumieć, że moje wcześniejsze życie było bez reszty zawłaszczone przez Kościół. Przez całe lata przeczuwałam, że coś jest nie tak, a poznanie prawdy o tym, co się działo za kulisami, utwierdziło mnie w tych przeczuciach. Ze zdumieniem dowiedziałam się, że osobom wysoko postawionym w hierarchii Kościoła zależało na kontrolowaniu mnie w okresie, gdy byłam członkiem Sea Org. Późną jesienią 2007 zadzwonili do mnie rodzice z wiadomością, że złożył im wizytę Mike Rinder. Natychmiast pomyślałam, że był tam, bo musiał się nimi zająć lub zebrać informacje na mój temat. Ku mojemu zdziwieniu nie było prawdą ani jedno, ani drugie: Rinder pokłócił się ze stryjem w sprawie nagrywanego przez BBC programu na temat scjentologii, a w rezultacie sprzeczkę Mike wystąpił z Kościoła.

Byłam zszokowana. Zaledwie przed kilkoma tygodniami widziałam Mike'a w telewizji. Bronił Kościoła. Jego odejście było poważną sprawą. Zastanawiałam się, co się stanie z Cathy, B.J.em i Taryn. Rodzice powiedzieli mi, że rodzina Mike'a wyparła się go. Kilka miesięcy później, gdy Mike ochłonął już po tym, co się stało, opowiedział nam, jak zamierzano się zająć moimi rodzicami i mną. Jemu i Marty'emu Rathbunowi przydzielono zadanie zajęcia się moimi rodzicami w roku 2000, gdy po raz pierwszy oznajmili, że odchodzą z Sea Org. Rodzice ogłosili swoją decyzję, po czym zamknęli się w pokoju w Int Base i nikomu nie chcieli otworzyć. Mike i Marty byli w tym czasie w Clearwater, jednak stryj Dave uznał, że sytuacja jest tak poważna, że kazał im natychmiast wracać do Int i zająć się tym. Mike powiedział, że stryj kierował całą akcją w najdrobniejszych szczegółach. Żądał szczegółowych raportów z jej przebiegu i wydawał niezliczone rozkazy. Oto, co mi powiedział Mike:

Z początku mój ojciec nie chciał z nikim rozmawiać, a zwłaszcza ze swoim bratem, więc stryj Dave poinstruował Mike'a i Marty'ego, by rozdzielili moich rodziców, nawet jeśli oznaczałoby to, że ojca trzeba siłą wywlec z pokoju. Następnie polecił przesłuchać oboje rodziców. Wszystko, co powiedzieli, miało być ze szczegółami raportowane stryjowi. Kilka dni później, gdy moi rodzice nie zmienili zdania w kwestii opuszczenia pokoju, stryj Dave wpadł w furję, nazywając Mike'a i Marty'ego niekompetentnymi niedołęgami, po czym oznajmił, że sam porozmawia z bratem. Spotkali się w Int Base na Star of California,

będącego kopią oryginalnego statku. Tam stryj zaproponował ojcu sto tysięcy dolarów, jeśli z organizacji odejdzie tylko mama, lecz ojciec nie dał się przekonać.

Kiedy stało się jasne, że moi rodzice odchodzą, stryj zażyczył sobie, by opuścili kraj, więc ojciec na chybił trafił wybrał Cabo San Lucas w Meksyku. Odpowiadało to Kościołowi, bo pewien prywatny detektyw pracujący dla organizacji prowadził tam wypożyczalnię pojazdów terenowych, więc mógł mieć moich rodziców na oku. Stryj Dave bał się, że jeśli zostaną w Stanach, mogą zostać wezwani na świadków w sprawie Lisy McPherson. Dopiero później Mike dowiedział się, dlaczego stryj był tak wystraszony - bo wcześniej wyjawiał rodzicom, że nadzorował audytowanie Lisy tuż przed jej śmiercią. Rodzice nie mieli zamiaru robić Kościołowi problemów, ale i tak zażądano, żeby wyjechali. Zgodzili się, gdy powiedziano im, że wkrótce do nich dołączę. Stryj Dave zapewnił ich, że osobiście dopilnuje tej sprawy.

Zajęła się mną Anne Rathbun, choć, jak się okazało, bezpośrednio nadzorował ją stryj Dave. Zawsze zastanawiało mnie, ile stryj wiedział na temat tego, co się ze mną dzieje, gdy rodzice opuszczali organizację. Mike powiedział, że po odesłaniu mnie z Flag do Los Angeles stryj zamierzał umieścić mnie w Meksyku razem z rodzicami bez względu na to, czy mi się to podobało. Wielokrotnie powtarzał Mike'owi, że jestem rozwydrzonym bachorem, który niczego nie wnosi do Sea Org, więc pozbycie się mnie to mała strata, a rodzice będą zadowoleni. Ale skoro nie chciałam odejść, cały ten plan musiał zostać zmieniony. Jak widać, to stryj Dave zawsze pociągał za sznurki, choć nigdy się nie ujawniał.

Godziny, które upłynęły od chwili, gdy Marty i Mike zostawili mnie samą w sali konferencyjnej, twierdząc potem, że o mnie zapomnieli, spędzili na dziesiątym piętrze w biurze stryja, wydani na pastwę jego wściekłości. Był rozjuszony, bo nie umieli sobie poradzić z młodą dziewczyną, która według niego była nie tylko leniwa i do niczego się nie nadawała, lecz również była zbyt głupia, żeby samodzielnie myśleć. Nie dziwiło mnie, że stryj tak o mnie mówił. Działając za moimi plecami, nie ponosił za nic odpowiedzialności. Na podstawie całej mojej wiedzy o nim sądzę, że myślał, że tylko on jeden jest w stanie wykonać wszystko jak należy.

Mike powiedział, że po raz pierwszy dostał rozkaz skłonienia kogoś do opuszczenia Sea Org, i wcale nie był tym zachwycony. Stryj nie spodziewał się, że jestem aż tak zindoktrynowana. Kiedy mu powiedziano, że chcę zostać w Kościele, był wściekły. Nadal chciał, żebym odeszła, ale w końcu stwierdził, że jestem lepszym członkiem Sea Org niż Mike czy Marty, przez co dał do zrozumienia, że mogę zostać.

Kiedy kazano mi zadzwonić do rodziców, by im zakomunikować, że postanowiłam

zostać, nie zdawałam sobie sprawy, ile już dyskusji odbyto w tej sprawie. Najwyraźniej ojciec zażądał rozmowy ze mną, ale stryj się na to nie zgodził. Nie chcąc osobiście rozmawiać z ojcem, przysłuchiwał się rozmowie telefonicznej, którą w jego imieniu prowadzili z ojcem Mike i Marty. Dopiero gdy moja matka zaczęła grozić, Dave zezwolił rodzicom na rozmowę ze mną.

Dowiedziawszy się, jak bardzo stryj był zaangażowany w sprawę odejścia moich rodziców, nie zdziwiłam się, że to on zajmował się sprawą odejścia mojego i Dallasa. Nie tylko wiedział, co się dzieje, ale kierował całą akcją. To on ponosił odpowiedzialność za intrygi i próby przekonania mojego męża, by został. To on nakłaniał ludzi, by zatrzymali Dallasa w organizacji, a pozbyli się mnie. Mało prawdopodobne, że stryjowi naprawdę chodziło o Dallasa. Choć od trzech lat byliśmy małżeństwem, stryj nigdy się z nim nie spotkał. Chodziło raczej o to, by uprzykrzyć mi życie, piętrząc przed nami jak najwięcej przeszkód. Rodzina nic dla Dave'a nie znaczyła.

Stryj obserwował mnie znacznie uważniej, niż sądziłam. Wiedziałam, że jestem kontrolowana i że jest to działanie celowe, nie podejrzewałam jednak, że to stryj stoi za wszystkim. Raz jeszcze uderzyło mnie, że jego decyzje zawsze wprowadzali w czyn inni. Budował w ten sposób barierę między sobą a swoimi działaniami oraz krzywdą, jaką one powodowały. Nie musiał się konfrontować z niewygodnymi pytaniami, jak jego decyzje o rozdzielaniu rodzin miały się do służby większemu dobru i jak to wszystko miało się do scjentologii.

Być może najbardziej zadziwiające było to, że usłyszawszy to wszystko, wcale nie byłam zdziwiona. Przed rozmową z Mikiem Rinderem od byłych scjentologów usłyszałam już tyle złego o postępowaniu stryja, że mało co by mnie zaskoczyło.

Każdy, kto odszedł z Kościoła, miał wiele do powiedzenia - o nim samym i o tym, co robił. Moja historia nie różniła się za bardzo od historii innych ludzi. Ostatecznie nawet moje nazwisko nie uchroniło mnie przed baczny okiem stryja.

Nie jestem już wyznawczynią żadnej wiary. Nie jestem osobą religijną. Wierzę w to, co mogę zobaczyć. Dallas nie wyklucza możliwości istnienia Boga, poprzednich wcieleń, reinkarnacji i karmy. Ja też tych wszystkich rzeczy nie wykluczam, ale nie liczę na nie ani nie mają one wpływu na moje myślenie.

Musiałam radykalnie zmienić perspektywę, uświadomiwszy sobie, że moje życie może się okazać jedyne i nie do powtórzenia. Być może wszyscy znani mi wciąż należący do Kościoła ludzie marnują jedyne życie, które jest im dane. Jednak posiadanie tylko jednego życia sprawia też, że mogę dostrzec jego piękno, docenić, jaki to cud, że możemy żyć, i

zrozumieć, jakie to niezwykle, że jest się niepowtarzalną osobą. Żaden człowiek nie urodził się po to, by się upodobnić do innych. Przekształcanie ludzi, a zwłaszcza dzieci, w roboty, jest zbrodnią przeciwko samej naturze.

Ludzkość ma w sobie wiele piękna, a ja potrafię je docenić dopiero od kilku lat. Poruszają mnie działania rodzin, które w trosce o swoje dzieci próbują uchronić je przed wpływem scjentologii. Jestem wdzięczna ludziom, którzy pozwolili mi się wypłakać na ich ramieniu i którzy wspierali mnie, gdy występowałam przeciw scjentologii. Jestem wdzięczna nienależącym do Kościoła członkom rodziny Dallasa, przepełnionym autentyczną i szczerą troską, a także wpływowym ludziom, którzy zjawili się w moim nowym życiu - za ich zainteresowanie i współczucie.

Moja matka niedawno przeniosła się do Kalifornii, żeby być bliżej wnuków. Jest troskliwą babcią, gotową wynagrodzić mi wszystkie zaniedbania, których kiedyś dopuściła się wobec mnie. Ojciec nadal mieszka w Wirginii. Mieszkają tam również Justin i jego dziewczyna. Sterling wyjechał za granicę. Stryj Dave wciąż jest głową Kościoła. O ile mi wiadomo, rodzice nie rozmawiali z nim od czasu mojego odejścia. Ja także z nim nie rozmawiałam. Parę lat temu próbowałam dodzwonić się do ciotki Shelly, jednak nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu. Od roku 2007 przestała się publicznie pokazywać, niedawno jednak w jej imieniu zabrał głos prawnik, oświadczając, że ciotka ma się świetnie. Była to odpowiedź na jakiś artykuł prasowy czy też wpis na blogu, zawierający informację, że ciotka zaginęła.

W roku 2012 pewne zamieszanie wywołał dziadek Ron - tata mojego ojca, który wprowadził do Kościoła całą rodzinę Miscavige'ów - gdy pojawiła się wiadomość, że również i on wystąpił z organizacji. Zważywszy na jego długi staż w Kościele, była to miła niespodzianka. Według jego własnej relacji po prostu miał już wszystkiego dosyć i musiał odejść, „uciec” - by przytoczyć jego własne słowa. On i jego żona Becky mieszkają z moim tatą w Wirginii. Dziadek Ron to tylko jedna z kilku znanych osób, które w ostatnich latach odeszły z Kościoła. Ich lista szybko się wydłuża: wraz z Mikiem Rinderem znalazł się na niej również Marty Rathbun, którego żona Anne pozostała w Kościele.

W dniu, w którym podpisałam kontrakt na tę książkę, rodzice Dallasa zostali uznani za SP, ponieważ odmówili zerwania z nami kontaktów. Rodzeństwo Dallasa w dalszym ciągu utrzymuje z nami kontakty - kochamy ich i nadal się z nimi spotykamy. Rodzice Dallasa wciąż są wyznawcami scjentologii, jednak dostrzegają zepsucie w Kościele i nie godzą się na sposób, w jaki się nim kieruje. Jeśli chodzi o stosunek Kościoła do nas, to oczywiście jesteśmy SP, chociaż w dalszym ciągu nie zostaliśmy oficjalnie za takowych uznani -

przynajmniej o ile nam wiadomo. Od lat nikt z Kościoła się z nami nie kontaktował, najwyraźniej też przestano nas śledzić.

Choć staram się nie oglądać za siebie, o pewnych sprawach nie udaje mi się zapomnieć. Według mnie Kościół jest niebezpieczną organizacją, która ideologią usprawiedliwia wyrządzane przez siebie krzywdy i gwałcenie elementarnych praw człowieka. Pozostaje dla mnie zagadką, jak we współczesnych społeczeństwach coś takiego w ogóle jest możliwe. Działalność ta jest szczególnie niebezpieczna z uwagi na popierających ją celebrytów i grupy stowarzyszone z Kościołem, takie jak Narconon, Applied Scholastics, Citizens Commission on Human Rights. Sądzę, że należy uświadamiać ludziom, czym w istocie jest Kościół, kim był jego założyciel, co tak naprawdę się dzieje w tej organizacji, do czego są zdolni jej ludzie i co gotowi są poświęcić w imię stawianych sobie celów. A cele te zostają ukryte za pomocą polityki udzielania sprzecznych informacji. Scjentologia zawsze była grą opartą na władzy i kontroli. L. Ron Hubbard był wielkim oszustem, więc trudno stwierdzić, na ile scjentologia stanowiła eksperyment w zakresie prania mózgow i kontrolowania ludzi, a na ile miała im pomagać.

Choć mam wiele powodów, by nienawidzić stryja, to jednak staram się również pamiętać, że kiedyś był dzieckiem, które podobnie jak wiele innych dzieci padło ofiarą systemu, a było zbyt niedojrzałe i nieodpowiedzialne, by dokonywać właściwych wyborów. Kiedy stryj miał szesnaście lat i dołączył do Sea Org, tkwił w scjentologii już zbyt głęboko. Dokonał wyboru. Nie wiem, kim by był, gdyby nie zetknął się ze scjentologią, nie wiem też, w jakim stopniu jego osobowość została przez scjentologię ukształtowana.

Trudno jednak pogodzić myśl o nim jako dziecku z obrazem dorosłego, którym jest teraz. Wielu byłym członkom Sea Org i byłym scjentologom łatwo przychodzi obarczanie winą Dave'a, i tylko Dave'a, za wszystko to, czego sami doświadczyli. Tymczasem prawda jest, jak sadzę, nieco bardziej skomplikowana. Trudno dyskutować z tym, że stryj odegrał główną rolę w nadaniu oblicza współczesnej scjentologii, jednak obarczanie go pełnią odpowiedzialności oznacza pominięcie głębszej kwestii. Problem ze scjentologią nie sprowadza się do jednego człowieka: stryja Dave'a czy LRH. Problem tkwi w niej samej. Scjentologia to system uniemożliwiający samodzielne myślenie jej wyznawcom. Rzecz jasna, ludzie tacy jak stryj sprzyjają atmosferze strachu dławiącego niezależne myślenie. Ale nawet jeśli się ich wyeliminuje, nadal pozostanie system, który niemal z definicji ogranicza wolność jednostki.

Ilekróć jedziemy do Los Angeles odwiedzić przyjaciół, mijamy tamtejszą bazę. Widzimy trutni z Sea Org. Wchodzą i wychodzą z budynków bazy, spacerują po chodnikach.

Można ich rozpoznać po uniformach i pustych spojrzeniach. Żyją w innym świecie. Patrząc na nich, cofam się do niezbyt odległych czasów, gdy podobnie jak oni bezmyślnie chodziłam między budynkami. Pamiętam, że te chwile należały do nielicznych okazji do spotkania ze światem zewnętrznym i że mijający nas samochodami ludzie, zanim zniknęli w chmurze pyłu, krzyczeli do nas, że mamy wyprane mózgi.

W tamtym czasie naszą reakcją na ich słowa było niedowierzenie. Spoglądaliśmy po sobie, bezgranicznie zdumieni, że oto my, osoby poszukujące ostatecznych prawd o wszechświecie, możemy mieć wyprane mózgi. Wzajemnie cytowaliśmy sobie scjentologiczne hasła, na przykład „Myśl samodzielnie”, pocieszając się świadomością, że tylko my możemy naprawić świat. Skoro ostatecznie to my stanowiliśmy większe dobro, to kim byli oni?

Na widok wyznawców Kościoła dziś ja też mam ochotę krzyczeć do nich jak tamci ludzie w przejeżdżających samochodach, zwłaszcza gdy widzę niektórych spośród swoich dawnych przyjaciół. W takich chwilach czuję pokusę, by nimi potrząsnąć i uświadomić im, jak jest naprawdę - usunąć dystans dzielący ich świat od mojego. Otwieram usta, by się odezwać, ale za każdym razem słowa więzną mi w gardle. Powstrzymuje mnie strach, świadomość, że nie mogę ich zmusić do wiary w coś, w co uwierzyć nie są gotowi.

Ostatecznie to sami scjentolodzy decydują o tym, w co wierzą i czy powinni zlekceważyć cichy, lecz niemilkący wewnętrzny głos, który bezustannie powtarza im, że coś jest nie tak. Uciekając się do metody prania mózgu, Kościół uczy ludzi, jak postępować wbrew własnym instynktom, a te nauki są zbyt sugestywne, zbyt głęboko wpajane, by konfrontacja ze światem zewnętrznym mogła je wykorzenić. Potrzeba zmiany musi pochodzić z wnętrza człowieka. Ci ludzie sami muszą sobie uświadomić, jak jest naprawdę.

Dokonałam wyboru, że nie chcę być kontrolowana, i odchodząc, nauczyłam się, jak ważne jest wsłuchiwanie się w wewnętrzny głos, mówiący co jest dobre, a co złe. Odosobniony głos sprzeciwu prawie zawsze trafia w próżnię. Jeśli jednak nie zdecydujesz się mówić, niemal na pewno tego pożałujesz i będziesz musiał pogodzić się ze skutkami swojej decyzji. Z własnego doświadczenia wiem, że często jedynym powodem, dla którego Kościołowi uchodziły na sucho jego nadużycia, było to, że ludzie nie potrafili powiedzieć „nie”. Sprzeciw jest rzeczą trudną. Jednak w dalszej perspektywie wielu ludzi doceni twoją odwagę, nawet jeśli otwarcie tego nie powiedzą, a któregoś dnia może sami zdobędą się dzięki niej na własny gest sprzeciwu.

Być może największym spośród wszystkich darów, które zawdzięczam odzyskanej wolności, była decyzja o założeniu rodziny. Od chwili gdy zaczęła się w Australii moja znajomość z Janette i jej córką Eden, wiedziałam, że chcę być matką. Gdybym jednak została

w Sea Org, nigdy by mi na to nie pozwolono. Dzięki odejściu stamtąd sama mogłam odkryć, co to znaczy mieć dziecko, a dzisiaj oboje z Dallasem cieszymy się, że porzuciliśmy organizację jako ludzie dostatecznie młodzi, żeby założyć rodzinę. Dwójka naszych pięknych dzieci jest dla nas błogosławieństwem, którego nigdy byśmy nie zaznali, podejmując inną decyzję.

Jeśli o mnie chodzi, to najwyższe piękno człowieczeństwa objawiło mi się z chwilą narodzin mojego pierwszego dziecka. Nasze ciała są w stanie dokonywać cudów, bez względu na to, czy jesteśmy istotami duchowymi. Ostatecznie nauczyłam się, że nawet jeśli jestem wyłącznie ciałem, w zupełności mi to wystarczy. Dzięki swej cielesności zostałam mamą, co jak dotychczas jest najlepszą rzeczą, jakiej doświadczyłam.



## Podziękowania

Szczególne podziękowania składam na ręce Lisy Pulitzer, która od samego początku uwierzyła w moją opowieść i bez której ta książka nie mogłaby powstać. Bardzo ci, Liso, dziękuję za twoją troskę, wsparcie i ciężką pracę i za to, że jesteś tak miłą osobą.

Jestem wdzięczna Lisie Sharkey za to, że uwierzyła w moją historię i umożliwiła jej opublikowanie.

Madeleine Morel dziękuję za jej niespożytą energię i za to, że zawsze znajdowała dla mnie czas.

Szczególnie chciałam podziękować swojej redaktorce - za mnóstwo pracy włożonej w tę książkę, za to, że starała się zrozumieć moją historię i dopilnowała, by została ona opowiedziana jak należy.

Mam poczucie, że jesteście wyjątkowymi ludźmi. Mam wielkie szczęście, że was poznałam i że wkroczyliście do mojego życia.

Chciałabym podziękować wszystkim osobom z William Morrow i HarperCollins, których ciężka praca pozwoliła na wydobycie z tej książki całego jej potencjału.

Chciałabym również podziękować Marcie Smith za długie godziny pracy nad tekstem i dbałość o szczegóły.

Dziękuję swojej rodzinie, przede wszystkim mężowi Dallasowi, za to, że mnie wspierał, nauczył mnie prowadzić samochód, gotować, był dla mnie tak dobry, nie kazał mi rezygnować z marzeń, zawsze przy mnie był, wytrzymał ze mną przez te wszystkie lata. Dziękuję moim dwóm aniołkom, które są sensem mojego życia, dając mi tyle czystej radości i samym swym istnieniem sprawiając, że świat staje się piękniejszy. Bardzo was kocham.

Serdeczne dzięki składam całej rodzinie Pavlicków za ich miłość i wsparcie. Dziękuję wam, że mnie przygarnęliście i że jesteście tak miłymi ludźmi, pełnymi troski i miłości. Nie mogłabym sobie życzyć lepszej rodziny. Wszystkich was kocham.

Szczególne podziękowania składam moim rodzicom i bratu Justinowi za to, że mi pomogli, kiedy opuszczałam Kościół, i że o mnie walczyli, służąc mi wsparciem i pomocą w moim dążeniu do prawdy.

Miłość i wdzięczność jestem winna rodzinie Hillów za uszanowanie naszych wyborów, za niepoddanie się silnej presji i za to, że nasza rodzina była dla nich ważniejsza od religii scjentologów.

Dziękuję Astrze i Kendrze, moim towarzyszkom i przyjaciółkom z ESK, za to, że są

takie niezwykle, silne i piękne, bystre i wygadane, za wszystko to, co dotychczas zrobiły i wciąż robią. Byłyście silne wtedy, gdy ja byłam słaba - to dla mnie zaszczyt, że wymienia się nas jednym tchem.

Chciałabym wspomnieć tu o wszystkich byłych scjentologach, a nawet o niezależnych scjentologach, którzy latami głośno mówili o nadużyciach i zaniedbaniach Kościoła oraz o łamaniu praw człowieka w tej organizacji, wiele ryzykując i narażając się na ataki, lecz mimo wszystko nie rezygnując z głoszenia prawdy. Są to: Tory Christman, Mark Bunker, Marc i Claire Headleyowie, Mike i Christie, Marty Rathbun, Tom Devocht, Jeff Hawkins, Amy Scobee, Matt Pesch, Lawrence Woodcraft, Chuck Beatty, Paul Haggis i jeszcze wielu innych. Dziękuję wam wszystkim.

Dziękuję grupie Anonymous, zwłaszcza tym jej członkom, z którymi się zetknęłam, za niesłabnące wsparcie i zainteresowanie.

Wielkie dzięki składam moim australijskim przyjaciółom, którzy wystąpili przeciw Kościołowi - Andersonom, Janette, Annie i Deanowi.

Chciałabym podziękować wszystkim przyjaciółom, którzy zawsze we mnie wierzyli i wspierali mnie, a także tym, którzy po prostu mieli dla mnie dobre słowo i naprawdę mi pomogli, zwracając mi uwagę na to, jak piękny jest świat. Są to: Ana, Jane, Lucy, Aimee, Liz, Laurette i Gus - by wymienić tylko kilkoro, których nie mogę pominąć - a także jeszcze wielu innych moich przyjaciół z HK i LHC.

A wreszcie nie mogę nie wymienić wielu dziennikarzy, którzy przez całe lata ciężko pracowali, wydobywając na jaw istotne świadectwa i konsekwentnie kierując uwagę widzów i czytelników na ważne sprawy. Są to: Jonny Jacobsen, Lawrence Wright, Tony Ortega, John Sweeney, Tobin i Childs, Anderson Cooper i wielu innych.

